

# Pomyłka

Coffman Elaine



calibre 0.9.43

**POMYŁKA**

**Tytuł oryginału**

**For All the Right Reasons**

**1**

**1**

***Brownsville, Teksas, 1848***

**Wojna wreszcie się skończyła.**

**Młody mężczyzna, jadący bez pośpiechu na krępym teksaskim koniu**

**nieokreślonej, raczej płowej, maści, w zamyśleniu pocierał tonią kilkudniową**

**już szczecinę na podbródku i policzkach zastanawiał się, czy ma się z czego**

**cieszyć. Ludzie w końcu przestali się zabijać i to z całą pewnością było dobre.**

**Ale koniec wojny oznaczał też, że oddziały, tak dzielnie dotąd walczące od**

**dowództwem generała Zacha Taylora, nie są już nikomu potrzebne, podobnie**

**jak i służący w nich ludzie, którzy oddali armii ponad dwa lata swego życia.**

**Nawet jeśli niektórym z nich ta meksykańska wojna w jakiś sposób wypełniała**

**pustkę dotychczasowej egzystencji – a chyba tak właśnie było w przypadku**

**Alexa Mackinnona – to po podpisaniu traktatu pokojowego także i to się**

**skończyło. Ten rozdział był zamknięty, a przed Alexem – tak jak i przed jego**

**bratem Adrianem, razem z nim zwolnionym z wojska z tego samego powodu –**

**stało teraz zasadnicze pytanie: co dalej?**

**Alex i Adrian byli bliźniakami, najmłodszymi z szóstki braci**

**Mackinnonów. Teraz było ich już tylko pięciu, jako że najstarszy Andrew**

**zginął tragicznie jeszcze w 1836 roku, zabity przez Komanczów. Szmata czasu,**

to już dwanaście lat. Pierwszy się urodził i pierwszy też spotkał śmierć.

Wojna z Meksykiem była ciężka i krwawa i przez ostatnie dwa lata Alex Mackinnon często myślał, że to właśnie on będzie następny. Teraz, gdy bezpośrednio zagrożenie w końcu minęło, znów zastanawiał się nad tym wszystkim, ale tak naprawdę mógł jedynie westchnąć nad swoim losem i z pewną rezygnacją pokiwać głową. Niełatwo było przyznać choćby tylko przed sobą, że w gruncie rzeczy jego śmierć też nie miałaby większego znaczenia. Co najwyżej liczba żyjących braci Mackinnonów zmniejszyłaby się do czterech. Ta wojna każdego dnia groziła śmiercią, a jej trudy były chwilami wręcz nieludzkie, ale też właśnie dlatego bez reszty absorbowala zarówno Alexa, jak i Adriana przez całe dwa lata. Przez te dwadzieścia cztery miesiące – dzień w dzień – mieli przynajmniej coś do zrobienia poza dotychczasowym ciągłym przymieraniem głodem. Ale kampania wreszcie się zakończyła i żaden z nich nie miał pewności, co właściwie powinni ze sobą zrobić.

Nagły powiew gorącego wiatru wzbił tuman białawego kurzu, kolejny raz dobitnie przypominając o tym, jak dawno nie spadła tu nawet jedna kropla deszczu. To nie była przyjemna okolica o tej porze roku. Alex ściągnął z szyi bawełnianą bandanę, otarł spocone czoło i wewnątrz kowbojskiego kapelusza. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie lepiej byłoby jechać z odkrytą głową, lecz upał był jednak zbyt dotkliwy.

Obrócił się w siodle i przyglądał bratu, jadącemu kilkanaście metrów za nim. Koń Adriana szedł wolno, jego kopyta też zapadały się w sypkim piachu aż po pęciny. Daleko w tyle zostało Brownsville – małe miasteczko, w którym

rozformowano ich oddział. Tam zostali zwolnieni z wojska i mieli już prawo jechać dokądkolwiek. Gdzie tylko zechcą i kiedy tylko zechcą.

Adrianowi specjalnie się nie śpieszyło, natomiast Alex ponaglał i poganiał brata, jak tylko mógł, od pierwszego dnia. Taka różnica postaw mogłaby dziwić tylko tych, którzy ich bliżej nie znali, jednak w ich rodzinnych stronach wszyscy wiedzieli, że ci bracia bliźniacy zgadzają się ze sobą niezwykle rzadko, spierając się o wszystko niemalże dla zasady. Wiedziano też, że to Alex jest zazwyczaj bardziej aktywny i że niezwykle trudno mu usiedzieć na miejscu, nawet jeśli sam dokładnie nie wie, dokąd właściwie chciałby wyruszyć.

Jedna rzecz wydawała się niewątpliwa – jeżeli w ogóle czegoś szukał, z całą pewnością nie było tego w Brownsville.

Jeszcze raz obrócił się w siodle i ostatnim spojrzeniem obrzucił niknące już na horyzoncie miasteczko. Potem uniósł głowę i spojrział do góry prosto w słońce, które uparcie tkwiło w zenicie już od paru godzin i – zdaniem Alexa – nie przesunęło się w tym czasie nawet o milimetr.

Tymczasem koń Adriana zbliżył się na odległość kilku metrów. Alex czekał na brata, zmęczonym wzrokiem obrzucając bezkresną, pełną wykwitów białych alkalicznych soli, półpustynną równinę – prawie zamarłą otwartą przestrzeń, na której, jak się wydawało, nie poruszało się nic, jeżeli nie liczyć obłoczków kredowego pyłu wzbijanego spod końskich kopyt i ledwie zauważalnie chwiejących się na wietrze gałązek nielicznych kęp karłowatego dębu. Daleko za tymi mizernymi zaroślami i za płynącą jeszcze dalej Rio Grandę rozpościerał się Meksyk – niczym ogromna karta, na której jeden ważny rozdział z księgi życia tych młodych ludzi został już zapisany. A przed

nimi była jeszcze do przebycia ogromna trawiasta równina, za którą leżało prawdziwe wielkie miasto – San Antonio. A potem co? Alex nie był tego pewien, miał jednak silne przeczucie, że dalszych rozdziałów ich nienapisanej jeszcze historii należy szukać właśnie w tym kierunku.

Czuł się znużony i w jakiś sposób znacznie starszy niż dotąd –nawet jeśli z

3

metryki wynikało, że wciąż jeszcze nie przekroczył nawet dwudziestki. Tak, był teraz zdecydowanie starszy i patrząc na brata, zastanawiał się, czy Adrian też ma podobne poczucie niezwykle gwałtownego dorostania. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, choć znał go lepiej niż ktokolwiek i wiedział, jak bardzo potrafi być skryty, mimo swej w gruncie rzeczy porywczej i wybuchowej natury. Alex pod tym względem na szczęście się od niego różnił, natura obdarzyła go temperamentem znacznie pogodniejszym, połączonym z błogosławioną zdolnością spokojnego przyjmowania wszystkiego, co życie przynosiło, nawet jeśli na ogół nie były to dary szczęśliwego losu.

Tak, z całą pewnością nie były.

Życie go raczej nie rozpieszczało i w znacznym stopniu przyczyniło się do tego, że musiał tak pospiesznie wydorośleć – nie z własnej winy. Jeśli komuś można byłoby tę winę przypisać, to co najwyżej Komańczom, którzy przed laty zabili mu ojca, matkę i najstarszego brata, porywając jednocześnie ich małą siostrę, ledwie sześciolletnią Margery. Ale nawet to tragiczne wydarzenie nie było tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać. To prawda, że Komańcze dokonali krwawego najazdu na ich dom, skazując tym samym pięciu cudem ocalałych z masakry bezradnych chłopców na sieroctwo – tym

trudniejsze, że najstarszy z nich nie miał wówczas nawet czternastu lat, a dwaj najmłodszy nie skończyli ośmiu. Tak, ci czerwonoskórzy z pewnością byli temu winni, ale nie można było zapominać, że oni także prowadzili wówczas wojnę, nieporównanie dłuższą od tej prowadzonej przez Meksykanów – wojnę, która też była z góry przegrana. Obwinianie zdesperowanych Indian byłoby więc w jakimś sensie podobne do kopania leżącego, dobijania przeciwnika już pokonanego. To też nie byłoby w porządku.

Adrian ostatecznie zrównał się z Alexem i wstrzymując nieco gniadego wierzchowca, zapytał:

– Dlaczego właściwie spieszymy się tak, jakby coś się paliło? Zmęczony gniadosz ciężko oddychał, a jego sierść była mokra od potu. Widać było, że przy takim tempie wytrzyma co najwyżej trzy kilometry, a może nawet mniej. Patrząc na to zgonione zwierzę, Alex nagle poczuł, jak bardzo znów chce mu się pić. Nie odpowiedział na pytanie brata, ale to najwyraźniej Adrianowi nie przeszkadzało.

– Wciąż jeszcze jesteś na mnie wściekły za to, co było wczoraj? – zapytał po chwili.

– Nie. I wczoraj też nie byłem wściekły – odpowiedział spokojnie Alex.

4

– Więc dlaczego nie chciałeś mi pożyczyć dwóch dolarów na tę ostatnią dziwkę z Brownsville?

– Bo nie była warta dwóch dolarów.

– A byłeś z nią kiedykolwiek?

– Nie.

– Więc skąd, u diabła, mogłeś wiedzieć, czy jest warta, czy nie?!

– Och, na miłość boską, Adrianie! Była tak brzydka, że na sam jej widok wykoleiłby się nawet pociąg!

– A kto powiedział, że trzeba w ogóle patrzeć na jej twarz?

– Nie możesz aż tak bardzo potrzebować kobiety – powiedział mitygujące Alex. – Nie aż tak.

– To moja sprawa. Nie uważasz, że mam prawo wybrać sobie taką dziwkę, jaką chcę?

– Nie za moje dwa dolary.

– Przecież bym ci je oddał. Dobrze o tym wiesz.

– A tak już w ogóle nie musisz mi nic oddawać.

Adrian już wcześniej zdał sobie sprawę, że ta dyskusja do niczego nie doprowadzi, postanowił więc dać za wygraną i zmienił temat.

– Nadal uważam – zaczął cierpko – że powinniśmy byli wyruszyć z samego rana, a nie dopiero w południe. Ten skwar nie pozwala oddychać. – Obrzucił wzrokiem otaczającą ich zamarłą równinę, niemal białą od słońca, i trzymanym w rękę kapeluszem raz i drugi strzepnął kredowy pył, pokrywający mu spodnie aż po uda. – Wygląda na to, że jesteśmy jedynymi idiotami, którzy próbują jechać przez takie piekło o tej porze dnia. Nawet miejscowe skorpiony i rogate ropuchy wydają się mieć więcej zdrowego rozsądku niż my. –

Ponownie włożył kapelusz na głowę i spojrział na Alexa, który z niewzruszoną miną jechał tuż obok jak gdyby nigdy nic i długo nie odezwał się ani słowem.

To były te jego nagle zamyślenia i nie należało mu raczej w tym przeszkadzać.

Najpewniej myślał o niedawnej przeszłości. O dopiero co zakończonej wojnie.

**Tu akurat Adrian miał zupełną rację. Alex rzeczywiście pograżył się we wspomnieniach, przypominając sobie niemal całą wspólnie przebytą kampanię, od pierwszych utarczek pod dowództwem generała Taylora, jeszcze przed oficjalnym wypowiedzeniem wojny Meksykanom, poprzez największe starcia pod Palo Alto i Resaca de la Palma, aż po najdłuższy, pięciusetkilometrowy marsz w głąb Meksyku, zakończony decydującą i – mimo jawnie przeważających sił nieprzyjaciela – zwycięską bitwą pod Buena Vista.**

**5**

**Ostateczny traktat pokojowy, podpisany prawie rok później w Guadalupe Hidalgo, oddawał Stanom Zjednoczonym cały Teksas, całą Kalifornię i znakomitą większość terytoriów Nowego Meksyku. Wojna się wreszcie skończyła i żołnierze, którzy ją przeżyli, mogli wracać do domu – a wśród nich także i oni, Alex i Adrian Mackinnonowie. Ich problem polegał jednak na tym, że teraz nie za bardzo wiedzieli, gdzie właściwie miałby być ten ich dom.**

**Tak naprawdę nie mieli domu – chyba żeby za dom uważać to, co przed laty udało się z trudem odbudować z dawnej siedziby Mackinnonów, zniszczonej po najeździe Komanczów. Ten częściowo tylko odbudowany, a potem ponownie porzucony stary budynek pewnie znów był w całkowitej ruinie, a poza tym tak strasznie daleko. Naprawdę na końcu świata, w mało komu znanym – nawet choćby tylko z nazwy – okręgu Uniesione. Nawet przy największych staraniach obu braciom tylko z najwyższym trudem udałoby się przypomnieć coś, co mogłoby ich do tego Limestone ponownie przyciągnąć.**

**Właściwie nie było tam nic naprawdę pociągającego.**

**Rzeczywiście nic – jeśli pominąć fakt, że mieszkały tam siostry Simon.**



Przypadek sprawił, że właśnie tego samego dnia – i chyba nawet mniej więcej w tym samym czasie – jedna z tych dwóch siostr Simon, imieniem Katherine, podczas rozmowy o najbardziej codziennych domowych sprawach niespodziewanie wspomniała Alexa Mackinnona. Zrobiła to zresztą całkiem mimochodem i była trochę zaskoczona dość nieoczekiwaną – w każdym razie w pierwszej chwili – reakcją swej siostry.

Tak, Karin Simon nie była obojętna na dźwięk tego nazwiska. Na samą myśl o nim jej serce zaczynało bić mocniej, nawet jeśli niekoniecznie chciała się do tego przyznać.

– Wielkie nieba, Alexander Mackinnon! – wykrzyknęła, podnosząc wzrok sponad robótki, z którą siedziała przy kuchennym stole. – Dlaczego akurat on, ni z tego ni z owego, przyszedł ci do głowy?

Katherine wzruszyła ramionami. Karin patrzyła z uwagą na twarz siostry, ale ta dość niespodziewanie zupełnie zamilkła.

Karin zmarszczyła czoło. Czasami zupełnie nie potrafiła zrozumieć zachowania Katherine, której nastrój mógł zmieniać się tak nagle. Nieraz

przecież bywała prawdziwym uosobieniem spontanicznej wesołości i pogody ducha, umiała niezwykle zaraźliwie śmiać się dosłownie ze wszystkiego, również i z siebie. Tak, Katherine naprawdę potrafiła być promykiem słońca w tej ich trudnej i beznadziejnie szarej egzystencji – ale zdarzało się i tak, że ni z tego, ni z owego nagle zamykała się w sobie, zamyślona, milcząca i ponura.

Karin uświadomiła sobie, że siostra ostatnio coraz częściej okazuje tę bardziej

posępną stronę swej natury. Wyglądało to tak, jakby chwilami nawet wbrew własnej woli plątała się w pajęczyny niedobrych wspomnień, wydobywała na powierzchnię jakieś dawno pogrzebane upiory, zapomniane bolesne sprawy i takie rzeczy, że na samą myśl o nich człowiek musiał czuć się tak, jak gdyby chodził po własnym grobie.

Dziś oczywiście nie było z nią aż tak źle, ale i tak zachowywała się dziwnie.

Dlaczego na przykład wyciągnęła nagle nazwisko Alexa Mackinnona? Wyjechał przecież wraz z bratem tak dawno, że każdy rozsądny człowiek przestałby już liczyć na jego powrót. To fakt, że Alex był rzeczywiście przystojny, ale w końcu ona, Karin Simon, nie była osobą, która czekałaby na kogoś w nieskończoność – niezależnie od tego, jak bardzo pociągająco ten ktoś wyglądał. A poza tym nie mogłaby poważnie myśleć o kimś tak biednym. Oczywiście, jej serce przyśpieszało zauważalnie na samą myśl o nim, ale już dawno postanowiła, że nauczy to serce bić mocniej także i dla kogoś znacznie bogatszego, nawet jeśli nie aż tak przystojnego.

– Dlaczego tak nagle o nim pomyślałaś? – spytała ponownie. Jej siostra odwróciła się, ale wciąż wydawała się nieobecna, patrzyła gdzieś w przestrzeń.

– To przez panią Carpenter – wyjaśniła po chwili. – Zajrzała tu do nas, wracając z miasta, i powiedziała, że troje z jej dzieci ma wietrzną ospę.

To jeszcze bardziej zdumiało Karin.

– I to niby przypomniało ci Alexa Mackinnona?

– A pewnie – odpowiedziała Katherine, patrząc teraz już prosto w jej oczy.

– Nie pamiętasz, jak przed laty wszyscy zapadliśmy na to w tym samym czasie... ty, Alex, Adrian i ja?

– Na wietrzną ospę? – powtórzyła z zastanowieniem Karin. – Zdaje się, że coś tam sobie przypominam, ale, święci pańscy, przecież to było siedem albo osiem lat temu! – Podniosła się z za stołu, wciskając niedokończoną robótkę do koszyka. – Zresztą co to ma dziś za znaczenie, kogo obchodzi jakaś dziecinna wietrzna ospa? I w ogóle po co przypominać takie głupie rzeczy, zaśmiewać sobie tym pamięć? – W głosie Karin brzmiała lekka irytacja. – Tak, jakbyśmy

7

nie miały wystarczająco dużo zmartwień i bez tego! Naprawdę nie masz już o czym pamiętać?!

– Czy ja wiem? – Katherine znów posmutniała. – Czasami po prostu nie potrafię przestać myśleć o tym, jak to było wtedy, gdy mama jeszcze żyła. Powiedziała to bez żadnych ukrytych intencji, ale jej słowa i tak ukłuły Karin, która nie lubiła, kiedy się jej przypominało, jak bardzo siostra kochała matkę i jak bardzo matka kochała Katherine. Karin oczywiście też kochała matkę, ale nie aż tak jak jej młodsza siostra. No ale ona taka właśnie była: kiedy kochała, to już bezgranicznie, jak jakiś największy skarb, i w ukochanej osobie z reguły widziała wyłącznie dobre strony. Tych gorszych nie zauważała w ogóle, była lojalna aż do śmieszności i żadna siła nie potrafiłaby jej przekonać, że ten ktoś może mieć jakąś tam wadę. Także i dlatego Karin nieraz powtarzała, że siostra potrafi być bardziej uparta niż całe stado mułów, co zresztą w żaden sposób nie zmieniało postawy Katherine.

Takie pełne nedorzecznego oddania kochanie kogokolwiek to było naprawdę więcej, niż Karin potrafiłaby znieść. Patrząc na to z należnym rozsądkiem, wiedziała oczywiście, że do tych spraw każdy musi podchodzić

inaczej – jednakże gdyby chciała być naprawdę i do końca szczerą wobec siebie, musiałaby przyznać, że tam, gdzie szło o okazywanie serca, Katherine wyraźnie ją wyprzedzała. A to nie mogło się podobać osobie tak przekonanej o własnej wyższości i tak zadowolonej z siebie, jak piękna Karin Simon. Nikt – i w niczym! – nie miał prawa jej wyprzedzać, a już na pewno nie jej dziecinna siostra o tak cielejące rozmarzonych oczach. Dla Karin było to oczywiste.

– Mamy zbyt dużo pilnych spraw bieżących, żeby tracić czas na nikomu niepotrzebne wracanie do przeszłości – powiedziała stanowczo, ucinając dalszą dyskusję.

Katherine zawiązała nitkę po zakończeniu ostatniego ściegu i z niewesołą miną popatrzyła na mocno już wytartą brązową spódnicę, którą przedłużała kolejny raz. Mimo jej starań te doszycia były coraz wyraźniej widoczne i wręcz rzucały się w oczy, podobnie jak to, że materiał był już stary i bardzo zniszczony.

– Ta spódnica chyba się przeciera nawet od samego jej przedłużania – rzekła, kiwając głową. – Czasami marzę o tym, żeby się podarła już naprawdę, tak nie do naprawienia.

– Powinnaś marzyć o tym, żeby mieć nową albo przynajmniej tak szybko nie rosnąć – powiedziała Karin. – Już teraz jesteś o pół głowy wyższa od

8

większości mężczyzn w okolicy, a przecież mamy ich tu, zwłaszcza od czasu, jak się zaczęła wojna, doprawdy jak na lekarstwo. Jeżeli dalej będziesz tak piąć się w górę jak tyczka od fasoli, to nigdy nie znajdziesz takiego, który się z tobą ożeni.

– Wcale nie jestem aż taka wysoka, a poza tym już ci mówiłam, że nie zamierzam wychodzić za mąż.

– A co zamierzasz robić? Tkwić tutaj i wiecznie harować, tylko po to, żeby stać się równie twarda i nieużyta, jak ta ziemia na naszych polach?

– Ja tego nie odczuwam tak jak ty. Tu jest nasz dom i nasza ziemia... i ja ją kocham. I nie uważam, by była tylko twarda i nieużyta. Jest po prostu taka jak życie. Tak czy inaczej bliska sercu.

Różnica między nimi była taka, że Katherine naprawdę kochała tę ziemię, a Karin jej wręcz nie znosiła. Któregoś dnia, gdy jedna miała trzynaście, a druga czternaście lat i gdy akurat wracały ze szkoły krótko po tym, jak padał deszcz, przejęta Katherine nagle powiedziała z charakterystycznym dla niej spontanicznym zachwytem:

– Och, Karin! Jak ja kocham ten zapach wilgotnej ziemi! Czy ty też tak to czujesz?

Na co jej siostra odparła natychmiast:

– Nie! I bardzo cię proszę, nie mów tak nigdy, przynajmniej przy ludziach, bo pomyślą sobie, że jesteś trochę niespełna rozumu, jak ta biedna stara pani Tribble. Już to widzę, stałybyśmy się pośmiewiskiem w całej okolicy. Tylko tego brakowało, żeby ludzie zaczęli opowiadać, iż jedna z nas tak kocha zapach wilgotnej ziemi, że gotowa jest ryć ją nosem jak świnia!

Ale młodziutka Katherine wtedy zupełnie się tym nie przejęła i nawet popatrzyła na starszą siostrę z pewnym współczuciem.

– Powiem ci, Karin, że trochę mi ciebie żal. Bo ty pewnie tak samo widzisz róże, ale tak naprawdę nawet nie wiesz, jak one cudownie pachną.

Ten życzliwy ton serdecznego politowania, na pewno bardzo szczerego, to było coś, czego Karin nie była w stanie pojąć. Ale też, prawdę mówiąc, tak między nimi było prawie zawsze –Karin nigdy siostry do końca nie rozumiała. Podobnie jak ojciec. Tylko matka rozumiała swą małą Katherine.

Można to było zresztą zauważyć już wcześniej. Kilka lat temu zdarzyła się właśnie taka szczególna okazja – któregoś wieczoru obie dziewczynki schowały się w kuchennej szafce i niechcący podsłuchały rodziców, rozmawiających przy stole po kolacji.

9

– Ta nasza Katherine – odezwała się w pewnym momencie matka – to prawdziwe słoneczko, balsam dla oczu.

Karin wówczas nie przejęła się zbytnio tą pochwałą dla siostry, ponieważ ojciec zaraz na to odpowiedział:

– Katherine z pewnością taka jest, ale nie w taki sposób jak Karin. Bo Karin to chodząca doskonałość.

Wyróżniona aż tak bardzo starsza siostra kątem oka spojrzała na młodszą, lecz ta wcale nie wyglądała na rozczarowaną. Wtedy Karin nie była w stanie tego pojąć. Czyż ta mała Katherine nie rozumie, że „chodząca doskonałość” to nieporównanie więcej niż jakieś tam „słoneczko” i „balsam dla oczu”?

Najwyraźniej nie, bo ten brak większych ambicji pozostawał jej charakterystyczną cechą także i teraz, po tylu już latach.

Karin poczuła się zmęczona, miała już dość wspomniania dzieciństwa, toteż zebrała wszystkie swoje rzeczy do koszyczka od robótek, postawiła go na stałym miejscu przy kuchennej skrzyni i poszła się przejść, by – jak oznajmiła

– zaczerpnąć świeżego powietrza. W rzeczywistości powód był całkiem inny; znów czuła się w jakiś sposób pominięta i nawet odtrącona – jak niemal zawsze, gdy Katherine stawiała się tak irytująco zamyślona i bez reszty pogrążała się w rozpamiętywaniu tego, co było kiedyś. Karin naprawdę nie pojmowała, w jaki sposób siostrze udaje się z tej przeszłości wydobyć aż tyle i wciąż pielęgnować to w sobie, w dodatku zupełnie niepotrzebnie.

Ruszyła w kierunku pobliskiej rzeczki, która zazwyczaj była celem takich spacerów.

Dlaczego udawała przed Katherine, że nie ma ochoty rozmawiać o Aleksie Mackinnonie? Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał, lecz pamiętała tylko tyle, że przed laty był wyraźnie za chudy, miał stale rozwichrzoną ciemną czuprynę i diabelnie męską twarz, choć zbyt dokładnie nie potrafiłaby odtworzyć z pamięci jego rysów. Gdy tego próbowała, pod jej przymkniętymi powiekami pojawiała się inna postać – niejaki Jester Brewer, który ostatnio wyraźnie się nią interesował. Był kawalerem i synem bankiera –i choćby z tej racji mógł być uważany za najlepszą partię w całym Limestone. Może nie był szczególnie piękny, ale pieniądze w znacznym stopniu rekompensowały pewną pospolitość jego rysów. Większość dziewczyn na pewno byłaby tego zdania. Tak, co do tego nie można było mieć wątpliwości.

Karin spacerowała jeszcze przez jakiś czas, aż do chwili, gdy zobaczyła, że światło w sypialni siostry już zgasło. Wtedy wreszcie zawróciła, ciesząc się, że

10

Katherine już śpi. W przeciwieństwie do niej, zdecydowanie nie lubiła rozmawiać o przeszłości. Zresztą dlaczego miałyby to lubić? Przeszłość była

**martwa i pogrzebana, zupełnie tak samo, jak ich rodzice. Rozmyślanie o niej nie miało więc żadnego sensu. Przeszłość nic jej nie mogła dać, podobnie zresztą, jak nic jej nie mogła dać ta nędzna ziemia i farma. Teraz to był dla niej tylko chwilowy przystanek, nic ponad to. Miejsce, w którym można poczekać do chwili, gdy mozolnie ciulając grosz do grosza i odmawiając sobie wszystkiego, uzbiera się w końcu na bilet, który pozwoli wreszcie stąd wyjechać – na zawsze i tak daleko, jak tylko się da. Może nawet do Nowego Jorku albo do San Francisco, a już co najmniej do St. Louis. Karin gotowa byłaby jechać dokądkolwiek, byleby to było wielkie miasto i leżało jak najdalej stąd. Jak najdalej od tej farmy i tego całego tak rozpaczliwie prowincjonalnego Limestone.**

**Jak najdalej stąd. Tylko tam widziała przyszłość i tylko ta przyszłość ją interesowała. Bo to miała być jej przyszłość.**

**Gdy wróciła do domu, Katherine jeszcze nie spała, ale także nie miała już ochoty na rozmowę. Leżała w łóżku i zastanawiała się, po co właściwie wspomniała przy siostrze o Aleksie Mackinnonie. Karin i tak nie była zbyt dobrego zdania o jej rozsądku, i co by dopiero powiedziała, gdyby wiedziała, jak często Katherine myśli właśnie o Aleksie i co jej przy tym nieraz chodzi po głowie. Nie wolno sobie na to pozwalać!**

**Katherine przymknęła powieki i spróbowała wrócić pamięcią do lat wczesnego dzieciństwa. Dla obu dziewczynek był to Najlepszy, najszcześniejszy okres. Tata był wówczas silny i zdrowy, miał jeszcze bardzo dobry wzrok, mama również na nic się nie uskarżała i była wciąż tak młoda i piękna jak marzenie. Kukurydza W tych latach urodzaju wyrastała tak wysoko, że**



**mogłaby sięgać nawet okapu domu, życie było piękne, przyszłość obiecująca. I**

**– Dziękujcie za to panu Bogu – mawiała wtedy matka. – Bo jeśli nie będziecie tego robić, Bóg może uznać, że należy nam to zabrać.**

**Mała Katherine dziękowała więc panu Bogu za jego łaski i modliła się co wieczór, by zechciał to wszystko zachować. Ale w końcu stało się to, czego mama się obawiała – pan Bóg chyba doszedł do wniosku, że naprawdę należy im to zabrać. Katherine w żaden sposób nie potrafiła tego zrozumieć, wiedziała tylko, że On uznał to za właściwe.**

**– Nie do nas należy ocenianie postanowień boskich, bo ludzkie myślenie w żaden sposób nie może się mierzyć z wyrokami nieba – powiedziała wówczas**

**11**

**mama, kiedy po wyjątkowo ciężkiej dla wszystkich zimie gwałtowne wiosenne deszcze całkowicie zniszczyły wszystkie zasiewy. Gdy ulewy w końcu ustały, rzekła do córek: – Teraz przyjdą tu lepsze czasy.**

**Ale lepsze czasy najwyraźniej postanowiły skierować się gdzie indziej, bo tego samego lata ich pięcioletni braciszek Billy zmarł od ukąszenia jadowitego węża, a jesienią jeszcze młodsza od niego Audrey, która ledwie nauczyła się chodzić, niepostrzeżenie wyniknęła się z domu i jakimś sposobem wślizgnęła się do zagrody dla bydła, które, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zdeptało ją na śmierć. Od tego czasu matka już nigdy nie była taka jak przedtem. Co prawda przez jakiś czas wciąż zachowywała się prawie normalnie, ale coraz częściej zdarzały się rzeczy, które normalne już w żadnym wypadku nie były. Kiedy Katherine wracała do domu, niejednokrotnie zastawała matkę stojącą nad pustym łóżeczkiem i śpiewającą kołysankę. Na widok córki matka**

uśmiechała się, przykladała palec do ust i mówiła:

– Bądź cichutko. Kathy, bo mała śpi...

Pastor Haynes mówił to samo już wcześniej, w dniu kiedy pochowano małą Audrey:

– Ona nie umarła, tylko śpi. Śpi na łonie Abrahama. Jeszcze teraz, po tylu latach, w pamięci Katherine wciąż brzmiały te jego słowa. Dobre czasy już nigdy nie wróciły. Oboje rodzice coraz mocniej zapadali na zdrowiu, ojciec niepokojąco chudł i gwałtownie tracił wzrok, a matka przed dwoma laty po prostu nagle zgasła i też przeniosła się na wspomniane przez pastora łono Abrahama – do swojej Audrey. Jonathan Simon po jej śmierci niel w oczach jeszcze szybciej, był już tak suchy jak szczapa i prawie w ogóle nic nie widział. Całymi dniami siedział nieruchomo przed domem i patrzył prosto przed siebie tak, jak gdyby ten jego zamierający, krańcowo zamglony zaćmą wzrok mógł jeszcze dostrzec gdzieś tam ów cały dotychczasowy świat, nieodwołalnie walący się w gruzy. Katherine zastanawiała się, jak długo to jego dogorywanie może jeszcze trwać. Któregoś dnia, gdy wróciła do domu po pielenu kukurydzy, zastała ojca wciąż tak samo siedzącego nieruchomo przed domem. Jedyłą różnicą było to, że powieki były przymknięte, a odchylona do tyłu głowa umarłego opierała się o ścianę.

Teraz właśnie mijał miesiąc od dnia, kiedy pochowano go w kolejnym, czwartym już, grobie Simonów na przestrzeni tych ostatnich lat – tuż obok matki, Billy'ego i Audrey. Katherine czasami zastanawiała się, czy także i ją kiedyś tam pochowają. I co wtedy będzie napisane na jej tabliczce? Głos

wewnętrzny wypowiedział jej, raczej cierpko, że najpewniej też tylko parę słów. „Katherine Simon, niezamężna”. I tyle.

Dawna i niedawna przeszłość powracała i wciągała ją na różne sposoby. Te postaci nadal żyły, to wszystko wciąż w niej trwało. A przed zaśnięciem Katherine najczęściej myślała o Aleksie Mackinnonie, właśnie o nim, nieraz nawet do późna w nocy. Myślała o tym, jak bardzo go zawsze kochała. I o tym, jak bardzo on kochał jej siostrę.

„Katherine Simon, niezamężna” – tak, to jednak było wielce prawdopodobne.

Pierwszy raz poczuła, że coś ją ciągnie do Alexa Mackinnona, kiedy miała nie więcej niż sześć lat. To był ten przerażający i dzień najazdu Komanczów, kiedy to John Mackinnon i jego synowie, wracając z odległego pastwiska, zastali spalony dom, a przed nim martwe ciała matki i najmłodszego braciszka. Nie było też malutkiej córeczki, która – jak się wkrótce okazało – została porwana. Simonowie natychmiast zaoferowali pomoc, proponując wszystkim ocalałym miejsce u siebie do czasu odbudowania domu.

Wydarzenia tamtych dni rysowały się w pamięci Katherine tak żywo, jak gdyby to wszystko działo się wczoraj. Zapamiętała bardzo dokładnie wyraz twarzy Alexa po dotarciu na pogorzelsko. A jeszcze bardziej wyraziście zapamiętała moment, w którym John Mackinnon spoliczkował syna, gdy zobaczył łzy na jego dziecięcej jeszcze twarzy.

– Twoja matka nie żyje i najwyższy czas, żebyś zaczął się zachowywać jak mężczyzna! – krzyknął na niego. niesprawiedliwie ostro, w przekonaniu małej Katherine. – I żebyś cię więcej nie widział chlapiącego jak jakiś smarkacz!

To wtedy po raz ostatni widziała Johna Mackinnona żywego.

Kilka miesięcy później, usiłując ścigać napastników, został przez tych samych Komanczów zabity i oskalpowany, a jego chłopcy stali się całkowitymi sierotami.

Po tych strasznych wydarzeniach Katherine miała neodparte wrażenie, że Alex stał się prawie dorosły – w ciągu tego jednego dnia. Oczywiście była wtedy jeszcze zbyt dziecinna, żeby mieć prawo do takiego sądu. Ale później, kiedy na przestrzeni wielu lat obserwowała z bliska dojrzewanie bliźniaków, była niezmiernie zdziwiona faktem, że to nie Alex, ale raczej Adrian wyrastał na wyraźnego cynika. U Alexa takiego młodzieńczego cynizmu nie było nawet śladu. Zawsze pogodny, od lat z tym samym życzliwym uśmiechem na twarzy i

13

iskierką rozbawienia w lekko zmrużonych oczach – takiego go Katherine zapamiętała i gotowa byłaby przysiąc, że taki też pozostał. Wszędzie też rozpoznałaby jego śmiech – głęboki, ciepły, trochę gardłowy, niezwykle charakterystyczny, niepodobny do żadnego innego.

Była wówczas zdania, że jeżeli Alex w ogóle ma jakieś wady, to chyba tylko skłonność do drażnienia się z dziewczynami (zazwyczaj ładnymi).

Przypominała sobie, jak Karin kiedyś mimochodem poskarżyła się jej na

Alexa:

– Nie mam pojęcia, jak ty możesz go znieść?! Mnie on męczy wprost nie do wytrzymania.

Jednakże ton, jakim siostra to powiedziała, już wtedy wskazywał dość niedwuznacznie, że akurat ona chętnie poddaje się takiemu nieznośnemu

męczeniu.

Ponieważ domy Mackinnonów i Simonów położone były w bliskim sąsiedztwie, cała czwórka – Katherine, Karin, Alex i Adrian –razem chodziła do szkoły i razem z niej wracała. Tak więc kiedy wszyscy czworo tego samego dnia zapadli na wietrzną ospę i jednocześnie nie mogli pójść na lekcje, uznali to za szczególny znak, dodatkowo pieczętujący ich przyjaźń. A po wyzdrowieniu przysięgli sobie nawet, że pobiorą się ze sobą, gdy tylko dorosną. Nie sformułowali tego jednak zbyt dokładnie, przysięga nie precyzowała, która z siostr Simon ma wyjść za którego z braci Mackinnonów. Wtedy nie wydawało się to specjalnie ważne.

Katherine i Alex od początku byli szczególnie do siebie przywiązani, niemal od dzieciństwa czuli się złączeni jakąś wyjątkową więzią, którą trudno byłoby dostrzec na przykład między Karin i Adrianem. Jednak w miarę upływu lat Katherine poczuła, że nieustające sztubackie żarty i wybryki Alexa zaczynają ją coraz bardziej denerwować. Nie raz i nie dwa mówiła mu o tym, czasami miała ochotę wrzasnąć na niego, wygarnąć mu to w najostrzejszych słowach. Przeczuwała jednak, że wówczas będzie jej dokuczał jeszcze bardziej. I rzeczywiście, wkrótce po tym zaczął uporczywie drwić z jej piegów, rozpowiadając w całej szkole, jak to Katherine Simon połknęła kiedyś złotą dziesięciodolarówkę, która w jej żołądku rozmięła się na drobne, a te wyszły na twarz w postaci niezliczonych rudych plamek, dzięki którym wygląda odtąd jak indyjskie jajo. Któregoś dnia miała już tego dosyć i po prostu walnęła go po głowie podręcznikiem gramatyki, za co do końca lekcji musiała stać w kącie. Potem przez dłuższy czas w ogóle nie chciała z nim rozmawiać. Pomogło to o

tyle, że stopniowo Alex zaprzestał drażnienia się z nią, choć zajęło mu to naprawdę sporo czasu.

Dopiero kiedy dziewczęta rozwinęły się już na tyle, że zaczęły się u nich pojawiać pierwsze zarysy piersi, Katherine zdała sobie sprawę, iż nie czuje już takiej niechęci do Alexa i że właściwie chętnie by mu wybaczyła te dawne urazy i o wszystkim zapomniała. Myślała o tym długo i w końcu postanowiła zacząć życzliwie przyjmować jego kpiny i zaczepki. Wtedy jednak okazało się, że Alex wcale nie zrezygnował ze swego dotychczasowego stylu bycia, a jedynie przestał atakować ją, Katherine. Obiektem jego zaczepek i żartów stała się Karin, która przyjmowała to nie tylko bez urazy, ale nawet z zachęcającym uśmiechem.

Wtedy to po raz pierwszy Katherine zakłóło w sercu. Nigdy dotąd nie czuła się odrzucona, a teraz nagle uświadomiła sobie, że straciła Alexa, i to na rzecz własnej siostry. Odtąd setki razy przeklinała w duchu ten nieszczęsny impuls, pod wpływem którego walnęła grubym tomem gramatyki w głowę chłopca. Od tego się wszystko zaczęło – choć tak naprawdę coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że to nie tylko z tego powodu Alex nagle tak bardzo zainteresował się jej siostrą.

Sfrustrowana i rozżalona Katherine przewracała się w pościeli i co jakiś czas w poczuciu całkowitej bezsilności uderzała pięścią w poduszkę. I po co o tym wszystkim myśleć, jeżeli i tak nic się nie da już zrobić? Jak to nieraz mówiła Karin, do przeszłości wrócić nie można, więc po co się nią zadręczać? Księżyc za oknem wznosił się wysoko i Katherine wiedziała, że to naprawdę

najwyższa pora, żeby zasnąć. Jutro znów czekał na nią długi dzień męczącej pracy – jak zwykle zbyt wiele obowiązków i zbyt mało czasu, żeby wszystkiemu podolać.

Ale nie pozwalające jej spać myśli nie dawały się odpędzić. Co się ze mną dzieje? – zadawała sobie pytanie i nie potrafiła na to odpowiedzieć. Dlaczego się zadręcza? Jeszcze raz przekręciła się w pościeli i mocno zacisnęła powieki, lecz nie przyniosło to pożądanego skutku. Choć oczy miała zamknięte, pod powiekami wciąż pojawiała się twarz Alexa Mackinnona, jego olśniewająco beztroski uśmiech, z którym mijał ją niegdyś na czarnym koniu, gdy jechał przez przylegające do domu pastwisko w stronę pobliskiej rzeczki i pekanowego gaju. A w jej uszach wciąż brzmiało echo dobiegającego z dala jego młodzieńczego śmiechu, którego brzmienia nie mogła zapomnieć.

15

To musiała być jedna z tych szczególnych nocy, podczas których trudno jest zasnąć, natomiast bardzo łatwo pogrążyć się w nie mających końca rozmyślaniach o przeszłości – jako że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Katherine Simon przekręcała się w pościeli i daremnie przymykała powieki, odległy od niej o setki kilometrów i dręczony podobną bezsennością Alex Mackinnon westchnął głęboko, obrócił się i wyciągnął dłoń w kierunku stojącej na nocnej szafce lampki naftowej, której malutki płomyk ledwie pełgał za cylindrycznym szkiełkiem. Podkręcony do góry knot rozjarzył się mocniej i zalał całe pomieszczenie miękkim, ciepłym światłem. Alex spojrzął na stojącą tuż przy lampie pustą szklankę, na opróżnioną do połowy butelkę whisky i zastanawiał się, dlaczego nawet alkohol nie pomógł mu zasnąć. Dlaczego ani

na trzeźwo, ani po jego wypiciu nie mógł przestać myśleć o przeszłości? O tym, co zdarzyło się jakby dopiero wczoraj, choć naprawdę przecież już tak strasznie dawno.

Lekko migocące światło lampy odbijało się od szkła i ciemnej powierzchni niedopitej whisky, która zakolysała się, kiedy Alex podkręcał knot. Odbite światło zatańczyło na niej prawie tak samo, jak przesiane przez liście promienie słońca tańczyły kiedyś na powierzchni niewielkiej rzeczki o indiańskiej nazwie Tehuacana – wtedy, tamtego lata.

Prawie tak samo, a jednak zupełnie inaczej. Choćby dlatego, że wtedy te tańczące, odbite od migotliwej powierzchni promienie padały na mlecznobiałą skórę Karin Simon, stojącej w samym środku tej rzeczki.

**Karin.**

To wspomnienie było tak dojmujące, że teraz już z całą pewnością nie pozwoliłoby mu zasnąć. Jak dobrze to wszystko pamiętał – lekki wiatr niosący zapach wiciokrzewu, pekanowy gaj, przy którym usytuowane były groby rodziców i najmłodszego brata, i położone na przeciwległym brzegu rzeczki domostwo Simonów, doskonale widoczne prawie z każdego miejsca. On i Adrian – ile mogli mieć lat, kiedy zaczęli robić to świadomie? – chodzili tam często pod pretekstem pielęgnowania grobów, choć w rzeczywistości szło im tylko o możliwość popatrywania z ukrycia na tamten dom w nadziei, że w którymś momencie, choćby na chwilę, migną im z dala sylwetki Katherine lub Karin. Za każdym razem szli tam z taką skrytą nadzieją i najpewniej obaj modlili się w duchu, by tak się stało. Aż któregoś dnia modlitwy Alexa zostały wysłuchane. I oby zostało mu wybaczone to, co wtedy zrobił. Jak dobrze, jak



**niesłuchanie dokładnie pamiętał to wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia!**

**W to popołudnie, kiedy z ukrycia zobaczył już nie tylko sylwetkę wychodzącej z domu Karin, ale i znacznie znacznie więcej.**

**To był jeden z tych upalnych i suchych okresów, które latem w Teksasie zdarzają się często i z reguły trwają bardzo długo. W takie właśnie gorące popołudnie, pod palącymi promieniami stojącego wciąż wysoko słońca, obie siostry Simon wyszły przed dom, by zająć się swoimi obowiązkami. Katherine na werandzie prała bieliznę w wielkiej drewnianej balii, a jej siostra zabrała się do pielenia ogrodu. Po wyrwaniu chwastów – z których te najbardziej złośliwe potrafiły boleśnie poparzyć dłonie i resztę skóry – i po dokładnym wyrównaniu grządek zebrała do koszyka przeznaczone na obiad i kolację warzywa, starannie oplukala je przy studni i poniosła do kuchni.**

**Pochylona nad garnkami matka spojrzała tylko kątem oka i kiwnęła głową.**

**– Postaw to wszystko na stole, skarbie.**

**– Czy mam pokroić cebulę i ogórki na sałatkę?**

**– Nie, zaraz sama to zrobię. Może byś poszła poszukać ojca i powiedziała mu, że posiłek zaraz będzie na stole. Powinien być gdzieś na łące...**

**Karin kiwnęła głową i ruszyła w stronę łąki z zamiarem odszukania ojca, jednak w upalnym słońcu poparzona przez chwasty skóra dłoni, ramion i nóg piekła ją tak dotkliwie, że trudno było oprzeć się pokusie, żeby choć trochę ochłodzić ręce i twarz w rzeczulce, która płynęła nieopodal. Zawsze przecież mogła powiedzieć, że szukała ojca, ale nie mogła go znaleźć.**

**Zmieniła więc kierunek i ruszyła w stronę rzeczki. Początkowo szła wolno,**

ale już po chwili przyśpieszyła i zaczęła biec ku wodzie całym pędem, czując się w tym biegu tak swobodna i szczęśliwa, jak może się czuć jedynie kilkunastoletnia rozkwitająca dziewczyna.

Lekko zdyszana, dobiegła do granicy cienia drzew, okalających rzeczkę.

Promienie słońca przesiane przez listowie padały na powierzchnię wody migotliwymi złotymi plamkami, niebo u góry było niebieskie jak farbka do bielizny i czyste – bez najmniejszej chmurki. Wokół panował cudowny spokój i cisza, którą tylko czasem przerywało lekkie chlupnięcie wody, gdy jakaś ryba w pogoni za owadem nagle wyskakiwała nad powierzchnię, by po chwili opaść, zanurzając się w bryzgach roztrącanych kropel.

Karin stała przez chwilę, patrząc na nurt, potem przykucnęła nad brzegiem i chłodną wodą zaczęła obmywać twarz, a potem wilgotnym piaskiem szorować zaczerwienioną skórę ramion i szyi. Podczas oplukiwania się

17

zauważyła, że leżący nieopodal długi pień zwalonego drzewa stanowi swego rodzaju kładkę sięgającą aż na środek, gdzie woda z pewnością musiała być głębsza i chłodniejsza. Postanowiła więc to wykorzystać i usiąść właśnie tam na samym końcu, zanurzając obolałe stopy w sam środek nurtu. Zdjęła więc pantofelki i pończochy, zostawiła je na brzegu i ruszyła po na wpół zanurzonej pnii. Szła na tyle lekko i pewnie, że w którejś chwili wyobraziła sobie nawet, iż tak właśnie mogłaby wbiegać na środek sceny primabalerina sławnego na cały świat rosyjskiego baletu. Teatralnie rozłożyła ręce i opierając się na bardzo pewnie postawionej jednej stopie, drugą nienagannie odprowadziła do tyłu i coraz wyżej, zupełnie tak jak prawdziwie zawodowa

tancerka. Wytrzymała tę pozę przez dobrych kilka sekund i w upojeniu przymknęła oczy. I wtedy zdarzyło się coś, co nigdy nie powinno się przytrafić żadnej artystce, a już na pewno nie primabalerinie. Nagle straciła równowagę, zachwiała się i runęła do wody jak długa.

Wyskakujące czasem nad powierzchnię wody i wpadające w nią ponownie z lekkim pluskiem ryby musiały z pewną zazdrością przyglądać się tej fontannie rozbryzgów i imponującej fali, rozchodzącej się kolistnie od miejsca upadku. A Karin dopiero wtedy, gdy już pozbierała się i ponownie stanęła na nogi, zdała sobie sprawę, jak wspaniale chłodna i kojąca jest ta woda.

Skoro więc już w niej była, postanowiła to wykorzystać i jakiś czas jeszcze w niej pozostać. Przesunęła się jedynie na nieco płytsze miejsce, na którym już bez większego trudu mogła zacząć ściągać z siebie kolejne – i tak już całkowicie przemoczone – części stroju. Każdą z nich starannie wyprała i wyszorowała piaskiem, a następnie powiesiła tło wyschnięcia na najniższych gałęziach pochylonego nad wodą drzewa. Po bluzce i spódnicy przyszedł czas na bieliznę.

Zazwyczaj obie siostry Simon, kąpiąc się za zezwoleniem matki w rzeczulce dla przyzwoitości pozostawały w bieliźnie. To była oczywista reguła, której się nie naruszało – ale Karin tym razem postanowiła, że w tak upalny dzień rozbierze się do naga.

Twoja siostra nigdy by tak nie zrobiła, przestrzegł ją wewnętrzny głos. Ale Karin nie zamierzała go słuchać. Kogo może obchodzić, co zrobiłaby Katherine, która ma ledwie piętnaście lat? Ona, Karin, bądź co bądź miała już szesnaście, była więc zdecydowanie starsza i potrafiła się na to odważyć. W

końcu to pełnia gorącego lata, woda rozkosznie chłodna, a wokół tak pięknie i tak cicho, jak gdyby cały świat wstrzymał oddech na jej widok. Zdjęła więc z

18

siebie wszystko, łącznie z wstążką, którą miała zawiązaną na włosach z tyłu głowy. Uwolniona od krępującej ją odzieży, przemieściła się znów na głębszą wodę, w której pływała, nurkowała i pluskała się tak radośnie jak młoda foka, fontanną wody obryzgując gapiącą się na nią z brzegu zieloną żabę, a potem pokrzykując wesoło na wodnego żółwia, który przez chwilę wyraźnie próbował się z nią ścigać, kiedy płynęła na wznak.

Na przeciwległym brzegu ukryty w zaroślach Alex Mackinnon przyglądał się temu jak porażony, nie mogąc wprost uwierzyć, że szczęśliwy traf nagle mu pozwolił to wszystko zobaczyć tak blisko i tak wyraźnie. W ustach mu zaschło z wrażenia, serce chwilami łomotało jak oszalałe, a i z resztą jego ciała działały się różne dziwne rzeczy. Alex dotąd widywał jedynie kobiety ubrane, a więc zawsze szczelnie osłonięte. Dopuszczalny dla nich strój, niezależnie od ich wieku, pozwalał odsłaniać jedynie twarz i dłonie. Natomiast teraz...

Kiedy Karin obróciła się i płynęła na plecach, na moment zamarł i przestał oddychać. Jej ciało, lśniąca od wody mlecznobiała skóra, czasem widoczne nad wodą piersi wydały mu się absolutnym cudem. A kiedy przestała płynąć i wolnym krokiem szła w stronę pływaczki, kiedy te zachwycająco wąskie dłonie łagodnie odrzuciły do tyłu mokre włosy, a potem długo ocierały z nadmiaru wody cudownie gładką skórę krągłych piersi, płaskiego brzucha i strzelistych ud, chłopiec ponownie poczuł bardzo wyraźną reakcję swego członka, który po prostu nagle przestał mu się mieścić w spodniach. Tymczasem Karin znów

unosła ręce, poprawiając włosy, a jej ramiona i dłonie poruszały się z gracją, przypominającą niewysłowione piękno ruchów pojawiających się tu czasem białych labędzi. Alex pomyślał nagle, że nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego. Ciało Karin było nieprawdopodobnie gładkie i białe jak atlas, kontrastowały z nim tylko długie proste włosy, wciąż jeszcze mocno wilgotne, oraz te u zbiegu ud – trójkątna kępka ciemniejszych w kolorze, wijących się kędziorków, na których wciąż jeszcze lśniły nabrzmiałe słońcem krople krystalicznej wody. Gdy dziewczyna odchyliła głowę do tyłu i potrząsnęła nią, aby włosy szybciej obeschły, jej piersi zakolysały się mocniej, nagle przyciągając wzrok ku wyrastającym z nich różowym sutkom – zachwycającym, młodzieńczo jędrnym, a przecież z pewnością bardziej miękkim w dotyku niż nosek parotygodniowego kotka. Alex patrzył na to wszystko jak w gorączce. Prawie nie mógł oddychać, z pewnością nie byłby w stanie wydusić z siebie nawet jednego słowa.

W piaszczysty brzeg, przy którym stała Karin, wcinał się wąski pas

19

urodzajniejszej ziemi, na której bujna trawa walczyła o lepsze z najróżniejszymi kolorowymi kwiatami. Dziewczyna pochyliła się i zerwała kilkanaście najpiękniejszych, które jakby same z siebie ułożyły się we wspaniałe bukiet. Te, które jej się mniej podobały, odrzucała do rzeczki i patrzyła, jak płyną z prądem. Gdy odrzuciła ostatni już kwiat i śledziła krętą drogę jego białych płatków oddalających się z nurtem, nagle w ocienionej przez zwalony pień powierzchni wody dostrzegła odbicie męskiej twarzy. Ktoś patrzył na nią z drugiego brzegu. Jej pierwszą, odruchową, myślą było zasłonić

się dłońmi i uciec jak najszybciej. Chwila jednak była tak szczególna, okoliczności tak niezwykle, że szybko zmieniła zamiar. To skryte wdarcie się mężczyzny w sferę jej prywatności nagle dało jej poczucie jakiejś niezwyklej władzy. Nigdy dotąd nie wzbudziła niczyjego zachwytu, nikt jeszcze nie patrzył na nią takim wzrokiem, z którego naprawdę nietrudno było wyczytać, że jest po prostu jedyna na świecie. To było też swego rodzaju wyzwanie – jak długo ona, Karin Simon, potrafi go w tym stanie zachwytu przytrzymać.

Znów obróciła się w stronę przeciwnego brzegu, tym razem wiedząc doskonale, że przez to daje ukrywającemu się tam mężczyźnie możliwość niczym nie zakłóconego oglądania wszystkiego, co chciał zobaczyć. Jednocześnie zaczęło się z nią dzieć coś dziwnego – gdzieś w dolnej części brzucha i jeszcze niżej poczuła przyływ nieznanego dotąd ciepła, jakieś pulsowanie krwi, gorące i wilgotne. Podniosła wzrok i przyjrzała się uważniej zielonej zasłonie krzaków na drugim brzegu.

I nagle go dostrzegła, na moment ledwie, ale moment w pełni wystarczający, by go rozpoznać. To nie był ktoś nieznajomy, to był Alex Mackinnon. Po chwili Karin już znów szła przez rzeczkę. Jak gdyby nigdy nie powróciła na poprzednie miejsce i ułożyła się ponownie na tym samym zwalonym pniu, aby do końca wysuszyć włosy.

A kiedy już tam leżała w pełnym słońcu, od czasu do czasu przeczesując smukłymi palcami schnące pasemka, Alex Mackinnon po prostu nie mógł nie dojść do wniosku, że ona, Karin, jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądały jego oczy. Więc gdy włosy ostatecznie wyschły – podobnie jak i wszystkie wiszące na gałęziach damskie fatalaszki – i trzeba było ponownie się

**ubrać, ostateczna reakcja psychiki młodego mężczyzny mogła być tylko jedna.**

**Alex wiedział już z całą pewnością, że odtąd nigdy i nikogo nie potrafi**

**pokochać tak bardzo, jak pokochał Karin Simon.**

20

3

**Jakiś miesiąc po owym incydencie z rozbieraniem się do naga w rzece**

**Tehuacana, który to fakt nadal pozostawał słodką tajemnicą Karin, jej młodsza**

**siostra Katherine stanęła któregoś dnia przed wiszącym na ścianie**

**zwierciadłem i zlustrowała się w nim wysoce krytycznie.**

**– Jesteś wciąż za niska i za pulchna – powiedziała z właściwą sobie**

**otwartością.**

**Ellie Simon wetknęła głowę przez uchylone drzwi, żeby sprawdzić, do kogo**

**mówi jej młodsza córka. Jak można się tego było spodziewać, Katherine znów**

**mówiła sama do siebie.**

**– Jesteś za niska i za pulchna, żeby co? – spytała Ellie, wchodząc do pokoju**

**córki i dokładając usilnych starań, żeby za bardzo się nie śmiać.**

**– Żeby cokolwiek! – odpowiedziała Katherine, marszcząc nos. –**

**Wyglądam jak nadmuchana żaba. I jeszcze do tego piegowata. Dlaczego nie**

**mogę być taka szczupła jak Karin? I mieć cerę tak gładką jak ona?**

**– Karin jest o rok starsza – powiedziała Ellie takim tonem, jak gdyby to**

**tłumaczyło wszystko.**

**– No i co z tego, że jest? Rok temu miała tyle lat co ja teraz, a wtedy też była**

**szczupła.**

**– Nawet jeśli jesteś trochę pulchniejsza, wyrośniesz z tego.**

– Kiedy?

– Już wkrótce.

– A te piegi? – spytała Katherine, wskazując palcem na swój nos. Matka uśmiechnęła się i popatrzyła na nią czule.

– Tych kilka piegów to naprawdę nie powód, żeby się zamartwiać.

– No a co z tą moją szyją?

– A czegoż ty chcesz od swojej szyi?

– Ja jej prawie w ogóle nie mam – jęknęła żałośnie Katherine.

– Och, daj spokój. Masz zupełnie normalną.

– Nie, właśnie że nie mam! O, widzisz? – Katherine rozpięła górny guzik bluzki, żeby to jeszcze lepiej było widać. – Moja głowa wyrasta wprost z ramion. Pośrodku nie ma nic. Tylko tego brakowało, żeby zaczęto o mnie mówić „ta mała Simon, która w ogóle nie ma szyi!”

Ellie pokręciła głową.

21

– Wstydzilibyś się opowiadać takie rzeczy. – Pogroziła córce palcem. –

Czy ktoś kiedykolwiek powiedział o tobie coś podobnego?

– Nie, ale już wkrótce zaczną. Matka roześmiała się.

– Mam nadzieję, że dobry pan Bóg nie słucha cię w tej chwili, bo co by wówczas o tobie pomyślał?

– Najpewniej zgodziłby się ze wszystkim, co mówię.

– Och nie, Katherine! – gorąco zaprotestowała Ellie. – Mówiąc zupełnie szczerze, ja naprawdę uważam, że usiłujesz znaleźć w sobie nieistniejące wady.

Masz zupełnie normalną szyję, tak jak każdy. Masz pełną wdzięku, śliczną



buzię. A figura wkrótce ci się zmieni. Akurat teraz jesteś w wieku przejściowym, już nie jesteś małą dziewczynką, ale też jeszcze nie całkiem stałaś się kobietą.

Katherine znów jęknęła.

– A jeżeli taka już zostanę na zawsze? Jeżeli nigdy nie stanę się inna?

Ellie roześmiała się jeszcze serdeczniej.

– Nie ma obawy, to ci na pewno nie grozi. Staniesz się kobietą, czy będziesz tego chciała, czy nie. Tego się nie da powstrzymać. No już, córeczko, daj sobie spokój i nie zamartwiaj się tak niemądrymi myślami!

Dziewczyna westchnęła i z żartobliwą desperacją opadła z powrotem na łóżko, z twarzą tuż przy otwartej książce zostawionej na poduszce. Po chwili wyciągnęła rękę, sięgnęła po tomik – wciąż otwarty w tym samym miejscu – i położyła go sobie na sercu. Tak, to właśnie cała Katherine, pomyślała Ellie, powstrzymując się od westchnienia.

Karin była starsza od siostry ledwie o rok, ale w dochodzeniu do kobiecości wyprzedzała ją nieporównanie bardziej, niżby to wynikało z metryki. Katherine wciąż jeszcze pozostawała wzruszająco niedorośła, młodzieńczo szczerą i spontaniczną, a w swych działaniach kierowała się przede wszystkim sercem.

I to chyba była największa różnica między nią a Karin. Katherine miała w sobie emocjonalną głębię i wrażliwość, której jej starsza siostra raczej już nie mogła zyskać. Ellie Simon jako matka obawiała się tego nie bez podstaw.

Katherine była odcytana, niektórych klasyków i współczesnych autorów знаła na wylot, w razie potrzeby mogła odpowiednie fragmenty cytować z

pamięci. Ale na przykład o kobiecej modzie nie wiedziała zupełnie nic i najwyraźniej nadal nie zamierzała się nią interesować. Potrafiła wyhodować dowolną potrzebną w gospodarstwie roślinę, знаła angielskie i łacińskie nazwy

22

każdego kwiatka i wiedziała sporo o historii naturalnej, a w dodatku całkiem dobrze dawała sobie radę zarówno ze zwierzętami, jak i z ludźmi w najróżniejszych sytuacjach. Ale kiedy rzecz dochodziła do takiej dziedziny wiedzy – też przecież ważnej dla kobiety – jaką była sztuka dobierania odpowiednich strojów, młodsza córka okazywała się wręcz beznadziejna; tu Ellie po prostu musiała się z nią zgodzić. Nigdy jednak nie próbowała zmuszać Katherine do zmiany zainteresowań i ograniczała się raczej do bardzo ogólnego zalecenia, by jako dobra córka starała się wzrastać niczym roślina, odpowiednio do gleby, w której Została posadzona.

– Cudowna recepta! – wykrzyknęła Katherine, załamując ręce w udanej desperacji. – Więc mogłabym być jak ten groch przy drodze, a jedyną radą, jaką usłyszałabym od swej rodzicielki, byłoby „rośnij odpowiednio do gleby”?

– Wzruszyła ramionami i po chwili dodała: – Ciekawe, dlaczego nie mogłabym wzrastać w rozkosznie żyznym ogrodzie bogacza, wzorem Karin?

– Karin wcale nie jest bogatsza od ciebie.

– No nie wiem. Chyba jednak jest. Kiedykolwiek się na nią popatrzy, zawsze wygląda tak, jak gdyby siedziała na wielkich pieniądzech.

Ellie musiała w duchu przyznać, że także i tu zgadza się z Katherine.

Pieniądzy u Simonów prawie zawsze było mniej niż mało, ale Karin wciąż potrafiła wyglądać na córkę kogoś rzeczywiście bogatego. Pracowała równie

ciężko jak inni, lecz podczas gdy jej siostra niemal natychmiast wydawała wszystkie zarobione pieniądze, najczęściej na drobne prezenty dla rodziny lub przyjaciół, Karin skąpiła sobie wszystkiego i oszczędzała na drogie, ale dobre materiały i najnowsze wykroje, dzięki czemu co pewien czas miała rzeczy naprawdę modne i rzeczywiście świetnej jakości. I to się zauważało. A kiedy już sprawiła sobie taką nową bluzkę czy suknię, oszczędzała ją i umiała o nią dbać. Dbiała zresztą o wszystkie swoje rzeczy. Ellie porównała w myśli nieład panujący w pokoju Katherine z nienagannym porządkiem w pokoju starszej córki. Porównała też ich sposób ubierania się i stosunek do własnej garderoby. Tu też porównanie wypadło na niekorzyść młodszej. Były przecież momenty, kiedy obie miały nowe rzeczy, ale Katherine taką nową część garderoby nosiła przy każdej okazji, nieuchronnie wycierając ją i plamiąc, i w rezultacie już po paru miesiącach ta sama sukienka, która u jej siostry wciąż wyglądała jak nowa, u niej sprawiała wrażenie starej i mocno podniszczonej.

Jednakże, zdaniem matki, nawet jeśli Katherine w tym czy innym względzie rzeczywiście czasami pozostawała w tyle za Starszą siostrą, te

23

drobne niedostatki nie były żadnym powodem do poważniejszych zmartwień.

Ellie była o tym przekonana i nieraz mówiła to swej ukochanej młodszej córeczce, zwłaszcza kiedy ta osądzała siebie zbyt surowo.

– Nie powinnaś niczego zazdrościć Karin – powtarzała. – Masz w sobie tyle wspaniałych i niezwykle pięknych cech, że doprawdy nie musisz.

Przypatrując się obu dorastającym córkom, Ellie bardzo wcześnie zdała sobie sprawę, że Katherine jest z gatunku tych, które zdecydowanie wolniej

dojrzewają do pełnej kobiecości, podczas gdy u Karin mogło to nastąpić niemalże z dnia na dzień. Niepokoje młodszej córki wzruszały matkę i rozbrajały jednocześnie, tym bardziej że czas rozterek dla Katherine dopiero się zaczynał. Jej wciąż niewysoka figurka rzeczywiście zachowała jeszcze pewną dziecięcą pulchność i nieskładność, talia była ledwie zauważalna, podobnie jak biodra i piersi. To wszystko miało się teraz zmieniać. Ellie jeszcze raz spojrzała na nią uważnie.

Oczywiście, matki nie potrafią bezstronnie patrzeć na swoje dzieci, ale Ellie naprawdę nie potrafiła znaleźć żadnej wady w tej może wciąż jeszcze bardzo naiwnej, ale też i pełnej niezwykle wdzięku dziewczęcej twarzy. Katherine miała duże zielone oczy, ocienione wielkimi ciemnymi rzęsami. Jej piegi miały niemalże ten sam odcień, co i długie loki koloru mahoni. Na razie uczesanie Katherine było – jak zwykle – dość niedbałe, by nie powiedzieć: przypadkowe, ale Ellie wiedziała, że już wkrótce córka zda sobie sprawę, jakim atutem są takie piękne, lśniące i niezwykle przy tym gęste włosy. Zwłaszcza kiedy się je odpowiednio ułoży.

Tymczasem Katherine zorientowała się, że matka patrzy na nią jakoś szczególnie uważnie, i natychmiast zareagowała po swojemu.

– Wiem, że wyglądam okropnie i że masz prawo wstydzić się takiej córki jak ja. Zwłaszcza w zestawieniu z Karin musiałam być dla ciebie naprawdę ogromnym rozczarowaniem. – Z wyrazem lekko tylko autoironicznej i teatralnie całkiem udatnie oddanej, dziewczęcej rozpaczy ukryła twarz w dłoniach. – Bo i co ma robić biedna matka, kiedy tylko jedno z jej piskląt przekształca się w pięknego łabędzia, a drugie nadal pozostaje brzydkim

kaczątkiem? – Podniosła wzrok i spojrzała na Ellie, która najwyraźniej walczyła ze sobą, żeby się nie roześmiać. – Widzisz? Sama śmiejesz się ze mnie! Śmiejesz się! – Dziewczyna wzniosła oczy ku niebu, ale nad nią wciąż był tylko pobielony sufit. – Jestem brzydkim kaczątkiem, wiedziałam to! Zawsze wiedziałam!

24

– Och, Katherine, przestań już, na miłość boską! – wykrzyknęła Ellie. – Przecież wcale nie śmieję się z twojego wyglądu, tylko z tego, co teraz z takim przejęciem, ale i tak bardzo niemądrze sobie wmawiasz. Ty miałabyś być brzydkim kaczątkiem? Ty?! Koń by się uśmieł, gdybyśmy go tu mieli! Od momentu urodzenia nigdy, ani przez moment, nie byłaś dla mnie rozczarowaniem. Któregoś dnia, już wkrótce, staniesz się bardzo piękną kobietą, a ja proszę cię tylko, żebyś nigdy nie zapomniała, że to twoja matka była pierwszą osobą, która ci to powiedziała.

Mówiła to tak szczerze, że córka nie mogła jej nie wierzyć. Nadal jednak nie potrafiła pojąć, jak można na serio mówić o niej coś takiego. Ona miałaby być piękna?! Jak można po osobie, która ma oczy zielone jak bagienna żaba, włosy koloru wyprawionej skóry –w sam raz na kowbojskie siodło! – która prawie nie ma szyi, a cała jej twarz jest upstrzona okropnymi piegami –jak po takiej osobie można się w ogóle spodziewać, że kiedykolwiek okaże się kimś innym niż tylko beznadziejnym brzydactwem? A jakby tego było mało, sam dobry pan Bóg najwyraźniej w ogóle zapomniał w jej przypadku, że jeśli już kiedyś miałaby ona być kobietą, to powinna przecież mieć w swej figurze to i owo, i to w rozmiarach jako tako zauważalnych. A przy obecnym stanie rzeczy

**Katherine naprawdę nie wiedziała, czy Stwórca w końcu chciał, żeby miała biust, czy nie? A jeśli chciał, no to dlaczego go wciąż nie widać?!**

**Ellie doskonale pojmowała, co może dziać się w naładowanej podobnymi emocjami głowie córki – nie tylko dlatego, że jako matka była natury współczująca i wyrozumiała. Jeszcze istotniejsze było to, że Katherine tak bardzo jej przypominała ją samą sprzed lat. Młodziutka Ellie też była bardzo niepewna wszystkiego, a już zwłaszcza siebie, i też niezręczna jak nowo narodzony żrebak. Powiedziała to już zresztą córce przy bardzo podobnej okazji, ledwie kilka tygodni temu, lecz nie miała wrażenia, żeby cokolwiek pomogło na wciąż te same dziewczęce niepokoje. Wątpliwe więc, by mogło pomóc teraz, nawet gdyby spróbowała jeszcze raz powtarzać całą tę opowieść od początku.**

**Postanowiła zatem po prostu zmienić temat i zapytała jakby mimochodem:**

**– Aha, nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Karin? Bo znalazłam ten kawałek koronki, o który mnie pytała.**

**Miała nadzieję odejść w ten sposób od pytań, na które trudno jej było od razu znaleźć zadowalającą odpowiedź, lecz wnet okazało się jednak, że**

**25**

**niebacznie wpakowała się przez to w jeszcze większe kłopoty. Bo Katherine odpowiedziała natychmiast:**

**– Karin oczywiście robi to, co zawsze. To znaczy zawraca głowę Alexowi Mackinnonowi.**

**Ellie tylko jęknęła w duchu. Pomysł ze zmianą tematu okazał się fatalny.**

**Mądra matka z pewnością nie zrobiłaby aż tak nieprzemyślanego kroku. No trudno, stało się.**

**– Daję słowo – ciągnęła tymczasem Katherine, z wciąż rosnącym emocjonalnym zaangażowaniem – że nigdy jeszcze nie widziałam, żeby dwoje ludzi przy każdym kolejnym spotkaniu wciąż zachowywało się tak, jakby mieli za sobą całe lata bezwzględnej rozłąki. A w końcu przecież widują się codziennie. I o czym w ogóle mogą ze sobą rozmawiać aż tak długo? Cały zapas słów, jaki Karin ma w głowie, wystarczy w najlepszym razie na dziesięć, piętnaście minut. – Katherine westchnęła i zamyśliła się. – Dla inteligentnego człowieka, za jakiego chciałabym uważać Alexa Mackinnona, wysłuchiwanie całymi godzinami wciąż tych samych banalów musi być straszliwie nudne! Myślę, że ma już tego powyżej uszu. Ellie uśmiechnęła się z pewną wyrozumiałością.**

**– Nie krytykuj swojej siostry aż tak bardzo, moja mała Mądralo – powiedziała, kiwając głową. – Mam wszelkie podstawy, by przewidywać, że i ty też będziesz próbować zawracać głowę jakiemuś młodemu mężczyźnie, i to już wkrótce, jeżeli się nie mylę. Widziałam, na przykład, jak Adrian na ciebie patrzy. Na pewno chętnie dalby sobie zawrócić głowę, zwłaszcza komuś takiemu jak ty, i sam pewnie też miałby wiele do powiedzenia, gdybyś tylko choć odrobinę go zachęciła.**

**– Adrian?! – wykrzyknęła Katherine. – Ależ, mamo, Adrian nie może powiedzieć nic ciekawego. Jest po prostu nudny.**

**– Przyznam, że cię nie rozumiem. Moim zdaniem, jest bardzo bystry. I taki miły!**

– Taaak? No to niech mama sobie z nim rozmawia – bezkompromisowo

ucięła Katherine i bardzo zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

Ellie popatrzyła za nią i tylko pokiwała głową. Z tą małą będzie jeszcze sporo kłopotów, pomyślała. O ileż prostsze i łatwiejsze byłoby wszystko, gdyby podobał się jej Adrian, a nie Alex. O ileż rozumniejsze! No ale serce nie sługa, a rozum w takich przypadkach też niewiele pomaga.

– Adrian! Też mi coś! –jeszcze raz burknęła gniewnie Katherine,

26

podciągając spódnicę, aby przełożyć nogę przez poręcz schodów, po której jak zwykle zamierzała zjechać na dół. Zrobiła to z gracją i rozmachem, ale kiedy była już na dole, wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić. – I ja miałabym go odrobinę zachęcać. Dobrze sobie! Wolalabym zachęcać naszego najbardziej upartego muła!

Adrian był wprawdzie bratem bliźniakiem Alexa, ale to wcale nie znaczyło, że są do siebie w czymkolwiek podobni. A nawet gdyby byli, to ona i tak kochałaby tylko Alexa. A Adriana tak czy inaczej ignorowałyby – co zresztą już właściwie robiła. W każdym razie gdy tylko pojawiał się w pobliżu, natychmiast robiła się chłodna jak górski szczyt w pełni zimy – i nie mogło tu pomóc ani jego zaangażowanie, ani zauważalne wysiłki, by zachowywać się jak najbardziej sympatycznie.

Zeszła do spichrza i usiadła na przewróconym do góry dnem drewnianym cebrzyku, ignorując swą ulubioną kotkę Georgie, która wyraźnie chciała wskoczyć jej na kolana. Ta łasiła się jednak i ocierała o jej nogi tak długo, że Katherine w końcu ustąpiła.



**– No dobra, wskakuj!**

**Kotka ułożyła się na jej podolku i od razu zaczęła mruczeć z wyraźną satysfakcją. Niewiele zresztą brakowało, by Katherine też zaczęła coś tam mruczeć pod nosem, ale w zupełnie innej tonacji.**

**Alex i Karin. Karin i Alex. Jak długo będzie mogła to znosić? Zachowywali się tak, jakby byli złączeni ze sobą od zawsze albo jak gdyby w ogóle byli jedynymi ludźmi na świecie. To przecież nie było w porządku. Bo czyż ona, Katherine, nie była pierwsza? Czyż nie uważała się za zakochaną w Aleksie Mackinnonie, i to wręcz od niepamiętnych czasów? Tak, była pierwsza i łączyło ją z tym chłopcem coś na długo przed tymi wszystkimi nieszczęsnymi –ni wydarzeniami, łącznie z nieopatrzonym walnięciem go w głowę I podręcznikiem gramatyki. Karin przecież wtedy nawet jeszcze o nim nie myślała. A teraz to już nagle nie ma znaczenia?! I co, u wszystkich diabłów, sprawiło, że Alex naraz aż tak zgłupiał? Przecież przedtem, przez dłuższy czas, interesował się tylko nią, tylko z nią się droczył i głośno liczył tylko jej piegi, tylko jej też wpuścił małego zaskrońca do szkolnego piórnika. To wszystko przecież powinno mieć jakieś znaczenie.**

**Jednak w miarę jak robiła się starsza, rozumiała coraz więcej albo przynajmniej czuła to intuicyjnie. Czuła, że go traci. To zawsze bolało, a najbardziej dotkliwym ciosem było uświadomienie sobie, że wszystko, co było**

27

**kiedyś, to już przeszłość i że między nią i Alexem pozostała już tylko – co najwyżej – przyjaźń.**

**Katherine podniosła wzrok i zobaczyła Adriana, który szedł w kierunku**

otwartych wrót spichrza. Padające z góry promienie słońca sprawiały, że jego kasztanowe włosy mieniły się czerwonawozłotym odblaskiem. To też była jedna z tych rzeczy, których Katherine w nim nie lubiła – ten odcień był zbyt podobny do koloru jej włosów. Oczywiście, w odróżnieniu od niej, Adrian nie miał zielonych oczu, tylko ciemnoniebieskie –które zresztą też niezbyt się jej podobały. Najpiękniejsze – jej zdaniem – były tęczęwki bladoniebieskie, ale takie miał tylko Alex.

Tymczasem Adrian był już przy niej. Wyglądał na zdeterminowanego, chociaż nie było w nim wielkiej pewności siebie. Chyba jednak zależało mu na rozmowie z nią. Dużo bardziej niż jej.

– Witaj, Katherine – powiedział. – Twoja mama mówiła, że cię tu znajdę.

– Jak widzisz, miała rację – odparła z doskonale chłodną obojętnością.

Ale to nie wystarczyło. Adrian brnął dalej.

– Co robisz?

– Ależ, Adrianie! –Teraz w jej słowach była gryząca ironia. –Nawet ty powinieneś zauważyć, że głaszczę po głowie kotkę. Dla pewności wyjaśnię jeszcze, że głaszczę takie stworzenia wyłącznie wtedy, gdy je lubię. Co nie zawsze musi mieć miejsce...

Ton jej głosu był tak jawnie nieprzyjazny, że Adrian wcisnął głębiej ręce do kieszeni i przez dłuższą chwilę milczał, jakby nie za bardzo wiedząc, co dalej.

Przyszedł tu mimo wszystko nastawiony na coś innego.

– Ja... to znaczy... myślę teraz, że chyba jednak nie będziesz miała ochoty...

pójść ze mną na spacer w stronę gaju nad rzeczką? Jest tam teraz dużo

dojrzałych orzechów pekanowych, moglibyśmy trochę uzbierać, choćby dla

samej przyjemności.

– Niby po co? I jaka to miałyby być przyjemność?! Matka wysłała mnie do zbierania tych orzechów przez cały tydzień. To jest dla mnie praca, Adrianie. Praca! Nie mówiąc już o tym, że dziś rano też je zbierałam. Myślisz, że mam ochotę wlec się teraz do strumienia, żeby zebrać jeszcze trochę?

– No cóż. – Chłopiec wydawał się lekko rozczarowany. – Wobec tego chyba będę musiał pójść do domu.

– Ja na pewno nie mam nic przeciwko temu. – W jej głosie znów była tylko obojętność.

28

– No to do widzenia, Katherine.

– Do widzenia, Adrianie.

Przechodząc koło domu, chłopiec natrafił na Ellie, która rozwieszała przy ganku dopiero co upraną bieliznę.

– Znalazłeś Katherine? – spytała życzliwie.

– Tak, proszę pani. Była w spichrzu, tak jak pani powiedziała.

– Miło się wam rozmawiało?

– Niespecjalnie.

– Zaraz. Czy to znaczy, że Katherine była wobec ciebie nieuprzejma?

– Nie, proszę pani.

Ellie odetchnęła z ulgą, ale wtedy Adrian dokończył:

– Ale nie była zbyt przyjazna.

– Och... – Ellie zdołała tylko westchnąć.

– Nic nie szkodzi, proszę pani. Wszystko w porządku.

– Tak mówisz? Ja nie jestem tego taka pewna. Prawdę mówiąc, sama nie wiem, co się ostatnio dzieje z tą dziewczyną. Zrobiła się strasznie opryskliwa, dla nikogo nie ma dobrego słowa. – Popatrzyła w ślad za chłopcem, który szedł już do uwiązane go przy ganku konia. – Jest mi naprawdę bardzo przykro, Adrianie. Współczuję ci, że na to trafiłeś.

– Bardzo pani dziękuję.

Wsiadł na konia i ruszył. Ellie przez chwilę patrzyła w ślad za nim, potem potrząsnęła głową i wróciła do rozwieszania bielizny. Po jakimś czasie w otwartych wrotach spichrza pojawiła się Katherine. Chciała wyminąć matkę bez słowa, ale Ellie podniosła wzrok i zapytała:

– Skąd taka kwaśna mina? Stało się coś?

– Nie. W zasadzie nie, tylko...

– Tylko co?

Katherine westchnęła dramatycznie.

– To wszystko przez Alexa – powiedziała tonem kobiety bardzo już doświadczonej i dojrzałej, a więc z odpowiednią dla takiego wieku nutką melancholijnej rezygnacji. – Przez Alexa i przez tę moją nieszczęśliwą miłość do niego. Tu nikt nigdy nawet nie będzie wiedział, jak bardzo go kocham. Poza tym nie sądzę, aby szczęśliwa miłość w ogóle była mi pisana. Doskonale wiem, że on wkrótce poprosi Karin o rękę, a potem zapewne przez resztę swego życia będą mieszkali razem w tym domu po drugiej stronie rzeczki, dochowując się tuzina dzieci. A co ze mną? Zostanę starą panną, bo oczywiście nikogo nie będę

już mogła kochać tak, jak kocham Alexa. – Jej wzrok był teraz skierowany w

**jakaś bezkresną dal. – Już to widzę oczyma mej duszy. Poproszą mnie nawet, żebym była na ich ślubie, i będę musiała iść za Karin i nieść tren jej sukni. Będę musiała iść i uśmiechać się do ludzi zgromadzonych po obu stronach kościelnej nawy, w żaden sposób nie dając im poznać, że pod moją białą sukienką druhny kryje się pęknięte serce. Najpękniętsze z serc.**

**– Jesteś pewna, że „najpękniętsze”, to właściwe słowo? – spytała Ellie.**

**– To licentia poetica, droga mamó. Nawet jeśli takie słowo na razie nie istnieje, to powinno istnieć, żeby oddać całą głębię mojego dramatu.**

**– No tak, doskonale cię rozumiem.**

**Ellie z trudem powstrzymywała śmiech. Skądinąd rzeczywiście rozumiała córkę, bo zdążyła już dawniej rozpoznać i docenić teatralne i poetyckie uzdolnienia swej młodej latorośli. Katherine naprawdę miała w sobie instynktowne wyczucie teatralności, którego mógłby jej pozazdrościć niejeden zawodowy aktor. Improwizując, mówiąc cokolwiek, niemal od razu wchodziła w rolę i potrafiła być czasem bardzo przekonująca. A przez to i nieodparcie komiczna.**

**Na szczęście tym razem wybiegła z pokoju niemal od razu po zakończeniu swego dramatycznego monologu odtrąconej kobiety, co sprawiło, że Ellie mogła już bez przeszkód śmiać się na cały głos. Śmiała się tak bardzo, że w końcu dostała ataku niemal równie głośniejszego i równie trudnego do opanowania czkawką. Sama zresztą była sobie winna, bo to przecież właśnie ona zawsze zachęcała swą niewątpliwie**

**uzdolnioną**

**córkę**

**do**

**tego**

**rodzaju**

**improwizowanych teatralnych popisów. Temat, pod wpływem nagłego impulsu, zawsze wybierała sobie sama Katherine, a gdy tylko zaczynała mówić i wchodziła w rolę, Ellie dla lepszej zabawy zaraz wcielała się w drugą postać, niezbędną na każdej szanującej się scenie, a prezentującą – jak wiadomo – zawsze racje krańcowo przeciwne. Stawiany przez nią opór był dla głównej protagonistki zachętą i wyzwaniem, to był rodzaj gry między nimi – Katherine wygłaszała jakąś śmiałą tezę, matka podważała ją, na co córka odpowiadała kolejną jeszcze śmielszą wolną, i tak niemalże jak w teatrze spierały się, mnożąc argumenty i budując coraz wyższe i coraz bardziej złożone myślowe konstrukcje, które w końcu nieuchronnie stawały się komiczne dla obu stron. Ale ile się przy tym ubawiły, wiedziały tylko one. Bo na przykład Karin do tego rodzaju zabaw nie miała ani serca, ani ochoty. Ją zazwyczaj interesowało co innego.**

**30**

**Parę dni później Katherine, usadowiona na starannie zasłanym łóżku siostry, przyglądała się kątem oka, jak Karin wkłada sukienkę, i przy tej okazji usiłowała sobie odpowiedzieć na od dawna dręczące ją pytanie: dlaczego w rezultacie tak banalnej w końcu czynności, jak codzienne ubieranie się, jej siostra zawsze wygląda tak pięknie i atrakcyjnie, podczas gdy ona zwykle**

przypomina stracha na wróble. Karin właśnie włożyła swą nową sukienkę z żółtawego muślinu i cierpliwie zapinała długi szereg malutkich guziczków, który zdawał się nie mieć końca. Katherine patrzyła na to trwające w nieskończoność zajęcie i w końcu bezwiednie westchnęła. To naprawdę nie mogło być dla normalnych ludzi. Do tego trzeba mieć anielską cierpliwość – zwłaszcza kiedy się pomyśli, że już za jakiś czas trzeba będzie te wszystkie guziczki ponownie rozpinąć. To przecież po prostu nie miało sensu.

Przynajmniej dla niej.

Tymczasem Karin usiadła przed lustrem i z równie denerwującą systematycznością zaczęła szczotkować swe piękne włosy. Katherine doliczyła się u siostry prawie setki pociągnięć szczotką. Podczas gdy u niej ten sam poranny zabieg ograniczał się wy czaj do kilku raczej zdawkowych machnięć.

Aż tak długie rolkowanie wydawało się naprawdę niedorzeczne, a Katherine dziwiła się tylko, że siostra jeszcze kompletnie nie wyłysiała od tych pielęgnacyjnych ekscesów. Ale jednak nie, nawet przeciwnie – włosy Karin wydawały się jeszcze zyskiwać na tej operacji; lśniły delikatnym blaskiem prawdziwego złota, a cała fryzura była w rezultacie wręcz perfekcyjna.

– No i jak wyglądam? – spytała, odkładając szczotkę i obracając się ku siostrze. – Dobrze? – Oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę, że wygląda naprawdę pięknie, miała jednak ogromną ochotę kolejny raz usłyszeć to od swojej brzydszej siostry.

Ta jednak wykręciła się sianem, mówiąc jakby od niechcienia:

– Wyglądasz bardzo dobrze i bardzo dobrze o tym wiesz.

– Och, nie bądź taka zgryźliwa – rzuciła sucho Karin, podniosła się z

krzesła i sięgnęła po spacerową parasolkę. – Jeżeli nie potrafisz powiedzieć nic miłego.

– ...to lepiej nic nie mów! – dokończyła Katherine, wcale udatnie parodiując pełen wyższości ton siostry.

Karin tylko popatrzyła na nią i szybko wyszła. Pewnie znów wybierała się na spacer nad rzeczkę.

31

Katherine dla pewności odczekała, aż siostra znajdzie się za drzwiami, po czym pokazała odchodzącej język i jeszcze zagrała na nosie. To jednak nie poprawiło jej humoru. Rozejrzała się po denerwująco schludnym i zawsze starannie wysprzątanym pokoju Karin i zatrzymała wzrok na ułożonych na komódce kilku sukienkach. Siostra naprawdę miała w czym wybierać, podczas gdy ona... Ciekawe swoją drogą, czy w którejś z nich naprawdę wyglądałoby się lepiej, nawet nie będąc piękną Karin?

Stanąła przed lustrem i przyłożyła do siebie najefektowniejszą sukienkę.

Skończyło się oczywiście na tym, że w końcu wciągnęła ją przez głowę, z pewnym trudem zapięła się z tyłu, pośpiesznie i na oślep, a więc w rezultacie krzywo i nie do końca; no ale jednak jakoś tego dokonała. Przypięła jeszcze należący do kompletu balowy tren, na chybcika przeczesła włosy, dosyć nieudolnie usiłując naśladować efektowną fryzurę siostry, i w końcu, raczej nieusatysfakcjonowana rezultatem, pośpiesznie zbiegła na dół, żeby się dokładniej obejrzeć w wielkim lustrze w salonie. I to właśnie zakończyło się ostateczną katastrofą.

Albowiem biegnąc w zdenerwowaniu do największego w domu



zwierciadła, Katherine nie zauważyła nawet, że przy stojącym w kącie salonu fortepianie siedzą dwie osoby, które absolutnie nie powinny były jej zobaczyć, zwłaszcza w tym stroju i w tym uczesaniu. Jej siostra... i Alex Mackinnon.

Już to, co sama zobaczyła w wielkim lustrze, poważnie zaniepokoiło Katherine. Rzeczywiście wyglądała trochę jak strach na wróble, a chyba jeszcze bardziej jak niezamierzona parodia elegancji jej pięknej siostry. Dzięki Bogu, że przynajmniej ona tego nie widzi.

Głośny śmiech Karin bardzo szybko wyprowadził ją z błędu. Katherine obróciła się z przerażeniem. Siostra była tam, widziała wszystko. A co gorsza, widział to również Alex.

Patrzył na nią z pełnym rozbawienia uśmiechem, Katherine najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Zaczerwieniona po uszy, obróciła się gwałtownie i całym pędem pobiegła schodami z powrotem na górę. W jej uszach wciąż jeszcze brzmiał drwiący śmiech siostry i – dużo łagodniejszy, a nawet współczujący – głos Alexa, który próbował tłumaczyć Karin, że nie powinna śmiać się z niej aż tak, zważywszy na to, że młodość ma w końcu swoje prawa.

To życzliwe współczucie z jego strony jeszcze bardziej pognębiło biedną Katherine. Czula się upokorzona i zlekceważona. Wcale nie potrzebowała

32

takiego współczucia!

Tymczasem Karin nie darowała mu tego, że tak jawnie próbował stawać w obronie jej młodszej siostry.

– Czy nie moglibyśmy już wreszcie przestać mówić o Katherine? – spytała,

odymając wargi. – Doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego zawsze tak chętnie jej bronisz. Bo ona nie przepuści żadnej okazji, żeby się kolejny raz wygłupić właśnie przed tobą, a przecież oboje doskonale wiemy, co jest tego powodem.

Ta mała dałaby sobie uciąć kawałek palca, żeby tylko mieć ciebie za kawalera.

– Wcale jej nie bronię – odpowiedział Alex. – Tylko po prostu nie bawi mnie szydzenie z kogokolwiek i wyśmiewanie się z czyjzegoś zakłopotania. Tu wcale nie chodzi akurat o nią. A poza tym sędzę, że mylisz się, widząc w zachowaniu Katherine jakieś uczuciowe zaangażowanie w stosunku do mnie.

Jesteśmy po prostu przyjaciółmi, i tyle.

– Myśl tak dalej! – rzuciła drwiąco Karin. – I nie słuchaj mnie, kiedy ci mówię, że Katherine jest tobą oczarowana i zrobiłaby wszystko, żeby tylko cię mieć. Ale... – urwała i lekko trzepnęła Alexa po rękę wachlarzem – ale kiedyś przekonasz się, że to ja miałam rację.

Jednak tak naprawdę Alexa wcale nie trzeba było o tym przekonywać. Na przestrzeni choćby tylko ostatnich kilku miesięcy Katherine wręcz nieustannie – choć za każdym razem w bardzo przemyślnie skrywany sposób – robiła dosłownie wszystko, by na każdym miejscu i o każdej dobie ścigać go swoim uczuciem. Może wciąż jeszcze cokolwiek dziecinnym, nie do końca dojrzałym, ale z pewnością zwracającym uwagę. Zwłaszcza jego uwagę.

Jej pomysłowość w tym względzie wydawała się niewyczerpana. Parę tygodni temu poprosił ją, żeby może – choćby ze względu na ich przyjaźń – nie starała się tak stale chodzić za nim i nie wpatrywała się w niego aż tak ostentacyjnie. Ona jednak nie przestała za nim chodzić, tyle tylko, że od tego momentu robiła to tak, żeby tego nie widział. I wychodziło jej to coraz lepiej –

najlepsi myśliwi z plemienia Komanczów mogliby jej chwilami pozazdrościć takiej umiejętności doskonałego krycia się przed bystrym wzrokiem ściganej zwierzyny. Co gorsza, Katherine zaczęła z czasem te umiejętności wykorzystywać także do szpiegowania ich dwojga, w rezultacie czego Alex, nawet idąc tylko z Karin na spacer, nigdy nie mógł być pewny, czy gdzieś z ukrycia nie podglądają ich jej zielone oczy. W końcu jego cierpliwość się wyczerpała i któregoś dnia kategorycznie zapowiedział nieco tym speszonej

33

Katherine, że to podglądanie ich z ukrycia musi się natychmiast skończyć, bo w przeciwnym razie ktoś po prostu porządnie przetrzepie jej skórę.

Od tej chwili zaprzestała wszelkiego szpiegowania, nie dlatego, że się przestraszyła obiecanego lania, ale ze względów ambicjonalnych. Starła się przecież ukrywać najlepiej, jak potrafiła, a mimo to została dostrzeżona. To znaczyło, że jednak nie jest w tym dostatecznie dobra.

Z tego jednak wcale nie wynikało, że Alex odtąd miałby już mieć z nią spokój. Już wkrótce okazało się, że wymyśliła nową kampanię. Tym razem głównym terenem tej aktywności miała być szkoła i życie codzienne.

Wyglądało na to, że postanowiła po prostu zmusić go do dostrzegania jej – wszelkimi sposobami i gdzie tylko to było możliwe. Robiła najróżniejsze rzeczy, czasem bardzo precyzyjnie zaplanowane, innym razem pod wpływem nagłego impulsu – jak to było choćby w przypadku tego nieszczęsnego przymierzania sukienki siostry. W jakiś sposób nawet i tu osiągnęła swój cel – Alex po prostu nie mógł jej nie zauważyć.

W szkole dotąd zawsze była uczennicą zdolną, choć nie nazbyt pilną –

zwłaszcza jak na swoje możliwości. Alex również uważał ją za osobkę bardzo bystrą, nie na tyle jednak, by kiedykolwiek i w jakimkolwiek przedmiocie mogła się okazać lepsza od niego. Ostatnio jednak to się nagle zmieniło. Na przestrzeni kilku tygodni Katherine już parokrotnie wyprzedziła go w ocenach z angielskiego i arytmetyki, zajęła również pierwsze miejsce w konkursie na wypracowanie, podczas gdy jemu przyszło zadowolić się drugim. To musiało mu dać do myślenia.

W domu też było podobnie. Kiedy Karin zapowiadała, że upiecze ciasto, Katherine przebijała ją, piekąc i ciasto, i tort. Gdy Alex zabierał Karin na konną przejażdżkę, mógł być prawie pewny, że już kilka minut później wyprzedzi ich Katherine, także na koniu – ale w pełnym galopie, z rozwianą na wietrze fryzurą. Gdy Karin czasem prosiła Alexa, żeby pomógł jej w zbieraniu kwiatów dla przystrojenia stołu, z reguły w domu pierwsza pojawiała się Katherine – z takim naręczem polnego kwiecia, że wystarczyłoby go do przystrojenia nawet i trzech domów.

I tak już było stale, a lista coraz to nowych pomysłów młodszej córki Simonów wydawała się nie mieć końca. Dość niespodziewanie dla siebie samego Alex zauważył, że jego stosunek do tych – wciąż przecież mocno dziecinnych – sposobów zwracania na siebie uwagi wyraźnie ewoluuje. Nawet jeśli na początku to wszystko budziło w nim pewną irytację, to w miarę upływu

34

czasu częściej ustępowała ona miejsca poczuciu coraz bardziej życzliwego rozbawienia... i nawet sympatii. Katherine była tak naiwnie szczerą i przez to tak nieodparcie komiczną w swych niektórych poczynaniach, że absolutnie go

tym rozbrajała. W gruncie rzeczy wzruszało go to i naprawdę nic nie mógł na to poradzić, że lubił ją chyba coraz bardziej. W pewnym momencie zdał sobie nawet sprawę, że wręcz czeka na to, co też tym razem ta niezwykła dziewczyna wymyśli.

Na to, co znów wymyśli i zrobi Katherine, czekał zresztą nie tylko on, ale i jego brat Adrian. Była jednak między nimi pewna zasadnicza różnica. Alex czekał tylko na jej kolejny, taki czy inny, pomysł, natomiast Adrian czekał na przełom – na zasadniczą zmianę, która sprawi, że Katherine Simon odzyska rozum i przestanie się durzyć w jego bracie.

Adrian bardzo chciał, żeby tak się stało, choć to pragnienie poważnie komplikowało jego stosunki z bratem, i tak niezbyt dobre w ostatnich czasach. Jako bliźniacy byli od zawsze bardzo mocno ze sobą związani i ta bliskość między nimi w gruncie rzeczy pozostała. Ale teraz Adrian nie mógł już rozmawiać z Alexem tak otwarcie i szczerze jak dotychczas. Nie mógł, ponieważ w głębi duszy czuł do niego żal – częściowo dlatego, że to właśnie w nim Katherine tak beznadziejnie się durzyła, a częściowo dlatego, że Alex wiedział o jego uczuciu do niej i nie tylko nic nie robił, żeby mu pomóc, ale nieraz wręcz wyśmiewał brata, pokpiwając z jego sercowych niepowodzeń przy lada okazji.

– Mój brat bliźniak jest zakochany – rzekł któregoś popołudnia, odprowadzając Karin po wspólnym spacerze nad rzeczkę. –Widzisz go, tam, przy tym płocie odgradzającym pastwisko, za którym to ogrodzeniem twoja siostra chyba właśnie doi krowę? Adrian na pewno bardzo chciałby jej pomóc, ale stoi ukryty w cieniu, bo boi się nawet do niej odezwać.

Gdy podeszli na tyle blisko, że zarówno Adrian, jak i Katherine mogli już

ich słyszeć, Alex kaszlnął przesadnie głośno i powiedział:

– Widziałaś, Karin? Adrian się zakochał i wzdycha z za płotu! – Kątem oka spojrzął na Katherine, która nawet nie podniosła głowy. Potem znów popatrzył na brata. – No, Adrianu?! Czemu nie przeskoczysz przez płot i nie pomożesz jej w dojeniu?

– Zamknij się! – burknął Adrian.

Alex roześmiał się i odwrócił w stronę Karin.

35

– Chciałabyś, żeby te czarujące ciemnoniebieskie oczy, osadzone w tak pięknej męskiej twarzy, patrzyły na ciebie z równą tęsknotą? – zapytał, a potem z jawnie kpiącym uśmiechem pogłaskał brata po policzku.

Adrian gniewnie odsunął jego dłoń od swej twarzy.

– Uważaj. Ostrzegam cię!

Karin podeszła do niego i stając przy nim wręcz prowokacyjnie blisko, przyglądała mu się uważnie przez dłuższą chwilę z lekko drwiącą miną.

– On naprawdę ma piękną męską twarz – powiedziała i też pogłaskała Adriana po policzku. – Chyba się nie mylę, prawda?

Adrian tylko zacisnął zęby, walcząc z ogarniającą go nagłą chęcią, by z całej siły trzasnąć pięścią w szczękę brata, stale go ostatnio prowokującego, i to bez żadnego szczególnego powodu. Powstrzymał się jednak i przyjrzał mu się uważnie. Tak, to Jednak musiało być coś więcej niż tylko zwyczajne przycinki. Wyglądało na to, że tym razem Alex jest na niego naprawdę zły.

Karin też to chyba zauważyła, bo obróciła się ku niemu i powiedziała:

– O, popatrz, Adrianie! Zdaje się, że udało mi się doprowadzić Alexa do zazdrości, nie sądzisz?! A może jednak powinnam była najpierw zapytać go o pozwolenie, zanim wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać twoją piękną twarz? Co o tym myślisz? – Ton jej głosu też był teraz inny, to już nie była tylko zabawa.

Adrian nic nie odpowiedział, zrobił to natomiast jego brat.

– On nic nie myśli, a za to ty mogłabyś się zachowywać trochę bardziej przyzwoicie – powiedział nadspodziewanie ostro. Karin nawet nie mrugnęła okiem.

– Niby dlaczego, skoro ty się tak nie zachowujesz? – Patrzyła na Alexa i widziała, że jego twarz z wolna czerwienieje z gniewu. – Przecież chyba nie obawiasz się, że Adrian mógłby okazać mi zainteresowanie?

– Mój brat jest wystarczająco rozsądny, żeby tego nie robić – odparł Alex, wyraźnie walcząc ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Opanował się jednak, obrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem.

Karin znów podeszła do Adriana.

– Ja naprawdę uważam, że masz piękną twarz – powiedziała, uśmiechając się. – Choć jak na bliźniaków nie za bardzo przypominacie jeden drugiego.

– Bo my jesteśmy tacy bliźniacy, którzy nie są do siebie podobni – odpowiedział Adrian, jego głos wcale jednak nie brzmiał życzliwie. Nie lubił Karin i ona o tym wiedziała.

– Adrianie, nie bądź na mnie zły! – Nie przestawała się uśmiechać.

36

– Nie jestem.

– I za to ci dziękuję. Jesteś naprawdę słodki! – Nie miał szansy

**odpowiedzieć, bo dziewczyna nagle pochyliła się i lekko pocałowała go w usta.**

**– Tylko powiedz, po co marnować czas na coś... – znacząco spojrzała w stronę siostry – na coś, czego i tak nie możesz zdobyć? Ona chce tylko jego, tylko twojego brata. Czy ty tego nie widzisz?**

**– Widzę, bo mam oczy – odpowiedział Adrian i doprawdy niewiele brakowało, by w jego głosie pobrzmiwała nienawiść.**

**– Adrianie, skarbie, nie wściekaj się tak. To po prostu do ciebie nie pasuje.**

**– Karin jeszcze raz pogłaskała go po twarzy.**

**On jednak gwałtownie odepchnął dłoń dziewczyny i odwrócił się do niej plecami. Wzruszyła ramionami i ruszyła w kierunku furtki.**

**Adrian spojrzał w stronę Katherine, która przez cały czas nie zaszczyliła go nawet jednym spojrzeniem. Nie chciała go specjalnie ignorować – po prostu interesował ją kto inny. Nietrudno było się domyślić, że przez cały ten czas patrzyła tylko na tego drugiego. Na Alexa.**

**Także i teraz, choć jego sylwetka nikła już w oddali, wciąż patrzyła w ślad za nim, a w jej spojrzeniu kryła się bezgraniczna tęsknota. Wzruszająca tęsknota młodej kobiety, która naprawdę kocha.**

**Adrian nigdy nie był w stanie zrozumieć, dlaczego brat nie dostrzegał tego, co po prostu rzucało się w oczy. Dlaczego nie widział, jak zimna, samolubna i zepsuta jest ta cała Karin w porównaniu z Katherine – otwartą, życzliwą i z natury serdeczną i ciepłą. To, że Alex był aż tak zaślepiony, mogło w jakimś sensie być nawet bardziej korzystne dla jego brata – ale Adrian i takiego nie rozumiał.**

**Tak jak zupełnie nie rozumiał, dlaczego los najwyraźniej uparł się, żeby w**



rodzinach Mackinnonów i Simonów sprzyjać tylko tym starszym. Bo Karin była starsza od Katherine, a Alex od niego. Starszy ledwie o kilka minut, no ale jednak. Dla Adriana to miało znaczenie. Przez całe życie miał poczucie, że brat właśnie przez to stale ma nad nim przewagę i że to jest wysoce niesprawiedliwe.

Karin mogła mówić różne głupstwa, ale w jednym miała rację: jak na bliźniaków Alex i Adrian nie za bardzo byli do siebie podobni. Prawdę mówiąc, byli nawet bardzo różni. Nie wyglądali tak samo, nie myśleli tak samo, w podobnych sytuacjach reagowali zupełnie inaczej. Właściwie upodobniały ich do siebie co najwyżej dwie cechy – obaj byli fizycznie mocni, dobrze

37

zbudowani... i obaj tak samo lubili się bić. Także ze sobą, jako że byli też bardzo uparci i każdy z nich zawsze chciał postawić na swoim. To było źródłem nieustannych zatargów i konfliktów.

Nie trzeba dodawać, że te spory rzadko kiedy rozstrzygane były wyłącznie przy użyciu argumentów, a znacznie częściej po prostu za pomocą pięści.

Zwłaszcza we wczesnych latach szkolnych było to tak częste, że tylko skutecznym interwencjom surowego ojca i starszych braci można było zawdzięczać, iż Alex i Adrian ostatecznie się wtedy nie pozabijali. A kiedy ojciec i starszy brat Andrew zginęli, zabici przez Komanczów, wciąż konieczny nadzór nad skłonny do bójek bliźniakami przejęli pozostali trzej bracia – Nicholas, Tavis i Ross.

Co ciekawe, mimo tych nieustannych sporów, równie często kończących się wymianą ciosów, jak wymianą argumentów, bracia bliźniacy byli niezwykle

lojalni w stosunku do siebie i nadal trzymali się razem. Gdyby w ogóle przyszło im do głowy, żeby wybrać dla siebie jakieś motto, można by je pewnie sformułować tak: bratu brat może nawet i przyłożyć, ale wszystkim innym od nich wara!

W miarę jak podrastali, ich skłonność do rozstrzygania sporów za pomocą pięści bynajmniej nie znikła, ale faktem było, że częstość bójek między nimi zauważalnie się zmniejszyła. Nadal co prawda wybuchwały konflikty o byle co, lecz wiele z nich dawało się już załagodzić bez użycia siły, nieraz samą tylko perswazją i wymianą argumentów. A jeśli nawet zdarzało im się rzeczywiście pobić ze sobą, to już tylko od czasu do czasu, i głównie dla pewnego oczyszczenia atmosfery.

Ostatni raz pobili się – tak na serio – przed mniej więcej dwoma tygodniami. Też zresztą raczej przez nieporozumienie. Wszystko zaczęło się od przypadku, od tego, że Katherine znalazła na łące umierającego malutkiego jelonka, najprawdopodobniej świeżo postrzelonego, i to najwyraźniej bez żadnego powodu, ze zwyczajnego –jej zdaniem– okrucieństwa. Przejeżdżający w pobliżu Alex zobaczył ją, rozdygotaną i zapłakaną, i zeskoczył z konia, żeby zapytać, co się stało. Nie musiał zresztą pytać – jelonek właśnie dogorywał na jej rękach.

Dziewczyna jeszcze długo nie mogła się uspokoić, nie trafiały jej do przekonania argumenty Alexa, tłumaczącego jej, że myśliwy, który najprawdopodobniej zamierzał upolować tylko łanię, mógł w ogóle nie wiedzieć o istnieniu tego jelonka, a zastrzelił go dopiero później i zapewne

tylko po to, by oszczędzić mu cierpień głodowej śmierci, która nieuchronnie go czekała z chwilą, gdy został pozbawiony opieki matki. Katherine słuchała tych wyjaśnień, ale nie przestała wylewać łez, przeciwnie – lkała coraz głośniej.

Alex objął ją więc, a ona wyplakiwała się na jego piersi, póki się wreszcie nie uspokoiła. Wtedy odprowadził ją do domu, a kiedy wrócił do siebie, czekał już tam na niego Adrian, który –jak się okazało – widział z daleka całą tę scenę. Był przekonany, że między Alexem i Katherine doszło do objęć i pocałunków, i nie miał najmniejszej ochoty słuchać jakichkolwiek wyjaśnień.

Bójka była tym razem wyjątkowo zacięta, co już wkrótce bardzo wyraźnie było widać na ich mocno posiniaczonych i zakrwawionych twarzach. Przestali się tłuc, kiedy obaj nie mieli już sił, i dopiero wtedy wszystko sobie wyjaśnili. Potem już razem poszli nad rzeczkę, żeby zmyć z twarzy ślady krwi, a następnie jeszcze przez blisko godzinę leżeli obok siebie w zimnej wodzie ze złudną nadzieją, że jej chłód dobroczynnie wpłynie na stłuczenia i sińce i choć trochę zmniejszy opuchliznę.

W rzeczywistości dało to niewiele. Kiedy w końcu wrócili do domu, ich oplakany wygląd wyraźnie poruszył całą rodzinę. Najstarszy z braci, imieniem Nick, na ich widok najpierw złapał się za głowę, a potem zaczął się głośno śmiać.

– Co się tym razem stało? – zapytał, z trudem łapiąc oddech. –

Posprzeczaliście się może z jakimś niedźwiedziem?! Biedaczyska!

– Zamknij się, Nick! – odpowiedzieli zgodnym chórem bliźniacy. – Bo zaraz sam możesz tak wyglądać.

W takich sytuacjach natychmiast stawali ramię w ramię. To, że się pobili,

to była tylko ich sprawa. Jak zawsze.

Kilka dni później dwaj najstarsi bracia, Nick i Tavis, oznajmili, że wyjeżdżają. Całą rodzinę poruszyła ta dość niespodziewana decyzja.

– Chcecie nas zostawić i tak po prostu wyjechać? – Adrian zwyczajnie nie mógł w to uwierzyć.

I dokąd zamierzacie się udać? – spytał Alex.

– Do wuja Roberta w Nantucket – odrzekł Nick. – To jest nad morzem, a ja zawsze kochałem morze.

– Przecież ty morza nigdy nawet nie widziałeś. – Alex wzruszył ramionami. – Więc jak możesz je kochać?

– Pana Boga też nigdy nie widziałem.

– A jak zamierzacie tam się dostać? – spytał Adrian. – Nie macie pieniędzy

39

nawet na drogę.

– Gdybyśmy czekali aż do chwili, kiedy będziemy mieli pieniądze, to zestarzelibyśmy się tutaj – powiedział Tavis.

I miał całkowitą rację.

Po śmierci rodziców życie na farmie Mackinnonów, które i przedtem nie było zbyt łatwe, z dnia na dzień stawało się coraz trudniejsze – mimo heroicznego wysiłku wszystkich pozostałych przy życiu braci. Z niedostatkiem i biedą szalenie trudno jest walczyć, bo choć ubóstwo nie jest może chorobą zaraźliwą, to jednak zwykle trwa nieznośnie długo i mało komu się udaje wyleczyć z niego do końca. I tak właśnie było w przypadku pięciu braci Mackinnonów.

Głodowali właściwie co roku, więc żeby w ogóle przeżyć, musieli z wolna wyprzedawać ziemię, kawałek po kawałku, aż w końcu pozostała jej niewielka część, która już na pewno nie mogła wyżywić wszystkich. Zresztą życie sprowadzające się do walki o przetrwanie nie mogło wystarczyć żadnemu z nich. Byli jeszcze dość młodzi i silni, żeby zapragnąć czegoś więcej. Po kilku latach tych beznadziejnych zmagania o utrzymanie się na powierzchni powoli zaczęli zdawać sobie sprawę z jałowości takich wysiłków i coraz częściej zaczęli myśleć o wyjeździe.

Pierwsi zdecydowali się dwaj najstarsi bracia, Nick i Tavis, którzy postanowili jechać do Nantucket. Tam był brat ich matki – to w jego domostwie mieli nadzieję zamieszkać, przynajmniej na początku – oraz morze, które ich pociągało, a także stocznie, w których chcieli znaleźć pracę. Na dzień przed wyjazdem Nick otrzymał list zapraszający go do przyjazdu do Szkocji, gdzie miałby przejąć tytuł lordowski – i zapewne niewiele więcej, – w spadku po niedawno zmarłym stryju, rodzonym bracie ich ojca. Nick jednak ani myślał jechać gdzieś tam za ocean, powiedział więc do Tavis:

– Zdaje się, że jesteś następny w kolejce. Chcesz jechać do Szkocji?

– Nie – odpowiedział Tavis.

– To co? Następny powinien być chyba...?

– Ross – odpowiedział Tavis i popatrzył na brata. – No ale Ross...

– No właśnie – zgodził się Nick. – Chyba nie byłoby dobrze, żebyśmy

wysyłali do Szkocji takiego obwiesia i prawie poganina.

Roześmiali się obaj.

Tak więc Nick tego samego wieczoru napisał uprzejmy list, w którym

poinformował swą daleką szkocką rodzinę, że z ważnych powodów nie może

40

niestety przyjąć oferowanego tytułu –podobnie jak i następny w kolejności starszeństwa jego brat, Tavis. Po zastanowieniu się Nick dopisał jeszcze, że, jego zdaniem, szanowni krewni powinni się chyba zastanowić nad jakąś inną kandydaturą, ponieważ z amerykańskiej linii Mackinnonów pozostawał już tylko średni brat, Ross, raczej w ogóle nie zainteresowany tym wszystkim, oraz dwaj najmłodszy bracia bliźniacy, z których żaden nie przyjąłby tytułu, jeśli jednocześnie nie miałby go otrzymać także i ten drugi.

Już wkrótce po wyjeździe Nicka i Tawisa pozostali trzej bracia musieli spojrzeć w twarz rzeczywistości. Jeśli w pięciu praktycznie nie byli w stanie utrzymać farmy, to we trzech mieli jeszcze mniejsze szansę. Trzeba było po prostu zrezygnować z gospodarowania na roli. Jedynym wyjściem wydawało się wstąpienie do Teksasńskiej Straży Konnej, półwojskowej formacji patrolującej przebiegającą wzdłuż Rio Grande granicę między Teksasem i Meksykiem. Wciąż częstsze zbrojne incydenty na tej granicy były zapowiedzią zbliżającej się wojny.

Do tej formacji wstąpili ostatecznie tylko dwaj bliźniacy – Alex i Adrian.

Wcześniej nadszedł bowiem kolejny list ze

Szkocji, z imiennym zaproszeniem, tym razem właśnie dla Rossa. Tak się złożyło, że ten akurat nie miał nic lepszego do roboty, a w dodatku miał na karku gniewnego ojca pewnej dziewczyny, która, nie wiedzieć czemu, chciała, żeby młody człowiek się z nią ożenił. Sprytny Ross Mackinnon skorzystał więc z okazji i wyjechał natychmiast, co w całym sąsiedztwie uznano za posunięcie

**bardzo rozsądne, zważywszy na to, że jeszcze w co najmniej dwóch ościennych okręgach były dziewczyny, które miały w stosunku do niego bardzo podobne zamiary.**

**– Mądry ptak odlatuje, kiedy gniazdo zaczyna się palić –zwykl mawiać**

**Ross, co jego bracia zawsze brali za dowód rzeczywiście wyjątkowej, jak na tak młody wiek, życiowej mądrości.**

**W niedzielę o nagłym wyjeździe Rossa do Szkocji dowiedział się także**

**miejscowy pastor. Nie chcąc komentować tego wydarzenia, powiedział tylko:**

**– Słyszałem, że czasami z rozbrykanego źrebaka wyrasta całkiem dobrze**

**ułożony rumak. Będę się więc modlił, by podobnie się stało w przypadku**

**naszego parafianina Rossa Mackinnona. Nie zaniedbam wszakże pomodlić się**

**i o to, by Szkocja nie wypowiedziała nam wojny, kiedy w końcu zda sobie**

**sprawę, kogo jej posłaliśmy.**

41

4

**Minęły już prawie cztery lata od chwili, gdy Alex i Adrian opuścili rodzinne**

**strony i zaciągnęli się do wojska. Cztery lata to bardzo dużo, zwłaszcza dla tak**

**młodych ludzi. A jeśli jeszcze – jak w ich przypadku – są to lata wojny, pewne**

**zmiany w osobowości wydają się po prostu nieuniknione. Młodzi ludzie**

**dorośleją, niekiedy bardzo szybko. Stają się inni.**

**Zdarza się nawet, że w ogóle zapominają o tym, co było wcześniej. Tak**

**jednak nie było w przypadku Alexa Mackinnona. O niczym nie zapomniał przez**

**te cztery lata, a już na pewno nie o pięknej Karin Simon. Pukiel złotych**

**włosów, który otrzymał od niej ostatniej nocy przed wyjazdem, stale mu ją**

przypominał. A teraz, kiedy wracali, gdy byli już tak blisko, jej obraz stawał Mu przed oczami szczególnie wyraźnie.

Wiosenne słońce mocno dopiekało i tylko lekki wiaterek przynosił czasem trochę chłodu w to gorące popołudnie, gdy bracia wjechali w końcu na ostatnie odgałęzienie polnej drogi, prowadzące do dawnego domu Mackinnonów.

Wokół nich rozciągał się wciąż ten sam ocean traw. Zmęczone konie szły wolno, droga była zarośnięta i ledwie widoczna, ale to, co widzieli przed sobą, było ich ziemią. Niewiele mieli na własność, lecz ten mocno zaniedbany i porosły chwastami grunt ciągle chyba był najważniejszy. Jak to często zwykł powtarzać ich ojciec, człowiek, który ma ziemię, wciąż jest posiadaczem, nawet jeśli wyżywić się na niej może tylko rogata pustynna ropucha.

Z ogrodzenia, które kiedyś oddzielało tę drogę od upraw, pozostało tylko kilkanaście przekrzywionych słupów, na których z rzadka przysiadaly ptaki. Dawne koleiny zamieniły się w ledwie dostrzegalne wgłębienia, domu wciąż jeszcze nie było widać –lecz tak czy inaczej znaleźli się już u siebie, i to było najważniejsze.

Za zakrętem droga zbiegała w dół w stronę rzeczki, o tej porze roku mocno wyschniętej i niewiele szerszej od strumienia. Ale to nadal była ta sama rzeczka, jej niezmienna obecność też składała się na to szczególne poczucie, że oto znów jest się w domu.

Alex rozglądał się, co chwila odnajdując jakieś znajome szczegóły, charakterystyczne ukształtowania terenu, nawet drzewa, które tak dobrze pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Tak, to była jego ziemia, to ona w gruncie rzeczy nauczyła go wszystkiego, a przede wszystkim odnajdywania swego



miejsca w tym tak pozornie prostym, a przecież tak złożonym świecie.

Nauczyła rozpoznawania roślin, czytania śladów zwierząt, rozróżniania całego nieskończonego bogactwa smaków i zapachów. To tu razem z braćmi nauczył się jeździć konno jak Indianin, pływać jak ryba i pracować jak wszyscy diabli.

I gotów był – wbrew wszystkim przeciwnościom losu – podjąć ten trud

jeszcze raz. Teraz, gdy tu wrócił, w jakiś sposób nawet się cieszył, że

dotychczasowe życie było tu tak ciężkie i wyzute z jakichkolwiek ułatwień i udogodnień. Bo to jednak naprawdę czegoś go nauczyło.

Wszystko wokół budziło wspomnienia, a najsilniejsze z nich –oczywiście –

były te dotyczące Karin Simon. Karin, która miała najcudowniejsze w świecie

niebieskie oczy i włosy tak jasne, jak światło księżyca. Karin, która była tak

piękna, tak zachwycająca i tak bardzo niezrozumiana prawie przez wszystkich.

Czasami Alex miał wrażenie, że właściwie tylko on ją naprawdę rozumiał, tylko

on jeden wiedział, dlaczego nieraz zachowywała się tak, a nie inaczej. On jeden

nie miał jej za złe, że chciała od losu więcej, niż ten raczył jej dawać. W takiej

postawie nie było nic złego. Ludzie, którzy nie znali jej dobrze, skłonni byli

uważać ją za samolubną i próżną, nie dostrzegając tego, jak ciężko zawsze

pracuje i jak odmawia sobie niemal wszystkiego, oszczędzając – na przykład –

na zbyt kowne, w ich mniemaniu, stroje. Karin po prostu bardzo dobrze

wiedziała, czego naprawdę chce – i to budziło w Aleksie szacunek i nawet

podziw. Sam chwilami był bliski tego, by jej wzorem powiedzieć sobie, że ma

już dość tego nieustannego niedostatku i pracy ponad siły i że chce od życia

czegoś więcej. I tylko jedna poważna sprawa tak naprawdę ich różniła. Alex

kochał swą ziemię i z niej głównie czerpał całą swą siłę. Natomiast dla Karin ziemia nie znaczyła nic. Była jedynie czymś, co wiecznie zmusza do ciężkiej pracy ponad ludzkie możliwości, była czymś wrogim i chwilami wręcz nienawistnym.

– Na miłość boską, przecież to tylko ziemia – mówiła czasem, kiedy próbował się z nią spierać. – To tylko brudna ziemia. Nic ponad to, naprawdę!

A Alex wtedy brał ją w ramiona i całował, tłumacząc jej cierpliwie, jak on to widzi.

– Skarbie, ta brudna ziemia kiedyś da ci wszystko, czego pragniesz, wszystko, o czym marzy twoje serduszko.

Ale Karin była zbyt praktyczna, żeby dać się porwać takim marzeniom.

– Nie wierzę w takie piękne bajki – mówiła. – Na skrzydłach marzeń daleko się nie polecą. Życie to nie jest bajka, mój drogi, to rzeczywistość.

43

Twarda, zimna i okrutna rzeczywistość.

– Dlaczego życie wydaje ci się aż tak nieznośne, gdy masz wszystko to, co masz? Jak możesz czuć się nieszczęśliwa?

– Ponieważ jestem nieszczęśliwa. Czy ty tego nie widzisz?

– Nie, nie widzę. Ale to nie znaczy, że nie zrobię wszystkiego, co mogę, żeby ci dać to, o czym marzysz. Zrobię to, jeśli będę mógł. A tę ziemię po prostu kocham i wierzę, że któregoś dnia uczyni mnie bogatym. Jestem tego pewny.

– A jeśli nie?

– To wciąż jeszcze będziemy mieli siebie nawzajem.

– Nie, Aleksie, to za mało. Kocham cię, ale to naprawdę nie wystarczy... –

Obróciła się do niego, a w jej oczach błysnęły łzy. – Kiedyś, dawno temu, przeczytałam takie jedno zdanie ze świętego Augustyna. Miałam wtedy ledwie dwanaście lat, ale już mnie to poruszyło i zapamiętałam je na długo. Potem nawet przepisałam je bardzo starannie i zawiesiłam przy łóżku, żeby mieć je stale przed oczami. Jego sens był mniej więcej taki: to, czym jesteśmy, nigdy nie może nas zadowalać, jeżeli chcemy osiągnąć to, czym wciąż jeszcze nie jesteśmy. To dlatego nie czuję się szczęśliwa, dlatego zupełnie nie cieszy mnie to, że jestem taka, jaka jestem, i że mam to, co mam. Wcale nie dlatego, że chciałabym patrzeć na ludzi z góry albo że uważam, iż jestem lepsza od innych. Ja po prostu mam już dość takiego życia, tej nędznej wegetacji, wiecznego grzebania się w brudnej ziemi tylko po to, by mieć z niej ten mamy chleb i nędzne kartofle. Chcę się pięknie ubierać i jadać w dobrych lokalach, których nie znam nawet z nazwy. Chcę móc pójść do najdroższego nawet sklepu i kupić tam to, co zechcę, bez pytania o cenę i bez lęku przed drwiącymi spojrzeniami personelu i uśmieszkami innych klientów w przypadku, gdybym zrezygnowała z zakupu. Wiem, że ty tego raczej nie rozumiesz, bo nie wykluczone, że tak do końca ja też nie rozumiem samej siebie. Wiem tylko, że chcę tego wszystkiego, o czym powiedziałam. Pragnę tego ponad wszystko i gotowa jestem walczyć o to nawet zębami i pazurami, jeśli będzie trzeba.

– Ale wciąż nie możesz być pewna, że ci się uda.

– Wtedy wolałabym umrzeć.

– Nie pojmuję, jak w ogóle możesz mówić coś takiego. To nedorzeczne...

po prostu szalone.

– Mogę tak mówić, ponieważ to jest prawda. Gdybym wiedziała na pewno,

że to, co teraz tu mam, razem z tym domem, ziemią i całą tą nędzną resztą, to już wszystko, na co mogłabym liczyć w moim życiu, bez chwili wahania

44

wzięłabym dubeltówkę ojca i popełniłabym samobójstwo.

Alex chciał w tym momencie coś powiedzieć, ale Karin nie pozwoliła mu na to. Wzięła go za rękę i wyprowadziła na ganek.

– Stań tu – poleciła. – Stań i patrz tak daleko, jak tylko potrafisz, w dowolnie obranym kierunku. I powiedz mi, co widzisz?

– Widzę ziemię.

– Ano właśnie! To dowodzi, jak bardzo się różnimy. Ty patrzysz i widzisz ziemię, a ja z tego samego miejsca widzę gwiazdy.

Tak rozmawiali ze sobą cztery lata temu.

Czy w ciągu tych czterech lat coś się w niej zmieniło? Czy nadal widziała te swoje gwiazdy? I czy w ogóle myślała jeszcze o nim – zważywszy na to, że aż tak długo go nie było. Nie pisał do niej, bo praktycznie nie miał takich możliwości, będąc stale w akcji, na kolejnych patrolach, w potyczkach i bitwach. Walki trwały nieustannie i to, o dziwo, była dla niego pewna pociecha, a dokładniej mówiąc, był nią fakt, że z powodu tej wojny z pewnością było znacznie mniej mężczyzn do wzięcia, wszędzie, a więc także i w hrabstwie Limestone. Może więc Karin wciąż nie znalazła sobie nikogo?

Pocieszał się tą myślą, lecz wcale nie był tego pewny. Trudno było mieć pewność, kiedy chodziło o kobietę tak piękną i jednocześnie tak zdeterminowaną. Wiedział, że tak do końca nie może przecież wykluczyć nawet ewentualności jej małżeństwa z jakimś ogłupiałym z miłości ramolem,

dostatecznie starym, by go nie powołano do wojska, i jednocześnie dostatecznie bogatym, by ją skusić. Ale w ich okolicy prawie wszyscy byli Jednakowo biedni, więc może nikt taki jej się nie trafił? Wszystko zapewne zależało od szczęścia. A nawet od zwykłego przypadku. Alex stłumił westchnienie. Znów miał przed oczami tamten Wieczór – ostatnie wspólne chwile przed jego wyjazdem na wojnę. Poprosił ją wówczas, żeby na niego czekała, żeby dała mu szansę wykazania się po powrocie. Właściwie gdy tylko wypowiedział te słowa, od razu tego pożałował.

Karin milczała. Podniosła wzrok i po prostu patrzyła na niego. Ich spojrzenia się spotkały i na pewno mówiły więcej niż słowa. Alex poczuł, jak jego serce nagle zaczyna bić szybciej, i gotów byłby przysiąc, że w tym momencie to samo działo się z sercem Karin. Jej twarz pozostawała nieruchoma, lecz nagły rumieniec, który pojawił się na policzkach, jawnie świadczył o tym, że budzącej się namiętności nawet ona nie potrafiła do końca opanować.

Zdawał sobie sprawę, że Karin nadal się waha, że uczucie do niego wciąż ściera się w niej z pragnieniem wyrwania się wreszcie z biedy, bez względu na cenę. Musiał coś zrobić, by ostatecznie przeciągnąć ją na swoją stronę. Zrobił więc to, co podpowiadał mu instynkt.

Objął ją, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Opierała się tylko przez krótki moment, już po chwili przylgnęła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję; jej rozchylone wargi same szukały jego warg i wnikającego w nią głęboko języka. Alex tulił ją coraz mocniej, zupełnie tak, jak gdyby ten uścisk naprawdę

mógł ich złączyć na zawsze, uczynić jednym ciałem nie na chwilę, lecz na całą wieczność.

I jak zawsze, kiedy trzymał ją w ramionach, miał gwałtowną erekcję. Ona oczywiście też musiała to poczuć przez cienką tkaninę sukienki; jego naprężony członek całą długością dotykał jej brzucha. Chłopak jedną ręką wciąż przyciągał ją do siebie, a drugą zaczął pieścić jej piersi. Ale wtedy Karin szarpnęła się i spróbowała się wyrwać.

– Aleksie, proszę cię... – Oddychała z trudem. – Nie możemy.

– Dlaczego, do wszystkich diabłów?! – spytał gniewnie.

– Proszę cię. Nie powinieneś mieć mi tego za złe. To nasz ostatni wspólny wieczór, więc niech po nim pozostanie w naszej pamięci coś innego niż tylko ten twój gniew albo tylko...

– Albo tylko co?! No powiedz, co chciałaś tu jeszcze dodać?

– Już nic.

– Akurat! Tylko obmacywanie! To chciałaś powiedzieć! Może powiesz, że nie?! – Potrząsnął nią gwałtownie. – No przyznaj się!

– No więc dobrze, niech cię diabli! Tylko obmacywanie. Jesteś zadowolony?

– W każdym razie dziękuję za szczerość.

– To nie jest tak, jak myślisz.

– Nie jest? No to jak jest, skarbie? Zatem powiedz mi uczciwie, co czujesz, kiedy cię dotykam. Czy to cię odpycha? Przeraża? Czy marzysz wtedy tylko o tym, żebym cię natychmiast zostawił i poszedł w diabły?

– Nie! – zaprotestowała Karin. – Przecież dobrze wiesz, że wtedy ja też

**chcę robić z tobą to wszystko, co ty chcesz robić ze mną.**

**– Więc dlaczego tego nie robimy, na miłość boską?**

**– Bo jest jeszcze za wcześnie.**

46

**– Za wcześnie na co? O świcie już wyjadę. A listownie na pewno tego nie zrobimy!**

**– Jest za wcześnie na to, żeby wiedzieć, co przyszłość nam przyniesie. Ty wyjeżdżasz, żeby zaciągnąć się do wojska. Wojna może wybuchnąć lada moment. A wtedy wszystko może się wydarzyć. Rozłąka może sprawić, że twoje uczucia całkiem się odmienia. Możesz nawet zginąć na tej bezsensownej wojnie. Albo spotkać kogoś innego, związać się z jakąś inną kobietą.**

**– Ty też możesz spotkać kogoś innego.**

**– Wiem o tym. I właśnie dlatego nie możemy zrobić tego, czego oboje tak bardzo chcemy. A poza tym przyrzekłam sobie, że nie oddam się żadnemu mężczyźnie bez ślubu.**

**– Proponowałem ci ślub, a ty odmówiłaś.**

**– Nie odmówiłam. Ty mówiłeś o ślubie w przyszłości, a ja powiedziałam, że dam ci na to odpowiedź, kiedy wrócisz. – Znow go objęła i przytuliła się do niego czule i ufnie. – Kocham cię, Aleksie.**

**– Ja też cię kocham.**

**To były ostatnie słowa, które wtedy wypowiedział. O świcie wyjechał i od tego czasu upłynęły już prawie cztery lata. Ale ten trudny okres, jak się okazało, w żaden sposób nie zmienił jego uczuć i wypowiedziane wówczas wyznanie mógłby teraz powtórzyć równie szczerze, jak wtedy. Problem polegał**

na tym, że wciąż nie wiedział, czy o Karin można byłoby powiedzieć to samo.

Skoro jednak wrócił, najpewniej miał się tego dowiedzieć już wkrótce. Tak czy inaczej już za chwilę miał być w domu.

Zdrożone konie wolno wspinały się na ostatni już łagodny pagórek, za którym jechało się jeszcze nieco w prawo i prosto do bramy. Jednak na samym szczycie wzgórza bracia, jakby wiedzeni tym samym odruchem, wstrzymali konie, usiedli wprost na zarośniętej gęstą trawą drodze i w milczeniu patrzyli na leżące przed nimi rodzinne domostwo. Dokładniej mówiąc – na to, co z niego pozostało.

Teraz to już nie był ten piękny dom, który pamiętali z najszcześniejszych lat dzieciństwa i wczesnej młodości. Wtedy to była niemalże rezydencja; efektowny był zwłaszcza główny budynek z dwoma gankami, stylową werandą i rozległym dziedzińcem przed głównym wejściem. Całość była otoczona najróżniejszymi ozdobnymi krzewami i solidnym płotem z malowanych

47

sztachet, po których piał się wiecznie kwitnący powój. Ale po latach to wszystko zostało zniszczone podczas napadu Komanczów, dom spłonął, a z całego budynku pozostał tylko komin. Alex i Adrian wraz z resztą braci pomagali ojcu w początkach odbudowy, a kiedy wkrótce potem ojciec został zabity, pozostała przy życiu piątka młodych Mackinnonów musiała kończyć prace już tylko własnymi siłami. Bardzo szybko przekonali się, że nie mają umiejętności i doświadczenia ojca i że odbudowa całości po prostu przerasta ich możliwości. W rezultacie odbudowana została już tylko część domu, a i ta zupełnie nie przypominała tego, co było dawniej. Młodzi Mackinnonowie



**zrobili to, co mogli, lecz rezultat był taki, jaki był. Najcelniej ujął to Nick, który powiedział, że dzięki ich pracy dom nadal wygląda jak ruina, i to od pierwszego dnia po zakończeniu odbudowy. Nawet przy najlepszych chęciach trudno było uznać ten rezultat za zadowalający.**

**Teraz, po czterech latach nieobecności właścicieli, dom mógł wyglądać tylko gorzej. I rzeczywiście, nawet z pewnej odległości sprawiał przykre wrażenie domostwa całkowicie zaniedbanego i opuszczonego. Bliźniacy popatrzyli na siebie i tylko pokiwali głowami.**

**– No cóż – odezwał się w końcu Alex. – Niczego innego nie mogliśmy się spodziewać. Jedziemy?**

**Ponownie dosiedli koni i po chwili byli już na dziedzińcu. Tam przywiązali wierzchowce do resztek walącego się płotu, a Alex ruszył przodem w kierunku głównego wejścia.**

**Nacisnął klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły.**

**– Kto ma klucz? – spytał, ale brat tylko wzruszył ramionami. W końcu kiedy wyjeżdżali, ciągle jeszcze był tu ich brat Ross. A poza tym żaden z nich właściwie nie przewidywał, że kiedykolwiek tu wróci.**

**– Myślę, że gdyby mocniej kopnąć w te drzwi, to z wejściem nie byłoby trudności – powiedział w końcu Adrian.**

**– Chyba masz rację – zgodził się Alex. Uniósł nogę i grubą podeszwą buta uderzył tuż obok klamki. Rezultat był o tyle nieoczekiwany, że całe drzwi po prostu wpadły do środka razem z futryną. Zwały się na podłogę z wielkim hukiem, wzbijając w powietrze potężny tuman kurzu.**

**– I w ten sposób mamy pierwszą pozycję na liście rzeczy do naprawy. –**

**Adrian uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było radości.**

**– To będzie bardzo długa lista. – Jego brat wszedł do środka, odruchowo zasłaniając oczy i usta przed kurzem, który wzbijał się w górę przy każdym**

**48**

**kroku. Wewnątrz to wyglądało jeszcze gorzej, niż można było przypuszczać.**

**Wszystko wydawało się stare, opuszczone i rozpaczliwie zaniedbane; nieliczne ocalałe przedmioty w niczym nie przypominały rodzinnego domu sprzed lat, którego obraz wciąż pozostawał żywy w ich pamięci.**

**Warstwa pyłu leżącego dosłownie na wszystkim była tak gruba, że obaj w końcu musieli przerwać oglądanie wnętrza i pośpiesznie wyszli na zewnątrz, aby tam poczekać, aż kurz choć trochę opadnie.**

**– Nie ma rady, musimy się za to zabrać – rzekł Alex. – Myślę, że ty mógłbyś od razu pojechać do miasta i kupić to wszystko, co może nam być potrzebne, a ja tymczasem postarałbym się jakoś to uprzątnąć i doprowadzić wewnątrz do stanu jakiejś używalności. Odpowiada ci taki podział obowiązków czy może wolałbyś się zamienić?**

**– Mowy nie ma! – zawołał Adrian i roześmiał się. – Zdaje się, że podłapałeś kawałek naprawdę przyjemnej roboty. To coś w sam raz dla ciebie!**

**– A ty tak się nie śmiejesz, bo oberwiesz! I jedź, póki się jeszcze nie rozmyśliłem.**

**Po wyjeździe brata Alex zaczął od sprawdzenia stanu posiadania. Okazało się, że nie ma dosłownie nic – żadnej szczotki czy miotły, żadnej choćby ścierki, nie mówiąc już o jakimś wiadrze na wodę i mydło do szorowania. W jaki sposób Ross, który mieszkał tu jako ostatni, potrafił doprowadzić ten dom**

aż do takiego stanu, trudno byłoby powiedzieć po tylu latach. Faktem jednak było, że tak naprawdę interesowały go jedynie kobiety. Rezultat takiej postawy był teraz do obejrzenia.

Alex zaczął więc od wyniesienia na słońce paru kompletów nieco wilgotnej pościeli, którą znalazł w starej komodzie matki. Rozwiesił to wszystko na resztkach płotu, aby przeszło. Podobnie postąpił z dwoma starymi materacami, które ułożył do przeschnięcia na odsłoniętej części werandy. Do właściwego sprzątanego na razie nie mógł się zabrać, ale wiedział już, gdzie może znaleźć wszystkie najpotrzebniejsze do tego rzeczy.

Wsiadł więc na konia i ruszył na przelaj ścieżką, którą bardzo dobrze pamiętał. Po kilku minutach był już nad wodą. Przejechał przez płytką rzeczkę brodem przy pekanowym gaju, za którym zaczynało się pastwisko, należące do Simonów. Pasło się tani kilka sztuk bydła, które przyglądało mu się z takim samym zaciekawieniem, z jakim i on przypatrywał się zapadłym bokom dziwnie wychudzonych zwierząt. Te krowy wyglądały na bardzo zaniedbane; na pewno nie mogły dać wiele mleka. Stojący nieopodal dom też wydawał się

49

zaniedbany. Czyżby to znaczyło, że stary Simon umarł?

Im bardziej się przyglądał, tym bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu.

Całe gospodarstwo zdawało się chylić ku upadkowi, tak jak chociażby ten rozpaczliwie przekrzywiony kurnik tuż za ogrodzeniem, który od razu rzucał się w oczy. Przy walącym się płocie wrastał w ziemię od dawna nieużywany i kompletnie zardzewiały pług, ledwie widoczny wśród bujnie rozrośniętych chwastów. Z pięknej niegdyś wędzarni pozostało tylko kilka osmalonych belek,

cała frontowa część plotu wraz z furtką leżała na ziemi, najpewniej też już od dawna, bo trawa między sztachetami wyrosła bardzo wysoko. A na dziedzińcu z tyłu domu, ledwie kilka kroków od wejścia, leżała w błocie stara maciora z tuzinem przepychających się do niej malutkich prosiąt, pokwikujących tak, jak gdyby wszystkie naraz właśnie umierały z głodu. Krótko mówiąc, wszystko wyglądałoby tu niemal jednakowo deprymująco i beznadziejnie, gdyby nie stojąca na ganku i sypiąca kurom okruchy, młoda, ciemnowłosa, niezwykle urodziwa kobieta.

– Kimże ona jest, u diabła?! – rzucił pod nosem Alex. Katherine Simon – bo to ona była tą kobietą – rzeczywiście karmiła kury, kiedy w oddali zobaczyła zbliżającego się od strony rzeczki mężczyznę na koniu. Początkowo go nie rozpoznała i już miała zamiar się odwrócić, kiedy nagle w jego sylwetce dostrzegła coś znajomego. Spojrzała jeszcze raz i nagle wstrzymała oddech; jej nogi niespodziewanie zrobiły się zupełnie miękkie, zachwiała się lekko i odruchowo złapała za serce. Nie była w stanie zrozumieć, co się z nią dzieje, czuła ogromną, niewyobrażalną radość, ale i niemal równie wielkie przerażenie. Te sprzeczne uczucia sprawiły, że mocno pobladła, choć jednocześnie jej tętno gwałtownie przyśpieszyło. To był on – Alex Mackinnon. Mężczyzna, o którym myślała w ciągu dnia i o którym śniła w nocy. Tak długo widywała go jedynie we śnie – a teraz oto naprawdę się pojawił, jak najbardziej realny i żywy. Najdroższy, najukochańszy Alex! Jeśli więc jej serce biło znów szybciej, to jednak przede wszystkim z szaleńczej radości. Choć to pewnie nie ona będzie się mogła najbardziej cieszyć.

Ta myśl na chwilę ją otrzeźwiła, przypomniała jej, że to przecież nie ją Alex

chciał zobaczyć, tylko jej siostrę. Ale to na razie nie miało znaczenia.

Najważniejsze było to, że w ogóle wrócił – i tego wystarczyło, by poczuła się szczęśliwa. Bezgranicznie szczęśliwa.

Alex zatrzymał konia tuż przed gankiem. Nie zeskokczył na ziemię, może dlatego, że nadal pozostając w siodle, mógł mieć oczy dokładnie na wysokości

50

jej oczu. Przyglądał się jej uważnie, lekko unosząc brwi, jak gdyby wciąż jeszcze miał trudności z jej rozpoznaniem.

Ona natomiast nie miała żadnych. Jeśli Alex zewnętrznie się zmienił, to naprawdę minimalnie. Choć zauważalnie zmężniał, wciąż wydawał się zachwycająco młody. Był wspaniale zbudowany, wysoki, szczupły i nieprawdopodobnie przystojny – co najmniej tak samo, jak przed wyjazdem albo nawet jeszcze bardziej. Ale tym, co szczególnie rzucało się w oczy, były zmiany w osobowości. Dawny, dorastający jeszcze chłopiec zmienił się w mężczyznę, i to Katherine dostrzegła natychmiast.

Nie było w tym nic dziwnego, w końcu to wszystko, co się z nim w tym czasie działo, nie mogło pozostać bez śladu. Tak więc Alex nabrał dojrzałości, a nawet czegoś w rodzaju tej szczególnej patyny, którą zyskuje się tylko z wiekiem. Natomiast jego cudowne bładoniebieskie oczy zupełnie się nie zmieniły, a uśmiech był równie zniewalający jak kiedyś. Tak, prezentuje się naprawdę wspaniale, powiedziała sobie Katherine, a ja pewnie wyglądam okropnie. Te moje nieszczęsne włosy...

Odruchowo podniosła dłoń do czoła, by odrzucić spadające na oczy nieposłuszne pasemka. Niewiele to pomogło, postanowiła zresztą o tym nie

myśleć.

– Dobry Boże, to przecież Alex Mackinnon! – wykrzyknęła, kiedy zbliżył się jeszcze bardziej. – Aż trudno mi uwierzyć, że to ty!

– A mnie z pewnością jeszcze trudniej! – Uśmiechnął się. – Całe szczęście, że ty mnie pamiętałaś, dziewczyno, boja, prawdę mówiąc, rozpoznałem cię dopiero po głosie. Tak nieprawdopodobnie się zmieniłaś...

Była to szczerą prawdą, ponieważ dopiero brzmienie jej głosu przekonało go, już do końca, że ta olśniewająco piękna kobieta o rzeczywiście Katherine Simon. Jakże niewiele pozostało w niej z tej rudej piegowatej dziewczynki, którą pamiętał. Tamta Katherine była dużo niższa, bardziej pulchna niż smukła, w ogóle raczej niezgrabna – najogólniej rzecz biorąc, było to takie szczególne stworzenie, które już przestawało być dzieckiem, ale na pewno jeszcze nie było kobietą. Tymczasem ta Katherine, która stała przed nim, kobietą była z całą pewnością, i to kobietą wyjątkowo piękną. I gdzie się podziała dawna płomienna czerwień jej rudych włosów? Dopiero po chwili, gdy Katherine zeszła z ocienionego ganka i stanęła w słońcu, Alex mógł zauważyć, że w jej fryzurze nadal można było dostrzec czerwonozłote przebliski, teraz jednak znacznie mniej rzucające się w oczy, ponieważ włosy 51 bardzo wyraźnie ściemniały, a dawny kolor miedzi przeszedł w ciepły złoty brąz. Ze względu na wysoką temperaturę powietrza Katherine zaczesала je wszystkie do tyłu, bez reszty odsłaniając twarz. U większości kobiet nie byłoby to korzystne, ale w jej przypadku taka surowa fryzura tylko jeszcze bardziej podkreślała klasyczną czystość jej rysów, zachwycający owal twarzy i cudowną

**gładkość skóry napiętej na wysokich kościach policzkowych. Jej nos był smukły i prosty, prześliczne usta o pełnych miękkich wargach były żywe i pełne wyrazu, ale Jej największym atutem wciąż pozostawały te zupełnie niezwykle zielone oczy. Alex patrzył i wciąż nie mógł się nadziwić, jak bardzo zmieniła się na przestrzeni tych czterech lat. Miał dziwne uczucie, że teraz jest jednocześnie bliska i daleka, niby wciąż zwyczajna, a przecież tak niezwykle, że wręcz egzotyczna. I przy tym wszystkim tak bardzo kobieca, że ciągle nie potrafił oderwać od niej oczu. Wpatrywał się w nią jak w jakieś niezwykle zjawisko.**

**Ale Katherine była tak rozemocjonowana i przejęta, że prawie tego nie zauważyła. Sama zresztą zachowywała się dokładnie tak samo jak on, bo też patrzyła na niego niemal nieustannie i również nie mogła się dość napatrzeć.**

**Przez chwilę pozwoliła sobie nawet na zupełnie szalone myśli, na fantazjowanie i wyobrażanie sobie, jak by to było, gdyby Alex przyjechał tu nie dla jej siostry, lecz właśnie dla niej. Przeważył jednak zdrowy rozsądek, którego ostatnio sporo jej przybyło, a także dobre serce, które miała zawsze. Jej myśli wciąż jeszcze pędziły w oszalałym galopie, ale na szczęście rozsądek nie pozwalał im oblec się w słowa. A kiedy wreszcie jako tako zapanowała nad sobą, potrafiła tylko powtórzyć to, co powiedziała już wcześniej:**

**– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty... Bo to naprawdę było nie do pojęcia.**

**Alex uśmiechnął się jeszcze szerzej i zapewnił solennie, choć już chyba całkiem niepotrzebnie:**

**– Tak, to naprawdę ja. – Po chwili zsiadł z konia. Och tak, to był on! Tylko on jeden miał taką sylwetkę. Tylko on mógł być tak wysoki i smukły i tak**

obezwładniająco piękny. Piękny tą szczególną męską urodą, która wręcz zmuszała do myślenia o rzeczach, o których szanująca się kobieta myśleć nie powinna.

Patrząc na niego, Katherine była absolutnie pewna, że gdy tylko wieść o jego powrocie się rozniesie, miejscowe kobiety po prostu nie dadzą mu spokoju. Dla mężczyzny takiego jak on każda przecież zrobiłaby wszystko – każda nie tylko upiekłaby najsmaczniejsze ciasto z owocami, ale i poszłaby z

52

tym ciastem w najgorszą pogodę, nawet w najstraszliwszą burzę z piorunami, byle tylko dostarczyć mu to osobiście. Na widok kogoś takiego pod każdą kobietą musiały ugiąć się nogi i Katherine właśnie tego doświadczyła. Patrzyła na niego i czuła się po brzegi przepelniona nie tylko miłością, ale i nagłą tęsknotą, tak przemożną, że musiała się ponownie chwycić poręczy ganku, żeby nie upaść z wrażenia.

Aby powiedzieć cokolwiek, zapytała:

– Jak się ma Adrian?

– Całkiem dobrze. Niewiele się zmienił, jeżeli nie liczyć tego, że jest jeszcze bardziej uparty niż dotąd. Prawdziwie zakuta pała! Wrócił razem ze mną, ale teraz pojechał do miasta, żeby kupić najpotrzebniejsze rzeczy, bo w domu nie znaleźliśmy nawet miotły. A miotła jest bardzo potrzebna, bo dom nie sprzątny przez cztery lata to już nie dom, tylko prawdziwa stajnia Augiasza.

W dodatku zobowiązałem się to wszystko posprzątać, zanim on wróci.

– Posprzątać bez miotły? – Katherine roześmiała się. Alex natychmiast zauważył, że śmieje się też zupełnie inaczej niż dawniej. Tak ciepły i melodyjny



śmiejąc słyszał dotąd tylko u matki.

– Właśnie dlatego przyjechałem – wyjaśnił bardzo serio. – Żeby poprosić o pożyczanie.

– Miotły? – spytała Katherine. Kpiąco przymrużyła powieki, a w jej oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. – Żeby na niej polecieć?!

– Żeby pozamiatać! – zaprotestował, śmiejąc się, Alex, lecz zaraz potem dodał z udaną powagą: – Na miotle latam tylko podczas pełni księżyca.

– No to masz szczęście! W „Kalendarzu Farmera” piszą, że właśnie dziś będzie pełnia.

– Wspaniale! A polecisz ze mną?

„Dokąd tylko zechcesz, nawet na koniec świata!” – tak najchętniej by mu odpowiedziała. Opanowała się jednak i tonem damy, odrzucającej zaproszenie do księżęcego powozu, oznajmiła wyniośle:

– Dziękuję, ale ostatnio nie latam na miotłach. Wolę korzystać z mulów.

– Miotły są chyba bezpieczniejsze?

Katherine znów się roześmiała.

– W porównaniu z naszym mulem chyba rzeczywiście. Jeśli dobrze pamiętam, jakieś pięć lat temu pogryzł cię dosyć boleśnie.

– Chciał mi odgryźć ramię – powiedział Alex. – To ten sam?

– Ten sam. Nazywa się Clovis. Trzeba na niego uważać, bo nadal gryzie, a

53

poza tym stara się zezreć wszystko, co mu się nawinie. Ale ja cię tu trzymam na słońcu w taki upał, co pewnie nie najlepiej świadczy o mnie jako o gospodyni.

Wejdz, proszę, do środka, tam będzie chłodniej, a ja rozejrzę się za jakąś

miotłą i resztą rzeczy, które mogą ci się przydać. Pójdę przodem...

Alex ruszył w ślad za nią i od razu zauważył, że oznaki nieporządku i zaniedbania w gospodarstwie Simonów mimo wszystko kończą się już na progu. Wnętrze było może skromne, ale wciąż utrzymane w nienagannym porządku i czystości. Gdy weszli do kuchni, okazało się, że przez cztery lata właściwie nic się w niej nie zmieniło. Te same firaneczki na oknach, te same sprzęty, ten sam stary stół przykryty obrusem w czerwoną kratę. Alex w pierwszym momencie miał nieodparte wrażenie, że był tu ledwie wczoraj.

– Przyjemnie jest pomyśleć, że w tym ciągle zmieniającym się świecie pozostaje coś stałego – powiedział. – Wasz dom wciąż jest taki sam i to jest piękne.

– Pod warunkiem, że nie będzie się zbyt uważnie patrzeć, jak to wygląda na zewnątrz. – Katherine westchnęła. – Bo, prawdę mówiąc, to nie jest już gospodarstwo, lecz ruina.

– Nie jest chyba aż tak źle.

– Ale dobrze też nie jest. Bądź jednak tak miły i staraj się nadal tego nie widzieć. – Popatrzyła na niego z uśmiechem.

Alex też się uśmiechnął. Miał ochotę zapytać ją o Karin, zdecydował jednak, że zrobi to później.

– Usiądź – poprosiła dziewczyna. – Masz ochotę na kawałek placeka z jabłkami?

Placek też był zupełnie taki sam jak przed czterema laty, tyle tylko, że po śmierci rodziców piekła go już pewnie nie matka, ale Katherine. Zawsze miała talent kulinarny, wszystko, co robiła, było po prostu pyszne. Ten placek także

**pachniał bardzo apetycznie.**

**– Nie, dziękuję za ciasto – odpowiedział heroicznie Alex, choć jego**

**wyglodniały żołądek natychmiast zaczął protestować nieprzyzwoicie głośnym**

**burczeniem. – Nie chcę ci zabierać zbyt wiele czasu.**

**– Myślę, że tak wiele czasu to by ci nie zajęło, zwłaszcza po takiej podróży.**

**– Uśmiechnęła się. – Ale wobec tego placek po prostu zapakujemy razem z całą**

**resztą. Może więc mógłbyś teraz pójść po Clovisa i zaprząć go do wozu, a ja w**

**tym czasie zebrałabym różne rzeczy, które mogą ci być potrzebne.**

**– Nie muszę pożyczać od ciebie muła ani wozu. Mam sakwy przy siodle**

**54**

**konia, które na wszystko w zupełności wystarczą. A miotłę wezmę do ręki jak**

**lancę...**

**– Miotłę może i mógłbyś zabrać w ten sposób, ale przecież nie duży koszt z**

**żywnością, nie mówiąc już o mnie. Nie zmieścimy się na twoim koniu.**

**Zaskoczony jej pomysłem Alex przez chwilę usiłował protestować, lecz**

**całkowicie daremnie. Katherine ujęła się pod boki, zupełnie tak samo, jak to**

**niegdyś czyniła jej matka, i oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu:**

**– Aleksandrze Mackinnon, jeżeli choć przez chwilę myślałeś, że pozwolę**

**na to, żeby mój najdroższy przyjaciel, którego nie widziałam tak długo,**

**odjechał stąd sam i sam próbował doprowadzać do porządku dom, którego nie**

**sprzątano co najmniej przez cztery lata, to mogę ci tylko poradzić, żebyś się**

**mocno puknął w głowę i wybił z niej takie niemądre pomysły. Mowy nie ma,**

**żebyś cię puściła samego, głodnego, i nie mającego pojęcia o sprzątaniu!**

**Obróciła się w stronę kredensu i zaczęła z niego wyjmować talerze i**

**serwetki, ciągle jeszcze mówiąc na wpół do Alexa, a na wpół do siebie:**

**– Co ze mnie byłaby za sąsiadka, gdybym po waszym powrocie z wojny nie pomogła choć trochę, przynajmniej na samym początku? Moja biedna matka przewróciłaby się w grobie, chyba nie myślisz, że mogę na to pozwolić!**

**Alex uśmiechnął się, przypominając sobie, jak to tamta, młodsza o cztery lata, Katherine nieustannie mówiła sama do siebie. Pewne rzeczy jednak w niej pozostały.**

**Pakowała ciasto, ale kątem oka musiała dostrzec jego rozbawienie, bo znów obróciła się ku niemu.**

**– Może byś już przestał tak szczerzyć zęby i poszedł zaprzęgać Clovisa? – powiedziała surowo, udając, że marszczy czoło. – Tylko nie zapomnij, że on gryzie!**

**– Powiniennem pewnie wziąć ze sobą kawałek dobrego kija, żeby go nauczyć rozumu – powiedział Alex. – Ale nie zrobię tego, bo wiem, że kochasz to wredne zwierzę i znienawidziłabyś mnie, gdybym tylko spróbował je tknąć.**

**– Nie potrafiłabym cię nienawidzić – odezwała się cicho Katherine. Jej głos nagle stał się miękki i ciepły. – Wszystko jedno, co zrobiłbyś, i tak nie potrafiłabym.**

**Ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli na siebie przez tę nieskończenie długą chwilę i żadne z nich nie odwróciło wzroku. Przestrzeń między nimi zdawała się kurczyć, czas przestał upływać; wypowiedziane słowa wciąż jeszcze brzmiały, a Katherine miała poczucie, że to nigdy się nie skończy. To, co**

**jednak bolesną świadomość, że nie powiedziała nic. Czowała, jak rośnie w niej napięcie, jak jej ciało tężeje, a usta drżą bez żadnego rozsądnego powodu, chciała nawet się odwrócić, lecz po prostu nie potrafiła tego zrobić. Nie mogła. Było tak, jakby Alex nagle zyskał nad nią jakąś niesamowitą władzę, jak gdyby mógł ją obejmować, nie ruszając się z miejsca, dotykać i nawet pieścić na odległość. W tym szczególnym momencie miała niemal pewność, że on naprawdę to robi, że w jakiś sposób poznał już jej całe ciało, i to nawet lepiej niż ona sama. Och, czuła go, to wrażenie mogło być bliskie szaleństwa, ale było rozkoszne, budziło w niej jakieś niezwykle, nieznane dotąd dreszcze, jakieś słodkie pulsowania w najbardziej intymnych miejscach. Miała ochotę krzyczeć, śmiać się i płakać jednocześnie. Och, gdybyż on tylko wiedział... To mogłoby być takie piękne.**

**Kiedy na nią patrzył, przez moment miała niemal pewność, że czyta w niej jak w książce i że wie. Wie wszystko.**

**Ale to było tylko marzenie.**

**Nie wie i pewnie nigdy nie będzie wiedział. Alex był mężczyzną działającym zawsze świadomie, tak więc i jego miłość nieuchronnie musiała być aktem świadomej woli. Nie było w tym żadnej zbieżności z racjami serca, o których jego umysł po prostu nic nie wiedział. W przekonaniu Katherine tak musiałoby być;**

**Alex kochał Karin właśnie przez rozum, z pełną świadomością –kochał ją dlatego, że chciał ją kochać. Kochał ją, ponieważ był człowiekiem silnej woli. I to był zasadniczy powód, dla którego Katherine nie mogła się poddawać żadnej złudnej nadziei. Alex jej nie kochał, ponieważ tego nie chciał, chciał**

natomiast, żeby między nimi trwała tylko przyjaźń, i żadna siła nie mogła go zmusić do zmiany tego wyboru. Na tym cała sprawa się kończyła – przynajmniej dla niego.

A dla niej? No cóż, ból pozostawał bólem, złamane serce złamanym sercem, ale trzeba się z tym pogodzić –jak najbardziej świadomie. Ta pozornie niekończąca się chwila nadziei w rzeczywistości trwała bardzo krótko, bo tylko tyle mogła trwać.

Katherine stłumiła westchnienie, machinalnie poprawiła włosy i spróbowała się uśmiechnąć.

– Przepraszam, że nagle się zamyśliłam – powiedziała. –Czas ucieka, a tyle jest przecież do zrobienia.

56

Odwróciła się pośpiesznie, żeby ukryć łzy, które napływały jej do oczu i których nie mogła opanować. W tym momencie marzyła już tylko o tym, żeby być przez chwilę sama. Żeby Alex nie oglądał jej upokorzenia.

Zauważył, że coś się z nią dzieje, że jej dziewczęco smukłe plecy drżą niebezpiecznie, i domyślił się, że unoszona ku twarzy dłoń Katherine najpewniej ukradkiem ociera powieki. I nagle ogarnęła go fala wzruszenia i czułości. Chciał natychmiast podejść do niej, objąć ją i przytulić. Utulić... Tak, miał na to ogromną ochotę, choć nie miał przecież żadnego prawa.

Potrząsnął głową. Takie zachcianki były niebezpieczne i wcale nie musiały się brać z czułości i chęci opieki. Za długo nie miałeś kobiety, bracie, i to jest prawdziwy powód. Jeszcze trochę takiego postu, a gotów byłbyś naprawdę zrobić coś takiego. A przecież to nie jest twoja Karin, tylko Katherine.

**Katherine!**

**Usiłował to sobie wyperswadować z całą mocą, ale jakiś przekorny głos wewnętrzny za każdym razem odpowiadał mu na to: „Wiem o tym. Wiem o tym, do cholery!”.**

**Pierwszy raz – na ile był w stanie to sobie przypomnieć –czuł się skrępowany w obecności Katherine Simon. To było dotychczas nie do pomyślenia, bo zawsze wydawała mu się osobą, przy której każdy może się czuć swobodnie – a już on z całą pewnością. Więc dlaczego teraz nagle czuł się tak, jak gdyby to właśnie on był tu winien?**

**Potarł czoło i rzekł:**

**– Pójdę zaprząć Clovisa, a kiedy się z tym uporam, wrócę i pomogę ci przenieść to wszystko do wozu.**

**Katherine skinęła głową, lecz się nie odwróciła. Jeszcze pilniej zajęła się pakowaniem kosza.**

**Kiedy Alex w końcu wrócił, oboje zdążyli się już uspokoić na tyle, że znów rozmawiali całkiem swobodnie, a po paru minutach nawet zaczęli żartować.**

**Po załadowaniu wszystkich rzeczy do wiekowego farmerskiego wozu z ogromnym płóciennym dachem Alex przywiązał uzdę konia do uchwyty z tyłu wozu, a następnie wspiał się po kole na przednią ławeczkę, na której już siedziała Katherine z lejcami w ręku. Gdy usiadł tuż koło niej, ich biodra na chwilę się zetknęły. I choć trwało to ledwie moment, a ich ciała rozdzielalo kilka warstw tkaniny, oboje mieli wrażenie, że to było niczym przypadkowe dotknięcie rozpalonego pieca. Alex natychmiast odsunął się bardzo uprzejmie – nawet dalej, niż sytuacja tego wymagała – i poprosił Katherine, żeby to ona**

nadal trzymała lejce i kierowała swym rodzinnym wozem zaprzężonym w rodzinnego muła. W odpowiedzi tylko skinęła głową, z wprawą trzepnęła lejcami i wóz ruszył.

Ku zaskoczeniu Alexa, tak zwykle rozmowna Katherine podczas jazdy prawie nic nie mówiła. Skupiona na powożeniu, patrzyła głównie przed siebie, co on wykorzystał, by przyglądać się jej najpierw nieco ukradkiem, kątem oka, a potem nawet już zupełnie otwarcie. Znow zachwycił go jej profil –zabawnie stanowczy podbródek, miękka linia warg, z których dolna wydymała się leciutko w chwilach, gdy powożenie wymagało większej koncentracji; pięknie zarysowany nosek i nieprawdopodobnie długie ciemne rzęsy, tym wyrazistsze, że kontrastujące z olśniewająco gładką, jasną cerą. Jej delikatna skóra była lekko zaróżowiona na policzkach, a na długiej smukłej szyi była już mlecznobiała – niemal równie biała, jak jej bluzka, pod którą rysował się oszalamiający kształt krągłych piersi. To było jak uderzenie – Alex nagle przyłapał się na tym, że raz po raz zerka właśnie w tym kierunku.

Patrz lepiej przed siebie, ty głupcze! – zganil się w myślach i pośpiesznie przeniósł wzrok na znacznie mniej ekscytujący grzbiet ciągnącego ich wóz muła. Tak, patrz właśnie na niego, a nie na nią! Bo to jest Katherine!

Katherine, a nie Karin, ty skończony durniu!

Wściekły na siebie i na własne, doprawdy niezrozumiałe, zachowanie, Alex postanowił dokonać radykalnego cięcia. Nie mógł przecież godzić się z sytuacją, w której jego nadmiernie głodny kobiet organizm nie potrafił już dokonywać zupełnie zasadniczego rozróżnienia między siostrami. Ta tutaj to



**Katherine. A ta, którą on, Alex Mackinnon, niezmiennie kocha – to Karin.**

**Karin i tylko Karin! Trzeba więc raz skończyć z różnymi niebezpiecznymi niedookreśleniami i wyjaśnić to do końca. Zapytać wreszcie o to, o co powinien był zapytać już dawno.**

**– Gdzie jest Karin? – W jego głosie brzmiała pełna determinacja.**

**Katherine przez chwilę milczała, potem spojrzała na niego i powiedziała:**

**– W mieście. Po śmierci ojca zaczęła tam pracować w sklepie, w takiej niewielkiej firmie, szyjącej damską odzież.**

**Wóz zbliżał się już do rzeczki. Katherine nie pojechała jednak do brodu, zdecydowała się na nieco dłuższą drogę przez niewielki drewniany mostek, usytuowany jakieś pół kilometra dalej. Choć Alex nie zapytał o nic więcej, już z własnej inicjatywy opowiedziała mu o powodach takiej decyzji, o niezwykle trudnym okresie po śmierci obojga rodziców i o dzielnej postawie Karin, która**

**58**

**w końcu podjęła pracę w mieście, żeby jakoś pomóc w utrzymaniu domu i ziemi. W rezultacie już prawie od roku Katherine sama zajmowała się gospodarstwem, a jej starsza siostra pozostawała głównie w mieście, pomagając finansowo w miarę możliwości.**

**– Bez niej nie udałooby się utrzymać tej farmy – mówiła Katherine. – Teraz to trochę przypomina sytuację starego bezdzietnego małżeństwa. Ja pozostałam na miejscu, żeby zajmować się domem i ogrodem, a Karin pracuje w mieście. Zarobione przez nią pieniądze pozwalają na wynajęcie niezbędnej pomocy przynajmniej do orki i innych cięższych prac. Karin, oczywiście, musi sama żyć bardzo oszczędnie, od dawna zresztą tak żyła. Wciąż mnie to**

**zadziwia, jakim cudem potrafi zawsze coś odłożyć, nawet z tak mizernej płacy.**

**Czasami chciałabym być tak dzielna jak ona.**

**– Powiadasz, że wciąż coś odkłada? – spytał Alex. – To pewnie znaczy, że nadal marzy o wyjeździe. Do San Francisco albo przynajmniej do St. Louis, jeżeli dobrze pamiętam.**

**– Albo do Dallas, albo do Nowego Orleanu. A poza tym lubi się dobrze ubierać i gotowa jest pracować jak wyrobnica, byle tylko mieć te piękne rzeczy.**

**Mówiła to z pozycji tej gorszej siostry, która nigdy się tak pięknie nie ubierała. I rzeczywiście, także i teraz Katherine ubrana była nad wyraz skromnie. Kiedy jednak Alex próbował popatrzeć na nią pod takim właśnie kątem, z pewnym zadziwieniem stwierdził, że brak pięknych strojów tak naprawdę niczego jej nie ujmuje, że w jej przypadku taki czy inny ubiór rzeczywiście może być rzeczą drugorzędną. Uroda Katherine broniła się sama, jej wdzięk zniewalał nawet bez żadnej oprawy.**

**Dawno już przejechali przez mostek i do końca drogi pozostało im ledwie kilkaset metrów, a on wciąż próbował wytłumaczyć sobie, dlaczego myśli to, co myśli, i zachowuje się tak, jak się zachowuje... czy też raczej tak, jak w żadnym wypadku nie powinien się zachowywać.**

**Tak nie można, człowieku, nie powiesz przecież, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. To chyba naprawdę dlatego, że zbyt długo nie miałeś do czynienia z kobietami. Tak, chłopie, po takim poście gapiłbyś się chciwie na każdą. Na jakąkolwiek.**

**Tak to sobie tłumaczył, choć zdawał sobie sprawę, że to nieprawda.**

**Katherine nie była jakąkolwiek, w żaden sposób nie dałoby się tego o niej**

powiedzieć. O tej dawnej – tak, z pewnością, ale przecież nie o tej, która teraz siedziała obok niego. Ta była naprawdę wyjątkowa. Mówiąc zupełnie szczerze

59

– po prostu czarująca. Ale na czym właściwie polegał ten jej czar? Na to właśnie pytanie próbował sobie odpowiedzieć.

Na szczęście dojechali już na miejsce i mogli od razu zabrać się do roboty.

Alex ambitnie postanowił wziąć na siebie najcięższą część gruntownego sprzątnia, którą jego matka nazywała sprzątniem z grubsza. Tym razem zwały kurzu, które należało zmieść i usunąć, były tak duże, że rzeczywiście była to praca dla mężczyzny. Katherine miała zająć się resztą, a więc tym, co kobiety zwykle robią, kiedy mężczyzna już – w swoim mniemaniu – posprząta. One wtedy muszą jeszcze posprzątać po nim.

Zabrał się do pracy bardzo intensywnie, także po to, by koncentrując się na niej, nie myśleć za wiele o Katherine. Można powiedzieć, że obie części planu udało mu się zrealizować raczej średnio. Posprzątał z grubsza tak, jak potrafił, a o Katherine tak do końca przestać myśleć po prostu nie mógł, jako że również i w trakcie sprzątnia bez przerwy się na nią natykał. Albo zaglądał do pomieszczenia, które akurat doprowadzała do połysku, choć zaglądał niby tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie radzi.

A ona radziła sobie naprawdę świetnie. Gdy Alex skończył swoją część pracy w ostatnim pokoju, Katherine właśnie finiszowała w kuchni z rezultatem doprawdy imponującym. W ogóle nie wyobrażał sobie, że to wnętrze da się doprowadzić do takiego stanu. Wszystko tam lśniło czystością, po kurzu nie pozostał nawet jeden pyłek, drewno starych kuchennych mebli starannie

przetarte cytrynowym olejkiem nabrało nowego blasku. Dla dopełnienia całości stół został przykryty nowym obrusem w biało–niebieską kratę, a na jego środku znalazły się nawet kwiaty – bukiet jaskrów i parę gałązek pachnącego wiciokrzewu w trochę tylko nadtluczonym wazonie.

– Pracujesz niezwykle szybko – powiedział Alex, nie kryjąc podziwu.

Katherine spojrzała na miotłę, którą wciąż trzymał w ręku, i lekko się uśmiechnęła.

– Czego, niestety, nie mogę powiedzieć o tobie.

– I czemuż to? – zapytał, uśmiechając się jeszcze szerzej. – A ja myślałem, że pracuję co najmniej tak samo ciężko jak ty. Tym razem roześmiała się już w głos.

– To ja pracuję – rzekła. – Ty się bawisz.

– Mam rozumieć, że mnie podglądałaś?! – zapytał z udanym oburzeniem.

– Nie musiałam. I tak wiem, na co cię stać.

– Taaak?! No to zaraz zobaczysz, co ja robię z takimi osobami, które

60

ośmielają się kpić z mojego sprzątanania!

Rzucił się w jej kierunku, udając, że chce ją złapać. Katherine wrzasnęła i uciekła za róg stołu, a potem jeszcze za następny. Stamtąd, w miarę bezpieczna, pogroziła mu palcem.

– Znam cię, Aleksie Mackinnon. Nigdy nie miałeś serca do takiej roboty!

– To oburzające oszczerstwo! – powiedział, śmiejąc się. – A ty to niby miałaś?! Na pewno jeszcze mniej niż ja!

– Ach ty bezczelny kłamco!

Ponownie rzucił się ku niej i choć Katherine jeszcze raz próbowała uciec za róg stołu, zdążył ją złapać w ostatniej chwili. mocną dłonią chwycił w talii i przyciągnął ku sobie.

– Mówilem szczerą prawdę! – Nagle spowaźniał i wpatrywał się w nią z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, którego Katherine dotąd u niego nie zauważyła. Próbowała się wyrwać, ale on trzymał ją nadspodziewanie mocno.

– Lepiej mnie puść – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Bo Adrian będzie wściekły, kiedy wróci i zobaczy, że dom jest wciąż niesprzątnięty.

Urwała nagle, bo od strony drzwi wejściowych dał się słyszeć znajomy kobiecy głos:

– Tak, lepiej ją puść!

5

Alex obrócił się, a jego twarz nagle się rozjaśniła.

– Karin!

Wypowiedział tylko to jedno słowo, ale i tego wystarczyło, by dobry nastrój Katherine bezpowrotnie minął.

Siostra stała w drzwiach, a Alex na jej widok znieruchomiał, głęboko wciągnął powietrze i przez długą chwilę wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Bo też było na co patrzeć.

Po tych czterech latach była wciąż równie piękna – nie, była nawet piękniejsza niż dotąd. Wciąż miała tę samą jasną cerę i złote włosy. Modnie skrojona sukienka z bładoniebieskiego jedwabiu wręcz cudownie układała się na oszalamiająco smukłej figurze, której nawet aniołowie mogliby jej pozazdrościć. Alex pamiętał doskonale, że nawet jako bardzo młoda

**dziewczyna Karin zawsze wyglądała świetnie – ale teraz, gdy dojrzała, zyskała**

**61**

**jeszcze coś więcej: swobodę i pewność siebie dojrzałej kobiety, która wie, czego chce, i wie, w jaki sposób to osiągnąć. A jej uśmiech wciąż sprawiał, że człowiek mimo woli wstrzymywał oddech.**

**Rozpromieniony, podbiegł do niej i chwycił ją w ramiona. Uniósł**

**dziewczynę i zaczął szaleńczo kręcić się w kółko wraz z nią, aż do zawrotu głowy obojga. Katherine dyskretnie odwróciła się, udając, że wyjmuje coś z koszyka, a Karin w końcu wykrzyknęła:**

**– Postaw mnie już wreszcie, ty wariacie, bo za chwilę przewrócimy się oboje!**

**Katherine tymczasem zobaczyła, że w drzwiach pojawił się także i Adrian**

**Mackinnon. Adrian, który najpewniej przyjechał wraz z jej siostrą, ale**

**zatrzymał się już na progu i – zupełnie tak samo jak przed czterema laty –**

**wpatrywał się tylko w nią, w Katherine. Tylko tego brakowało! Nie dość, że**

**Alex wciąż trzymał Karin w ramionach, to jeszcze jego brat najwyraźniej**

**miałby ochotę zrobić to samo, tyle że z nią – na co Katherine w żaden sposób nie zamierzała pozwolić.**

**Najchętniej uciekłaby albo zapadła się pod ziemię. Wyglądało bowiem na**

**to, że uparty Adrian po czterech latach nadal będzie próbował zyskać sobie jej**

**przychyłość, niezrażony dotychczasowym chłodem. Patrzył na nią z**

**nieukrywanym zachwytem, a potem obrócił się do brata i powiedział na tyle**

**głośno, żeby wszyscy słyszeli:**

**– No, no, Aleksie! Gdybym wiedział, że tak olśniewająco piękna kobieta**

**zdecyduje się włożyć fartuszek i pomagać przy sprzątanu kuchni, sam bym tu został, a ciebie wysłał do miasta! Pozwolisz, że złożę jej należny hold?**

**Obrócił się i uklonił mocno speszzonej Katherine, która tylko skinęła głową.**

**– Jak się masz? – powiedział, podchodząc do niej bliżej.**

**– Znośnie – odpowiedziała. – A ty?**

**– Znacznie lepiej od momentu, kiedy znów cię ujrzałem. Taki widok to prawdziwy balsam dla moich zmęczonych oczu. Wyglądasz.. niech to diabli, Katherine, jesteś zachwycająco piękna!**

**Uśmiechnęła się powściągliwie.**

**– No cóż, dziękuję ci, Adrianie. Zawsze miło to usłyszeć, choć nie zamierzam uwierzyć nawet w jedno słowo, bo nie zapomniałam, jakim zręcznym pochlebcą zawsze byłeś.**

**– Powiedziałem szczerą prawdę! – zaprotestował, ale jej to najwyraźniej**

**62**

**nie przekonało.**

**– Tak czy inaczej muszę teraz ponownie wziąć się za ścierkę i miotelkę – powiedziała swym dawnym, bardzo chłodnym, tonem. – Marnuję tu czas, podczas gdy tyle jeszcze zostało do zrobienia.**

**– A nie sądzisz, że powinnaś trochę odpocząć? – wtrącił się Alex. – Chcę teraz zabrać Karin na mały spacer. Nie czułbym się w porządku, gdybyś ty sama miała kończyć całą robotę.**

**– Och, nie przejmuj się, to naprawdę nic takiego. Ty zrobiłbyś dla mnie to samo, gdybym była w podobnej sytuacji. W końcu nie widzieliście się prawie**

**przez cztery lata. Możesz spokojnie iść.**

**Gdy Alex i Karin wyszli, Katherine spojrzała na Adriana.**

**– Przypuszczam, że będziesz teraz chciał trochę odpocząć po podróży. A ja dokończę sprzątanie pomieszczeń na tyłach domu. –Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, skinęła głową i wyszła.**

**Po trzech kwadransach pozostała jej do sprzątnięcia już tylko dawna sypialnia bliźniaków. Gdy i z tym się uporała, musiała jeszcze tylko zaścielić łóżka. Właśnie położyła się na jednym z nich, usiłując wcisnąć pod materac brzeg zszytej z kawałków, różnokolorowej narzuty, kiedy nagle usłyszała tuż za sobą męski głos:**

**– Zawsze podejrzewałem, że mogłabyś świetnie wyglądać w moim łóżku, i chyba się nie myliłem.**

**Katherine zerwała się jak oparzona i zobaczyła Adriana, który stał nad łóżkiem i patrzył na nią z niepewnym uśmiechem.**

**– Adrianie Mackinnon! – wykrzyknęła oburzona. – Przestraszyłeś mnie śmiertelnie! Jak można tak się skradać za czyimiś plecami?! No sam powiedz.**

**Urwała, ponieważ zdała sobie sprawę, że akurat w tej chwili Adrian nie byłby w stanie wykrztusić nawet jednego sensownego zdania. Zbyt był przejęty tym, na co się odważył. Teraz, po tych czterech latach, Katherine wydała mu się absolutnym cudem, najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział w życiu. Nawet w tym momencie, usmarowana kurzem, z fryzurą w wyraźnym nieładzie i z kropelkami potu na czole, wciąż wydawała się wcieloną doskonałością. Była nie tylko zachwycająco piękna, ale i diabelnie ponętna, z tymi policzkami zaróżowionymi z oburzenia, lekko rozchylonymi ustami i**



gniewnymi iskierkami w szeroko otwartych zielonych oczach. Piekielnie uwodzicielska!

Ale Adrian nie mógł nie widzieć jednocześnie, że dla niej –jak wcześniej,

63

tak i teraz – liczy się wyłącznie jego brat. Ta świadomość sprawiła, że tylko westchnął, uśmiechnął się trochę smutno, wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, gdybyś wybrała mnie, a nie jego. Ale cóż...

W jego spojrzeniu było tyle bezradnego żalu, że Katherine mimo woli mu współczuła.

– Och, Adrianie, gdybym tylko mogła... – Urwała i uśmiechnęła się do niego. Cały jej gniew nagle gdzieś przepadł.

– Wiem – powiedział Adrian. – Wiem i rozumiem. Tyle że to jednak boli...

– Mnie też. Zdaje się, że w jakiś sposób mamy ze sobą wiele wspólnego, nasz los jest podobny.

– Nie całkiem.

– Ale wystarczająco. Och, Adrianie! Dlaczego życie musi być aż tak okropne? – Niespodziewanie dla samej siebie sięgnęła po chusteczkę i ukradkiem otarła nią oczy. – Dlaczego?

– Nie wiem. Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że nawet sam pan Bóg wszechmogący nie może przejść przez wieczność, nie zaznając bólu. A skoro tak jest, to wytrzymaj sobie te oczy już do końca i przestań pociągać nosem.

– Nigdy nie pociągam nosem – zaprotestowała, lecz dość słabo, bo nos

**miała rzeczywiście zatkany.**

**Adrian uśmiechnął się, wziął od niej chusteczkę, przyłożył jej do nosa i rozkazał:**

**– Dmuchaj. – A gdy go posłuchała, dodał jeszcze: – A widzisz? Ach,**

**Katherine, Katherine, zawsze były z tobą kłopoty. Ale choć droga życia jest wyboista, jak utrzymują poeci, dasz sobie radę, możesz być pewna. Nie musisz się bać.**

**– No nie wiem... No nie wiem.**

**– Nie wiesz? Może wobec tego powiesz mi, czy... – Adrian udawał, że się zastanawia – czy to nie ty byłaś tą odważną dziewczyną, która w ósmej klasie wygłosiła referat zatytułowany „Nieszczęście, nad którym zdołamy zapanować, staje się naszą siłą” albo jakoś tak. Jak na szkołę, było to może trochę za bardzo udramatyzowane, ale całkiem niezłe.**

**– Więc ty to jeszcze pamiętasz? – spytała zaskoczona. Tylko kiwnął głową.**

**Katherine popatrzyła na jego wciąż smutną minę i rzekła:**

**– Ty też sobie dasz radę. Zobaczysz! Uśmiechnął się i znów pogłaskał ją po**

**64**

**policzku. Widać było, że postanowił ponownie wziąć się w garść.**

**– Oczywiście, że dam sobie radę – odezwał się już innym tonem. – Nigdy nie miałem co tego wątpliwości. Któregoś dnia, kiedy będę już naprawdę wspaniały i przyjemnie będzie na mnie popatrzeć, ty także na mnie spojrzysz i powiesz: „Teraz żałuję, że nie pokochałam go wtedy, kiedy miałam taką możliwość”.**

**– Och, Adrianie, przecież ledwie przed chwilą powiedziałam, że tego**

**naprawdę żałuję. Że gdybym tylko mogła...**

**– Ba.**

**Zamilkli oboje. Katherine z pewnym lękiem pomyślała, że to, co powiedział, mogłoby być prawdą. Ach, gdybyż tylko mogła kochać Adriana tak, jak kochała jego brata!**

**Przyglądała mu się z rosnącym współczuciem. A on był w wyraźnej rozterce; nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, chciał chyba coś powiedzieć, ale ostatecznie odwrócił się i wyszedł bez słowa. Dziewczyna pozostała na miejscu jeszcze przez dłuższą chwilę, siedząc na łóżku i w zamyśleniu przyglądając się ubogim sprzętom i całemu temu biednemu pokoikowi, w którym bliźniacy przespali tyle nocy.**

**Po sprzątnięciu ostatniego pomieszczenia wróciła do kuchni, spakowała koszyk i wyszła na zewnątrz, po drodze przypominając sobie rzeczy, które miała do zrobienia w domu. A tych było jak zwykle mnóstwo, tego dnia nawet więcej niż zwykle. Trzeba było nakarmić kury, zebrać jajka, wydoić krowy, zebrać i pokroić warzywa, a także...**

**Przerwała to dokonywane w myślach wyliczanie, ponieważ przed domem okazało się, że nie ma ani Clovisa, ani wozu.**

**Po chwili namysłu Katherine uznała, że najpewniej to Karin zabrała wóz i pojechała do domu – a ponieważ była tak bardzo rozemocjonowana i podekscytowana powrotem Alexa, o siostrze mogła po prostu zapomnieć. Na pewno nie zrobiła tego celowo, tylko po prostu wyleciało jej to z głowy.**

**Z westchnieniem rezygnacji Katherine ruszyła więc do domu pieszo. Kiedy się szło na przelaj, nie było w końcu tak daleko. Na szczęście pogoda była**

piękna, spacer wśród kwitnących łąk mógł być nawet całkiem miły, a po drodze można było zebrać całe naręczą najpiękniejszych wiosennych kwiatów i pomarzyć o czymś przyjemnym – nawet o tym, jak by to mogło być, gdyby Alex za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki nagle odzyskał rozum i pojął, że prawdziwego szczęścia nie może mu dać żadna inna kobieta, a tylko ta, która

65

naprawdę kocha go najbardziej i ponad wszystko na świecie. A – niczego nie ujmując jej siostrze – każdy bezstronny obserwator musiałby przecież przyznać, że tak bezgranicznie oddaną kobietą Karin jednak nie jest.

Bezgraniczne oddanie po prostu nie leżało w jej naturze. To, oczywiście, jeszcze o niczym nie rozstrzygało, było jednak faktem.

Tak mniej więcej rozmyślając, Katherine zdążyła zebrać całkiem spory bukiet dziko rosnących kwiatów i przeszła prawie połowę drogi. Była już bardzo blisko zakola rzeczki obok pekanowego gaju, skąd po przejściu brodu mogła już iść prosto Jak strzelił.

Oczywiście, gdyby chciała się trzymać wyłącznie stanu faktycznego, nadzieja na to, że Alex Mackinnon kiedykolwiek odzyska rozum, była naprawdę znikoma; Karin była zbyt piękna, żeby mu się to wszystko nagle odwidziało. Ale w życiu przecież różnie bywa, zdarzają się najdziwniejsze rzeczy i człowiek tak naprawdę nigdy nie może wiedzieć, jakie niespodzianki los szykuje dla niego w przyszłości.

W każdym razie w przypadku, gdyby ten ślepy los rzeczywiście zechciał odwrócić bieg wydarzeń i ułożyć wszystko po jej myśli, Katherine byłaby na to w pełni przygotowana. W jej wyobrażeniach na temat tego, jak wtedy

wyglądałoby jej wspólne życie z Alexem, dominowały oczywiście sceny w tonacji różowej. Zbliżając się do rzeczki, w myślach była już po zaręczynach i ślubie, i właśnie rozkoszowała się momentem, w którym Alex zanosił ją do małżeńskiego łóżka, szybko wyluskiwał jej ciało ze ślubnych jedwabów i koronek, zdejmował z niej nawet całą biżuterię, a następnie... Tu, prawdę mówiąc, wyrazisty dotąd obraz rozplywał się w różowej mgle. Katherine nie do końca wiedziała, co mogłoby być dalej, ale była pewna, że musi to być coś wspaniałego, z pewnością jeszcze bardziej podniecającego od dotknięcia jego ręki i nawet od niedawnego zetknięcia się ich bioder, kiedy razem siedzieli na przedniej ławeczce ciągniętego przez Clovisa wozu. To najpewniej było to, co pastor w jednym z kazań określił jako „składanie hołdu ciału”; oczywiście musiało to dotyczyć małżonki albo małżonka. W każdym razie Katherine miała nadzieję, że to nie będzie jedynie zapalenie świec i złożenie kwiatów u jej stóp, ale i coś więcej...

Te jej rozmyślania nagle przerwał czyjś wesóły okrzyk, po którym dał się słyszeć głośny plusk. Ktoś najpewniej musiał właśnie skoczyć do wody, która płynęła tuż za zaroślami, ledwie o kilkanaście metrów od niej. Katherine oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała na własne oczy zobaczyć, co

66

się tam właściwie dzieje.

Ostrożnie przedzierając się przez zieloną płataninę liści i gałązek wiciokrzewu, dotarła w końcu prawie na sam brzeg rzeczki i ze swego ukrycia zdążyła zobaczyć ociekającą wodą głowę Alexa Mackinnona, wynurzającego się właśnie na powierzchnię po skoku w najgłębsze miejsce nurtu. Najwyraźniej

**postanowił zażyć tam kąpieli.**

**Katherine rozejrzała się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegła swej siostry.**

**Zapewne więc Alex najpierw odwiózł ją do domu, a dopiero później, już**

**wracając, skorzystał z okazji, żeby się ochłodzić. Wszyscy chłopcy z rodziny**

**Mackinnonów przychodzili się kąpać właśnie w tym miejscu, kiedy tylko**

**zaczynały się ępały. W przeszłości, posłuszne zaleceniom rodziców, Karin i**

**Katherine zawsze trzymały się z daleka od rzeczki, kiedy pływali w niej**

**chłopcy.**

**Teraz jednak Katherine była tu sama i właściwie nikt jej niczego nie**

**zabraniał. A poza tym skoro już tu była...**

**Rozsunęła więc nieco szerzej gałązki wiciokrzewu, za którym się ukrywała,**

**i z pewnym lękiem, ale i z podziwem patrzyła, jak Alex pływa w najgłębszej**

**części nurtu tam i z powrotem. Pływał doskonale, rzeczka była dla niego**

**wyraźnie za mała i za płytka – co ujawniło się zwłaszcza w momencie, kiedy**

**przestał płynąć i stanął wyprostowany, ledwo po kolana w wodzie i całkowicie**

**nagi. Ociekając wodą, stał tak blisko, że Katherine widziała niemal wszystko,**

**nawet malutkie złote włoski rosnące na jego skórze, głównie na nogach i**

**ramionach. Ale dostrzegła oczywiście nie tylko to.**

**– Święci pańscy i aniołowie, miejcie mnie w swojej opiece! –Nigdy nie**

**widziała czegoś takiego, nawet sobie nie wyobrażała, że to tak wygląda. Jej**

**serce biło tak mocno, że Alex z pewnością musiałby to słyszeć, gdyby nie szmer**

**wody i lekki poszum wiatru w gałęziach drzew. Jakiś ptak z drugiego brzegu**

**krzyknął tak głośno, że Alex na moment obrócił się, nie zdając sobie oczywiście**

**sprawy z tego, że w ten sposób umożliwia ukrytej w gęstych krzewach**

**Katherine obejrzenie go już nie z jednej, ale ze wszystkich możliwych stron. O święty Sebastianie! Okazało się, że Alex Mackinnon jest niezwykle piękny niezależnie od kąta, pod jakim się na niego patrzyło. Ten widok po prostu zapierał dech w piersiach.**

**Katherine nie potrafiła pojąć, jak mogła przez tak długie lata pozostawać w przekonaniu, że ciało kobiety jest zawsze piękniejsze od ciała mężczyzny. Jedno spojrzenie na Alexa wystarczyło, żeby zrozumieć, iż było to przekonanie**

67

**całkowicie błędne. A kiedy w pewnym momencie obrócił się do niej twarzą i zobaczyła już wszystko, łącznie z tym, czego żaden listek figowy nie zasłaniał – bo też i nie byłby w stanie zasłonić! – była zaskoczona jedynie tym, że ani przez moment nie poczuła się zakłopotana ani przerażona. Owszem, była podekscytowana i przejęta, ale dominującym uczuciem był zachwyt. Alex był po prostu nieprawdopodobnie piękny.**

**Starając się oddychać jak najciszej, żeby jej przypadkiem nie usłyszał, pozostawała bez ruchu aż do chwili, kiedy się ubrał i odszedł. Dopiero wtedy wypelzła spod krzaków i najszybciej, jak mogła, ruszyła w stronę domu, nie patrząc już ani na niebo, ani na kwiaty, całkowicie obojętna na piękno otaczającej ją przyrody. Bez reszty skupiona na rozpamiętywaniu tego, co zrobiła – a było to bądź co bądź, podglądanie z ukrycia całkowicie nagiego mężczyzny! – w żaden sposób nie potrafiła odnaleźć w sobie niczego, co choćby odległe przypominałoby wyrzuty sumienia czy przynajmniej jakieś poczucie zawstydzenia własnym postępkami. Niczego takiego w niej nie było, ponieważ tak naprawdę wcale nie czuła, że popełniła grzech czy też zrobiła coś złego. Bo**

**cóż złego może być w patrzeniu na nagie ciało człowieka, którego się kocha?**

**Gdyby tam na jego miejscu był na przykład Adrian albo jakiś inny mężczyzna, z całą pewnością czułaby się zakłopotana, i to mocno. Ale patrzenie na Alexa to było coś zupełnie innego! Chciała tego, była z tego powodu szczęśliwa i całą siłą młodego czulego serca pragnęła, żeby i on kiedyś, w przyszłości, mógł patrzeć na nią tak jak ona na niego. Do takiego pragnienia na pewno miała prawo.**

**Nie patrząc przed siebie, doszła już niemal do rozwidlenia drogi nieopodal domu. I nagle kątem oka dostrzegła coś, co ją zastanowiło. Bo na samym rozwidleniu, z jednym kołem częściowo w rowie, stał przechylony wóz, a muł, wciąż pozostając w uprzęży, najspokojniej w świecie skubał przydrożną trawę.**

**Gdy przyjrzała się uważniej, od razu dostrzegła, że postronek, którym sama przywiązała Clovisa do ogrodzenia domu Mackinnonów, jest po prostu przegryziony. Tak więc to nie Karin zabrała wóz, jak Katherine początkowo sądziła, tylko Clovis przegryzł sznur i ruszył do domu z własnej inicjatywy.**

**Teraz oczywiście usłyszał od niej parę słów gorzkiej prawdy, lecz nie wyglądało na to, żeby specjalnie się tym przejął. Katherine przestała więc go strofować, wspięła się na wóz, wzięła lejce i trzepnęła nimi muła po grzbiecie, raz i drugi. Ten w końcu ruszył, bez większego trudu wyciągnął pusty wóz z rowu i całkiem żwawym truchtem ruszył w stronę domu.**

**Tam jednak okazało się, że to wcale jeszcze nie koniec kłopotów z tym**

**68**

**zwierzęciem – doprawdy chyba z piekła rodem. Przed bramą domu czekała rozwścieczona Karin z łopatą w ręce. Wyglądało na to, że ona też miała jakieś wciąż niezalutwione porachunki z tym mulem. Niewiele brakowało, a**



**naprawdę walnęłaby go łopatą. Katherine powstrzymała ją w ostatniej chwili.**

**– Co się stało? – spytała zaskoczona. – Dlaczego chcesz bić biednego**

**Clovisa?**

**– Biednego! – prychnęła wściekle Karin. – Wiesz, że to bydlę mnie**

**ugryzło?! Alex odprowadził mnie do domu, a kiedy wyszedł, jakieś dwadzieścia**

**minut później usłyszałam odgłos wozu wjeżdżającego na dziedziniec. Ponieważ**

**ty się nie pojawiałaś, wyszłam, żeby zobaczyć, czy coś się nie stało. Zobaczyłam**

**przegryziony sznur i próbowałam zaprowadzić tego piekielnego muła do**

**stajni, ale on mnie ugryzł, wyrwał się i jak szalony pognął razem z wozem z**

**powrotem w stronę rzeczki..**

**– A ty wtedy pobiegłaś po łopatę? – spytała Katherine. Z trudem**

**powstrzymywała się od śmiechu, lecz starała się to ukryć, ponieważ siostra**

**była naprawdę wściekła..**

**– Pobiegłam – odparła Karin. – I wciąż mam ochotę jej użyć.**

**– A zamierzasz się spotkać z Alexem dziś wieczorem?**

**Karin popatrzyła na nią ze zdziwieniem.**

**– Oczywiście, że zamierzam się z nim spotkać. Przecież dlatego**

**odprowadził mnie do domu, żebym mogła się przebrać. A sam poszedł do**

**zakola rzeczki, aby się wykąpać.**

**Katherine już miała powiedzieć „wiem”, w porę jednak się powstrzymała. I**

**całe szczęście, bo siostra i bez tego była w wystarczająco złym humorze;**

**prawdę mówiąc, nadal aż gotowała się z wściekłości. Skupiało się to wszystko**

**na mule, chociaż może chodziło nie tylko o niego. Karin z jakiegoś powodu**

**wydawała się rozgniewana na wszystko i wszystkich, a Clovis był wygodnym**

obiektem do wyładowania gniewu.

– Skoro masz się zobaczyć z Alexem, to może teraz już idź do siebie i zrób się na bóstwo – powiedziała mitygująca Katherine. – A Clovisem zajmę się sama.

To jednak wcale nie ułagodziło jej gniewnej siostry.

– Powinnam ci pewnie podziękować – rzekła, jawnie nieprzejednana. –

Ale to tylko twoja wina, że wciąż trzymamy u siebie tego przeklętego mufa.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego go nie sprzedamy.

– Ponieważ nie chcemy go sprzedawać.

69

– Nie chcemy! – Karin teatralnie załamała rękę. – Niech będzie, zostawmy to na razie, bo teraz rzeczywiście mam ważniejsze zmartwienia. Jak tak dalej pójdzie, to naprawdę nie zdążę się przygotować na wieczór. Nic z tego, co mogę włożyć, nie wygląda tak, jak trzeba. I nie wiem, gdzie podziały się szczypce do układania włosów na gorąco. Moja fryzura wygląda okropnie.

– Myślę, że wyglądasz doskonale, nawet tak, jak jesteś teraz – powiedziała Katherine z całą naiwną szczerością.

Tego Karin już nie wytrzymała i wybuchła gniewną tyradą:

– Doprawdy, czasami mnie po prostu zadziwiasz. Powiedziałas to tak, jak gdyby fakt, że Alex przyjdzie tu dziś wieczorem, był czymś zupełnie zwykłym i codziennym. A tymczasem ja chcę, żeby to był wieczór wyjątkowy i szczególny, czy to tak trudno zrozumieć?! Dotąd sądziłam, że myślimy podobnie, że połączone wspólnym losem, jednakowo przyjmujemy zarówno wszelkie troski i trudy naszej biednej egzystencji, jak i te nieliczne przyjemniejsze momenty,

które czasem się przytrafiają. Ze w jakiś sposób dzielimy się tym i czujemy to samo. Ale teraz widzę, że się bardzo myliłam i że, kiedy w grę wchodzi sprawy serca, ty po prostu nie jesteś w stanie ich zrozumieć!

Rzuciła łopatę do wnętrza wozu, obróciła się i wbiegła do domu, trzaskając za sobą drzwiami.

Katherine lekko wzruszyła ramionami, chwyciła Clovisa za uzdę tuż przy pysku i poprowadziła go w stronę stajni. Kiedy parę minut później weszła do kuchni i postawiła koszyk na stole, spostrzegła, że siostra już nakręca włosy szczypcami, które rozgrzewała nad rozżarzonymi węglami paleniska.

– Widzę, że zguba się już znalazła – powiedziała wesoło. Karin jednak nadal była zła i rozdrażniona.

– Popatrz no tylko na siebie. – Obrzuciła siostrę gniewnym wzrokiem. –

Jak ty wyglądasz? Tarzałaś się po ziemi, idąc do domu? Czy może Clovis wepchnął cię do błotnistego rowu?

Katherine spojrzała na siebie, ale nie dostrzegła niczego, z czym nie dałoby się uporać za pomocą zwykłej wody i mydła. Karin jednak nie przestawała jej strofować.

– No i co? Będziesz tu tak stała, nic ze sobą nie robiąc? Będziesz wciąż wyglądać jak rozczochrane czupiradło, żeby mnie skompromitować, kiedy przyjdzie Alex i zobaczy moją siostrę w takim stanie? Co on sobie o nas pomyśli? Nie tylko o tobie, ale i o mnie!

Ale Katherine miała już dość tego jej nagłego napadu złego humoru, nie

miała też najmniejszej ochoty dowiadywać się, co jeszcze jej się nie podoba.

Pobiegła więc schodami na piętro, do swego pokoju, przez chwilę prawie żałując, że nie urodziła się jako jedynaczka. Dość szybko jednak jej to przeszło, a kiedy PO umyciu się i doprowadzeniu fryzury do porządku zeszła na dół, okazało się, że siostra patrzy na nią już znacznie życzliwszym okiem.

– Dziękuję ci, Katherine – powiedziała, lustrując ją od stóp do głów. – Tak jest naprawdę dużo lepiej. – A potem zapytała z pewnym roztargnieniem: – Która z nas ma dziś robić kolację? Czy to twoja, czy moja kolej?

– Twoja – odpowiedziała Katherine, a ponieważ domyślała się o jaką prośbę za chwilę usłyszy, postanowiła zgłosić się sama. – Ale jeżeli chcesz, mogę cię dziś zastąpić, żebyś miała więcej czasu.

– Och, dziękuję! – wykrzyknęła Karin z nieco przesadną emfazą. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś naprawdę najlepszą siostrą, jaką można sobie wyobrazić. – Podniosła się, zamierzając iść do swego pokoju, ale w ostatniej chwili jeszcze się zatrzymała. – Chciałabym dziś wieczorem wyglądać naprawdę wspaniale. Jaką sukienkę radzisz mi włożyć, żółtą z muslinu czy różową? – Uśmiechnęła się i zrobiła pełny obrót. Potem, zupełnie niespodziewanie, z niczym nieuzasadnioną czułością przytuliła się do Katherine. – Myślę, że jednak włożę różową. Alexowi zawsze się podobałam właśnie w tym kolorze.

– Jemu zawsze się podobałaś we wszystkim, cokolwiek by to było – zauważyła Katherine, ale siostra już jej nie słuchała.

Podbiegła do popielnika kuchni i wyjęła z niego kawałek węgla drzewnego, po czym stanęła przed niewielkim lusterkiem zawieszonym na ścianie, przyczerniła brwi, a następnie jeszcze domalowała sobie kreski w

**kącikach oczu.**

**– No właśnie! – powiedziała, cofając się i znów przybliżając do lusterka. –**

**Teraz moje oczy wydają się znacznie większe. – Obróciła się do siostry i**

**zapytała: – Czy mamy jeszcze papier listowy, ten z czerwonymi różami?**

**– Zdaje się, że zostało jeszcze trochę. Jest w szufladzie biurka.**

**– Och, to świetnie... – Karin znów spojrzała do lustra. – Wyglądam trochę**

**blado... to pewnie przez zdenerwowanie. Wtedy zawsze się gorzej wygląda. Ale**

**jest na to sposób, wystarczy zwilżyć ten papier w miejscu, gdzie są róże, a**

**następnie lekko potrząść nim policzki i od razu będzie się miało delikatne,**

**zachwycające rumieńce. Mężczyźni to lubią, więc Alex też... – Obróciła się i**

**spojrzała na siostrę. – Aż trudno uwierzyć, że znów tu jest. A ty**

71

**przepowiadałaś, że oni już nigdy nie powrócą.**

**Katherine przeszła razem z nią do salonu.**

**– Ja tylko mówiłam, że oni tu już właściwie nic nie mają, i to jest akurat**

**prawda.**

**– Ale najwyraźniej zapomniałaś o mnie. – Karin wzięła leżący na sofie**

**jedwabny szal i zarzuciła go sobie na ramiona, przymierzając go przed dużym**

**lustrem. Skrzywiła się i odrzuciła go z powrotem na sofę. – Och, Katherine...**

**Ja naprawdę nie wiem, co mam zrobić!**

**– Masz na myśli Alexa?**

**– Tak. To zabawne, bo przecież właściwie już byłam pewna, że przestałam**

**o nim myśleć, ale kiedy zobaczyłam was tak blisko siebie w kuchni jego domu,**

**nagle zdałam sobie sprawę, że magia wciąż jeszcze działa. A teraz już sama nie**

wiem... To chyba trochę nienormalne. To jest tak, jakbym go chciała, ale jednocześnie i nie chciała. To przecież nie ma sensu, nie uważasz?

– Szczerze mówiąc, rzeczywiście nie ma.

– Ja przecież kocham Alexa. Naprawdę go kocham. – Karin spojrzała na siostrę, która przyglądała się jej z nieco sceptycznym wyrazem twarzy. –

Wiem, wiem, że nie było tego po mnie widać podczas jego nieobecności, ale nie jestem osobą, która przywiązuje się do kogoś już na zawsze, a przecież nawet nie wiedziałam, czy on w ogóle powróci. W końcu trudno było przypuszczać, że będę po prostu siedzieć i tylko tęsknić za nim. Wyobrażasz to sobie?

– Nie, prawdę mówiąc, nie. Ale co to ma za znaczenie? Skoro nie przywiązałaś się do niego...

– No właśnie, ale to jednak dziwne. Bo kiedy go znowu zobaczyłam, nagle wiedziałam, że wyszłabym za niego natychmiast, gdyby...

– Gdyby nie był taki biedny? Karin skrzywiła się.

– Kiedy to mówisz w ten sposób, można mieć wrażenie, że Jest to zimne i wykalkulowane.

– Bo to jest zimne i wykalkulowane.

Nietrudno było dostrzec, że te ostre słowa zabolaly Karin, toteż Katherine w duchu skarciła się za to, co powiedziała. Siostra po prostu taka była i nie przecież na to nie mogła poradzić. Tak naprawdę różniły się jedynie tym, że chciały czego innego i czego innego oczekiwały od życia. Nie należało więc Sadzać Karin zbyt surowo. Ona przynajmniej była szczerą i otwarcie mówiła, czego chce. Gotowa była o to walczyć i nie bała się ciężkiej pracy. To wszystko bezspornie należało przypisać jej na plus.

**Karin była nie tylko pracowita, ale i zdeterminowana. Postanowiła mieć pieniądze i realizowała to postanowienie z podziwu godną wytrwałością, nie oszczędzając siebie i nie licząc się nawet z własnym zdrowiem. Zbierała grosz do grosza, w ciągu dnia pracując w firmie krawieckiej, a wieczorami zajmując się każdą dorywczą pracą, jaka tylko jej się trafiała – szyla, cerowała, a nawet gotowała i sprzątała jako dochodząca gosposia. Harowała jak koń, właśnie dlatego, że nienawidziła biedy i niedostatku i już wiele lat temu postanowiła z niego wyjść. Odtąd wszystko, co robiła, było po prostu częścią realizacji tego planu – zarówno jej ciężka praca, jak i to, jak się ubierała, jak wyglądała... i jakimi mężczyznami się interesowała. Jedyne w przypadku Alexa wyglądało to inaczej. Katherine zastanawiała się już nad tym i doszła do wniosku, że tu zadecydował moment, kiedy się to wszystko zaczęło. Karin była wówczas jeszcze bardzo młoda i Alex zdążył w niej wzbudzić prawdziwe zainteresowanie, jeszcze zanim stała się tak zawzięta i bezwzględna w dążeniu do najważniejszego celu, którym było wyrwanie się z szarzyzny i biedy – za wszelką cenę. Tak więc Alex zdążył w ostatniej chwili i w rezultacie był dla niej tym, czym bywa niemal każde długotrwałe przyzwyczajenie. Czymś, od czego szczególnie trudno się uwolnić.**

**Katherine wiedziała coś o tym, bo przecież sama kochała Alexa przez całe swoje życie. A mimo to w jakiś sposób wciąż stała po stronie siostry i niczego jej nie zazdrościła. Wiedziała jednak, że Karin w końcu będzie musiała wybrać, prędzej czy później. Wiedziała też, że mężczyzna taki jak Alex nie będzie czekał w nieskończoność, niezależnie od tego, jak bardzo kochał Karin.**

– Przepraszam cię za to, co powiedziałam o wyrachowaniu. – Katherine

spojrzała na siostrę i westchnęła w poczuciu winy. – Nie powinnam była tego mówić.

Karin uśmiechnęła się lekko.

– W porządku, siostrzyczko. Podejrzewam zresztą, że w jakiś sposób miałaś rację. Dobrze wiem, że Alex nie ma dość środków nawet na własne utrzymanie, a cóż tu dopiero mówić o żonie. Dlatego nigdy nie mogłabym wyjść za niego. Pozostaje mi więc tylko żywić nadzieję, że coś jeszcze się wydarzy, coś, co uczyni z niego bogatego człowieka.

– To nie jest zbyt prawdopodobne.

– Wiem o tym, ale co innego mogę zrobić? Nie ma w tej chwili żadnego mężczyzny do wzięcia, wyjąwszy Cartera Turnera. Wszystkie kobiety z pięciu okolicznych okręgów mają na niego chrapkę.

73

– Nie byłabym pewna, czy to jest wystarczający argument za tym, żeby spotykać się także i z Alexem. Jeżeli Carter rzeczywiście robi do ciebie słodkie oczy...

Karin zignorowała tę przyganę ze strony siostry.

– On z pewnością byłby gotów zaangażować się nawet znacznie bardziej, nigdy jednak nie odważy się postąpić wbrew woli matki.

– Czy to znaczy, że pani Turner cię nie lubi?

– Nie lubi tych osób, w których widzi zagrożenie.

– To znaczy?

– Pani Lavinia Turner nie zamierza zezwolić Carterowi na małżeństwo z



żadną z okolicznych kobiet, w tym również i ze mną.

– Dlaczego?

– Ponieważ pochodzi z jednej z tych snobistycznych rodzin z Bostonu.

Tych, co to znają na wrywki całe swoje drzewo genealogiczne i wszystkich przodków aż do praojca Adama włącznie.

– Jeśli ci nie wyjdzie z Carterem, zjawi się pewnie ktoś inny – Powiedziała Katherine.

– Tu akurat pewnie nikt się nie zjawi, ale to już nie ma baczenia. Ja sama pojedę tam, gdzie oni są. To dlatego wciąż zbieram pieniądze. Już wkrótce będę miała dosyć, żeby stąd Ujechać, i możesz być pewna, że nawet się za siebie nie obejrzę.

– A czy Alex wie, że nadal jesteś zdecydowana wyjechać jak najszybciej?

– Dziś mnie o to zapytał.

– I powiedziałaś mu?

– Oczywiście, że tak. Mogę być taka czy inna, ale nie będę go okłamywać.

Katherine skinęła głową.

– I co on na to?

– Powiedział, że wcale się tak bardzo nie różnimy i że w wielu sprawach on chce tego samego co ja. Powiem ci, Katherine, że on się bardzo zmienił.

Przypuszczam, że to przede wszystkim ta wojna tak na niego wpłynęła. Też ma już dość życia w biedzie, zupełnie tak samo jak ja. Ale w odróżnieniu ode mnie wciąż kocha tę ziemię i ma nadzieję, że się na niej dorobi. Że w przyszłości nadal będzie farmerem, ale bogatym.

– Może rzeczywiście będzie.

– Może będzie, któż to może wiedzieć. Ale na razie ja nie zmienię planów.

W ogóle ich nie zmienię. I to mu właśnie powiedziałam. A on poprosił mnie,

74

żebym mu jeszcze dała szansę – to znaczy trochę czasu na wyprostowanie wszystkich spraw. Bo on wciąż ma nadzieję, że potrafi tę ziemię uczynić dochodową.

– Więc nadal będziesz się z nim spotykać?

– Tak, przynajmniej do momentu, kiedy już zbiorę dość pieniędzy na wyjazd.

Katherine poczuła nagły bolesny skurcz serca. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy to ból rozpacz, czy może jakiejś nadziei.

Alex pojawił się o ósmej wieczorem. To Katherine otworzyła mu drzwi, ale

Karin natychmiast zbiegła na dół w swojej najelegantszej sukni i powitała go

najczarowniejszym ze swoich uśmiechów. Była tak olśniewająco piękna, że

Alex zdawał się wprost pożerać ją oczami, zapominając o całym bożym

świecie–Katherine miała poczucie, że nagle niemal przestała istnieć. Dosyć

nieskładnie wybąkała uprzejme kłamstwo o tym, że właśnie ma coś pilnego do

zrobienia w kuchni, a kiedy już wyszła, wiedziała z całą pewnością, że żadne z

tych dwojga nawet tego nie dostrzegło. Jeżeli miała jakieś nadzieje, że Alex

zwróci na nią uwagę, to okazały się one całkowicie płonne.

Zamiast przewidywanego spaceru Alex zaproponował Karin przejażdżkę

jednokonną bryczką, którą wyszykował specjalnie dla niej. Dziewczyna

oczywiście zgodziła się chętnie, ale kiedy chciał ją wziąć w ramiona jeszcze

przed zajęciem miejsc w tym przytulnym dwuosobowym powoziku,

zaprotestowała i znacząco spojrzała w kierunku domu.

– Nie, Aleksie. Nie tutaj. Katherine może nas widzieć.

– No to co? Przecież nie robimy nic złego!

– Pomóż mi lepiej wsiąść. I odjedźmy stąd, żebyśmy naprawdę byli sami.

Ponieważ jemu też w gruncie rzeczy na tym zależało, postarał się nie tracić czasu. Zawrócił bryczką do bramy, a następnie poluzował lejce, pozwalając koniowi biec lekkim klusem drogą prowadzącą przez pole w kierunku starej tamy, usypanej niegdyś ręcznie na rzeczce, piętrzącej jej wody w sposób wystarczający do powstania niewielkiego uroczego stawu.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali nad ten staw? – spytał

Alex. – To w gruncie rzeczy niedaleko, będziemy tam za kilkanaście minut.

– Jedźmy gdziekolwiek, byle jak najdalej od tego przeklętego

gospodarstwa – odpowiedziała Karin. – Zawsze to będzie jakaś ulga.

Alex popatrzył na nią uważnie.

75

– Wiem, że teraz wam jest ciężko. Trudno sobie poradzić z prowadzeniem tego wszystkiego, zwłaszcza po śmierci obojga rodziców.

– To Katherine zajmuje się wszystkim, boja głównie pracuję w mieście.

Staram się jej pomagać finansowo, ale czasem myślę, że ona w gruncie rzeczy oszukuje samą siebie, kiedy myśli, że poradzi sobie z tym sama. A będzie sama, bo ja prędzej czy później wyjadę.

Ta zapowiedź nie mogła oczywiście ucieszyć Alexa. Zmilczał jednak, żeby nie podejmować niewygodnego tematu. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– A na co właściwie umarł wasz ojciec?

– Po prostu z wyczerpania. Z krańcowego wyczerpania, podobnie zresztą jak i nasza matka. A wszystko przez pracę ponad siły, przez niekończącą się harówkę na tej cholernej ziemi. – Nieżycliwym wzrokiem obrzuciła ciągnące się wokół pola.

– Nie możesz mieć o to żalu do ziemi – zaprotestował Alex.

– Mogę mieć i mam! – odpowiedziała twardo Karin. – Ta przeklęta ziemia wciąż tylko bierze i bierze. A nie daje nic, nie daje nawet nadziei.

Znów zmilczał. Na szczęście mógł udawać, że koncentruje się na powożeniu bryczką, jako że byli już blisko ostatniego odgałęzienia drogi. Szeroka, mocno zarośnięta ścieżka, z ledwie widocznymi śladami kolein, prowadziła już prosto do tamy i stawu, przy którym kiedyś stały zabudowania farmy starego MacCrackena. Ta farma też bardzo długo chyliła się ku upadkowi, a w ruinę zamieniła się jeszcze na parę lat przed wybuchem wojny. Teraz z jej zabudowań nie zostało już nic, natomiast tama i staw przetrwały i nadal pozostawały jednym z najpiękniejszych zakątków w całej okolicy. Staw był obrośnięty pięknymi drzewami, gałązki płaczących wierzb niemal dotykały wody, a liczne tu ryby od czasu do czasu wyskakiwały z pluskiem nad powierzchnię w pogoni za owadami. Poza tym było cudownie cicho i naprawdę romantycznie.

Alex zatrzymał bryczkę pod jednym z drzew.

– Miałabyś ochotę przejść się kawalek? – zapytał, wysiadając. Karin skinęła głową i zeskoczyła ze stopnia bryczki prosto w jego otwarte ramiona. Nie starała się nawet udawać, że, na przykład, straciła równowagę i szuka w nim oparcia – po prostu przywarła do niego całym ciałem, zarzucając mu

ramiona na szyję. Alex znieruchomiał, obejmując ją bardzo mocno.

– Karin! Och, Karin! – szepnął, a potem pocałunkiem zamknął jej usta na dłuższą chwilę.

76

– Pragnę cię – powiedział, gdy wreszcie na chwilę przestali się całować. –

Zawsze pragnąłem tylko ciebie.

– Całuj mnie, Aleksie. Całuj i nie przestawaj. Jemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ich wargi znów złączyły się w zapierającym dech w piersiach pocałunku, język raz po raz wnikał do jej ust, a ona odpowiadała tym samym i całowała go z całą pasją i namiętnością, która w tym momencie ogarnęła ją bez reszty. Jak dobrze było znów znaleźć się w ramionach mężczyzny, zwłaszcza takiego jak Alex – bo Karin w tym momencie wiedziała na pewno, że nie spotkała w życiu nikogo, kto mógłby się z nim równać, i była nawet więcej niż pewna, że i w przyszłości nikogo takiego nie spotka.

Przestawała się kontrolować, jej myśli rwały się i rozpływały w poczuciu nieskończonej błogości, która nagle ogarnęła całe jej ciało. Dłoń Alexa przesunęła się ku górze i zaczęła pieścić jej piersi. Karin poczuła spazm rozkoszy; z najwyższym trudem powstrzymywała się od głośnego jęku, od krzyku i od bezwolnego poddania się własnym pragnieniom. Gdyby im uległa, wszystko mogłoby się zdarzyć. Och, Aleksie Mackinnon, pomyślała z prawdziwą rozpaczą, dlaczego nie jesteś bogaty?!

Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie, ale w znacznej mierze dzięki temu, że je w ogóle zadała, zdołała w ostatniej chwili wyswobodzić się z jego objęć.

– Co się stało? – spytał zaskoczony.

Nie chciała mu na to odpowiadać. Nie chciała już rozmawiać o przeszłości, bo byłoby to jedynie powtarzanie tego, co wielokrotnie zostało powiedziane.

Nie chciała też wracać do przeszłości. W tym momencie, choćby tylko przez chwilę, chciała czuć się wolna. Młoda, zakochana i wolna.

– Nic się nie stało – odparła dopiero po dłuższej chwili. Żartobliwie pchnęła go dłonią w ramię i śmiejąc się, zaczęła przed nim uciekać dookoła bryczki. Alex oczywiście złapał ją bardzo szybko, lecz już nie odważył się wziąć jej ponownie w ramiona, tylko patrzył na nią tak, jak gdyby widział ją pierwszy raz w życiu.

A Karin wciąż się śmiała i była w tym momencie tak piękna, że aż bolało.

Bolało, jak wszyscy diabli, ale i tak na nią patrzył i nie potrafił oderwać od niej oczu. Tyle że wyraz jego twarzy zmienił się tak bardzo, że musiała to zauważyć.

Wzięła go za rękę.

– Chodźmy – zaproponowała. – Pospacerujmy trochę, póki jeszcze coś widać.

– Chcesz... spacerować? – zapytał z pewnym niedowierzaniem. –

77

Naprawdę?

– Ależ tak. – Karin znów się roześmiała. – No nie rób takiej miny. Czyżbyś już zapomniał, jak należy się zachowywać w towarzystwie damy?

Alex też się roześmiał, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonywająco.

– Może rzeczywiście zapomniałem. W końcu przez ładnych kilka lat z damami miałem do czynienia akurat najmniej.

– Ach tak? – Karin uśmiechnęła się. – Więc już nie będziemy dalej drażnić

tego tematu, bo mogłabym usłyszeć więcej, niżbym chciała. Opowiedz mi lepiej o tych wszystkich miejscach, w których byłeś. I o wojnie też, oczywiście, jeśli nie są to zbyt bolesne wspomnienia.

Ruszyli brzegiem stawu, a Alex zaczął mówić. Opowieści o wydarzeniach czasu wojny Karin słuchała uważnie, lecz w milczeniu. Dopiero kiedy zaczął opowiadać o wielkich miastach, które poznał podczas służby w wojsku, o urokach stolicy Meksyku i o wspaniałościach Nowego Orleanu, jej twarz się rozjaśniła, a pytaniom nie było końca. Wypytywała go o szczegóły wielkomiejskiego życia z takim przejęciem, że w końcu musiał ją mitygować.

– Dajże już może spokój z tymi pytaniami, a przynajmniej nie zadawaj jednego po drugim, bo naprawdę zaczynam się w tym gubić.

Karin roześmiała się, zwolniła tempo, ale z pytań nie zrezygnowała.

Jeszcze przez blisko godzinę chodzili tam i z powrotem, Alex musiał o wszystkim opowiadać bardzo szczegółowo, a ona słuchała tego jak zaczarowana. Dopiero szybko zapadający zmrok skłonił ich do zawrócenia w kierunku bryczki, dzięki której mogli jeszcze wrócić na czas na kolację.

– Jeżeli zdążymy przed nocą, to dostaniesz w nagrodę słodki kawałek placka z jabłkami – zapowiedziała Karin, tuląc się do ramienia Alexa.

– Wolę słodki kawałek ciebie – odpowiedział, wziął ją w ramiona i ponownie zaczął całować.

– Chcę ci wierzyć – zdążyła jeszcze szepnąć między jednym i drugim pocałunkiem.

– I bardzo dobrze, że chcesz wierzyć. Bo to najszczęsza prawda.

Następnego dnia Katherine od samego rana czuła się raczej źle, choć nie miała pojęcia dlaczego. Była dziwnie spięta i jednocześnie przygnębiona, w

78

dodatku zupełnie bez powodu.

Za oknem kuchni, w której właśnie usiadła przy stole, żeby zjeść skromne śniadanie, świat kąpał się w porannym słońcu i wydawał się po prostu piękny.

Wiosna była w pełnym natarciu, brzoskwiniowe drzewka przy ganku pokryły się wspaniałymi biało-różowymi kwiatami, których urodę pierwsze doceniły pszczoły, zlatując się do nich jak na zawołanie. Sadzonki rzodkwi, przeniesione do gruntu poprzedniego dnia, przyjęły się znakomicie, groszek zaczynał kwitnąć – a mimo to Katherine tego ranka jakoś nie potrafiła się tym cieszyć.

Z niewesołych rozmyślań wyrwało ją dopiero pukanie do drzwi, właśnie od strony ogrodu. Zanim zdążyła powiedzieć „proszę!”, na progu pojawiła się znajoma korpulentna postać. Była to Fanny Bright.

Fanny, która czasem wpadała do domu siostr Simon jako ich najbliższa sąsiadka, była znana w całej okolicy i powszechnie lubiana za praktyczność, naturalną życzliwość dla bliźnich i dość szczególne poczucie humoru. Zawsze bez ogródek mówiła wszystkim, co myśli, nie dbając o konsekwencje; miała rzeczywiście niewyparzony język, ale także prawdziwie irlandzkie szczęście do ludzi, cierpliwość godną Hioba i umiejętność błyskawicznego znajdowania rady niemal na wszystko. Była już nie tylko sąsiadką, lecz swego rodzaju instytucją, najpewniej także i dlatego, że przez całe życie nie ruszyła się z tej okolicy, znała tu wszystkich i nigdy nie miała do czynienia z obcymi.



Niewielkiego wzrostu, okrągłutka i pulchna, z bystrymi oczami i niezmiennie pogodnym uśmiechem, wszędzie była mile witanym gościem.

Zaprzyjaźniała się ze wszystkimi i ze wszystkimi była od razu na ty, niezależnie od ich wieku. Własnego wieku nigdy nie próbowała ukrywać. Kasztanowe włosy, mocno już przy» prószone siwizną, zawsze miała zaplecione w dwa ciasne warkocze, skrzyżowane na czubku głowy i zwinięte w węzeł, dla pewności zabezpieczony dwiema lub trzema szpilkami z drutu, które zawsze wyglądały tak, jak gdyby wetknięto je tam w wielkim pośpiechu i po prostu byle jak. Nawet jeśli było to nieco komiczne, pasowało do niej jak ulał, bo Fanny Bright była po prostu uosobieniem życzliwego uśmiechu, wesołości i pogody ducha.

Tego samego oczekiwała także od innych, toteż mocno niewyraźna mina Katherine od razu zwróciła jej uwagę.

– Święci pańscy! – wykrzyknęła już na progu. – A cóż to ci się stało, że wyglądasz tak smętnie jak rozdeptana stokrotka?!

79

– Nie wiem, jak możesz tak o mnie mówić – odpowiedziała Katherine i westchnęła żałośnie. – Czuję się nawet bardzo wesoła. Jak, nie przymierzając, leśny ptaszek.

– Jak cmentarny kruk! – mruknęła Fanny. – Mnie nie nabierzesz. No to daj mi herbaty, bo już widzę, że trzeba będzie pogadać.

– Nie ma o czym, prawdę mówiąc.

– No, to się zaraz okaże. – Fanny sama sięgnęła po filiżankę, sama też naląła esencję i odpowiednią ilość wrzątku. – Ta twoja mina zupełnie mi nie

**pasuje do sytuacji. Bo kiedy dowiedziałam się o powrocie obu najmłodszych**

**Mackinnonów, byłam pewna, że zastanę cię rozpromienioną i podśpiewującą  
niczym skowronek: „Chłopcy wrócili, chłopcy wrócili, tra la la...”.**

**– To już nie są chłopcy – sprostowała dziewczyna. Fanny lekko uniosła  
brwi, po czym kiwnęła głową i uśmiechnęła się wyrozumiale.**

**– Ach tak?! A więc są już dorośli? Cieszy mnie, że to zauważyłaś.**

**– Musiałabym być ślepa, żeby tego nie dostrzec – rzekła Katherine.**

**Zwłaszcza po tym, co widziałam z tych krzaków nad rzeczką, dodała w duchu,  
ale oczywiście nie powiedziała tego głośno.**

**Fanny przechyliła głowę i przypatrywała się jej uważnie.**

**– Chyba tego potrzebujesz – odezwała się w końcu.**

**– Czego? – spytała zaskoczona Katherine.**

**– No właśnie, spróbujmy się zastanowić. Mackinnonowie wrócili, a ty  
zauważyłaś, że nie są już chłopcami. No i co w tym złego? Tym bardziej że  
akurat jest wiosna, a wiosną młodzi mężczyźni skłonni są... sama wiesz do  
czego.**

**Oczywiście, że wiem, powiedziała sobie w duchu Katherine. Ale spytała  
niewinnie:**

**– No właśnie, do czego?**

**– Do wszystkiego, co za moich czasów nazywało się zalotami. Do  
przewracania oczami, trzymania za ręce, całowania...**

**– Phi! Też mi coś!**

**Fanny roześmiała się.**

**– Chyba mi nie powiesz, że ci młodzi hultaje Mackinnonowie powrócili i**

**żaden z nich cię nawet nie pocałował?**

**– Mnie?! – spytała dziewczyna, nie bez pewnej irytacji.**

**– Oczywiście, że ciebie. A cóż by w tym było takiego dziwnego?**

**– Fanny, od tak dawna mnie nikt nie całował, że prawie już nie pamiętam,**

**80**

**jak się to robi.**

**Katherine mówiła z takim szczerym żalem, że Fanny roześmiała się**

**serdecznie, a potem uspokajająco poklepała ją po plecach.**

**– Nie przejmuj się tym za bardzo, skarbie. Na pewno sobie przypomnisz w**

**odpowiednim czasie, dam ci na to moje słowo.**

**– Ale kiedy będzie ten odpowiedni czas? Kiedy już się zestarzeję?!**

**– Ależ z ciebie niecierpliwe i uparte stworzenie! Powinnaś się wstydić**

**takiego pesymizmu, zwłaszcza w twoim wieku. Koniecznie chcesz być smutna,**

**chcesz się zamartwiać, i to akurat teraz, kiedy powinnaś być szczególnie**

**wdzięczna losowi za wszystko, co się wydarzyło. To słońce za oknem świeci**

**także dla ciebie, uwierz mi. I ten dzień wcale nie będzie zły, choć robisz**

**wszystko, żeby go sobie zepsuć.**

**Katherine tylko wzruszyła ramionami, udając całkowitą obojętność.**

**– Możesz się krzywić – rzuciła Fanny – ale ja gotowa jestem postawić**

**dolary przeciw orzechom, że to naprawdę będzie twój dobry dzień.**

**Pół godziny później nadal siedziała przy stole, dopijała trzecią już herbatę**

**i wciąż mówiła jak nakręcona. Przerwała dopiero wtedy, gdy do kuchni weszła**

**Karin, od samego rana elegancka i piękna niczym reklama w oknie**

**wystawowym krawieckiej firmy, dla której pracowała.**

– Dzień dobry. Fanny – przywitała się, nalewając sobie filiżankę herbaty.

Podnosząc ją do ust, lekko syknęła.

– Dzień dobry – odpowiedziała Fanny. – Co ci się stało w rękę? Karin spojrzała na wyraźny siniak na prawej dłoni i mruknęła coś niezrozumiałego.

– To pewnie Clovis – wtrąciła się Katherine. – Chciał ją ugryźć.

– Nie tylko chciał, ale i ugryzł – poskarżyła się Karin. – Okropne bydlę.

– Clovis? – powtórzyła Fanny. – Masz na myśli tego waszego muła? Jeżeli rzeczywiście cię ugryzł – mimo woli uśmiechnęła się lekko – to trzeba posmarować bolące miejsce maścią dla koni. Przejdzie jak ręką odjął.

Karin nieufnie zmarszczyła nos.

– Maść dla koni okropnie śmierdzi. Prawie tak samo jak ten głupi muł, który rzuca się na ludzi.

– Clovis na nikogo się nie rzuca. – Katherine odruchowo stanęła w obronie zwierzęcia.

Jej siostra odstawiła filiżankę i ujęła się pod boki. Widać było, że jest już naprawdę zła.

– Nie rzuca się, powiadasz, droga siostrzyczko? Otóż rzuca się,

81

przynajmniej na mnie. I czasami naprawdę skłonna jestem przypuszczać, że to właśnie ty go tak wrogo wobec mnie nastawiłaś.

Katherine słuchała tego, nie wierząc własnym uszom.

– Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy coś podobnego? Dlaczego tak myślisz?

– Bo ciebie nigdy nie ugryzł, więc choćby dlatego!

– Ugryzłby i mnie, gdybym dała mu taką szansę. Clovis gryzie wszystko, co znajdzie się w zasięgu jego zębów i nie cofnie się dostatecznie szybko.

Powinnaś po prostu bardziej przy nim uważać.

– Och, daj mi już spokój z tymi pouczeniami! Mówisz to tylko po to, żeby mnie denerwować, a Bóg świadkiem, że jestem i tak wystarczająco zdenerwowana. Muszę jeszcze przyszyć całe kilometry koronki do sukienki tej okropnej staruchy, pani Witherspoon, a tymczasem tą pogryzioną dłonią nie mogę nawet utrzymać filizanki, a co dopiero igły!

– Chcesz, żebym ci pomogła? – spytała Katherine. – Mogłabym przyszyć tę koronkę.

– Nie, dziękuję za taką pomoc. To najpierw trzeba umieć. Jakoś sobie poradzę, ale jeżeli rzeczywiście chcesz coś dla mnie zrobić, to trzymaj tego przeklętego muła jak najdalej ode mnie.

Słuchająca tego wszystkiego Fanny Bright chwilami z najwyższym trudem powstrzymywała się od śmiechu, ale Karin była tak zaabsorbowana strofowaniem siostry, że nawet tego nie zauważyła.

– A jeżeli masz jeszcze jakieś inne pomysły na to, jak zepsuć mi humor, to zechciej łaskawie jakoś się powstrzymać. Bo ja postanowiłam, że to będzie bardzo dobry dzień! – Spojrzała na malutki ozdobny zegarek, przypięty do stanika. – Och, Boże, to już ta godzina! – wykrzyknęła. – Jeśli się nie pośpieszę, to nie zdążę się zabrać z panem Carpenterem. – Zerwała się i wybiegła pośpiesznie, trzaskając za sobą drzwiami jeszcze głośniejsze niż zazwyczaj.

– Twoja siostra postanowiła, że to będzie dla niej bardzo dobry dzień –

odezwała się po chwili Fanny, spoglądając na Katherine. –Ale, pomijając już wszystko inne, nie przypuszczam, by dzień mógł być rzeczywiście bardzo dobry dla kogoś, kto chodzi w aż tak ciasnej sukience. W czymś takim nie można nawet nabrać powietrza, a ludzkie ciało musi przecież oddychać. Przy tym upale ona może zemdleć nawet jeszcze w mleczańskim wozie pana Carpentera, zanim w ogóle dojedzie do miasta.

82

– Myślę, że nic jej nie będzie. Ona potrafi nosić takie obcisłe rzeczy.

Zawsze nosiła za ciasne staniki i nieludzko ścisnęła się w talii, a ja nie zauważyłam nigdy, żeby to jej w jakikolwiek sposób przeszkadzało. Jeżeli się coś lubi...

Kolejne dni i tygodnie upływały raczej spokojnie, nawet monotennie.

Karin każdego ranka wybiegała w pośpiechu, żeby zdążyć zabrać się do miasta z panem Carpenterem, a Katherine od świtu brała się do codziennych prac związanych z prowadzeniem domu i gospodarstwem, zajmowała się ogrodem warzywnym i tymi nielicznymi zwierzętami, które jeszcze im pozostały.

Zbliżało się lato, upały przyszły nawet wcześniej niż zwykle i praca w polu stawała się jeszcze cięższa.

Coraz trudniej też było wyżyć z tej pracy. Aby zdobyć pieniądze na najbardziej podstawowe potrzeby, Katherine musiała sprzedawać prawie wszystko, co wyrosło w ogrodzie, oraz to, co dawały domowe zwierzęta – niemal całe masło i wszystkie Jajka. Na własne wyżywienie pozostawało im tyle co nic. Kiedy Karin któregoś dnia poskarżyła się na to, Katherine, chcąc nie chcąc, musiała przypomnieć, że od czasu powrotu braci Mackinnonów nie

dostała od siostry nawet jednego centa z tej części jej zarobków, którą dotąd dawała na utrzymanie domu.

– Teraz wszystko wydajesz już tylko na stroje. Więc nie dziwne, że na jedzenie po prostu nie starcza.

Obie w tym momencie jadły ciekawą zupkę warzywną, tę sama od kilku dni, ale po tym, co usłyszała od siostry, Karin gwałtownie uderzyła łyżką o blat i wstała od stołu.

– Jesteś złośliwie skąpa! – wykrzyknęła. – I dobrze wiem dlaczego. To, że Alex się do mnie zaleca, nie oznacza jeszcze, że możesz mnie zagłodzić na śmierć. Nie mam ochoty cierpieć tylko dlatego, że jesteś aż tak zazdrosna! Wybiegła z domu, trzasnąwszy drzwiami, a Katherine nagle straciła apetyt i wylała resztę zupy do wiadra z jedzeniem dla świń. Westchnęła melancholijnie i wyszła na zewnątrz, aby przed zmierzchem dokończyć pracę w ogrodzie.

Jakąś godzinę później, gdy było już prawie zupełnie ciemno, pojawił się Alex. Przywiązał konia do poręczy frontowego ganku, a następnie obszedł dom, żeby wejść od strony ogrodu. W ostatniej chwili dostrzegł, że mimo zapadających ciemności ktoś tam wciąż jeszcze pracuje przy zagonie z

83

warzywami. Podeszedł bliżej i zobaczył, że to odwrócona do niego plecami Katherine zmaga się z chwastami tak zaciekle, jak –gdyby od tego zależało jej życie.

– Chyba jest już trochę za późno, żeby nadal pracować w ogrodzie – powiedział, stając tuż za nią. – Jak w ogóle możesz cokolwiek widzieć?

**Zaskoczona dziewczyna wzdrygnęła się gwałtownie i odwróciła się do niego z nieukrywaną irytacją.**

**– Czemu, do stu rogatych diabłów, musisz się zawsze tak skradać?! Chcesz mnie przestraszyć tak, żebym zemdlala?**

**Alex tylko się uśmiechnął. Trudno byłoby sobie wyobrazić coś mniej prawdopodobnego niż nagle mdlejąca Katherine Simon. Co innego Karin – ta była zawsze znacznie mniej odporna – ale przecież nie Katherine. Przy jej energii i temperamencie to było raczej wykluczone.**

**– Dlaczego nie pójdziesz już do domu? – Wyciągnął rękę i spróbował wyjąć z jej dłoni motykę. – To wszystko możesz zrobić także i jutro.**

**Ale Katherine nie puszczała rękojeści.**

**– Jutro mam do zrobienia wiele innych rzeczy – odparła stanowczo. – Tak więc idź już może po moją siostrę, a mnie łaskawie zechciej pozwolić dalej pracować.**

**Szarpnęła za motykę, lecz Alex też nie zamierzał ustąpić.**

**– Nie powinnaś ze mną walczyć, bo jestem silniejszy i dobrze o tym wiesz.**

**W najlepszym razie stalibyśmy tu i wrywali sobie tę motykę przez całą noc.**

**Bądź więc rozsądna, zostaw to już i chodź razem ze mną do domu.**

**Ba, gdybyż to miało znaczyć, że rzeczywiście poszliby tam razem i on zostałby z nią, a nie z Karin. Ale jemu to nawet nie przyszłoby do głowy, a mówił to, co mówił, tylko dlatego, że najwyraźniej lubił się wtrącać w nie swoje sprawy.**

**Nie dalej jak poprzedniego dnia, patrząc na dosyć zaniedbaną część podwórka przed domem, powiedział ni stąd, ni zowąd, że przydałoby się to**



porządnie zamieść i uprzątnąć. A jeszcze dzień wcześniej pouczał ją, co zrobić z uprzężą Clovisa. Katherine właśnie włożyła specjalne boczne klapki, ograniczające pole widzenia narowistego muła i znacznie zmniejszające niebezpieczeństwo pogryzienia przez to nieprzewidywalne zwierzę. Ale Alex tego w ogóle nie zauważył, stwierdził natomiast, że uprzęż jest już bardzo zniszczona.

– To trzeba koniecznie naprawić – powiedział, chociaż nikt go o to nie

84

pytał.

– Tyle to i ja wiem – mruknęła Katherine. – Ale nie mam śni potrzebnej skóry, ani pieniędzy, żeby ją kupić.

– Ja mam trochę takiej skóry. Mogę ci dać potrzebny kawałek. – Nie jesteś instytucją dobroczynną, a my też wcale nie prosimy o wsparcie. Zachowaj więc tę skórę dla siebie, bo też wkrótce będziesz musiał coś latać. Jeśli się zasadniczo nie mylę, do krańcowej biedy jest wam prawie równie blisko, jak nam. Daj spokój, Katherine, dlaczego się tak upierasz? Dlaczego nie chcesz pozwolić sobie pomóc? Już kilka razy proponowałem przecież, że chętnie tu przyjdę i doprowadzę do porządku całe otoczenie domu.

– A ja ci już kilka razy mówiłam, że dziękuję i że mój bałagan i moje śmieci sprzątam sama.

– Ale są takie rzeczy, których kobieta nie robi. Ten walący się kurnik trzeba rozebrać i wszystko zbić na nowo cały płot wymaga gruntownej naprawy, a przegniłe deski w podłodze waszego wozu któregoś dnia po prostu się załamią.

– Więc kiedy się załamia, wtedy je naprawię. Nie wcześniej. Czy wyrażam się jasno?

– Jasno, ale niemądrze.

No i to był cały Alex. Wtykał nos w sprawy, które należały tylko do niej, nieustannie oferował pomoc i wciąż jej coś doradzał. Doszło już do tego, że w liczbie porad, o które nikt go nie prosił, przewyższył nawet Fanny Bright. Gdy Katherine kiedyś powiedziała o tym sąsiadce, ta roześmiała się, a potem stwierdziła, że skoro on tak chce pomagać, to jest to oczywisty dowód jego sympatii, a może i czegoś więcej.

Katherine wcale nie była tego taka pewna. Jej zdaniem, zachowanie Alexa nie musiało oznaczać, że jest nią naprawdę zainteresowany. Świadczyło tylko o tym, że ma niesamowitą zdolność pojawiania się w najmniej odpowiednich momentach i tylko po to, żeby ją denerwować.

A najbardziej denerwował ją sposób, w jaki potrafił na nią wtedy patrzeć.

To jego spojrzenie dziwnie ją peszyło, zwłaszcza wtedy, gdy – tak jak teraz – miała świadomość, jak niekorzystnie musi wyglądać w swej najbardziej wytartej sukience i ciężkich roboczych butach, z kropelkami potu na czole, zmęczona, usmarowana kurzem i po prostu brudna.

Katherine czuła wyraźnie, że pod wpływem jego spojrzenia zaczyna się czerwienić, że serce znów bije znacznie szybciej niż zwykle, a jakiś dziwny

85

skurcz nagle ściska gardło. Boże drogi, żeby tylko tego nie zauważył!

Alex wyciągnął rękę i delikatnie ujął jej dłoń, wciąż kurczowo zaciśniętą na rękojeści motyki.

**– Strasznie ciężko pracujesz – powiedział i bardzo ostrożnie odgiął jej**

**palce, które nagle zrobiły się zupełnie bezwolne.**

**Motyka upadła na ziemię,**

**– Nie tylko ja – odpowiedziała nieco ochryple. – W dzisiejszych czasach to raczej nic szczególnego.**

**Spróbowała cofnąć dłonie, ale Alex nadal trzymał je mocno. Potem nagle odwrócił jedną z nich wewnętrzną stroną do góry i czubkiem palca przeciągnął po odciskach, które można było wyraźnie wyczuć u nasady wszystkich palców.**

**– Niektórzy jednak pracują znacznie ciężiej niż inni... Zaboląły ją te słowa.**

**To, że jest tak blisko i że bez wahania może ją wziąć za rękę, wydało jej się nagle jakąś niewytłumaczalną zuchwałością i nawet brakiem szacunku z jego strony; w tym momencie najbardziej na świecie pragnęła tylko jednego – żeby uwolnił jej rękę i żeby mogła uciec od niego jak najdalej, choćby na koniec świata. Czowała się krańcowo zawstydzona tym, że Alex przyłapał ją na pracy o tak późnej porze, upokarzała ją świadomość, że widzi odciski na jej dłoniach, że ogląda ją w chwili, gdy jest tak bardzo zaniedbana i tak źle ubrana. A ona chciała przecież, żeby widział w niej istotę równie delikatną i wypielegnowaną, jak Karin, kiedy ta robiła się – dla niego – na bóstwo.**

**Alex chyba nagle zdał sobie sprawę z tej udręki dziewczyny, bo uwolnił jej dłonie i pochylił się, żeby podnieść z ziemi motykę. Podał ją zaskoczony tym Katherine i powiedział:**

**– Walnij mnie po głowie, jeżeli masz na to ochotę. Przepraszam cię, nie chciałem sprawić ci przykrości ani tym bardziej wprawiać w zakłopotanie.**

**– Niczego takiego nie zrobiłeś – zaprotestowała, choć niezbyt**

**przekonująco.**

**– A poza tym naprawdę nie masz czego się wstydzić. Podziwiam twoją dzielność i niespożytą energię. A w końcu praca jest nie tylko najbardziej godnym szacunku wysiłkiem człowieka, choć może i tym najpiękniejszym.**

**– Dla mnie jest przede wszystkim tym, co pozwala mi nie umrzeć z głodu – oświadczyła. – Ta sentencja nie brzmi może szlachetnie jak twoja, ale jest mi rzeczywiście bliska.**

**Obróciła się i spojrzała w stronę domu.**

**– Jestem pewna, że Karin jest już dawno gotowa i niepokoi się, dlaczego**

**86**

**cię jeszcze nie ma. Nie sądzisz, że powinieneś już do niej pójść?**

**Alex popatrzył na nią z nieukrywanym podziwem, przemieszonym z lekkim rozbawieniem.**

**– Zdaje się, że potrafisz być czasem nawet bardziej uparta niż ten twój**

**Clovis, prawda?**

**– Być może. Ale przynajmniej nie gryzę.**

**– No nie wiem. – Spojrzał w kierunku domu. – Nie byłbym tego taki pewny.**

**Katherine patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął. Nie miała już ochoty na dalszą walkę z chwastami, lecz postanowiła jeszcze przez chwilę pozostać w ogrodzie. Przysiadła na schodach ganku i w zamyśleniu przypatrywała się niewyobrażalnie dalekim gwiazdom i przelatującym tuż nad nią świetlikom. Od czasu do czasu gdzieś z oddali dobiegało ją tęskne wycie kojota. Siedziała tak aż do chwili, gdy usłyszała lekkie trzaśnięcie frontowych drzwi, co**

oznaczało, że Karin i Alex już wyruszyli na wieczorny spacer.

Weszła do domu przez kuchnię, szybko uporała się ze zmywaniem i całą resztą, która jeszcze pozostała do zrobienia, po czym zabrała lampę naftową i poszła do swego pokoju na piętrze.

Przez dłuższą chwilę stała przed niewielkim owalnym lustrem, które należało do jej matki. Patrzyła na swe odbicie, przybliżając twarz i przystawiając lampę niemal do powierzchni zwierciadła. Mocno już palące letnie słońce, przed którego promieniami nie chronił nawet czepek, po paru tygodniach sprawiło, że na jej twarzy widoczna była nie tylko lekka opalenizna, ale i sporo nowych piegów. Katherine przeciągnęła dłonią po czole i policzkach i zastanawiała się, ile jeszcze czasu jej zostało do chwili, gdy skóra na twarzy stanie się pomarszczona i sucha niczym rzemień – co prędzej czy później było udziałem wszystkich kobiet pracujących w podobnych warunkach. Dłonie również pociemniały od opalenizny, paznokcie były krótkie i połamane, wyraźnie zniszczone od ciężkiej pracy. Żadnego porównania z delikatnymi wypielęgowanymi rękami Karin.

Przeniosła lampę na stolik obok stojącego w kącie fotela na biegunach, wzięła z półki podręczną encyklopedię fauny i flory i zaczęła czytać rozdział traktujący o dziko rosnących jadalnych roślinach i leczniczych ziołach, występujących w tej części stanów Południowego Zachodu. Jednakże sens czytanych zdań raz po raz jej uciekał, miała trudności ze skupieniem się na tekście, bo wciąż na nowo wracała myślą do Alexa, do tego momentu, kiedy

położył dłonie na jej dłoniach i przytrzymał je przez dłuższą chwilę. Zatęskniła

za nim wręcz rozpaczliwie, a głuchy ból gdzieś w okolicach serca, który można było też nazwać miłością, stawał się tak dojmujący, że miała ochotę się rozplakać.

Po odłożeniu książki rozebrała się, wciągnęła przez głowę mocno już zniszczoną nocną koszulę z przecierającej się na wszystkich szwach taniej bawełny i położyła się do łóżka, przebiegając w myśli najpilniejsze rzeczy, którymi należało się zająć następnego dnia. Trzeba było odstawić oba cielęta od matek, dzięki czemu wreszcie miało być więcej mleka, sera i masła, zarówno do domu, jak i na sprzedaż. Należało też zebrać brzoskwinie, zrobić z nich przetwory i upiec placek ze świeżymi owocami. No i wreszcie trzeba było w jakiś sposób znaleźć czas na to, żeby pójść nad rzekę i nałapać ryb – jako że już od tygodnia obie siostry odżywiały się prawie wyłącznie warzywami. Na samą myśl o świeżo usmażonej, soczystej i kruchej rybie ślinka napłynęła jej do ust.

Z dołu dobiegło skrzypienie desek werandy i lekkie trzaśnięcie drzwi wejściowych, co oznaczało, że Karin i Alex już wrócili. Katherine nawet przez zamknięte drzwi zawsze słyszała ich przytłumione głosy i kroki, ale najgorsza dla niej była następująca po nich cisza, która wręcz zmuszała ją do wyobrażania sobie Bóg wie jakich rzeczy, robionych przez tych dwoje. Dlatego, żeby nie pozwalać sobie na takie myśli, zawsze odkładała wieczorny pacierz właśnie na tę chwilę. Tym razem też się jeszcze modliła, gdy usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

– Katherine, śpisz? – spytała cicho Karin.

– Nie.

– Cieszę się, że jeszcze nie usnęłaś, bo chciałam cię przeprosić za moje dzisiejsze zachowanie.

– Domyślam się – powiedziała Katherine. W pomieszczeniu było zbyt ciemno, by mogła dostrzec wyraz twarzy siostry, ale uczestniczyła w tym rytuale przeprosin już wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, jak Karin może w takiej chwili wyglądać. Jeszcze przed chwilą rozpromieniona i zadowolona z siebie, nagle stawała się uosobieniem żalu i najszczerzej skruchy. Głos zaczynał jej drżeć, do oczu napływały łzy.

– Ale na pewno nie wiesz, jak bardzo źle się z tym czuję. – Karin powiedziała to głosem naprawdę drżącym ze wzruszenia. – Zachowałam się okropnie i z całą pewnością bardzo musiałam cię tym dotknąć. Nie wiem,

88

czemu wciąż chcę cię oskarżać o wszystko, nawet o zachowanie Clovisa.

Pewnie dlatego, że jestem niegodziwa i niewdzięczna, podczas gdy ty jesteś taka dobra i życzliwa, zawsze gotowa dać z siebie wszystko. Powiedz, że mi przebaczasz! Bo jeżeli tego nie zrobisz, umrę ze zgrzyoty, a ty przecież nie chciałabyś mieć mnie na sumieniu.

Przeprosiny Karin wydawały się szczere, lecz Katherine zdawała sobie sprawę z tego, że siostrze takie bardzo pokorne przepaszanie nie tylko przychodzi całkiem łatwo, ale nawet w jakiś sposób sprawia przewrotną przyjemność. Karin także i z takiego upokorzenia się potrafiła czerpać nową siłę – i swego rodzaju satysfakcję. O tym Katherine też już wiedziała, a w każdym razie domyślała się tego.

– Już dobrze – rzuciła.

**– Ale powiedz, że mi wybaczasz, bardzo cię proszę – nalegała Karin.**

**Katherine westchnęła. Nagle poczuła się bardzo stara i zmęczona.**

**– Oczywiście, że ci wybaczam.**

**Karin podbiegła do łóżka i ucałowała ją w policzek.**

**– Dziękuję, droga siostrzyczko. Teraz już będę spała zupełnie spokojnie.**

**– O, tego jestem całkowicie pewna – powiedziała Katherine z odrobiną ironii, zbyt delikatnej jednak, by niezbyt wrażliwa Karin w ogóle mogła ją zauważyć.**

**– Ach, moja najdroższa, najśladza Katherine, twoja dobroć zawsze dodaje mi sił i chęci do życia. Jesteś mi niezwykle bliska i bardzo chcę, żeby ta bliskość w nas pozostała już na zawsze. Umarłabym z żalu, gdyby tak nie było.**

**– Odchodząc, odwróciła się jeszcze raz i dodała bardzo ciepło: – Dobranoc!**

**– Dobranoc – odpowiedziała Katherine i przymknęła oczy. Przez chwilę jeszcze myślała o siostrze i jej przeprosinach, powtarzających się równie często, jak wybuchy gniewu, które zdarzały się z byle powodu. Karin po prostu taką miała naturę, bywała nerwowa i porywcza, skłonna do pochopnych wniosków i nieuzasadnionych oskarżeń; potrafiła wtedy być bardzo nieprzyjemna i krańcowo samolubna. Jak to kiedyś zauważyła Fanny Bright, gdy przypadkiem trafiła na taki właśnie wybuch nagłej agresji, Karin zachowywała się w takich momentach jak dziecko: postępowała tak, jak gdyby była przekonana, że w gniewie wolno jej mówić, co tylko jej przyjdzie do głowy, i rzucać nawet najbardziej bezsensowne oskarżenia – wiedząc jednocześnie, że to wszystko zostanie jej wybaczone, gdy tylko okaże choćby odrobinę skruchy.**



Katherine czasami się zastanawiała, co tak naprawdę zrobiłaby siostra, gdyby nagle usłyszała, że tym razem nie zamierza jej wybaczyć. Ale to już były rozważania czysto teoretyczne.

Następnego dnia, zgodnie z wcześniejszymi postanowieniami, Katherine odseparowała od matek dwoje podrosłych już cieląt i wypuściła je na ogrodzoną część pastwiska razem z dwiema o rok starszymi jałówkami. Potem zebrała wielki kosz brzoskwiń i kilka naręczy rabarbaru. Po oczyszczeniu pokroiła brzoskwinie i zakonserwowała je w cukrze, odkładając na bok najładniejsze części, przeznaczone do placka z owocami, a następnie w podobny sposób pokroiła i zakonserwowała rabarbar.

Wcześniej przygotowała ciasto, położone na nim owoce ozdobiła fantazyjną kratką z resztek ciasta i całość włożyła do gorącego pieca. Kiedy po trzech kwadransach otworzyła go i pochyliła się, żeby wyciągnąć gotowy placek, nagle w drzwiach od strony podwórza pojawiła się głowa Adriana Mackinnona.

Widok Katherine w tej dość niezwykłej pozycji musiał go mocno poruszyć, bo bez chwili zastanowienia wykrzyknął:

– A niech mnie kule biją! Widzieć cię tak wdzięcznie wypiętą to prawdziwa uczta dla oka i duszy!

Zaskoczona Katherine wyprostowała się tak gwałtownie, że uderzyła głową o półkę zawieszoną nad piecem i omal nie upuściła wyjmowanego ciasta. Złapała je w ostatniej chwili, dość dotkliwie parząc sobie palce. Cudownie ocalony placek jakoś tam postawiła na stole, a sama obróciła się do Adriana z

**miną nie wróżącą mu nic dobrego.**

**– A ja z prawdziwą przykrością stwierdzam – jej zielone oczy były jak dwa zabójcze sztylety – że, podobnie jak twój brat, nabrałeś ostatnio bardzo niebezpiecznego zwyczaju otwierania cudzych drzwi bez uprzedniego pukania, co może skończyć się nawet tym, że ktoś was w końcu zastrzeli, nie bez pewnych podstaw biorąc was za jakichś rzezimieszków. Byłabym ci też głęboko wdzięczna, gdybyś na przyszłość zechciał mi oszczędzić podobnie inteligentnych komentarzy na temat mojego wyglądu podczas wyciągania ciasta z pieca, nawet jeśli w twoim przekonaniu miał to być subtelny komplement. Tak czy inaczej żyjesz tylko dlatego, że akurat nie miałam pod ręką rewolweru.**

**Adrian nie wyglądał jednak na szczególnie przestraszonego i patrzył na nią**

**90**

**z szerokim uśmiechem.**

**– Brawo, Katherine! – wykrzyknął z podziwem. – Nigdy dotąd nie widziałem, żebyś do kogoś przemawiała aż tak długo i z takim przejęciem.**

**– Bo nigdy dotąd nie zakradałeś się tu, żeby mnie chyłkiem podglądać.**

**Może więc wreszcie mi powiesz, co tak niezwykle pilnego cię tu sprowadziło, bo tak się akurat składa, że mam całe mnóstwo bardzo pilnych zajęć.**

**– Zajrzałem tu po prostu dlatego, że jadę do miasta i postanowiłem zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz.**

**– Nawet jeśli bym czegoś potrzebowała, to i tak nie mam pieniędzy, żeby za to zapłacić – oświadczyła Katherine, lekko wydymając wargi. – Tak więc możesz spokojnie jechać.**

- A nie chciałabyś pojechać ze mną dla samej zabawy?
- Zabawy? Czy przypadkiem nie nabawiłeś się udaru słonecznego? Tłuc się rozklekotanym starym wozem w taki upał? To miałyby być zabawne?!
- Mógłbym ci po drodze opowiedzieć parę zabawnych historyjek.
- Wszystkie twoje historyjki znam już na pamięć.
- Przez te cztery lata spędzone poza domem zdążyłem się nauczyć kilku nowych. Katherine lekko uniosła brwi.
- Nie wątpię – powiedziała. – Podejrzewam jednak, że akurat nie są to te historyjki, które można opowiadać damie. Adrian znów się uśmiechnął.
- W mieście kupiłbym ci lemoniadę – obiecał kusząco.
- Dziękuję, ale właśnie wypilałam szklankę świeżego soku brzoskwiniowego i to mi w zupełności wystarczy. Adrian pokiwał głową.
- Wygląda więc na to, że nie dasz się namówić. Ale nie Bieżna mi zarzucić, że nie próbowałem. – Nie można.
- No to jadę. Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania?
- Czy pamiętasz, że bym kiedykolwiek je zmieniła?
- Kiedyś przecież musi być ten pierwszy raz. Katherine roześmiała się. – Na pewno nie dzisiaj.
- Powinnaś być finansistą – zasugerował Adrian. – Negocjujesz tak twardo, jak bankier.
- A ty powinieneś pozostać dzieckiem. W głowie masz wyłącznie zabawy.
- Tylko z tobą – odpowiedział bardzo ciepło. Potem odwiązał lejce, wskoczył na wóz i ruszył w kierunku miasta.

Katherine popatrzyła za nim, pokręciła głową i poszła z powrotem do

kuchni. Przełożyła resztę przetworów do słoików i umieściła je na półce.

91

Ciasto, które już zdążyło wystygnać, wyjęła z foremki i ustawiła na stole. Potem wzięła wiaderko i poszła do ogrodu, żeby nakopać robaków na przynętę. Gdy uznała, że ma już ich wystarczająco dużo, zabrała stojącą przy ganku wędkę i ruszyła w stronę rzeczki. Miło było pomyśleć, że podczas tak dokuczliwego upału najbliższą godzinę lub dwie spędzi nad wodą, w chłodnym cieniu drzew. Po założeniu przynęty i zarzuceniu wędki można było już tylko czekać.

Woda płynęła leniwie; było jej znacznie mniej niż wiosną. Katherine oparła wędkę na sterczącej suchej gałęzi, usiadła na wielkim okrągłym kamieniu i zaczęła wpatrywać się w szałwik. Odruchowo rozpięła kołnierzyk i kilka guziczków bluzki, zdjęła też wyjściowy czepek, a wkrótce potem także i obuwie.

Przesunęła się niżej i usiadła na samym brzegu, z przyjemnością zanurzając stopy w chłodnej wodzie. Nieco deprymujące było jedynie to, że minęło już dobrych kilkanaście minut, a ona praktycznie wciąż jeszcze nic nie złowiła.

I nagle tuż za plecami usłyszała znajomy głos:

– Zastanawiam się, dlaczego te ryby jeszcze się nie ustawiły w kolejce do twojego haczyka. To naprawdę niewytłumaczalne!

To był oczywiście Alex, który, nie wiadomo skąd, nagle pojawił się za jej plecami – prawie zupełnie tak samo, jak wcześniej Adrian. Katherine w pierwszym odruchu chciała go zbesztać, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Co cię tu sprowadziło o tej porze dnia? – spytała obojętnie.

– Postanowiłem złapać parę ryb na obiad, najpewniej zupełnie tak samo

**jak ty – odpowiedział Alex i spojrział na jej wędkę, której szałwiarz wciąż pozostawał nieruchomy. – Złapałaś coś w ogóle?**

**– Jednego marniutkiego okonia, którym nie pożywiłby się nawet komar.**

**– I gdzie on jest?**

**– Wrzuciłam go z powrotem do wody z poleceniem, żeby odszukał największego sumy i przysłał go do mnie.**

**– A jaką masz przynętę?**

**– Robaki.**

**– To dlatego trafiają ci się tylko okonie.**

**– A na jaką przynętę łowi się sumy?**

**– Na specjalną. Zagniataną na krwi.**

**– Jak to, zagniataną na krwi? Brrrr! To musi być coś okropnego!**

**Alex roześmiał się.**

92

**– I rzeczywiście jest. Nawet nie wiesz, jak bardzo.**

**– I co się z tą krwią zagniata?**

**– Właściwie to zagniata się dopiero później. Najpierw się miesza z krwią**

**trochę mąki pszennej i trochę kukurydzianej. Potem odstawia się to na sześć dni.**

**– A po sześciu dniach wyrzuca możliwie jak najdalej? – spytała kpiąco**

**Katherine.**

**– Prawdę mówiąc, ma się ogromną ochotę to właśnie zrobić –**

**odpowiedział Alex. – Ale jeżeli chcesz, mogę ci pokazać taką przynętę już gotową. Zaraz ją przyniosę.**

**Zniknął w pobliskich krzakach, a po chwili pojawił się z wędką i kubelkiem na ryby, na dnie którego był niewielki słoik z blaszaną nakrętką.**

**– To jest ta przynęta? – zdziwiła się Katherine.**

**– Pierwszy gatunek – oznajmił dumnie Alex. – Mój własnoręczny wyrób.**

**Ostrzegam jednak, że pierwsze zetknięcie z tym wspaniałym produktem może być pewnym wstrząsem. – Przekręcając blaszane wieczko i zdjął je ze słoika.**

**Obrzydliwy odór, który buchnął z wypełnionego przynętą naczynia, był tak porażający, że Katherine w pierwszej chwili zastanawiała się jedynie nad tym, czy najpierw zemdleje, czy może raczej wymiotuje.**

**– Święci pańscy! Jak można czegoś takiego używać jako przynęty?! Ja za żadne pieniądze nie wzięłabym do ust ryby, która zjadła takie świństwo!**

**Zakręćże to jak najszybciej, błagam!**

**Gdy Alex zignorował jej prośbę, zatkała sobie nos i usta. To pomogło, musiała jednak na chwilę odsunąć dłoń, żeby ponownie zaprotestować:**

**– Na miłość boską, chyba nie zamierzasz włożyć ręki w coś tak obrzydliwego?!**

**– Owszem, zamierzam. A ty nie możesz być aż tak przeczulona. W końcu nieraz oporządzałaś tarzające się w gnoju świnię, sam to widziałem.**

**– Nawet najbrudniejsza świnia nie cuchnie tak ohydnie. To jest gorsze niż smród tysiąca świń.**

**– Musi śmierdzieć, żeby także i w wodzie nie straciło swojej mocy.**

**– To obrzydlistwo nie straciłoby mocy nawet w oceanie. Zasmrodziłoby cały Pacyfik. A w jaki sposób umieszczasz to na haczyku?**

**– Biorę odrobinę na czubek palca, zagniatam i formuję w kulkę, którą**

**następnie nadziewam na haczyk. Chcesz spróbować?**

**– Nie, dziękuję. Pozostanę przy swoich robakach.**

93

**– I mizerynych okoniach – powiedział Alex, a jego mina świadczyła o ogromnej pewności siebie. Zrzucił wędkę i zapytał: – A co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował zakład?**

**Katherine popatrzyła na niego nieufnie.**

**– A o co mielibyśmy się zakładać?**

**– O to, kto złowi więcej ryb.**

**– Okonie też się liczą?**

**– Liczą. W końcu to też ryby.**

**– Rozmiar nie ma znaczenia?**

**– Liczy się każda złowiona ryba, jeżeli tylko jest wystarczająco duża, żeby dało się ją dostrzec gołym okiem.**

**Katherine roześmiała się.**

**– I jaka miałyby być wygrana w tym zakładzie?**

**– Damy mają pierwszeństwo – powiedział Alex. – Jaki fant mi dasz, jeżeli złapiesz więcej ryb niż ja?**

**– Zaraz... Myślałam, że to ten, kto złapie więcej ryb, dostaje coś w nagrodę.**

**– Ale tym razem nieco zmieniliśmy zasady.**

**– A więc jeżeli złapię więcej niż ty, muszę ci dać fant?**

**– Właśnie. No to co mi dasz w takim przypadku?**

**– Placek z pysznymi owocami.**

**– Świeży?**

– Dzisiaj upieczony.

– I bez wycinania najlepszego kawałka dla siebie?

– Bez. – Katherine znów się roześmiała. – No to teraz powiedz mi, jaki będzie twój fant? Co mi dasz, jeżeli to ty złapiesz więcej ryb?

– Tydzień pracy na twojej farmie. Katherine od razu spoważniała.

– O nie! – zaprotestowała stanowczo. – Wymyśl coś innego. Alex pokręcił głową.

– Już za późno. Skoro ja zgodziłem się na twoją propozycję, ty musisz się zgodzić na moją.

Katherine nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ splawik jego Wędkii zanurzył się gwałtownie. Alex wrzasnął, zerwał się na równe nogi i w ostatniej chwili przytrzymał wędkę, którą ryba Już miała wciągnąć w nurt.

– To musi być coś dużego! – krzyknął. – Będę ciągnął za żyłkę.

Po chwili spora, blisko półkilogramowa ryba leżała już na brzegu. Alex przyciągnął ją bliżej i pochylił się nad nią, ostrożnie filując ją z haczyka.

94

Katherine nieznacznie uniosła wędkę w taki sposób, żeby haczyk z przynętą znalazł się ponad wodą. Jednak jej nadzieja, że zajęty odczepianiem ryby Alex tego nie zauważy, okazała się płonna.

– Już się wycofujesz? – spytał podejrzenie uprzejmym tonem.

– Nie, chciałam tylko sprawdzić przynętę – skłamała bez mrugnięcia okiem.

Skinął głową, przyłożył dłoń do ust i teatralnym szeptem poinformował wijącą się na haczyku dżdżownicę:



– Nie martw się, robaczku, pani tylko sprawdzała. Za chwilę znów

będziesz w wodzie.

– Czy mógłbyś nie rozmawiać z moją przynętą? – zaprotestowała

Katherine. – Bo w sądzie bardzo łatwo mogłabym dowieść, że chciałeś tego robaka przeciągnąć na swoją stronę!

– Na szczęście już znów jest tam, gdzie być powinien, więc nie ma sprawy.

Natomiast co do zakładu, na czym to stanęliśmy? Ach tak, na tym, że zaakceptowałaś moją propozycję.

– Nic podobnego!

– Tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Każda z osób uczestniczących w zakładzie może zaproponować jako fant wszystko, co tylko zechce, i nie musi pytać o niczyją zgodę. Tak więc jeżeli z mojej strony jest to tydzień pracy, to jedynym sposobem na przeszkodzenie mi w tym jest złapanie większej liczby ryb! Musisz się po prostu bardziej starać i brać przykład ze mnie! O, proszę! Zdaje się, że znowu coś bierze!

Splawik zniknął pod powierzchnią, a mocne ugięcie wędki wskazywało na to, że tym razem zdobycz może być jeszcze większa.

– Czy te ryby to twoje znajome? – mruknęła zgryźliwie Katherine, widząc, jak jej rywal wyciąga kolejnego suma, cięższego od tego poprzedniego o dobre pół kilograma. – Wcale bym się nie dziwiła.

Alex uśmiechnął z zadowoleniem, a potem sięgnął po słoik, podstawiając go tuż pod jej nos.

– Nie masz ochoty wypróbować tej absolutnie niezawodnej przynęty? Sam jej zapach wart jest wszystkich pieniędzy.

– Idź do diabła! – wykrzyknęła Katherine, pośpiesznie zatykając nos i uciekając na bezpieczną odległość.

Alex starał się zachować poważną minę, ale widać było, że wprost dusi się ze śmiechu. Po paru minutach wyciągnął następnego suma, a w chwilę po tym

95

jeszcze jednego. Katherine patrzyła na to z niedowierzaniem, ale gdy szałwik wędkę Alexa niemal natychmiast znów poszedł pod wodę, nie wytrzymała.

– Daj mi tę cholerną przynętę – powiedziała z ponurą miną. Alex prychnął śmiechem, lecz jedno spojrzenie na twarz Katherine wystarczyło, by zamilkł.

Dla niej z całą pewnością to wcale nie było śmieszne.

– Przepraszam cię. – Popatrzył na nią ze szczerą skruchą i podał jej słoik.

– Chcesz, żebym nałożył ci ją na haczyk?

– Dziękuję! – odpowiedziała jeszcze bardziej zgryźliwie. – Sama sobie poradzę!

– Jak sobie życzysz. – Wrócił do swojej wędkę i udawał, że patrzy na szałwik. Nie przestawał jednak kątem oka obserwować poczynąń Katherine.

A ta poczyniała sobie wcale dzielnie. Prawdę mówiąc, Alex nawet nie wyobrażał sobie, że przedstawicielka słabszej płci może sobie poradzić z tym aż tak dobrze – z pewnością lepiej niż niejeden mężczyzna. Tak, ta dziewczyna miała w sobie coś z ducha niezłomnych pionierów. Nawet jeśli odrobinę pobladła czy też pozieleniała na twarzy, to nie cofnęła się, ugniotła cuchnącą przynętę i uformowała z niej kulkę, którą starannie nałożyła na haczyk. Jej determinacja była doprawdy imponująca.

Alex przez chwilę próbował sobie wyobrazić Karin na miejscu Katherine,

ale bardzo szybko doszedł do wniosku, że po prostu nie ma prawa zastanawiać się nad czymś równie niedorzecznym. Babranie się w tego rodzaju wędkarskich przynętach z pewnością nie było zajęciem dla Karin, ale miała wystarczająco dużo innych zalet, by na samą myśl o niej robiło mu się ciepło na sercu.

Jednak i o Katherine już w kilka minut później pomyślał równie ciepło, gdy ta złowiła pierwszego suma. I to naprawdę ogromnego, większego od tych wszystkich, które złapały się na jego wędkę. Pomagał jej wyciągnąć go na brzeg, a jednocześnie kątem oka przypatrywał się jej rozpromienionej twarzy i skrzącym od emocji oczom. Uszczęśliwiona i uskrzydłona niespodziewanym sukcesem, nagle stała się jeszcze piękniejsza, prawdę mówiąc była po prostu zachwycająca.

– O święty Sebastianie! – wykrzyknęła triumfalnie, gdy zdobycz leżała już na trawie. – Toż to prawie aligator! Ten sum jest większy od wszystkich pozostałych razem wziętych.

– No, prawie. W każdym razie to jeden z większych okazów, jakie zdarzyło mi się tu widzieć. Może mieć dobre trzy kilogramy.

96

– Fanny Bright mówiła, że niektóre mogą ważyć dziesięć, a nawet piętnaście kilo.

– Ale nie w takiej niewielkiej rzeczce – powiedział Alex. – Tu trzy albo cztery kilogramy to wszystko, czego można się spodziewać. Tak więc, moja droga Kathy, możesz spokojnie uważać, że złowiłaś tu największego suma, jaki był do złowienia.

Po kilku minutach złapał jeszcze jednego sumy średniej wielkości. Później ryby najwyraźniej przestały już brać. Przez dobre pół godziny żaden ze spławików nawet nie drgnął.

W końcu Alex podniósł się i powiedział:

– Podejrzewam, że na dziś to już wszystko. Wieść o nas musiała rozejść się już w całej rzeczce i nie sądzę, żeby udało się nam złapać coś jeszcze. – Pomógł Katherine wstać. – I nie martw się, że tym razem złowiłem więcej. – Z uśmiechem patrzył na jej pełną rozczarowania minę. – W przyszłym tygodniu dam ci szansę odegrania się. – Podał jej obie wędki, a sam wziął kubelki ze złowionymi rybami. – Odprowadzę cię do domu, jeżeli pozwolisz. Tam będziemy mogli je oprawić. Myślę, że powinny być bardzo smaczne.

Zadowolony z połowu Alex nie przestawał mówić prawie przez całą drogę, ale, prawdę mówiąc, Katherine nie potrafiłaby powtórzyć z tego nawet jednego zdania. W ogóle nie słuchała słów; skupiła się na brzmieniu głębokiego, prawdziwie męskiego głosu. Ta przebijająca w nim siła i pewność siebie... i ta absolutnie niepowtarzalna barwa – to wszystko sprawiało, że chciałaby go tak słuchać bez końca.

Chciałaby jeszcze wielu rzeczy, ale rzeczywistość była bezlitosna i prędzej czy później przywoływała ją do porządku. Ten wspólny spacer w kierunku domu też nie mógł trwać wiecznie. Gdy znaleźli się przed gankiem, Alex zatrzymał się i przez chwilę patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jak gdyby miał jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Już otwierał usta, ale najwyraźniej się zreflektował i zamilczał.

Nie pierwszy raz się to zdarzyło. Katherine już nieraz miała wrażenie, że

chciałby jej powiedzieć coś bardzo osobistego, podzielić się z nią jakąś myślą czy nagłym odczuciem, czymś, co mogłoby ich do siebie zbliżyć – i nagle w ostatniej chwili się wycofywał– Ach, gdybyż choć raz poddał się temu impulsowi.

97

7

Kolejne tygodnie upływały dość monotonnie. W życiu sióstr Simon mało było znaczących wydarzeń, a głębszy sens banalnej codzienności miał – jak zawsze – ujawnić się dopiero znacznie później. Karin wciąż jeździła do pracy w mieście, a Katherine borykała się z domowymi obowiązkami i ze swym, daremnie skrywanym, beznadziejnym uczuciem.

To drugie sprawiało, że zamyślała się coraz częściej i czasami zachowywała się wręcz dziwnie – na przykład, rozmawiając ze zwierzętami, choć trzeba przyznać, że za każdym razem była to rozmowa raczej jednostronna. Zwróciła na to uwagę nieoceniona Fanny Bright, gdy któregoś dnia przypadkiem usłyszała słowa skargi, które Katherine najwyraźniej kierowała do przeżuwiającego obrok muła.

– Moja droga – powiedziała wówczas Fanny – wiem, że w twojej sytuacji nie za bardzo masz z kim pogadać, ale minio wszystko nie przypuszczam, żeby Clovis mógł być najodpowiedniejszym rozmówcą. Przyznaj, że twoje zachowanie może się wydawać co najmniej zaskakujące.

– Chcesz powiedzieć, że jestem dziwaczką? – spytała retoryce nie Katherine. – No więc powiem ci, że masz całkowitą rację. Ja też nieraz spoglądam na siebie zdumiona i dziwię się sama sobie. Od paru tygodni z

lustra patrzy na mnie jakaś obca twarz, którą dopiero po dłuższej chwili rozpoznaję jako własną. Nie poznawać samej siebie to już naprawdę szczyt!

Chyba kompletnie zgłupiałam!

– Nie przejmuj się aż tak bardzo – powiedziała Fanny. – To się zdarza, zwłaszcza kiedy się tęskni za mężczyzną. Zawsze mówiłam, że miłość najmądrzejszą nawet kobietę może przemienić w idiotkę.

– A co z plcią przeciwną? – spytała Katherine. – Co wobec tego miłość robi z mężczyznami?

– Oni są idiotami z natury, więc miłość może sprawić, że nagle wydadzą się prawie inteligentni. Katherine roześmiała się i dała jej lekkiego kuksańca w bok.

– Och, Fanny, Fanny, ty jedna jesteś naprawdę jasnym promyczkiem w moim niewesołym życiu! – Potem, już bardziej serio, dodała: – A co do tęsknoty za mężczyzną, to ja za nikim nie tęsknię.

– Powiedzmy – mruknęła Fanny. Najwyraźniej wiedziała swoje.

98

Dwa dni później Katherine w końcu zobaczyła mężczyznę, którego tak chciała zobaczyć. Ale okoliczności, w jakich to było, odebrały jej całą radość. Natrafiła na niego przypadkiem, gdy przyjechała na zakupy do miasta i na chwilę zatrzymała wóz przed sklepem z artykułami codziennego użytku, z którego Alex właśnie wynosił ostatnie paczki zamówionych towarów, niezbędnych przy gruntownym remoncie domu. Jego wóz był załadowany niemal po brzegi. Najcięższa okazała się beczulka gwoździ, którą ze sporym trudem wcisnął na samą górę. Potem zamknął tylną klapę wozu i dopiero

wtedy dostrzegł Katherine. Uśmiechnął się na jej widok i dotknął runda kapelusza.

– Dzień dobry! – zawołał.

Skinęła głową.

– Jak się masz, Alex.

I na tym właściwie zakończyła się ich rozmowa. Jeszcze przez chwilę patrzył na nią, nie ukrywając podziwu dla jej kwitnącej dziewczęcej urody, którą podkreślała biała bawełniana sukienka i wdzięczny czepek, zakrywający związane w węzeł włosy. Choć siedziała na koźle prostego farmerskiego wozu, zaprzęzonego w starego muła, wydawała się postacią z całkiem innego świata – jakąś zwiewną nimfą albo wróżką z bajki, a jej brzoskwiniowa cera, zaróżowiona lekkim rumieńcem, przyciągała spojrzenia wszystkich. Ale tak było tylko przez chwilę – do momentu, gdy zza pobliskiego skrzyżowania nagle wyszła jej siostra – jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej olśniewająca. Alex natychmiast przeniósł na nią spojrzenie i widział już tylko ją.

Podobnie zresztą, jak i wszyscy inni mężczyźni, którzy akurat byli w pobliżu.

Karin szła w taki sposób, że nie można było jej nie zauważyć. Miała na sobie oszalamiającą, świetnie skrojoną sukienkę z miękko opinającego ciała atlasu, w kuszącym kolorze dzikiej róży. Ten strój tak dokładnie przylegał do zachwycającej figury dziewczyny, że – jeśli się było mężczyzną – miało się nieodpartą ochotę natychmiast wziąć ją w ramiona. Jej modnie uczesane włosy koloru bladego złota były z tyłu przewiązane i spięte lśniąca kłamrą, a prześliczna różowa parasolka dopełniała całości.

Trudno było się dziwić, że Alex wpatrywał się w nią jak w tęczę, bo tak samo zachowywali się niemal wszyscy mężczyźni, których mijala na swej drodze. Każdy zatrzymywał się i patrzył na nią z nieskrywanym podziwem, a niektórzy z zachwytu głupieli do tego stopnia, że biegli w ślad za nią i usiłowali

99

nawiązać znajomość. Nawet stary Hooter Peabody nagle wypluł na wpół zżutą prymkę tytoniu, uklonił się i powiedział:

– Dzień dobry szanownej pani!

Oczywiście nawet nie spojrział na miejsce, w które splunął i to był poważny błąd, ponieważ resztki zżutej prymki trafiły prosto na kremową spódnicę kostycznej pani Claiborne, która natychmiast ukarała winnego, waląc go po głowie spacerową parasolką.

Alex roześmiał się, widząc ten incydent, ale potem znów obrócił się w stronę nadchodzącej Karin. Katherine westchnęła tylko, widząc, jak jej piękna siostra nagle rozpromienia się na jego widok.

To było zbyt bolesne, żeby się temu dalej przyglądać; Katherine szarpnęła więc lejcami, wrywając Clovisa z filozoficznej zadumy, i pojechała załatwiać swoje sprawy.

Miała ich dużo, zatrzymywała się więc kolejno przy poczcie, banku, przy kilku sklepach, w których robiła zakupy, i na koniec przy firmie krawieckiej, gdzie pracowała Karin. Tam jednak powiedziano jej, że panna Simon właśnie wyszła na lunch.

Ta informacja potwierdziła się już wkrótce, bo jadąc w kierunku domu,

Katherine musiała przejechać obok miejscowego hotelu i restauracji – i tam



właśnie dostrzegła siostrę i Alexa, siedzących przy ogródkowym stoliku i zatopionych w rozmowie. To głośny śmiech Karin sprawił, że Katherine spojrzała w ich stronę i zobaczyła, jak trzymają się za ręce. Potem Alex pochylił się i szepnął coś do ucha Karin. Wyglądało na to, że świetnie się bawią i że naprawdę świata poza sobą nie widzą.

Nie zatrzymując się nawet na moment, Katherine pojechała prosto przed siebie, do domu.

W rzeczywistości Alex niczego nie szeptał do ucha Karin, po prostu usiłował ją pocałować i wcale nie zamierzał poprzestać na jednej próbie. Dziewczyna roześmiała się i spojrzała na niego z kokieterijnym wyrzutem.

– Mam wrażenie, że jestem kawalkiem słodkiego ciasta, a ty człowiekiem umierającym z głodu...

– Bo ja rzeczywiście umieram z głodu – odpowiedział Alex dramatycznie namiętnym szeptem. – Tak bardzo ciebie pragnę.

Karin oparła czoło na jego ramieniu.

– Ach Alex, Alex – westchnęła w jawnej rozterce. – I co ja mam z tobą

100

zrobić?

Kochaj mnie – odpowiedział. – Po prostu mnie kochaj.

– Zawsze cię kochałam – odpowiedziała bez chwili zastanowienia. –

Zawsze, jak sięgam pamięcią. I była to nawet prawda.

Po kwadransie Karin już znów była w pracy i tylko przez okno widziała Alexa, który właśnie nawrócił wyładowanym wozem i odjeżdżał w kierunku domu. Boże drogi, jakież on jest jednak przystojny, pomyślała po raz nie

wiadomo który. Nawet w tej wypłowiałej niebieskiej koszuli i wytartych spodniach. Bo w końcu jednak liczy się nie ubranie, ale sam mężczyzna – a ten był naprawdę niezrównany. Te jego długie nogi, wąskie biodra i szerokie ramiona, ta wspaniała postawa – no i przede wszystkim twarz. Piękne czoło, orli nos, pełne wyrazu wargi i spojrzenie, z którego przebijała z trudem hamowana namiętność, ale też stanowczość i siła. Ta nieco barbarzyńska uroda była wręcz porażająca. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie pociągał jej aż tak bardzo. Alex miał wszystko to, czego Karin Simon szukała – z jednym wyjątkiem. Nie miał pieniędzy. A mówiąc jeszcze bardziej wprost – był obrzydliwie biedny.

Oczywiście utrzymywał, że to się zmieni, opowiadał o pieniądzach, które wraz z bratem otrzymali za cztery lata spędzone w wojsku i które miały wystarczyć na odbudowę domu i całego gospodarstwa; wyliczał zyski, jakie przy dobrych zbiorach mógł mieć już w tym roku, a jeszcze nieporównanie większe w następnym. Ale to wszystko było palcem na wodzie pisane, a ilekroć Alex zaczynał snuć te plany i opowiadać, jak wspaniale będzie im się tu żyło już za kilka lat, Karin niemal natychmiast łapała się na tym, że przestaje go słuchać. Jej myśli znów zaczynały krążyć wokół jedyne sensownego rozwiązania – wyjazdu z Limestone. Wiedziała, że najbardziej na świecie chce stąd wyjechać – jak najdalej i na zawsze. Myślenie o tym stało się już jej obsesją.

Wóz Alexa zniknął w oddali, a Karin już miała odwrócić wzrok od okna, gdy nagle niemal tuż za szybą zobaczyła znajoma sylwetkę. To Nathan Bradbury wjeżdżał do miasta na pięknym kasztanowym ogierze.

Był wysokim przystojnym mężczyzną w średnim wieku, wciąż atrakcyjnym i bardzo dobrze sytuowanym, zwłaszcza jak na człowieka z tak niewielkiego miasteczka. Karin wiedziała, że jest starszy od niej o dwadzieścia pięć lat, ale to nie miałyby dla niej znaczenia; znacznie istotniejsze było co innego – był

101

żonaty. Jemu to zresztą wcale by nie przeszkadzało, od początku patrzył na nią pożądliwie i nie zamierzał tego ukrywać. Przed paroma laty posunął się nawet do tego, że przyszedł na jedno ze spotkań w parafii tylko po to, żeby po jego zakończeniu podejść do Karin i otwarcie zaproponować jej romans.

– Panie Bradbury – odpowiedziała mu wówczas Karin – pozwoli pan, że będę udawała, iż nic nie zostało powiedziane. Bo przecież wszyscy wiedzą, że jest pan żonaty.

– I każdy wie, że moja żona jest chronicznie chora. Każdy również wie, że ty, Karin Simon, jesteś nie tylko młoda i zdrowa, ale też i bardzo ambitna. – Pochylił się ku niej i korzystając z tego, że wszyscy już wyszli, spróbował ją objąć. – A ja mogę dać ci wszystko, co zechcesz, wszystko, o czym mogłaś tylko marzyć, piękny dom, kosztowne stroje, własny pojazd z parą koni.

– I złe imię, już na zawsze – dokończyła Karin. Odsunęła obejmującą ją rękę i wyrwała się natrętowi. – Nie jestem uliczną dziewczką, panie Bradbury. Mogę być biedna, ale się nie sprzedaję.

– Teraz nie – odpowiedział z niewzruszoną pewnością siebie. – Ale będziesz. Domy publiczne pełne są kobiet takich jak ty. Kobiet, które kiedyś też były piękne i też miały oczy jak gwiazdy, ale były zbyt młode i naiwne, żeby umieć realnie patrzeć na życie wtedy, kiedy jeszcze nie jest na to wszystko za

**późno. Ty też jesteś taka i wiem, że jeszcze do mnie przyjdiesz. Takie jak ty zawsze w końcu przychodzą.**

**Karin była bliska łez i tylko duma nie pozwalała jej się rozplakać.**

**– Proszę mnie zostawić w spokoju, zrozumiał pan?! I mnie, i moją siostrę!**

**Owszem, jesteśmy biedne, ale nie można nas traktować jak śmieci!**

**Bradbury roześmiał się.**

**– Nie mam żadnych ukrytych zamiarów wobec tej twojej siostrzyczki –**

**powiedział, wzruszając ramionami. – Mogłaby być nawet niebrzydka, gdyby**

**tylko trochę o to zadbała, ale jest zbyt naiwna, szczerą i prostolinijną, żeby**

**przetrwać. I za bardzo uparta, z przeciwności próbuje czerpać siłę, a to nie**

**może się powieść. Ta mała za bardzo wierzy w siebie.**

**– Obie wierzymy! – oświadczyła dumnie Karin.**

**Bradbury znów się roześmiał i lekko pogłaskał ją po policzku.**

**– Ty za bardzo chcesz się stąd wyrwać, za bardzo wierzysz, że to rozwiąże**

**wszystkie twoje problemy. Będziesz się trzymać tych surowych zasad jeszcze**

**przez jakiś czas, ale kiedy się okaże, że to nic nie daje, sprzedasz nawet duszę,**

**by w końcu zdobyć to, czego pragniesz. Twoja siostra natomiast wolałaby**

102

**raczej umrzeć, niż pójść na kompromis. – Starał się chwycić ją za ramię, a gdy**

**Karin znów się uchyliła, tylko pokiwała głową. – Dobrze sobie przemyśl moją**

**propozycję. Tu nikt poza mną nie może ci dać tego, czego tak bardzo chcesz. Ja**

**to wiem i ty także wiesz. Więc kiedy pomyślisz i zmienisz zdanie, będę czekał.**

**– Może pan czekać do śmierci – odpowiedziała stanowczo Karin. – Ja na**

**pewno się nie zmienię. I powiem panu coś jeszcze: zdobędę to wszystko, co**

**chcę zdobyć, bez pana! Potrafię to zdobyć sama.**

**Bradbury tylko się roześmiał.**

**Ten śmiech wciąż jeszcze pamiętała, choć od tamtej chwili minęły już prawie trzy lata. Obraz jego wykrzywionej drwiącym uśmiechem twarzy czasami powracał w koszmarnych snach. Ale po pewnym czasie Karin zdała sobie sprawę, że w jakiś sposób mogłaby być nawet wdzięczna temu brutalnemu mężczyźnie za to, że tak z nią rozmawiał. Bo to właśnie wtedy postanowiła, że jeszcze im pokaże. Pokaże Nathanowi Bradbury'emu i wszystkim jemu podobnym, że któregoś dnia będzie wielką damą.**

**Powszechnie szanowaną i bardzo bogatą. Nawet jeśli niektórzy mieliby ją nazwać cyniczną i wyrachowaną, nie miała zamiaru się tym przejmować.**

**Najważniejszy był cel.**

**To pozostało w niej przez te lata. Tak jak i wtedy, spojrzenie jej niebieskich oczu stało się zimne i twarde jak szafir. Ona im wszystkim jeszcze pokaże.**

**Głośny śmiech dziecka, który dał się słyszeć gdzieś w pobliżu, przywołał ją do rzeczywistości. To jedna z klientek, Betty Jo Dillingham, weszła do sklepu z dwojgiem dzieci – z trzyletnim synkiem, który chodził już o własnych siłach, i z malutką, ledwie sześciomiesięczną córeczką w różowym beciku. Dzieci były urocze i Karin patrzyła na nie z prawdziwą radością – ale i z niemalym smutkiem, bo przypominały jej nieżyjącego już braciszka o imieniu Billy i porwaną przez Komanczów siostrzyczkę Audrey, której nawet nie zdążyła dobrze poznać.**

**Odwróciła się i westchnęła głęboko. Tyle nieszczęść zdążyło już spaść, zarówno na nią, jak i na jej najbliższych, tylko dlatego że wypadło im żyć**

właśnie tutaj. To miejsce chyba naprawdę było przeklęte, ta ziemia wciąż coś odbierała i nic nie dawała w zamian. A kiedy już odebrała człowiekowi wszystko, zabierała mu także życie. Tyle istnień po kolei zdmuchniętych jak świeczki.

Tak, powiedziała sobie Karin, nienawidzę tego miejsca i mam do tego pełne prawo. Ta ziemia zawsze będzie taka sama – wroga, bezlitosna i

103

nieużyta. Trzeba stąd uciekać za wszelką cenę. A o Aleksie Mackinnonie też powinna jak najszybciej zapomnieć, właśnie dlatego, że się z tą przeklętą ziemią tak związała.

Sam tak chciał, więc sam był sobie winien. Ale o ileż łatwiej byłoby o nim zapomnieć, gdyby nie był aż tak przystojny i pociągający... i gdyby nie zajmował tyle miejsca w jej przeszłości.

Skoro jednak przeszłości nie można było zmienić, należało ją po prostu pozostawić za sobą. I uciec od niej jak najdalej.

Alex pozostanie tylko w jej przeszłości. W jej przyszłości nie będzie już dla niego miejsca. Nigdy.

8

W ciągu następnych paru tygodni Katherine spotykała Alexa nieco częściej, ale nie była to dla niej wielka pociecha, ponieważ najczęściej widywała go w towarzystwie Karin, a jeśli już zdarzało się jej zamienić z nim parę słów, te rozmowy były tak zdawkowe i bezosobowe, że w rezultacie tylko jeszcze bardziej ją przygnębiały.

Próbowała sobie tłumaczyć, że Alex po prostu stara się być tylko uprzejmy

**i że w końcu niczego innego nie wolno się spodziewać w sytuacji, gdy on zainteresowany jest inną – a miał przecież do tego pełne prawo, nawet jeśli tą inną była akurat jej rodzona siostra.**

**Któregoś dnia Karin wyjątkowo wcześniej wróciła z miasta do domu, ale po zjedzeniu obiadu nie wykazała najmniejszej ochoty dopomożenia Katherine w obowiązkach gospodarskich i oznajmiła beztrasko:**

**– W tym domu jest tak piekielnie gorąco, że po prostu nie da się w nim wytrzymać. Pójdę nad rzekę, żeby się trochę ochłodzić–**

**– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – spytała Katherine, z kubłem i szmatą w ręku szykując się do gruntownego mycia okien. – Jest tak gorąco, bo wkrótce pewnie będzie burza. Popatrz tylko na te chmury, tam nad horyzontem. Robią się coraz gęstsze i ciemniejsze.**

**– Och, wydaje ci się. Nawet jeśli to rzeczywiście burza, to i tak może dotrzeć do nas najwcześniej za parę godzin, jeżeli w ogóle.**

**– Może nadejść szybciej, niż przypuszczasz – ostrzegła siostrę Katherine.**

104

**– No a jeśli nawet... – Karin sięgnęła po parasolkę. – Nic mi się nie stanie, jeżeli trochę zmoknę. To w końcu nie pierwszy raz.**

**– Ale podczas burzy jest nie tylko ulewa, ale i pioruny...**

**– Eee, co mi tam... – powiedziała Karin i po chwili już jej nie było.**

**Katherine wzruszyła ramionami i zabrała się do mycia okien. Gdy po jakichś dwóch kwadransach skończyła, spojrzała na zbliżające się chmury i była już zupełnie pewna, że będzie z nich lało, i to mocno. Tym lepiej, pomyślała, taka ulewa jeszcze raz porządnie wszystko splucze. Jak to zwykła**

**mawiać Fanny –dobry deszcz zmyje wszystko, nawet ptasie gówno. W jej ustach wcale nie brzmiało to ordynarnie.**

**Katherine wyniosła kubel na zewnątrz i upewniła się, że wszystkie beczułki na deszczówkę są ustawione pod wylotami rynien. Potem wróciła do kuchni i zamieszała duszące się na Wolnym ogniu jarzyny z paroma plasterkami wędzonego boczku.**

**Nagle od podwórza dobiegł głośny ryk muła. Co prawda Clovisowi zdarzało się czasem ryknąć bez powodu, lecz tym razem trwało to dłużej niż zwykle i Katherine uznała, że powinna sprawdzić, co się dzieje. Otworzyła drzwi, spojrzała w stronę Ogrody i natychmiast pobiegła ku niej całym pędem, ponieważ najwyraźniej coś tam było nie w porządku. Mocno czymś przestraszony muł nie tylko przeraźliwie ryczał, ale i wierzgał, raz po raz waląc kopytami w i tak już nadwątlone deski zagrody.**

**Zanim dziewczyna zdołała do niego dobiec, spróchniałe deski puściły, Clovis wy dostał się na zewnątrz i zaczął uciekać jak oszalały, a będący powodem całego zamieszania wąż, zupełnie zresztą niegroźny i niejadowity, szybko przemknął między powyginanymi deskami i zniknął w trawie.**

**Zagroda wymagała gruntownej naprawy, a – co gorsza – Clovis mimo głośnych nawoływań Katherine nie zatrzymał się i najwyraźniej miał zamiar uciekać, gdzie go oczy poniosą.**

**– No to uciekaj sobie, ty głupi, uparty mule! – krzyknęła w końcu, ze złością kopnęła kawałek wylamanej przez niego deski, po czym obróciła się i spojrzała na nadciągające czarne chmury. Nie było innej rady, musiała biec za Clovisem i jakoś go nakłonić do powrotu. Bez niego w tym gospodarstwie już**



na pewno nie dałaby sobie rady. Nie miała więc chwili do stracenia.

Chwyciła powróż, na którym zwykle uwiązywała muła, a potem ze stodoły wzięła pełny kubel ziaren owsa, za którymi Clovis przepadał. Jeśli coś go mogło nakłonić do powrotu, to właśnie owies. Ale najpierw trzeba było to

105

piekielne zwierzę odnaleźć.

Wybiegła za ogrodzenie i zdążyła jeszcze dostrzec niknącą w oddali

sylwetkę muła, który kierował się w stronę najbliższej kępy rosnących nad rzeką drzew. Katherine przypomniała sobie, że tam właśnie poszła na spacer

Karin. Gdyby tak natrafiła na uciekiniera, mogłaby pewnie...

Ale nie, nie Karin. Nawet gdyby mogła złapać to tak znienawidzone

zwierzę, na pewno by tego nie zrobiła. Ucieszyłaby się nawet, że wreszcie się go pozbędzie. Tak więc trudno było się spodziewać pomocy z jej strony, trzeba było raczej liczyć wyłącznie na siebie. Jak zawsze zresztą.

Wiatr się wzmagał, ciemne burzowe chmury zakrywały już całe niebo nad

horyzontem i zbliżały się coraz szybciej. Katherine wiedziała, że jeżeli chce

złapać Clovisa, musi to zrobić w ciągu najbliższych kilku minut, zanim jeszcze

rozpęta się burza. Ruszyła biegiem, na przelaj przez pole. Parę razy się

potknęła, a raz nawet upadła, rozsypując część owsa. Udało jej się na szczęście

go pozbierać bez większych strat, jeżeli nie liczyć kilku cierni, które przy tej

okazji wbiła sobie w palce obu dłoni i podniosła się i ponownie ruszyła biegiem

w kierunku kępy drzew i gęstych krzaków, za którymi właśnie znikł uciekający

muł. To będzie jak szukanie igły w stogu siana, powiedziała sobie.

Rozsuwając splecione gałęzie krzewów i pochylając się, by nie uderzyć

głową w niskie i rozłożyste konary drzew.

Choć gęstniejące burzowe chmury jeszcze nie zasłoniły słońca, pod drzewami było już całkiem chłodno i prawie ciemno, a narastający wiatr szumiał w gałęziach coraz mocniej. Katherine wolno przedzierała się przez zarośla, wciąż mając nadzieję, że Clovis zdążył już zapomnieć o przygodzie z węzłem i że teraz no prostu korzysta z wolności i spokojnie skubie trawę, może o parę kroków od niej.

Po chwili go dostrzegła. Z łbem wyciągniętym ku górze ogryzał delikatne młode liście z najniższych gałęzi drzew rosnących na granicy niewielkiej podłużnej polanki, ciągnącej się aż do samego brzegu rzeki. W cieniu splecionych gałęzi Clovis był ledwie widoczny, natomiast cała reszta polanki wciąż jeszcze pozostawała w słońcu. I tam właśnie stali oni – Alex i Karin.

Zapatrzeni w siebie tak, że nie widzieli już niczego, zapomnieli o całym bożym świecie. Nie dostrzegali ani nadchodzącej burzy, ani wciąż pozostającego w cieniu i skubiącego liście Clovisa, ani – tym bardziej – skamieniałej z wrażeń Katherine. Upuszczony kubek wypadł z jej rąk, owies rozsypał się w trawie.

106

Karin stała z twarzą zwróconą w jej kierunku, ale oczy prawie przez cały czas miała na wpół przymknięte. Z całą pewnością nie widziała już nic i nikogo poza mężczyzną, który stał przy niej. Jej bluzka i stanik były rozpięte od góry do dołu, a opalone na brąz dłonie Alexa Mackinnona pieściliwym ruchem obejmowały nagie piersi, które wydawały się bielsze od najbielszego marmuru. Katherine odruchowo cofnęła się w cień, starając się w żaden sposób nie

zdradzić swojej obecności. Byli tak zajęci sobą, że najwyraźniej nie słyszeli uderzenia kubła o ziemię, zresztą w tej sytuacji nie usłyszeliby chyba niczego. Katherine obróciła się bezgłośnie wycofała się między drzewa. Po chwili zaczęła biec, na wpeł przytomnie i niemal na ślepo, nie dbając o wystające Ślęzie, które boleśnie ocierały naskórek dłoni, ramion i twarzy, chwilami nawet rozdzierały bluzkę i spódnicę. Była tak wstrząśnięta, że kompletnie zniszczone ubranie nie miało już dla niej żadnego znaczenia. Chciała tylko uciec jak najdalej od tych dwojga i od wciąż ścigającego ją poczucia upokorzenia. Czarne chmury już bez reszty przykryły niebo, pod rozłożystymi konarami zrobiło się prawie ciemno.

Była już niemal na granicy drzew, za którymi miała wybiec na wolną przestrzeń, gdy nagle piorun uderzył w stary dąb kilka metrów do niej, rozrywając go na części. Oślepiający błysk i huk, głośniejszy od wystrzału z armaty, zlały się w jedno, odłamki drewna rozleciały się na wszystkie strony. Katherine poczuła gwałtowne uderzenie, które przewróciło ją na ziemię. Dopiero po chwili udało się jej ponownie stanąć na nogi, była wciąż ogłuszona i z trudem utrzymywała równowagę. Wolno, krok za krokiem, wyszła w końcu na zaorane pole i znów zaczęła biec, potykając się w głębokich brzdach, przewracając się i znów się podnosząc z nieprzytomnym uporem i determinacją. Była w połowie drogi do domu, gdy dogoniła ją ulewa, ciężkie krople w jednej chwili przemoczyły ją na wskroś, a bijące w nadbrzeżne drzewa pioruny zdawały się ją ścigać. Ogłuszające wyładowania były coraz bliżej.

Jakim cudem w samym środku szalejącej burzy usłyszała ten głos, w żaden

sposób nie potrafiłaby wyjaśnić. Wydawało jej się, że usłyszała swoje imię.

– Katherine! Katheri–i–ine!

Na samą myśl o tym, że to mógłby być Alex, zaczęła uciekać jeszcze szybciej. Nie, to z pewnością nie był on, ale tak czy inaczej musiała biec, musiała jak najszybciej znaleźć się w domu. Zamknąć się w nim, schronić się tam przed tym wszystkim, przed całym światem...

107

Burza nadal strzelała piorunami raz za razem, niebo grzechotało i grzmiało, wiatr i deszcz zagłuszały wszystko wokół, a mimo to znów usłyszała ten głos, który tym razem wydawał się mniej odległy. Wyraźnie słyszała swoje imię i głuchy tętent końskich kopyt, tuż za plecami, gdy przez otwartą na oścież bramę wejściową biegła w kierunku ganku. Uchwyciła się klamki i próbowała ją otworzyć, gdy siły nagle ją opuściły i poczuła, że osuwa się na ziemię. I właśnie w tym momencie podtrzymało ją silne męskie ramię.

– O Boże drogi, Katherine, co z tobą? Co się stało? – Przez cały czas podtrzymując dziewczynę bardzo ostrożnie, Adrian obrócił ją do siebie na tyle, by móc przyjrzeć się jej dokładniej. – O, nie! – Z jego głosu przebijało prawdziwe przerażenie. – Na miłość boską, dziewczyno! Coś ty ze sobą zrobiła?

Wpatrywał się w okolice jej ramienia, więc Katherine na wszelki wypadek też popatrzyła w tym kierunku i nagle zobaczyła, że jej stanik jest nie tylko całkowicie przemoczony, ale i zakrwawiony. Spróbowała coś powiedzieć, ale jej własny głos wydał się jej jakiś dziwny. Stłumiony i głuchy, jak gdyby dochodził gdzieś z daleka:

– To... to nic... nic takiego się nie stało...

Zamilkła na moment, nagle przypominając sobie oślepiający błysk i huk tuż za plecami, i zaraz po tym to mocne uderzenie, które rzuciło ją na ziemię.

Czy to na pewno był tylko piorun?

– ...nic się nie stało, nikt do mnie nie strzelał – powiedziała, nie patrząc mu w oczy. – To na pewno nie jest rana postrzałowa.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – powiedział Adrian, jednym szarpnięciem urwał i tak już podarty rękaw bluzki, a potem nożem rozpruł szew na barku Katherine, odsłaniając ramię i część piersi.

– Nie rób tego! – krzyknęła rozpaczliwie. – Nie chcę!

– Ależ, moja droga, to nie jest najlepszy moment, żeby bawić się w skromność. Mocno krwawisz, więc muszę zobaczyć, co ci się stało.

– Nie chcę, żebyś to ty mnie oglądał...

– Muszę – powtórzył Adrian i jedną ręką bez trudu unieruchomił obie jej dłonie. – Nikogo poza mną tu nie ma.

Rozciął szew do końca i odsłonił wciąż krwawiącą ranę.

Okazało się, że ostry odłamek odlupanego przez piorun drewna i się głęboko w jej ramię, a brzegi tej tkwiącej pod skórą i są zbyt poszarpane, żeby można ją było tak po prostu wyjąć. Gdy Katherine zobaczyła to wszystko,

108

zakręciło się jej w głowie. Adrian natychmiast to dostrzegł, wziął ją na ręce i zaniósł na piętro do jej pokoju.

– Mam cię położyć do łóżka czy wolisz stać? – zapytał. – Jesteś pewna, że nie zemdlejesz?

**Potrząsnęła głową.**

**– Nie, nie zemdleję. Jestem tylko trochę... oszołomiona. – Znów spojrzała na swoje ramię i po raz pierwszy poczuła, jak bardzo ją boli. – Ale nic mi nie... nie będzie...**

**Adrian zdążył ją złapać, zanim osunęła się na podłogę, i natychmiast przeniósł ją na łóżko. Z dołu dobiegł go odgłos otwieranych drzwi.**

**– Szybko! – krzyknął w stronę schodów. – Jesteśmy tu, na górze!**

**Pierwszy w drzwiach pojawił się Alex, a zaraz po nim Karin.**

**– Katherine! – wykrzyknął Alex, jawnie wstrząśnięty tym, co zobaczył.**

**Obrócił się do brata i zapytał: – Co się z nią stało?!**

**– Byłem zbyt daleko, żeby dokładnie widzieć, ale zdaje się, że po prostu była bardzo blisko wysokiego dębu, w który uderzył piorun. Widziałem, jak zaraz po tym upadła, i początkowo myślałem, że to porażenie. Ale teraz, po dokładniejszym obejrzeniu, okazało się, że to odłamek rozłupanego przez piorun drzewa wbił się głęboko w jej ramię...**

**Karin, która ocierała twarz siostry wilgotnym ręcznikiem, obróciła się do Alexa.**

**– Będzie potrzebny lekarz.**

**– Już po niego jadę – odpowiedział. Był blady, ręce mu wyraźnie drżały.**

**Jeszcze raz spojrzał na Katherine, potem odwrócił się i pobiegł na dół. Po chwili dał się słyszeć tętent ruszającego galopem konia.**

**Wszystko, co się później działo, Katherine pamiętała dość niejasno – oczekiwanie na przyjazd lekarza, zatroskane twarze Adriana i Karin, wreszcie długo oczekiwane trzaśnięcie drzwi wejściowych i znajomy głos doktora**

Lesleya. Potem klik niekończących się minut okropnego bólu podczas oczyszczania rany i błogosławiona senność po kroplach, które jej podano. przed zaśnięciem usłyszała jeszcze słowa lekarza, skierowane do Alexa: – Trzeba przyznać, że to była dość paskudna rana, głównie z powodu tych drobnych odłamków, które trzeba było po kolei wydobywać po usunięciu głównej drzazgi. Ale teraz panna Katherine będzie już spokojnie spać. W razie silnego bólu proszę podawać jej krople opium, dawkując je zgodnie z zaleceniami, które zostawiłem jej siostrze. Chora teraz będzie potrzebowała

109

spokoju.

Adrian z pewnym zaskoczeniem obserwował brata, który wydał mu się krańcowo roztrzęsiony – najpierw dość niezbornie podziękował lekarzowi, potem odwrócił się, zaklął pod nosem i w niezrozumiałym pośpiechu nagle wybiegł z pokoju. Doktor Lesley wyszedł w ślad za nim.

Adrian wyjrzał przez okno i zobaczył, jak lekarz wsiada do bryczki i odjeżdża. Alex, który jeszcze przed chwilą tak bardzo się śpieszył, teraz stał nieruchomo obok swego konia i raz po raz patrzył w okno pokoju Katherine. W końcu odwrócił się, odwiązał konia przywiązanego do balustrady ganku i zaciśniętą pięścią uderzył w poręcz z taką siłą, że niewiele brakowało, a pękłoby zarówno drewno, jak i kość ręki.

Ostatecznie okazało się, że kość nie była złamana, ale dłoń mocno bolała Alexa przez cały następny tydzień. Ból zaczął ustępować mniej więcej w tym samym czasie, gdy Katherine poczuła się lepiej – zaczęła wstawać i stopniowo wracać do gospodarskich obowiązków. Z tą samą determinacją, co zawsze, ale

też i z pewnym rozgoryczeniem.

Nie widziała Alexa przez blisko dwa tygodnie, a Karin w tym czasie jawnie unikała patrzenia jej prosto w oczy. Katherine codziennie pracowała do późna, żeby jakoś nadrobić stracony czas, wracała do swego pokoju już nocą i zmęczona padała na łóżko. Właśnie wtedy ból w gojącym się ramieniu wydawał się wracać, ale był już wyraźnie słabszy i w gruncie rzeczy można z tym żyć.

Przed zaśnięciem, chcąc nie chcąc, powracała myślami do ostatnich wydarzeń – i oczywiście do Alexa. Nie mogła o nim nie myśleć, podobnie jak nie mogła nie pamiętać, co wydarzyło się tamtego dnia nad rzeką. Pierwszy szok powoli jednak mijał, myślała o tym już znacznie spokojniej i zaczynała wszystko rozumieć. Po tym wszystkim musiała sobie w końcu uświadomić, że Alex Mackinnon nie jest przeznaczony dla niej i że uporczywe dopatrywanie się w jego zachowaniu czegoś więcej niż tylko przyjaźni i życzliwości było niemądre.

Nigdy więcej nie powinnaś sobie pozwalać na podtrzymywanie niedorzecznych nadziei, powtarzała sobie po raz nie wiadomo który. I nie przywiązuje aż tak wielkiej wagi do słów Alexa, bardziej czy mniej miłych, do żartobliwych zaczepki i tych drobnych, nic nie znaczących komplementów. On jest z natury życzliwy i tak też się zachowuje wobec ciebie. Jest uprzejmy i miły, ale to przecież wcale nie oznacza, że go pociągasz, że jest w tym coś

110

więcej niż przyjaźń. To jest tylko przyjaźń, a nie miłość. Przyjaźń – i nic więcej.

Po jakichś trzech tygodniach, gdy Katherine wieczorem poszła do siebie na



**górze, do jej pokoju zapukała Karin. Ocierając łzy, usiadła na łóżku siostry i ukryła twarz w dłoniach. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wydusić z siebie nawet słowa.**

**– Wiem, że musisz bardzo źle o mnie myśleć – powiedziała w końcu, nie przestając płakać. – I masz rację! Jestem okropny i wiem o tym. Nigdy nie będę tak miła i dobra jak ty. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię.**

**– Nie jesteś okropna – powiedziała Katherine. W jej głosie pobrzmiwało znużenie. – A ja wcale nie jestem taka dobra, jak myślisz.**

**Karin w dramatycznym geście uklękła tuż przy siostrze – mocno uchwyciła jej dłonie i patrzyła na nią przez łzy, które płynęły jeszcze obficie.**

**– Wiem... – powiedziała – wiem, że nie miałam prawa pozwolić Alexowi na takie zachowanie w stosunku do mnie. Obiecuję ci, że to się więcej nie powtórzy. Obiecuję!**

**Katherine pokręciła głową.**

**– Nie jestem twoją matką, Karin, i nie mogę ci mówić, co ci wolno robić, a czego nie wolno. Czy to się zdarzyło raz, czy pięćdziesiąt razy, to też nie moja sprawa. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Oczywiście nie chciałabym, żebyś zrobiła coś, czego potem miałabyś żałować przez całe życie. Dlatego wolałabym, żebyś jednak była pewna, że to właśnie Alex jest tym mężczyzną, którego rzeczywiście chcesz.**

**Po raz pierwszy w słowach Katherine przebijał jawny brak przekonania o całkowitej szczerości słów siostry. Karin zauważyła to i rozszlochala się jeszcze bardziej.**

**– Posłuchaj, Alex nigdy wcześniej nie dotykał mnie w ten sposób.**

**Przysięgam! Proszę cię, powiedz, że mi wierzysz!**

**– Ale, Karin...**

**– Proszę!**

**– No więc dobrze, wierzę ci. Choć tak naprawdę to nie powinno mieć znaczenia.**

**– Ale ma. – Karin wciąż jeszcze ocierała łzy. – To, co o mnie myślisz, zawsze było dla mnie ważne. Nie chcę, żebyś uważała, że jestem zła.**

**– Ja tak nie uważam.**

**– Nawet po tym, co widziałaś?**

111

**– Nawet po tym. – Katherine głaskała jej złote włosy, zastanawiając się, dlaczego w takich rozmowach coraz częściej czuje się jak jej matka, a nie jak młodsza siostra.**

**Karin podniosła wzrok i popatrzyła na nią błagalnie. Obiecuję, że to się nie powtórzy.**

**Katherine westchnęła.**

**– Powiedz mi, ale szczerze. – Spojrzała prosto w oczy siostry. – Czy ty kochasz Alexa?**

**– Och, proszę cię! Nie zadawaj mi takich pytań.**

**– Dlaczego? To akurat wydaje mi się całkiem logiczne.**

**– Może i jest logiczne. – Karin wydawała się już znacznie spokojniejsza. –**

**Ale ja nie chcę, żebyś mnie o to pytała.**

**– Czemu?**

**– Bo kocham Alexa, ale w taki sposób, że... Ty tego pewnie nawet nie**

chciałabyś zrozumieć. Cokolwiek mu powiem, i tak będzie źle. Tak czy inaczej muszę przegrać.

– Nie wiem, jak w ogóle możesz mówić coś takiego. On cię przecież kocha i...

Karin przechadzała się po pokoju tam i z powrotem.

– Wiem, że mnie kocha. Ale wiem też, że są takie rzeczy, które nigdy nie pozwolą nam być razem...

– Jak możesz być tego taka pewna?

– Bo nie mogę nie widzieć, co się dzieje. Przejeżdżam codziennie koło ich domu i zawsze widzę ich obu, Alexa i Adriana. Widzę, jak ciężko pracują, nie, jak zaharowują się na śmierć, żeby jakoś podnieść z ruiny ten dom i gospodarstwo. Tylko we dwóch, to przecież nie do pomyslenia! I wciąż o tym mówią, ale nic z tego nie wynika poza mówieniem. Ta ziemia wysie z nich ostatniego centa i ostatnią kroplę krwi, i nic im nie da w zamian.

– Jeszcze mogą cię zaskoczyć – powiedziała Katherine. – Mają już trzydzieści akrów ziemi dobrze odchwaszczonej, przeoranej i obsianej, a wiosną deszcze były obfite. Będą mieli dość zboża i paszy, żeby wyżywić to stado mlecznych krów, które kupili od Karla Webstera. A nie dalej jak kilka dni temu Alex mówił, że zamierza kupić bardzo dobrego zarodowego byka od wdowy po Geoge'u Tatumie...

Karin potrząsnęła głową.

– To wciąż tylko gadanie. Sny i marzenia, nic poza tym. Nic z tego nie

– Więc dla ciebie nic się nie zmieniło?

– Co masz na myśli?

– Nadal myślisz o tym, żeby stąd wyjechać, prawda?

**Karin wzruszyła ramionami.**

– Nie przeczę. Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałabym zmienić plany.

– Alex wrócił.

– Ale nadal jest biedny jak mysz kościelna.

– Jeżeli tak to widzisz, to dlaczego mu tego nie powiesz? Dlaczego pozwalasz mu wciąż mieć nadzieję? Karin odwróciła się do siostry.

– Ależ powiedziałam mu to! To nie moja wina, że jest taki uparty. Nie dalej jak wczoraj mu to mówiłam. Powtórzyłam bardzo stanowczo, że nie zamierzam tu spędzić reszty życia.

– I co on na to?

– Powiedział to samo co zawsze. Prosił mnie, żebym jeszcze poczekała.

Żebym dała mu więcej czasu. A ja już naprawdę nie wiem, co robić. Kocham go, chociaż tak naprawdę nie chcę go kochać. Pragnę go, choć wcale nie jest taki, jakiego chciałabym go widzieć. Czy to w ogóle ma sens?

**Katherine skinęła głową.**

– A ja nie jestem tego taka pewna – powiedziała Karin. – Wiesz równie dobrze, jak ja, że mężczyzn tu zawsze było mało, a po czterech latach wojny jest ich jeszcze mniej. Alex jest miły, aleja... ja mam już dość biedy. Och, Katherine, ty tak naprawdę nawet nie wiesz, co to znaczy być biednym.

**Siostra popatrzyła na nią zupełnie zaskoczona.**

– Ja nie wiem? Czy przypadkiem nie zapomniałaś, że jestem równie biedna, jak ty, że mieszkam w tym samym rozpadającym się już domu i jem takie same żałośnie mamę posiłki? To po prostu śmieszne. Jak w ogóle możesz mówić, że nie wiem, co znaczy być biednym?

– Bo tak naprawdę nie wiesz.

– To nieprawda.

– Prawda. Ty jesteś zupełnie inna niż ja. Umiesz stawić czoło trudnościom.

Jesteś jak młody dąb, drzewo o głębokich, mocnych korzeniach, zdolne wytrzymać najmocniejsze uderzenia wichru, podczas gdy ja przypominam raczej te wodne rośliny rosnące w rzece, które co prawda kwitną i wyglądają pięknie, kiedy się nie poddaje ich zbyt trudnym próbom, ale więdną i giną, gdy

113

zaczyna być źle.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś powierzchowna i płytka? To nie jest prawda, niezależnie od tego, co o tym myślisz. Jesteś przygnębiona tym wszystkim, co się wydarzyło. ale nie powinnaś wyciągać takich pochopnych wniosków. Bo jest zupełnie inaczej, niż myślisz, także jeżeli idzie o mój stosunek do ciebie. Nie nienawidzę cię, nie myślę o tobie źle i wcale nie uważam, żebyś była jakoś szczególnie grzeszna i okropna.

Karin podniosła wzrok i spojrzała na nią uważnie.

– A wiesz, że to jest prawie śmieszne? Bo ja przecież wiem, że kochasz

Alexa... i to bardziej, niż ja kiedykolwiek mogłabym go pokochać.

– Nie kocham – zaprotestowała Katherine. – To jest tylko przyjaźń i nic ponadto.

**– Och, siostrzyczko, przecież to oczywiste, że go kochasz. Wszyscy o tym wiedzą, i ja, i Adrian, i nawet sam Alex.**

**– Alex nigdy mi tego nie powiedział.**

**– Bo nie mógł. Za bardzo cię lubi, za wysoko ceni twoją przyjaźń, żeby powiedzieć coś, co mogłoby cię zranić. Poza tym zawsze miał nadzieję, że z tego wyrośniesz i znajdziesz sobie kogoś innego.**

**– To niesprawiedliwe, że mówisz mi takie rzeczy. Nie masz prawa tak myśleć! Gdybym... gdybym naprawdę kochała Alexa, to z całą pewnością nie byłoby to niemądre, dziecinne zauroczenie, z którego można wyrosnąć. Przynajmniej to powinno być dla ciebie oczywiste!**

**– Nie złość się na mnie – powiedziała Karin, głaszcząc siostrę po policzku.**

**– Pewnie rzeczywiście nie powinnam była tego mówić. No bo popatrz tylko na mnie. Jakie ja w ogóle mam prawo do mówienia o czymkolwiek?! Niby Kocham Alexa, a jednocześnie mówię sobie, że nic z tego nie będzie. Czy tak mówi kobieta, która naprawdę kocha? Nie potrafię kochać tak jak ty. Alex nie jest całym moim życiem, nie wypełnia mojej egzystencji bez reszty. Wiem, że powinnam to wreszcie przerwać, bo to nie jest w porządku... bo robię mu wielką krzywdę, powinnam to skończyć, ale nie potrafię się na to zdobyć. –**

**Bezradnym gestem pocierała skronie. – Och, Boże, dlaczego to wszystko jest takie okropne? Od dzieciństwa nie miałam pewności siebie, zawsze czułam, że muszę coś zrobić, żeby się wyróżnić, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ty zawsze byłaś taka bystra, pewna siebie. Zachowywałaś się tak, jak gdyby życie było dla ciebie tylko ciekawym wyzwaniem, i zawsze byłaś bardzo we wszystkim dobra. Wygrywałaś każdy wyścig, w szkole miałaś najlepsze stopnie, umiałaś gotować,**

szyc i cytować poetów. A ja? Dopiero kiedy trochę podrosłam, zdałam sobie sprawę, że jednak mam nad tobą przewagę. Byłam ładna i zgrabna i zaczynałam stawać się kobietą, podczas gdy ty wciąż jeszcze pozostawałaś dość niezgrabnym dzieckiem. Wreszcie miałam szansę wyjść przed ciebie i starałam się to wykorzystać. Ojciec lubił mnie dlatego, że byłam ładna. No powiedz, czy to źle, że tak bardzo tego chciałam?

Choć niby pytała, tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi. Katherine patrzyła na siostrę, nie po raz pierwszy żywiąc wobec niej coś w rodzaju współczucia. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że już w dzieciństwie Karin mogła ją odbierać jako rywalkę, że młodsza siostra była dla niej zagrożeniem w staraniach o miłość rodziców.

Następnego popołudnia, gdy Katherine krzątała się w kuchni, łykając posiłek, usłyszała pukanie do drzwi od strony podwórza. Kiedy je otworzyła, na progu stał Alex Mackinnon.

Niby nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale Katherine od razu poczuła, że całe jej ciało tężeje, a na ramionach i szyi pojawia się gęsia skórka. Nic się więc nie zmieniło; pojawienie się Alexa nadal było dla niej emocjonalnym wstrząsem. On zresztą też nie wyglądał najlepiej, był najwyraźniej zmęczony, a robocze ubranie miał zakurzone i prze poczone, jak gdyby dopiero przed chwilą zszedł z pola. Ale i tak pozostawał sobą – tym, wspaniałym mężczyzną, pracującym ciężko, ale uczciwie.

Prawdziwym mężczyzną z Południa – o ujmująco szczerzej twarzy i skórze opalanej na brąz.

Otarł pot z czoła i uśmiechnął się lekko.

– Przepraszam za mój wygląd, ale musiałem skończyć orkę, a zacząłem o świcie. A przyszedłem tu, bo odprowadziłem Clovisa...

– Och nie! – Katherine zmarszczyła czoło. – Czy to znaczy, że znów się wyrwał? Tak jak wtedy, gdy uciekł nad rzekę... –Urwała nagle, nie chcąc przypominać wszystkich przykrych okoliczności, które temu towarzyszyły.

Alex tylko kiwnął głową.

– Wtedy w końcu sam wrócił, a tym razem ruszył w stronę miasta, ale natrafił na mnie. Uwiązałem go przy rowie pełnym trawy, a po skończeniu orki przyprowadziłem z powrotem do zagrody, w której przy okazji trochę poprawiłem zamknięcie. Teraz już powinno być dobrze...

– Z pewnością–powiedziała Katherine. –Jestem ci ogromnie wdzięczna.

115

Bez muła z całą pewnością nie dalybyśmy sobie rady. Czasami nawet myślę, że Clo vis bardzo dobrze o tym wie i bezczelnie to wykorzystuje.

Starła się mówić spokojnie i nawet żartobliwie, choć chyba nigdy dotąd nie zadawała takiego gwałtu swym najskrytszym pragnieniom. Kochała Alexa bardziej niż kiedykolwiek i najchętniej wykrzyczałaby to na wszystkie cztery strony świata.

Wyglądał na lekko speszonego. Miała wrażenie, że chce jej jeszcze coś powiedzieć, ale nie bardzo wie, jak to zrobić.

– Katherine... – zaczął bardzo miękko i niepewnie. – Jest jeszcze pewna sprawa...

– Tak? – Spojrzała na niego, starając się, by głos nie zdradził targających



**nią emocji.**

**Alex uśmiechnął niewyraźnie.**

**– Chodzi mi o to, co... co zdarzyło się nad rzeką tego dnia–kiedy zostałam tak ciężko skaleczona...**

**Milczała. Nie chciała mówić, zresztą nie potrafiłaby znaleźć słów, które mogłyby wyrazić... albo raczej ukryć to, co w tym momencie czuła. Wiedziała, że Alex wciąż coś do niej mówi, lecz docierało do niej już tylko brzmienie jego głosu, a nie znaczenie poszczególnych zdań. Nie chciała odpowiadać, nie była w stanie myśleć. Pragnęła tylko jednego – rzucić się w jego ramiona, przytulić się całym ciałem, objąć – i tak trwać już na zawsze. Nic innego dla niej nie istniało, nie była w stanie pojąć, o czym on właściwie mówi. Wiedziała tylko, że go kocha i że tylko to się liczy i że jednocześnie musi zrobić wszystko, żeby się o tym nie dowiedział, nie wyczytał tego z jej twarzy.**

**Spuściła wzrok, udając, że poprawia coś przy kuchennym fartuszk.**

**– Proszę cię, Katherine, wysłuchaj mnie – powiedział. – Tam nad rzeką...**

**Katherine podniosła dłoń i pokręciła głową.**

**– Wolalabym, żebyś o tym nie wspominał, bo... – Jej głos nagle się załamał i przez chwilę obawiała się, że w ogóle nie Zdoła nic więcej powiedzieć. Z najwyższym trudem udało się jej dokończyć: – ...bo to po prostu nie moja sprawa. Nie ma powodu, żebyśmy o tym rozmawiali.**

**– Chciałem tylko, żebyś wiedziała...**

**– Nie musisz się w ogóle tłumaczyć. Zapomniałam już o wszystkim.**

**– Ale, Katherine, wiem przecież...**

**– Już ci powiedziałam, że dla mnie ta sprawa nie istnieje. I niech już tak**

**zostanie.**

116

**– W porządku. – Wyglądało na to, że poczuł się dotknięty. – Skoro tak chcesz to traktować...**

**– Tak chcę to traktować.**

**– No cóż, wobec tego będę już chyba szedł...**

**Katherine skinęła głową i kiedy odwrócił się na pięcie i wyszedł, patrzyła w ślad za nim. Zamknęła drzwi i przycisnęła czoło i dłonie do chropawych desek.**

**– Alex, och, Alex... Tak bardzo cię kocham!**

**Alex szedł do domu zamyślony, z rękami w kieszeniach i z kapeluszem zsuniętym na tył głowy. Wciąż zastanawiał się nad tym, co się stało. Bo co się właściwie stało? Dlaczego fakt że Katherine widziała go z Karin, miałby go w ogóle obchodzić? Skąd się w nim wzięła ta nagle potrzeba rozmawiania z nią, wyjaśniania, wyprostowywania tego wszystkiego? Co tu było do prostowania?**

**Katherine była boleśnie urażona, to oczywiste, choć starała się udawać, że wcale tak nie jest, ale dlaczego, u diabła, to właśnie on czuł się za to wszystko odpowiedzialny?!**

**Próbował to racjonalizować, tłumacząc sobie, że to tylko przyjacielska troska – może nawet braterska, bo w końcu Katherine zawsze była dla niego jak siostra.**

**Zawsze bardzo ją lubił, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy jednak nie kryje się za tym coś więcej. Dlaczego właściwie zakochał się w Karin, a nie w Katherine? Różne powody się na to złożyły, choćby to, że jeszcze parę lat temu Karin była dużo ładniejsza od siostry i nieporównanie bardziej kobieca. Pod**

pewnymi względami nadal zresztą górowała nad Katherine, choćby dlatego, że potrafiła być miękka i rozkosznie uległa, przynajmniej do pewnych granic.

Wiedziała, co mu mówić, żeby poczuł się wielki i wspaniały, podczas gdy Katherine gasiła go jednym słowem czy nawet spojrzeniem. Nie, była zbyt bystra i miała za ostry język, zbyt otwarcie mówiła, co myśli, i w ogóle nie dbała o to, jak wygląda.

Pogrążony w tych myślach, doszedł do granicy własnego pola i wtedy dopiero zobaczył, że Adrian ciągle jeszcze pracuje. Bez chwili zastanowienia przeskoczył ogrodzenie i podbiegł do brata, żeby mu pomóc dokończyć orkę. Praca była ciężka, a najgorsze było to, że, jak dotąd, nie było widać końca. Farma była w o wiele gorszym stanie, niż obaj przypuszczali. Przypominała studnię bez dna, która już pochłonęły niemal cały ich żołąd. Alex coraz częściej zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek będzie w stanie dać Karin to wszystko, o czym marzyła. Podniósł wzrok i spojrzał na wciąż jałowe pola, które ich

117

otaczały. Spróbował wyobrazić je sobie w pełnej krasie zielone i żyzne. Ciężka praca powinna do tego doprowadzić. Ciężka praca powinna mu dać wszystko, co chciał mieć.

Przez następny miesiąc Alex zaharowywał się bez litości dla siebie. Adrian to zauważył, Katherine chyba również, a Karin zauważyła to z całą pewnością – ponieważ zaczął ją jawnie zaniedbywać, pojawiał się u niej rzadko i na krótko. To ją irytowało, bo nawet jeśli nie był mężczyzną jej życia, to całkiem przyjemnie wypełniał ten przejściowy okres oczekiwania. Nagle zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nie chce tracić tego trzymanego w garści wróbla,

przynajmniej dopóki nie będzie pewna, że już złapała gołębia siedzącego na dachu. Mówiąc krótko, zaczynała się chwilami nudzić. Któregoś popołudnia Adrian postanowił pojechać, do miasta i zajechał po drodze do Katherine, żeby kolejny raz ją zapytać, czy nie zechciałaby się z nim zabrać. Nie miał na to zbyt wielkiej nadziei, ponieważ zazwyczaj odmawiała, ale tym razem, ku jego zaskoczeniu, propozycja została przyjęta niemalże entuzjastycznie. Katherine oświadczyła, że ma całą listę niesłychanie pilnych zakupów i w związku z tym pojedzie do miasta z prawdziwą radością, tym bardziej że siostra obiecała ją na ten czas zastąpić w najważniejszych pracach domowych.

Co prawda nie bardzo wierzyła w to, że Karin do końca spełni obietnice, ale ponieważ niektóre sprawunki były naprawdę pilne, Decydowała się jechać i w pewnej chwili nawet sama zaczęła ponaglać Adriana, żeby ruszał jak najprędzej. Prawdziwym powodem tego pośpiechu było co innego – wsiadając już na wóz, Katherine kątem oka dostrzegła w oddali znajomą sylwetkę na koniu, którego charakterystyczną czerwonawą maść rozpoznała bez trudu. Alex Mackinnon prawdopodobnie jechał w odwiedziny do Karin, a Katherine nie miała ochoty na to patrzeć, dlatego wciąż ponaglała Adriana, nakłaniając go do jeszcze szybszej jazdy.

Pojechali tak szybko, jakby coś się paliło, a pozostawiona na gospodarstwie Karin – zamiast zabrać się do dojenia krów, co przyrzekała zrobić – usiadła na progu stodoły i zajęła się głaskaniem kociąt, tak jak i ona wygrzewających się na słońcu. Przy tym gospodarskim zajęciu zastał ją Alex. Gdy niebacznie odważył się ją zapytać, czy już uporała się z najważniejszymi obowiązkami, najbezcelniej skłamała, że właśnie wydoiła krowy i nakarmiła

pozostałe zwierzęta, a teraz odpoczywa po ciężkiej pracy. Chyba nie do końca

jej uwierzył, bo spytał, czy może jej pomóc przynajmniej w głaskaniu kotka –

118

ale ta drobna prowokacja spaliła na panewce, bo kotek natychmiast uciekł, gdy tylko Alex wyciągnął ku niemu rękę. Karin roześmiała się.

– Słyszałam, że zwierzęta najlepiej znają się na ludziach – powiedziała, kręcąc głową. – A ten kotek najwyraźniej cię nie lubi, co powinno dać mi do myślenia.

– Ale za to Clovis mnie lubi, i to nawet bardzo – rzekł Alex.

– To jeszcze jeden powód, żeby trzymać się od ciebie z daleka. Nie cierpię tego muła i nie mam pojęcia, dlaczego Katherine upiera się, żeby go nadal trzymać.

– Prawdopodobnie dlatego, że to bardzo dobry muł. Jeden z najlepszych w całej okolicy. Już kilka osób chciało go od niej odkupić.

– A ona była na tyle głupia, że się nie zgodziła. Szkoda, że mnie nikt tego nie zaproponował, bo ja bym go sprzedała natychmiast. Naprawdę bardzo tego żałuję.

Alex roześmiał się.

– Daj spokój, skarbie, przestań się użalać i lepiej mnie pocałuj.

– A gdybym nie miała ochoty?

– Masz – powiedział, obejmując ją i przyciągając do siebie. – Prawdę mówiąc, tylko o tym mogłem myśleć po tym, co stało się wtedy nad rzeką.

– Nic takiego się nie stało – odpowiedziała, usiłując wysunąć się z jego objęć. – Ale nawet to, co się zdarzyło, nie powinno było się zdarzyć... i już

więcej się nie zdarzy.

– Powinno było się zdarzyć i zdarzy się znów – oświadczył z wielką pewnością siebie. Przyciągnął ją ponownie i pocałował w usta, a ona rzeczywiście już po chwili przestała się bronić. potem pociągnął ją w głąb zaciemnionej stodoły, gdzie panował chłodny półmrok, i tam znów całował jej usta, oczy i szyję. Karin bardzo szybko zapomniała o tym, co mówiła dopiero przed chwilą, i sama tuliła się do niego, pozwalając się pieścić coraz goręcej. Najwyraźniej przestawała nad sobą panować.

Alex to wyczuł, przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i wcisnął kolano między jej uda, rozchylając je coraz bardziej. Potem pochylił się do jej ucha i szepnął:

– Wejdźmy po drabinie na poddasze, na siano...

– Na... siano? – spytała półprzytomnie Karin, tak jakby nie rozumiała, co on do niej mówi.

Nie po raz pierwszy zresztą. Zdarzało się już kilka razy, że Alex miał

119

ochotę potrząsnąć nią mocno raz i drugi, żeby oprzytomniała. Teraz też miał ochotę to zrobić, ale znów ją pocałował.

– Posłuchaj mnie, Karin – powiedział, starając się panować nad sobą. –

Pragnę cię i wiem, że ty pragniesz mnie, więc jeżeli dociera do ciebie, że lepiej to zrobić na miękkim pachnącym sianie niż na tej twardej glinianej podłodze, nie ociągaj się i włącz na to poddasze.

Jeszcze usiłowała protestować.

– Mówiłam...

**Nie pozwolił jej skończyć. Zamknął jej usta jeszcze gorętszym**

**pocałunkiem, całym ciałem przypierając ją do wspierającej strop belki,**

**podczas gdy jego dłonie chciwie pieściły jej na wpół odsłonięte piersi. Karin**

**zdołała tylko jęknąć:**

**– Och, Alex! – Zarzuciła mu rękę na szyję i oddawała każdy pocałunek tak gorąco i namiętnie, że przez chwilę i jemu kręciło się w głowie.**

**– Och tak, właśnie tak, skarbie! – Opuścił rękę i wsunął ją pod spódnicę, przesunął dłoń od kolana w górę, wzdłuż wewnętrznej strony jej gładkiego niczym atlas, gorącego uda. – Tak, właśnie pozwól mi cię pieścić!**

**Karin oddychała głęboko.**

**– Alex, ktoś może nas zobaczyć!**

**– Nikt nas nie widzi.**

**– Ale Katherine może tu wejść! Albo na przykład twój brat.**

**– Pojechali oboje do miasta, sam to widziałem. Jesteśmy tu sami, więc możesz się nie niepokoić. Jeśli ktoś tu wejdzie, to co najwyżej Clovis, ale jego chyba się nie obawiasz?**

**Mimo woli roześmiała się, ale już po chwili było jej zupełnie nie do**

**śmiechu, gdy z podwórza dobiegł ją głos Fanny Bright:**

**– Karin! Karin, gdzie jesteś?!**

**– O Boże drogi! – westchnęła dziewczyna i odepchnęła od siebie Alexa. –**

**To Fanny! Nie może mnie tu z tobą zobaczyć! Schowaj się na razie, a ja spróbuję się jako tako doprowadzić do porządku..**

**– Akurat jej tu brakowało! – burknął, sfrustrowany i wściekły. Nie mógł nawet głośniej zakląć, bo sąsiadka mogłaby go usłyszeć.**

Gdy po chwili Fanny znów zaczęła nawoływać, Karin była już gotowa.

– Tu jestem! – krzyknęła i wybiegła ze stodoły. Za Alexem nawet się nie obejrzała. Przywitała się z sąsiadką i zabrała ją do domu, żeby Alex mógł wymknąć się niepostrzeżenie.

120

Zdażyła już całkowicie oprzytomnieć, a zamykając za sobą drzwi, pomyślała, że być może Fanny zjawiała się w samą porę.

Podobne myśli naszły ją także i wieczorem, gdy kładła się spać.

Zastanawiając się nad tym, do czego mogło dojść, doszła do wniosku, że pieszczoty i pocałunki Alexa cieszą ją jednak mniej niż kiedyś. To wydawało się dziwne, chociaż z drugiej strony nigdy nie była stała w uczuciach i nie przywiązywała się na długo do nikogo. Świat miał zbyt wiele atrakcji, których wciąż jeszcze nie poznała, zbyt wiele smaków, których nie spróbowała, i nie miała zamiaru z nich rezygnować. To w jakiś sposób odnosiło się także i do mężczyzn. Bo jaką mogła mieć pewność, że to właśnie Alex jest tym jedynym, skoro widzie ich dotąd tak niewielu? A co by się stało, gdyby go poślubiła, a potem niespodziewanie spotkała mężczyznę, który podobałby się jej bardziej? Przekręciła się na łóżku i przymknęła oczy. A co by było, gdyby kimś takim okazał się na przykład Adrian? Już wcześniej tapiała się na tym, że myśli o nim częściej niż zwykle – zwłaszcza ostatnio, kiedy Alexa widywała dość rzadko. Ta skryta myśl najwyraźniej zakorzeniła się w jej głowie, bo Karin w ciągu następnego tygodnia przeszła od wyobrażeń do całkiem konkretnych poczynań i naprawdę zabrała się do Adriana. Zaczęła go zupełnie inaczej traktować, zaczynając od pozornych drobiazgów – takich jak znaczące spojrzenia i



uśmiechy, trzepotanie rzęsami, spoglądanie spod oka i niby przypadkowe ocieranie się o niego przy byle okazji. Alex na razie tego wszystkiego nie zauważał, Adrian zresztą też spostrzegł to nie od razu. Karin musiała więc nasilić działania, a kulminacja nastąpiła, gdy któregoś dnia zobaczyła go idącego z wędką w kierunku rzeki. Tam też doszło do prawdziwego frontального zderzenia.

Słyszając za plecami odgłos kroków, Adrian odwrócił wzrok od tańczącego w nurcie szałwika i zobaczył zbliżającą się ku niemu Karin.

– Złapałeś już jakąś rybę? – spytała z uśmiechem.

– Parę – odpowiedział mrukliwie, już znów obrócony twarzą w stronę wody. Rozmawianie przez ramię z kobietą zapewne nie było najgrzeczniejsze, ale on jej w końcu nie zapraszał.

Karin zręcznie prześlizgnęła się pod zwisającym nad wodą niskim konarem drzewa i stanęła tuż obok Adriana.

– Parę, to znaczy ile? – spytała.

– Dwie – odpowiedział tym samym tonem, starając się, by jego lakoniczna

121

odpowiedź była jak najbardziej bezosobowa. – Ale nie przyszłaś tu po to, żeby mnie pytać o złowione ryby, prawda?

Tak sądzisz? – Karin znów się uśmiechnęła. – No to po co przyszłam, twoim zdaniem?

– Żeby odpowiedzieć sobie na pewne pytania.

– Jakie, na przykład?

– A choćby takie: jak ja wypadam w zestawieniu z moim bratem.

**Zaskoczona Karin gwałtownie wciągnęła powietrze,**

**– Adrianie! – wykrzyknęła. – Jak możesz mówić coś podobnego?**

**– Mogę, ponieważ to prawda, o czym wiesz równie dobrze jak ja.**

**Bawiła się pasemkiem włosów, które nawijała na palec.**

**– No a jeżeli rzeczywiście tak jest? Spojrzał na nią z ukosa.**

**– Nie wyjdzie ci to na dobre.**

**– Niby dlaczego?**

**Tym razem patrzył wprost na nią, a jego twarz aż poczerwieniała z gniewu, nad którym już nie starał się panować.**

**– A dlatego, że nie podoba mi się to, co robisz z moim bratem. Wodzis go za nos, udając, że ci na nim zależy, a jednocześnie strzelasz do mnie oczami, gdy tylko nadarzy ci się okazja. Co zresztą dowodzi, że nie jesteś mądra, bo nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece on mnie przewyższa.**

**Patrzyła na niego uważnie.**

**– Nienawidzisz mnie, prawda? – spytała po krótkim milczeniu. Adrian westchnął.**

**– Nie, nie sędzę, żebym cię nienawidził, choć chwilami miałbym ochotę sprać cię tak, żebyś bardzo długo nie mogła usiąść. Ale to nie jest nienawiść, zbyt długo się znamy i zbyt długo się przyjaźniliśmy, żeby można było mówić o nienawiści–Wciąż pamiętam, jak bardzo cię lubilem, póki nie zaczęłaś się zmieniać. Natomiast nie lubię cię takiej, jaką się stałaś teraz.**

**– A kiedyś byłam inna?**

**– Pamiętam jeszcze te lata, kiedy nie byłaś taka wyniosła i zarozumiała, kiedy potrafiłaś biegać na bosaka i kąpać się w rzece nago... kiedy nie**

obchodziło cię, jak wyglądasz i nie dbałaś o to, czy ktoś zwróci na ciebie uwagę, czy nie.

– Byliśmy wtedy dziećmi.

– Tak, i część z nas zdążyła już dorosnąć. A ty... ty się przede wszystkim zmieniłaś.

122

Karin usiadła na brzegu tuż przy nim, robiąc to na pozór niedbale, ale w rzeczywistości bardzo dokładnie kontrolując ułożenie głowy, rąk i całego ciała.

Świadoma jego jawnej niechęci, tym bardziej chciała olśnić go urodą, uwieść i pociągnąć ku sobie nawet wbrew jego woli.

– Wciąż jestem tą samą dziewczyną, którą byłam – powiedziała. – Może czasem chcę od życia czego innego niż ty, twój brat czy nawet Katherine, ale od wewnątrz tak naprawdę wcale się nie zmieniłam.

Adrian wciąż nie wyglądał na przekonanego, więc dodała:

– Och, wiem, co myślisz ty i pewnie wiele innych osób. Ale to nieprawda... nie spałam z twoim bratem. Nawet nie byliśmy blisko...

– Sprawiasz takie wrażenie, jak gdybyście byli bardziej niż blisko.

– Naprawdę? – Karin podniosła kamyk i rzuciła go do wody. – Och, przepraszam! Chyba spłoszyłam ci ryby.

– To już nie ma znaczenia. Zdaje się, że i tak przestały brać. Podciągnęła kolana i wsparła na nich podbródek.

– Ty wciąż jesteś przekonany, że rozmyślnie zwodzę Alexa, prawda? Ale tak wcale nie jest. Nie zwodzę go.

– Tylko co z nim robisz?

– Mówię mu prawdę. Może cię to dziwi, ale zawsze byłam wobec niego uczciwa. Tak, chcę pewnych rzeczy, które tutaj są po prostu nieosiągalne i których on dać mi nie może. I to niewątpliwie nas dzieli. Ale twój brat o tym wie i zawsze wiedział.

Zamilkła i nie patrzyła już na Adriana; jej wzrok błędził po migotliwej powierzchni wody, choć tak naprawdę widziała tam coś zupełnie innego.

Widziała pomarszczoną twarz dziewięćdziesięcioletniej Minnie Perkins, najstarszej starej panny w całym Limestone, która zwykła była mówić o sobie, że w jej wieku zmieniają się tylko fotele na biegunach, a ten, na którym doczekała dziewięćdziesiątki, był piąty czy szósty z kolei.

Karin wzdrygnęła się mimo woli. Boże miłosierny, a jeżeli i ją to czeka? W ciągu tych czterech lat, kiedy Alex był w wojsku, przez jej życie przewinęło się trzech młodych ludzi; każdy z nich wydawał się w jakiś sposób obiecujący i za każdym razem kończyło się to na niczym. Jeden wybrał karierę wojskową, drugi studia na jednej z uczelni na Wschodnim Wybrzeżu, trzeciego rodzina zmusiła do poślubienia pewnej bogatej dziewczyny z Dallas.

Mimo tych nie najprzyjemniejszych doświadczeń małżeństwo wciąż wydawało się jej stosunkowo najpewniejszym sposobem na wyrwanie się z tej

123

zapadłej dziury. W końcu pokochać bogatego nie jest trudniej, niż pokochać biednego. Mężczyźni na ogół są do siebie podobni – niektórzy są jak pchły, skaczące z miejsca na miejsce, inni znów przypominają kleszcze, wpijające się w ciało na stałe i wysysające krew do ostatniej kropelki. Tylko Alex nie pasował do żadnej z tych kategorii, co nadal ją zadziwiał.

**Ale oczywiście nie rozwiązywało żadnego z jej problemów.**

**Alex nie pokazywał się u Karin przez dobry tydzień, a potem zupełnie niespodziewanie przyjechał po nią do miasta, trafiając niemal dokładnie na moment, w którym kończyła pracę. Właśnie ukazała się w drzwiach.**

**– To prawdziwa niespodzianka – powiedziała, uśmiechając się do niego. –**

**Tym przyjemniejsza, że mam kilka paczek, które inaczej musiałabym dźwigać.**

**– Wrzucę je do wozu – powiedział. – A potem będziemy mogli się przejść po mieście.**

**– Nie będzie to długi spacer – zauważyła Karin. – Biorąc pod uwagę, że jest tu tylko jedna ulica.**

**– I to też niezbyt długa. – Alex roześmiał się. – Ale musimy porozmawiać.**

**Karin poczuła nagły skurcz w żołądku, jakby w przeczuci czegoś**

**niedobrego. Skinęła głową i po chwili oboje ruszyli przed siebie po nieco**

**chwiejących deskach drewnianego chodnika, będącego najważniejszym**

**wyróżnikiem głównej ulicy miasteczka. Szli w milczeniu przez dłuższą chwilę.**

**– Dużo myślałem – odezwał się w końcu Alex.**

**– O czym?**

**– Najogólniej o tym, że wraz z Adrianem popełniliśmy jednak błąd,**

**wracając tu w przekonaniu, że uda nam się podnieść z upadku tę naszą**

**zrujnowaną farmę. Próbowaliśmy, nie szczędząc sił, ale to po prostu nie**

**wychodzi. I teraz zdałem sobie w końcu sprawę, że tak może być już zawsze i że**

**ciężka praca niekoniecznie musi przynieść jakieś wyniki. A jest tyle rzeczy,**

**które chciałbym mieć. Nie dla mnie, dla nas. Coraz poważniej obawiam się, że**

**nie zdobędę ich nigdy, jeżeli nadal będę tu tkwić.**

– Chcesz przez to powiedzieć, że także myślisz o wyjeździe? – Karin

spojrzała na niego i nagle się roześmiała. – A zauważyłeś, że to zupełnie tak jak ja? Też chciałabym stąd wyjechać, i też natychmiast.

Alex najwyraźniej nie widział powodów do śmiechu.

– Ja na pewno nie wyjadę natychmiast, jeżeli w ogóle – powiedział,

wzruszając ramionami. – Najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, dokąd

124

miałbym się udać, nawet gdybym się na to Decydował. A jednocześnie już

wiem, że zostając tu, nigdy się nie wygrzebię, nie przestanę być tym klepiącym

wieczną biedę niewolnikiem własnej ziemi. A tego na pewno nie chcę.

– Tak jak ja nie chcę być żoną takiego niewolnika – oznajmiła Karin. –

Wiem, że Katherine patrzy na to zupełnie inaczej i uważa, że są rzeczy

znacznie gorsze niż ciężka praca na własnej ziemi. Ona, oczywiście,

powiedziałaby, że wciąż jesteś młody silny i że los się kiedyś odwróci. Ale dla

mnie nie ma nic straszniejszego niż taka praca bez nadziei. To gorsze niż

piekło.

Ku jej zaskoczeniu, Alex całkowicie się z nią zgodził.

– Czasami naprawdę mam tego dość. – Pokiwał głową. – To nią. bez dna.

Włożyliśmy z Adrianem w tę farmę wszystkie nasze pieniądze i co to dało? No

sama widzisz. – Spojrzał na niebo bez najmniejszej nawet chmurki i na

czerwoną kulę słońca, chylącą się ku zachodowi. Kolor nieba zapowiadał

kolejny upalny dzień. – Nie mieliśmy porządnego deszczu już od kilku tygodni,

a każdy rolnik wie, co znaczy taka susza. Niewiele weszło z tego, co

zasialiśmy, ale i to może nam do reszty wypalić to cholerne słońce. A wtedy

**będzie już kompletna ruina.**

**– Wówczas będziesz musiał pójść w ślady tych, którzy zrezygnowali z uprawiania roli, i znaleźć sobie jakąś inną pracę.**

**– Ale jaką? Mam sprzątać koński nawóz w stajni? Albo liczyć czyjeś pieniądze w banku? Niech to diabli, nie wytrzymałbym nawet tygodnia! – Alex popatrzył na nią i potrząsnął głową. –Może zresztą masz rację, może rzeczywiście powinienem zrobić coś takiego, ale wciąż trudno mi zdobyć się na decyzję, którą wymusza tylko bieda. Bo chciałbym to jednak zrobić z własnej woli. – Westchnął głęboko i zamilkł.**

**Zdążyli już dojść prawie do końca ulicy i postanowili zawrócić, przechodząc na drugą stronę jezdni. Stojący tam wielki towarowy furgon mógł ich osłonić przed wzrokiem przechodniów i Alex natychmiast skorzystał z tej okazji; wziął Karin w ramiona i pocałował ją raz i drugi, bardzo czule i jednocześnie jakby przepraszająco.**

**– Zdaję sobie sprawę, że powiedziałem dziś coś zupełnie innego, niż mówiłem dotąd. Nie jestem więc wobec ciebie w porządku. Prosiłem, żebyś mi zawierzyła i żebyś mi dała trochę czasu. Dałaś mi ten czas, a ja cię zawiodłem. Serce mi pęka na myśl o tym, że nie potrafiłem spełnić przyrzeczeń, że nie mogę ci dać tego wszystkiego, co obiecywałem. Zawiodłaś się na mnie.**

125

**– Nie zawiodłam się – powiedziała Karin. – Zrozum mnie dobrze, nie zawiodłam się, bo po prostu nigdy nie wierzyłam w to, że mógłbyś naprawdę spełnić obietnice. A nie wierzyłam wcale nie dlatego, że nie miałam do ciebie zaufania, dlatego, że wiedziałam, jak okrutna i bezwzględna potrafi być ta**

ziemia. To nie twoja wina, że okazała się silniejsza nawet od ciebie.

Słuchał jej słów i patrzył na nią z rosnącym zachwytem okazywało się, że jego Karin jest nie tylko anielsko piękna, ale i anielsko dobra. Tak, była najlepszą z kobiet. I najpiękniejszą.

– To wszystko, co powiedziałaś, nie zmienia faktu, że obiecywałem zbyt wiele. – Popatrzył w jej w oczy. – Ale choć wielu przyrzeczeń nie mogłem dotrzymać, jednego dotrzymywałem na pewno. – Znow przyciągnął ją ku sobie i objął bardzo mocno. – Obiecałem ci, że zawsze będę cię kochał, i to się nie zmieniło. Wiesz o tym, prawda?

Karin skinęła głową.

– Więc wiesz też pewnie, z jakim piekielnym trudem przychodziło mi powstrzymywanie się od tego, czego pragnąłem najbardziej. Zawsze chciałem wziąć cię na ręce i po prostu zanieść do łóżka. To też się nie zmieniło, wciąż pragnę cię tak bardzo, że nocami nie mogę spać. Teraz jednak wiem, że także i z tym trzeba będzie jeszcze poczekać.

9

Gdy następnym razem Alex przyjechał pod dom sióstr Simon, zastał Katherine siedzącą na schodach ganku i ocierającą łzy. Była nie tylko zapłakana, ale i chyba wściekła na cały świat, bo kiedy zapytał ją o powód łez, otarła je i odburknęła, że to nie jego sprawa.

Być może była zła także i dlatego, że przyłapał ją płaczu, ponieważ – w odróżnieniu od Karin, której łzy przychodziły bardzo łatwo i niemal na zawołanie – Katherine takie emocje okazywała niezwykle rzadko.

Jak się okazało, przyczyną wszystkiego był znowu Clovis, który jeszcze raz



wy dostał się z zamknięcia i narobił mnóstwo szkód, od wyjedzonych kwiatów i warzyw poczynając, a kończąc na niemal kompletnym zniszczeniu całego prania, które Katherine dopiero co wywiesiła do wyschnięcia. Pozostawił po sobie prawdziwe pobojuwisko: przewrócony słup, podtrzymujący sznur z bielizną, najlepsze bluzki i bieliznę wdeptane w błoto – część z nich podarta

126

już nie do uratowania! – a wszystko przez jednego niesforne go muła.

Alex z całą powagą obejrzał poczynione szkody, poklepał Katherine po plecach i zapytał:

– A gdzie jest przestępca?

– Zamknęłam go w ciemnej komórce, żeby sobie dobrze przemyślał to, co zrobił!

Alex roześmiał się.

– Może więc lepiej zobaczę, czy znów nie próbuje wyrwać się z zamknięcia.

– Nie ma szans – oznajmiła. – Przywiązałam go tym samym sznurem, który mi zerwał. A poza tym tak mu nagadałam, że mu w pięty poszło! I powiedziałam mu, że zostanie tam już na zawsze.

Alex przesunął kapelusz na tył głowy i przyjrzał się wdeptanej w błoto bieliźnie.

– No rzeczywiście, zasłużył na karę. Ale nie możesz go przecież karać dożywotnio! To w końcu tylko zwyczajne głupie zwierzę.

– Nie waż mi się nazywać go głupim zwierzęciem! – wrzasnęła oburzona Katherine. – Clovis nie jest zwyczajny, jest sprytny jak diabeł, a złośliwy jak całe stado diabłów. Dobrze wie, że jestem jedyną osobą na świecie, która go

**lubi, i tak mi się za to odplaca!**

**– Nie sądzę, żeby był specjalnie złośliwy w stosunku do ciebie. – Alex**

**usiadł przy niej i w geście pocieszenia objął ją. – Na ile się znam na mulach, nie ma w tym osobistej niechęci.**

**– No, nie wiem. Moje kłopoty na pewno go nie martwią. A poza tym jest taki uparty jak...**

**– ...jak mul? – Alex roześmiał się.**

**– Nie ma się z czego śmiać. Kiedy sobie przypomnę, ile szkód tu narobił, to mogłabym go rozszarpać na kawałki!**

**– A sprzedać? – spytał niewinnie Alex.**

**– Nigdy w życiu! – wykrzyknęła Katherine ze szczerym oburzeniem. – No i z czego się śmiejesz?**

**– Już się wcale nie śmieję. Ale twój stosunek do Clovisa naprawdę mnie rozbija i wzrusza. Myślę, że jesteś najbardziej zachwycającym przykładem kobiecości, jaki zdarzyło mi się oglądać... i gdybym nie był zakochany w twojej siostrze, to na pewno straciłbym głowę dla ciebie.**

**– Zaraz – powiedziała Katherine, nagle przestając się uśmiechać. – Więc gdybyś nie kochał mojej siostry, mógłbyś naprawdę pokochać mnie?**

127

**Pytanie zabrzmiało znacznie poważniej, niż zamierzała.**

**– Nie zadawaj mi takich niemądrych pytań. Dobrze wiesz że wszyscy cię kochają – odparł Alex. Powiedział to jak najbardziej szczerze, ale to nie było to, co chciała usłyszeć.**

**Wszelkie iskierki rozbawienia w oczach Katherine zgasły już ostatecznie.**

– No tak – rzuciła. – Kochasz moją siostrę, więc rzeczywiście nie ma sensu gdybać.

– Pomogę ci zebrać tę porozrzucaną bieliznę, a potem zobaczę co można zrobić z jego zagrodą.

Po paru minutach wrócił do Katherine, która wciąż jeszcze siedziała na stopniach ganku.

– Nic dziwnego, że ten twój muł wydestaje się z zagrody bez najmniejszego trudu. – Pokazał jej kawałek wylamanej deski. – Drewno jest już tak przegniłe, że wkrótce samo się rozpadnie. Jutro przywieziemy z Adrianem porządny materiał, wymienimy to próchno i zagroda będzie jak nowa. I bardzo cię proszę, bez żadnych protestów, bo zrobimy to nawet bez twojej zgody. Kiedyś wreszcie trzeba to naprawić. – Usiadł na stopniu obok niej i zapytał jakby mimochodem: – A gdzie jest Karin?

– Już wróciła z miasta, ale przyjechał Beau Ridley i zabrał ją do domu swej ciotki. Karin ma tam wziąć miarę na kilka zamówionych przez nią sukienek.

– Co to za jeden, ten Beau Ridley?

– To przyjezdny. Od kilku lat pojawia się w naszym mieście każdego lata, odwiedza tę ciotkę, panią Carpenter.

– A dlaczego Karin pojechała do niej właśnie z nim?

– Tego już nie wiem – powiedziała Katherine i przyjrzała mu się uważniej.

– Wygląda na to, że chciałbyś mnie zasypać dalszymi pytaniami, więc ci od razu powiem, iż nie wiem nic, ponad to, że ten Beau ma bogatego ojca i nową luksusową bryczkę. – Widząc wyraźnie niezadowoloną minę Alexa, spytała go wprost: – Pokłóciliście się ostatnio?

– Nie, tylko rozmawialiśmy. Dlaczego o to pytasz?

– Właściwie bez powodu. Tak tylko myślałam.

– A miałaś może wrażenie, że była zmartwiona albo zdenerwowana, kiedy ostatnim razem przywiozłem ją z miasta?

– Nie, niczego takiego nie zauważyłam. Alex nad czymś się zastanawiał.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że jej wyjazd z tym Beau Ridleyem wiąże się z tą naszą ostatnią rozmową – rzekł po chwili milczenia.

128

– Jesteś pewien, że nie kłóciliście się?

– Nie, po prostu rozmawialiśmy. – Podniósł wzrok i popatrzył na nią w zamyśleniu. – Dlaczego więc wydaje mi się nagle, że jesteśmy bardziej poróżnieni niż kiedykolwiek dotąd?

– Nie wiem. Zawsze sądziłam, że oboje chcecie tego samego.

– Bo chcemy.

– No to jak możecie być poróżnieni?

– Ponieważ chcieliśmy tego samego, ale chyba nie w tym samym czasie.

– Uu-u! – Katherine pokręciła głową. – To oznacza kłopoty. Rozumiem, że rozmawialiście o małżeństwie.

– Nie rozmawialiśmy.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów. Ponieważ po prostu nie rozmawialiśmy... i ponieważ parę rzeczy ostatnio zrozumiałem. Nie można poważnie myśleć o małżeństwie, nie mając żadnej pewności, że będzie się miało za co utrzymać rodzinę..

– Ale jeśli się kocha... – zaproponowała nieśmiało Katherine.

– Jeśli się kocha, to tym bardziej trzeba być odpowiedzialnym. – Z tej

farmy nie da się wyżyć, Karin to od dawna powtarzała. Dlatego, choć dotąd się temu sprzeciwiałem, teraz zaczynam myśleć, że ona może mieć rację.

– Że należy stąd wyjechać?

Alex podniósł się i w zamyśleniu zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Kto wie? – powiedział w końcu. – W każdym razie trzeba się nad tym poważnie zastanowić.

Katherine pokiwała głową. Przez dłuższy czas przypatrywała mu się w milczeniu.

– Nie czuję się upoważniona do wypowiedzania się na ten temat – odezwała się w końcu. – Zrobisz to, co uznasz za stosowne... co oboje uznacie za stosowne. W każdym razie dziękuję ci za to, że wpadłeś i że pomogłeś mi powstrzymać się od pokusy uzalania się nad samą sobą. Wystarczyło porównać skalę problemów, żeby mi to od razu przeszło...

– Ja też ci dziękuję. Coraz bardziej lubię z tobą rozmawiać. sam nie wiem dlaczego. Ale może nie muszę tego wiedzieć.

Rozmowa z Katherine naprawdę poprawiła mu nastrój, ale oczywiście w żaden sposób nie mogła pomóc w rozwiązaniu tych najważniejszych, coraz bardziej dręczących go problemów. W ciągu następnych paru tygodni Alex

129

ciągle tak samo beznadziejnie szamotał się z myślami, nie wiedząc, co robić, i nie mogąc się na nic zdecydować. A rzeczywistość jawiła się coraz mniej różowo. Plony były zagrożone, niedawno kupione krowy zaczęły chorować, a pieniądze z czteroletniego żołdu rozeszły się już niemal bez reszty. Farma była

nadal na granicy bankructwa, tymczasem Karin wywierała na niego coraz silniejszą presję, już kilka razy pokazując się publicznie z tym Beau – jak mu tam? – Ridleyem.

Alex czuł więc, że najwyższa pora zacząć szukać szczęścia gdzie indziej.

Wciąż nie wiedział, gdzie to ma być, ale na pewno już nie w Limestone. Stąd należało uciekać jak najszybciej i modlić się, żeby Karin na niego czekała – przynajmniej do chwili, gdy zdobyta fortuna pozwoli mu wrócić.

Adrian również rozmyślał o wyjeździe, mając po temu nawet więcej powodów niż brat. Równie dobrze jak Alex zdawał sobie sprawę z katastrofalnego stanu finansów farmy, a poza tym stracił już nadzieję na to, że jego sercowe sprawy ułożą się lepiej. Nie mógł nie widzieć, że Katherine nadal jest bez reszty zakochana w Aleksie, a jemu może ofiarować co najwyżej przyjaźń.

To, oczywiście, mu nie wystarczało, więc coraz częściej przemyślał o wyjeździe. Był bliski podjęcia tej decyzji, ale nawet nie marzył o tym, żeby Alex mógł się do niego przyłączyć.

Zadecydował przypadkiem. Alex rzadko czytywał prasę, lecz któregoś dnia kupił i przywiózł do domu najświeższy numer wydawanej w Waco lokalnej gazety i – przeglądając ją przy śniadaniu następnego ranka – natrafił na wiadomość, która go zelektryzowała. Była to informacja o odkryciu w Kalifornii bogatych złóż złota i redakcyjny artykuł o bajecznych fortunach pierwszych poszukiwaczy.

Gdy przeczytał go bratu, ten nie zastanawiał się zbyt długo i oświadczył, że jedzie, i to natychmiast. Nic go już tu nie trzymało – Katherine go nie chciała,

wszystkie nadzieje na uratowanie farmy okazały się płonne, natomiast Kalifornia dawała wreszcie jakąś szansę. Może iluzoryczną, ale jednak szansę. Alexowi podjęcie decyzji przyszło dużo trudniej, przede wszystkim z powodu Karin, którą musiałby zostawić – przynajmniej na początku – i w dodatku nie wiadomo na jak długo. Nic dziwnego, że wahał się niemal do ostatniej chwili. W końcu jednak przeważył rozsądek i pozbawiona już złudzeń ocena sytuacji. Na farmę spadały same nieszczęścia – plony przepadły wskutek suszy, zarażone stado krów trzeba było wybić, woda w nowej studni,

130

wykopanej z wielkim nakładem sił i środków, okazała się zasolona. To ostatecznie przechyliło szalę.

Wiadomość rozniosła się szybciej niż zaraza w stadzie krów. W ciągu paru dni już całe Limestone mówiło tylko o tym, że chłopcy od Mackinnonów, którzy dopiero co wrócili z meksykańskiej wojny, zostawiają farmę i znów wyjeżdżają – tym razem do Kalifornii. Wiadomość obrastała mnóstwem wciąż tych plotek i domysłów, nikt z plotkujących nie zastanowił. Jednak nawet przez moment, dlaczego tych dwóch młodych, którzy tak dzielnie walczyli pod dowództwem generała Cartera, nadal nazywa się chłopcami. Sami zainteresowani też specjalnie się nad tym nie zastanawiali, w gruncie rzeczy już pogodzeni z myślą, że nawet po ewentualnym powrocie z Kalifornii nic się w tym względzie nie zmieni i że dla okolicznych ludzi na zawsze już pozostaną chłopcami od Mackinnonów.

Ludzie z Limestone wyjazd ostatnich już przedstawicieli rodziny

Mackinnonów przyjmowali z prawdziwym żalem. A najbardziej i najszczerzej

smuciła się Katherine Simon – choć w ostatnich dniach starała się sobie tłumaczyć, że to może mieć także i swoje dobre strony. Obecność Alexa w tak bliskim sąsiedztwie bardzo boleśnie przypominała jej, że pragnie rzeczy nieosiągalnej i po prostu niemożliwej. Nikt natomiast nie mógł jej zabronić marzeń o nieobecnym, nawet gdyby był Bóg wie jak daleko.

Na pożegnanie braci Mackinnonów siostry Simon wydały specjalną kolację, a choć wkład Karin w jej przygotowanie był raczej symboliczny, wyrazy wdzięczności i uznania przyjmowała na równi ze swą znacznie bardziej utrudzoną młodszą siostrą. Zachowywała się jak królowa wieczoru i komuś, kto oglądałby ją tylko w tej roli, najprawdopodobniej nie przyszłoby nawet na myśl, że jeszcze parę dni wcześniej ta tak doskonale ułożona młoda kobieta zrobiła Alexowi niemalże karczemną awanturę, starając się wymusić na nim rezygnację z wyjazdu. Próbowala wszystkiego, do groźby samobójstwa włącznie, ale gdy i to nie pomogło, raptem zmieniła front i zaakceptowała cały zamiśl, odnosząc się do niego może bez szczególnego entuzjazmu, ale z coraz życzliwszym zrozumieniem racji drugiej strony. Tak to przynajmniej wyglądało na tej pożegnalnej kolacji.

Po jej zakończeniu Adrian i Katherine pozostali w kuchni pod pozorem zmywania talerzy – choć był to jedynie pretekst, żeby dać Alexowi i Karin jeszcze kilka lub kilkanaście minut na rozmowę sam na sam. Ci, oczywiście, jak najchętniej skorzystali z okazji i szybko wymknęli się na werandę.

Katherine jeszcze przez chwilę patrzyła w ślad za siostrą, która ujęła Alexa pod ramię i nieco za głośno śmiała się z tego co jej opowiadał, raz po raz



nachylając się do jej ucha. Patrzy jeszcze wtedy, gdy za rozbawioną parą zamknęły się już drzwi, nieświadoma tego, że jest obserwowana przez Adriana. W twarzy Katherine można było czytać jak w książce.

Gdy w końcu wróciła do rzeczywistości, zdała sobie sprawę, że Adrian przyglądał się jej przez cały czas. Wiedziała jednak, że patrzył na nią życzliwie i ze zrozumieniem.

– Karin z pewnością to wszystko przeżyje – powiedział, uśmiechając się nieco melancholijnie. – Ale co z tobą, Katherine?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała natychmiast. Może nieco szybciej, niż należało.

– Ze mną możesz rozmawiać szczerze. Będzie ci ciężko?

– Nie ciężej niż dotąd. – Odwróciła się, podeszła do zlewu i zabrała się do zmywania. Rzuciła mu ścierkę i zapytała: – A teraz się zdecyduj, pomożesz mi zmywać i wycierać, czy też chciałbyś tylko stać i kłapać dziobem?

– A nie moglibyśmy połączyć jednego i drugiego?

– Nie. Bo nie chcę już o tym mówić.

– Ze mną?

– Z nikim.

Przez dłuższą chwilę zmywali talerze i wycierali je w całkowitym milczeniu.

– Ale pójdziemy jeszcze do nich, żeby posiedzieć i pogadać, zanim przyjdzie czas się pożegnać? – spytał Adrian.

– Nie znoszę długich i smutnych pożegnań – odpowiedziała Katherine. –

Ale dobrze, możemy już zostawić to zmywanie, skończę później sama.

**Chodźmy się żegnać, żeby to już mieć za sobą...**

**– Pożegnania wcale nie muszą być takie smutne – zaprotestował Adrian.**

**– Ale są! – ucięła Katherine, odebrała mu ścierkę i odwiesiła na wieszak. –**

**Idziemy!**

**Okazało się jednak, że to Adrian miał rację i że ich pożegnanie – choć długie – wcale nie było smutne. Przeciwnie – już po paru minutach wszyscy się nadszpiewanie rozkręcili i rozgadali, mówiąc czasami jednocześnie, przypominając sobie i innym co zabawniejsze wydarzenia ze wspólnie przeżywanych lat dzieciństwa i wczesnej młodości. Wybuchom śmiechu nie**

132

**było końca, każda opowiedziana anegdota przywoływała następną i dopiero po dobrych paru kwadransach Katherine przypomniała sobie, że w zasadzie przyszła się tylko pożegnać.**

**– Już chcesz iść? – spytał Adrian, widząc, że dziewczyna się podnosi. – I dokąd się tak śpieszysz?**

**– Muszę dokończyć zmywanie – odpowiedziała, ale widząc jego minę, szybko się poprawiła. – No dobrze, zmywanie może poczekać, ale i tak muszę iść, bo jak mówiłam, nie znoszę smutnych pożegnań.**

**– Przecież nasze pożegnanie wcale nie jest smutne! – zaproponowali jednocześnie Alex i Adrian.**

**– Ale teraz będzie i dlatego chcę się z wami pożegnać szybko i krótko. –**

**Katherine obróciła się do Adriana, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek. – Trzymaj się, Adrianie, i uważaj na siebie – powiedziała i pocałowała go jeszcze raz.**

– Będę się starał – obiecał, ale ona już obróciła się w stronę jego brata.

– Ty też się trzymaj – powiedziała i cmoknęła go w policzek.

Tylko skinął głową.

Katherine odeszła najszybciej, jak mogła, i skryła się we wnętrzu domu, żeby się nie rozplakać na oczach wszystkich. Jedynym jako tako skutecznym sposobem na powstrzymanie łez było natychmiastowe zabranie się do roboty, co też uczyniła, szorując talerze znacznie mocniej, niż tego potrzebowały.

Przez cały czas starała się zachowywać wyłącznie pozytywne nastawienie do tego, co robiła, i zdecydowanie odpędzała od siebie wszystkie złe myśli. Dzięki temu już po niedługim czasie wszystkie talerze były wymyte i wytarte do sucha, podłoga została wyszorowana, a stół zasłany świeżym obrusem.

Jeszcze raz obrzuciła badawczym spojrzeniem całą kuchnię, która lśniła czystością. Potem, z poczuciem może drobnej, ale zasłużonej satysfakcji z dobrze wykonanej pracy, sięgnęła za plecy do zawiązanego na kokardkę węzła przytrzymującego kuchenny fartuszek, który wreszcie mogła zdjąć.

– Pomogę ci, śliczna gosposiu – usłyszała nagle tuż za sobą znajomy głos.

Drgnęła gwałtownie, czując na rękach ciepłe męskie dłonie, które pomagały jej rozplatać kokardkę. Obróciła się i zobaczyła Alexa, który tymczasem już uporał się z węzłem i jednym mchem ściągnął fartuszek z jej smukłej talii.

W całym domu panowała jakaś niesamowita cisza. Katherine nie odważyłaby się jej przerwać.

– Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać – powiedział w końcu Alex.

– Myślałam, że już się pożegnaliśmy. Kiwnął głową.

– Niby tak, ale pomyślałem, że to jednak nie było pożegnanie godne

dwojga ludzi, którzy przyjaźnią się ze sobą tak długo jak my.

Katherine milczała. Wpatrywała się w niego, z rozpaczliwym pośpiechem usiłując zapisać w pamięci jego rysy, wyraz twarzy, nawet światło odbijające się w jego oczach – wszystko to, co sprawiało, że wyglądał tak, a nie inaczej przed ostatecznym pożegnaniem. Takiego go chciała pamiętać, ten obraz przywoływać, gdy on będzie już daleko.

– Będzie mi ciebie brakować – powiedział Alex. Jego głos brzmiał niezwykle ciepło.

– Mnie ciebie też – odpowiedziała Katherine.

– Naprawdę?

– No oczywiście! Będzie mi brakowało twoich dobrych rad przy łowieniu ryb, twojej pomocy przy kolejnych kłopotach z Clovisem... i nawet wycierania po tobie podłogi w tych rzadkich przypadkach, gdy zdarzyło ci się przyjść w zabloconych butach.

– Wolalbym odjeżdżać z przekonaniem, że będzie ci brakowało czegoś więcej. – Głos Alexa zabrzmiał nagle zaskakująco

Poważnie.

– Och, Aleksie! – ze wszystkich sił starała się, żeby to zabrzmiało jak najbardziej lekko i beztrąsko. – Zapomnisz o mnie, jeszcze zanim dotrzesz do Kalifornii.

– To niemożliwe – odpowiedział poważnie. – Przyjaciół się nie zapomina.

– Racja – zgodziła się Katherine. – Przyjaciół rzeczywiście nie.

**Znów zapadło przedłużające się niezręczne milczenie.**

**– No to cóż – powiedział w końcu Alex. – Chyba już powinienem iść.**

**– Chyba tak.**

**Zrobił krok, ale natychmiast się odwrócił.**

**– Niech to diabli! To trudniejsze, niż myślałem. Nie mogę tak po prostu sobie pójść! I nie chcę!**

**Ja też tego nie chcę, pomyślała Katherine. Powiedziała jednak coś zupełnie innego.**

**– A co z Karin? – spytała. – Ułożyliście już wszystko między wami?**

**– Nie, szczerze mówiąc, nie. Powiedziała, co prawda, że już nie jest na mnie zła o to, że wyjeżdżam, ale w tej sytuacji wcale nie obiecuje, że jeszcze**

134

**będzie na mnie czekać.**

**– Mogła to powiedzieć, wcale tak nie myśląc.**

**– Nie wiem.**

**– Jest teraz po prostu wściekła na ciebie, widząc, że odjeżdżasz. Ale potem na pewno cię zrozumie, kiedy przemyśli to sobie już na spokojnie. Kobiety mówią różne rzeczy, nieraz bardzo impulsywnie, ale to nie musi nic znaczyć.**

**– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.**

**– Jestem tego pewna. Zobaczysz, że miałam rację.**

**Alex uśmiechnął się lekko, a potem nagle wziął ją za rękę.**

**– Ale wracając do nas, to znaczy, do ciebie i mnie... Jeśli pozwolisz, po przyjeździe chciałbym do ciebie napisać.**

**Katherine nagle poczuła gwałtowny skurcz serca. Prawie bolesny, ale**

**rozkoszny.**

**– Bardzo bym się ucieszyła – odpowiedziała cicho.**

**Przyciągnął ją bliżej ujął i za ramiona, bardzo delikatnie i czule.**

**– A czy ty... zechcesz mi odpisywać?**

**– Jeśli tylko pozostaniesz w jednym miejscu dostatecznie długo, żeby moje listy do ciebie dotarły.**

**– Nie mogę tego obiecać – odpowiedział bardzo poważnie. –Ale nie chciałbym, żebyś o mnie zapomniała.**

**– Prędzej zapomniałabym o sobie samej. – Katherine podniosła wzrok, patrząc mu prosto w oczy.**

**– Ja też. – Miał nagle dziwne poczucie, że mówi to z głębi serca.**

**Poczuł, że chce ją pocałować. Nigdy dotąd tego nie robił, jeżeli nie liczyć paru czysto przyjacielskich cmoknięć w policzek przy takiej czy innej okazji.**

**Teraz co prawda chciał ją pocałować w usta, ale nadal miało to być lekkie, niewinne i czysto przyjacielskie. Przyciągnął ją ku sobie, a ona wydawała się tak oszłamiona, że poddawała mu się bez jakiegokolwiek oporu.**

**Ale kiedy ich usta delikatnie się zetknęły, Alex nagle zapomniał o swym pierwotnym zamiarze i, ku własnemu zaskoczeniu, zaczął ją całować naprawdę, coraz mocniej i coraz goręcej. Oszłamiona Katherine przez dłuższą chwilę pozostawała całkowicie bierna – właśnie dlatego, że kochała go tak bezgranicznie i rozpaczliwie, nie miała odwagi odpowiedzieć na taki pocałunek. Ale hamowała się już zbyt długo i pragnęła go zbyt mocno, by naprawdę móc się opierać. Nagle, na krótki moment, który dla niej zdawał się trwać całą wieczność, przestała w ogóle myśleć że pozwoliła, by kierował nią**

już tylko instynkt. Jej ciało, dotąd Usztywnione i spięte, nagle zmiękło i przylgnęło do niego z całkowitym oddaniem, wargi ożyły i zaczęły nie tylko przyjmować, ale i oddawać pocałunki. Ku niemałemu zdumieniu Alexa, wydawały mu się coraz mocniejsze i coraz bardziej gorące, gdy tymczasem on zaczynał sobie coraz dobitniej zdawać sprawę, że to zachwycająco słodkie stworzenie, które trzyma w ramionach, to wcale nie Karin. Nie Karin, tylko Katherine. Katherine, z którą przyjaźnił się o wiele za długo, żeby teraz móc ją pokochać. Katherine, którą znał tak dobrze... i jednocześnie tak mało. Oderwał wargi od jej ust, ale nie umiałby sobie wytłumaczyć. Dlaczego przyszło mu to z takim trudem. Dlaczego wciąż wpatrywał się w nią jak otumaniony i skąd się wziął ten nagły ból po lewej stronie twarzy? Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że został po prostu spoliczkowany.

Katherine cofnęła się gwałtownie, wstrząśnięta i boleśnie urażona. Jej głos drżał, w oczach błysnęły łzy.

– Nie miałaś prawa! – Machinalnie otarła usta wierzchem dłoni. Zrobiła to w taki sposób, jak gdyby chciała zetrzeć zniewagę, jaką był pocałunek mężczyzny, którego tak bardzo kochała. – Nie miałaś prawa! – powtórzyła. – To nie był pocałunek, tylko okrutna drwina. Zadrwiłeś sobie ze mnie... i nigdy ci tego nie wybaczę.

– Pewnie tak. – W jego spojrzeniu był smutek i poczucie winy. – Nie wybaczysz i może będziesz miała rację. – Podniósł dłoń i bezwiednie potarł twarz w miejscu, na którym jeszcze było widać zaróżowiony ślad po uderzeniu jej dłoni.

**Nagle poczuł, że nienawidzi siebie za to, co przed chwilą zrobił.**

**Zarozumiały, samolubny głupiec! W ogóle nie pomyślał, co to może dla niej znaczyć. I po co właściwie to zrobił?! Żeby zaspokoić własną ciekawość? Żeby poczuć się bardziej męskim w sytuacji, gdy Karin zagroziła odejściem?**

**Katherine tymczasem opanowała się na tyle, że udało się jej powstrzymać łzy.**

**– Chciałabym, żebyś mi odpowiedział tylko na jedno pytanie – powiedziała, podnosząc wzrok. – Dlaczego to zrobiłeś?**

**Popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy i potrząsnął głową.**

**– Nie jestem pewien – rzekł niemal bezradnie. Można było odnieść wrażenie, że to, co się stało, było dla niego takim samym zaskoczeniem, jak dla niej. – Nie wiem, Kathy. Klnę się na Boga że nie wiem.**

**– Ale ja wiem. Karin nie darowała ci tego, że wyjeżdżasz, nie chciała ci**

136

**obiecać, że będzie czekać. A to boli, i to bardzo mocno, prawda?**

**– Wiem już, że nie powinienem był cię całować – wyznał ze zgnębioną miną. – Nie powinienem. Mogę tylko powiedzieć, że...**

**– Nie mów! – przerwała mu nadspodziewanie ostro. – Tu nie chodzi o to, że mnie pocałowałeś. To mogłabym ci wybaczyć. Ale ty posłużyłeś się mną jak dziwką... jak wzgardzony mąż, szukający szybkiej pociechy w ramionach prostytutki. I to mnie najbardziej boli. – Odwróciła się tak, żeby nie widział jej twarzy. Odezwała się znów dopiero po dłuższej chwili. – Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będę mogła ci to wybaczyć – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do niego. – Nie wiem. Czas to pokaże.**



Nadal nie patrzyła w jego stronę. Słyszała tylko oddalające się kroki, ale nie widziała wyrazu twarzy Alexa. A taką twarz mógł mieć człowiek, który nagle przebudził się z bardzo długiego snu.

Jeszcze przez dłuższy czas Katherine trwała bez ruchu jak skamieniała. W jej głowie tymczasem szalał prawdziwy huragan, klębiły się rozpaczliwie poplątane myśli.

Za oknem było już zupełnie ciemno, ale blade światło kuchennej lampy w zupełności jej wystarczało. Usiadła przy stole i spróbowała sobie wszystko jeszcze raz przypomnieć – sekunda po sekundzie. To aż dziwne, swoją drogą, że wszystko przebiegło w gruncie rzeczy tak spokojnie – bez płaczu, bez chwytania za ręce, bez rozpaczliwego błagania go, żeby jednak został. Można by powiedzieć, że wyszła z tego obronną ręką, gdyby nie przykre poczucie, że cała uroda, radość i sens życia nagle się rozplynęły. Katherine czuła się tak, jak gdyby naraz stała się wewnątrz pusta.

10

Czas upływał. Upływał – jak zawsze – po swojemu, podstępnie i skrycie, za nic sobie mając ludzkie tęsknoty i udręki i zupełnie nie dbając o niespełnione nadzieje. Dni płynęły równie wolno i niezauważalnie, jak płyną po niebie wysoko lecące ptaki, które zdają się niemal stać w miejscu, a potem nagle znikają i nie pozostaje po nich nawet ulotny cień.

Katherine starała się wykorzystać ten upływający czas. Chciała, żeby to był dla niej czas dojrzewania, w trakcie którego miała stawać się nie tylko starsza,

137

ale i mądrzejsza, bogatsza o wszystkie dotychczasowe doświadczenia. To nie

**mogło być trwanie w miejscu, to miała być podróż w przyszłość –jej przyszłość!**

**– a przy okazji także i swoista kuracja, wolno, ale skutecznie lecząca**

**najgłębsze nawet żale i urazy.**

**Robiło się coraz chłodniej, co było niechybną oznaką nadchodzącej jesieni.**

**Liście żółkły i czerwieniały, część ptaków odleciała, zapobiegliwie bobry ścięły znów sporo drzew, budując przegradzające rzeczkę tamy, które miały podnieść poziom wody i zakryć wejścia do zimowych żeremi. Katherine patrzyła na to z sympatią, nigdy nie ingerowała w działania bobrów, a tworzone przez nie stopnie wodne uważała nawet za bardzo pożyteczne.**

**Po długiej i dość pogodnej jesieni przyszła zima – krótka, ale mroźna i śnieżna. Mróz bywał na tyle ostry, że szukające przed nim schronienia sowy zagnieździły się w załomie dachu przy najwyższej krokwi stodoły. Można było mieć nadzieję, że w rewanżu za gościnę postarają się wylapać myszy, których w stodole nigdy nie brakowało – toteż pojawienie się sów Katherine przyjęła z prawdziwą radością. Sądząc po spadających z krokwi odchodach, ptaki najwyraźniej starały się spełniać pokładane w nich nadzieje.**

**Wiosna, jak to wiosna, zwlekała z przyjściem, ale potem wybuchła gwałtownie i w ciągu kilku dni zmieniła okoliczne łąki w prawdziwe kwietne dywany. Drzewa pokryły się młodymi zielonymi listkami, a spod leżącej w ogrodzie spróchniałej kłody samica oposa wyprowadziła dziewięcioro maleństw z rozkosznie różowymi noskami, których widok sprawił, że Katherine natychmiast postanowiła wyrzucić przechowywaną w domowej książce kucharskiej starą receptę na duszone mięso z oposa.**

**Wiosna przeszła w lato prawie niepostrzeżenie, bujna roślinność pól i łąk**

z nawiązką nadrobiła wszelkie zaległości, a niektóre drzewa w sadzie dawały już pierwsze owoce. Na pastwiskach za krowami chodziły śnieżne czaple i od czasu do czasu gubiły swe piękne pióra. Katherine zbierała je skrzętnie, zamierzając je wykorzystać do przystrojenia starego słomkowego kapelusza.

I tak minął niemal rok od chwili powtórnego wyjazdu braci Mackinnonów.

Ludzie czasem jeszcze o nich wspominali, ale tylko od przypadku do przypadku. Natomiast Katherine myślała o nich każdego dnia.

Zwłaszcza o jednym z nich. O Aleksie Mackinnonie.

Każdego wieczoru, gdy kolejny dzień żmudnej domowej pracy miała już za sobą i mogła się wreszcie ułożyć do snu, bezustannie wracała do niego myślami. Wtedy czuła się prawie szczęśliwa. Wciąż na nowo przypominała

138

sobie to wszystko, co jakikolwiek sposób się z nim wiązało, choćby nawet tylko pośrednio. Zdumiewała ją ta dziwna zdolność umysłu do utrwalania drobiazgów – nieraz zupełnie błałych i mało znaczących – które niezwykle łatwo mieszały się w pamięci ze wspomnieniami rzeczy ważniejszych i najbardziej dramatycznych. Katherine hołubiła teraz te szczegóły, potrafiła cieszyć się nimi wciąż na nowo. Bardzo dokładnie pamiętała barwę jego głosu, smak jego ust, gdy całował ją na pożegnanie. Pamiętała wszystko – każde dotknięcie, każdy gest, każde spojrzenie. Aż w końcu przychodził błogosławiony sen i wtedy nie pamiętała już nic.

Ale gdy się budziła, znów myślała o nim.

Listy od Alexa i Adriana przychodziły rzadko, a w dodatku szły tak długo, że wiele wiadomości zdążyło się w tym czasie całkowicie zdezaktualizować.

Niemniej jednak Katherine z napięciem czekała na każdy list i na wszelkie, nawet najbardziej opóźnione, informacje o losach braci, a zwłaszcza o Aleksie. A kiedy list wreszcie przychodził, jej cierpliwość bywała wystawiana na jeszcze cięższą próbę. Choć wszystkie przesyłki adresowane były do obu siostr Simon, zazwyczaj otwierała je Karin, i to ona czytała je na głos w obecności siostry, która za każdym razem siedziała jak na szpilkach, ze zniecierpliwienia gubiąc oczka, gdy szydelkowała, i klując się igłą w palec, kiedy akurat zajmowała się cerowaniem. Karin czytała bowiem nieznośnie wolno, przynajmniej zdaniem Katherine, która najchętniej wyrwałaby poźółkle kartki z rąk siostry i zaszyła się z nimi gdzieś w kącie, czytając je linijka po linijce i powtarzając to wystarczająco wiele razy, by nauczyć się każdego słowa na pamięć.

Tak było za każdym razem, gdy przychodził list od Alexa. Gdy nadawcą listu był Adrian, Karin od razu oddawała kopertę siostrze, deklarując całkowity brak zainteresowania jej zawartością. Katherine natomiast czytała każdy taki list bardzo chętnie, ciekawiło ją wszystko, co o Kalifornii pisał Adrian, choć, oczywiście, najbardziej interesowały ją wszystkie wzmianki o bracie.

Mijały miesiące, mijał rok, potem drugi, a Katherine nadal czekała na każdy kolejny list od Alexa. Czekala, nie skarżąc się równie cierpliwie i wytrwale, jak czekała na jego miłość. Kochała go wciąż tak samo mocno, ale nie rozmawiała z nikim o tym uczuciu – nawet z Fanny Bright, choć ta już od dawna domyślała się, komu Katherine oddała serce.

Zdarzało się natomiast, że dawała Fanny do przeczytania ten czy inny list

od Alexa, ciekawa jej opinii, które czasem bywały ostre i dosadne, ale zawsze szczere, według zasady „co w sercu, to i na języku”. Pierwszy list z informacjami o trudnych początkach w obozie poszukiwaczy złota Katherine postanowiła jednak zachować dla siebie – także i dlatego, że był bardzo ogólny i praktycznie nie dotyczył spraw osobistych. Z drugiego listu wynikało niewiele więcej, jeżeli nie liczyć pocieszającej informacji o pewnej poprawie urobku – pracując od rana do wieczora przy użyciu najprymitywniejszych narzędzi, bracia Mackinnonowie wyplukiwali już tyle złotego piasku, że wystarczało to na pokrycie kosztów wyżywienia, które w obozach poszukiwaczy było piekielnie drogie. Jednak wyjście na zero trudno było uznawać za sukces, o którym warto byłoby opowiadać. Natomiast za wartą przytoczenia Katherine uznała zawartą w tym liście opowieść o pogrzebie jednego z kopaczy, który nie wytrzymał trudów ciężkiej pracy. Fanny słuchała jej z wyraźnym zainteresowaniem.

– Ponieważ ten nieszczęśnik mieszkał w tym samym obozie i niemalże w sąsiednim namiocie – mówiła Katherine – Alex i Adrian uczestniczyli w jego pogrzebie. Wykopano spory dół, jakiś wędrowny kaznodzieja przemawiał nad zbitą z paru desek trumną. Przemawiał tak długo, że klęczący przy dole poszukiwacze znudzili się, a jeden z nich zaczął machinalnie przesiewać przez palce wykopaną ziemię. I nagle coś w niej błysnęło. „Złoto!” – wrzasnął uszczęśliwiony znalazca. I rzeczywiście było tam parę ziarenek złota. No i jak myślisz, Fanny, co się stało? Trumnę ze zmarłym wyjęto i wszyscy rzucili się do zakopywania dołu, na czele z kaznodzieją.

Fanny roześmiała się.

**– I smutne, i śmieszne – powiedziała. – Zupełnie jak w życiu.**

**– Czy to już koniec tego listu?**

**– Nie – powiedziała Katherine. – Jest tam jeszcze fragment z dopiskiem „Dla Karin”.**

**– No to co? – Fanny wzruszyła ramionami. – Skoro Karin i tak dała ci ten list?! Czytaj!**

**– Ale tam jest ledwie kilka słów. O tym, jak bardzo mu jej brak... i jak stale o niej myśli.**

**– Jeżeli pomyślałby o niej nawet tylko jeden raz, to i tak o ten jeden raz więcej niż ona.**

**– Och, Fanny, jak w ogóle możesz mówić coś takiego?**

**– Mogę, bo to szczerą prawdą.**

140

**– To nie jest prawda. Karin tęskni za Alexem. Wiem, że tęskni.**

**– Ja też swoje wiem. Miałam okazję już parę razy widzieć, jak za nim tęskni. Zwłaszcza w tym spacerowym powozie Hiram Garrisona, który od tygodnia wozi ją po całej okolicy, na oczach wszystkich. Jeżeli tak wygląda tęsknota, to ja już naprawdę nie wiem, co to słowo znaczy.**

**Kolejny wspólny list od braci przyszedł z nowego miejsca, zwanego Grass Valley, położonego gdzieś głęboko w masywie gór Sierra. Również i tym razem siostry usiadły w salonie i czytały wspólnie – najpierw Katherine przeczytała na głos tę część listu, którą napisał Adrian, a potem Karin zrobiła to samo z częścią napisaną przez Alexa.**

*Grass Valley, 4 sierpnia 1850*

*Droga Karin i Droga Katherine!*

*Urządziliśmy się już na nowym miejscu, chyba lepszy od poprzedniego, i dzięki temu nasze sprawy – odpukać – zaczynają wyglądać bardziej obiecująco. Tym bardziej że nie posługujemy się już tylko kilofem, łopatą i blaszaną miską – zbudowaliśmy specjalną drewnianą rynnę do płukania urobku, co znacznie zwiększa wydajność i oszczędza nam najcięższej pracy. Wydobywamy coraz więcej złotonośnego piasku i żwiru, którego jest tu dużo w szczelin i pęknięciach skał, i szczęście zdaje się nam sprzyjać, bo pierwszego dnia mieliśmy 17 uncji, drugiego 25, a trzeciego już 31. Za uncję płacą teraz szesnaście dolarów, więc jeśli ta dobra passa się utrzyma, możemy być wkrótce bogaci. A są na to szansę, bo urobek zwiększa się powoli, ale stale, co oznacza, że może zbliżamy się do tyły. Na razie jesteśmy tu sami i nikomu nie mówimy o odkrytym przez nas miejscu w nadziei, że przynajmniej na razie nie pojawią się inni. Chociaż prędzej czy później wieść się rozniesie, bo tego nie da się utrzymać w tajemnicy.*

*Pogoda się zmienia i pod namiotem robi się coraz zimniej, powinniśmy więc pomyśleć o zbudowaniu jakiejś porządnej chaty z bali, ale tak mnie, jak i Adrianowi trudno się na razie oderwać od kopania i płukania. Jakoś to wytrzymamy – znacznie bardziej nam doskwiera tęsknota za tym wszystkim, co pozostawiliśmy w domu. Chwilami naprawdę oddalibyśmy wszystko za dobry domowy obiad, za porządne łóżko i możliwość codziennego patrzenia na dwie piękne dziewczyny, od których tak niebacznie odjechaliliśmy.*

*Pozdrowienia dla Katherine,*

*a to co poniżej jest dla Karin.*

Karin zaprzestała czytania na głos, skrzywiła się i bardzo

Pobieżnie przebiegła wzrokiem resztę listu, jakby w ogóle nie miała ochoty

tego czytać. Siostra patrzyła na nią ze zdumieniem. Poirytowana Karin

zaciśnęła wargi; widać było, że postanowiła wziąć się w garść i zapanować nad

sentymentami, których sobie najwyraźniej nie życzyła. Podniosła się z fotela i

wierzchem dłoni otarła ledwie zauważalne łezki, które pojawiły się w kącikach

jej oczu.

Dość tego! – powiedziała stanowczo. Złożyła list i wsunęła z powrotem do

koperty, którą rzuciła na stół jak rzecz uwicie niepotrzebną.

– Nie chcesz zatrzymać tego listu? – spytała Katherine, widząc, że siostra

zmierza w kierunku drzwi.

– Nie!

– I nie odpiszesz mu?

– Nie!

– Ależ, Karin! Jak możesz być tak okrutna?

– Nie jestem wcale okrutna, moja droga siostrzyczko. Jestem po prostu

realistką. – Obróciła się i spojrzała prosto w oczy Katherine. – Gdzie jest

napisane, że nie wolno mi być realistką? Ty kierujesz się przede wszystkim

sercem, ale z tego wcale nie wynika, że ja nie mogę mieć racji, chcąc kierować

się głową. Spróbuj mi podać choćby jeden powód, dla którego powinnam pisać

do Alexa.

– Wystarczającym powodem jest to, że on do ciebie pisze – odezwała się



**niepewnie Katherine.**

**– Wcale go o to nie prosiłam! Co więcej, bardzo wyraźnie mu powiedziałam, żeby tego nie robił. Więc nie dziw się, że wreszcie mam tego dość. To już koniec! – Widząc zaskoczenie malujące się na twarzy siostry, Karin lekko wzruszyła ramionami i dodała. – Wiem, teraz pewnie uważasz, że jestem bez serca, bo nie chcę do niego pisać i spotykam się z innymi mężczyznami. Ale ja po prostu muszę to robić! Muszę myśleć o własnej przyszłości, w której już nie widzę miejsca dla Alexa Mackinnona. Kiedy wyjeżdżał, mówiłam mu, że nie będę na niego czekać.**

**– On tu wróci – nie ustępowała Katherine. – Wiem, że wróci. Pisze przecież, że w nowym miejscu urobek jest znacznie większy i że jeżeli tak dalej**

142

**pójdzie, już w niedługim czasie mogą być bogaci.**

**– „Jeżeli tak dalej pójdzie” i „w niedługim czasie”! – Powtórzyła drwiąco Karin. – Ileż to już razy słyszałam takie zapowiedzi? Alex zawsze wiedział, co ma mi mówić, żeby wierzyła i ciągle czekała. Ale mam już dość czekania! Zebrałam prawie całą sumę potrzebną na wyjazd i już wkrótce wyruszam. Mam własnych wywiadowców, którzy specjalnie dla mnie przeglądają ogłoszenia w najpoczytniejszych gazetach w Dallas, Waco i Houston. Gdy tylko dowiem się o odpowiedniej dla mnie pracy, natychmiast jadę! Nie chcę i nie będę czekać w nieskończoność na kogoś, kto marnuje czas i zdrowie na grzebanie się w kamienistym błocie gdzieś tam w najdzikszych górach Kalifornii. Nawet u nas w mieście ludzie już mają wiadomości stamtąd i opowiadają straszne rzeczy o tym, co się tam naprawdę dzieje. To**

przerażające, co takie życie może zrobić z człowiekiem! Słyszałam o kobiecie z Waco, której mąż pojechał szukać złota, stracił wszystko, co miał, i od tego zwariował. Całymi dniami kołysze się w bujanym fotelu i wciąż mówi sam do siebie.

Karin nerwowo chodziła po pokoju tam i z powrotem. Po chwili znów zaczęła mówić.

– A skąd mam wiedzieć, że oni w ogóle stamtąd wrócą?! Jeżeli myślą, że szybko się wzbogacą, to są po prostu głupi! Słyszałam nie raz i nie dwa o tym, co się tam wyprawia. Wykolejenci ze wszystkich stanów ruszyli ławą właśnie do Kalifornii! Na każdego uczciwego poszukiwacza, kapiącego w nadziei, że znajdzie złoto, przypada co najmniej dwóch obwiesiów i szubrawców najgorszego gatunku, którzy tylko czekają, żeby mu wszystko odebrać i nie cofają się nawet przed zabójstwami. Naprawdę uczciwi ludzie stanowią znikomą mniejszość, zbrodnia i rozlew krwi stały się codziennością, a ci, którym udaje się uniknąć śmierci z rąk opryszków, zapijają się na śmierć albo po prostu umierają z głodu. Nawet ci, którym się powiodło, znikają nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Tak naprawdę największe szansę mają tam mordercy i złodzieje, a nie porządni ludzie! Więc nie dziw się, moja droga siostró, że nie mam już ochoty marnować najlepszych lat mojego życia na niekończące się oczekiwanie na kogoś, kto może w ogóle nie wrócić... albo też wrócić jako wrak człowieka, kaleka lub ktoś niespełna rozumu. Dlatego powtarzam – skończyłam z tym raz zawsze!

– I co teraz zrobisz? – spytała Katherine. To, co usłyszała, po prostu nie mieściło się jej w głowie.

- Będę robić dokładnie to samo, co dotąd. – Karin podeszła do lustra i poprawiła zapięcie nowej eleganckiej sukienki. – Będę zbierać pieniądze na wyjazd i jednocześnie rozglądać się za odpowiednim mężczyzną. Już dawno zapowiadałam, że zamierzam wyjść za mąż tylko za kogoś, kto ma duże pieniądze, i nic się w tym względzie nie zmieniło.
- Teraz niełatwo o bogatych mężczyzn, nawet w wielkich miastach. Zanim zdążą się naprawdę wzbogacić, zazwyczaj są już żonaci. Powinnaś chyba o tym wiedzieć.
- Zawsze się znajdzie paru takich, którzy jeszcze są wolni. Karin wzruszyła ramionami. – A poza tym są jeszcze wdowcy. Katherine spojrzała na siostrę, lekko unosząc brwi.
- Zdecydowałabyś się na kogoś, kto mógłby być twoim ojcem albo nawet i dziadkiem? Na starca, który nie mógłby dać ci dziecka i jest już jedną nogą w grobie? Naprawdę tego chcesz? Aż trudno mi uwierzyć!
- Nie rozumiem dlaczego. – Karin wyduła wargi. – Co mnie obchodzi, ile taki człowiek ma lat i iloma nogami jest już w grobie? To nie ma znaczenia, jeżeli tylko będzie – miał dość sił, żeby wsunąć mi na palec ślubną obrączkę! Tylko to się liczy. A co do dzieci, to wiesz, że ja, w odróżnieniu od ciebie, wcale tak bardzo o nich nie marzę. – Spojrzała na siostrę i nagle uśmiechnęła się do swoich myśli. – Za to będę ulubioną bogatą ciotką twoich dzieci. Będę przyjeżdżała na święta z ogromnym koszem gwiazdkowych prezentów i będę was zapraszać na letnie wakacje do mojej rezydencji gdzieś w Europie.
- I ty mówisz, że jesteś realistką? – Katherine patrzyła na nią, kręcąc

**głową. – Jeżeli to jest realizm, to jak wyglądają uludne marzenia?**

**Karin zacisnęła wargi.**

**– Jeszcze zobaczysz! – powiedziała. – Jeszcze ci pokaże. Pokażę wam wszystkim!**

**Na razie jednak nic się w jej życiu nie zmieniło i Katherine każdego ranka nadal widziała siostrę śpieszącą do pracy – wciąż tej samej i wciąż tak samo źle opłacanej. Praca szwach w małym zakładzie krawieckim, produkującym modną damską odzież, nie wymagała może aż takiej siły fizycznej jak poszukiwanie złota w górach Kalifornii, ale chwilami była równie wyczerpująca. Bo praca szwaczki polega głównie na tym, by zrobić coś z niczego. No – prawie z niczego. A to rzeczywiście wymaga trudu.**

**Po nieznośnie gorącym i suchym lecie, kiedy to upały zniszczyły większość**

**144**

**upraw, nadeszła jeszcze trudniejsza jesień. W domu Simonów po raz pierwszy od wielu lat naprawdę nie było co jeść. Susza sprawiła, że rzeczka zmieniła się w wąziutki strumyczek, a wszystkie ryby, które jakoś ocalały w paru głębszych miejscach przy tamach wybudowanych przez bobry, zostały wylapane do ostatniej sztuki. Trzeba było się pożegnać z nadzieją złowienia czegokolwiek, co nadawałoby się do zjedzenia – nie było co liczyć już nie tylko na suma, ale nawet na najmarniejszego okonia.**

**Tak więc jeszcze na początku jesieni Katherine musiała sprzedać ostatnią świnię, która uchowała się w jej gospodarstwie. Pozostały już tylko nieliczne kury, jedna jedyna krowa i –oczywiście – Clovis. Sad i ogród nie dały owoców i nie było z czego zrobić przetworów. Sprawy wyglądały naprawdę coraz gorzej.**

Fanny Bright, która odwiedziła Katherine przy jakiejś okazji, też nie za bardzo wiedziała, co jej doradzić.

– A gdybyś tak zaczęła robić naleśniki? – powiedziała w końcu – nie umiając wymyślić nic oryginalniejszego. – Krowa jeszcze daje trochę mleka, a kury zawsze zniosą parę jajek, więc jeżeli tylko masz mąkę, rób naleśniki!

– Nic innego nie robię od dwóch tygodni! – jęknęła Katherine. – Ponieważ mąka też mi się kończy, więc robię je coraz cieńsze. Te wczorajsze były już tak cienkie, że miały tylko jedną stronę.

Na początku zimy nieszczęście spadło także i na Fanny.

Niemalże z dnia na dzień zmarł jej mąż, a farmie groziło zajęcie przez bank z powodu niespłaconego hipotecznego kredytu Fanny była wystarczająco bystra, żeby przewidzieć takie właśnie postępowanie banku, dlatego też już w pierwszą noc po pogrzebie (z niemalą pomocą Katherine i, oczywiście, Clovisa) przetransportowała do domostwa Simonów wszystkie domowe zwierzęta i co się tylko dało z wyposażenia farmy, a także całe zapasy produktów i żywności. Najkrócej mówiąc, Fanny i Katherine wywiozły z zagrożonej zajęciem farmy niemal wszystko, co dało się zabrać, i w ogóle wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Utrudziły się przy tym do granic wytrzymałości, jako że ze zrozumiałych względów całą tę operację należało przeprowadzić w ciągu paru godzin, i to pod osłoną ciemności nocy.

Pesymistyczne przewidywania co do hipoteki sprawdziły się w całej rozciągłości, w dwa tygodnie po pogrzebie męża Fanny bank rzeczywiście zajął farmę i nakazał wdowie natychmiastowe opuszczenie domu. Katherine, nie zastanawiając się nawet przez chwilę, zaprosiła eksmitowaną do swego

rodzinnego domostwa, nalegając usilnie, by zamieszkała u nich już na stałe.

Karin nawet nie protestowała, zdając sobie doskonale sprawę, że od dwóch tygodni ma co jeść tylko dzięki spiżarnianym zapasom tak przemyślnie w swoim czasie wywiezionym przez Fanny.

To był jeden z tych paradoksów losu, bo tak naprawdę śmierć męża Fanny i wyrzucenie jej z domu przez bank dla obu siostr Simon okazało się wręcz błogosławieństwem. Jej zapasy pozwoliły im przetrwać bardzo surową zimę, a poza tym już wkrótce okazało się, że żyje im się znacznie łatwiej. Fanny była przyzwyczajona do ciężkiej pracy i od pierwszego dnia przejęła na siebie część codziennych obowiązków, które dotąd spadały tylko na Katherine. Ale jeszcze ważniejsze było to, że jej bezpośredni sposób bycia, wrodzony optymizm i poczucie humoru okazywały się w trudnych chwilach bezcenne – dodawały ducha i pozwalały przetrwać najgorsze.

Gdy w końcu przyszła wiosna, Fanny z całą energią włączała się do najcięższych prac, oporządzała zwierzęta, pomagała w polu i w ogrodzie.

Ramię w ramię z Katherine pracowały niestrudzenie, że uporały się na czas z wszystkimi zasiewami i zasadziły w ogrodzie więcej warzyw niż kiedykolwiek dotąd. Sytuacja wreszcie się poprawiała.

Ale już wkrótce okazało się, że rację miał pastor, który przez przypadek wziął za temat niedzielnego kazania znany wers z Pisma: „Bóg dał. Bóg wziął”.

To kazanie, niestety, okazało się prorocze. Po morderczej letniej suszy, po niespotykaniu surowej zimie, wiosna – choć tak piękna na początku – przyniosła kolejną klęskę. Ciepłe wiosenne deszcze tym razem nie pomogły

roślinom; zmieniły się w katastrofalne ulewy, które sprawiły, że już po tygodniu niewielka miejscowa rzeczka wystąpiła z brzegów i zalała pola, niszcząc wszystkie zasiewy.

Gdy woda w końcu ustąpiła, Katherine, Karin i Fanny zakasały spódnice i brnąc po kolana w błocie, poszły obejrzeć szkody. Nie tylko zasiewy zostały zniszczone, przepadły również zwierzęta. Woda porwała obie krowy, które odnaleziono dopiero po tygodniu. Ich zeszywniałe i wzdęte jak balony ciała leżały w płytkiej wodzie na zakręcie rzeczki, jakiś kilometr od farmy. Krowy dawały dobre i tłuste mleko, więc ich utrata była prawdziwą katastrofą. Mięso nie nadawało się już do zjedzenia, a straty powiększał fakt, że obie padle sztuki były cielne. Woda porwała też kurnik, a choć odnaleziono go później w pobliskich zaroślach w stanie prawie nieuszkodzonym, wszystkie ptaki przepadły. Ogród warzywny został całkowicie zniszczony, a w piwniczce,

146

przeznaczonej do przechowywania żywności, było co najmniej pół metra wody. Niemal całe zapasy nadawały się do wyrzucenia.

Katherine i Fanny w milczeniu przyglądały się poboju. Karin próbowała oczyścić buty z lepkiego błota, ale nie dała rady i szybko zrezygnowała. – Na szczęście wciąż jeszcze mam pracę – powiedziała, uśmiechając się nieco niepewnie. – Do miasta ta wielka woda nie dotarła.

Ale już w następny poniedziałek okazało się, że powódź zabrała jej to miejsce pracy – równie skutecznie, jak przedtem krowy i kurnik. Właścicielka sklepu i szwalni, pani Mary Mahoney, z żalem poinformowała kompletnie zaskoczoną Karin, że zamyka wszystko i przenosi się wraz z mężem do jego

**rodzinnego Kentucky.**

**– Powódź doszczętnie zniszczyła gospodarstwo rolne mojego męża –**

**powiedziała, ocierając łzy. – Musimy wyjechać, bo tu straciliśmy praktycznie wszystko.**

**– Ale przecież wciąż ma pani zakład krawiecki i sklep.**

**– Mam, ale przez powódź straciłam prawie wszystkich klientów. Teraz**

**ludzie po prostu nie mają pieniędzy. Sama wiesz, że i przedtem było nam**

**ciężko, ale teraz jest nieporównanie gorzej. Kto by chciał wydawać pieniądze**

**na nową sukienkę czy kapelusz, jeżeli brakuje na jedzenie? Choć powiem ci,**

**Karin, że naprawdę mi żal, i tego sklepu, i ciebie. Miałas do tego dryg i bardzo**

**dobre pomysły. To dzięki tobie sklep zaczynał prosperować i gdyby nie ta**

**powódź... – Pani Mahoney westchnęła, popatrzyła na swoją pracownicę i**

**zapytała: – Ale powiedz mi, dziecko, co ty teraz poczniesz? Bo o ile wiem,**

**wasza farma też mocno ucierpiała.**

**– Nie mam pojęcia – powiedziała Karin. – Trudno coś postanowić w takiej**

**sytuacji.**

**– Być może byłaby pewna możliwość... Wspominałam ci kiedyś o mojej**

**kuzynce, która mieszka w Waco? Ma na imię Georgia.**

**– Tak, przypominam sobie. Ona tam prowadzi pensjonat, prawda?**

**– Już dziesiąty rok, od czasu, gdy owdowiała. Otóż po wizycie u nas**

**Georgia parę razy mi mówiła, że chciałaby mieć u siebie coś takiego, szwalnię i**

**sklep z modną odzieżą. Ponieważ zdecydowaliśmy wraz z mężem, że**

**definitywnie stąd wyjeżdżamy, zamierzam pojechać do Waco i zaproponować**

**jej przejęcie tego, co i tak musielibyśmy tu zostawić. Przekazałabym jej**



maszyny do szycia, materiały, całe wyposażenie sklepu, za darmo albo za jakąś niewielką sumę, jeśli będzie się upierać, żeby mi zapłacić. W ten sposób sklep

147

funkcjonowałby nadal, ale już w Waco. Jeżeli Georgia zdecyduje się go przejąć, powiem jej o tobie. Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz.

– Jeszcze jak! – wykrzyknęła uradowana Karin. – Byłabym pani niezmiernie wdzięczna i zobowiązana. Pani Mahoney popatrzyła na nią ciepło i położyła rękę na jej dłoni.

– Porozmawiam z nią na pewno, moje dziecko, przynajmniej to mogę dla ciebie zrobić. Byłaś naprawdę dobrą pracownicą.

I dobrą klientką, pomyślała Karin. Wydałam tu całe mnóstwo pieniędzy, a gdybym je oszczędzała, być może to ja odkupiłabym ten sklep, a nie ta kuzynka Georgia. Tyle że to zbyt małe miasteczko, żeby interes rzeczywiście szedł.

Waco to jednak zupełnie co innego!

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej jej się to podobało. Gdyby kuzynka Georgia rzeczywiście odkupiła sklep od pani Mahoney i jeszcze w dodatku zechciała zatrudnić doświadczoną pracownicę... Karin w duchu już zaczęła się modlić, żeby tak się właśnie stało. Bo wtedy miałyby pewną pracę i mieszkanie w pensjonacie pani Georgii – i to nie byle gdzie, a w samym Waco! To było już duże miasto, co niechybnie oznaczało, że muszą tam być mężczyźni. Bogaci mężczyźni!

Myślała o tym przez całą drogę, kiedy wracała do domu. Była tak podekscytowana, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyła pracujących w ogrodzie Katherine i Fanny, które, usmarowane potem prawie po pas,

przekopywały rozmokłe grządki, wydobywając z ziemi resztki zasadzonych tam ziemniaków i warzyw.

– Coś się stało? – spytała Katherine, prostując utrudzone plecy.

Karin spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

– Tyle tylko, że pani Mahoney sprzedaje sklep i wyjeżdża do Kentucky, co oznacza, że straciłam pracę. – Niemal tanecznym krokiem przemknęła między błotnymi kałużami i znikła we wnętrzu domu.

Katherine popatrzyła na nią zdumiona, a Fanny ujęła się pod boki i potrząsnęła głową.

– Ta dziewczyna jest więcej niż dziwna – powiedziała i pochyliła się, żeby wyciągnąć z błota kolejny ocalały ziemniak. – Straciła pracę, a wygląda tak, jak gdyby się cieszyła. Rozumiesz coś z tego?

Dopiero przy kolacji, na którą jadły cienką zupę z wyciągniętych z błota warzyw, Karin wyjaśniła im wszystko.

– Jeżeli to wypali i dostanę tam pracę, to myślę, że mogłybyście tam

148

przyjechać także i wy. Jestem pewna, że w Waco znalazłoby się coś również i dla was.

– Mówisz o tym tak, jak gdyby Waco było jakąś metropolią, pępkiem świata – powiedziała Fanny. – A przecież wcale nie jest.

– Ale to mimo wszystko duże miasto. I lepiej tam pojechać, niż tu przymierać głodem.

– Może i masz rację – przyznała Katherine, spoglądając w swój pusty talerz.

– Więc pojedziesz? – spytała Karin.

– Najpierw musisz dostać tę pracę. Wtedy porozmawiamy.

Karin dostała tę pracę. Pani Mahoney, wracając z Waco, specjalnie wpadła na farmę sióstr Simon, żeby jak najszybciej przekazać pomyślną wiadomość.

Po jej wyjeździe Karin pobiegła do siostry, która szykowała się do wyjazdu w pole i z pomocą Fanny właśnie zaprzęgała Clovisa do wozu. Obie odwróciły się, słysząc kroki.

– Mam pracę! – krzyczała uszczęśliwiona Karin. – Mam tę pracę!

– To świetnie – powiedziała Katherine. – Kiedy zaczynasz?

– Jeszcze w tym tygodniu całe wyposażenie sklepu zostanie przewiezione do Waco. Cały interes przejmuje ta kuzynka pani Mahoney, o której wam już mówiłam. Na razie na sklep i szwalnię? przeznaczy kilka frontowych pokoi swego pensjonatu, a w przyszłości zapewne przeniesie się to do jakiegoś większego budynku—Nowa właścicielka chce, żebym kierowała tym wszystkim. Mam zacząć już w następny poniedziałek. Będę miała procent od sprzedaży, a w pensjonacie darmowy pokój i utrzymanie. – Karin podeszła bliżej, nieufnie spoglądając na Clovisa. – To co, jedziecie ze mną? Katherine i Fanny spojrzwały po sobie.

– Chyba nie – powiedziała w końcu Katherine. – Rozmawialiśmy o tym, ja i Fanny.

– Ja jestem już za stara, żeby zaczynać coś nowego – powiedziała Fanny. –

Umiem tylko pracować na roli i prowadzić dom.

– Można by więc pomyśleć o prowadzeniu kogoś domu właśnie w Waco – zasugerowała Karin.

– Z moim niewyparzonym językiem? – Fanny roześmiała się. – Zmiluj się, dziewczyno, przecież wyrzucono by mnie po tygodniu! Nie mogłabym pracować dla nikogo obcego, bo po prostu za dużo gadam.

149

– No a ty? – spytała Karin, odwracając się do siostry. – Czemu ty nie chcesz wyjechać?

– Nie wiem – odpowiedziała Katherine. – Chyba po prostu wciąż jeszcze nie chcę się poddać.

– Ale czego właściwie chcesz tu bronić? Przecież straciliśmy wszystko.

– Wciąż jeszcze mamy naszą ziemię.

– Naszą ziemię – powtórzyła drwiąco Karin. – Mówisz o niej tak, jakby była częścią rodziny, jakby to było coś żywego, podczas gdy to jest tylko zwykła mieszanina piachu i błota, martwa i pozbawiona czucia. Ja się wręcz cieszę, że już nigdy nie będę musiała na nią patrzeć! Ale dobrze, kochaj tę swoją ziemię.

Zostań tu i nadal się zabijaj pracą ponad siły. Tyle, że już wkrótce wszyscy, którzy tu zostali, będą ostatecznie pokonani. I co wtedy zrobisz?

– Nie wiem – odpowiedziała Katherine. – Nie wiem.

– Głód zabija człowieka. I robi to w sposób wyjątkowo okrutny.

– Może jednak jakoś przeżyję. Bóg wciąż jest nad nami, nawet w najcięższych chwilach.

– Niezbadane są drogi Pana – powiedziała Fanny. – Odbierając coś, zawsze daje nam coś innego. Ot, choćby twój przypadek jest tego najlepszym dowodem. Przecież zupełnie niespodziewanie jedziesz do Waco, o czym zawsze marzyłaś.

– Więc i tu też coś dobrego się zdarzy – rzekła Katherine. – Jestem tego pewna.

– Jeśli tak myślisz, to jesteś jeszcze bardziej szalona niż ja. – Karin westchnęła. – W tej zakazanej dziurze po prostu nie może się wydarzyć nic dobrego. Czeka cię tylko dalsza harówka i coraz większa bieda.

– Być może – przyznała Katherine. – Ale to wciąż jest moja ziemia i zamierzam na niej pozostać. Gdybym ją teraz porzuciła, nie wybaczyłabym sobie tego nigdy.

– W moim przekonaniu robisz wielki błąd. Ale widocznie wszyscy musimy popełniać błędy.

– Więc uważaj, żebyś nie popełniła jakiegoś błędu, kiedy już będziesz tam, gdzie chciałaś być – ostrzegła siostrę Katherine.

– A ty wobec tego nie rób już błędów tutaj.

11

150

Mimo obłądnie wysokich kosztów utrzymania, a już zwłaszcza żywności – najmniejszy stek w tym złotonośnym rejonie Kalifornii kosztował powyżej setki, a jajka były po dziesięć dolarów za tuzin! – po blisko dwóch latach nieustannej harówki bracia Mackinnonowie wreszcie wyszli na prostą. Z kolejnej drewnianej rynny do wypłukiwania urobku wydobywali już tyle złota, że w pewnym momencie nieuchronnie musieli sobie uświadomić, iż tak naprawdę już zrealizowali swój zamiar i stali się nawet bogatsi, niż planowali w najśmielszych marzeniach.

Wśród poszukiwaczy, którym się podobnie powiodło, wielu było takich,

którzy szybko zdobyłą fortunę równie szybko tracili. Alex i Adrian mieli jednak naturę zachowawczą, jak wszyscy Mackinnonowie, toteż coraz bardziej poważnie przemyślali nad wycofaniem się – nawet jeszcze przed całkowitym wyczerpaniem zasobów ich dziatki. Ojciec zawsze im powtarzał, że najważniejsze jest umieć wycofać się w odpowiednim momencie, kiedy się wciąż jeszcze jest na plusie. Taki moment właśnie się zbliżał.

– Wiesz, myślałem sobie... – powiedział któregoś dnia Adrian, odstawiając na bok łopatę, którą wsypywał złotonośny piach i żwir do drewnianej rynny z wodą ze strumienia. – Myślałem bardzo długo...

– Dobry Boże, miej litość nad nami! – Alex westchnął. – Tylko tego nam brakowało!

Uchwycił mocniej łopatę i zaczął wrzucać urobek do rynny jeszcze szybciej niż dotąd.

– Mówię poważnie – nie ustępował Adrian. – Naprawdę mam parę pomysłów, nad którymi warto się zastanowić.

– Jak dotąd te twoje zwariowane pomysły wpakowały nas w sam środek meksykańskiej wojny, potem kolejny dziki pomysł kazał nam się wlec przez pół kontynentu i przymierać głodem, piec się w skwarze pustyni i w końcu marznąć w płóciennym namiocie w najzimniejszej górskiej dolinie, jaką można znaleźć w cieplej podobno Kalifornii! Dlatego proszę Boga, by zechciał mi już oszczędzić dalszych pomysłów mego brata, zwłaszcza takich, które wysyłają nas coraz dalej. Boja tęsknię za domem. Tęsknię od pierwszej chwili, gdy się tu znalazłem, i w pełni już dojrzałem do myśli o powrocie. Jesteśmy tu prawie dwa lata! Dwa lata z kilofem i łopatą w ręku to naprawdę dość,

**zwłaszcza kiedy udało się odłożyć całkiem okrągłą sumę w banku w**

**Sacramento.**

151

**– Nie zapominaj jednak, że to właśnie mój dziki pomysł dał nam tę fortunę.**

**– Nie zapominam. Chcę tylko podkreślić, że ja nie mam w sobie duszy wiecznego wędrownika.**

**– A ja chyba mam – powiedział Adrian.**

**– Wiem o tym aż za dobrze. – Alex dźwignął wypełnioną po brzegi łopatę i z rozmachem wrzucił jej zawartość do rynny. – Każdy z nas jest, jaki jest, i nic na to nie możemy poradzić.**

**– To prawda. Ale wiesz co, bracie?**

**– No?**

**– Co byś powiedział, gdybym przedstawił ci teraz pomysł, który... – Adrian znacząco zawiesił głos.**

**– Który co?**

**– ...który pozwoliłby nam podwoić, a może nawet i potroić, tę sumę, którą mamy w banku. Czy w takim przypadku nadal chciałbyś natychmiast wracać do domu?**

**– Ale co to znów za pomysł? Chcesz obrabować bank?!**

**– Przestań, Alex, pytam cię jak najbardziej serio. Co byś odpowiedział na taką propozycję?**

**– No dobrze, niech będzie serio. – Alex westchnął i odstawił łopatę. Zdjął kapelusz, otarł czoło wierzchem dłoni i ponownie spojrział na brata. – Jeśli to**

wyglądałoby realnie, to musiałbym być szalony, gdybym w ogóle nie chciał tego rozważyć. Ale zanim do tego dojdziemy, chcę ci zawczasu powiedzieć, że tak czy inaczej nie zamierzam spędzić tu całego życia. Naszym domem jest Teksas, bo tam się urodziłem i farmerstwo mamy po prostu we krwi, zupełnie tak samo jak nasz ojciec.

– Ale on miał w swojej krwi także coś z wędrownika –zaoponował Adrian.

– To po nim mam te ciągoty do wyjazdów, to przecież on opuścił Szkocję i osiedlił się w Teksasie.

– Wiem o tym i pewnie także i z tego powodu, nawet pokpiwając sobie z twoich ciągot wiecznego wędrowca, zazwyczaj godziłem się na twoje propozycje. Ale człowiek dorasta i jego nastawienie się zmienia. Teraz wyraźnie czuję, że chciałbym osiąść już na stałe, zapuścić korzenie. Kiedyś nie mieliśmy wyboru, teraz jest zupełnie inaczej. Mamy pieniądze, i to duże.

Powiedziałbym więc, że nawet jak na nieodrodnym synów rodu Mackinnonów włóczyliśmy się po świecie już wystarczająco długo. Teraz pora to zmienić. Nie

152

wiem jak ty, ale ja już chyba dorosłem do tego, żeby mieć prawdziwy dom... i rodzinę.

– I rodzinę, oczywiście – powiedział Adrian, nie mrugnawszy nawet okiem.

– No właśnie. A żeby mieć prawdziwy dom i rodzinę, trzeba skończyć z tym wałęsaniem się po świecie i raz wreszcie na coś się zdecydować. Bo inaczej będzie tak jak z tym osłem, któremu w jednym żłobie dano owies, a w drugim siano.



– Rozumiem, że osioł nie umiał się zdecydować, co ma Wybrać, i w końcu

padł z głodu?

– Właśnie. Więc pamiętaj, że nie mam ochoty być takim osiem.

Adrian roześmiał się.

– Może bardziej go przypominasz, niż ci się zdaje – powiełał. – Ale teraz porozmawiajmy już poważnie. Posłuchaj, co mam ci do zaproponowania, a być może zmienisz zdanie i nie będziesz się upierał, że powinniśmy jak najszybciej wracać do domu.

Alex podniósł głowę i spojrzał na ciemniejące niebo.

– Tak czy inaczej pora już kończyć na dzisiaj pracę. Może więc pojechalibyśmy do Grass Valley na porządny obiad z krwistym stekiem? Tam mógłbyś mi wszystko opowiedzieć.

– Do Grass Valley? – powtórzył zaskoczony Adrian. – Czyś ty przypadkiem nie oszalał? Zapomniałeś już, ile tam kosztuje taki obiad?!

– Nie zapomniałem, ale raz możemy sobie na to pozwolić. Skoro chcesz rozmawiać poważnie i w dodatku chcesz mi przedstawić pomysł, który ma zasadniczo zmienić moje zamiary na przyszłość, to jest dla mnie oczywiste, że do takiej rozmowy muszę mieć jak najwięcej sił. Sam więc widzisz, że muszę się porządnie najeść.

Obiad na dwie osoby kosztował ich ponad dwieście dolarów, co jednak było nic nie znaczącym drobiazgiem w porównaniu z sumami, o które chodziło w przedstawionym przez Adriana planie zainwestowania dotychczas osiągniętych zysków. Pomysł, który przedstawiał bratu przez blisko pół godziny, najogólniej biorąc, sprowadzał się do propozycji zakupu sporych

terenów w Kalifornii.

– Kupować ziemię w Kalifornii?! – Alex był wprost zaszokowany. – Drogi

Adrianie, czy ty przypadkiem nie zapomniałeś, z kim rozmawiasz? Ja jestem farmerem, chłopakiem z Teksasu. Jeśli mam uprawiać ziemię, to tylko tam. Bo

153

co można siać w Kalifornii? Złoty piasek, żeby z niego wyrosły samorodki?!

– Przestań dowcipkować i posłuchaj mnie do końca. Wcale nie proponuję zakupu terenów rolnych. Chcę, żebyśmy kupili lasy.

– Lasy?! – powtórzył Alex. – Jeszcze lepiej!

– Pewnie, że lepiej. Najkrócej mówiąc, rzecz wygląda tak: odkrycie złota przyciągnęło i nadal przyciąga do Kalifornii ogromne rzesze ludzi, którzy wciąż tu przyjeżdżają w nadziei na szybkie wzbogacenie się. Nie jest dla nas ważne, na ile te nadzieje są uzasadnione. Ważne jest co innego: ci ludzie muszą gdzieś mieszkać, potrzebują domów, a domy buduje się przed wszystkim z drewna. Drewno pozyskuje się z lasów, a północne Kalifornia ma wspaniałe lasy, położone stosunkowo blisko potencjalnych odbiorców. Dlatego zakupienie przez nas tych leśnych terenów wydaje mi się doskonałą inwestycją.

– Ścinka i obróbka drewna? – Alexowi nagle zaschło w gardle, jego głos stał się ochryply. – I to my mielibyśmy władować nasze pieniądze w taki interes? My obaj?! Musielibyśmy chyba zgłupieć, nie! Musielibyśmy chyba zupełnie oszaleć, pakując się w coś, o czym przecież nie mamy najmniejszego pojęcia!

– Zdarzało nam się robić jeszcze bardziej szalone rzeczy – przypomniał mu

**Adrian.**

**– I bardzo niewiele brakowało, żebyśmy nie wyszli z tego żywi.**

**– Tu nie ryzykowalibyśmy własnego życia.**

**– Ale pieniądze, na które tak ciężko harowaliśmy. To szaleństwo  
ryzykować w ten sposób.**

**– Dlaczego zaraz szaleństwo? – spytał Adrian. – Co jest takiego szalonego  
w pomysle, żeby zająć się przemysłem, który ma ogromne perspektywy? Kupić  
las, wybudować tartaki i w krótkim czasie podwoić albo nawet potroić  
zainwestowane sumy?**

**– Uważam, że to szalony pomysł, choćby dlatego, że żaden z nas nie ma  
pojęcia o ścinaniu i obróbce drewna – powiedział Alex. – Jak ty to sobie  
wyobrażasz?**

**– O kopaniu złota w górach też nie mieliśmy najmniejszego pojęcia –  
odparował Adrian. – No i co?**

**– To zupełnie co innego.**

**– Oczywiście, że zupełnie co innego. Ścinanie i obróbka drewna jest  
łatwiejsza. Dużo łatwiejsza od wszystkiego, co dotąd robiliśmy.**

154

**– Zaczynam żałować, że wydaliśmy aż tyle pieniędzy na te steki – rzekł  
Alex. – Bo nie wiem, czy nas jeszcze na to stać. No dobrze, mów dalej, jak to  
sobie wyobrażasz.**

**– Nie muszę sobie wyobrażać. Posłuchaj, Alex, zdaj sobie sprawę, że mamy  
już pieniądze, że jesteśmy ludźmi bogatymi. tac więc nas na to, żeby wynająć  
najlepszych fachowców od zwózki i obróbki drewna, którzy pomogą nam**

wystartować wybudować pierwszy tartak. A potem już będzie coraz łatwiej.

Alex zamyślił się. Nie był jeszcze do końca przekonany, ale zaczął się poważnie zastanawiać.

– A co będzie, jeżeli ci powiem, że jednak nie chcę w to wchodzić?

– Odpowiem ci na to, że po prostu cię potrzebuję. Bardziej niż kiedykolwiek. Potrzebuję twego rozsądku i zrównoważenia, twojej zawsze pewnej ręki na kole sterowym, zwłaszcza w momentach gdy, mówiąc w przenośni, zdarzy mi się nabrać zbyt wiele wiatru w żagle.

Alex uśmiechnął się lekko.

– Czyżbyś w końcu miał przyznać, że bywasz nieco zbyt impulsywny i że chwilami dajesz się ponieść emocjom?

– Bywam i daję się ponieść i właśnie dlatego cię potrzebuję. Ale oddawszy twoim zaletom, co należy, informuję cię jednocześnie, że ja w ten interes z kupnem lasów zamierzam wejść tak czy inaczej. Tak więc, jeśli nie będziesz tym zainteresowany, będziemy musieli podzielić pieniądze i ruszyć każdy w swoją stronę.

– Ale właściwie dlaczego? Przecież przyjechaliśmy tu w określonym celu i na dobrą sprawę już go osiągnęliśmy. Mamy nawet więcej, niż się spodziewaliśmy, prawie o sto pięćdziesiąt tysięcy więcej. Starczy nam już na wszystko, braciszku, nawet na najdroższą płatną miłość, gdybyśmy jej potrzebowali.

– Wiem, ile mamy pieniędzy – powiedział Adrian. – Ty możesz uważać, że to nam już wystarczy, ale ja jestem innego zdania. To rzeczywiście wystarczy na odbudowę naszej starej farmy, na wyprowadzenie gospodarstwa na prostą,

na dokupienie jeszcze kawałka ziemi, ale czy tylko o to chodzi? Nikt nie wzbogaci się, uprawiając ziemię na takiej małej farmie, wiesz to równie dobrze, jak ja. W najlepszym razie można na niej żyć w miarę dostatnio, nic ponadto. – Adrian pochylił się nad stołem i patrzył bratu prosto w oczy. – Ale żeby mieć już nie farmę, ale prawdziwą ziemską posiadłość, a wiem, że o czymś takim tak naprawdę marzysz w głębi duszy, trzeba już nieporównanie więcej

155

pieniędzy. Wtedy trzeba postawić nowy wielki dom, dokupić ziemię, nie jakieś tam hektary, ale setki hektarów! Kupno stada rasowego bydła, cały sprzęt gospodarski, wyposażenie. A to wszystko kosztuje. I dlatego, uwierz mi, bracie, powinniśmy razem wejść w ten interes, który może nam dać potrzebne na to wszystko pieniądze. Bo nasze życiowe cele wcale się tak bardzo nie różnią. Ja też chciałbym zacząć zupełnie nowe życie, mieć wreszcie poczucie bezpieczeństwa, zbudować coś nie tylko dla siebie, ale i dla moich przyszłych dzieci, żeby, wchodząc w dorosłe życie, nie były tak rozpaczliwie biedne jak my.

Jego słowa były przekonujące, a zapał rzeczywiście zaraźliwy, ponieważ przedstawiając tę wizję, Adrian mówił bardzo szczerze. Oczyma duszy już widział ich nowe przedsiębiorstwo, prawdziwe imperium kalifornijskiego drewna – potężne i zyskowne na tyle, że pozwoliłoby w krótkim czasie na zrobienie tego, o czym marzył. Na wybudowanie wspaniałej wiejskiej rezydencji i wyposażenie jej – bez liczenia się z kosztami! – we wszystko, co współczesny świat miał do zaoferowania. Adrian miał nadzieję, że kiedy już tego dokona, któregoś dnia powie Katherine Simon, że to wszystko zostało

zbudowane właśnie dla niej.

Alex patrzył na brata i milczał przez dłuższą chwilę. Zamyślił się tak bardzo, że zapomniał o dokończeniu steku. Decyzja była trudna, tyleż samo argumentów przemawiało za, co i przeciw.

– W porządku! – powiedział w końcu. – Pewnie straciłem rozum, ale postawię ci już tylko jedno pytanie.

– Jakie?

– Kiedy zamieniamy kilofy i łopaty na siekiery i piły? Adrian roześmiał się i uścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń brata.

– Co spowodowało, że ostatecznie się zgodziłeś?

– Konieczność – odpowiedział Alex.

– Konieczność? Jaka konieczność?

– Już my obaj wiemy jaka. – Alex popatrzył na niego z lekkim uśmiechem.

Adrian też się uśmiechnął.

– Nie będziesz tego żałował – zapewnił i poklepał go po ramieniu.

– Już żałuję. Mój kosztowny stek wystygł bardziej niż małżeńskie łóżko wdowy.

– Już wkrótce będziesz mógł zjadać nawet trzy takie steki dziennie, jeżeli tylko będziesz miał na to ochotę. Obiecuję ci to.

156

– Oto odpowiedź, której mogłem się spodziewać. Jak to mówi pewna mądra księga, niech głupiec słyszy od ciebie odpowiedź na miarę swej głupoty.

– Pocieszę cię więc, że nawet jeśli miałbyś okazać się głupcem, to jednak takim, któremu się powiodło – powiedział Adrian, ucinając dalsze

**przekomarzania.**

**Alex przypomniał sobie te słowa brata w parę miesięcy później, gdy klnąc pod nosem klęczał w strugach ulewnego deszczu na niewielkiej leśnej polanie, bezskutecznie usiłując rozpalić ognisko za pomocą wilgotnych cedrowych wiórów. Wcale nie miał poczucia, że mu się powiodło, przeciwnie – coraz częściej przychodziło mu do głowy, że być może naprawdę okazał się skończonym głupcem. Po co pakował się w to wszystko? W tym lesie życie było jeszcze trudniejsze niż w górach. Nadal mieszkali w namiocie, posługiwali się bardzo prymitywnym sprzętem i nawet najcięższe prace musieli wykonywać sami. Raczej mamy początek jak na ambitnych inwestorów, którzy chcieli zdominować miejscowy rynek ścinki i obróbki drewna.**

**Jednak zaledwie miesiąc później sprawy wyglądały już znacznie lepiej. Do małego leśnego obozu na północnym brzegu Zatoki Humboldta dotarł wreszcie długo oczekiwany statek z profesjonalnym sprzętem i ludźmi. Były to dwie pełne brygady drwali, którymi dowodził niejaki John Polly, znany w swym środowisku jako Duży John. Towarzyszyła mu żona, która wraz z azjatyckim kucharzem miała zajmować się wyżywieniem całej ekipy.**

**Skośnooki kucharz, który przyjechał do Kalifornii aż z Chin, był – mimo egzotycznego pochodzenia – dość typową ofiarą gorączki złota. Gdy mu się nie powiodło i głód w końcu zajrzał mu w oczy, porzucił namiot poszukiwacza i zaproszony przez Dużego Johna – z radością wrócił do swego zawodu, podejmując się prowadzenia kuchni dla zespołu drwali.**

**John Polly w pełni zasługiwał na swój przydomek Duży – było to wielkie chłopisko o potężnych ramionach, szerokiej klatce piersiowej i niedźwiedzim**

karku. Wśród drwali cieszył się ogromnym autorytetem, a zawodu uczył się w swym rodzinnym stanie Maine, słynnym właśnie z lasów i tartaków. Miał spokojną pewność siebie doświadczonego fachowca, a jego ogromna postać już z daleka rzucała się w oczy. Ale chyba jeszcze bardziej rzucała się w oczy sylwetka jego żony Molly, która wzrostem niemal dorównywała mężowi, a w dodatku była od niego tęższa.

– O Boże drogi! – wykrzyknął Alex, gdy po raz pierwszy zobaczył ją

157

schodzącą z trapu statku. – Popatrz no tylko, Adrianie. Mężczyzna w spódnicy, słowo daję!

Stojący obok Duży John Polly roześmiał się i powiedział:

– Spódnica się zgadza, ale to nie jest mężczyzna. To moja żona. Prawdziwa leśna nimfa, tylko może trochę większa od innych.

Mówił to chyba zupełnie szczerze, i choć Alexowi przypominała ona raczej jakiś olbrzymi i tylko z grubsza obrobiony kłoc, trudno było mężowi odmówić prawa do widzenia w żonie tego, co chciał w niej zobaczyć. Zresztą poza urodą ponad–stukilogramowego ciała miała ona, jak się wkrótce okazało, szereg innych nietuzinkowych zalet – paliła cygara, potrafiła pić jak smok i bluzgać prawdziwie efektownymi przekleństwami. dzięki tym umiejętnościom rządziła niepodzielnie w całym obozie, a już w szczególności w ogromnym kuchennym namiocie, gdzie trzymała w ryzach wszystkich – z wyjątkiem chińskiego kucharza. Ten, choć nieporównanie od niej drobniejszy, nie tylko ważył się nieraz upierać przy swoim, ale nawet wdawał się z nią długie dysputy, kończące się zwykle tym, że Molly rzucała w niego kawałkami porąbanych



**smolnych korzeni, służących za podpałkę.**

**Dostarczony**

**wreszcie**

**profesjonalny**

**sprzęt**

**i**

**przyjazd**

**ekipy**

**doświadczonych drwali pod kierownictwem Dużego Johna sprawiły, że praca na wyrębie ruszyła z kopyta. Najtrudniejszy był pierwszy okres, kiedy stawiano główny budynek tartaku i instalowano maszyny. Po miesiącu większość urzędzeń pracowała już pełną parą.**

**Kupno**

**lasów**

**okazało**

**się**

**doskonałym**

**interesem.**

**Zgodnie z**

**przewidywaniami Adriana, zapotrzebowanie na drewno budowlane stale rosło i inwestycja niemal od samego początku przynosiła zyski. Wzrost dochodów pozwalał na spokojniejsze patrzenie w przyszłość i planowanie dalszych posunięć. Status właścicieli prosperującego przedsiębiorstwa nakazywał też zasadniczą zmianę trybu życia – po przeszło dwóch latach nieustannej ciężkiej**

harówki bracia Mackinnonowie nie musieli już pracować fizycznie. W gruncie rzeczy nawet nie wypadło im tego robić.

Mieli za to więcej czasu na myślenie, co obok oczywistych korzyści przynosiło także i pewne mniej pożądane skutki. Bracia częściej się ze sobą spierali, częściej też dochodziło między nimi do konfliktów. Spory dotyczyły przyszłych interesów, a nierzadko także i sfery życia osobistego.

Alex coraz częściej wspominał piękną Karin i w rozmowach z bratem stale wracał do myśli o prawdziwym domu i ustatkowaniu się poprzez małżeństwo.

158

Adrian patrzył na to bardziej sceptycznie.

– Nie sądzisz, że to cokolwiek przedwczesne? – pytał. – Nasz dom jest mały i bardzo skromny. Czy naprawdę myślisz, że taka kobieta jak ona zdecydowałaby się w czymś takim zamieszkać i nie czułaby się rozczarowana?

– Jestem pewny, że zamieszkałaby w nim z prawdziwą radością.

– No nie wiem. – Adrian nadal patrzył na to z rezerwą. – Moim zdaniem, decydujesz się trochę za pochopnie.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz. Ja w każdym razie już dojrzałem do tego, żeby ściągnąć tu Karin i nie zamierzam z ty zwlekać zbyt długo.

– Ale i nie śpiesz się za bardzo. Co nagle, to po diable.

–Do diabła z takimi radami! – Alex był już naprawdę zły.

Coraz ostrzej spierali się też o to, czy należy poszerzać inwestycję.

Pojawiła się bowiem okazja kupienia po atrakcyjnej cenie dużych terenów leśnych na pomocy, w pobliżu granicy z Kanadą. Adrian zdecydowanie optował za szybkim zawarciem transakcji.

- To świetne miejsce, doskonale usytuowane, wprost idealne do postawienia kolejnego tartaku. Jestem za tym, żeby skorzystać z okazji.
- Zgadzam się, że miejsce jest dobre, a cena niewygórowana. Ale nie powinniśmy zaczynać nowej inwestycji, dopóki nie skończymy tej budowy i nie uruchomimy wszystkich maszyn. Jest jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o ekspansji.
- Jeżeli będziemy z tym zwlekać, okazja może nam przejść koło nosa. Z tego, co wiem, różni ludzie już zaczynają się tam kręcić. Mogą nas uprzedzić, dlatego powinniśmy się szybko decydować.
- A ja powtarzam, że powinniśmy jeszcze poczekać.
- Bo co? Bo wolisz myśleć o Karin niż o pieniądzach?
- Nie mieszaj spraw prywatnych z interesami. – Alex był coraz bardziej zły. – Bo znów się pobijemy.
- Więc to niby ja mieszam te sprawy?! – odpowiadał oburzony Adrian. – A

bilem się z tobą wystarczająco często, żebyś to ty raczej się bał.

Takie spory między nimi toczyły się już niemal codziennie, aż w końcu któregoś dnia Duży John Polly nie wytrzymał i zasugerował im, żeby – zamiast nieustannie się kłócić – żalowali się wreszcie jak ludzie cywilizowani. W jego rozumieniu oznaczało to, że Alex i Adrian powinni usiąść przy stole nad paroma szklaneczkami czegoś mocniejszego i w ten sposób wyjaśnić wszystkie nieporozumienia.

Myśli była w zasadzie zdrowa, ale rezultat okazał się inny, niż oczekiwali.

Im więcej szklaneczek czegoś mocniejszego – w tym wypadku whisky – wlewali

w siebie bracia, tym trudniej im było uzgodnić zasadniczy temat sporu.

Prawdę mówiąc, nie byli w stanie nawet ustalić, czy bardziej różni ich stosunek do ewentualnego małżeństwa Alexa i Karin, czy też raczej odmienny pogląd na sprawę rozszerzenia inwestycji. Nie było natomiast sporu co do tego, że obaj naprawdę mają ochotę się pobić zupełnie tak jak za dawnych lat.

Skończyło się tak, jak musiało się skończyć – po kolejnych szklaneczkach doszło do wymiany ciosów i w końcu do zażartej bójki, w której nie szczędzono najcięższych uderzeń. Już po paru minutach obaj przeciwnicy byli mocno posiniaczeni i pokrwawieni i jeżeli się ostatecznie nie pozabijali, to zapewne głównie dlatego, że byli już zbyt pijani, żeby móc się wystarczająco długo utrzymywać na nogach. W ostatecznym zakończeniu bójki dopomogła Molly, która jednego i drugiego – dla ich własnego dobra! – walnęła w końcu po głowie odpowiednio grubym kawałkiem smolnego korzenia. Kompletnie zaskoczeni bracia zostali znokautowani i nie byli w stanie się podnieść przez dobrych kilka minut. O kontynuowaniu walki nie mogło już być mowy.

– Dlaczego ta... ta leśna nimfa... tak nas uderzyła. – spytał Alex, daremnie usiłując przynajmniej usiąść.

– Nie wiem – odpowiedział Adrian, który nadal pozostawał w pozycji horyzontalnej. – Może... może dlatego, że byliśmy trochę pijani?

Ta niesprawiedliwa ocena bardzo oburzyła Alexa.

– Kto był pijany?! – wykrzyknął. – Może ona, ale na pewno nie my. –

Heroicznym wysiłkiem woli przewyciężył niezrozumiałą słabość nóg, a w pewnym stopniu także i siłę ziemskiego przyciągania. Podniósł się bardzo powoli, zabrał niedopitą butelkę whisky i ruszył przed siebie.

– Możesz mi przynajmniej powiedzieć, dokąd idziesz?! – zawołał za nim

Adrian.

Alex nie potrafiłby już się zatrzymać czy choćby odwrócić. ale

odpowiedział bardzo uprzejmie:

– Skończyliśmy rozmowę, więc teraz idę się upić! Z pewnym trudem dotarł

do własnego pokoju. Osunął się na stojący przed biurkiem fotel i podniósł

butelkę do ust. Potem zrobił to jeszcze parę razy, a kiedy wypił wszystko aż do

dna, nie czuł już bólu. Prawdę mówiąc, nie czuł prawie nic.

Siedział wsparty na łokciach i myślał o Karin. Stała mu przed oczami

scena sprzed lat, kiedy to podglądał ją kąpiącą się nago w rzece. Nigdy w życiu

160

nie widział niczego równie pięknego.

Z nadludzkim wysiłkiem sięgnął po papier, kałamarz i pióro. Był

krańcowo pijany, ale to, co zamierzał zrobić, nie mogło czekać.

Pisanie przychodziło mu z niewyobrażalnym trudem, zaczynał kilka razy i

po paru zdaniach gniewnie rzucał kolejną zmiętą kartkę pod biurko. Każda

następna była krótsza co najmniej o połowę, aż w końcu na papierze pozostało

tylko parę linijek. Alex z pewnym trudem ogarniał to, co napisał, ale jedno

wiedział na pewno – że to jest najważniejszy list w jego życiu.

*Nie potrafię już dłużej czekać, chcę, żebyśmy się pobrali. Już teraz, jak*

*najszybciej. Wysyłam pieniądze na przejazd do San Francisco i tam będę na*

*Ciebie czekał. Bardzo Cię proszę, nie spraw mi zawodu.*

*Mam poczucie, że wreszcie odzyskałem rozum.*

*Alex*

Przeczytał to jeszcze raz i wtedy uświadomił sobie, że na samym początku listu brakuje bardzo ważnej, tytułowej linijki. W ogromnym skupieniu i bardzo starannie zaczął ją dopisywać, słowo po słowie.

*Moja... Najdroższa...*

Wiedział na pewno, że najważniejsze jest, aby litery stawiać równo i prosto.

12

Nowa mleczna krowa, niedawno kupiona za pieniądze Fanny, okazała się całkiem udanym nabytkiem, ale miała swoje narowy. Tego dnia, na przykład, w ciągu paru minut już trzeci raz kopnęła skopek.

– Spróbuj to zrobić jeszcze raz, a zawiążę ci ogon na supel! – krzyknęła na nią Katherine, odsuwając naczynie z mlekiem i dając krowie tęgiego klapsa.

Groźba poskutkowała, bo prawdziwie żelazna wola człowieka – w tym przypadku wola Katherine – nieuchronnie musiała wziąć górę nad fanaberiami zwierzęcia. Uderzona po zadzie krowa uspokoiła się i operacja dojenia zakończyła się już bez przeszkód.

Dziewczyna z pełnym skopkiem wróciła do kuchni, gdzie Fanny Bright z

161

igłą w ręku już od dobrego kwadransa trudziła się nad reperacją mocno poszarpanego ronda świątecznego słomkowego kapelusza, w którym co niedziela chodziła do kościoła. Sprawcą szkody był – jakżeby inaczej! – znów Clovis, który ostatniej niedzieli wykorzystał krótki moment, kiedy po mszy Fanny nieco się zagadała ze znajomymi paniami z sąsiedztwa i na krótką chwilę odwróciła się plecami, przez co jej kapelusz znalazł się tuż pod nosem

wiecznie głodnego osła, delikatna słomka, z której wykonane było to wytworne nakrycie głowy, musiała się wydać Clovisowi szczególnie apetyczna. Tylko dzięki błyskawicznej reakcji sąsiadek właścicielka w ostatniej chwili wyrwała kapelusz z zębów muła, ale rondo było już nadgryzione.

Teraz Fanny bardzo starannie i systematycznie naprawiała szkodę, powoli i cierpliwie przyszywając słomkę do słomki. Wyglądało na to, że kapelusz da się uratować.

Katherine patrzyła na nią z sympatią i wzruszeniem. Kochana Fanny!

Gdyby nie ona, gdyby nie jej pomoc, siostry Simon mogłyby po prostu nie przeżyć ostatniej trudnej zimy i jeszcze trudniejszej wiosny. Ogromnie wiele zawdzięczały tej dzielnej kobiecie; to dzięki niej miały co jeść, z jej pomocą obsiały na nowo pola i zrekultywowały zniszczony ogród. W najcięższych chwilach Fanny niejednokrotnie dodawała im ducha, pocieszała je, powtarzając słowa Biblii, że niezbadane są drogi Pana.

Te drogi rzeczywiście okazały się niezbadane, czego najlepszym dowodem stała się zupełnie niespodziewana wizyta urzędnika bankowego, który mniej więcej przed miesiącem pojawił się w domu sióstr Simon z czekiem opiewającym na sporą sumę, a wystawionym na nazwisko pani Bright.

– To ja – powiedziała Fanny. – A o co właściwie chodzi?

Urzędnik wręczył jej czek.

– Pan Benjamin Witherspoon właśnie kupił od nas wasz dawny dom wraz z całym gospodarstwem. Zapłacił więcej, niż

Unosił niespłacony przez was kredyt, tak więc nadwyżka należy do pani.

Zechce pani to podpisać. Fanny z wrażenia aż złapała się za głowę. – A niech

mnie! – wykrzyknęła oszołomiona. – Czegoś takiego jeszcze ludzkie oczy nie widziały! Z miejsca zaproponowała, żeby zwrócone przez bank pieniądze Poznaczyć w całości na likwidację największych szkód, poczynionych przez ulewy i powódź – przede wszystkim na zakup najpotrzebniejszych zwierząt i domowego ptactwa oraz na ponowne obsianie zalanych wiosną pól. Katherine i Karin początkowo się opierały, uważając za niestosowne przyjmowanie

162

pieniędzy od osoby, która sama znajdowała się w niezmiernie trudnej sytuacji. Fanny jednak w ogóle nie chciała słuchać ich argumentów i w końcu postawiła na swoim.

– Przyjęłyście mnie pod swój dach, kiedy nie miałam dokąd pójść – powiedziała. – To jest wystarczający powód. A poza tym podoba mi się u was, czuję się tu jak w domu. Wreszcie mam z kim pogadać. – Popatrzyła na Katherine i roześmiała się. – Kiedyś musiałam tu stale biegać, żeby zamienić parę słów. Teraz już nie muszę.

Tak więc zły los się odwrócił, sytuacja znacznie się poprawiła. Oczywiście, nie można było powiedzieć, że siostry Simon stały się bogate, do tego było im wciąż bardzo daleko, ale przynajmniej nie cierpiały niedostatku. A wszystko za sprawą Fanny.

Kochana Fanny! – powtórzyła w myśli Katherine, patrząc na jej zmagania z nadgryzionym przez Clovisa rondem kapelusza.

Usiadła przy starszej przyjaciółce i delikatnie położyła rękę na jej dłoni.

– Przepraszam cię za tego naszego muła – powiedziała. – Czasami myślę, że może byłoby lepiej, gdybyśmy go sprzedały. Stale są z nim kłopoty, a teraz



jeszcze zniszczył ci kapelusz.

Fanny spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

– Clovis jest dla nas znacznie ważniejszy od jakiegoś tam głupiego

kapelusza – oświadczyła. – Zresztą już to prawie naprawiłam. Aha, że bym nie zapomniała, przyszedł list, leży na kominku.

– List?! – powtórzyła uradowana Katherine. – Z Kalifornu?

– Przypuszczam, że tak. – Fanny lekko się uśmiechnęła. – O ile mi wiadomo, dostajecie listy tylko z Kalifornii.

Katherine pędem pobiegła do salonu i zobaczyła kopertę opartą o stojący na kominku zegar. Od razu rozpoznała charakter pisma Alexa. I sposób adresowania.

*Miss K. Simon, Groesbeck–Limestone, Teksas.*

Alex zawsze tak właśnie adresował wysyłane przez się listy. Bez pełnego imienia, najpewniej dlatego, że na początku pisał do obu sióstr, dołączając na końcu bardziej osobistą część przeznaczoną już tylko dla Karin. Te dołączane notki, początkowo dość obszerne, z czasem stawały się coraz mniejsze i mniejsze, czemu trudno było się dziwić, zważywszy na to, że Karin nigdy mu

163

nie odpisała. Alex oczywiście od razu to zauważył i w kolejnych listach parokrotnie prosił Katherine, by porozmawiała z siostrą i nakłoniła ją do skreślenia choćby kilku słów. Potem najwyraźniej stracił już nadzieję, że Karin kiedykolwiek do niego napisze, choć sam na końcu każdego listu nadal dołączał dla niej przynajmniej kilka bardzo osobistych zdań.

Gdy Katherine mówiła o tym siostrze i pokazywała jej odpowiednie

**fragmenty listu, Karin tylko wzruszała ramionami i powtarzała wciąż to samo:**

**– Alex i ja to sprawa już skończona. Jeżeli chcesz, sama do niego pisz, na mnie nie licz.**

**Katherine pisała więc sama. Pisała częściej niż on, nieraz na jeden list**

**Alexa odpowiadała dwoma lub trzema. Dzięki temu miała poczucie, że trwa w jego pamięci, a może nawet zaczyna znaczyć więcej niż dotąd.**

**Dowodem na to mógł być chociażby ten fragment jego ostatniego listu, w którym napisał: *...powiem Ci też. Droga Katherine, ta kraina jest zupełnie niezwykła. Chciałbym, żebyś kiedyś mogła ją zobaczyć. Jestem pewien, że bardzo by Ci się spodoba – tak jak spodobała się mnie...***

**Katherine była pewna, że jej też by się spodobała.**

**Ten list nosiła przy sobie przez wiele dni, czytając go wciąż na nowo i wyciągając z tych paru zdań coraz bardziej optymistyczne wnioski, nieraz idące już zdecydowanie za daleko. Z tego, co napisał czarno na białym, wynikało bowiem nie tylko to, że Alex wciąż o niej pamięta.**

**Teraz wreszcie przyszedł kolejny list i już miała go otworzyć, jednak w ostatniej chwili cofnęła wyciągniętą rękę. Z całą pewnością ten list – podobnie, jak wszystkie poprzednie – sklepany był nie tylko do niej, ale także i do jej siostry. A Karin już od miesiąca była w Waco i miała przyjechać dopiero za tydzień. Katherine nie wiedziała więc, jak postąpić.**

**Być może afekt Alexa w stosunku do jej siostry nieco ochłódł – tym**

**bardziej że ze strony Karin o jakimkolwiek uczuciu do niego już od dawna w ogóle nie było mowy – mimo to Katherine wciąż miała niejasne poczucie, że powinna ten list otworzyć tylko w jej obecności i czytać go też wspólnie z**

siostrą. Nawet jeśli wszystko wskazywało na to, że Karin w ogóle nie jest zainteresowana treścią tych listów – znacznie bardziej interesowała się niejakim Willem Burnettem, o którym całe Waco mówiło podobno, że jest bogatszy od samego Bena Gumpa. Dla Katherine to i tak nie miało znaczenia, bo w ogóle nie wiedziała, kim jest ów Ben Gump.

Ostatecznie postanowiła tym razem jeszcze poczekać – ale też

164

zapowiedzieć siostrze, że na przyszłość będzie w takich przypadkach otwierała kolejne listy i czytała już sama.

Karin przyjechała w następną niedzielę. W słoneczne popołudnie Will Burnett przywiózł ją nowym dwukonnym powozem, rzeczywiście wspaniałym, lśniącem czernią lakieru i czerwienią luksusowych skórzanych siedzeń. Choć Fanny nieco złośliwie nazwała ten przyjazd aktem rodzinnej dobroczynności, trudno było nie zauważyć, że tak wygodnym powozem Karin rzeczywiście mogła przyjechać w odwiedziny nieporównanie łatwiej, niż mogłaby to zrobić jej siostra, która musiałaby tłuc się aż do Waco w rozklekotanym farmerskim wozie zaprzężonym w jednego muła.

Sam Will Burnett okazał się nadspodziewanie sympatyczny, Katherine niemal od razu go polubiła, podobnie zresztą jak i Fanny, która swoim zwyczajem od razu przeszła z nim na ty. Zaskoczyła też wszystkich, kiedy zaraz po niedzielnym obiedzie zapytała go, czy nie zechciałby rzucić okiem na Clovisa, który, jej zdaniem, miał lekki atak kolki.

– Ja zawsze uważałam, że niezwykle skutecznie wyleczyłoby go walnięcie pałką przez łeb, a jeszcze pewniej kula z myśliwskiej strzelby dobrze

wycelowana między oczy – powiedziała Karin poprawiając mankiety

nieskazitelnie białych, wizytowych rękawiczek. – Nie rozumiem, dlaczego aż tak bardzo troszczycie się o tego muła.

– Troszczymy się głównie dlatego, że żadna z nas nie ma ochoty sama

ciągnąć pługa – odpaliła natychmiast Fanny, a wychodząc z pokoju, dodała: –

Choć dla niektórych może to być zbyt trudne do zrozumienia.

Karin spojrzała na Willa, który wyszedł w ślad za Fanny, a potem

odwróciła się do siostry.

– Naprawdę nie rozumiem, jak ty z nią wytrzymujesz. Zawsze była

pyskata, a teraz w dodatku stała się bezczelna.

– Jest, jaka jest – rzekła Katherine. – Nigdy nie udawała, że jest inna. A

poza tym lubię ją. Dotrzymuje mi towarzystwa, dobrze mi się z nią rozmawia.

Nie zapominaj też, że gdyby nie Fanny, nie przetrwałyby ani nasza farma, ani my.

– Nie zapominam. Wiem, że w gruncie rzeczy to dobra i niezwykle

życzliwa dusza, ale ja nie wytrzymałabym z nią nawet pięciu minut. Więc także

i dlatego wciąż nie pojmuję, po co tu z nią siedzisz. Czemu nie przeniesiesz się

do Waco i nie zamieszkasz tam razem ze mną? Mogę ci załatwić pracę, pokój w pensjonacie i wszystko, co zechcesz.

165

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jak mogłabym mieszkać w jednym pokoju.

Chybabym tego nie zniosła. A poza tym kto zajmowałby się naszym domem i farmą?

– Mogłaby to robić Fanny.

– Pewnie mogłaby, ale ja raczej nigdy jej o to nie poproszę. Całe życie spędziłam w tym miejscu, dlaczego nagle miałabym Ujeżdzać? Dobrze mi tutaj.

– Katherine, proszę cię, nie opowiadaj głupstw i nie upieraj się tak bez żadnego rozsądnego powodu. Powinnaś wziąć pod uwagę także i to, że Will jest w Waco bardzo ważną osobą, wszyscy się tam z nim liczą. Ma wpływowych przyjaciół, bardzo bogatych, a niektórzy z nich nadal są do wzięcia. Rozumiesz mnie?

Niewiele brakowało, by Katherine odpowiedziała na to, że nie interesują jej inni mężczyźni, a jedynie Alex. Ugryzła się w język w ostatniej chwili.

– Może i jestem niemądra – przyznała. – Wolę jednak pozostać tutaj. Taka już jestem i nic na to nie poradzę. Nie każdy może być taki jak ty.

Karin w końcu zrezygnowała.

– Przepraszam cię – powiedziała, kładąc rękę na ramieniu siostry. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Zawsze wybieram się tu z najlepszymi intencjami, ale kiedy już jestem na miejscu, nie potrafię się powstrzymać, żeby nie krytykować twoich wyborów. Wciąż mi się wydaje, że mogłabyś żyć znacznie lepiej.

– To znaczy tak jak ty? – spytała Katherine. – Musisz sobie zdać sprawę, że ja nie jestem tobą. Nie patrzę na świat twoimi oczyma, tylko moimi.

– Tak, powinnam to zauważyć już dużo wcześniej. – Karin uśmiechnęła się. – Ty zawsze byłaś podobna do naszej mamy. Jesteś równie uparta i równie zaciekle bronisz swej niezależności. – Sięgnęła do eleganckiej siatkowej torebki. – Pozwól mi przynajmniej dać ci trochę pieniędzy.

– Bardzo ci dziękuję, ale naprawdę nie ma takiej konieczności. Od czasu,

kiedy bank zwrócił Fanny nadpłatę za jej dom, mamy tu już wszystko, czego nam potrzeba.

Karin wrzuciła pieniądze z powrotem do torebki i zatrzasnęła zameczek.

– Ale powiadomisz mnie, gdybyś czegoś potrzebowała?

– Oczywiście.

– No to co? – Karin spojrzała na kominkowy zegar. – Chyba już na nas czas. Pójdę poszukać Willa.

– Zaraz. – Katherine mimo woli też spojrzała na zegar i wtedy

166

przypomniała sobie o leżącym na kominku liście od Alexa.

– Widzisz tę kopertę? Byłabym zapomniała, ten list przyszedł przed paroma dniami.

– Mam rozumieć, że go jeszcze nie rozpieczętowałaś i nie przeczytałaś?

– Nie. Czekałam, aż przyjedziesz.

– Boże, zmiłuj się. – Karin wzniosła oczy ku niebu. – A niby po co czekałaś z tym na mnie? Przecież wiesz, że między mną i Alexem wszystko jest już dawno skończone. Tylko ty mu odpisujesz na listy. Robisz to sama, więc dlaczego nie miałabyś sama przeczytać?

Katherine milczała, co jeszcze bardziej irytowało Karin.

– Wiesz, że ty... że ty jesteś chyba cierpliwsza nawet od Hioba?! –

wykrzyknęła. – I że chwilami ta twoja uśmiechnięta cierpliwość naprawdę doprowadza mnie do pasji?! Nie wyobrażam sobie, żeby taki list leżał u mnie i żeby go natychmiast nie odpieczętowała.

– Chyba żeby to był list od Alexa – powiedziała bezbarwnym głosem

**Katherine.**

**– Tu masz rację, przesyłki od niego mogłabym już nie otworzyć – zgodziła się Karin, po czym nagle spojrziała na siostrę z taką miną, jakby poczuła się nieco zbита z tropu. – No to co, otwierasz wreszcie ten list czy nie?**

**Katherine wzięła kopertę i w zamyśleniu obracała ją w palcach.**

**– Tak – powiedziała w końcu. – Chyba tak.**

**Przeszła do kanapy i usiadła, wciąż trzymając list w dłoni. Patrzyła na siostrę i po raz nie wiadomo już który zastanawiała się o w gruncie rzeczy sprawiało, że aż tak bardzo się różniły. Co, na przykład, mogło kryć się za tym, że Karin wręcz nie znosiła tego domu, tej ziemi, tego wszystkiego, co ona, Katherine, wciąż kochała całym sercem? Dlaczego siostra w końcu stąd uciekła i wydawała się szczęśliwa, podczas gdy ona...**

**Westchnęła i rozerwała kopertę, mając nagle zaskakująco silne przeczucie, że za chwilę coś się stanie. Coś dziwnego, coś ważnego, coś, co może zmienić wszystko. Wyjęła niewielką, złożoną na pół karteczkę i zaczęła czytać. Jej twarz nagle pobladła.**

**– O Boże! – jęknęła, z trudem łapiąc powietrze. – O Boże!**

**Ukryła twarz w dłoniach, a kartka upadła na podłogę.**

**– Co z tobą? – spytała zaskoczona Karin. – Czy coś się stało?**

**Podniosła upuszczony przez siostrę list, usiadła obok niej i przeczytała kilka linijek napisanych przez Alexa.**

167

***Moja Najdroższa Katherine!***

***Nie potrafię już dłużej czekać, chcę, żebyśmy się pobrali. Już teraz, jak***

*najszybciej. Wysyłam pieniądze na przejazd do San Francisco i tam będę na Ciebie oczekiwał. Bardzo Cię proszę, nie spraw mi zawodu.*

*Mam poczucie, że wreszcie odzyskałem rozum.*

*Alex*

Katherine, wciąż blada jak papier, podniosła wzrok i spojrzała na siostrę.

– To musi być jakieś nieporozumienie – powiedziała bardzo cicho. – Tak, to na pewno nieporozumienie...

Tymczasem Karin patrzyła na list, który Alex wysłał nie do niej, ale do siostry – i miała ochotę krzyknąć z wściekłości. Oczywiście, sama wcześniej zrezygnowała, sama skreśliła go już na zawsze – nie można było temu zaprzeczyć – ale teraz, gdy niespodziewanie zobaczyła jego propozycję małżeńską skierowaną do Katherine, ogarnęła ją nagła fala gniewu i zazdrości. Jak to możliwe, że Katherine potrafiła osiągnąć to, czego zawsze chciała, podczas gdy jej się to nie udało?

Katherine zdobyła Alexa.

A on w dodatku najprawdopodobniej miał już spore pieniądze.

Ale czy to był powód, żeby aż tak się denerwować? Już po chwili wydało się jej to kompletnie niedorzeczne. Przecież tak naprawdę utrata Alexa nie miała dla niej znaczenia. Dawno temu wyrzuciła go serca, a teraz w dodatku miała przecież Willa z którym łączyło ją głębokie uczucie. To, że Alex mógł mieć dużo pieniędzy, też w gruncie rzeczy miało drugorzędne znaczenie. Jej Will był bogaty ponad wszelkie wyobrażenie, a poza tym – w odróżnieniu od Alexa – miał ugruntowaną pozycję społeczną i prestiż starej szanowanej rodziny. Był mężczyzną w pełni dojrzałym, przy którym mogła czuć się pewnie, i wreszcie



**miała poczucie bezpieczeństwa, którego jej tak bardzo brakowało. A poza tym traktował ją jak królową.**

**Po Aleksie trudno by było się tego spodziewać. Nie był typem mężczyzny, który kobietę stawia na piedestale – raczej szukał w niej partnera, kogoś, kto wiernie stałby u jego boku, tak w pracy, jak i w całym życiu, dzieląc z nim wszystkie radości i troski. Will był zupełnie inny. Uwielbiał ją bezgranicznie, był najbardziej szczęśliwy, kiedy mógł ją rozpieszczać; gotów był dać jej wszystko, cały świat rzucić jej do stóp. Karin musiała przyznać, że bardzo**

168

**odpowiada jej taka miłość, w której czuje się ubóstwiana.**

**Tak więc w gruncie rzeczy nie wiedziała, dlaczego list od Alexa aż tak ją zdenerwował. Prawdopodobnie był to po prostu szok. Zresztą nie tylko ona była wstrząśnięta – wystarczyło spojrzeć na pobladłą twarz Katherine. Dla niej to dopiero musiało być przeżycie!**

**W pierwszej chwili, gdy Katherine nieśmiało zasugerowała, że to musi być jakaś pomyłka, Karin miała nieodpartą ochotę, żeby jej dopiec.**

**– O, nie sądzę, żeby to była pomyłka – powiedziała, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć. – Podejrzewam, że od chwili, kiedy Alex wyjechał, moja znana z dobrego serca siostrzyczka natychmiast zaczęła przemyśliwać nad sposobami ukojenia bólu serca biednego samotnego mężczyzny. Zawsze umiałaś być cierpliwa Wytrwała, pracowicie pisałaś do niego ciepłe i serdeczne liściki, no i to w końcu podziałało. Od początku chciałaś go zdobyć i teraz go masz.**

**Słowa Karin były tak niesprawiedliwe, że Katherine na chwilę oniemiała.**

**– Nie... – szepnęła. – To wcale nie było tak. W żadnym z listów nie**

**napisałam nic osobistego. Pisałam tylko o tym, co dzieje się w Limestone... bo wydawało mi się, że pozostając z daleka od domu, musi być spragniony wieści z rodzinnej okolicy.**

**Nietrudno było uwierzyć w szczerść tych słów, zresztą Katherine nigdy nie próbowała kłamać. Karin przypomniła sobie też, z jak wzruszającą nieśmiałością młodsza siostra starała się zawsze ukrywać uczucia wobec Alexa. Ta mała kochała go i nic nie mogła na to poradzić – tak jak i ona nie mogła nic poradzić na to, że pokochała Willa.**

**Gniew Karin minął równie szybko, jak się pojawił. Do Alexa już dawno nic nie czuła, nie było więc powodu, by obarczać siostrę poczuciem winy – tym bardziej, że Katherine wydawała się wyjątkowo podatna na takie właśnie myślenie i gdy tylko działo się coś złego, niemal odruchowo skłonna była brać odpowiedzialność na siebie. A w tym przypadku byłoby to zupełnie bez sensu, ponieważ naprawdę nic złego się nie stało. Karin mogła ten związek siostry z Alexem tylko pobłogosławić. Zwłaszcza że i ją już wkrótce czekała zmiana stanu cywilnego – jeśli jej stosunki z Willem nadal będą się układały po jej myśli.**

**Wyciągnęła rękę i w przepraszającym geście pogłaskała siostrę po dłoni.**

**– Wybacz mi, Katherine – powiedziała. – Nie miałam prawa tak mówić.**

**Zupełnie nie wiem, co nagle we mnie wstąpiło. Pewnie po prostu poczułam się zazdrosna, bo choć nie chciałam już Alexa, to nadal zachowywałam się jak ten**

**przysłowiowy pies ogrodnika, co to sam nie zje i drugiemu nie da. Z mojej strony było to wyjątkowo głupie, bo wiedziałam przecież, że zawsze kochałaś**

Alexa. Przypuszczam, że kochałaś go dłużej niż ja, a poza tym jestem przekonana, że tak naprawdę znacznie lepiej do niego pasujesz. Ja w gruncie rzeczy nie nadawałam się na żonę dla niego. Ty jesteś do tej roli po prostu idealna.

– Nie jestem idealna.

– Dla niego jesteś. Będziecie bardzo szczęśliwi, wspólnie lepiąc babki z błota i piasku, to znaczy pracując razem na tej ziemi, którą tak oboje kochacie.

Natomiast ja... – Karin wzdrygnęła się na sama myśl o tym, że miałyby jeszcze kiedykolwiek wrócić do pracy na roli. – Ja zdecydowanie wolę życie towarzyskie, wytworne przyjęcia i tak dalej. – Objęła Katherine i przytuliła się do niej. – Wyjdź za niego – powiedziała. – Przecież zawsze tego pragnęłaś. I pamiętasz, co zawsze powtarzała mama: szansę ma się tylko raz.

– Ale przecież on kochał ciebie.

– Nawet ktoś taki jak on kiedyś wreszcie odzyskuje rozum. Przypuszczam, że czytając twoje listy, doszedł w końcu do wniosku, że jesteś tą odpowiednią dla niego kobietą. Ja taka na pewno nie byłam, a i on, nie ważne, czy z pieniędzmi, czy bez nich, nie byłby odpowiednim mężczyzną dla mnie. Teraz, kiedy spotkałam Willa, wiem to już na pewno.

Karin szybko pocałowała siostrę, podniosła się i ruszyła w stronę drzwi.

– Zaczekaj – powiedziała Katherine. – Czy... czy ty jesteś tego pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna. – Karin popatrzyła na nią z uśmiechem. –

Teraz to ja daję ci tę radę, którą dotąd zwykle słyszałam od ciebie: idź za głosem serca. Zawsze.

– A co będzie, jeżeli się okaże, że Alex jednak wciąż kocha ciebie?

– Wtedy po prostu będziesz musiała wydłubać mnie z jego serca. To zajęcie wymagające odwagi i cierpliwości, ale tego przecież nigdy ci nie brakowało. Tak więc na pewno będzie dobrze. Dasz sobie radę, siostrzyczko, mam tu pełne zaufanie do twoich umiejętności.

Z lekkim szelestem kosztownej jedwabnej sukni Karin obróciła się na progu, uśmiechnęła się i odeszła.

Katherine jeszcze przez dłuższą chwilę patrzyła w ślad za nią. Jej starsza siostra wciąż była bardzo piękna, a teraz w dodatku wydawała się szczęśliwa.

170

13

Wreszcie zbliżali się do portu, w którym miała oczekiwać Karin.

Po długotrwałym przebijaniu się przez krótką spienioną falę Zatoki

Humboldta i stale niesprzyjający wiatr na otwartym oceanie statek „Lea” z braćmi Mackinnonami na pokładzie wpłynął w końcu na niewiele mniej rozkołysane wody zatoki San Francisco. Dzień był chłodny i raczej szary, słońce tylko z rzadka przeświecało przez rzedniejące chmury.

Na pokładzie wiatr wydawał się szczególnie zimny i przenikliwy, toteż po wyjściu z kabiny zarówno Alex, jak i towarzyszący mu Adrian starannie opatulili się w ciepłe kurtki, postawili kołnierze i schowali ręce w kieszeniach.

W dali można już było rozpoznać zarys pomostu przystani, do której zmierzała „Lea” i na której – jeśli list Alexa przyniósł zamierzony skutek – miała oczekiwać stęskniona Karin.

– Wreszcie – powtórzył cicho, w zamyśleniu wpatrując się w ledwie widoczną linię pomostu, do którego statek zdawał się zbliżać przeraźliwie

wolno.

– Słucham? – Adrian odwrócił się i spojrzał na brata. – Co mówileś?

– Nic, tylko głośno myślałem – odpowiedział Alex. Wbrew temu, czego można się było spodziewać, minę miał niewesołą, prawie melancholijną.

– I o czym to tak smętnie myślałeś? – spytał Adrian.

– O tym, jak bardzo długo czekałem na moją kobietę.

– No to masz teraz wszelkie powody, żeby się wreszcie rozweselić. A poza tym wcale nie trwało to aż tak długo. Biblijny Jakub musiał czekać siedem lat, żeby poślubić Rachel.

– Po czym został wrobiony w małżeństwo z jej siostrą! – dokończył Alex.

– No właśnie! – Adrian roześmiał się. – I znów musiał ciężko pracować przez kolejnych siedem lat, żeby w końcu dostać tę swoją ukochaną Rachelę.

– Ale dzięki temu miał dwie żony. Adrian uniósł brwi.

– Mam rozumieć, że tego byś chciał? Mieć dwie żony?

Alex roześmiał się. Resztki melancholii przepadły gdzieś bez śladu.

– Raczej nie – powiedział, kręcąc głową. – Człowiek ma zbyt wiele kłopotów ze zdobyciem nawet tej jednej.

„Lea” tymczasem powoli zbliżała się do przystani; na pokładzie pojawili

171

się ludzie z załogi, szykujący się do cumowania. Alex wpatrywał się w sylwetki oczekujących na przystani osób, stojących najbliżej za barierką pomostu, ale odległość wciąż jeszcze była zbyt duża, by mógł rozpoznać rysy czy choćby szczegóły ubioru. Miał wrażenie, że na pomoście stoją dwie kobiety; jedna wydawała się zbyt tęga jak na Karin, druga... była szczuplejsza, miała na sobie

dwukolorową, złoto–zieloną sukienkę. To mogła być Karin; zielony czepek wydawał się znajomy, ale nawet i co do tego wciąż nie mógł mieć pewności. Pasażerowie z innych kabin już tłoczyli się przy łańcuchu, Smykającym zejście na kładkę opuszczaną na pomost po przyjmowaniu. Alex również ruszył w tym kierunku. Razem z Adrianem przepychali się w tłoku i na krótką chwilę stracili z oczu kobietę w złoto–zielonej sukience.

Pojawiła się w polu widzenia już po chwili, gdy szybkim krokiem szła w kierunku kładki, z której schodzili opuszczający statek pasażerowie. Zatrzymała się, by ich przepuścić, i była już wystarczająco blisko, żeby można było bez trudu rozpoznać te uśmiechniętą młodą twarz pod zielonym podróżnym czepkiem

– Wielki Boże! – powiedział cicho Adrian. – Przecież to. przecież to Katherine!

Alex nic nie mówił, przez chwilę patrzył jak skamieniały. Potem wolno odwrócił wzrok, ze wszystkich sił starając się zapanować nad sobą, nad oszalałymi nagle myślami i nad mięśniami nóg, które niespodziewanie zrobiły się miękkie jak galareta. Musiał się chwycić poręczy, żeby jakoś zachować równowagę, a w uszach wciąż dźwięczały mu słowa brata:

Przecież to Katherine... Katherine.

Jego błędzące spojrzenie zatrzymało się na kole ratunkowym z wypisaną na nim nazwą statku „Lea”. Alex nagle się wzdrygnął, to obojętne dotąd kobiece imię w jednej chwili nabrało dramatycznego znaczenia. Przecież tak nazywała się siostra biblijnej Racheli. Chytry ojciec wprowadził w błąd zakochanego w Racheli Jakuba i podczas ślubnej ceremonii podstawił na jej

miejsce siostrę, która miała na imię Lea, i w ten sposób nieszczęsny Jakub został mężem niechcianej siostry, choć to na Rachelę czekał przez siedem lat.

Zza burty dobiegał rozgwar ludzkich głosów, wysiadający pasażerowie witali się z oczekującymi na ich przyjazd bliskimi, ale w uszach Alexa wciąż brzmiały słowa brata:

– Przecież to Katherine... Katherine.

Adrian tymczasem wyglądał na rozbawionego.

172

– Pewnie zażartowały sobie z nas – powiedział uspokajająco. – To ich stary numer, przyjechały na pewno obie.

Jednak Alex wciąż czuł się tak jak bokser po nokautującym ciosie. Patrzył na brata półprzytomnym wzrokiem.

– Nie – powiedział w końcu. – To nie jest żart. To ona. Lea.

– Lea? – Adrian gwałtownie obrócił się do brata. – Jaka znowu Lea,

przecież... – Urwał nagle i zamilkł, gdy dotarł do niego sens tych słów. –

Mówisz więc, że to Lea, a nie Rachel. – No tak, ale w jaki sposób to było możliwe?

Alex też się nad tym zastanawiał coraz bardziej gorączkowo w niejasnym poczuciu jakiejś straszliwej pomyłki i bardzo już realnej, wciąż narastającej w nim paniki. Gdy z przerażeniem uświadomił sobie, co naprawdę się stało i jak do tego doszło, poczuł nagły skurcz żołądka, a na twarz wystąpił mu zimny pot.

Tak, to on był wszystkiemu winien. Po pijanemu pisał list do kobiety, którą kochał. Proponował w nim małżeństwo i pomylił imiona.

Adrian musiał dojść do tego samego wniosku, bo nagle chwycił go za klapy

**kurtki, a jego twarz pociemniała z wściekłości.**

**– Ty cholerny sukinsynu! – W jego głosie pobrzmiwała jednoznaczna groźba. – Jak mogłeś to zrobić?!**

**Otępiały Alex nawet nie próbował mu się wyrywać. Patrzył na brata nieprzytomnym wzrokiem i w końcu powiedział:**

**– Chyba po pijanemu pomyliłem imiona i poprosiłem o rękę nie tę siostrę, o którą mi chodziło.**

**– Tak właśnie myślałem! – powiedział Adrian. Puścił klapy kurtki brata i cofnął się o krok, ale nadal patrzył na Alexa wzrokiem pełnym wściekłości, a jednocześnie i jawnego obrzydzenia. – Pomyliłeś się po pijanemu – powtórzył zjadliwie. – I co? I co teraz zamierzasz zrobić?!**

**– Co zamierzam? To chyba jasne, jest przecież tylko jedno wyjście.**

**– Tu akurat masz rację – zgodził się Adrian. – Masz tylko jedno wyjście, jeżeli nie chcesz się okazać ostatnim sukinsynem. – Musisz się z nią ożenić. Bo jeżeli tego nie zrobisz, to ja... – urwał, ale jego spojrzenie było wystarczająco wymowne.**

**Ożenić się z Katherine?! A nie z Karin?! Alex wzdrygnął się na samą myśl o takim rozwiązaniu. To nie było owo jedyne wyjście, o którym mówił. To w ogóle nie było wyjście. Oczywiście zawsze bardzo lubił Katherine, ale jednak nie na tyle, żeby zaraz z nią żenić. Coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę, to po**

173

**prostu nie do pomyslenia. Kochał przecież Karin, a nie jej siostrę. Tak więc**

**teraz będzie musiał po prostu powiedzieć jej prawdę. Katherine była**

**wyrozumiała, zawsze powtarzała, że uważa go za przyjaciela. Może więc i tym**



razem go zrozumie. Zresztą będzie musiała, bo to po prostu było jedyne wyjście, o którym można było w tej sytuacji pomyśleć. Należało podejść do całej sprawy po męsku – powiedzieć prawdę i wziąć całą winę na siebie. Rzecz tylko w tym, żeby zrobić to możliwie delikatnie.

Alex podniósł wzrok i już otwierał usta, żeby podzielić się z bratem rezultatami tych pośpiesznych przemyśleń, ale gdy napotkał jego spojrzenie, nagle zamilkł. Wyraz twarzy Adriana po prostu go przeraził. Powiedzieć o nim, że był krańcowo wściekły, byłoby eufemizmem. Adrian wyglądał tak, jak gdyby naprawdę chciał go teraz zabić.

Alex patrzył na niego wstrząśnięty i jednocześnie całkowicie zaskoczony.

Ze strony brata spodziewał się, jeżeli już nie wsparcia, to przynajmniej zrozumienia.

– Nie mogę się przecież ożenić z Katherine – powiedział, wzruszając ramionami. – Sądziłem, że kto jak kto, ale przynajmniej ty powinieneś mnie zrozumieć.

Twarz Adriana przypominała kamienną maskę, wykrzywioną w grymasie wściekłości.

– I czemuż to nie możesz? – zapytał z jadowitą ironią. – Zobowiązałeś się na piśmie, więc już nie masz odwrotu. Nie masz innego wyjścia.

– Nie mogę się żenić z kobietą, której nie kocham. Adrian potrząsnął głową.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, zanim zabrałeś się do pisania tego listu, ale ty byłeś tak pijany, że nie potrafiłeś utrzymać się na nogach. A jeżeli myślisz, że pozwolę ci się tego z tego wyłgać, to zasługujesz tylko na to! –

**Jego potężny cios z lewej omal nie zwałił Alexa z nóg. – Ty żaloszny sukinsynu!**

**Powinienem cię zabić już wtedy!**

**Ponownie rzucił się na brata z taką wściekłością, jakby naprawdę chciał zrealizować swą groźbę. Tylko natychmiastowa interwencja jednego z członków załogi statku uratowała go. Był to ogromny mężczyzna w marynarskiej czapce i koszulce, ciasno opiętej na imponującej muskulaturze, której mógłby mu pozazdrościć nawet sam Wielki John Dolly.**

**– Hej, wy tam, natychmiast przestańcie! – Dobroduszny olbrzym rozdzielił braci równie łatwo, jak nauczyciel w szkole rozdziela czubiących się chłopców**

**174**

**z pierwszej klasy. – No, no, tylko bez tego – powiedział łagodnie, chwytając Adriana za kołnierz i jedną ręką bez trudu unosząc go kilkanaście centymetrów ponad pokład. – Spróbujcie tylko zacząć na nowo, a natychmiast znajdziecie się tam. – Ruchem głowy wskazał na wodę za burtą. – Jeżeli chcecie się bić, róbcie to na łodzi. Zrozumiano?**

**Ta chwila wystarczyła, by Adrian przynajmniej trochę ochłonął i zaczął myśleć cokolwiek rozsądniej. Tak czy inaczej nie byłoby dobrze, gdyby Katherine zobaczyła ich bijących się. A gdyby to, co Alex już zdążył zainkasować, nie wystarczyło do zmiany jego nastawienia, zawsze można było do tego wrócić.**

**Zaskoczony gwałtownością reakcji brata, Alex wyciągnął chusteczkę i otarł krew z rozbitej wargi.**

**– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zachowujesz się tak, jak gdybyś naprawdę chciał mnie zabić? – zapytał. – Przecież to z mojej strony była**

**jedynie pomyłka. Najzwyklejsza pomyłka.**

**Adrian znów poczuł wzbierającą w nim falę gniewu. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć, że w tej sytuacji sam ożeni się z Katherine, ale ten pomysł zgasł w nim równie szybko, jak się narodził. To nie było dobre wyjście, a prawdę mówiąc, to w ogóle nie było wyjście. Z bólem serca musiał zaakceptować fakt, że Katherine przyjechała tu tylko po to, by wyjść za Alexa. Taki był jej wybór i ona już w żaden sposób nie mogła tego zmienić – podobnie jak on nie mógłby zmienić uczuć i pokochać – na przykład – Karin. Tak więc sprawa w gruncie rzeczy była prosta: Katherine wciąż kochała jego brata i Adrian wiedział, że musi się z tym pogodzić. Właśnie dlatego, że sam tak bardzo ją kochał, musiał się jej wyrzec. Ale w imię tej miłości mógł dla niej zrobić przynajmniej jedno.**

**Obrócił się do brata i powiedział śmiertelnie poważnie:**

**– Posłuchaj mnie, Alex. Jeżeli kiedykolwiek powiesz jej, że to była pomyłka, czy choćby pozwolisz jej się tego domyślić zabiję cię. Rozumiesz?**

**Zabiję cię bez chwili zastanowienia. – Adrian mówił to cicho i prawie spokojnie, ale ten pozorny spokój był tym bardziej przerażający. – A gdybyś w taki czy inny sposób doprowadził do tego, że zaczęłyby żałować, iż została twoją żoną, obiecuję zamienić twoje życie w prawdziwe piekło. I bądź pewny, że tej obietnicy dotrzymam. – Wyjął z dłoni brata zakrwawioną chusteczkę, złożył ją we czworo i wcisnął do górnej kieszeni jego kurtki. – Radzę ci się z tym liczyć, mój drogi bracie, bo inaczej pożałujesz, żeś się w ogóle urodził.**

**– Nie! To ty mnie posłuchaj: nie wycofasz się już z tego. Zrozumiałeś?! Już jest na to za późno. – Adrian chwycił w obie dłonie twarz Alexa i siłą obrócił w stronę trapu, po którym właśnie zaczęli wchodzić nowi pasażerowie.**

**Katherine szła jako jedna z pierwszych.**

**– Popatrz na nią, do cholery! Dobrze się jej przyjrzyj! Widzisz tę jej radość, to szczęście, to uniesienie?! Ona cię kocha, ty żaloszny głupi sukinsynu! Zawsze cię kochała!**

**Alex usiłował odwrócić głowę i nie patrzeć na zbliżającą się Katherine.**

**– To nie jest aż taka miłość, żeby nie mogła sobie z nią poradzić – powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał stanowczo i pewnie. Nie było to jednak zbyt przekonujące.**

**– Z niczym nie będzie musiała sobie radzić! – Adrian znów był blisko wybuchu. – Do ciężkiej cholery, czy ty nie rozumiesz, że wysyłając do niej ten list, dałeś jej nadzieję na spełnienie tego, o czym marzyła przez całe życie?! Nie próbuj zabić w niej tej nadziei, bo ja ci na to nie pozwolę! Już nawet za to, co dotąd zrobiłeś, mógłbym cię zabić bez mrugnięcia okiem.**

**– Adrianie, posłuchajże mnie wreszcie! Jak możesz oczekiwać, że ożenię się z dziewczyną, której nie kocham?**

**– Jest za późno na stawianie takich pytań! – Adrian chwycił brata za łokieć i znów obrócił go twarzą w kierunku zbliżającej się już ku nim rozpromienionej Katherine. – Popatrz tylko na nią! I dobrze się zastanów, czy odważysz się aż tak ją zranić! Czy ośmielisz się powiedzieć jej, że to po prostu była pomyłka, skoro doskonale wiesz, co to może dla niej znaczyć?!**

**Alex już otwierał usta, by mu odpowiedzieć, ale gdy spojrział na Katherine,**

nagle zamilkł. Była już bardzo blisko, uśmiechnięta i szczęśliwa jak nigdy.

Wszystko w niej wydawało się znajome i niemal takie same jak dawniej.

Niemal– bo teraz bardzo wyraźnie widział w niej to, czego przedtem jakby nie zauważał. Uskrzydłona radością Katherine stała się olśniewająco piękną kobietą i takiej jej jeszcze nie znał.

Choć i wcześniej zdarzało się, że bywała zachwycająca. Przez pamięć Alexa błyskawicznie przemknęły wspomnienia tych wcale nierzadkich chwil, kiedy patrzył na nią jak zaczarowany, do głębi poruszony nie tylko jej urodą, ale i osobowością, a zwłaszcza tym jej zupełnie rozbrajającym, dziewczęcym wdziękiem. Przypomniał mu się też ten moment, kiedy nie tylko na nią patrzył, ale i ją całował, i to z namiętnością, o którą nigdy by sam siebie nie posądził.

176

To było już dawno, w przeddzień wyjazdu do Kalifornii, ale wciąż czuł na wargach smak tych pocałunków.

Jednak nawet najmiłsze wspomnienia

nie wydawały mu się

niewystarczającym powodem, żeby się z nią żenić. Alex już miał to oświadczyć bardzo stanowczo, zarówno jej, jak i Adrianowi, gdy Katherine podeszła, stanęła tuż przed nim i z ufnym uśmiechem spojrzała mu prosto w oczy.

Gotowe do wypowiedzenia słowa nagle uwięzły mu w gardle, bo dopiero w tym momencie zdał sobie do końca sprawę, co ta oszalamiająco piękna kobieta naprawdę do niego czuje i co najpewniej czuła zawsze. To musiała być prawdziwa miłość, co do tego nie było wątpliwości. Miłość widział w jej spojrzeniu, wzruszającym, ciepłym, ufnym i oddanym. To zawsze w niej było,

ale dotąd był tak ślepy i nieczuły, że przez lata nie widział tego, co po prostu rzucało się w oczy.

Katherine przypatrywała mu się równie uważnie. Zaskoczyła ją niezwykła bladość jego twarzy, zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie jest chory.

Wciąż był niewiarygodnie przystojny, choć wydawał się starszy i jakby bardziej zmęczony, a w jego spojrzeniu można było się dopatrywać śladów jakichś niedawnych smutnych przeżyć. Ale to wciąż był ten sam Alex, którego pokochała od najwcześniejszych lat. To był jej wymarzona mężczyzna, o którym sądziła, że utraciła go już na zawsze.

– Witaj, Katherine! – powiedział niespodziewanie cicho, znacznie ciszej, niż się tego spodziewała. Objął ją bardzo delikatnie i lekko pocałował w czoło. Na tym przywitanie się skończyło.

Uśmiechnęła się do niego. Nie było to takie powitanie, jakiego oczekiwała, pomyślała jednak, że mają przed sobą całe życie i że na wszystko przyjdzie czas. Przywitała się też z Adrianem, całując go lekko w policzek. Zauważyła, że Adrian jest równie blady i równie spięty, jak brat. Nie miała jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad tym, ponieważ Adrian oświadczył, że teraz wszyscy muszą jak najszybciej przejść do zacumowanego nieopodal statku „Merman”, na którym zarezerwowane były kabiny na powrotny rejs z San Francisco do Zatoki Humboldta. Pogoda zaczynała się psuć, ciężkie chmury zwiastowały deszcz, przed którym najpewniej można się było skryć właśnie na statku.

Pół godziny później „Merman” już płynął na północ, od początku zmagając się z przeciwnym wiatrem, sporą falą i wciąż narastającym deszczem. Pogoda

była naprawdę pod psem, widoczność chwilami spadała do kilku metrów, a jedynym pasażerem, który mimo to pozostawał na pokładzie, był Alex Mackinnon. Jego ubranie było już mocno przemoczone zarówno o deszczu, jak i od rozbryzgów coraz większej fali. Alex jednam nie schodził na dół, wciąż nie potrafił się do tego zmusić.

Tam na dole, w kabinie, była Katherine i właśnie myśl o spotkaniu z nią napawała go niemal panicznym lękiem. Boże drogi, powtarzał w duchu. Co ja jej powiem?

Tymczasem Katherine, która zdążyła ukryć się w kabinie, jeszcze zanim deszcz rozpadał się na dobre, siedziała na wygodnej kanapce i przez niewielki okrągły iluminator przyglądała się szalejącym za grubą szybą żywiołom. Czuliła się bezpieczna i szczęśliwa – choć wciąż nie bardzo potrafiła zrozumieć, dlaczego Alex przywitał ją pocałunkiem w czoło, odpowiednim może dla wiekowej babci, ale przecież nie dla kobiety, którą zamierzał poślubić. Potem przez dłuższy czas patrzył na nią dość niepewnym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa, a w końcu wydusił z siebie jedno jedyne konwencjonalne zdanie: Witaj w Kaliforniu, jak przebiegła podróż?

I to było wszystko, co powiedział! Mężczyźni to doprawdy dziwne stworzenia. Zna się kogoś takiego od lat, aż tu nagle któregoś dnia się okazuje, że to było tylko złudzenie i że tak naprawdę w ogóle się go nie zna!

Katherine i Alex stanęli przed kapitanem.

Gdyby ktoś zapytał potem Alexa, jak ostatecznie do tego doszło, na dobrą

sprawę chyba nie potrafilby na to odpowiedzieć. Podobnie zresztą, jak i na wiele innych pytań.

Ale co się stało, to się stało. Do Zatoki Humboldta statek miał płynąć kilka dni, więc czasu na to wszystko było aż nadto.

Gdy pogoda zaczęła się trochę poprawiać i ulewę zastąpił lekko siąpiący deszczyk, do wciąż moknącego na górnym pokładzie Alexa dołączył Adrian, po czym – jak można się tego było spodziewać – bracia natychmiast powrócili do zasadniczego sporu. Ostra wymiana poglądów trwała blisko godzinę, obie strony powtórzyły przytaczane już wcześniej argumenty, nawet bójka – bo i do niej znów doszło – zaczęła się niemal dokładnie w tym samym punkcie

178

dysputy. Znów bardziej poturbowany by, Alex i znów to on okazał się tym nastawionym bardziej pojednawczo – kiedy już żaden z nich nie miał dość sił, żeby dalej walczyć.

– Nie musiałeś mnie bić aż tak mocno – powiedział, ocierając chusteczką zakrwawiony nos i ponownie rozbitą wargę. – Naprawdę nie musiałeś.

– Owszem, musiałem. – Na twarzy Adriana pięści brata żeby pozostawiły sporo śladów. – Musiałem, choćby po to, wybić ci z głowy te twoje dumę pomysły. Mam nadzieję, że teraz już wreszcie przestaniesz bredzić o odwoływaniu wszystkiego. Zgadzasz się ze mną?

– Zgadzam się przynajmniej w tym sensie, że chyba rzeczywiście nie mogę tego teraz odwołać, w każdym razie nie natychmiast. Ale z upływem czasu z pewnością coś się wymyśli.

– Nic się nie wymyśli! – Ponownie wyprowadzony z równowagi Adrian



obrócił się i z całej siły uderzył dłonią w reling. –Puknij się wreszcie w głowę i zastanów się, o jakim upływie czasu tu mówisz?! Przecież ty już w ogóle nie masz czasu! Powinieneś być ożenić się z nią jeszcze w San Francisco, ale teraz i tak już nie ma sensu do tego wracać. Pozostała ci tylko jedna możliwość: musisz poprosić kapitana, żeby udzielił wam ślubu, jeszcze zanim ten statek dotrze do przystani w Zatoce Humboldta. Kapitan na morzu ma takie uprawnienia.

– Ty chyba oszalałeś! Poprosić kapitana! W co ty znów chcesz mnie wepchnąć?

– W nic nie chcę cię wpychać, chcę tylko, żebyś wreszcie zdał sobie sprawę z sytuacji. Katherine jest piękną dziewczyną i bez ślubnej obrączki na palcu po prostu nie może zamieszkać w leśnym obozie, w otoczeniu kilkudziesięciu nieokrzesanych, wygłodniałych kobiet mężczyzn. Rozumiesz to? Oni przez całe miesiące nie widzieli kobiety, wiesz, czym by się to skończyło?! Odesłać jej też nie możesz, więc po prostu nie masz innego wyjścia. Musisz wziąć z nią ślub! I to jeszcze teraz, póki jesteśmy na statku, bo w obozie nie ma nikogo, kto miałby odpowiednie uprawnienia. – Adrian zamilkł, spojrzał na brata i dokończył bacznie już spokojniej: – Myślę, że też już to zrozumiałeś, jesteś na to wystarczająco inteligentny. A że zawsze byłeś przyzwoitym człowiekiem, wierzę, że i teraz postąpisz tak, jak należy.

Jak należy, jak należy... Ale jak trzeba postąpić, żeby było, jak należy?

Nawet opierając się żądaniom Adriana, nawet bijąc się z nim raz i drugi, Alex podświadomie czuł, że to brat ma rację. Że przyzwoity człowiek nie może się

tak zachowywać, nie może uciekać od odpowiedzialności. A tymczasem on wciąż próbował to robić, szukał wykrętów do ostatniej chwili – tuż przed pojawieniem się Adriana też właśnie nad tym rozmyślał. Zastanawiał się nad odłożeniem ślubu pod pretekstem konieczności lepszego poznania się. Potem przez jakiś czas mógłby zachowywać się tak nieprzyjemnie, że Katherine w końcu sama zrezygnowałaby z małżeństwa, marząc już tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do Teksasu. Takie pomysły przychodziły mu do głowy – żalotne i zawstydzające – ale trzeba było dopiero twardej i bezkompromisowej postawy brata, żeby Alex wreszcie mógł pojąć, że tak postępować nie wolno. Adrian miał rację, mówiąc, że mężczyzna musi być odpowiedzialny. A tymczasem on, jego rodzony brat, wciąż zachowywał się tak, jak gdyby chciał zapomnieć o tym, że Katherine zawsze stanowiła część jego życia, i to od najwcześniejszych, najszcześniejszych lat wspólnie przeżytego dzieciństwa. Teraz jednak wiedział już, że o tym nie można zapomnieć. Nie można tak po prostu odwrócić się od tego wszystkiego i nadal czuć się mężczyzną. I nie można dłużej udawać, że się tego nie rozumie.

Trzeba było wreszcie podjąć decyzję. Spojrzał w stronę mostku kapitańskiego i nagle zobaczył tam Katherine.

Oczywiście nie dowodziła tym statkiem, ale korzystając z poprawy pogody, wyszła się przejść po najwyższym pokładzie i stojąc przy mostku, bardzo swobodnie rozmawiała z kapitanem Steptoem, morskim wilkiem starej daty, który najwyraźniej był nią oczarowany. Trudno zresztą było się temu dziwić, zważywszy na jej młodość i urodę, a także entuzjazm dla pierwszej w życiu podróży statkiem. Lekki wiatr rozwiewał jej włosy, a pełne emocji oczy

błyszczały jak gwiazdy. Tak, była zachwycająco młoda i zachwycająco piękna.

Alex nie mógł tego nie przyznać. nawet gdy starał się patrzeć na nią jak najbardziej chłodno i krytycznie.

Przyjechała do Kalifornii, żeby zostać jego żoną, ponieważ napisał list, w którym ją o to prosił. Jednym pociągnięciem ręki ostatecznie odebrał jej szansę znalezienia sobie innego mężczyzny. To nie mogło pozostać bez konsekwencji. Nie miał prawa jej upokorzyć, odsyłając ją do domu.

Powiedzenie prawdy zraniłoby ją śmiertelnie. Jedynym wyjściem było to, co sugerował Adrian.

Katherine dostrzegła, że Alex patrzy na nią z niższego pokładu, pomachała mu dłonią i uśmiechnęła się. W jej spojrzeniu było tyle szczerej radości i nadziei, że musiałoby to poruszyć nawet najbardziej zatwardziałe serce. A Alex

180

wcale nie miał serca z kamienia. Czuł się tylko rozpaczliwie bezradny i wciąż nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Ale kiedy stojący obok Adrian chciał jeszcze raz wrócić do wcześniejszej rozmowy, Alex nagle się zdecydował.

– Gadaliśmy już wystarczająco długo – oświadczył stanowczo. – I

powiedzieliśmy wszystko, łącznie z tym, co dało się wyrazić już tylko za pomocą pięści. Co miało dotrzeć, to dotarło, ale teraz już z tym koniec. Krótko mówiąc, idę porozmawiać z pierwszym po Bogu.

Gdy wspiał się schodami na wyższy pokład, Katherine wciąż jeszcze rozmawiała z kapitanem, a ściślej mówiąc to on bardzo szczegółowo i ochoczo objaśniał jej tajniki swego fascynującego zawodu, podczas gdy ona słuchała go z niesłabnącym zainteresowaniem.

**Alex lekko odkasznął i zapytał bardzo uprzejmie:**

**– Czy pozwoli pan, kapitanie, że na chwilę zabiorę panu moją narzeczoną?**

**– Tylko pod warunkiem, że nie zabierze jej pan zbyt daleko –**Opowiedział

**kapitan i szarmancko uklonił się Katherine. –Szanowna pani...**

**Alex skinął głową, wziął dziewczynę pod rękę i poszedł z nią na koniec pokładu.**

**– Jak ci się podoba ta podróż statkiem? – zapytał. – Kapitan najwyraźniej jest przekonany, że jesteś wręcz zachwycona.**

**– Och, jest bardzo miły – powiedziała z uśmiechem. – A od momentu, kiedy pogoda się poprawiła, podoba mi się już wszystko, może z wyjątkiem jedzenia. Ale i do tego pewnie można się przyzwyczaić.**

**– Na szczęście to tylko kilka dni. – Alex zatrzymał się przy niewielkiej ławeczce, ustawionej tuż przy metalowej barierce na końcu pokładu. –**

**Usiądziemy?**

**W zamyśleniu patrzył na wolno przetaczające się wzdłuż burty szarozielone fale. Katherine siedziała tuż obok, ciesząc się z tego, że Alex wreszcie jest tak blisko. Przedłużające się milczenie właściwie wcale jej nie przeszkadzało. Była wystarczająco bystra, żeby zdawać sobie sprawę z sytuacji, i domyślała się, że perspektywy ich przyszłego związku nie są aż tak różowe, jak to mogło się początkowo wydawać.**

**Alex zawsze kochał Karin. Zapewne kochał ją nadal, jednakże w swej mądrości ostatecznie zaproponował małżeństwo nie starszej, ale młodszej siostrze. To nieco archaiczne określenie „w swej mądrości” przyszło Katherine do głowy najprawdopodobniej dlatego, że postępowanie Alexa naprawdę**

uwazała za niezwykle mądre. Niezależnie od tego, jakie racje kryły się za

181

decyzją zwrócenia się z tą propozycją właśnie do niej, z całą pewnością postąpił słusznie. Bardzo, ale to bardzo słusznie.

Patrzyła z bliska na jego profil, na ostre męskie rysy, które tak ją zachwycaly, i w myślach mówiła mu wszystko to, czego nie odważyłaby się powiedzieć głośno. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak mu to mówi. Być może teraz jeszcze nie kochasz mnie tak, jak bym tego pragnęła, ale będziesz! Będziesz mnie kochał! Zapewniam cię, mój drogi Aleksie, że tak się stanie, ponieważ mam w sobie dość miłości, by na początek wystarczyło dla nas obojga. A potem i ty pokochasz mnie równie mocno. Pokochasz mnie na pewno! Już wkrótce stanę się twoją żoną i wtedy zrozumiesz, że wysłanie do mnie tego listu było najmądrzejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem. Zawsze bylam tą, którą Bóg przeznaczył właśnie dla ciebie, stąd też brały się wszystkie moje frustracje. Bo ja od początku wiedziałam, że tak jest, ale ty wciąż tego nie dostrzegales.

Ani jedno słowo z tego wewnętrznego monologu nie zostało wypowiedziane na głos, natomiast po chwili – już bardziej realnie – odezwał się Alex.

– Muszę cię przeprosić – powiedział tak niespodziewanie, że Katherine aż podskoczyła. Uśmiechnął się, widząc jej minę. – Czy przeprosiny z mojej strony to coś aż tak nieoczekiwanego, że z wrażenia omal nie wypadłaś za burtę?

Katherine też się uśmiechnęła.

– Może nie aż tak, ale trochę mnie zaskoczyłeś. Patrzył na jej szczerą,

wciąż jeszcze bardzo dziewczęcą twarz, na lekko rozchylone usta i zdumiewająco jasne zielone oczy, które spoglądały na niego z taką ufnością, i po raz już nie wiadomo który na przestrzeni tego jednego dnia uświadamiał sobie, że nie ma prawa jej zranić, mówiąc prawdę. A tak niewiele brakowało, by właśnie teraz powiedział jej wszystko. Jeszcze przed chwilą, uporczywie wpatrując się w płynącą wzdłuż burt szarozieloną wodę, zastanawiał się właśnie nad tym.

– Za co właściwie chciałeś mnie przeprosić? – spytała Katherine. – Bo chyba nie za pogodę, która zresztą wyraźnie się poprawia.

– Za pewne niedopatrzenie – powiedział. – Powinniśmy byli pobrać się w San Francisco. W naszym leśnym obozie nie będzie nikogo, kto mógłby nam udzielić ślubu.

Skrzące się radością i nadzieją oczy Katherine nagle przygasły, jej głos lekko się załamał.

182

– Czy... czy to znaczy, że się nie pobierzemy? To chciałeś mi powiedzieć?

Tak łatwo byłoby potwierdzić jej przypuszczenie. Przez dłuższą chwilę Alex walczył z niezwykle silną pokusą, żeby tak właśnie zrobić. W końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się, choć tylko on wiedział, ile go to kosztowało.

– Nie, moja droga. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w tej sytuacji będziemy musieli poprosić kapitana Steptoego żeby bielił nam ślubu tu, na statku.

Zgadzasz się?

A więc marzenie stawało się faktem. Miała zostać żoną Alexa. Nareszcie!

Niewiele brakowało, żeby zgodziła się bez zastrzeżeń. Gdyby była kobietą

innego rodzaju, z pewnością nie zadawałaby już żadnych pytań. Ale Katherine miała naturę z gruntu uczciwą, a pytanie, które nurtowało ją przez cały czas, wymagało odpowiedzi. Próbowala co prawda zepchnąć je w niepamięć albo przynajmniej odłożyć do momentu, kiedy już będą po ślubie, próbowała je po prostu ignorować, lecz to wszystko nie zdało się na nic.

I kiedy znaleźli się już przed drzwiami prowadzącymi do jej kajuty, wiedziała, że musi mu zadać to okropne pytanie. Gdy wyciągnął rękę, żeby nacisnąć klamkę, delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Powiedz mi, dlaczego właściwie do mnie napisałeś? Znieruchomiał, na moment przestał oddychać, a potem głęboko wciągnął powietrze. Nagle zaschło mu w gardle, z trudem powstrzymał się, żeby nie odkaszlnąć. Tak wiele zależało od jego odpowiedzi na to pytanie. Stawką było całe przyszłe życie – nie tylko jego, ale i Katherine.

Podniósł wzrok i spojrzał w jej oczy. Wciąż były pełne nadziei, bo nadzieja tej dziewczyny była żywotna jak dziki kot. Ale nawet dzikiego kota można w końcu zabić, a ludzką nadzieję tym bardziej. Alex zdecydował, że nie może tego zrobić.

– Napisałem dlatego, że nadszedł już czas, żebym miał żonę. To nie była wyczerpująca odpowiedź. Przynajmniej dla Katherine.

– Dlaczego ja, a nie Karin?

Alex milczał przez chwilę.

– Ponieważ... ponieważ tak musiało być – odpowiedział bardzo poważnie.

Czując jednak, że zabrzmiało to nieco zbyt serio, dodał już jawnie żartobliwie:

– A poza tym wiedziałem, że ty na pewno przyjedziesz.

**Katherine roześmiała się i położyła mu palec na ustach.**

**– Nie powinieneś tak mówić, nawet żartem. Ale skoro to już zostało powiedziane, to zdradź mi, dlaczego właściwie uważałeś że na Karin nie**

**183**

**możesz liczyć, a na mnie możesz?**

**Był jej wdzięczny za ten lekki ton, dzięki któremu łatwiej się mówiło o rzeczach najtrudniejszych.**

**– Na nią nie mogłem liczyć, ponieważ mi po prostu nie odpisywała – odezwał się tym samym tonem. – Dokładniej mówiąc, nie odpowiadała na moje listy. Natomiast ty mi odpowiadałaś i nie będę chyba daleki od prawdy, jeśli powiem, że nadal mi odpowiadasz.**

**Mimo tego wciąż żartobliwego tonu, Katherine przyjęła to za jawny komplement i popatrzyła na niego z wdzięcznością. Nawet jeśli nie był do końca pewny swojej decyzji, to w każdym razie naprawdę się starał. Przyrzekła sobie w duchu, że i ona zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, żeby nie pożałował swego wyboru.**

**Ale kiedy już weszła do środka i miała zamknąć za sobą drzwi, nagle znów ogarnęły ją wątpliwości. Spojrzała na niego i zapytała już zupełnie serio:**

**– Tylko czy na pewno teraz nie żałujesz, że napisałeś ten list do mnie?**

**To nieśmiałe pytanie było dla niego ostatnią już szansą wycofania się ze wszystkiego. Alex wiedział o tym i ponownie musiał walczyć z bardzo silną pokusą.**

**– Nie, nie żałuję – odpowiedział w końcu, odwrócił się i odszedł do swej kabiny szybciej, niż zamierzał. Usłyszał za sobą lekkie trzaśnięcie drzwi i**



wiedział, że klamka już zapadła.

Ślub wzięli następnego dnia przed południem. Nie była to jednak taka uroczystość, o jakiej Katherine zawsze marzyła. Prawdę mówiąc, trzeba było sporo dobrej woli, żeby w ogóle nazwać to uroczystością. Odbyło się to wszystko w kajucie kapitana, dość ciasnej, nieprzytulnej i zdecydowanie rzadko wietrzonej. Ponieważ od rana znów mocno padało iluminatory musiały być szczelnie zamknięte, we wnętrzu rozeszły się nieprzyjemne zapachy smażonych ryb, skwaśniałego mleka i mocno kopiących naftowych lamp, które z dość mizernym efektem oświetlały pomieszczenie.

Sześć osób oczekiwało na przybycie panny młodej – prócz Alexa i Adriana był jeszcze sam kapitan Steptoe jako mistrz ceremonii, oraz dwaj ludzie z jego załogi – pierwszy mat i kucharz – którzy mieli wystąpić w roli świadków.

Gdy Katherine pojawiła się, cała ubrana na niebiesko, Alex w tej naprędcie spreparowanej ślubnej kreacji natychmiast rozpoznał jej najlepszą niedzielną sukienkę, w której od lat chodziła do kościoła. Choć przeróbka wykonana

184

została całkiem zręcznie i miała pewien wdzięk, nagle poczuł się nieco głupio, gdyż dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że branie ślubu w starej przerobionej sukience niekoniecznie musi być marzeniem wychodzącej za mąż młodej kobiety. Nie najlepiej też świadczył o nim fakt, że panna młoda – z braku prawdziwych, żywych kwiatów – w charakterze ślubnej wiązanki trzymała żaloszny bukiet sztucznych petunii, które wcześniej, jeśli go pamięć nie myliła, musiały chyba zdobić stary słomkowy kapelusz Fanny Bright.

Alex zaklął w duchu, poirytowany własną bezmyślnością i brakiem

elementarnej dbałości o najbardziej podstawowe potrzeby kobiety, która w końcu miała stać się jego żoną. Oczywiście przed zabraniem jej na pokład tego statku powinien był najpierw pojechać z nią do najlepszych sklepów w San Francisco i tam kupić jej wszystko, co mogło być potrzebne. Należało też przynajmniej zapytać ją, czy nie czuje się zbyt zmęczona po forsownym pierwszym etapie podróży z Teksasu aż do Kalifornii, i zaproponować jej kilkudniowy odpoczynek w którymś z renomowanych hoteli. W ogóle trzeba było od samego początku po prostu zadbać o nią, czego z zupełnie niezrozumiałych powodów nie zrobił i czego teraz musiał się głęboko wstydzić. To, że ślub musieli brać w tej ciasnej i zatęchłej klitce kapitańskiej kajuty, właściwie na chybcika i w obecności kompletnie obcych osób, też było to tylko jego winą. Tak, od pierwszej chwili traktował Katherine gorzej niż źle i nie mógł być dumny z własnego zachowania.

Adrian chyba musiał pomyśleć o tym samym, bo pochylił do ucha brata i szepnął:

– To zadziwiające, jak uroczo i wdzięcznie ona potrafi w tym wyglądać. Jest po prostu czarująca.

Powiedział to jak najbardziej szczerze, bez cienia złośliwości, a Alex tylko skinął głową. Nawet w tym biednym stroju Katherine rzeczywiście wyglądała wspaniale. Ale zasługiwała na więcej. Na dużo więcej. Alex przyrzekł sobie w duchu, że jakoś postara się jej to wynagrodzić.

Katherine uroniła łezkę na samym początku, lecz podczas ceremonii była już spokojna i prawie pogodna, choć cały ten ślub wciąż wydawał się jej dziwny i trochę nierealny. To, co się działo, było bardzo dalekie od jej

wyobrażeń o prawdziwym ślubie. Brakowało właściwie wszystkiego –jarzącego się setkami świec kościoła, dającego ślub zaprzyjaźnionego kapłana, wzruszającej muzyki w wykonaniu wiejskiego organisty, białego stroju i welonu panny młodej... Brakowało świeżych kwiatów i – przede wszystkim –

185

bliskich przyjaznych ludzi. Udzielający ślubu kapitan i występujący w roli świadków dwaj jego podwładni byli nienagannie uprzejmi i z całą pewnością życzliwi, ale to wciąż była uprzejmość ludzi obcych, trochę sztywna i raczej formalna.

W rezultacie Katherine zamyśliła się nad tym wszystkim na tyle, że na urzędowe pytania udzielającego im ślubu kapitana odpowiadała niemal automatycznie. Z pewnym zaskoczeniem usłyszała nagle ostatnie słowa wygłaszanej przez niego formuły:

– ...ogłaszam was mężem i żoną. Teraz może pan ją pocałować.

Nieco pobladła i oszołomiona, patrzyła na Alexa, który położył dłonie na jej ramionach i bardzo lekko, niemal chłodno, dotknął ustami jej warg.

Tyle też, mówiąc najkrócej, miała z męża w pierwszą noc po ślubie.

Odprowadził ją do kabiny, grzecznie odmówił, gdy prosiła go do środka, pocałował równie zdawkowo, jak poprzednio, i oddalił się bez słowa. Tak więc po bardzo formalnej ceremonii ślubnej – podczas której przez cały czas miała dziwne poczucie, że jest w jakimś całkowicie obcym miejscu pośród całkowicie obcych ludzi – Katherine nagle ponownie znalazła się sama w tej odpychającej i wypranej z wszelkiego ciepła okrętowej kajucie, gdzie jedyną w miarę swojską rzeczą był ten nieszczęsny bukiet sztucznych petunii, wzięty ze

starego słomkowego kapelusza Fanny Bright. Trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej dotkliwą samotność, i to w takiej chwili.

Katherine nagle poczuła, że rozpaczliwie chce wrócić do domu. Wrócić tam zaraz, natychmiast! Wrócić do miejsc, które kochała i w których ją także kochano. Gdzie czuła się bliska wszystkim, od Fanny Bright aż po Clovisa. Nawet nie próbując ocierać łez, które obficie płynęły z jej oczu, zaczęła sobie odtwarzać w wyobraźni wszystkie znajome miejsca i związane z nimi szczęśliwe wydarzenia, które na zawsze pozostały w jej pamięci. Ze wzruszeniem myślała o rodzinnej ziemi, domu, rzeczce... Rozmyślała tak, zdawałoby się, nieskończenie długo, chwilami na granicy snu i jawy, zatracając zupełnie poczucie czasu.

Do rzeczywistości przywołało ją dopiero pukanie do drzwi. Po chwili usłyszała znajomy głos:

– Katherine?!

To był Adrian, który najwyraźniej uznał, że w tym momencie powinien z nią porozmawiać.

– Idź sobie – powiedziała i pośpiesznie otarła powieki. Jednak dziwne brzmienie jej głosu zaniepokoiło go.

– Co ci jest, Katherine? Dobrze się czujesz?

Jeszcze raz otarła oczy wierzchem dłoni.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Idź sobie! Ale on już był w środku, przysunął sobie krzesło i usiadł na jej łóżku.

– Co ci jest? – zapytał ze szczerą troską. – Źle się czujesz?

– Nic mi nie jest – powiedziała, choć łzy w kącikach oczu zaprzeczały jej słowom. – Po prostu zrobiło mi się trochę smutno i tęskno za domem.

Oboje wiedzieli, że to całkowita nieprawda. Katherine była rozżalona z zupełnie innego powodu, ale z całą pewnością nie chciała o tym rozmawiać.

Adrian zdawał sobie sprawę, że powinien to uszanować.

– No cóż, tęsknota za domem zdarza się każdemu – powiedział jowialnie i poklepał ją po ramieniu. – W gruncie rzeczy trudno się spodziewać, żeby było inaczej. Zwłaszcza kiedy się człowiek zamknie w takiej nieprzytulnej klitce jak ta, gotów jest pewnie tęsknić za wszystkim, co zostawił, nawet za Clovisem.

– A żebyś wiedział! – Katherine mimo woli uśmiechnęła się przez łzy. – A żebyś wiedział, że za nim też tęsknię.

– A ja się wcale temu nie dziwię. Zwłaszcza kiedy się popatrzy na zachowanie niektórych takich, co to na dobrą sprawę powinni być jednak trochę mądrzejsi... przynajmniej od muła.

Katherine wiedziała, kogo Adrian ma na myśli, i była mu wdzięczna nie tylko za to, że próbuje dodać jej ducha, ale i za to, że robi to tak dyskretnie i z taką delikatnością. Zważywszy na jego uczucia dla niej, o których nie mogła nie pamiętać, musiało to być dla niego naprawdę niełatwe.

Chciałaby mu odplacić tym samym i również podnieść go na duchu, lecz zdawała sobie sprawę, że to jest prawie niemożliwe. Dawanie mu jakiegokolwiek nadziei mogłoby być źle zrozumiane.

Lekkie pukanie przerwało te rozmyślenia.

– Kto tam? – spytała, a Adrian podniósł się, żeby otworzyć drzwi. Stał w nich Alex, który na jego widok wysoko uniósł brwi.

– O, jak miło! – powiedział. – Idę odwiedzić żonę i kogo tutaj znajduję?

Mojego drogiego brata! – Spojrzał na Katherine, a potem na Adriana. – Ale co ty tu właściwie robisz?

– Dodaję jej ducha.

187

– Co takiego?

Próbuję ją trochę rozweselić. Alex spojrzał na Katherine. Nietrudno było zauważyć, że płakała.

– Dosyć marnie ci to idzie, sądząc po jej oczach. Stało się coś złego?

Adrian popatrzył na niego i z politowaniem pokręcił głową.

– Tylko mój wspaniały brat mógł zadać równie inteligentne pytanie.

– Co niby chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że dla każdego średnio rozgarniętego osobnika powinno być oczywiste, co złego się stało.

– Więc jeśli dla ciebie to jest oczywiste, dlaczego mnie nie oświecisz? –

zapytał jawnie już poirytowany Alex. Adrian wzruszył ramionami.

– Bo nie chciałbyś tego usłyszeć. Lepiej popatrz na żonę i sam sobie odpowiedz.

Alex wyraźnie miał już tego dość, taka rozmowa przestała go bawić.

– Zaraz, co się tu, u diabła, dzieje? – Popatrzył na Katherine, a potem znów na brata. – Bo ja tu czegoś nie rozumiem. Zjawiam się w kajucie żony o bardzo późnej już porze, i to w dniu, w którym wzięliśmy ślub, i zastaję u niej ciebie. Więc to chyba ja powinienem krzyczeć na ciebie, a nie odwrotnie, nie uważasz?

**Adrian uśmiechnął się ironicznie.**

**– A wiesz, że pomyślałem sobie dokładnie to samo? Że o tak późnej porze, a już zwłaszcza w pierwszą noc po ślubie to ty powinieneś tu być, a nie ja! Ale to nie jest miejsce na takie rozmowy między nami.**

**Spojrzał na Katherine, której oczy znów zaczynały się robić niebezpiecznie wilgotne.**

**– Na rozmowy o czym? – spytał Alex, coraz bardziej rozdrażniony.**

**– A choćby o tym, kto tu się dziwnie zachowuje. Bo to rzeczywiście dziwne – w twoją noc poślubną pukam i nie zastaję cię tutaj! Dlaczego cię tu nie było, drogi bracie?! Naprawdę chętnie bym się tego dowiedział.**

**Alex nagle dość niepewnie spojrzał na Katherine, po czym ujął Adriana pod ramię i powiedział:**

**– Może rzeczywiście to nie jest odpowiednie miejsce. Chodźmy porozmawiać do mnie.**

**– Dzięki Bogu, że chociaż część twego mózgu jeszcze funkcjonuje – mruknął Adrian. – Przepraszam cię za najście, Katherine. I wybacz, jeżeli możesz, wybacz nam obu.**

188

**Bracia przeszli do kajuty Alexa, który z gniewną miną zamknął drzwi, skrzyżował ręce na piersiach i powiedział:**

**– No to teraz gadaj!**

**Ale Adrian milczał. W pierwszej chwili rzeczywiście miał zamiar wyłożyć kawę na ławę, powiedzieć wszystko bardzo jasno i otwarcie, doszedł jednak do wniosku, że jest jeszcze na to za wcześnie. Za wcześnie, by Alex mógł**

**zrozumieć, co czuje Katherine, za wcześniej nawet na to, by on sam zrozumiał, co do niej czuje. Dlatego postanowił rozmawiać tylko o jego dzisiejszym zachowaniu, całą resztę odkładając na później.**

**– Nie mogłem nie zauważyć, że po ślubie odprowadziłeś Katherine tylko do drzwi jej kajuty, a potem ją zostawiłeś. I powiem ci, że to był bardzo zły ruch z twojej strony.**

**– I dlatego ty postanowiłeś zrobić równie zły ruch i poszedłeś do niej?**

**– Poszedłem, ponieważ wiedziałem, jak może się czuć w takiej sytuacji.**

**Miałem nadzieję, że choć trochę ją rozweselę, dodam jej ducha.**

**– Jestem pewien, że taki właśnie miałeś zamiar. A w jaki konkretnie sposób chciałeś ją rozweselać i dodawać tego ducha?**

**– Dokładnie tak samo jak zawsze. Ofiarowując jej przyjaźń i zrozumienie.**

**– Zawsze chciałeś od Katherine czegoś więcej. Nie mów mi, że wystarczała ci przyjaźń i zrozumienie.**

**– Wcale się tego nie wypieram. Rzecz jednak zawsze polegała na tym, że ona nigdy nie chciała ode mnie niczego, co wykraczałoby poza przyjaźń.**

**– Znam ją równie długo, jak ty. Więc jak to się stało, że wiesz o niej dużo więcej niż ja?**

**– Najpewniej dlatego, że, w odróżnieniu od ciebie, nie byłem zaślepiony i otumaniony przez Karin. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, jak ona mogła aż tak cię fascynować. Według mnie nie ma w niej nawet grama prawdziwej kobiecości. Katherine jest dziesięć razy bardziej kobieca, ale podejrzewam, że jeszcze wiele wody upłynie w rzekach, zanim to zrozumiesz, jeżeli w ogóle zrozumiesz.**



– Nie płacz do tego Karin, bo to zupełnie nie ma sensu.

– Owszem, ma. Na tym to wszystko polega, że Karin nigdy nie była odpowiednią dla ciebie dziewczyną. Nigdy. Czy, na przykład, mógłbyś ją sobie wyobrazić tu, na miejscu Katherine? Czy jest w ogóle do pomyślenia, żeby zechciała zamieszkać w miejscu tak pozbawionym wszelkich wygód, jak nasz obóz drwali? Przecież co dzień umierałaby z rozpacz, choćby dlatego, że nie

189

ma w pobliżu sklepu z modną odzieżą.

– Mógłbym jej kupić wszystkie sukienki, na które miałaby ochotę, i w ogóle wszystko, co chciałyby mieć!

– Tak, mógłbyś, i ona pewnie byłaby tym zachwycona. Ale czy o to właśnie ci chodzi? O kobietę, której stale trzeba coś kupować, żeby ją przy sobie utrzymać?

– Karin nie jest taka.

– Nie jest? A myślisz, że w ogóle weszłaby na ten statek be? wcześniejszego wykupienia co najmniej połowy całego zapasu towarów w najbardziej luksusowych sklepach San Francisco? Że zgodziłaby się wyjść za ciebie ubrana w pośpiesznie przerobioną starą sukienkę, z żalonym bukietem sztucznych petunii w charakterze ślubnej wiązanki? Jeśli tak myślisz, to naprawdę musisz być niespełna rozumu. I jeszcze coś ci wyznam, coś, co cię może zaskoczy, chociaż nie powinno. Ja ci zazdroszczę! Zazdroszczę jak wszyscy diabli. Nie tylko tego, że masz Katherine, ale przede wszystkim zazdroszczę ci tej szczególnej opieki, jaką niebo otacza takiego głupka jak ty. Bo w tym wszystkim musiał być palec boży. Ty powiadasz, że wpisanie imienia Katherine w twoim

liście było omyłką, ale ja ci na to powiem, że nie było żadnej omyłki! Czuwająca nad tobą Opatrzność na szczęście miała więcej rozumu niż ty. – Adrian potrząsnął głową. – I dlatego właśnie ci zazdroszczę... i jednocześnie ci współczuję.

– Współczujesz? Dlaczego?

– Bo nie umiesz korzystać z darów Opatrzności. To wyjątkowo dotkliwy rodzaj ślepoty, naprawdę godny współczucia. – Adrian podniósł się, zamierzając wyjść.

– Zaczekaj – zatrzymał go Alex. – Więc co, twoim zdaniem, powinienem robić?

Adrian westchnął i stojąc już przy drzwiach, odwrócił się do brata.

– Myśl – powiedział. – Po prostu myśl. I kieruj się przede wszystkim tym, co masz w sercu, a nie tym, co masz w spodniach.

Wyszedł na korytarz, z głośnym trzaśnięciem zamykając za sobą drzwi.

Alex odprowadził go niewidzącym spojrzeniem, przez cały czas zastanawiając się nad tym, co usłyszał. „Kieruj się tym, co masz w sercu!” – to była istota udzielonej mu rady. Problem polegał jednak na tym, że gdyby chciał się do niej zastosować, to przeszukując własne serce, mógłby znaleźć w nim tylko Karin.

190

Zaklął pod nosem, usiadł na koi i już zamierzał zabrać się do ściągania

butów, gdy przed oczami znów stanęła mu pobladła i zapłakana twarz

Katherine. Pozostawienie jej samej rzeczywiście nie było zbyt uprzejme – ale co właściwie miał zrobić w tej sytuacji? Była jego żoną, lecz co z tego wynikało?

**Że powinien pójść z nią do łóżka? Może rzeczywiście powinien; pomysł mógł się wydawać nawet dosyć kuszący, Alex wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Nie teraz. Było wystarczająco wiele powodów, aby się od tego powstrzymać.**

**Kilka minut później zapukał jednak do jej drzwi, a potem wszedł do środka, mimo że nie zareagowała na jego pukanie. Katherine siedziała na koi, w zamyśleniu bawiąc się ślubnym bukietem, z którego zdążyła oberwać już znaczną część płatków. Podniosła wzrok i spojrzała na Alexa jawnie niezycliwie.**

**– Czy powiedziałam „proszę”?**

**– Nie, chociaż pukalem.**

**– A nie przyszło ci do głowy, że może po prostu nie chciałam, żeby mi przeszkadzano?**

**– Nie. Dlaczego miałbym tak myśleć? Skubanie sztucznych petunii nie wydaje mi się zajęciem szczególnie absorbującym.**

**– A czym innym mogłabym się zająć? – spytała udręczonym głosem.**

**Alex uśmiechnął się.**

**– Może miałbym parę ciekawszych propozycji.**

**Ale Katherine nie wyglądała na zainteresowaną. Zdawała sobie sprawę, iż Alex najprawdopodobniej pojawił się u niej tylko dlatego, że nakłonił go do tego Adrian, i czuła się tym bardziej urażona.**

**– Nie mam ochoty wysłuchiwać żadnych propozycji – oświadczyła. –I w ogóle nie jestem w nastroju do rozmów. Wolalabym już się upić.**

**Alex spojrzał na nią zaskoczony i mimo woli się uśmiechnął.**

- Przecież nigdy dotąd nie piłaś?
- Ale teraz mogę zacząć.
- A nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym się przyłączył?
- To nie ma znaczenia, bo i tak nie mam alkoholu.
- Ale ja mam. – Podniósł się i ruszył do drzwi.
- Dokąd idziesz?
- Za moment będę z powrotem.

I rzeczywiście już po chwili pojawił się, z butelką whisky w jednej i dwiema

191

szklaneczkami w drugiej ręce. Kopnięciem zatrzęsął za sobą drzwi i postawił wszystko na stoliku.

Katherine patrzyła na butelkę z lekkim przerażeniem. Nigdy w życiu nie piła alkoholu i nawet przez chwilę nie myślała, że Alex poważnie potraktuje jej propozycje.

- Tak naprawdę nie zamierzałam zaczynać akurat teraz. spróbowanie smaku alkoholu zawsze będę miała czas.
- Dlaczego więc nie teraz? – zapytał, sadowiać się na krześle.
- Szykowałam się już do spania.
- Naprawdę? Na razie wydajesz się szczelnie zapięta.
- Właśnie miałam zacząć się rozpinać, kiedy zapukałeś.

Alex założył ręce za głowę.

- No to możesz kontynuować – powiedział, uśmiechając się. – Ja nie powinienem być w tym przeszkodą, bo przecież jestem twoim mężem, jeżeli pamiętasz.

– Ja akurat pamiętam, ale co do ciebie, to wcale nie jestem pewna.

– Oczywiście, że pamiętam. O tym, że jestem twoim mężem, pamiętam wyjątkowo dobrze.

– Więc, dlaczego wciąż mnie unikasz? Dlaczego zostawiasz mnie samą nawet w noc poślubną?

Na jej rzęsach nagle pojawiły się drobniutkie perełki łez. Widząc to, Alex poczuł się jak skończony lajdak. Usiadł na koi i delikatnie objął żonę – nie jak kochanek, ale jak przyjaciel.

– Katherine – odezwał się bardzo ciepło i czule. – Proszę cię, popatrz mi w oczy.

Wyglądało na to, że dziewczyna nie ma ochoty tego zrobić, ale w końcu podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Alex bardzo ostrożnie pogłaskał ją po włosach.

– Masz do mnie żal, bo zostawiłem cię tu samą. Chciałbym, żebyś zrozumiała, dlaczego to zrobiłem. Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale zrobiłem to dla ciebie.

– No nie! – zaprotestowała gwałtownie. – Nie wiem, jak mogłeś wpaść na pomysł, że w noc poślubną mogę chcieć być sama. Wolałabym... – Urwała nagle, przerażona tym, co chciała powiedzieć.

– Co wolałabyś? – spytał Alex.

Nie potrafiłaby wypowiedzieć głośno tego, co w pierwszej chwili

przemknęło jej przez głowę. O tym po prostu nie mogła mówić! Speszona opuściła wzrok, co wcale nie pomogło jej uniknąć łopotania. Przeciwnie, bo

patrzyła akurat na tę część jego spodni, której w tym momencie raczej nie powinna była oglądać. To, co tam wyraźnie nabrzmiewało pod tą tkaniną, to przecież... Gwałtownie odwróciła głowę i zaczęła się wpatrywać w przeciwną ścianę, udając niezbyt przekonująco, że ją to niezmiernie interesuje. Alex z trudem powstrzymał się od uśmiechu rozbawienia. Nieprawdopodobna naiwność Katherine była po prostu wzruszająca. Doskonale wiedział, że dziewczyna wciąż nie ma najmniejszego pojęcia o tym, do czego dochodzi między kobietą i mężczyzną, którzy się kochają. Była jednak gotowa poznać to wszystko – przy jego pomocy.

Problem polegał na tym, że on nie był akurat w najlepszym nastroju do dawania takich lekcji, do wprowadzania w miłosne arkana niczego nieświadomej, delikatnej i wrażliwej dziewczyny. Fakt, że była też jego żoną, tym bardziej skłaniał go do rozważności i ostrożności. Pochopnym działaniem można było wszystko popsuć, Alex postanowił więc poprzestać na razie na półśrodkach. Kilka czułych, ale bardzo delikatnych pocałunków, kilka odpowiednio ciepłych słów – to powinno na razie wystarczyć, żeby ją uspokoić i rozproszyć obawy, a jemu samemu dać czas na znalezienie się w nowej sytuacji. Bo na razie jego umysł pragnął czegoś zupełnie innego niż ciało – które zresztą poprzez pewne dość jednoznaczne objawy coraz wyraźniej dawało o sobie znać.

Alex zmobilizował więc wszystkie rezerwy silnej woli i postarał się jak najbardziej odprężyć. Delikatnie ujął lekko zaróżowioną twarz Katherine i zaczął mówić bardzo ciepło i przekonująco:

– My... to znaczy ty i ja... zawsze byliśmy przede wszystkim przyjaciółmi.

Byliśmy nimi rzeczywiście bardzo długo, ale, jak pewnie się domyślasz, być przyjaciółmi to nie to samo, co być kochankami. Dlatego u kobiety jest to zupełnie naturalne, że na początku, za pierwszym czy drugim razem, czuje się onieśmielona i skrępowana, nawet wobec takiego mężczyzny, którego zna od dawna. A ponieważ my przez dwa ostatnie lata w ogóle się nie widywaliśmy, pomyślałem sobie, że najsluszniej postąpię jeżeli dam ci trochę czasu na... na oswojenie się z tą nową sytuacją... Tak, na oswojenie się...

Katherine pomyślała, że tak naprawdę to wcale nie potrzebie się oswajać. No, ale skoro on tak mówi...

– Chcesz, żebym cię objął trochę mocniej? – spytał.

193

Na znak zgody Katherine skinęła głową, nie raz, a kilka razy –z taką intensywnością, że Alex mimo woli znów się uśmiechnął. przyciągnął ją do siebie i zapytał:

– Teraz lepiej?

– Dużo lepiej – odpowiedziała. Przytuliła się do niego, a w jej głosie nie było już napięcia. Wyraźnie się rozluźniła. Jeżeli już samo przytulenie jej dawało taki efekt, to co mogłoby nastąpić, gdyby tak posunąć się dalej?

– O czym myślisz? – zapytał, patrząc w jej rozmarzone oczy. W odpowiedzi uśmiechnęła się tak słodko, że Alex bardzo wyraźnie poczuł, iż jego serce zaczyna topić się niczym wosk.

– O niczym! – powiedziała, przymknęła oczy i przylgnęła do niego jeszcze mocniej.

A on patrzył na nią z rosnącym rozczuleniem. Nagle wydała mu się krucha

**i niesłychanie łatwa do zranienia – tak krańcowo samotna i odcięta od bliskich przez to obłądne małżeństwo, dla którego bez chwili wahania zdecydowała się przemierzyć niemal pół świata. Pierwszy szok i gwałtowny gniew już w nim przygasł, a tępy ból w sercu teraz wydawał się łatwiejszy do wytrzymania. Przy okazji odkrył w sobie coś jeszcze, czego zupełnie się nie spodziewał. Okazywało się, że był wrażliwy na kobiece wdzięki Katherine znacznie bardziej, niż mu się dotychczas wydawało.**

**Odruchowo przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej i sam nawet nie wiedział, jak to się stało, że wtulił twarz w miękkie zagłębienie tuż poniżej jej ucha i zaczął wargami pieścić gładką niczym atlas skórę szyi.**

**– Co robisz? – szepnęła Katherine.**

**– Pomagam ci się odprężyć.**

**– To nie pomoże. Cała jestem sztywna z przerażenia.**

**– I to ja cię tak przerażam?**

**– Ten Alex, którego znałam dotąd, nie przerażał mnie. Ale inaczej jest teraz, tak. Przynajmniej trochę.**

**– Jestem taki sam jak zawsze.**

**– O nie, wcale nie jesteś taki sam. Ten dawny Alex był moim przyjacielem.**

**A ten nowy jest moim...**

**– ...kochankiem, prawda? – dokończył za nią i objął ją w pól. Myślę, że możemy coś zrobić, żeby zlikwidować ten mrozący cię lęk. Spróbujemy może...**

**– Zaraz! – Katherine wydawała się jeszcze bardziej wystraszona. – Co chcesz zrobić? Czy to będzie bolało? Chcesz to zrobić teraz?!**



– Może byś przestała już mówić, a zamiast tego po prostu mnie

pocałowała?

Zaczął ją sam całować. Robił to tak namiętnie i z taką łatwością i wprawą, że Katherine mimo woli pomyślała, iż Alex musi mieć w tym względzie niemalże doświadczenie. Co dziwniejsze, ta myśl jej się nawet spodobała.

– To dobrze, że kochałeś się z wieloma kobietami – powie działa, nie zastanawiając się, i dopiero po chwili, w spóźnionym odruchu, zasłoniła sobie dłonią usta.

Alex roześmiał się i przytulił ją jeszcze mocniej.

– Tego, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się usłyszeć z ust własnej żony. Czy nie będzie to zbyt śmiałość z mojej strony. Jeśli zapytam, dlaczego uważasz, że to dobrze?

– A czy mogę nie odpowiadać? – spytała Katherine. – Powiedziałam coś odruchowo, ale chyba nie powinnam była tego robić. Jeśli się o czymś nic nie wie...

– Tym bardziej mnie to zaciekało. Dlaczego uważasz, że to dobrze?

– Bo... bo pomyślałam, że byłoby lepiej, żeby przynajmniej jedno z nas wiedziało to, co należy wiedzieć. A ty przecież nie nauczyłeś się tego wszystkiego z książek, prawda?

– Z całą pewnością tych rzeczy nie można się dowiedzieć z książek... w każdym razie ze znakomitej większości książek.

– Jak to z większości? Czy to znaczy, że są takie książki w których można to znaleźć?!

– Podobno.

**Katherine patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.**

**– Czy ty wiesz, że takim spojrzeniem możesz bez reszty uwieść mężczyznę?**

**Jesteś tak nieodparcie czarująca, że to człowieka obezwładnia. Zdajesz sobie sprawę, jaka to niesłychana siła?**

**– Nie. Zwłaszcza teraz nie zdaję sobie sprawy z niczego. Wiem tylko jedno: że cię kocham. Ale nie wiem, czy to wystarczy.**

**Alex zamknął jej usta pocałunkiem, który okazał się dużo dłuższy, mocniejszy i znacznie bardziej zmysłowy od tego poprzedniego. Ich usta się złączyły, oddechy zmieszały, ciała były bliżej siebie niż kiedykolwiek dotąd.**

**Katherine zatraciła się w tym pocałunku niemal bez reszty, ogarnęło ją poczucie rozkosznej błogości i niewypowiedzianego szczęścia. Tulila się do Alexa, chcąc tylko jednego – być przy nim, być jak najbliżej.**

195

**Tymczasem pożądanie narastało w Aleksie z taką siłą, że w pewnym momencie musiał już niemal ostatkiem sił oderwać się od żony, wiedząc, że w przeciwnym razie po prostu nie potrafi się pohamować. Zaskoczona Katherine patrzyła na niego półprzytomnym wzrokiem, nie bardzo zdając sobie sprawę, co się dzieje. Alex jednak wiedział, że powstrzymał się rzeczywiście w ostatniej chwili. I wiedział też, że postąpił słusznie.**

**Katherine z wolna także zaczynała rozumieć jego zachowanie. Nawet dla kobiety tak mało doświadczonej jak ona było oczywiste! że Alex jej pożąda, że chciał się z nią kochać, mimo to potrafił się powstrzymać. Była mu za to wdzięczna. Nie była aż tak zaślepiona, żeby nie zdawać sobie sprawy, że Alex wciąż myśli o Karin... I choć bardzo go pragnęła, nie chciała, żeby się kochał z**

nią, marząc o jej siostrze.

– Myślę, że... – Jej głos wciąż jeszcze lekko drżał – że teraz chyba rzeczywiście napiłabym się odrobinę alkoholu.

– Ja też.

Gdy sięgnął po butelkę i szklaneczki, Katherine z pewną satysfakcją zauważyła, że i on jest nieco rozdygotany, może nawet tak samo jak ona.

Alkohol rzeczywiście podziałał; rozluźnił ich, ale tylko na chwilę. Udało im się wymienić kilka żartów, niezobowiązujących uwag, lecz w gruncie rzeczy oboje myśleli tylko o tym, co mogło zdarzyć się już za chwilę. Alex w prawdziwej desperacji próbował się jeszcze ratować przypominaniem sobie wszystkich powodów, dla których nie powinien zbliżać się do Katherine, przypominał sobie nawet ów policzek, który mu wymierzyła, kiedy całował ją przed wyjazdem do Kalifornii. Ale to wszystko też nie zdało się na nic.

Odstawił pustą szklaneczkę, powoli podszedł do żony i znów wziął ją w ramiona. Nie opierała się, patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, a potem przymknęła je, gdy lekko dotknął jej warg.

Uważaj, chłopie, mówił sobie w duchu, uważaj co robisz, bo naprawdę chodzisz po bardzo cienkim lodzie. Już raz całowałeś ją w ten sposób, dwa lata temu, i dostałeś po twarzy – jak najbardziej zasłużenie, ponieważ ona wiedziała, że jej nie kochasz. A przecież nadal jej nie kochasz, więc tym bardziej nie masz prawa postępować z nią w ten sposób.

– Przepraszam cię, Katherine – powiedział nieco ochryple i gwałtownie się odsunął od niej. – Nie powinienem się tak zachowywać. Naprawdę nie próbuję cię zmuszać.

Popatrzyła na niego nie do końca przytomnym wzrokiem. Potem lekko

196

pokręciła głową i ledwo zauważalnie uśmiechnęła się.

– Do niczego mnie przecież nie zmuszasz. Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym tak pomyśleć?

Alex wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tak mi się nagle wydało.

– A co byś zrobił, gdybym... – Katherine zawahała się na chwilę –

...gdybym poprosiła, żebyś znów mnie pocałował?

– Nie jestem pewien, ale chyba zrobiłbym wszystko, czego byś ode mnie zażądała.

– Wobec tego pocałuj mnie. Proszę.

Alex zawahał się, potem ją pocałował. Najpierw lekko, następnie mocniej... i jeszcze mocniej. A potem – jak gdyby utracił nad sobą wszelką kontrolę – zaczął jak szalony całować, zupełnie na oślep jej oczy, policzki i szyję. Katherine, bliska omdlenia z nadmiaru emocji, musiała go bardzo mocno objąć za szyję, żeby nie upaść. Świat wokół niej zatracił ostre kontury i zdawał się odpływać gdzieś daleko, przy niej pozostał tylko on, Alex.

– Katherine... och, Katherine... – szepnął i znów pocałował ją w usta, a ona miała wrażenie, że ten pocałunek nigdy się nie skończy.

Wtedy nagle wszystko się skończyło. Zupełnie niespodziewanie Alex cofnął się, wyrwał się z jej objęć, a potem stał przed nią, oddychając głęboko i potrząsając głową jak człowiek, który w żaden sposób nie potrafi czegoś zrozumieć. Patrzył na Katherine i w jej oczach też widział oszołomienie i

rozterkę. Wiedział, że podobnie jak on, także nie potrafi znaleźć słów, które mogłyby wyrazić to, co czuje. Oboje wydawali się tu jednakowo bezradni.

Jedynym usprawiedliwieniem Alexa mogło być to, że takiego przebiegu wydarzeń wcale nie planował, zwłaszcza kiedy w pewnym momencie zaczął się zachowywać tak, jakby jedna siostra mogła tak po prostu zastąpić drugą. Nie miał prawa pozwalać sobie na coś takiego.

Jeszcze raz przeprosił Katherine, a kiedy już zamykał za sobą drzwi kajuty, przed oczami miał bardzo wyraźny obraz jasnowłosej Karin. Ale zanim doszedł do swoich drzwi, ten wizerunek ukochanej kobiety, który tak pieczołowicie niósł pod na wpół przymkniętymi powiekami, ponownie się zmienił.

To nie była już Karin, to znów była jej siostra – Katherine.

15

197

W ciągu następnych dni Katherine wychodziła na pokład rzadko i na krótko, jako że pogoda znów była niesprzyjająca; niebo pozostawało zachmurzone, silny zimny wiatr przeszywał ciało do kości, a jeśli nawet chwilami deszcz przestawał padać, to już wkrótce wyrównywała to z nawiązką następna ulewa. Tak więc, chcąc nie chcąc, Katherine większość czasu spędzała w kajucie, ze znacznym pożytkiem dla swego rozwoju intelektualnego, bo w ciągu tych paru dni zdołała przeczytać nie tylko tom wierszy Wordswortha, ale i napisaną przez Boswella dosyć opasłą biografię Samuela Johnsona.

Ostatni dzień podróży nie różnił się wiele od poprzednich. Deszcz padał, Alex wciąż się nie pojawiał, jeżeli nie liczyć krótkiego wspólnego lunchu z

kapitanem Steptoem. Potem Alex znów gdzieś znikł i już się więcej nie pokazał.

Wyglądało na to, że naprawdę gdzieś przepadł. Tylko jak można przepaść na tak niewielkim statku i to w dodatku na pełnym morzu. Katherine chwilami odnosiła wrażenie, że wyszła za mąż za zjawę.

W końcu miała już dość zarówno czytania, jak i niekończących się rozmyślań, i postanowiła zacząć działać. Skoro mąż się nie pojawiał, zdecydowała, że go poszuka sama. Na szczęście deszcz na jakiś czas przestał padać, a na górnym pokładzie zobaczy Adriana, zajętego ostrzeniem traperskiego noża na kamiennej oselce. Ten widok zaintrygował Katherine.

– Czyś ty przypadkiem nie ostrzył tego noża już wczoraj? – spytała, podchodząc bliżej. – Po co ci aż taka ostrość, chcesz się nim golić?

– Nie – odpowiedział Adrian. – Tamten wczorajszy nóż był mój. Ten należy do Alexa.

Katherine rozejrzała się. Pokład był pusty, jeżeli nie liczyć pierwszego mata przy kole sterowym i jeszcze dwóch marynarzy, poprawiających coś przy relingu. Nawet kapitan Steptoe gdzieś zniknął.

– Gdzie jest Alex? – spytała.

– A gdzie może być? – Adrian wzruszył ramionami. – Pewnie gdzieś tu jest.

– Dziękuję – odpowiedziała ironicznie. – Twoje wyczerpujące wyjaśnienie bardzo mi pomogło.

Adrian nie zareagował i nadal starannie pociągał ostrzem po powierzchni oselki, tylko od czasu do czasu spoglądając na wciąż stojącą obok Katherine.

– Możesz mi coś powiedzieć? – spytała po dłuższej chwili.

– Co?

– Dlaczego Alex poprosił mnie, żebym za niego wyszła?

Adrian przerwał ostrzenie noża, podniósł wzrok i popatrzył na nią

uważnie. Katherine odniosła wrażenie, że to pytanie z jakiegoś powodu go rozdrażniło. Tak, był wyraźnie zły, ale chyba nie na nią, raczej znów na brata.

– A nie lepiej zapytać o to Alexa? – odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Pytałam. – Katherine westchnęła.

– I co on na to?

– Odpowiedział, że zaproponował mi małżeństwo, ponieważ... miał mieć żonę.

– No więc przyjmij tę odpowiedź.

– Ale...

– Katherine, nie jestem stróżem ani opiekunem mojego brata i nie jestem też wtajemniczony w jego myśli. Czy sądzisz, że on mówi mi wszystko? Że to w ogóle możliwe?

– Nie, ale czy nie mógłbyś spróbować przynajmniej zgadnąć, co nim powodowało? Domyślić się?

– Mógłbym – odpowiedział Adrian i znów zamilkł.

– Mógłbyś, ale tego nie zrobisz. Czy tak?

– Posłuchaj. – Adrian odłożył nóż i odwrócił się twarzą do niej. –

Posłuchaj życzliwego ci człowieka i postaraj się zrozumieć, dlaczego właśnie tak z tobą rozmawiam. Oczywiście, mógłbym odgadywać. Mógłbym, ale to

wciąż będzie tylko domysł. A teraz uważaj, co ci powiem: domysły i przypuszczenia są zawsze jednakowo szare, a rzeczywistość musi mieć barwy wzięte z życia, musi być zielona jak trawa, niebieska jak niebo i czerwona jak te iskiarki w twoich włosach. Rzeczywistość jest tęczą, także i teraz, także w twoim przypadku. Więc ciesz się tym, co jest, i nie marnuj życia na zastanawianie się, jaką drogą tu trafiłaś.

Katherine wzruszyła ramionami.

– A ty byś się nie zastanawiał?

– Nie. Gdyby wyszła za mnie kobieta, którą pokochałem, to, po pierwsze, cieszyłbym się z tego i każdego dnia dziękowałbym za to Bogu, a po drugie, przez resztę o życia starałbym się usilnie, żeby nigdy tego nie żałowała. Na pewno nie traciłbym czasu na zastanawianie się, jaką drogą doszła do tej decyzji. Pamiętaj też, że kiedy się zadaje pytania, nie da się uniknąć

199

odpowiedzi. Dlatego uważaj z tym, bo możesz się dowiedzieć więcej, niżbyś chciała.

Katherine westchnęła i wsparła się o reling.

– Więc mam rozumieć, że radzisz mi po prostu zapomnieć.

– Dobrze rozumiesz, skarbie. Zawsze byłaś nie tylko piękna, ale i bardzo bystra. – Adrian popatrzył na nią i westchnął. – I gdyby nie to, że jesteś mężatką, pocałowałbym cię za to.

Katherine żartobliwie trzepnęła go po ramieniu.

– Nie całuję się z mężczyznami, którzy tyle palą.

– Mógłbym przestać.



**– Już za późno. – Roześmiała się.**

**Za późno – powtórzył Adrian. – Takie właśnie jest moje życie.**

**– Ale powiedz mi, Adrianie, czy myślisz, że Alex...**

**Położył palce na jej ustach.**

**– Powiem ci znów to samo: jesteś uroczą dziewczyną, która mówi za dużo i myśli za dużo.**

**– Nic nie mogę na to poradzić, że chciałabym jednak wiedzieć.**

**– W porządku, to ci wolno, ale bez przesady. Jeżeli będziesz się zadręczać pytaniami, zadręczysz także i jego.**

**– Najpierw musiałabym go zobaczyć, na co już od dwóch dni nie mam nawet najmniejszej szansy. Nie było go w zasięgu wzroku.**

**– Trudno mu się dziwić – mruknął Adrian.**

**Katherine uniosła brwi i spojrzała na niego zaskoczona.**

**– Co chciałeś przez to powiedzieć?**

**– Ze winę za ten stan rzeczy, przynajmniej częściowo, możesz przypisać sobie.**

**– A co ja takiego zrobiłam?**

**– Nic.**

**Katherine dostrzegła iskierkę rozbawienia w jego oczach i dała mu kuksańca w bok.**

**– Przestań się ze mną droczyć i odpowiedz po ludzku.**

**– Właśnie tak ci odpowiedziałem. Nie zrobiłaś nic i w tym cała rzecz. Jeśli przez dwa kolejne dni potrafisz być równie ponura, jak ta deszczowa pogoda, to czego się możesz spodziewać?**

– Jak możesz mówić coś takiego? Przecież to nieprawda!

– Prawda. Przez cały czas masz odstręcająco smutną minę.

200

– Może dlatego, że po prostu jestem smutna?!

– Masz do tego prawo, ale nie powinnaś tego okazywać. Jaka jesteś w środku, to wyłącznie twoja sprawa, ale na zewnątrz nie powinnaś wyglądać jak chodzące nieszczęście.

– A tak wyglądam?

– Obawiam się, że tak. Nie czuję się uprawniony do dawania, ale na twoim miejscu właśnie podczas tej ponurej pogody starałbym się wyglądać jak promy czek słońca, na złość wszystkim deszczom i chmurom. Starałbym się odcinać od tego szarego nieba, a nie upodabniać się do niego.

– I jak niby miałabym to zrobić?

– Na początek zmienić tę sukienkę – powiedział Adrian. – Jest jeszcze bardziej przygnębiająca niż ta cholerna pogoda. Katherine popatrzyła na niego i pokiwała głową.

– Tu akurat masz rację. Ale nie mam nic innego, tylko te stare sukienki, które rzeczywiście są okropne. Nic nie mogę na to poradzić.

– Nie możesz, bo zajmujesz się myśleniem o tym, jaka to jesteś nieszczęśliwa. A tymczasem masz znacznie większy wybór, niż ci się wydaje.

– Niby gdzie? Adrian westchnął.

– Przyrzekałem sobie już kilka razy, że nie będę się w to wtrącał, no i co?

Znów pakuję się w to wszystko tak, jak gdybym był niespełna rozumu. –

Podszedł do Katherine i wziął ją pod rękę. – Chodź ze mną, chcę ci coś

**pokazać. Ale potem, przysięgam na wszystko, usuwam się, i to jak najdalej.**

**Poprowadził ją do jej kajuty, a kiedy już znaleźli się w środku, podszedł do wbudowanych w ścianę szaf z przesuwanymi drzwiczkami. Niedbałym ruchem otworzył niektóre z nich, a zupełnie zaskoczona Katherine aż jęknęła z wrażenia. W pierwszych dwóch wisiały piękne bluzki, spódnice i sukienki w najróżniejszych kolorach i fasonach. W kolejnej były szale i ciepła peleryna z mięciutkiej wełny wraz z odpowiednim czepkiem do kompletu. Liczne szuflady wypełnione były drobniejszymi częściami garderoby – była tam elegancka bielizna, duży wybór pończoch i skarpetek, rękawiczki z palcami i bez palców, kilka wachlarzy, chusteczki do nosa, ozdobne buteleczki z wodą toaletową i różne inne potrzebne drobiazgi.**

**Wciąż mocno zdumiona Katherine zamknęła ostatnią szufladę i obróciła się do Adriana.**

**– Czy to,.. Alex? – spytała niepewnie.**

**– A któż by inny? – odpowiedział Adrian, nie mrugnawszy nawet okiem.**

201

**– Ale skąd wziął te wszystkie rzeczy? Przecież na tym statku nie ma żadnego sklepu.**

**– Wszystko kupił od kapitana Steptoeego, który akurat przewozi kilka skrzyń odzieży dla odbiorców w następnych portach.**

**– No dobrze, ale kiedy? – spytała Katherine. – Kiedy to wszystko kupił?**

**– Czy to takie ważne?**

**– Tak. Dla mnie ważne.**

**– Kupił to przed dwoma dniami, po waszym ślubie, jeżeli o to ci chodzi.**

**Katherine westchnęła i pokiwała głową.**

**– No tak... no tak. A mnie nawet nie przyszło do głowy, żeby tam zajrzeć.**

**Teraz mi wstyd, że nic mu nie powiedziałam. Adrian roześmiał się i poklepał ją po ramieniu.**

**– Nie musisz się aż tak martwić. Na to, żeby mu o tym powiedzieć, masz naprawdę tyle czasu, ile tylko zechcesz. Ale mam chyba jeszcze lepszy pomysł.**

**Dlaczego nie miałabyś mu się w tym pokazać? Wystrój się tak, żeby go zatkało.**

**I najlepiej zrób to od razu. Wyjdę, żebyś mogła się swobodnie przebierać. –**

**Przeszedł do drzwi, a wychodząc, puścił do niej oko. – Mądrzy tokarze mówią,**

**że na haczyku zawsze powinna być atrakcyjna przynęta – powiedział ze**

**znaczącym uśmiechem.**

**Katherine postanowiła posłuchać rady Adriana i na pożegnanie ze**

**statkiem wystąpić w nowej eleganckiej i bardzo kolorowej kreacji. Właśnie**

**kończyła przebieranie się, gdy do jej drzwi zapukał kapitan Steptoe, aby**

**poinformować ją, że „Merman” wpłynął już na wody Zatoki Humboldta i że**

**powinien kotwiczyć w pobliżu leśnego wyrębu mniej więcej w ciągu godziny.**

**Opuszczający statek pasażerowie wraz z bagażami i być następnie przewiezieni**

**łodzią do prowizorycznej przystani przy obozie.**

**Katherine przyjęła te informacje z prawdziwą radością. Cieszyła się, że**

**wreszcie opuści tę ponurą kajutę, której miała już naprawdę dość. Ale jeszcze**

**bardziej cieszyła się na myśl o tym, że już wkrótce pokaże się Alexowi ubrana**

**tak pięknie i kolorowo, jak nigdy dotąd. Jeszcze raz obejrzała się dokładnie w**

**lustrze i uznała, że w takim stroju musi wywrzeć wrażenie na każdym, nawet**

**na Aleksie.**

Czekało ją jednak przykre rozczarowanie. Mąż nie przyszedł, żeby jej pomóc przy pakowaniu bagaży, a przy wsiadaniu do łodzi okazało się, że tam go również nie ma. Dopiero sternik poinformował ją bardzo uprzejmie, że pan

202

Alex Mackinnon już wcześniej kazał się przewieźć szalupą na brzeg, żeby – jak powiedział – na miejscu sprawdzić, czy wszystko jest gotowe.

– Pan Mackinnon bardzo dba o panią – powiedział kapitan Steptoe, osobiście pomagając jej zejść do łodzi.

– O, tak – odpowiedziała Katherine, usilnie starając się, by jej wymuszony uśmiech wyglądał możliwie przekonująco. – To mu trzeba przyznać.

Znów zaczęło mocno padać i tylko dzięki uprzejmości kapitana, który pożyczył jej własną nieprzemakalną kurtkę, Katherine mogła dotrzeć do brzegu względnie sucha, osłonięta przed zacinającym deszczem i zimnym wiatrem, przenikającym do kości. Przy takiej pogodzie brzeg, do którego się zbliżali, wydawał się wyjątkowo ponury i niegościnnie. Czarna ściana lasu podierała ciemnoszare niebo, a w porównaniu z ogromnymi drzewami prymitywna, sklecona z kilku belek przystań wydawała się malutka i ledwie widoczna. Alex stał tam. Poprzez zacinający deszcz chwilami dostrzegła jego sylwetkę. Gdy łódź dobiła do przystani, podszedł do Katherine, by pomóc jej wyjść na brzeg. Milczał, zresztą i tak trudno byłoby coś usłyszeć. Za plecami huczało morze uderzające o brzeg, a w górze, nad ścianą lasu porywisty wiatr wył w wierzchołkach drzew jak cały legion potępieńców.

Katherine rozejrzała się. Otoczenie wydało jej się wyjątkowo niegościnnie – wbrew temu, co dotąd opowiadał Alex.

Według jego relacji, miało to wyglądać zupełnie inaczej. – Kiedy poznasz to miejsce, na pewno je polubisz – mówił z przejęciem. – Las jest tak gęsty, że nie da się przezeń przejechać konno, stoki opadają ku morzu, co bardzo ułatwia transport ściętych bali. Rośnie tam wszystko, wysokopienna sosna, strzeliste świerki, cedry i wspaniałe sekwoje, trzydziestometrowe albo wyższe, wyobrażasz to sobie?! A niektóre szyszki są wielkości sporego melona. Głowę daję, że nigdy nie widziałas czegoś podobnego.

I rzeczywiście, czegoś takiego Katherine jeszcze nie widziała. Mając w pamięci

ten

wręcz

entuzjastyczny

opis,

spodziewała

się

czegoś

nadzwyczajnego, prawdziwego rajy na ziemi, gdzie roślinność jest bujna i zielona, a powietrze rześkie i pachnące niczym bożonarodzeniowa choinka.

Ale to, co zobaczyła, bardzo daleko odbiegało od tych wyobrażeń. Na obóz

drwali składało się kilkanaście prymitywnych drewnianych bud, bezładnie

rozrzuconych na półhektarowym kawałku nagiej ziemi, pozbawionej wszelkiej

roślinności i zasypanej ogromnymi stosami pociętych gałęzi, kory i trocin,

które tliły się w kilku kopcących ogniskach, zasnuwając cały teren ciężkim,

**gryzącym dymem, który utrudniał oddychanie i dotkliwie drażnił oczy. Miało to tylko tę dobrą stronę, że rozczarowana Katherine mogła ukryć twarz w mufce pod pretekstem, iż to właśnie ten dym sprawia, że jest bliska płaczu.**

**Wymijając niezliczone placki odchodów, pozostawione przez woły wykorzystywane do ciągnięcia potężnych drewnianych bali, dotarli w końcu do bardzo prymitywnego domu, stojącego nieco na uboczu. Alex pomógł żonie wejść na ganek, potem odwrócił się do niej i zapytał:**

**– No i co o tym sądzisz?**

**Na to pytanie nie mogła odpowiedzieć otwarcie. To miał być najszczęśliwszy moment w jej życiu. Ale nie był. Nie dlatego, że miejsce, do którego przybyła, od pierwszej chwili wydało się jej przygnębiająco brzydkie i wręcz odpychające. Z tym mogłaby sobie jakoś poradzić; w końcu przy odrobinie dobrej woli do wszystkiego można się przyzwyczaić. Znacznie bardziej bolała ją obojętność i oschłość ze strony człowieka, dla którego tu przyjechała. Miała więc wszelkie powody, żeby czuć się sfrustrowana i przygnębiona, postanowiła jednak już wcześniej, że nigdy sobie na to nie pozwoli. Powtarzała w myślach wciąż na nowo, że kocha Alexa wystarczająco mocno, by nie tracić nadziei, by przez niepotrzebne pytania i obawy nie zniszczyć tego, co już osiągnęła. Zbudowanie prawdziwego porozumienia po prostu wymagało czasu, zważywszy na to, że przez wiele lat łączyła ich tylko przyjaźń. A to, że Alex przez lata kochał Karin, też nie było przeszkodą, której nie dałoby się przewyciężyć.**

**Katherine przypomniała sobie słowa Adriana. Skoro została żoną człowieka, którego zawsze kochała, nie powinna pytać, dlaczego tak się stało.**

Spojrzała na Alexa, kolejny raz starając się zepchnąć w niepamięć bolesne poczucie odtrącenia, które nieustannie powracało, choć naprawdę ze wszystkich sił usiłowała z nim walczyć i próbowała dostrzegać tylko dobre strony wszystkich zdarzeń. Nie było to wcale łatwe, zważywszy na to, że właściwie przez cały czas Alex trzymał ją na dystans, a samo zawarcie małżeństwa niczego nie zmieniło. Tę samą chęć dystansowania się miał wypisaną na twarzy także i teraz. W pierwszym odruchu Katherine miała ochotę wbiec do tej okropnej budy, nie wiadomo dlaczego zwanej domem, i po prostu zatrzaskać za sobą drzwi, zostawiając go na zewnątrz. Niech tam sobie stoi i utrzymuje ten dystans. na którym tak mu zależy!

Ale gdy spojrzała na niego uważniej, dostrzegła w nim też coś zupełnie innego: rozterkę i niepewność. Gdy zdała sobie z tego sprawę, poczuła nagle

204

coś w rodzaju współczucia. Jemu też nie było łatwo, on w tej nowej sytuacji również nie potrafił się odnaleźć, zupełnie tak samo jak ona.

– Chciałabym cię przeprosić – powiedziała cicho.

– Za co?

– Że dopiero teraz znalazłam okazję, żeby ci podziękować za te wszystkie rzeczy, które dla mnie kupiłeś. Nigdy nawet nie marzyłam, że mogłabym mieć na sobie coś równie pięknego! Te stroje są wspaniałe... i chyba nawet za dobre, żeby je nosić w obozie drwali.

– Są odpowiednie dla mojej żony – odpowiedział chłodno. – Chciałbym, żebyś tak właśnie wyglądała, niezależnie od tego, gdzie będziesz. Żebyś zawsze była taka, jaka powinna być moja żona.



Po czymś takim Katherine mogła albo się wściec, albo uśmiechnąć – a przynajmniej udać, że się uśmiecha. Wybrała to drugie rozwiązanie.

Wymagało to od niej sporego wysiłku, lecz zakończyło się umiarkowanym powodzeniem. Nie dała się sprowokować i odpowiedziała właśnie tak, jak powinna odpowiedzieć żona, jaką Alex chciał w niej widzieć:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię nie zawieść. Słowa były jak najbardziej odpowiednie, brakło w nich jedynie odrobiny ciepła.

– Dziękuję ci za tę obietnicę – odpowiedział Alex dokładnie tym samym tonem.

Był wystarczająco bystry, by zauważyć, że to, co powiedział wcześniej, boleśnie ją dotknęło. Nie chciał sprawiać przykrości Katherine, która w tym wszystkim była przecież Bogu ducha winna. Winien był – przede wszystkim – Adrian. Wciąż był wszystkiemu winien, nawet jeśli dostał już za swoje.

Rankiem, jeszcze przed wypłynięciem „Mermana” do zatoki, Alex stał samotny przy tylnym relingu i wpatrywał się w umykającą za rufą wodę, gdy podszedł brat do niego i powiedział:

– Chciałbym cię o czymś poinformować.

– O czym?

– Że pozwoliłem sobie wybrać z zasobów kapitana Steptoego kilka ładnych rzeczy dla Katherine.

– Zaraz! Jakich rzeczy?!

– Kobięcych, kilka sukienek, trochę eleganckiej bielizny i tak dalej.

Alex trafił go błyskawicznym prawym prostym, po którym Adrian zatoczył się aż na reling. Trzymając się za obolałą szczękę, zapytał:

– Za co to?

205

– Nie za co, tylko po co. Po to, żeby coś wreszcie do ciebie dotarło! – Alex chwycił brata za kołnierz i przyciągnął do siebie. – Trzymaj się z daleka od mojej żony, zrozumiałeś?! Jeżeli trzeba będzie coś jej kupić, sam to zrobię!

– Nie powiedziałem jej, że to ja kupiłem te rzeczy. Katherine myśli, że to ty...

Alex uderzył go ponownie.

– Co cię, u diabła, napadło? – spytał Adrian. – Usiłowałem ci powiedzieć, że twoja żona jest przekonana, iż to wszystko dostała od ciebie.

– Ale te rzeczy nie są ode mnie, prawda? Więc bądź uprzejmy nie myśleć za mnie, a już w żadnym wypadku nie próbuj niczego za mnie robić! Katherine jest moją żoną i jej potrzebami zajmę się w taki sposób, jaki sam uznam za stosowny.

Alex był naprawdę wściekły – częściowo dlatego, że brat przekroczył pewne niepisane granice, a częściowo dlatego, że sam nie pomyślał o strojach dla Katherine. Potem unikał żony przez całą resztę dnia, niepotrzebnie przysparzając jej udręki. Miała pełne prawo być obrażona. Katherine patrzyła na niego wyczekująco, a on po prostu odwrócił się, jakby zamierzał odejść bez słowa.

– Powiedz mi... – zaczęła, po czym nagle urwała w połowie zdania.

Alex zatrzymał się.

– Tak?

– Czy... czy tu będę teraz mieszkać? – spytała niepewnie. – Widać było, że

taka perspektywa ją przygnębia, choć usilnie starała się tego po sobie nie pokazać.

– Na razie tak, dopóki nie uda się odblokować drogi właściwego domu.

Większość ściętych ostatnio bali jest tam w błocie. Wszystko przez te piekielne deszcze. Jeżeli do wieczora nie uda się ich wyciągnąć, spróbujemy dojechać tam konno, ale wtedy musiałabyś przez jakiś czas obyć się bez bagaży. Na razie moi ludzie przyniosą je tutaj, musisz im tylko pokazać, gdzie mają je złożyć.

Kolacja jest w baraku stołówki, o szóstej.

Zdając sobie sprawę, że znów jest nieprzyjemnie oschły, Alex postarał się, żeby przynajmniej kilka ostatnich zdań zabrzmiało nieco cieplej:

– Chciałbym mieć dość czasu, żeby ci pokazać okolicę, ale na razie trzeba będzie z tym poczekać. Za długo nas tu nie było, mnie i Adriana, więc musimy odrobić zaległości, a w dodatku pogoda bardzo pokrzyżowała nam szyki.

Muszę natychmiast obejrzeć stan prac w kilku kluczowych miejscach. Wrócę,

206

jak tylko będę mógł.

– Nie chcę tu zostawać sama – powiedziała Katherine. – Wystarczająco nasiedziałam się w kajucie na statku. Wolalabym pójść gdzieś między ludzi, poznać ich. Deszcz nie jest już taki intensywny, więc może pójde do tej stołówki, przynajmniej z kimś porozmawiam. Co prawda dotąd widziałam dookoła samych mężczyzn, ale chyba są tu jakieś kobiety?

– Jest jedna, ale za to tak wielka, że wystarczy za cztery. Nazywa się Molly, jest żoną naszego głównego specjalisty od ścinki i obróbki drewna, a sama pracuje w kuchni. Wygląda groźnie i jest dziesięć razy bardziej pyskata niż

Fanny Bright, ale myślę, że ją polubisz, kiedy poznacie się bliżej. Co prawda ogląda jak zawodowy zapaśnik i waży ponad sto kilo, ale boją się jej tylko mężczyźni, i całe szczęście, że się jej boją, bo możesz sobie wyobrazić sytuację jedynej kobiety na takim odludziu, otoczonej przez ponad setkę mężczyzn.

Tylko nasz miński kucharz Wong, choć jest od niej co najmniej dwa razy silniejszy, nie boi się jej i nawet potrafi się z nią klócić ząb za ząb, a ona wtedy rzuca w niego kawałkami drewna, przeznaczonymi na podpałkę. To cud, że się jeszcze nie pozabijali.

Nie była to szczególnie zachęcająca perspektywa, ale ostatecznie Wszystko wydawało się lepsze od samotnego siedzenia w tym pokoju.

– Zaryzykuję i pójdę z nią porozmawiać – oznajmiła Katherine. –

Domyślam się, że kuchnia musi być tam, gdzie widać dym nad kominem, więc nie zabłądzą i mam nadzieję, że jakoś tam dojdę.

– Jeżeli wcześniej nie ugrzęźniesz w błocie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli cię tam przeniosę.

Katherine spojrzała na niego zaskoczona.

– W jaki sposób?

– Bardzo zwyczajny. Po prostu wezmę cię na ręce i będę niósł, aż doniosę.

A jeśli zaczniesz mocniej padać, schowamy się pod drzewem.

– Ale dlaczego miałbyś mnie nieść? Przecież przyszedłam tu sama.

– Może dlatego, że na drodze do kuchni jest znacznie więcej błota –

odpowiedział Alex i uśmiechnął się. – A może po prostu chciałbym cię wziąć w objęcia, nie bacząc na dziesiątki pracujących u mnie ludzi, którzy zewsząd będą się na nas gapić. Przenoszenie pięknej kobiety przez błoto jest bardzo

**dobrym pretekstem.**

**– Ale... – zaczęła Katherine, coraz bardziej zaskoczona niespodziewaną zmianą zachowania męża. Chociaż, prawdę mówiąc, nie powinno jej to aż tak**

**207**

**bardzo dziwić. Nie po raz pierwszy jego zachowanie zmieniało się diametralnie na przestrzeni ledwie kilku minut. – Ale czy...**

**Nie pozwolił jej dokończyć.**

**– Cała Katherine, równie piękna, jak uparta! – powiedział, patrząc na nią z jawnym zachwytem. – Gdybyś tak chociaż raz w życiu zechciała zamknąć swe słodkie usteczka i pozwoliła się nieść.**

**– Nieść marzeniom? – spytała.**

**– Nieść mężczyźnie. – Uśmiechnął się szeroko. – Kobieta n powinna przepuszczać takich okazji.**

**Pochylił się ku niej i z niezwykłą łatwością wziął ją na ręce. Niósł ją lekką jak piórko – na oczach co najmniej kilku krzątających się w pobliżu ludzi, którzy na chwilę przerwali pracę, żeby obejrzeć ten niecodzienny widok.**

**Alex szedł coraz szybciej, najpewniej po to, żeby zejść im z oczu, ale także i dlatego, że deszcz znów się wzmógł i zmuszał ich do szukania chwilowego ukrycia pod koronami ogromnych drzew, na tyle odległych, że trzeba było naprawdę się śpieszyć, żeby uniknąć całkowitego przemoknięcia. Dopiero kiedy znaleźli się pod ich osłoną, lekko zdyszany, postawił żonę na ziemi, odetchnął głęboko, a następnie zdjął kapelusz, otrząsnął go z kropel deszczu i parę razy przejechał palcami po wilgotnych włosach. Jeszcze raz otrzepał kapelusz i nasadził go na głowę.**

– Dziękuję, że mnie przенiosłeś – szepnęła Katherine.

– Miło mi było.

– Mnie jeszcze bardziej – powiedziała to bardzo szczerze.

– Bo widzisz, Katherine...

Alex urwał i zamilkł, ale to, co można było bez trudu zauważyć w jego spojrzeniu, nie wymagało słów. Katherine już kilka razy miała okazję dostrzec w jego oczach ten szczególny wyraz, w którym tęsknota mieszała się z rozterką. Z nadmiaru emocji lekko zachwiała się na nogach, a on natychmiast ją objął.

– Wiesz... – powiedział tym lekko ochryplym, uwodzicielskim głosem, który pamiętała tak dobrze – czasami zdarza mi się myśleć o tych wszystkich naprawdę rozkosznych chwilach, które może przynieść nasze małżeństwo.

Może właśnie teraz jest taka chwila?

Rozsunął poły jej nowej peleryny, objął żonę w talii i przyciągnął do siebie.

Potem pocałował ją w usta. Natychmiast przymknęła oczy i przyłgnęła do niego.

208

– Zastanawiam się – odezwał się dopiero po dłuższej chwili – Czy to na pewno jest pocałunek tej samej kobiety, którą całowałem przed wyjazdem z Teksasu parę lat temu.

– Tej samej.

– Tamta całowała inaczej – upierał się.

– Pamiętasz to?

– Oczywiście, że pamiętam. Czegoś takiego się nie zapomina.

– A czym się to różniło? – Katherine uśmiechnęła się nietanie.

– Trudno mi to ująć w słowach, ale spróbuję pokazać w praktyce.

Nie protestowała i chętnie poddała się eksperymentowi.

– O właśnie, teraz to było znacznie bardziej zbliżone – powiedział po jeszcze dłuższej chwili. – Tak, dużo bardziej zbliżone...

A potem nagle wszystko się skończyło, i ten moment cudownej bliskości

nie przekształcił się w tak oczekiwaną przez Katherine wieczność, przeciwnie

– urwał się tak gwałtownie, jak gdyby nigdy nie istniał. To przejście od jednego stanu do drugiego zdarzało się nie po raz pierwszy, ale bolało zawsze tak samo.

Alex cofnął się o krok, jeszcze przez chwilę patrzył w jej oczy, lecz

Katherine w tym jego spojrzeniu nie mogła już odczytać niczego poza rozterką i zagubieniem. Rozejrzał się z takim wyrazem twarzy, jakby nie wiedział, w którą stronę ma się udać.

– Lepiej już sobie pójdę – powiedział. – Wkrótce będzie wieczór, a mam jeszcze tyle do zrobienia. – Ruszył pośpiesznie, lecz już po paru krokach zatrzymał się i odwrócił do żony. – Dasz sobie radę? – spytał.

– Postaram się – odpowiedziała cicho.

Wciąż stał w miejscu i patrzył na nią jakimś dziwnie tęnym,

półprzytomnym wzrokiem. Co ta kobieta ze mną zrobiła? – zadawał sobie

pytanie. Miała nad nim władzę. Teraz już wiedział, że to nie z powodu gróźb brata nie odesłał jej z powrotem do Teksasu.

– Tylko nie daj się zjeść w kaszy tej naszej olbrzymiej Molly – powiedział,

patrząc na wciąż milczącą Katherine. – Po prostu nie zwracaj większej uwagi na jej wygląd. Ona wcale nie jest taka, jak można by sądzić, i jeśli się jej nie

przestraszysz, na pewno się polubicie. A gdybyś czegoś pilnie potrzebowała, to wyślij do mnie z wiadomością któregoś z moich ludzi.

Odwrócił się i odszedł, nie dając żonie żadnej szansy odpowiedzi.

Katherine patrzyła w ślad za nim, dopóki zarys jego sylwetki nie roztopił się w szarej mgłę i nie znikł w oddali. Potem wzniosła oczy do nieba.

209

– Dobry Boże – powiedziała tonem gorącej modlitwy. – Tyle razy dawałeś dowody, że słyszysz nasze ludzkie prośby, w tym również i moje, i jestem Ci za to niewypowiedzianie wdzięczna. Także i za tę miłość, która mi dałeś. Nie wiem, czy w tym momencie nie proszę o zbyt wiele, ale skoro już ją od Ciebie dostałam, to czy mógłbyś mnie teraz oświecić, co właściwie mam z nią zrobić?

16

Alex dotrzymał słowa i przyjechał po żonę jeszcze przed zmierzchem.

Tymczasem pogoda zdążyła się zdecydowanie poprawić, wiatr rozpędził chmury i ponad niedalekimi szczytami można było oglądać wspaniałe widowisko – zachód słońca w całej jego, wręcz nieprawdopodobnej, górskiej krasie. Wielka czerwona kula wolno schodziła w dół nad poszarpaną linią skał i rozpaliała tysiące płomieni na koronach strzelistych drzew. Katherine stała na ganku i z zachwytem przypatrywała się tej cudownej grze światła i cienia, tym wspinającym się ku niebu skalistym gigantom i płonącym w słońcu lasom, które zdawały się nie mieć kresu.

Alex zbliżył się tak cicho, że zauważyła go dopiero wtedy, gdy stanął tuż obok.

– To piękne, prawda? – odezwał się po chwili. – Chyba nie przesadziłem,



**kiedy ci o tym mówilem.**

**– Powiedzieć, że to piękne, to o wiele za mało. – Katherine westchnęła. –**

**To zachwycające, takie dzikie i niedostępne. Jak klejnot, którego do niedawna nikt jeszcze nie widział. Przyszło mi nawet do głowy, że być może to właśnie ja byłam pierwszą osobą, która to oglądała, pierwszą od tysiący czy może nawet milionów lat! Kiedy się o tym pomyśli, aż dreszcze przechodzą. To, dlatego, że w takim bezkresie piękna bardziej się czuje samotność.**

**Spojrzała na Alexa kątem oka, żeby sprawdzić, czy dociera do niego to, co powiedziała. Sądząc z jego miny, przynajmniej część niezbyt mocno zawołanego przesłania trafiła do celu.**

**– A co jest tam dalej, za tymi górami? – spytała już zupełnie innym tonem.**

**Uśmiechnął się.**

**– Za tymi górami są inne góry.**

**– Ale jakie? Czy to Sierra?**

**– Masyw Sierra jest bliżej Sacramento.**

210

**– Więc jak się nazywają te nasze góry? Alex zauważył, że powiedziała „nasze”, i odpowiedział dopiero po chwili.**

**– To góry Klamath. A za nimi jest pasmo Gór Łososiowych, a jeszcze dalej Kaskady.**

**– Czy któreś z nich są pokryte śniegiem?**

**– Najwyższe szczyty tak, przez cały rok. A te niższe tylko podczas zimy.**

**– Więc pewnie wkrótce będziemy mogli to oglądać?**

**– Może nie akurat tu, ale trochę wyżej z całą pewnością.**

– Chciałabym kiedyś tam pójść i zobaczyć te góry w śniegu. Tylko czy ty...

to znaczy, my... – Urwała nagle, jakby była niepewna, czy nadal może tak z nim rozmawiać.

Alex zauważył to skrępowanie żony i kolejny raz uświadomił sobie, jak bardzo zmieniły się ich wzajemne stosunki od czasu, gdy stali się mężem i żoną. Zmieniły się – i to wcale nie na lepsze. Stały się bardziej sztywne i formalne, gdzieś przepadła dawna przyjacielska zażyłość i swoboda, z jaką kiedyś rozmawiali na wszystkie tematy. Prawdę mówiąc, teraz mocno mu tego brakowało.

– Będziemy mogli tam pojechać już wkrótce, jeśli zechcesz. – starał się, żeby zabrzmiało to możliwie ciepło. – Nie musimy czekać do zimy, tam wyżej śnieg będzie już niebawem.

Katherine milczała, jakby nagle utraciła cały niedawny entuzjazm. Nie patrzyła już na góry, tylko gdzieś daleko przed siebie, a w jej oczach nie było światła, nie było dawnego błysku.

Alex uznał więc, że należy radykalnie zmienić temat.

– A jak przebiegło spotkanie z naszą Molly? – zapytał z udawaną powagą. – Nie przeraził cię jej język i sposób bycia? Katherine uśmiechnęła się mimo woli.

– Nie, w każdym razie nie bardzo. Chyba się nawet z nią zaprzyjaźniłam, a przy okazji i z tym chińskim kucharzem, Wongiem. To w gruncie rzeczy bardzo mili ludzie, choć rzeczywiście przy Molly nasza Fanny Bright mogłaby się wydawać osobą ze szkółki niedzielnej.

– Łagodnie mówiąc. – Alex uśmiechnął się.

**Katherine spojrziała na coraz bardziej ciemniejące niebo.**

**– Czy będziemy już mogli pojechać do... do tego właściwego domu?**

**Skinął głową.**

**– Tak, ale ponieważ droga jest wciąż zatarasowana, możemy tam dojechać**

**211**

**tylko konno. Bagaże trzeba będzie zostawić tutaj, a najpotrzebniejsze rzeczy zapakować do sakw, które przytroczymy do siodła. Na razie weź ze sobą jak najmniej, a resztę przywiezie się jutro, kiedy moi ludzie odblokują drogę.**

**Katherine wzięła podaną przez męża sakwę i ze swego niezbyt wielkiego bagażu przelożyła do niej kilka rzeczy najbardziej potrzebnych – szczotkę do włosów, prostą spódnicę z bluzką, jedną skromną sukienkę i trochę bielizny.**

**Wszystko to zmieściło się bez trudu.**

**Po zapięciu sakwy Alex zarzucił ją sobie na ramię, a następną ruszyli w stronę pobliskiej zagrody dla koni. Tam czekał już na nich Adrian.**

**Osiadłane były tylko dwa konie. Adrian przytrzymał uzdę i zwrócił się do brata:**

**– Ty wsiadaj, a potem ja pomogę Katherine, by mogła siedzieć razem z tobą. Wybrałem największe siodło, tak żebyście się na nim zmieścili.**

**Alex skinął głową i dosiadł wierzchowca z tą zachwyca lekkością i swobodą, którą Katherine zauważyła u niego już w dzieciństwie, kiedy to ich ulubioną rozrywką były konne przejażdżki po bezkresnych łąkach i polach Teksasu. Nigdy jednak nie jeździli wspólnie na jednym koniu. Wstrzymała oddech, gdy Adrian mocno objął ją w tali, i po chwili znalazła się już na siodle, usadowiona tuż przed Alexem. Ten objął ją i przyciągnął do siebie, żeby lepiej**

uchwycić wodze.

– Zdaje się, że to niezbyt wygodne – powiedział. Katherine czuła jego gorący oddech na włosach, a plecami wyczuwała każde drgnięcie imponująco szerokiej i wspaniale umięśnionej klatki piersiowej męża. Chwilami czuła nawet, jak bije jego serce. Nie, w żadnym wypadku nie powiedziałaby, że jest jej niewygodnie!

– Możemy jechać? – zapytał Alex.

– Tak – odpowiedziała. I obyśmy jechali jak najdłużej, dodała w duchu.

Adrian ruszył przodem, żeby wybierać drogę przez las, w którym zrobiło się już prawie zupełnie ciemno. Konie szły wolno i ostrożnie, dopiero po dobrych dwóch kwadransach zabłyśły przed nimi migotliwe światła.

Dom stał na niewielkiej polance, ale po zapadnięciu zmroku trudno było dokładnie ocenić jego wygląd i walory architektoniczne – jeżeli takowe miał.

Katherine zdołała dostrzec tylko tyle, że ta budowla z niewiarygodnie grubych bali przypomina trzy zestawione ze sobą chaty traperskie, połączone w jedno przez bardzo długi ganek, ciągnący się na boki od centralnie usytuowanych drzwi wejściowych i sięgający aż do końca frontowej ściany.

212

– No to jesteśmy na miejscu! – oznajmił Alex. Zeskoczył z konia i pomógł zsiąść Katherine. Potem zajął się odpinaniem sakiew z podręcznymi bagażami.

– Zabierz ją do środka – zwrócił się do brata. – A ja zdejmę siodła i odprowadzę konie do stajni.

Adrian zaprowadził Katherine do głównego pokoju, który okazał się większy, niż można było przypuszczać, i przy tym całkiem interesująco

urządzony. Wszystkie meble wykonane były z ogromnych bali i przykryte utkanymi na sposób indiański wzorzystymi derkami o ostrych konturach i jaskrawych kolorach. Trzy ogromne futrzane dywany pokrywały niemal całą podłogę. Katherine nie potrafiła odgadnąć, z jakich zwierząt pochodzą te futra, ale z całą pewnością musiały to być okazy naprawdę ogromne. Ogromny był też kominek, w którego palenisku można było stanąć w pozycji całkowicie wyprostowanej, a jego kamienna obudowa zajmowała niemal całą ścianę. Najwyraźniej ktoś w tym domu oczekiwał ich przybycia, ponieważ w pokoju było ciepło, wielkie smolne szczapy wciąż płonęły w palenisku kominka, a z jednego z sąsiadujących pomieszczeń, gdzie najpewniej mieściła się kuchnia, płynęły apetyczne zapachy przygotowywanej właśnie kolacji. Dopiero w tym momencie Katherine zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

– No i jak ci się tu podoba? – zapytał Adrian.

– Jest znacznie sympatyczniej, niż początkowo sądziłam. Z zewnątrz dom wydawał się raczej mały, a tymczasem wewnątrz jest całkiem obszerne.

– Za parę lat będziesz miała dużo większy dom – rzekł Alex, wchodząc do środka i spiesznie zamykając za sobą drzwi. – A na razie zdecyduj, czy chciałabyś teraz mieć trochę czasu dla siebie, czy też możemy od razu zasiaść do kolacji?

– Tak naprawdę to wolałabym mieć ten czas dla siebie dopiero po kolacji – wyznała. – Mam wrażenie, że za chwilę umrę z głodu, zjadłabym konia z kopytami.

– Nie będziesz musiała zjadać konia. – Alex roześmiał się. – I zapewniam cię, że potrawy, które za chwilę zjemy, będą się zasadniczo różnić od tego

okropieństwa, którym karmiono nas na statku.

– Dzięki Bogu! – Katherine wzniosła oczy do nieba. – no to gdzie jest ta kuchnia?

– Za tymi drzwiami.

Podążyła w ślad za mężem i znalazła się w kolejnym nieoczekiwanie dużym pomieszczeniu, doskonale wyposażony i zaskakująco czystym, zwłaszcza jak

213

na kuchnię, z której korzystała dotąd żadna kobieta, a jedynie dwóch nieżonatych mężczyzn. Porządek był naprawdę zadziwiający. Alex zauważył jej zaskoczenie.

– To przede wszystkim zasługa Wonga – oznajmił. – U niego kuchnia rzeczywiście łśni.

Katherine podeszła do żeliwnego rondla stojącego na gorącej blasze.

– Jeżeli gotuje równie dobrze, jak sprząta, to może to być coś naprawdę znakomitego.

– Na pewno jest bardzo dobre – powiedział Alex. – Czasami pomaga mu Molly, ale dziś to wyłącznie jego dzieło. To mięso przyrządził specjalnie na dzisiejszy wieczór.

Katherine podniosła pokrywkę.

– Mmm... wołowina duszona w potrawce. Pachnie wspaniale!

– Owszem – zgodził się Alex. – Ale to nie jest wołowina...

– Tylko co?

– Doskonale mięso z grizzly.

– Chcesz powiedzieć, z niedźwiedzia grizzly? Alex skinął głową.

– To znaczy, że są tu niedźwiedzie?

– Są. I jest ich wcale niemało. – Wysoko w górach?

– W górach pewnie też. Ale i tu koło nas również ich nie wakuje. Dlatego musimy dobrze zamykać konie.. – Spojrzał na minę żony i roześmiał się. – Tu w każdym momencie niedźwiedź grizzly może być blisko, naprawdę znacznie bliżej, niż sobie wyobrażasz. Dopiero co chodziłaś po trzech ogromnych okazach, oczywiście już niegroźnych, bo pozostały z nich tylko futra leżące przed kominkiem. A już za chwilę będziesz jadła niedźwiedzie mięso i przekonasz się, że jest naprawdę smaczne.

– Przesadziłbym, mówiąc, że moglibyśmy tu nie jeść nic innego, ale faktem jest, że jemy sporo dziczyzny. Mięso jeleni jest znakomite, w rzekach są wspaniałe lososie. Grizzly smakuje mi najbardziej.

– Jestem na tyle głodna, że zjem wszystko, nawet to, co równie dobrze mogłoby zjeść mnie – powiedziała Katherine. – Rozejrzała się po kuchni i zapytała: – Gdzie są talerze?

– W tej szafce.

Sięgnęła po wiszący na kolku kuchenny fartuszek. Jego nie skazitelna biel jeszcze bardziej podkreślała soczystą zieleń jej nowej sukienki, w której było jej szczególnie do twarzy, przynajmniej zdaniem Alexa. Zaróżowione policzki

214

dziewczyny, jej lekko rozchylone usta i pełne życia świetliste oczy wydały mu się wprost zachwycające.

– Ślicznie wyglądasz w tej nowej sukience – powiedział w pierwszym odruchu, nie zastanawiając się w ogóle, czy właśnie to powinien jej mówić. –

**Powinnaś częściej nosić takie właśnie rzeczy.**

**– Ale nie w kuchni. – Katherine roześmiała się. – Myślę, że tu doskonale nadadzą się moje stare sukienki, w których chodziłam przez tyle lat. Te nowe są zbyt piękne, żeby je niszczyć przy codziennych pracach domowych. Ale jeżeli chcesz, mogę ci obiecać, że od dziś będę wkładała nową sukienkę co wieczór, kiedy będziesz wracał do domu po pracy...**

**Powiedziała to bardzo lekko i jakby mimochodem, ale dla Alexa jej ostatnie zdanie nagle zabrzmiało jak sygnał ostrzegawczy. Te słowa o codziennym powrocie do domu oznaczały pewną zażyłość, wzajemną przynależność, równoważną z utratą dotychczasowej wolności. A on wcale nie był pewny, czy chce takiej zażyłości. A gdyby nawet chciał, to wciąż jeszcze nie był pewny, czy chce ich właśnie z tą kobietą, czy może z całkiem inną.**

**Przyglądał się żonie, patrzył na jej wdzięczną i bardzo kobiecą krzątaninę w kuchni i poczuł nawet w tym momencie coś w rodzaju typowo męskiej satysfakcji. Mógł być dumny, widząc, że oto dzięki niemu wydaje się szczęśliwa.**

**Tylko że on jej nie kochał i nie wiedział, czy kiedykolwiek pokocha. A mimo to pociągała go. Pociągała go coraz bard Złościło go to. Nie powinna go pociągać kobieta, z którą za ślub właściwie wbrew swej woli, pod przymusem, podczas gdy kochał inną. Z drugiej strony miłości do Karin też nie był pewny.**

**W głębi duszy był tym wszystkim coraz bardziej przerażony.**

**Chwilami był naprawdę bliski oblędu. Coraz wyraźniej czuł, że jego dusza rozszczepia się na pół i że te dwie walczące ze sobą części jego osobowości już w żaden sposób nie dadzą się złożyć w jedną spójną całość.**



Krzężąca się w kuchni Katherine spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Odpowiedział mocno wymuszonym uśmiechem. Ta dziewczyna była teraz jego żoną, a to oznaczało, że kończył się dla niego dotychczasowy tryb życia, w którym mógł czuć się naprawdę wolny, troszczyć się tylko o siebie i nie przejmować się resztą świata. Teraz ta reszta świata zaczynała mieć do niego pewne prawa – i to chyba najbardziej go gniewało.

Wiedział, że ta dziewczyna wcale nie jest temu winna, a chcąc koniecznie znaleźć winowajcę, skupił się na bracie. To Adrian był winien. Gdyby nie on,

215

wszystko mogłoby się ułożyć inaczej. I nawet gdyby Alex ostatecznie ożenił się z Katherine – bo gdzieś w głębi duszy czuł, że Karin nie była dla niego właściwą kobietą – byłaby to wtedy jego własna decyzja.

W końcu wszyscy troje zasiedli do posilku w dość napiętej atmosferze.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się nawet słowem. Potem Adrian raz i drugi próbował zagaić rozmowę, ale, zrażony niepowodzeniem, szybko tego zaniechał. Katherine siedziała w milczeniu, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że w ogóle coś je, całkowicie skupiona na obserwowaniu dziwnego zachowania braci. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, ale wciąż nie rozumiała powodów. Alex przez dłuższy czas nie podnosił wzroku nad talerza. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że ma za sobą już setki, jeżeli nie tysiące takich małżeńskich kolacji. Katherine spoglądała na niego od czasu do czasu i wciąż zastanawiała się, o czym można rozmyślać z tak ponurą miną. Nie mogła się oprzeć niewesołej refleksji, że nie tak wyobrażała sobie pierwszy małżeński wieczór. Zawsze myślała, że będą

wówczas tylko we dwoje, że będzie to romantyczne tete-a-tete przy świecach.

Skończyła jeść znacznie szybciej, niż zamierzała; napięta atmosfera przy stole odebrała jej apetyt. Z trudem przelknęli ostatni kęs i odłożyła sztucce.

Alex obserwował ją w milczeniu

– Zdawało mi się, że byłaś bardzo głodna – powiedział lekko ironicznym tonem.

– Byłam.

– Dość trudno uwierzyć, zważywszy na to, że prawie wszystko zostało na talerzu.

Spróbowała się roześmiać, ale wypadło to niezbyt przekonująco.

– Myślę, że po prostu nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczona. Marzę tylko o tym, żeby położyć się wreszcie do normalnego łóżka, takiego, w którym można spać spokojnie całą noc bez obawy, że jakaś gwałtowniejsza fala zrzuci śpiącego człowieka prosto na podłogę.

Alex odłożył serwetkę.

– Wobec tego zaprowadzę cię do twego pokoju. – Podniósł się z krzesła, żeby pomóc jej wstać.

– Ależ nie. – Katherine nie czekała na jego pomoc. – Skończ posiłek, bardzo cię proszę. Mogę pójść sama.

– Ktoś musi ci przecież pokazać, gdzie będziesz spała.

Nie „gdzie my będziemy spali”, ale „gdzie będziesz spała”. Trudno było

216

uznać to za przejęzyczenie. To było celowe, zamierzone.

– No tak, oczywiście – powiedziała jeszcze spokojnie, choć wszystko się w

**niej zagotowało. – Ktoś musi mi pokazać. Co właściwie to...**

**– Co takiego?**

**– Już nic. Nieważne. – Spojrzała na Adriana, który przez uprzejmość podniósł się z za stołu w tym samym momencie ona, a wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał, że chce przeprosić. Za brata i za wszystko, co ją spotkało podczas nieszczęsnej kolacji.**

**Katherine uśmiechnęła się do niego życzliwie.**

**– Dobranoc, Adrianie.**

**Spojrzał na Alexa.**

**– Może dokończ kolację – rzekł bardzo spokojnie. – Ja już zjadłem i chętnie zaprowadzę Katherine na górę.**

**Alex nagle stężał, znów ogarnęła go furia. Z najwyższym wysiłkiem opanował się jednak i odpowiedział z wręcz lodowatą grzecznością:**

**– Zechciej może zauważyć, drogi Adrianie, że Katherine jednak nie jest twoją żoną. Tak więc obowiązek odprowadzenia jej na górę spada na mnie.**

**– No nie, do wszystkich diabłów! – wykrzyknęła, czując nagle, że ma już tego naprawdę dość. – Jeżeli to jest dla ciebie taki ciężki obowiązek, to po**

**prostu powiedz mi, gdzie jest ten cholerny pokój, a sama trafię albo... –**

**obróciła się w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz – ...albo znajdę sobie jakieś inne, odpowiedniejsze miejsce.**

**Sięgnęła po sakwę z osobistymi rzeczami, którą Alex położył przy**

**drzwiach, zarzuciła ją sobie na ramię i wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami.**

**Zanim zdążyła dojść do drzwi prowadzących na zewnątrz, usłyszała tuż za sobą jego głos:**

– Katherine!

Obróciła się na pięcie, spojrzała mu prosto w oczy i oświadczyła gniewnie:

– Nie zamierzam cię słuchać, więc oszczędź sobie trudu i nie próbuj mnie do niczego przekonywać! Jestem wściekła jak wszyscy diabli i wiem, że w takim stanie nie nadaję się do jakiegokolwiek rozmowy, bo kiedy się tak rozgorączkuję, argumenty do mnie nie docierają. Porozmawiamy jutro, gdy trochę ostygnę.

Pobiegła na zewnątrz, usiłując zamknąć za sobą drzwi, ale była dotrzeć tylko na ganek, bo Alex pojawił się tam niemal w tej samej chwili.

– Muszę cię ostrzec, że jeżeli chcesz spędzić tę noc poza domem, to

217

niechcący możesz ostygnąć nawet bardziej, niż sobie wyobrażasz.

– Świetnie – prychnęła. Wróciła na chwilę do pokoju i wyszła ponownie, ciągnąc za sobą jedno z trzech niedźwiedzych futer rozłożonych przed kominkiem. Wybrała to najmniejsze, które i tak było bardzo duże.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – spytał Alex.

– Wykorzystać dla ochrony przed chłodem. Skoro mówisz, że nocą temperatura spada tu do zera. – Zdecydowanym ruchem zarzuciła sobie na ramię sakwę z podręcznymi rzeczami i z determinacją ruszyła w ciemność, ciągnąc za sobą nieszczęsne niedźwiedzie futro, które trzymała za tylną łapę.

Nie wyglądało na to, by miała zamiar się zatrzymać.

Tymczasem na ganku zdążył się pojawić Adrian. Oparty o drzwi, z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrzył na to wszystko z ironicznym uśmiechem na twarzy. Alex w pewnym momencie spojrzał na niego bezradnie, ale Adrian

tylko wzruszył ramionami.

– Sam mówileś, że to twoja, a nie moja żona – rzekł z nieukrywaną drwiną.

Alex poczuł się rozdarty między chęcią natychmiastowego przyłożenia bratu i nie cierpiącą zwłoki koniecznością podążania za uciekającą żoną.

Westchnął głęboko i ruszył za Katherine.

– I pomyśleć, że uważałem ją za łagodną i potulną dziewczynę – mruknął pod nosem.

Zdawało mu się, że powiedział to bardzo cicho, ale Adrian i tak to usłyszał i roześmiał się szyderczo:

– Katherine potulna, akurat!

Drwiący śmiech brata wciąż jeszcze brzmiał w uszach Alexa, a tymczasem żona oddalała się coraz bardziej. Klnąc pod nosem powtarzał sobie, że w życiu nie widział równie upartej kobiety. Szedł za nią w ciemność targany sprzecznymi uczuciami z jednej strony czuł pewien podziw dla jej determinacji, a on miał naprawdę szczerą ochotę, żeby ją po prostu udusić.

– Na miłość boską, nie mogłabyś trochę zwolnić?

– Ani myślę!

– No dobrze, a czy przynajmniej zechcesz być rozsądna.

– Wątpię. Ty nawet nie umiesz być uprzejmy, więc dlaczego ja miałabym być rozsądna? – Ciągnięta przez nią niedźwiedzia skóra zaczepiła o coś i to spowolniło marsz Katherine, ale tylko na moment.

Alex dogonił ją dopiero na samym końcu polanki, gdzie droga skręcała

między drzewami i prowadziła lekko pod górę. W zatrzymaniu uciekinierki najbardziej pomogło zręczne nadeptanie na wlokącą się po ziemi krawędź niedźwiedziego futra. Przyhamowana gwałtownie Katherine zachwiała się i szukając równowagi, nastąpiła na bardzo śliski okrągły kamień. Przewróciła się jak długa, szczęśliwie padając akurat na ciągnięte przez siebie futro. Najbardziej denerwowało ją to, że patrzący na nią Alex roześmiał się z jawną satysfakcją. Zanim zdążyła się pozbierać, już przy niej był, chwycił ją za ramiona i przyciskając je do ziemi, uniemożliwił podniesienie się z tej krępującej pozycji.

– Najbardziej podobają mi się kobiety, które leżą tak jak ty, na plecach! – powiedział, uśmiechając się znacząco. To jeszcze bardziej zdenerwowało Katherine.

– Takich żartów mężczyzna powinien raczej unikać – powiedziała, patrząc na niego z drwiącym politowaniem. – A już zwłaszcza ty! Bo na razie nie wyglądasz na takiego, który siedziałby, co wtedy należy zrobić.

Roześmiał się.

– Mógłbym ci bez trudu udowodnić, jak bardzo się mylisz. Baśnie tu i teraz.

Pochylił się nad nią jeszcze niżej, a Katherine zaczęła się gwałtownie wyrywać, daremnie próbując się uwolnić.

– Puść mnie natychmiast ty... ty głupi osiłku! Niczego mi nie musisz udowadniać, bo i bez takich dowodów wiem już, jaki jesteś.

– Znów szarpnęła się gwałtownie. – Puść mnie w tej chwili!

– Obiecujesz, że nie będziesz krzyczeć i spokojnie o wszystkim

**porozmawiasz?**

**– Tak.**

**Alex uznał jednak, że to nie wystarcza.**

**– Na to kiwanie głową nie dam się nabrać, pamiętam twoje sztuczki jeszcze ze szkoły. Masz głośno obiecać, że ze mną porozmawiasz.**

**– Będę rozmawiać – jęknęła Katherine. Jęknęła jak najgłośniej, żeby wiedział, ile ją kosztowało ustąpienie mu w tej kwestii. Miała swoją dumę i nie lubiła być zmuszana do ustępowania w czymkolwiek. I można było się założyć, że nadal będzie próbowała postawić na swoim.**

**Gdy uwolnił jej ramiona, szybko wstała, ale wcale nie po to, żeby z nim rozmawiać. Zrzuciła sakwę na ramię, obróciła się i ciągnąc znów za sobą tę nieszczęsną niedźwiedzią skórę, z jeszcze większym uporem ruszyła przed**

**219**

**siebie.**

**– Katherine! – zawołał za nią Alex. – Przecież dałaś mi słowo!**

**– Ale dając ci to słowo, trzymałam figę w kieszeni! – odparła Katherine.**

**– Tak się mogą tłumaczyć tylko dzieci! U dorosłych ludzi słowo obowiązuje, i ty dobrze o tym wiesz.**

**– No więc dobrze, obiecałam, że będę z tobą rozmawiać i dotrzymam słowa. Ale wcale nie powiedziałam, kiedy to będzie.**

**– To jest wykręt równie dziecinny, jak ten poprzedni. Nadal szedł w ślad za nią, lecz teraz droga biegła już w lesie, gdzie było znacznie ciemniej. W zupełnej ciszy słyhać było tylko ich kroki. Nagle gdzieś przed nimi trzasnęła gałązka; coś dużego przeciskało się przez chaszczę. Katherine zatrzymała się i**

zaczęła nasłuchiwać. Gdy odgłosy umilkły, ruszyła znowu, ale odległość między nią a mężem zmniejszyła się do ledwie paru metrów.

– Posłuchaj, Katherine, ja za chwilę zawracam i idę do domu. A jeżeli nadal upierasz się, żeby tu zostać, czuję się w obowiązku ostrzec cię, że w tym lesie najprawdopodobniej są niedźwiedzie grizzly. Prawie codziennie natrafiamy tu na ich ślady.

Katherine zatrzymała się na moment.

– Mówisz tak, żeby mnie przestraszyć.

– Tak uważasz?

Znów trzasnęła gałązka, tym razem bliżej. Dziewczyn znieruchomiała, a jeśli Alex nie roześmiał się w głos, to z obawy, że to mogłoby ją skłonić do dalszego marszu w ciemność.

– Posłuchaj – zaczął bardzo poważnie. – Jeżeli zrobiłem lub powiedziałem coś, co mogło cię urazić, to bardzo cię za to spraszam.

– Przepraszasz, ale mówisz „jeżeli”. To co to za przeprosiny?

– Zechciej jednak zauważyć, że trudno jest nie tylko tobie. Bez słowa znów ruszyła w ciemność.

– Czy możesz mnie posłuchać?

Zirytowana, nagle rzuciła na ziemię wszystko, co niosła, i obiema rękami zatkała sobie uszy. Alex podszedł do niej i siłą odciągnął jej dłonie.

– Przepraszam, że tak zrobiłem – powiedział. – Ale po prostu musiałem.

Jak może zauważyłaś, nie mam ze sobą strzelby. A z tego wynika jasno, że jeżeli natrafimy na niedźwiedzia, nie będziemy mieli żadnych szans.

Rozumiesz to?



Spojrzała na niego, przez chwilę milczała, a potem odwróciła się i ruszyła z

220

powrotem w kierunku domu. Alex podniósł zostawioną przez nią sakwę i niedźwiedzią skórę, i szybkim krokiem poszedł w ślad za nią. Kiedy się zrównali, Katherine spojrzała na niego przez ramię i oświadczyła chłodno:

– I tak nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

– Tak chcesz. Mogę poczekać.

– I wciąż czuję się urażona.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Potraktowałeś mnie bardzo nieładnie.

– Zgadzam się.

– I naprawdę nie byłeś miły.

– Nie byłem.

Katherine zatrzymała się i spojrzała na niego z irytacją.

– No to dlaczego w ogóle się kłócimy, skoro zgadzasz się ze wszystkim, co mówię?

Już miał odpowiedzieć, ale coś znów zaszeleściło w zaroślach

Katherine machnęła ręką.

– A zresztą dajmy już temu spokój. – Ruszyła w kierunku domu. – Możemy o tym porozmawiać później. Zresztą nigdy nie lubiłam dyskutować po ciemku.

Szła teraz znacznie szybciej i Alex też musiał przyśpieszyć, żeby dotrzymać jej kroku. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził że wcale nie jest na nią wściekły, choć niby miał po temu немало powodów. Przeciwnie – czuł w sobie wyraźny przyływ sympatii do tej zadziornej dziewczyny. Być może wzięło się to stąd, że

nigdy dotąd nie widział takiej Katherine. Dotychczas była zawsze taka zrównoważona, spokojna i grzeczna. Teraz wreszcie zachowywała się jak prawdziwa kobieta.

Gdy wyszli już na polankę, szło się im znacznie łatwiej, bo światło z otwartych wejściowych drzwi wskazywało drogę. Adrian siedział na schodach ganku. Nie skomentował ich powrotu, nie miał zresztą na to czasu, ponieważ właśnie w tym momencie na polankę wybiegło to tajemnicze zwierzę, które wcześniej krążyło wokół nich w zaroślach. Z daleka wyglądało to jak ogromna włochata kula, która wypadła zza drzew z tak dzikim skowytem, że Katherine aż podskoczyła z przerażenia i niewiele brakowało, by rzuciła się do panicznej ucieczki. Alex w ostatniej chwili chwycił ją za rękę.

– Spokojnie – powiedział z uśmiechem. – To tylko pies. Ogromny i kudłaty jak niedźwiedź, ale jednak pies. Zresztą popatrz sama.

Odwróciła się i zobaczyła wielkiego brązowego mieszańca, który

221

szczekając radośnie, pędził ku nim długimi susami i zaraz trzymał się dopiero przy Adrianie, z którym zaczął się witać z takim entuzjazmem, że omal go nie przewrócił.

– Jak się masz, Jeremy! – zawołał Adrian, głaszcząc go i poklepując po grzbiecie. – Co tu robisz o tak późnej porze, stary łazęgo? – Zwrócił się do szwagierki. – Jeremy to nasz pies obozowy. Zazwyczaj śpi tam, przy kuchni, ale czasami coś strzela do łba i przybiega tu do nas.

Kundel tymczasem pozostawił Adriana i podbiegł do Alexa, który też go pogłaskał. Katherine stała z boku i przyglądał im nieufnie – i Jeremy’emu, i

**Alexowi.**

**– Pewnie od początku wiedziałeś, że tam w lesie to był pies – powiedziała, kiwając głową. – Zrobiłeś sobie zabawę, żeby mnie postraszyć.**

**Wzruszyła ramionami i obróciła się do Adriana.**

**– Zaprowadzisz mnie do mojego pokoju? Mam już dość tego wszystkiego, przynajmniej na dzisiaj. Adrian spojrzał na nią, a potem na brata.**

**– Zaprowadź ją – powiedział Alex. – A ja zaniknę na noc psa, żeby nie napytał sobie biedy.**

**– Wiesz co? – Na twarzy Adriana nadal malowała się rozterka.**

**– No co?**

**– Boja nie wiem... to znaczy... Niech to diabli, gdzie właściwie mam ją zaprowadzić?**

**– Do gościnnej sypialni, oczywiście – powiedziała Katherine, zanim jej mąż zdążył odpowiedzieć.**

**Adrian znów spojrzał na brata, najwyraźniej wciąż nie wiedząc, jak ma postąpić.**

**– Słyszałeś, co powiedziała. – Alex podał mu sakwę z osobistymi rzeczami Katherine, a potem odwrócił się i gwizdnął na psa. Ale Adrian ciągle miał wątpliwości.**

**– Zaczekaj – rzucił.**

**– Co znowu?**

**– Lepiej będzie, jeżeli to ja wezmę psa. – Adrian oddał bratu sakwę. – A ty zaprowadź na górę Katherine. Tego już było dla niej za wiele.**

**– Byłabym niezmiernie wdzięczna – odezwała się z nieskrywanym**

**gniewem – gdyby ktoś wreszcie zechciał mi wskazać mój pokój, zamiast bawić**

**się w ciągle oddawanie sobie nawzajem tej cholерnej sakwy i tego biednego**

**psa! – Krokiem pełnym determinacji weszła na ganek i stając na progu, jeszcze**

222

**raz odwróciła się ku braciom Mackinnonom. – Zaczynam podejrzewać, że**

**lepiej byłoby, gdybyście obaj zajęli się psem i nawet zostali z nim jeśli to tylko**

**możliwe. A ja sama znajdę jakiś kąt do spania.**

**Weszła do domu, trzasnąwszy za sobą drzwiami, wzięła ze sobą lampę i**

**stromymi schodami poszła na górę. Zaglądała rano do wszystkich pokoi.**

**Pierwszy był zajęty, o czym świadczył kowbojski kapelusz wiszący na kołku i**

**para męskich butów ustawionych obok drzwi. W drugim pełne papierów**

**biurko i marynarka zawieszona na oparciu krzesła świadczyły o tym, że i tu**

**ktoś musi mieszkać. Trzeci wydawał się pusty ale – jak się okazało – był**

**połączony wewnętrznymi drzwiami z tym poprzednim. Tak więc ostatecznie**

**Katherine zdecydowała się na ostatni, czwarty już, pokój, w którym nie było**

**widać śladów czyjejkolwiek obecności.**

**Był większy od pozostałych i miał duże okna wychodzące na dwie strony.**

**– Nada się – powiedziała sobie, gdy wypróbowała łóżko, siadając na nim z**

**rozmachem i dla pewności podskakując jeszcze kilka razy. Materac był w**

**miarę miękkim, drewno nie skrzypiało, a jej, zwłaszcza ostatnio, zdarzało się**

**sypiać w znacznie gorszych warunkach.**

**Rozejrzała się po pokoju. Podłoga była ze świeżych, jeszcze**

**niepastowanych desek, ale była czysta i pachniała jednocześnie lasem i**

**domem. Mebli było niewiele – poza łóżkiem stała tam jeszcze dwuskrzydłowa**

szafka na ubrania i bieliznę oraz pełniąca rolę toaletki mała komódka z ustawioną na niej porcelanową misą i dzbankiem na wodę. W kącie stało jedno proste niewyściełane krzesło.

Gdyby tak na tych oknach zawiesić jakieś przyzwoite firanki, zamiast krzesła postawić fotel na biegunach, na podłodze położyć dywan albo jakieś futrzane chodniki, a łóżko przykryć wzorzystą narzutą, mogłoby tu być wcale miło, pomyślała i natychmiast westchnęła melancholijnie.

Bo z całą pewnością byłoby milej we wspólnej sypialni, razem z Alexem.

Podeszła do drzwi i zamknęła je już spokojnie i bez trzaskania—nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Wolnym krokiem przeszła do umywalki. W dzbanku na szczęście była woda, obok leżało też mydło. Ręcznik pachniał świeżością. Katherine odruchowo powąchała go, a potem wzruszyła ramionami, w tej sytuacji właściwie nie musiało jej zależeć na czymś takim.

Rozebrała się do koszuli, wieszając zdjęte rzeczy w otwartej na oścież szafce. Po umyciu się nagle uświadomiła sobie, że nocna koszula i szczotka do włosów pozostały w sakwie Alexa. Ponieważ w żadnym wypadku nie

223

zamierzała po nią schodzić, uznała, że poradzi sobie także i bez tego. Dzienna koszula mogła zastąpić nocną, a wyciągnięta z niej wstążka nadawała się do przewiązania włosów. Wprawdzie w ten sposób nie można już było zawiązać koszuli pod szyją, ale skoro i tak miała spać sama, nie miało to właściwie istotniejszego znaczenia.

Rozpuściła więc włosy, jako tako przeczesala je palcami, a następnie zaczęła splatać w jeden gruby warkocz, który przewiązała wyciągniętą z koszuli

wstążką. Właśnie zamierzała się położyć, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

Katherine rzuciła się do łóżka i wcisnąwszy się pod kołdrę, przykryła się nią aż po czubek nosa.

– Kto tam? – zapytała.

– To ja, Alex.

– Czego chcesz?

Zza drzwi dało się słyszeć głębokie westchnienie.

– Czy muszę koniecznie czegoś chcieć, żeby zapukać do twoich drzwi?

– Wyglądałoby to dość głupio, gdybyś pukał do drzwi całkiem bez powodu.

– Przyniosłem twoje rzeczy.

– To połóż to wszystko przy drzwiach. Rano to sobie wezmę.

– Daj spokój, Katherine. Chcę z tobą porozmawiać.

– Ale ja nie chcę rozmawiać z tobą – oświadczyła i obróciła się twarzą do ściany. Dość nedorzecznie, bo przecież Alex i tak nie mógł tego widzieć.

–Jeżeli gniewasz się o to, co było po kolacji, to naprawdę nie powinnaś.

Przeciwnie, powinnaś mi być głęboko wdzięczna, że uchroniłem twój zgrabny różowy tyłeczek przed przerżnięciem. Powinnaś wręcz uginać się pod ciężarem wdzięczności, nie uważasz?

Katherine uważała, że za takie żarciki należałoby go raczej kopnąć – i to dokładnie w to miejsce, które tak subtelnie określił –ale ostatecznie postanowiła zachowywać wyniosłe milczenie.

Po jakimś czasie Alex zobaczył, że wążutki pasek światła pod jej drzwiami ciemnieje i znika, co oznaczało, że Katherine przyciemniła albo nawet zgasła lampę. Zacisnął pięści i cicho zaklął pod nosem, po czym odwrócił się,

zamierzając odejść. Ale już po paru krokach zatrzymał się i wrócił znów pod jej drzwi. No bo...

No bo w końcu byli mężem i żoną, to był niezaprzeczalny fakt – niezależnie od pewnych rozbieżności w rozumieniu samej istoty małżeństwa i niezależnie od pewnych konfliktów, które mogły powstać właśnie na tym tle. Zatem on,

224

jako bądź co bądź mąż, po prostu nie mógł pozwolić, by nagle traktowano go w ten sposób. Trzeba było coś zrobić, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją. I to natychmiast!

Gwałtownie otworzył drzwi i stanął na progu. Katherine odwróciła głowę i usiadła w pościeli.

– Czy ty tak zawsze pakujesz się bez zaproszenia? Żadne zasady grzeczności cię nie obowiązują?

– Nie przyszło mi do głowy, że muszę czekać na zaproszenie. W końcu jesteś moją żoną.

– To jest fakt. – Katherine podkręciła knot lampy, żeby móc widzieć jego twarz. – To jest fakt, o którym pamiętasz lub zapominasz zależnie od tego, co ci bardziej odpowiada.

– Teraz odpowiada mi pamiętanie – powiedział, patrząc na nią z dosyć dziwną miną.

Katherine nagle zdała sobie sprawę, że wpatruje się w nią tak intensywnie, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, jak gdyby chciał ją wręcz pożreć oczami. Spojrzała po sobie, szukając powodów tak dziwnego zachowania i nagle zmartwiała.

To wszystko przez tę wstążkę, którą dopiero co wyciągnęła z koszuli, żeby przewiązać nią sobie włosy. Zapomniała, że ta niej koszula może się rozchylić bardziej, niż pozwalała na przyzwoitość. A tym razem rozchyliła się zdecydowanie ponad miarę!

Katherine gwałtownie podciągnęła kołdrę, zasłaniając się aż po szyję, ale było już za późno. Alex zobaczył to, co zobaczył, i ten obraz pozostał w jego pamięci już na stałe, niczym odcisk płonącego żelaza, którym na teksańskich farmach znakuje się bydło. Wprawdzie już wcześniej wiedział, że Katherine jest piękna, ale tego wieczoru jej uroda wydała mu się wręcz obezwładniająco doskonała i absolutnie zachwycająca. A wszystko za sprawą dwóch ledwie osłoniętych piersi.

Zobaczył naprawdę bardzo niewiele, ale i tego wystarczyło, by gwałtownie zapragnął widzieć więcej.

– Och, Katherine, Katherine – powiedział ochrypłym głosem, zamknął za sobą drzwi i nieco niepewnie zbliżył się do żony.

Nawet w niezbyt mocnym świetle lampy naftowej mogła dostrzec zauważalne zmiany w jego wyglądzie – ten szczególny wyraz twarzy, przymglone spojrzenie. Nie miała wielkiego doświadczenia, ale nawet jej

225

nie trudno było odgadnąć, co dzieje się z Alexem. Pożądał jej. Do oczu napłynęły jej łzy. Chciała się z nim kochać, lecz zależało jej na tym, by on zrobił to z miłości, a nie dlatego, że coś w niej go podnieciło.

Tymczasem Alex zdołał opanować emocje przynajmniej na tyle, by zauważyć, że Katherine płacze.



– Co się stało? – spytał, mocno zaskoczony. Odwróciła wzrok.

– Odejdź, bardzo cię proszę – odezwała się cicho. – Po prostu mnie zostaw.

– Ale co się takiego stało?

– Nic... to znaczy wszystko... Chyba jestem zbyt zmęczona, aby móc myśleć rozsądnie.

– Zostawię ci tu twoje rzeczy.

– Dziękuję.

– I zobaczymy się przy śniadaniu.

– Dobrze.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał jeszcze.

– Tylko trochę snu.

– No to dobranoc.

– Dobranoc.

Alex już miał odejść, gdy dotarło do niego, że właściwie został po prostu odprawiony, a mężczyźni nie lubią być odprawiani.

– Muszę ci przyznać, Katherine, że rozegrałaś to doskonale! Moje gratulacje!

Dziewczyna podniosła się gwałtownie i usiadła na łóżku.

– O czym ty znowu mówisz? Co niby rozegrałam?

– Gdzie zdążyłaś się nauczyć takich kusząco prowokacyjnych zachowań?

To naprawdę było bardzo sprytne! Wyciągnąć wstążkę z koszuli i odsłonić piersi akurat na tyle, żeby podniecić mężczyznę, potem wylać trochę łez, żeby rosło w nim nie tylko pożądanie, ale i poczucie winy, a wszystko po to, żeby na

**koniec odtrącić go jednym efektywnym i dokładnie zaplanowanym**

**pchnięciem. Bardzo, doprawdy bardzo przemyślnie!**

**Patrzyła na niego w milczeniu, a z jej znów nabrzmiąłych łzami oczu**

**przebijał przede wszystkim żal. Widać było, że jest wstrząśnięta, urażona i  
rozgniewana, i wyraźnie hamowała się, żeby nie wybuchnąć.**

**W przeciwieństwie do Alexa.**

**– Powiedz mi, gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?**

226

**– To raczej ty powinieneś mi powiedzieć, gdzie nauczyłaś się takiego**

**zachowania – odpowiedziała w końcu. – I takich słów... tak okrutnych i tak  
pełnych nienawiści.**

**Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. Ale tego, co usłyszał i zobaczył,  
wystarczyło, żeby się trochę zreflektować.**

**– Widzę jasno, że ta rozmowa do niczego nas nie doprowadzi –**

**powiedział, starając się tym razem mówić możliwie spokojnie. – Lepiej będzie,  
jeżeli porozmawiamy jutro.**

**Nie porozmawiamy, chciała odpowiedzieć, lecz w porę powstrzymała się,**

**nie bez podstaw obawiając się, że nie potrafi już nad sobą zapanować. Na**

**wszelki wypadek odwróciła się więc do ściany i naciągnęła kołdrę aż na oczy.**

**Odsłoniła je dopiero wtedy, gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi i była**

**pewna, że nikt nie będzie widział, jak płacze. Na nie usłyszała, jak drzwi**

**pokoju otworzyły się ponownie.**

**Nie słyszała bardzo cichych kroków Alexa i zdała sobie sprawę z jego**

**obecności dopiero wtedy, gdy odchylił kołdrę i położył się obok niej, biorąc ją**

w ramiona i przekręcając tak, żeby jej zapłakana buzia znalazła się w miękkim zagłębieniu między jego barkiem a szyją.

– W tej pozycji najlepiej się płacze – rzekł niespodziewanie ciepło. – Tak, że nie krępuj się i płacz, ile dusza zapragnie.

Ale Katherine wcale nie miała ochoty płakać za jego przyzwoleniem. Po chwili zastanowienia otarła oczy i powiedziała:

– Już nie płaczę. Możesz sobie iść.

– Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł?

– A niby dlaczego miałabym chcieć, żebyś został? Jesteś potworem, nieczułym i pozbawionym jakichkolwiek uczuć.

– Masz rację, ale nawet potwory potrzebują miłości.

– Więc poszukaj sobie innego potwora do pary, a mnie zostaw w spokoju.

Alex roześmiał się, a potem odwrócił się w taki sposób, że teraz to on mógł wtulić twarz w miękkie zagłębienie między ramieniem i szyją żony.

– Och, Katherine – szepnął namiętnie, obejmując ją mocno. Choć jej serce nagle zaczęło bić tak gwałtownie, jak gdyby chciało wyrwać się z piersi, Katherine nie zamierzała ustępować.

– Jestem zmęczona – rzuciła. – Będziesz tak uprzejmy i zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

– Nie. Nie mogę cię zostawić w spokoju, przeciwnie, zamieram cię

227

niepokoić i będę to robił dopóty, dopóki nie zaczniesz krzyczeć z nadmiaru niewysłowionej rozkoszy, jaką ci może dać to niepokojenie cię. Zamierzam ci odbierać spokój dokładnie tak samo, jak ty odbierałaś mi go przez wszystkie te

**lata, gdy ja też tego nie rozumiałem, zupełnie nie wiadomo dlaczego.**

**– Wiadomo, wiadomo – mruknęła Katherine. – Dlatego, że po prostu byłeś zbyt głupi!**

**– Teraz już nie jestem.**

**– Ale teraz już jest za późno.**

**– Dlaczego?**

**– Dlatego, że ja też w końcu coś pojęłam. Zrozumiałam, że nie jestem tą, której pragniesz. Nie wiem, w jaki sposób doszło do tego, że napisałeś ten list, i nie wiem, dlaczego w nagłówku umieściłeś moje imię, ale wiem, że chcesz innej, nie mnie.**

**– To nie jest tak – i zaraz ci udowodnię, jak bardzo się mylisz. Daj mi rękę**

**– powiedział i ująwszy jej dłoń zupełnie niespodziewanie położył ją wprost na swym członku, nabrzmiętym w gwałtownej erekcji. – Czy to nie jest wystarczający dowód, że chcę ciebie?**

**Zaskoczenie i szok oszołomiły ją na dłuższą chwilę, a tymczasem on już przechylił się ku niej i zaczął ją całować, coraz mocniej i coraz bardziej natarczywie. Katherine nie bronila się wprawdzie, ale początkowo próbowała nie odpowiadać na jego coraz gorętsze pocałunki – jednak już wkrótce okazało się, że to jest dla niej po prostu niewykonalne. Jej usta zaczęły reagować same, nie czekając na jej przyzwolenie. W tym momencie zapomniała już o poczuciu bolesnego upokorzenia i o wszystkich innych powodach w pełni wystarczających do tego, żeby nie tylko się na niego gniewać, ale i odtrącać równie bezwzględnie, jak on dotąd odtrącał ją. To nagle przestało się liczyć, jej krańcowo spięte dotąd ciało powoli zaczęło mięknąć i wręcz lgnąć do niego, jej**

piersi tylko cienka tkanina oddzielała od jego chciwych dłoni, a przez jej podbrzusze niespodziewanie zaczęły przebiegać jakieś nieznane dotąd dreszcze. To wszystko było dla niej całkowicie nowe, momentami nawet przerażające, ale i niewyobrażalnie słodkie. Rozkoszne...

W chwilę później Alex odsunął się na moment.

– Pozwól mi się rozebrać – powiedział. – Chcę ciebie, Katherine. Pragnę ciebie tak bardzo, że nie mogę już dłużej czekać.

Te słowa nagle ją otrzeźwiły. Bo choć zawsze chciała doprowadzić do tego, żeby Alex w końcu ją pokochał, ona pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na

228

świecie, to jedno nigdy nie przyszło jej do głowy, by on mógł chcieć kochać z nią wyłącznie z pożądania, bez prawdziwej miłości. To właśnie dlatego, że kochała go tak mocno i głęboko,

Dla niej pożądanie powinno iść w parze z miłością. A miała wątpliwości, że w przypadku jej męża tak nie jest...

– Nie – zaprotestowała.

– Co: nie? – spytał zaskoczony.

– Nie będę się z tobą kochać. Nie chcę tak.

Minęła dobra chwila, zanim to do niego dotarło.

– Zaraz, co ty mi tu mówisz?! Co to znaczy, u diabła, że nie będziesz się ze mną kochać? A niby co myśmy tu robili? I co ty robisz tu ze mną właśnie w tej chwili?

– Właśnie wyrzucam cię z łóżka – odpowiedziała i korzystając z tego, że leżał na samej krawędzi, pchnęła go z całej siły.

**Alex z hukiem zwał się na podłogę. Podniósł się natychmiast,**

**rozzłoszczony, wściekły, ale też i wyraźnie zaskoczony.**

**– Czyś ty oszalała? – zapytał gniewnie, choć zabrzmiało to nieco retorycznie. – Co cię nagle napadło?**

**– Chyba rzeczywiście musiałam oszaleć – powiedziała Katherine. Już zdążyła usiąść i szczelnie okryć się kołdrą. – Tak, musiałam oszaleć, sądząc, że na tym polega małżeństwo.**

**– Małżeństwo?! – wykrzyknął Alex. – Jakież to małżeństwo?**

**– Masz absolutną rację. To nie jest prawdziwe małżeństwo i w ten sposób nigdy nim nie będzie!**

**– W jaki sposób?**

**– Ludzie, którzy wzięli ze sobą ślub, nie mają osobnych sypialni.**

**– Przecież to ty sama...! – wrzasnął zdesperowany. – Sama podjęłaś taką decyzję!**

**– I bardzo rozsądną, jak się okazuje – odpowiedziała spokojnie. – A skoro już jesteś w mojej sypialni, to czy możesz łaskawie nie podnosić głosu?**

**– Nie, do cholery, tego już naprawdę za wiele!**

**– Więc powiem ci już tylko dobranoc!**

**– Zaraz, Katherine, zaczekaj... O co ci właściwie chodzi?**

**– Już ci powiedziałam. Nie będę się z tobą kochać w ten sposób.**

**– Nigdy?**

**– Tego nie powiedziałam.**

**– No to wobec tego kiedy?**

– Kiedy zdecyduję, że przenoszę się do twojej sypialni.

– Wystarczy parę minut, żeby cię tam przenieść. Wezmę cię na ręce i...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nawet nie słuchasz tego, co mówię. Powiedziałam, że to się stanie wtedy, kiedy ja tak zdecyduję. Ja, a nie ty!

– A co różnica, kto z nas dwojga to zrobi? Ważne, że jedno z nas podjęło taką decyzję, i to w zupełności wystarczy. Katherine popatrzyła na niego i pokiwała głową.

– Nie obraż się, ale chyba tylko ty mogłeś powiedzieć coś równie głupiego.

Zaczynam podejrzewać, że ty po prostu nic nie wiesz o kobietach.

– Tak! – wrzasnął Alex. – Tak, u wszystkich diabłów! Tu się z tobą zgadzam. W pełni!

– No to wreszcie w czymś się zgadzamy. – Głos Katherine, był pełen słodczy.

Następnego ranka Adrian kończył już śniadanie, podane mu przez Wonga, kiedy w kuchni pojawił się brat. Alex rozejrzał się od progu i zapytał:

– Gdzie jest Katherine?

Zręcznie żonglujący patelnią i podrzucanymi w górę naleśnikami chiński kucharz kątem oka spojrzał na niego, ale milczał, udając, że jest bez reszty zajęty smażeniem.

– Katherine jeszcze nie zeszła – powiedział Adrian. W końcu Wong postawił przed Alexem talerz z gorącymi naleśnikami i dzbanek świeżo zaparzonej kawy, po czym natychmiast wrócił do swoich patelni. Adrian siedział w milczeniu i irytująco wolno podnosił do ust prawie pustą filiżankę.

**Czas upływał, a Katherine nadal nie było.**

**– Może wkrótce się pojawi – powiedział po dłuższej chwili Alex.**

**– Może – zgodził się jego brat, nawet nie podnosząc wzrok. Gdy po dobrym kwadransie, jedząc bardzo wolno, wreszcie skończył śniadanie, Adrian dopijał drugą kawę i zamówił u Wonga trzecią. Alex patrzył na to z lekkim zdziwieniem, bo brat nigdy dotąd nie pił przy śniadaniu aż tyle. Najwyraźniej był to tylko pretekst, żeby siedzieć jak najdłużej; najwyraźniej na coś czekał.**

**– Nie masz nic pilnego do zrobienia? – zapytał w końcu Alex. Adrian wzruszył ramionami.**

**– A ty?**

230

**– Ja chcę wypić jeszcze jedną kawę.**

**– Ja też.**

**– Dotąd zazwyczaj piłeś co najwyżej dwie.**

**– A dziś wypiję cztery. Widzisz w tym jakiś problem?**

**– Nie. – Alex spojrział na zegarek. Katherine już dawno powinna była zejść.**

**To denerwujące, że wciąż jej nie ma. A Adrian, rzecz jasna, widział jego niepokój i najwyraźniej się tym bawił. Trzeba go stąd wysłać do wszystkich diabłów. – Czy już ściągnięto te bale, które blokowały drogę?**

**– Nie wiem – odpowiedział beztrząsco brat. Alex popatrzył na niego i uniósł brwi.**

**– A nie sądzisz, że powinieneś sprawdzić, czy przynajmniej zaczęli to robić?**

**– Na razie wolę posiedzieć tutaj, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś**



sam to sprawdził, jeśli masz ochotę. To już były wyraźne kpiny. Alex miał tego dość.

– Wong! – krzyknął na kucharza. – Biegnij na górę i dowiedz się co zatrzymuje moją żonę. Powiedz jej, że śniadanie stygnie. Chińczyk uklonił się i pobiegł na górę. Wrócił już po chwili. – No i co? – spytał Alex. – Co powiedziała? – Missy powiedziec, że nie będzie jeść śniadania dziś. – Dlaczego? Czy źle się czuje? Kucharz wzruszył ramionami. – Wong nie pytać. – No to idź i zapytaj.

Wong pobiegł i wrócił jeszcze szybciej.

– Dowiedziałeś się, co jej dolega?

Kucharz skinął głową.

– Missy nie móc zejść, bo uginać się pod ciężarem wdzięczności..

Alex szeroko otworzył usta, a Adrian nie wytrzymał i prychnął śmiechem.

– To ja chyba już pójdę zobaczyć, co tam się dzieje na tej zablokowanej drodze – oznajmił i wybiegł, śmiejąc się coraz głośniej.

Alex tymczasem starał się przypomnieć sobie, w którym momencie skierował do Katherine te słowa o uginaniu się pod ciężarem wdzięczności, tak perfidnie i złośliwie obrócone teraz przeciwko niemu.

Adrian śmiał się z niego, i miał po temu powody. Alex postanowił porachować się z nim później. Ale Katherine powinna wiedzieć, że bardzo, ale to bardzo się myli, sądząc, że on będzie się godził na takie zachowania własnej, bądź co bądź, żony.

Minął tydzień i nic się praktycznie nie zmieniło. Katherine wciąż spała w osobnej sypialni, a Alex nadal pomrukiwał pod nosem, że nie będzie tolerował podobnych zachowań, ale też na pomrukiwaniu się kończyło. Katherine co prawda nie pomrukiwała, ale w duchu mówiła sobie niemal to samo co i on – że na tego rodzaju traktowanie godzić się w żadnym wypadku nie może. Przynajmniej w tym względzie oboje byli ze sobą zgodni. Pogoda, na szczęście, bardzo się poprawiła – było słonecznie i bardzo ciepło, zwłaszcza jak na początek listopada. Dzięki temu Katherine nie musiała stale siedzieć w domu, mogła swobodnie spacerować i poznawać okolicę, a przy okazji także i zatrudnionych tu ludzi. Najczęściej widywała się z Molly, do której przekonywała się coraz bardziej i niemal codziennie prowadziła z nią długie rozmowy na coraz bardziej osobiste tematy. Jako kobiety porozumiały się bardzo szybko, zwłaszcza kiedy Molly Mierzyła się jej z kłopotów, jakie miała z mężem na początku małżeństwa, które ostatecznie przetrwało wszystkie burze i trwało z – bagatela! – ponad trzydzieści lat. Katherine w rewanżu opowiedziała jej o własnych problemach i jeżeli nawet Molly nie miała dla niej gotowej recepty, to w każdym razie dodała jej ducha i mogła spojrzeć na całą sytuację bardziej optymistycznie.

Przez cały ten czas – właściwie od chwili przybycia do leśnego obozu – Katherine miała okazję widywać Alexa jedynie w porze posiłków. Trzeba mu było przyznać, że jako

**szef**

**pracował**

**bardzo**

**intensywnie**

**i**

**najprawdopodobniej nawet więcej niż musiał. To samo dotyczyło Adriana.**

**Obaj bracia nawykli do naprawdę ciężkiej pracy, nietrudno było więc zrozumieć, jak udało się im osiągnąć takie sukcesy już po paru latach od momentu przybycia do Kalifornii.**

**Stosunki między małżonkami powoli ułożyły się w coś w rodzaju codziennej rutyny, którą milcząco zaakceptowały obie strony. Alex całował żonę w policzek, gdy schodziła rano na śniadanie i kiedy wieczorem po kolacji szła do siebie na górę. Pomagał jej, gdy trzeba było przenieść coś cięższego, informował o bieżących wydarzeniach i o najnowszych wiadomościach ze świata, które docierały do obozu najczęściej przy okazji pojawienia się kolejnego statku z San Francisco. Od czasu do czasu mówił jej komplement, dostrzegał, że dobrze wygląda w tej czy innej sukience, i śmiał się, kiedy**

**232**

**powiedziała coś zabawnego. Katherine zauważyła też, że często się jej przygląda: nawet nie patrząc w jego stronę, nieraz czuła na sobie wzrok męża.**

**Parę razy posunął się nawet do tego, że ją pocałował.**

**Ale nadal spali osobno i najwyraźniej Katherine nie zamierzała przenosić się do jego sypialni.**

**Postanowiła natomiast, że postara się jak najlepiej poznać pracę męża –**

zarówno obóz drwali, jak i zatrudnionych w nim ludzi. Przy każdej okazji rozmawiała z pracownikami, wypytywała o najróżniejsze aspekty ich pracy i próbowała zapamiętywać ich nazwiska. W domu starała się jak najlepiej wypełniać obowiązki gospodyni. Sama przygotowywała obiady i kolacje i podawała je o właściwej porze; dbała o to, by Alex zawsze miał czy koszule i skarpetki, żeby dom był zawsze sprzątnięty, zadbany i przytulny przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe. Za punkt honoru postawiła sobie, żeby na nic się nie skarżyć uśmiechniętą, czarującą i pełną wdzięku, nawet wtedy, gdy będzie miała szczerą ochotę walnąć czymś ciężkim w łeb męża. Była bowiem osobą zdeterminowaną i postanowiła pokazać, że to właśnie ona jest kobietą, której on potrzebuje. Jeśli nie mogła być żoną, o jakiej by marzył, chciała być przynajmniej żoną, której by coraz bardziej potrzebował. On jednak najwyraźniej nie potrzebował nikogo, a już najmniej Katherine.

Równie dobrze mogłabym być sosnowym czy świerkowym kłocem, myślała czasem w momentach desperacji. Nie bez goryczy mówiła sobie, że miałyby nawet większe szansę – bo na porządny świerkowy kłoc mąż z pewnością zwróciłby uwagę.

Tymczasem z punktu widzenia Alexa rzecz wyglądała zupełnie inaczej.

Sytuacja była dla niego niewątpliwie mocno frustrująca. Obecność Katherine nieustannie przypominała mu o zasadniczym błędzie, który popełnił, z drugiej jednak strony nie mógł nie dostrzegać oczywistego faktu, że od czasu, gdy stali się małżeństwem, jego życie pod wieloma względami zdecydowanie zmieniło się na lepsze. Uczciwość nakazywała też przyznać, że Katherine górowała nad Karin niemal na każdym polu, a już zwłaszcza w dziedzinie praktycznego życia.

Mimo najlepszych chęci Alex po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, by Karin w ogóle potrafiła się dostosować do warunków życia w leśnym obozie, a już z całą pewnością nie zadałaby sobie tyle trudu, by osobiście poznać zatrudnionych tu ludzi, wiedzieć, na czym polega ich praca, pamiętać ich z imienia i nazwiska, a z niektórymi nawet się zaprzyjaźniać. A Katherine to umiała. Nic więc dziwnego, że ludzie najzwyczajniej w świecie ją lubili – to po

233

prostu rzucało się w oczy.

Alex widział, jak dzień po dniu żona zdobywa sobie sympatię pracowników, nie mógł też nie dostrzegać tych wszystkich drobnych rzeczy, które robiła tylko dla niego – nie dlatego że musiała, ale dlatego że w ten dyskretny sposób okazywała mu miłość i oddanie. Poza tym właściwie nieustannie czarowała go, uwodziła na wszystkie możliwe sposoby – niemal niezauważalnie, ale bardzo konsekwentnie i na tyle skutecznie, że chwilami już naprawdę bliski tego, żeby machnąć ręką na wszelkie wątpliwości, wziąć ją na ręce i zanieść na górę do któregoś z pokojów. Tam wreszcie mógłby się z nią kochać aż do białego świtu i ostatecznie skończyć z tą denerwującą grą w ciuciubabkę.

To właśnie zamierzał jej powiedzieć, kiedy nagle okazało się, że musi z Adrianem pilnie jechać do San Francisco. Wszelkie inne sprawy musiały poczekać.

Katherine dowiedziała się o ich wyjeździe dopiero w ostatniej chwili, gdy Alex przyszedł na obiad.

– Wypływamy za pół godziny – powiedział mocno zaaferowany. – I,

**niestety, nie będę mógł cię zabrać ze sobą.**

**– Rozumiem – powiedziała cicho.**

**– Myślę, że jednak nie do końca. Nie zabieram cię ze sobą nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego że po prostu nie mogę, przede wszystkim ze względu na warunki, w jakich odbędziemy tę podróż. To nie jest statek pasażerski, tylko towarowy, przystosowany do przewozu drewna. My dwaj, to znaczy Adrian i ja, możemy spać w kubryku dla załogi, natomiast nie ma tam żadnego pomieszczenia nadającego się dla kobiety.**

**Mniej więcej po kwadransie już wyruszył, zapowiadając, że wróci tak szybko, jak to tylko będzie możliwe – najprawdopodobniej za jakiś tydzień.**

**Katherine odprowadziła go aż do przystani, przy której – jak się okazało – zgromadziła się całkiem spora grupka ludzi. Stali nieruchomo i sprawiali takie wrażenie, jak gdyby na coś czekali, a Alex dopiero po chwili zorientował się, że ci wszyscy mężczyźni w gruncie rzeczy zebrali się tylko po to, żeby zobaczyć, jak będzie całował swoją piękną żonę. Patrzył na nich w jawnej rozterce, nie wiedząc, jak się ma zachować.**

**Gdzieś w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę najbardziej chciałby wziąć ją w ramiona i na oczach wszystka całować tak mocno i długo, jak jeszcze nigdy dotąd. Co zatem stało na przeszkodzie, by tak właśnie zrobić?**

234

**Na przestrzeni ostatnich tygodni przekonywał się wciąż na nowo, że małżeństwo z Katherine wcale nie było złe, że było lepsze, niż mógł się tego spodziewać. Niemal każdego dnia odkrywał w żonie jakieś n zalety i właściwie jedynym zarzutem, jaki potrafilby jej postawić, mogłoby być to, że była sobą, a**

nie Karin. Trudno o zarzut bardziej niedorzeczny, a poza tym to, że Katherine całkowicie różniła się od Karin w gruncie rzeczy było jej największym atutem. Po prostu przewyższała siostrę pod każdym względem, co do tego nie miał już żadnych wątpliwości.

Co więcej, zaczynały się w nim budzić emocje, których nie rozumiał.

Zupełnie niepotrzebnie, na przykład, pozwolił sobie na okazanie zazdrości, kiedy zobaczył żonę rozmawiającą z jednym z nowo zatrudnionych robotników, młodym i przystojnym Szwedem, który z czapką w ręku uprzejmie i wyczerpująco odpowiadał na pytania, zadawane mu przez piękną żonę jego pracodawcy.

Alex gwałtownie przerwał im tę rozmowę, nakazując nieco zaskoczonemu Szwedowi, aby natychmiast wrócił do swoich zajęć. Gdy ten posłusznie odszedł, z marsową miną odwrócił się do Katherine.

– Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek z nim rozmawiała – powiedział bardzo stanowczo.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Mam nie rozmawiać tylko z nim czy też dotyczy to wszystkich mężczyzn?

– Dotyczy każdego, kto będzie się zachowywał tak jak ten młokos.

– Nie robił nic złego. – Owszem, robił. Stał za blisko i zachowywał się zbyt poufale.

– Więc jak, twoim zdaniem, mam postąpić, jeśli w przyszłości ktoś z twoich pracowników się do mnie odezwie? Odwrócić się i uciekać? Tego się po mnie spodziewasz?

– Spodziewam się zachowania godnego damy. Zamężnej damy.

**Katherine spojrzała na niego i pokręciła głową.**

**– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że czasami zachowujesz się jak, nie przymierzając, wyjątkowo uparty baran?**

**– Jak mam rozumieć ten wątpliwy komplement? Co niby chciałaś przez to powiedzieć?**

**– Tylko tyle, że mówisz głupstwa. Pominąwszy już kwestię, czy jestem, czy nie jestem damą, zamężną można mnie nazwać, tylko bardzo naciągając fakty.**

**Na małżeństwo składa się wiele rzeczy, z których ja mam za sobą jedynie tę**

**235**

**dość byle jaką, łagodnie mówiąc, ceremonię ślubną. I na tym koniec.**

**– Bo sama nie chcesz niczego więcej! – wykrzyknął poirytowany. – Ja próbuję ze wszystkich sił, a ty się opierasz. Jeśli małżeństwo nie dało ci tego, czego się spodziewałaś, to na pewno nie jest to moja wina.**

**– Nie twoja?**

**– Nie. To ty wciąż odmawiasz przeniesienia się do mojej sypialni.**

**– A ty jesteś tak głupio uparty, że nie chcesz zrozumieć dlaczego.**

**Tak rozmawiając, zdążyli dojść aż do domu, ale możliwość osiągnięcia jakiegoś porozumienia wydawała się prawie równie odległa, jak na początku rozmowy.**

**Alex próbował jakoś wytłumaczyć swoje wcześniejsze zachowanie.**

**– Posłuchaj, Katherine – odezwał się tonem łagodnej perswazji – nie chcę, żebyś myślała, że moje... no, może trochę gwałtowne reakcje wynikały ze złej woli. Nie chodzi przecież o to, żebym za wszelką cenę chciał cię krępować, tylko o to, czym dla tych wszystkich mężczyzn jest twoja obecność... zwłaszcza**



że znakomita większość od miesięcy nie widziała kobiety...

– Powinnam więc siedzieć zamknięta w domu, żeby nikt z twoich ludzi mnie przypadkiem nie zobaczył, tak?

– No nie... – Alex w końcu uznał, że w tym sporze nie ma szans na wygraną, spróbował więc obrócić to wszystko w niezobowiązujący żart. – Chodzi o to, żebyś była ostrożniejsza żebyś się trochę bardziej pilnowała...

– Zwłaszcza przed tobą – mruknęła Katherine.

– Przede mną się nie upilnujesz.

– Nie?

– A pewnie, że nie. Wezmę cię na ręce i co mi zrobisz?

Uniósł ją lekko jak piórko.

– Raczej co ty mi zrobisz? – Nawet nie próbowała się wyrwać.

– Zaniosę cię na górę.

– A potem?

– A potem się zobaczy.

Gdy byli już na górze, postawił ją przy ścianie i trzymając za nadgarstki tak, żeby nie mogła się ruszyć, zapytał żartobliwie groźnym tonem:

– No to do jakiego zwierzęcia byłaś upzejma mnie przyrównać ledwie przed paroma minutami?

– Do niczego cię nie przyrównywałam.

– A właśnie, że tak. Nazwałaś mnie wyjątkowo upartym...

236

– ...wyjątkowo upartym baranem – przyznała Katherine.

– No właśnie. Zawsze sądziłem, że wszystkie barany są uparte.

– Bo są. Ale najbardziej uparte są te najgłupsze.

– I takie jest twoje szczere przekonanie?

– Jak najszczerze...

Na szczęście przy tym przekomarzaniu się żadne z nich nie mówiło tak całkiem poważnie. Aż do momentu, gdy Alex nagle zapytał:

– No i powiedz mi, Katherine, co ja mam z tobą zrobić?

Zapadło milczenie.

– Odesłać mnie z powrotem, jak sądzę... – odpowiedziała w końcu.

Jej słowa podziałały na niego jak uderzenie. Nie! nigdy! – Pomyślał odruchowo, zanim w ogóle zdążył się zastanowić nad pensm tego, co ona odważyła się powiedzieć. Nie i nie! Nigdy!

To po prostu niemożliwe!

Patrzył na nią, na jej delikatną, zachwycająco piękną twarz. Wciąż powtarzał w duchu: Nie, nigdy! Wiedział, że nie potrafi się z nią rozstać, tylko wciąż nie potrafił znaleźć odpowiednich słów żeby jej to powiedzieć. Kiedyś to zrobię, pomyślał. Przyjdzie czas i wtedy wszystko jej powiem.

Uśmiechnął się, żeby ukryć rozterkę, a potem prawie odruchowo objął żonę i przyciągnął ją bliżej. Kiedyś nie chciał się z nią żenić, a teraz, dla odmiany, nie chciał odsyłać jej do domu. Więc o co mi właściwie chodzi? – pytał sam siebie po raz nie wiadomo który i znów zastanawiał się, czy to możliwe, by rzeczywiście się w niej zakochał, i to w dodatku tak niezwykle szybko? Nie. to jednak nie jest miłość. Zrozum to, chłopie, ona jest niezwykle miłą młodą kobietą i dlatego dobrze się czujesz w jej towarzystwie, ale to nie jest miłość. Wniosła w twoje życie radość i śmiech, lecz to nie jest miłość. Z

utęsknieniem wyczekujesz na każdy moment, w którym znów masz ją zobaczyć, ale to też nie jest miłość.

– Nie mogę cię odesłać do domu. Obawiam się, że na to już jest za późno. –

Musnął wargami czoło Katherine, a potem znów spojrzął prosto w jej przepastne, zielone oczy. – Zawsze miałaś w sobie coś... coś, co sprawiało, że było mi bardzo trudno trzymać się od ciebie z daleka. Dlaczego właściwie nie potrafię się na ciebie gniewać? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Bo jestem urocza i pełna wdzięku? – Roześmiała się.

– To prawda, ale to nie jest ten powód. Spróbuj jeszcze raz.

– Bo tak naprawdę nie masz powodu, żeby się na mnie gniewać.

237

To było niepokojąco bliskie prawdy. Alex uśmiechnął się i delikatnie ujął ją pod brodę.

– Jak ty to robisz, że zawsze udaje ci się utrafić w sedno? Skąd masz tę instynktowną mądrość i rozumienie wszystkiego? – Wciąż trzymając ją pod brodę, palcem drugiej dłoni zaczął obrysowywać kontur jej ust. To była bardzo podniecająca pieśczoła.

– Nie jestem mądra – powiedziała cicho Katherine. – Bo gdybym była...

Zobaczyła, że Alex chce ją pocałować, i próbowała się uchylić, ale bezskutecznie. Przytrzymał ją bardzo mocno i zaczął całować tak, jak jeszcze nigdy dotąd. To były pocałunki doświadczonej mężczyzny, który doskonale wiedział, co i jak ma robić, z nią by w niej rozpaćić pożądanie.

Ale znalazła w sobie dość siły, żeby nie ulec. Mimo wszystko nie ulec temu, czego tak naprawdę pragnęła najbardziej na świecie.

– Nie rób tego – poprosiła cicho. Jej oczy zaszklily się niebezpiecznie. –

Nie rób tego, jeżeli nie jesteś gotów. Nie podniecaj mnie tylko po to, żeby mnie później odepchnąć.

– Jeżeli nie jestem gotów do czego?

– Do tego, by poznać mnie jako żonę.

Alex opuścił ręce i uwolnił ją z objęć. Usłyszał jeszcze, jak Katherine biegnie do swego pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi. Potem wolno zszedł na dół i nieco chwiejnym krokiem ruszył prosto przed siebie, aby trochę oprzytomnieć. Nie było to łatwe, więc wrócił do domu dopiero po dobrej godzinie.

Ale to wszystko zdarzyło się poprzedniego wieczoru, natomiast teraz Alex miał na pożegnanie całować żonę na oczach co najmniej kilkudziesięciu zgromadzonych na przystani mężczyzn. Dopingowali go coraz głośniejszymi okrzykami zachęty, a on nie dał się zbyt długo prosić.

Gdy wziął ją w ramiona i pocałował bardzo mocno i czule, rozległy się gromkie brawa i okrzyki:

– Jeszcze! Jeszcze!

Pocałował ją ponownie, a potem pochylił się i powiedział niezwykle ciepło i serdecznie:

– Dbaj o siebie, Katherine. Mam nadzieję wrócić za jakiś tydzień.

– Będzie mi ciebie brakować – szepnęła.

– A mnie... – zaczął, lecz urwał w połowie zdania i dokończył już zupełnie

obejrzyś. Już za sześć, siedem dni.

Nie było go przeszło dwa razy dłużej. Od wyjazdu Alexa minęły dwa tygodnie i dwa dni, kiedy to się wydarzyło. Katherine siedziała na zmurszałym pniaku na jednej z najładniejszych polanek nieopodal miejsca wyrębu, rozmyślała – oczywiście – o mężu i od niechcienia zabawiała się szkicowaniem fantastycznie poskręcanych konarów drzew, których uroda wprost prosiła się o utrwalenie w serii odręcznych rysunków. Parę innych szkiców Katherine poświęciła wspinającym się po drzewach czarnym i rudym wiewiórkom. Właśnie zamierzała sportretować także sowę, którą wypatrzyła wśród gałęzi, kiedy nagle od strony pobliskiego zbocza, gdzie prowadzono ścinkę drewna, dobiegł ją głośny trzask walącego się kolejnego pnia, a zaraz potem rozpaczliwy ludzki krzyk, tym bardziej przerażający, że nagle – jak nożem uciął – umilkły odgłosy pił i siekier i zapadła niemal grobowa cisza.

Katherine zerwała się na równe nogi i nie dbając o szkicownik, który upadł na ziemię, bez chwili zastanowienia pobiegła w górę stromego zbocza, w stronę wyrębu. Krańcowo wyczerpana po kilku minutach forsownego biegu, nie mogąc już złapać tchu, dotarła w końcu do przecinki i zobaczyła ogromne zwalone drzewo i dużą grupę stojących przy nim mężczyzn, którzy usiłowali coś wypatrzeć pod połamanymi konarami.

Gdy chciała podejść bliżej, jeden z drwali, o którym wiedziała tylko tyle, że ma przywisko Połówka, próbował ją odwieść od tego zamiaru.

– Lepiej, żeby pani tam nie szła, pani Mackinnon. To nie jest przyjemny widok.

– Co... – Katherine z trudem łapała oddech. – Co się stało?

– Jeden z naszych ludzi nie odskoczył na czas i drzewo zwało się wprost na niego.

– Jak ciężkie są obrażenia?

– Jeszcze nie wiemy. Jest przywalony najgęstsza częścią korony drzewa, pełno tam grubych konarów i drobniejszych gałęzi. Na razie nie możemy się do niego dostać. Ale pani niech lepiej wraca do domu.

– W żadnym wypadku! Może się do czegoś przydam. – Podciągnęła spódnicę i pobiegła jeszcze szybciej.

Już po chwili znalazła się obok grupki mężczyzn, którzy siekierami cięli konary i gałęzie zwałonego drzewa.

239

– Gdzie on jest? – zapytała, daremnie usiłując coś zobaczyć. – Jak się nazywa?

Jeden z drwali, zwalisty olbrzym nazwiskiem Shay, obrócił się twarzą do niej.

– To Ned Birkham – powiedział. – Jest uwięziony między tymi konarami. Próbujemy się do niego przedostać, ale zanim zdołamy poprzecinać to wszystko, minie sporo czasu.

– Nie ma żadnego innego sposobu?

– Tylko ktoś bardzo szczupły i niezbyt szeroki w ramionach mógłby spróbować wpełznąć pod te gałęzie. Ale nikogo takiego tli nie ma, u nas pracują tylko rosłe chłopcy.

Katherine nie wahała się ani chwili.

– Ja jestem szczupła i w porównaniu z wami dosyć drobna. Może mi się

**uda.**

**– Obawiam się, pani Mackinnon, że nawet gdyby udało się pani dotrzeć do Neda, niewiele będzie mogła pani zrobić. I tak trzeba będzie poczekać aż do momentu, kiedy obetniemy te wszystkie konary, bo dopiero wtedy da się go stamtąd wyciągnąć.**

**– Ten człowiek może być umierający. Nie powinien być w takiej chwili był zupełnie sam.**

**– Nie mamy pewności, czy w ogóle jeszcze żyje.**

**– Więc choćby dlatego powinnam spróbować przedostać się do niego jak najprędzej. Na tak stromym stoku to drzewo w każdej chwili może się zsunąć jeszcze dalej, więc wy też ryzykujecie życie, zbyt pośpiesznie obcinając te konary. A tak przynajmniej będę mogła wam powiedzieć, czy macie po co ryzykować.**

**Nie czekając już dłużej, podeszła do miejsca, z którego można było próbować wpełznąć pod potrzaskane konary. Shay poszedł z nią i zwrócił się do drwali:**

**– Pani Mackinnon uważa, że może jej się uda przedostać do Birkhama.**

**Przestańcie na razie ciąć te gałęzie.**

**Mężczyźni rozstąpili się w milczeniu. Katherine przyjrzała się uważnie układowi konarów i wybrała drogę, która, jej zdaniem dawała największe szansę. Pierwszych kilka metrów mogła jeszcze przejść na czworakach, pochylając się bardzo nisko. Potem zaczęły się trudności. Połamane gałęzie niemal całkowicie blokowały dostęp i tylko przy samej ziemi widoczny był**

**bardzo wąski przesmyk między dwoma grubymi konarami.**

**– Mogę spróbować jakoś się tam wcisnąć, ale będę musiała zdjąć spódnicę!**

**– zawołała, obracając się w stronę patrzących na nią drwali. – Czy możecie się odwrócić?**

**Mężczyźni spojrzeli po sobie, jakby wahając się, ale trwało to tylko chwilę.**

**Shay wrzasnął na nich, jednocześnie podsuwając im pod nos pięść wielkości sporego bochenka chleba.**

**– No już, wy zaślinione głupki! Odwracać mi się w tej chwili! A który spróbuje nie posłuchać, bardzo tego pożałuje!**

**Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się natychmiast, łącznie z Shayem, a**

**Katherine mogła już bez przeszkód ściągnąć spódnicę. Nie czuła się skrzepowana i w ogóle nie zastanawiała się, jak może wyglądać w pantalonach.**

**Miała na głowie znacznie ważniejsze sprawy.**

**Wcisnęła się między potrzaskane konary i zaczęła się przez nie przepychać, na zmianę czolgając się i pełzając, dosłownie wciśnięta w ziemię.**

**Gęste gałęzie utrudniały poruszanie się i boleśnie obcierały jej skórę, ale**

**Katherine nie poddawała się i cal za cal precysyjnie wciągała się dalej.**

**– Czy już go pani widzi? – usłyszała głos Shaya.**

**– Jeszcze nie – odpowiedziała, ale po chwili krzyknęła: – Tak Widzę go! O**

**Boże! Jest chyba nieprzytomny i strasznie krwawi.**

**– Oddycha? Może pani to sprawdzić?**

**Birkham leżał trochę na boku, odwrócony plecami, ale jego silnie**

**krwawiące ramię było w zasięgu jej ręki. Najpierw dotknęła palcami nadgarstka, usiłując wyczuć puls.**



– Jeszcze żyje – powiedziała. – Ale jedno ramię jest chyba zmiażdżone i prawie oderwane. Trzeba jakoś zatamować krew.

Nigdy dotąd nie miała do czynienia z tak potwornymi obrażeniami i taką ilością krwi. Jej zapach był tak silny, że doprowadzał ją do mdłości. Za wszelką cenę należało zatamować ten główny krwotok. Ale czym?

Zastanawiała się gorączkowo i nagle przypomniała sobie scenę, którą zrobił jej Alex, kiedy podczas swej pierwszej samotnej nocy w oddzielnej sypialni niebacznie wyciągnęła wstążkę, związującą dekolt bluzki. Teraz mąż był daleko, mogła więc bez przeszkód znów wyciągnąć wstążkę i tym razem użyć jej do zatamowania największego upływu krwi z potwornie poszarpanego ramienia.

Uklękła tuż przy Birkhamie, rozpięła guziki bluzki i wyciągnęła wstążkę.

241

Potem trochę na oślep, ponieważ gęste gałęzie zasłaniały całe pole widzenia i prawie nie przepuszczały światła, spróbowała palcami wyszukać odpowiednie miejsce tuż ponad raną na założenie tej prowizorycznej opaski. Przyszło jej to z ogromnym trudem, ale w końcu się udało. Wstążka wytrzymała i krwawienie zauważalnie się zmniejszyło, ale stan Birkhama nadal pozostawał katastrofalny, a zmiażdżone i prawie urwane ramię trzymało się na kilku ocalałych włóknach. Katherine była mokra od potu, z najwyższym trudem powstrzymywała się od zwymiotowania i modliła się w duchu, żeby ludzie Shaya, którzy tymczasem znów zaczęli ciąć i pilować gałęzie, dotarli do niej jak najszybciej. Po jakichś pięciu minutach odcięty został jeden z większych konarów i przez powstały niewielki otwór podano jej spódnicę i pelerynę, aby

**mogła się znowu ubrać.**

**Wreszcie zdołała wyjść. Gdy po jakimś kwadransie w końcu wydobyto wciąż nieprzytomnego Birkhama, Katherine poleciała zanieść go nie do obozu, ale wprost do domu.**

**– Przeniesiemy i opatrzymy u nas – zwróciła się do Shaya. – Do naszego domu jest najbliżej, a w kuchni mamy wielki stół, na którym można będzie go położyć. Proszę posłać kogoś po Molly, niech nagrzeje wody i przygotuje wszystko, co jest potrzebne, żeby jakoś go opatrzyć.**

**Kiedy ludzie z prowizorycznymi noszami dotarli w końcu na miejsce, woda już stała na ogniu, a Molly przyniosła dla Birkhama zmianę bielizny i kilka czystych prześcieradeł, które po podarciu na pasy mogły służyć jako bandaże.**

**Ułożono nieszczęśnika na blacie kuchennego stołu i Molly z pomocą Shaya zabrała się do opatrywania ran. Miała spore doświadczenie w tym względzie i z pewnością zrobiła wszystko, co było możliwe, ale Katherine nie bez racji obawiała się, że poza opatrzonymi już ranami znacznie gorsze mogą być obrażenia wewnętrzne. Krew wciąż płynęła z ust i z nosa Birkhama, a jego chrapliwy oddech też wróżył jak najgorzej. Było już ciemno, kiedy Molly ostatecznie skończyła opatrywanie i mycie ranego.**

**– To wszystko, co mogliśmy zrobić – powiedziała. – Reszta jest już w ręku Boga.**

**– Idźcie teraz odpocząć – poleciała Katherine. – Ja zostanę przy nim.**

**– Pani jest jeszcze bardziej wyczerpana niż my – zaprotestował Shay.**

**– Ja zostanę – oznajmiła Molly. – Proszę mi pozwolić.**

**– Nie, to nie ma sensu – zaprotestowała Katherine. – Wasz odpoczynek**

jest ważniejszy. Praca w kuchni obozowej zaczyna się o czwartej rano, musicie

242

więc choć trochę się przespać. Ja tu przy nim posiedzę, a jeżeli będę potrzebowała pomocy, dam znać przez Wonga.

Ustawiła wysokie krzesło w taki sposób, aby móc przez cały czas obserwować twarz rannego. Wpatrywała się w niego usilnie, daremnie szukając jakichkolwiek oznak poprawy czy choćby zmiany. Jednak jego niemal kredowo biała twarz przez cały czas pozostawała przerażająco nieruchoma. Dobry Boże, pomyślała Katherine, przecież on jest taki młody. Pewnie nie ma nawet dwudziestu lat. To naprawdę przerażające.

Molly i Shay przyszli ponownie o piątej rano. Katherine nad nie spała, stała nad Birkhamem, którego przed paroma minutami przykryła jeszcze dodatkowym kocem.

– Wydaje mi się, że jest mu zimno – powiedziała, poprawiając okrycie.

Molly podeszła bliżej, położyła dłoń na czole rannego, a potem odwinęła koc i przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej. Spojrzała na Shaya i znacząco skinęła głową.

– Och, nie! – jęknęła Katherine. – Przecież to taki młody chłopiec, ledwie zaczął żyć. Za młody, żeby umierać. To straszne. Straszne.

Nogi jej nagle zmiękły i niewiele brakowało, a upadłaby. Molly podtrzymała ją i objęła ramieniem.

– Wiem, że to straszne, ale czasami tak się dzieje. Ja w ciągu jednego roku straciłam dwóch moich chłopców, a obaj byli mniej więcej w jego wieku. W takich momentach jest naprawdę ciężko, ale trzeba się nauczyć z tym żyć. –

**Naciągnęła prześcieradło, zakrywając zmarłemu twarz.**

**Katherine patrzyła na to wstrząśnięta.**

**– Nie przyzwyczaję się do czegoś takiego. Nigdy, przenigdy.**

**– Ale jakoś trzeba będzie sobie z tym radzić – powiedziała Molly. – Każdy będzie musiał. Póki co Shay pójdzie po ludzi, którzy zabiorą Birkhama, a my chodźmy na górę. Musisz się położyć, przecież nie spałaś całą noc.**

**Ułożyła Katherine do łóżka, troskliwie i opiekuńczo otulając ją kołdrą i na odchodnym delikatnie głaszcząc po twarzy. Już miała wyjść, gdy Katherine niespodziewanie podniosła się na łóżku i odezwała się cicho:**

**– Molly?**

**– Tak?**

**– W jaki sposób zginęli twoi synowie?**

**Przez twarz potężnie zbudowanej kobiety przebiegł nagły skurcz bólu.**

**– Obaj prawie tak samo jak ten biedny Birkham, podczas wypadków w**

**243**

**lesie. Peter, który był najmłodszy, został zmiażdżony, kiedy pękł łańcuch mocujący kłody. A o dwa lata starszy Hiram któregoś dnia nie zdążył uciec przed padającym drzewem. Dwaj zginęli na miejscu. Ścinka drewna to bardzo niebezpieczny zawód.**

**– Och, Molly, tak ci współczuję...**

**– Wiem – odpowiedziała cicho Molly. – Wiem, że masz dobre serce. Ale to wszystko wydarzyło się wiele lat temu, więc czas powoli leczy rany. Choć kiedy czasem o tym pomyślę, to wciąż bardzo boli.**

**Katherine w końcu usnęła i spała aż do następnego ranka. Rano się**

wykapała i poczuła się trochę lepiej, choć pamięć o tragicznej śmierci tak młodego człowieka nadal ją przytłaczała. Nie czuła głodu, ale zdawała sobie sprawę, że jest bardzo osłabiona, i zdecydowała ostatecznie, że musi coś zjeść.

Gdy zeszła do kuchni, na jej spotkanie wybiegł rozpromieniony Wong.

– Szef wrócić, Wong widzieć! – zawołał już z daleka. – Wong powiedziec

Missy. Czy Missy pójść? Katherine uśmiechnęła się.

– Tak, Wong, dziękuję ci. Missy pójść.

Bardzo szybko przebrała się i ruszyła drogą w kierunku obozu, a rozradowany kucharz biegł przodem, od czasu do czasu zawracając i przybiegając do Katherine niczym wiemy pies tylko po to, by po chwili znów pobiec naprzód.

Na miejscu od razu zobaczyła Alexa i Adriana, otoczonych sporą grupą ludzi, którzy najwyraźniej opowiadali im o śmierci młodego Birkhama. Z pewnością musieli też wspomnieć i o jej udziale w tej daremnej, jak się ostatecznie okazało, akcji ratowania przywalonego pracownika. Katherine wciąż nie wiedziała, co Alex może o tym sądzić. Na razie wydawał się bardzo poważny i skupiony, co dla niej raczej nie było dobrym znakiem. Wszystko zależało od tego, co powiedzieli mu drwale.

Nagle jeden ze stojących przy Aleksie mężczyzn dostrzegł ją i łokciem trącił swego towarzysza, wskazując na nią wzrokiem. Katherine niespodziewanie poczuła, jak miękną jej nogi, a serc nagle zamarło. Dobry Boże, pomyślała, przecież oni chyba n obwiniają mnie o to, że Birkham umarł?!

Alex zauważył porozumiewawcze spojrzenia i szepty wśród swoich ludzi,

**gwałtownie obrócił się twarzą do żony i przez dłuższą chwilę patrzył jej prosto w oczy. Jego spojrzenie wydawało się twarde i tak przeszywające na wskroś, że**

244

**znieruchomiała na moment, kompletnie porażona i oszołomiona.**

**I wtedy nagle stało się coś dziwnego, coś, czego się w ogóle nie**

**spodziewała. Górujący wzrostem nad wszystkimi Shay niespodziewanie zdjął**

**kapelusz i trzymał go przed sobą na wysokości klatki piersiowej w taki sposób,**

**jak gdyby chciał tym gestem dać swym ludziom jakiś sygnał, jakiś znak. I**

**wszyscy jeden po drugim, zrobili to samo – zdjęli kapelusze, a potem cofnęli**

**się i stanęli półkolem, pozostawiając w środku Alexa i Adriana oraz stojącą**

**nieopodal Katherine. Wszyscy pochylili głowy, jak gdyby oddając komuś hołd,**

**może zmarłemu współtowarzyszowi, a może wszystkim, którzy zginęli,**

**wykonując tę ciężką i niebezpieczną pracę. Katherine właściwie nie wiedziała,**

**co ma o tym myśleć.**

**Natomiast Alex wiedział.**

**Wiedział, ponieważ jego ludzie zdążyli mu już wszystko zrelacjonować.**

**Opowiedzieli mu, jak Katherine pojawiła się na wyrębie już kilka minut po**

**wypadku, jak niezwykle odważnie, nie bacząc na nic, wcisnęła się pod zwałone**

**drzewo, aby jak najprędzej zatamować krew i zrobić dla nieszczęśnika**

**wszystko, co tylko było możliwe. Powiedzieli mu też, że po wydobyciu**

**Birkhama kazała im – dla zyskania na czasie – nieść go nie do obozu, ale do**

**domu, a po opatrzeniu ran czuwała nad nim, nie zmrużywszy oka przez całą**

**noc. I na koniec powiedzieli, że już do końca życia będą jej za to wdzięczni.**

**Alex zdawał sobie sprawę, że w tym, co chcieli wyrazić ci na pozór**

prymitywni i nieokrzescani twardzi mężczyźni, było iszczę i coś więcej. Było w tym najgłębsze ludzkie uznanie i szacunek, na jaki żadna kobieta nie mogłaby u nich liczyć z racji samej przynależności do swojej płci. Tu naprawdę nie chodziło tylko o okazanie wdzięczności, w spojrzeniach tych ludzi, w ich twarzach można było wyczytać także i to, o czym mu nie mówili. Ta dzielna kobieta zdobyła ich bez reszty

Patrząc na nich, musiała już wiedzieć, że każdy teraz zrobiłby dla niej wszystko, gdyby tylko zechciała choćby kiwnąć palcem.

Dosłownie daliby się za nią pokrajać. Alex nigdy jeszcze nie zetknął z takim zupełnie niezwykłym zbiorowym oddaniem którego najmniej można się było spodziewać wśród tak w końcu prostych, pozbawionych wszelkiego wykształcenia i nieraz wręcz ordynarnych ludzi z leśnego obozu. Było to dla niego doświadczenie w jakiś sposób bolesne, bo nagle odbierało mu znaczną część jego męskiej pychy i po prostu rzucało go na kolana.

W dodatku nawet przyroda postarała się, aby ten właśnie moment uczynić

245

znaczącym i wręcz magicznym. Gęste chmury rozsunęły się niespodziewanie i wschodzące słońce nagle zajaśniało pełnym blaskiem. Drwale jak gdyby wyczuli, że należy się usunąć, popatrzyli po sobie i rozeszli się w milczeniu.

Alex spojrział na Katherine i zdał sobie sprawę, że dla niego czas wahania się skończył – że nie ma już ani siły, ani ochoty, żeby się przed nią bronić, żeby nadal w taki czy inny sposób ją odpychać.

Ale widział też, że żona patrzy na niego wciąż niepewna, czy powita ją z radością, czy też może odeśle ją z powrotem do Teksasu. A on ciągle nie

potrafił jej przekonać, że nie ma się czego obawiać.

– Witaj, Katherine! – Uśmiechnął się trochę niepewnie. Skinęła głową.

– Witajcie obaj! – powiedziała, patrząc na stojących obok siebie braci. –

Miło widzieć was z powrotem w domu.

– Ludzie opowiedzieli mi wszystko. – Alex patrzył na nią chyba inaczej niż zwykle. – Mamy wobec ciebie ogromny dług wdzięczności.

Smutnej i zmęczonej twarzy Katherine nie rozjaśnił nawet najłżejszy uśmiech.

– Birkham umarł – powiedziała z rezygnacją. – Nie należ. mi się żadna wdzięczność, bo niby za co?

Adrian potrząsnął głową i popatrzył na nią z jawną troską.

– Mam jeszcze parę rzeczy do omówienia z szefem drwali – oznajmił. –

Będę więc w domu trochę później. Ale ty, Katherine nie wyglądasz najlepiej.

Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odparła. Adrian spojrział na brata.

– Moim zdaniem, jest niepokojąco blada i ledwie trzyma się na nogach.

Chyba powinieneś jak najszybciej ją stąd zabrać i dać jej odetchnąć.

Jednak Alex, nie czekając na jego radę, już przed chwilą objął ją i

poprowadził wiodącą pod górę ścieżką, która była najkrótszą drogą do domu.

Ich domu.

Adrian jeszcze przez chwilę stał w miejscu i patrzył, jak Alex i Katherine

powoli wspinają się łagodnie wznoszącą się ścieżką, skręcającą między

drzewa. Jeszcze chwila, a całkowicie znikną z pola widzenia. Żadne z nich

nawet się nie obejrzało w jego stronę.



Zamyślony, nadal stał nieruchomo, mając bolesne poczucie pustki i osamotnienia, poczucie dramatycznej utraty czegoś, na czym mu naprawdę zależało. Próbował sobie perswadować, że Katherine tak czy inaczej do niego nie należała, że przecież nawet ofiarując szczerą przyjaźń, w żaden sposób nie

246

okazywała mu miłości. Jednak nie to było najgorsze. Najgorsze było przeczucie, które właśnie w tym momencie stawało się pewnością – że ona już nigdy go nie pokocha.

18

Kiedy tak w pół objęci szli w stronę domu, oboje czuli się sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Alex chwilami spoglądał na żonę ciepło i czule, a wtedy Katherine była niemal pewna, że za chwilę zatrzyma się i zacznie ją całować. Wszystko na to wskazywało. Nie zrobił tego jednak może dlatego, że był zbyt zmęczony po długiej podróży. Pora też nie była zbyt sprzyjająca, wczesnym rankiem należało przede wszystkim pomyśleć o dobrym śniadaniu dla zdrożonego i z pewnością głodnego męża. Katherine stłumiła więc cisnące się na jej usta westchnienie lekkiego żalu, przestała myśleć o tym, co mogło się stać, a się nie stało, i zabrała się za robienie śniadania, krzątając się w kuchni bardzo pilnie i efektywnie, jak przystało na troskliwą i kochającą żonę. Ta rodząca się już chwilami bliskość znów uciekła, zamieniając się w rutynę codzienności.

Alex natychmiast po powrocie ze zdwojoną energią zabrał się do pracy i Katherine znów widywała go stanowczo za rzadko.

Musiała czekać.

Dopiero parę dni później okazją do dłuższego przebywania ze sobą sam na sam stał się wspólny wyjazd, który Alex zupełnie niespodziewanie jej zaproponował. Katherine wiedziała, że nie wybiera się konno do odległego o blisko dziesięć mil miejsca w głębi lasu, aby tam szukać stanowiska dla nowego wyrębu, ale nigdy nie przypuszczała, że zechce ją ze sobą zabrać. Wyruszyła więc z nim prawdziwie uszczęśliwiona. Po raz pierwszy od wielu lat jechali znów razem – niemal zupełnie tak samo jak przed laty w Teksasie.

Ale to jednak nie było to samo. Tam podczas takiej wspólnej jazdy rozmawiali niezwykle swobodnie i bez jakiegokolwiek skrępowania. Teraz z tej młodszej swobody pozostało niewiele.

I otoczenie też było zupełnie inne. Katherine szczerze zachwycała się urodą wspaniałego dziewiczego lasu i wznoszących się nad nim strzelistych górskich szczytów, ale i tak coraz bardziej tęskniła za bezkresnym równinnym Teksasem. W pewnym momencie omal nie powiedziała o tym Alexowi, ale

247

powstrzymała się, nie do końca pewna, jak on to przyjmie. Tymczasem okazało się, że mąż myśli zupełnie tak samo jak ona. Że też chciałby kiedyś wrócić w rodzinne strony.

– Tu jest pięknie, ale nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby spędzać tu resztę życia – powiedział jakby mimochodem, kiedy byli już na miejscu i po zakończeniu oględzin usiedli dla odpoczynku na skraju niewielkiej polany, od której miał się zacząć przyszły wyręb. – Mimo wszystko to nie jest kraj dla mnie. Co prawda Adrian uważa, że kiedyś jeszcze zmienię zdanie, ale nie sądzę, żeby miał rację. Zresztą tak czy inaczej pozostaje jeszcze dużo czasu,

więc podejmowanie decyzji w tej chwili nie miałyby sensu. Trzeba dużo pieniędzy, żeby kupić tyle ziemi, ile bym chciał, i zbudować taką przyszłość, o jakiej zawsze marzyłem. Na razie wciąż jest to tylko marzenie.

Spojrzał na Katherine i zapytał po chwili:

– A co ty o tym sądzisz? Co czujesz na myśl o tym, żeby kiedyś powrócić tam, do domu?

– Zawsze mi się wydawało, że mogłabym być szczęśliwa rzędzie –  
odpowiedziała ostrożnie, może niezbyt szczerze, ale przekonująco.

– Więc możesz sobie wyobrazić, że tam wracasz? Że jedziesz do domu?

Katherine próbowała się uśmiechnąć.

– Mogę sobie doskonale wyobrazić, że jadę tam, gdzie ty gdziekolwiek by to było. – Znowu odpowiedziała tak, jak należało. Jak wzorowa żona.

– No tak... – rzucił Alex jakby do siebie. Jak gdyby w ogóle wypadł mu z głowy ten fakt, że są małżeństwem. – Tak czy inaczej to sprawa przyszłości. Na razie cieszymy się urodą tego, co mamy tu i teraz. Bo dojechać tu co prawda niełatwo, ale sama chyba przyznasz, że było warto.

– Z całą pewnością. Nigdy dotąd nie widziałam niczego równie wspaniałego – zgodziła się Katherine, jeszcze raz się rozglądając. – Te potężne góry i ten nietknięty ludzką stopą las... to jest cudowne, wprost bajkowe... niewyobrażalnie piękne. I tylko posłuchaj, jaka tu jest niezwykła cisza.

– Zaczekaj! – Nagle podniósł rękę, odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przeciwległą stronę zbocza po drugiej stronie niewielkiego wąwozu. – Nie, chyba mi się wydawało. Tak, masz rację, to dziki, pierwotny las i pewnie dlatego jest tak piękny, że wciąż jest dziki. Ale też może być

**niebezpieczny. O, właśnie... więc jednak się nie przesłyszałem. Widzisz?**

**– Co?**

**– Tam, pod tym wysokim świerkiem, po drugiej stronie tego strumienia w**

**248**

**wąwozie.**

**– To niedźwiedź! – wykrzyknęła Katherine. – Żywy prawdziwy niedźwiedź?!**

**– Tak, grizzly. Zwietrzył nas, widać to po nim. I dlatego bardzo mnie cieszy, że między nami jest ten wąwóz i to strome zbocze.**

**– Ależ jest wspaniały! Popatrz tylko! Staje na tylnych łapach**

**– Mówilem, że nas zwietrzył. A przede wszystkim zwietrzy nasze konie.**

**Musimy stąd szybko wiać! Zresztą i tak zrobiło się późno.**

**– Ten grizzly ma chyba ze dwa metry.**

**– Więcej. Popatrz, jak konie się niepokoją. Dobrze, że nie jest jeszcze zupełnie ciemno. Wsiadaj i ruszaj szybko, ja będę jechał tuż za tobą.**

**Katherine ledwie zdążyła wsiąść, gdy jej koń, bez jakiegowiek ponaglania, ruszył z kopyta. Po chwili usłyszała za sobą tętent drugiego wierzchowca, dosiadanego przez Alexa.**

**– Teraz możesz już zwolnić – odezwał się jej mąż po kilku minutach.**

**– Powiedz to mojemu koniowi. On najwyraźniej uważa, że niedźwiedź wciąż jest za blisko.**

**W końcu jednak oba wierzchowce zwolniły. Las przerzedzał się na tyle, że można już było jechać obok siebie.**

**– Podziwialiśmy tę przyrodę chyba trochę za długo. – Alex spojrział na**

chylące się ku zachodowi słońce. – Może być ciemno zanim dojedziemy.

– A potrafisz po ciemku znaleźć drogę do domu?

– Ja może nie, ale konie potrafią. Trzeba tylko pozwolić im iść.

Miał rację. Było już naprawdę ciemno, kiedy wreszcie dojechali do obozu.

Adrian, który siedział już przy stole, ucieszył się na ich widok.

– Dobrze, że jesteście – powiedział. – Nie lubię być sam przy kolacji.

– Możesz nie czekać i spokojnie jeść – rzekł Alex. – My jeszcze musimy się umyć i doprowadzić do cywilizowanego wyglądu.

– W porządku. Chętnie poczekam.

– Nie musisz.

– Ależ poczekam z prawdziwą przyjemnością.

Alex obrzucił go jawnie niechętnym spojrzeniem, ale brat tylko się uśmiechnął.

Katherine popatrzyła na nich obu, wzruszyła ramionami i zwróciła się do chińskiego kucharza, który wyczekiwał na polecenia:

249

– Myślę, że kolację zjem raczej w moim pokoju. Aha, i jeszcze jedno,

Wong, nastaw mi wodę na gorącą kąpiel. Od paru godzin właśnie o tym

marzyłam. – Alex zmarszczył czoło, usiadł i z ponurą miną patrzył, jak żona

idzie schodami na górę. Jeszcze bardziej denerwowała go drwiąca mina brata,

który z ledwo skrywanym szyderstwem powiedział:

– No proszę, a ja myślałem, że taka pełna złości mina jest zarezerwowana

tylko i wyłącznie dla mnie. Widzę, że się bardzo myliłem. Czyżby przejażdżka

we dwoje nie bardzo się udała?

– Wiesz co, Adrianie? Gadasz, co ci ślina na język przyniesie, i w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, że są takie momenty, kiedy powinieneś przynajmniej siedzieć cicho! Więc zamknij się wreszcie albo idź sobie do wszystkich diabłów! – Alex podparł sobie brodę pięściami i ignorując obecność brata, niewidzącym Wzrokiem patrzył gdzieś przed siebie.

Zamknij się wreszcie... Adrian doskonale wiedział, czego od niego żądano, ale wiedział też, że czasami po prostu musi coś zrobić – nawet wbrew sobie – żeby wytrącić brata z kolejnego dolka, ze ślepego zaułka, w który Alex sam się wpakował. Ale żeby to zrobić, musiał z nim rozmawiać, musiał go po prostu przetrzymać

Ustawił więc krzesło dokładnie naprzeciwko krzesła Alexa, usiadł tak samo nieruchomo jak on i – wciąż nie mówiąc ani słowa – czekał.

Gdy Alex w końcu podniósł na niego wzrok, Adrian znów zaczął mówić.

Nie podjął jednak od razu tej zdecydowanie najtrudniejszej sprawy – był wystarczająco rozważny, żeby nie próbować natychmiast brać byka za rogi.

Zaczął od drobiazgów, mówiąc jak zawsze bardzo spokojnie i rzeczowo, takim samym tonem, jakim zwykle przy kolacji wykladał swoje poglądy na temat tych czy innych w miarę pilnych spraw, związanych z bieżącym prowadzeniem przedsiębiorstwa. Doświadczenie mówiło mu, że najlepiej zacząć właśnie od kilku takich mniej istotnych tematów, najtrudniejszy problem zostawiając na s koniec. Poruszył więc sprawę utwardzenia dolnego odcinka drogi, co miało znacznie ułatwić transport ściętych bali, zapyta też brata o zdanie na temat kupienia jeszcze jednej specjalistycznej piły, która w praktyce okazywała się niedostatecznie wydajna.

**Zazwyczaj podczas omawiania tak konkretnych spraw z związanych z pracą Alex słuchał brata bardzo uważnie, tym razem, jednak wydawał się wyraźnie roztargniony, a jego myśli krążyły gdzieś daleko.**

**– No więc co o tym myślisz? – spytał w końcu Adrian. – Czy powinniśmy**

**250**

**na to pójść?**

**– Pójść na co?**

**– Na wydanie takich pieniędzy na utwardzenie drogi. Czy ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię?**

**– Ależ słucham.**

**– Może słuchasz, ale nie słyszysz, bo myślisz o czymś zupełnie innym. Na pewno nie o utwardzaniu drogi i nie o specjalistycznych piłach. Ścinka i obróbka drewna, prawdę mówiąc, bardzo mało cię wzrusza, a ostatnio chyba już w ogóle cię nie obchodzi.**

**– Skąd taki wniosek?**

**– A choćby stąd, że od naszego wyjazdu do San Francisco nie wykazałeś się żadnym sensownym pomysłem. Nic ci już w ogóle nie przychodzi do głowy.**

**Alex nagle uderzył pięścią w stół z taką siłą, że talerze aż podskoczyły, a jedna z filiżanek rozprysła się z trzaskiem.**

**– No i dobrze! Zatem nie miałem żadnego sensownego pomysłu od powrotu z San Francisco i nie mam w tej chwili głowy do prowadzenia interesu! A więc nie mam. No i co w związku z tym zamierzasz zrobić? Znowu postawisz mi ultimatum? No to stawiaj, ale nie myśl sobie, że uda ci się mnie zastraszyć tak łatwo jak wtedy! Wtedy ustąpiłem i zrobiłem to, czego chciałeś.**

Ożeniłem się z nią. Jesteś zadowolony?! Ale cała reszta to już nie twoja sprawa, więc teraz już odczep się ode mnie i daj mi wreszcie święty spokój!

– A jak już będziesz miał ten twój wymarzony święty spokój, to co wtedy zrobisz? – W głosie Adriana, który dotąd mówił bardzo spokojnie, też pojawiła się z trudem hamowana wściekłość. – Nie tylko ze sobą, ale i z nią, z Katherine? Każesz jej siedzieć przez resztę życia i zastanawiać się, po co w ogóle się z nią ożeniłeś, skoro od samego początku nie zamierzałeś widzieć w niej prawdziwej żony? Czy ty zdajesz sobie sprawę, nawet z Wongiem rozmawiasz więcej i częściej niż z nią? Cały twój plan polega na tym, żeby ignorować ją tak długo, aż w końcu zrobi to, co na jej miejscu zrobiłaby każda normalna kobieta, aż weźmie sobie kochanka?

– A obaj wiemy, kogo sobie wtedy weźmie, prawda? – spytał Alex. Adrian wzruszył ramionami.

– No i taka właśnie jest rozmowa z tobą. Udajesz, że nie rozumiesz, o co chodzi, wymyślasz nieistniejące żeby uniknąć mówienia o tym, o co naprawdę tu chodzi. Dlaczego nagle chcesz rozmawiać o moich grzechach zagrożenia, nieważne, czy rzeczywistych, czy urojonych? Katherine nie jest moją, ale twoją

251

żoną, więc dlaczego nie rozmawiamy o tobie? I dlaczego ona wciąż śpi sama?

Dlaczego, do jasnej cholery, nie wzięłaś jej wreszcie do łóżka?

– To nie twoja sprawa – odparł lodowatym tonem Alex.

– Owszem, jest także i moja, bo jesteś moim bratem. Tragizm tej sytuacji nie polega na tym, że ożeniłeś się z kobietą, której nie kochasz, ale na twojej uporczywej odmowie, na tym, że po prostu nie chcesz kochać kobiety, z którą



**się ożeniłeś.**

**– A ty myślisz, że to takie łatwe? Wystarczy, jak powiem jej, że ją kocham, i od razu tak się stanie?**

**– Nie może się tak stać, ponieważ ty uparcie nie chcesz do tego dopuścić.**

**Ale jeżeli tak, to dobrze ci radzę: nie przypatruj się zbyt uważnie swoim uczuciom, bo możesz nagle zrozumieć, że zależy ci na niej znacznie bardziej, niż przypuszczasz. I powiem ci jeszcze coś. Moim zdaniem, Katherine nie rzuciła cię jeszcze. bo wciąż czeka na to, że coś się zmieni. Postępuje tak nie dlatego, że jest za głupia, żeby zrozumieć sens twojego zachowania wobec niej, ale dlatego, że ty ciągle jeszcze przytrzymujesz ją przy sobie, rzucając jej co jakiś czas żałośnie drobne okruchy nadziei. I nie mów mi, że robisz to nieświadomie! Nie chcesz być dla niej prawdziwym mężem, ale jednocześnie starasz się żeby wciąż była do ciebie przywiązana. Więc zrozum wreszcie że tak nie wolno ci postępować! Albo wyciągasz rybę z wody albo musisz odciąć przynętę!**

**– Sam nie wiesz, o czym mówisz!**

**– Nie wiem?! – Adrian odchylił się na oparcie krzesła. – A dlaczego nie chcesz, żeby cię zostawiła? Dlatego, że tak naprać jej pragniesz! Nawet kiedy w Teksasie uważałeś się za związanego z Karin, widziałem bardzo wyraźnie, że Katherine po prostu cię pociąga. Wtedy jednak to wszystko było pod przykrywką tak zwanej przyjaźni. Ale teraz nawet już nie próbujesz dbać o pozory. Za każdym razem, kiedy na nią patrzysz, twoje całe ciało sztywnieje, a w oczach masz taki żar, że można się tylko dziwić, dlaczego dotąd nie zmieniłeś się w kupkę popiołu. Ale jednocześnie wciąż nie potrafisz wybaczyć Katherine,**

że jest po prostu sobą... sobą, a nie Karin. Nie potrafisz, niezależnie od tego, jak bardzo ci na niej zależy. Mógłbyś przecież po ślubie wziąć żonę do łóżka przynajmniej raz, ale dla ciebie ważniejsze było ukaranie jej za to, że nie jest swoją siostrą, niż przekonanie się, czy może w tym być jakieś uczucie. I coś ci jeszcze powiem. W gniewie już niejednokrotnie nazywałem cię draniem i sukinsynem, ale teraz widzę, że się myliłem. Jesteś jeszcze gorszy od zwykłego

252

sukinsyna! Bo zwykły sukinsyn przynajmniej spróbowałby prawdziwego smaku małżeństwa, zanim doprowadziłby do jego obumarcia.

– Sukinsyn przede wszystkim powiedziałby jej prawdę i na pewno by się z nią nie ożenił tylko po to, żeby jej przypadkiem nie zranić – rzekł Alex. – Jeżeli mamy z tym teraz taki problem, drogi bracie, to głównie dlatego, że to właśnie ty zechciałeś się w to wszystko wtrącić i dyktowałeś innym, co mają robić. Z taką pewnością siebie, jakbyś był co najmniej panem Bogiem wszechmogącym. Adrian nagle przygasł i posmutniał; wyglądał tak, jak gdyby w jednej chwili stracił swą całą dotychczasową energię.

– Tu masz rację – przyznał. – Gdybyś ty wiedział, jak często sam sobie to mówiłem. Gdybym mógł teraz to wszystko jakoś odkręcić, z całą pewnością bym to zrobił. – Podniósł się i odsunął krzesło. – Myślę, że jest tylko jeden sposób. Tylko jeden.

– Jaki? – zapytał Alex.

– Powiem jej prawdę. Powiem, że to wszystko stało się z mojej winy.

Wezmę ją do San Francisco i wyszukam jej jakiegoś dobrego prawnika, który załatwi sprawę anulowania małżeństwa. A potem wsadzę ją na statek płynący

do Nowego Orleanu i odeśle z powrotem do Teksasu.

Alex dopadł go tak szybko, że Adrian nawet nie zdążył zauważyć jego ruchu, kiedy już był przyparty do ściany, trzymany bardzo mocno za kołnierz koszuli.

– Jeżeli kiedykolwiek Katherine będzie miała poznać prawdę, to ja i tylko ja o tym zdecyduję, rozumiałeś?! I nie myśl sobie, że nie widzę całej podstępnej chytryści w tej twojej, tak niby bezinteresownej ofercie. Katherine jest moją żoną. Moją! I pozostanie nią, bo ja tak chcę.

Adrian nagle zaczął się śmiać. Niby wciąż próbował się wyrwać, niby szarpał się z bratem, ale w rzeczywistości był bardzo zadowolony.

– Niech mnie diabli, drogi braciszku! Już myślałem, że nigdy tego nie powiesz. Coś jednak czasem dociera nawet do najbardziej zakutego łba!

– Powiniennem sprać cię na kwaśne jabłko! – Alex ciągle jeszcze trzymał go za kołnierz z taką siłą, że niewiele brakowało, aby go naprawdę udusił. W końcu jednak rozluźnił uchwyt.

– Dziękuję, drogi bracie – powiedział Adrian. – Mam już dosyć tej naszej szarpaniny. Lepiej się czegoś napijmy.

– No to zaczynaj, a ja dołączę za chwilę.

– A dokąd tak nagle idziesz?

253

– Muszę się jeszcze zająć końmi.

– Ale nie obraziłeś się, mam nadzieję?

Alex wzruszył ramionami.

– Jestem już chyba za stary na to, nie uważasz?

– Przez grzeczność nie zaprzeczę. – Adrian uśmiechnął się i zrećźnie

uchylił się przed sporym pomidorem, rzuconym w niego przez brata.

Tymczasem na piętrze Katherine zdążyła się już wykąpać po długiej męczącej jeździe i z apetytem zjadła przyniesioną przez Wonga kolację. Już w trakcie posiłku, rozgrzana długą gorącą kąpielą, zdała sobie sprawę, że w jej pokoju jest zimno i że warto by trochę podsuszyć wciąż jeszcze dość wilgotne włosy. A najskuteczniej można było to zrobić, siadając przed buchającym żarem paleniskiem kominka w dużym pokoju, co wydawało się całkiem dobrym rozwiązaniem. Po owinięciu głowy ręcznikiem i narzuceniu ciepłego szala na sukienkę zeszła na dół.

Wielki pokój był pusty, kiedy Katherine do niego weszła, ale gdy tylko usadowiła się w fotelu ustawionym na wprost trzaskającego ognia, drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Adrian. Podeszedł do długiego stolika ustawionego pod ścianą i ze stojącej tam karafki nalał dwie szklaneczki brandy. Potem zbliżył się do Katherine i podał jej jedną, gestem zachęcając do wypicia.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Nie mam ochoty na alkohol.

– Powinnaś to wypić. To cię rozgrzeje jeszcze lepiej niż kominek i odpręży zeszywniałe mięśnie. Podejrzewam, że po takiej długiej jeździe jutro będzie cię wszystko bolało.

– Już mnie boli. – Uśmiechnęła się i wzięła szklaneczkę. – A co to takiego?

– Bardzo dobra brandy. Nie krzyw się, tylko pij, małymi tyczkami. To pomaga na każdy ból.

– Ale smakuje okropnie. – Skrzywiła się jeszcze bardziej i zaczęła kaszeleć

**już po pierwszym łyku. – To jakieś straszne świństwo!**

**Adrian tylko się roześmiał.**

**– Najlepsza marka na całym wybrzeżu Pacyfiku – oznajmił. – I**

**gwarantuję, że po każdym kolejnym łyku będzie ci smakować coraz bardziej.**

**Ale najważniejszy jest ten wspaniały efekt zupełnego rozluźnienia. Pij powoli,**

**a już wkrótce w ogóle zapomnisz, że przez kilka godzin siedziałś na koniu.**

**Katherine wciąż patrzyła na szklaneczkę z jawnym niedowierzaniem.**

254

**– Zaufaj mi – poprosił ją szwagier.**

**– Zaufaj mi, akurat – mruknęła. – Te dwa słowa wpędziły w kłopoty już**

**niejedną kobietę.**

**– Ale mnie znasz już tak długo, że chyba możesz mi zaufać.**

**– No, ostatecznie. – Wzruszyła ramionami i jednym haustem wychyliła**

**całą szklaneczkę aż do dna.**

**– O święci pańscy! – wykrzyknął lekko przerażony Adrian. – Przecież**

**mówilem, małymi łyckami! – Spojrzał na nią z pewnym podziwem, potrząsnął**

**głową i poszedł po karafkę, by ponowni. napełnić szklaneczkę.**

**– No to teraz spróbujmy jeszcze raz. Podnosisz to powoli do ust... i**

**wypijasz łycek. Mały łycek...**

**Katherine tym razem posłuchała jego rady i piła już znacznie**

**powściągliwiej, z wolna sącząc i smakując rzeczywiście całkiem dobrą brandy i**

**robiąc spore przerwy pomiędzy kolejnymi łykami. Potem odstawiła**

**szklaneczkę, ściągnęła z głowy ręcznik i zaczęła rozczesywać i dosuszać**

**wilgotne końce włosów. Adrian patrzył na nią jak zaczarowany.**

– Nigdy dotąd nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami. Są

wspaniałe... i dłuższe, niż przypuszczałem.

– Chyba są już za długie – odpowiedziała Katherine. – Pewnie będę musiała je przyciąć.

– A mnie się podobają takie, jakie są – oznajmił Alex, który niemal bezgłośnie pojawił się na progu.

Katherine spojrzała na niego przez ramię i zobaczyła, że mąż nie patrzy na nią, ale na brata.

– Dobrze się tu czujesz? – zapytał ostro, wciąż nie spuszczając wzroku z uśmiechniętego Adriana.

– Po prostu znakomicie – odparł brat, nie mrugnawszy nawet okiem. – Masz może też ochotę na szklaneczkę brandy? Naleję ci.

– Sam sobie mogę nalać – odburknął Alex i usiadł na fotelu obok Katherine. Nadal na nią nie patrzył.

Odwróciła się ponownie w stronę ognia i znów cierpliwie rozdzielala i dosuszała końce włosów. Smolne szczapy trzask w kominku, a długo rozczesywane włosy były już na tyle suche, że przy szczotkowaniu wydawały leciutkie elektryczne trzaski. W końcu Katherine podniosła się z fotela.

– Dokąd idziesz? – spytał ją mąż. – Nie możesz posiedzieć trochę dłużej?

– Idę do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Przynieść coś także i dla

255

ciebie?

Potrząsnął głową, a gdy Katherine pytająco spojrzała na szwagra, ten również podziękował. Obaj odprowadzili ją wzrokiem, kiedy szła w stronę

**drzwi.**

**– W jej włosach połyskują iskierki niczym w rozżarzonych węglach –  
powiedział Adrian, patrząc na nią z nieskrywanym zachwytem. – Mają rację ci,  
którzy mówią, że piękne włosy są koroną urody kobiety.**

**– Dość tego! – uciął Alex. – Zamknij się albo ja cię zaniknę. Zabrzmiało to  
bardziej niż ostro.**

**Ale Adrian, przyzwyczajony już do takich wybuchów gniewu brata, tylko  
się roześmiał.**

**– Nie strasz mnie, bo się ciebie nie boję. A poza tym miło jest widzieć, jak  
coś w końcu dociera nawet do tak gruboskórnego osobnika jak ty. Wreszcie  
zdałeś sobie sprawę, że ci na niej zależy. Pojąłeś to, prawda?**

**– Zamknij się. – Alex był już naprawdę bliski wybuchu. – Ostrzegam cię po  
raz ostatni.**

**Adrian odchylił się w fotelu i beztrósco zaplótł ręce na piersiach.**

**– A ja nie po raz ostatni słyszę twoje ostrzeżenie i dość umiarkowanie się  
nim przejmuję. Spróbuj się zastanowić, czy kiedykolwiek twoje pogrożki  
zmusiły mnie do zrobienia tego, czego ode mnie żądałeś. Bo ja jakoś sobie tego  
nie przypominam.**

**W pokoju zapadła cisza, tylko płonące drewno chwilami trzaskało w  
kominku. Drzwi od kuchni otworzyły się i pojawiła się w nich Katherine.**

**Spojrzała na braci i od razu zorientowała się, że atmosfera między nimi  
znów jest naładowana elektrycznością. Nie było w tym nic szczególnie nowego,  
wyjąwszy ten drobny fakt, że Alex wydawał się naprawdę zły i ponury, Adrian  
natomiast miał minę zadowolonego z siebie kota, który właśnie w spizarcie**

pełną miseczkę śmietany. Ciekawe, o co tym razem mogli się pokłócić?

Nie chcąc się w to mieszać, Katherine ponownie usiadła w fotelu przed kominkiem i zaczęła szczotkować rozpuszczone włosy. Nie odwracała głowy i patrzyła wciąż w ogień, ale coraz wyraźniej czuła na sobie czyjś wzrok.

Wiedziała, że jest intensywnie obserwowana.

Kątem oka zerknęła na Alexa i natychmiast zdała sobie sprawę, że to właśnie on wpatruje się w nią tak natarczywie i agresywnie. Nie tylko się z tym nie krył, ale wręcz zmuszał ją, aby i ona spoglądała na niego, aby zdawała sobie sprawę, że patrzy na nią, nie pytając o jej zgodę – jak pewny swojej siły

256

mężczyzna i posiadacz. Tym spojrzeniem dosłownie ją rozbierał, pieścił wzrokiem niemal równie intensywnie i namacalnie, jak by to zrobił, wyciągając do niej swą męską dłoń. Poczynając od twarzy, opuszczał wzrok

coraz niżej, wpatrując się po kolei w różne punkty jej ciała z taką drapieżnością i siłą, że Katherine prawie czuła w tym miejscu jego dotyk.

Chwilami miała wrażenie, że samego takiego spojrzenia wystarczyło mu, żeby ją niemal fizycznie posiąść. Przez jej ciało przepływały nagle fale gorąca, oddychała szybciej i głębiej.

Nawet nie zauważyła, że odruchowo przestała zajmować się włosami, choć nadal trzymała szczotkę w na wpół uniesionej dłoni. Patrzyła na niego bez słowa, a w jej spojrzeniu nieukrywane zaskoczenie mieszało się z zainteresowaniem, ale i z pewną obawą. Nie wiedząc dokładnie, co wydarzyło się wcześniej między braćmi, Katherine nie była w stanie zrozumieć tego dość niezwykłego zachowania męża.



Adrian najwyraźniej rozumiał i wydawał się bardzo zadowolony. Podniósł się z fotela i jeszcze przez chwilę stał nieruchomo. Na zmianę patrząc to na brata, to znów na jego żonę. W kącikach jego warg pojawił się chytry uśmiezek.

– Jest takie powiedzenie, że lepiej się na ślub odważyć, niż na kłótni sparzyć – powiedział lekko kpiącym tonem, kierując się w stronę wyjścia. – Wam, jak się zdaje, udało się zakosztować i jednego, i drugiego.

19

Adrian wyszedł i zostawił ich sam na sam, co od razu zmieniło całą sytuację. Napięcie między nimi zauważalnie wzrosło. Katherine może nie potrafiłaby dokładnie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, lecz bardzo wyraźnie czuła, że tym razem coś się musi stać. Dla nich mógł to być nawet jakiś nowy początek. Ale początek czego?

Czekała na to, co zrobi Alex, na jego pierwszy ruch. On jednak wciąż siedział nieruchomo i tylko od czasu do czasu spoglądał na nią w milczeniu, które stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. W końcu to ona postanowiła je przerwać.

– Nie miałam jeszcze okazji powiedzieć ci, jak wiele radości dała mi ta nasza dzisiejsza wycieczka. – Znów machinalnie powróciła do szczotkowania

257

włosów. – To, co widziałam, było po prostu zachwycające, a zobaczyłam to wszystko tylko dzięki tobie. I nie wiem, jak mam wyrazić swą wdzięczność. –

Urwała nagle, bo zorientowała się, że Alex słucha z wyraźnie drwiącą miną.

– Nie wiesz? – powtórzył ironicznie. – Podejrzewam, że to nie do końca

**jest prawda. Myślę nawet, że bardzo dobrze wiesz, w jaki sposób mogłabyś mi podziękować.**

**Ten nieco cyniczny ton jego głosu zmroził ją na chwilę. Nie chciała z nim rozmawiać.**

**– Zaczyna się robić późno – odezwała się bardziej niż chłodno choć chciała, żeby zabrzmiało to tylko neutralnie. Alex spojrział na zegarek.**

**– Jest dopiero wpół do dziesiątej. Napijesz się jeszcze?**

**Potrząsnęła głową. Potem, głównie po to, żeby zająć się czymkolwiek, zaczęła zaplatać włosy. I tu Alex nagle zaprotestował.**

**– Zostaw je rozpuszczone – powiedział. – Przynajmniej na dzisiejszą noc.**

**Przynajmniej na dzisiejszą noc. Ileż znaczeń kryło się w tym jednym zdaniu! Te kilka słów wystarczyło, żeby jej serce nagle znów zaczęło bić jak oszalałe. Przecież na to właśnie czekała, takich słów się spodziewała. A jednocześnie niemal umierała z przerażenia, na samą myśl o tym, że Alex mógłby zauważyć, co się z nią w tym momencie dzieje. Że mógłby się domyślić.**

**Nie, za nic! Za nic na świecie!**

**– Idę do łóżka – oznajmiła gniewnie.**

**Alex nadal siedział nieruchomo i milczał. Dopiero kiedy żona podniosła się z fotela, zabierając ze sobą wszystkie swoje rzeczy, zatrzymał ją.**

**– Katherine!**

**– Co?**

**– Chodź tu.**

**– Nie jestem twoim koniem, żebyś mnie tak przywoływał.**

**– Wiem, że nie jesteś. Jesteś moją żoną i dlatego powtórzę:**

**Katherine, chodź tu.**

**– Dlaczego?**

**– Bo ja tego chcę.**

**– Że ty tego chcesz, to już wiem. Ale dlaczego chcesz, żebym i ja tego chciała?**

**– Mam ci to powiedzieć? Dokładnie?**

**Tylko skinęła głową. Nie była w stanie wypowiedzieć głośno tego, co w tym momencie chodziło jej po głowie. Och tak, Alex powiedz mi to. Powiedz mi, że**

**258**

**mnie kochasz, błagała w duchu, choć jej usta wciąż milczały.**

**Ale on nie wypowiedział słów, na które czekała – albo raczej wypowiedział je tak, że znaczyły już coś innego.**

**– Wobec tego powiem. Powiem to jasno i otwarcie. Chcę, żebyś do mnie przyszła dlatego, że chcę się z tobą kochać. –Zamilkł na chwilę, a potem dodał już nieco innym tonem: –Chcę, żebyś wreszcie poczuła, że jesteś zameżna.**

**– Zameżna się nie czuję i sądząc po tym, co było dotąd, najprawdopodobniej się nie poczuję – odpowiedziała gniewnie. –A poza tym sposób, w jaki do tego podchodzisz, jest nie do przyjęcia. Nie można tak wciąż drażnić i prowokować i co chwila chcieć czegoś innego. I nie można nagle zarządzić, że będziemy się kochać. W małżeństwie tak się nie robi!**

**Alex potrząsnął głową i uśmiechnął się wyrozumiale i lekko ironicznie.**

**– A ty chciałabyś, żeby między nami było tak, jak się to robi w małżeństwie? Jak nakazuje ogólnie przyjęta konwencja? Chciałabyś zatem, żebym cię posłał do twego pokoju, gdzie po włożeniu stosownej sukni, godnej**

**prawdziwej matrony, zeszywniała ze strachu, czekałabyś na akty zwierzęcej brutalności, których na twym dziewiczym ciele musiałby się nieuchronnie dopuścić twój małżonek. – Alex wolno podszedł do żony, wyjął z jej dłoni szczotkę, grzebień i ręcznik, i odrzucił to wszystko na podłogę.**

**Serce Katherine znów zaczęło bić mocniej, jakby w przeczuciu tego, co miało się stać.**

**– Czy tego właśnie chcesz, słodka Katherine? Bo tak się to powinno odbyć, jeśli miałyby to być zgodne z konwencją. Dla mnie byłaby to okazja, żeby pokazać, iż twój małżonek, jak wszyscy mężczyźni, rzeczywiście jest tym nieczułym i brutalnym zwierzęciem, o jakim niechybnie musiałaś słyszeć od owych doświadczonych już pań, tak chętnie rozprawiających na te tematy zaraz po zakończeniu niedzielnej mszy. I jeślibym nadal chciał trzymać się konwencji, zabroniłbym ci zapalania światła, Abyśmy się nawzajem nie widzieli, żebyś przypadkiem nie pozbyła się swych lęków, widząc, jak bardzo cię pragnę. Zadbałbym o to, żebyś nie podciągnęła sukni ani o centymetr wyżej, niż to konieczne. Oczywiście nie pieściłbym ciebie, nie przytulałbym ani nie obejmował. Nie całowałbym, oczywiście, i w ogóle nie robiłbym niczego, na co miałbym nawet największą ochotę. Na pewno postarałbym się nie okazywać uczuć i w żaden sposób nie próbowałbym ci ułatwiać tego, co ma nastąpić. –**

**Alex jedną ręką objął żonę w talii, a drugą lekko podtrzymał jej szyję i kark.**

**Przyciągnął ją do siebie i lekko musnął ustami jej wargi, ani na chwilę nie**

**259**

**przestając mówić. – Och tak, mógłbym się tak właśnie zachowywać, całkowicie zgodnie z konwencją. Mógłbym wyegzekwować moje prawa małżeńskie równie**

trywialnie i bezosobowo, jak ogier pokrywający klacz. Ale cała rzecz w tym, droga Katherine, że ja czegoś takiego nie chcę. Nie chcę zaraz potem pozostawić cię swojemu losowi, nie chcę dopuścić do tego, żebyś, obolała i zakrwawiona, przysięgała sobie, że już nigdy więcej nie pozwolisz na coś równie okropnego i barbarzyńskiego. – Znów pieszczotliwie dotknął wargami jej policzka. – Już teraz chcę cię przeprosić na wypadek, gdyby miało się okazać, że wyjście za mnie nie spełniło wszystkich twoich nadziei. Nie mogę ci obiecać, że to na pewno nie będzie bolało. Nie mogę też zagwarantować, że spełni wszystkie twoje oczekiwania. Ale jedno mogę ci obiecać: nie wyjdę z twojego łóżka. dopóki nie doprowadzę do tego, że sama zaczniesz prosić, żebym zrobił to jeszcze raz.

Bez najmniejszego wysiłku wziął ją na ręce i poniósł schodami na górę.

Katherine, choć silnie podekscytowana, nie zapomniała jednak, że jej zgoda na to wszystko grozi ujawnieniem pewnej niekonsekwencji w jej dotychczasowej postawie. Zapowiadała przecież stanowczo, że nie będzie się z nim kochać, dopóki nie przenieść się do jego sypialni – czego dotąd ciągle nie zrobiła. Była to dosłownie ostatnia chwila, żeby jakoś z tego wybrnąć. Z prawdziwie kobiecym wdziękiem objęła go za szyję i szepnęła:

– Nie powiedziałam ci jeszcze, że właśnie postanowiłam przenieść się do twojej sypialni.

Alex omal nie prychnął śmiechem, opanował się jednak na tyle, by nie nadwerężyć powagi momentu. Zachowując równowagę, doniósł żonę do swej sypialni, a w tym czasie Katherine dość gorączkowo i gwałtownie usiłowała sobie przypomnieć, co właściwie w takiej chwili powinna robić oblubienica.

Jak się dość szybko okazało, nie musiała sobie niczego przypominać. Od momentu, kiedy ostrożnie postawił ją na nogi tuż obok szerokiego łóżka, sam zajął się już dosłownie wszystkim. Na początek ujął jej twarz i przechylił głowę Katherine tak, żeby móc widzieć jej oczy, z których czytał wszystko. Ona również w jego spojrzeniu mogła wyczytać bardzo wiele. Było tam pożądanie, zaskakująco dużo ciepła, ale było też coś takiego, co wyglądało jak nieme pytanie. Katherine miała niejasne poczucie, że Alex czegoś od niej oczekuje.

Ale czego?

– Boisz się? – zapytał. Odetchnęła głęboko.

– Nie, teraz się już nie boję – odpowiedziała szczerze. – Teraz czuję głęboką

260

ulgę.

– Ulgę? – powtórzył i pokręcił głową. – Z tego, co wiem, ulgę powinnaś odczuć dopiero później...

– Nie taką ulgę miałam na myśli – sprostowała Katherine. – Po prostu przykro mi było, że wcześniej tak na ciebie naskoczyłam, ale teraz mi to przeszło i właśnie dlatego czuję ulgę. Zresztą nie tylko dlatego. Ty też byś to czuł, gdybyś na ten Moment czekał tak długo jak ja.

Alex znów nie wytrzymał i zaczął się śmiać, ale w tym śmiechu nie było nawet cienia drwiny. S szcerość żony rozbroiła go zupełnie; jego rozbawienie przemieszane było ze szczerym kruszeniem. W tym momencie wydawała mu się jeszcze bardziej zachwycająca i godna pożądania.

Przyciągnął ją delikatnie, odsuwając nieposłuszne pasemko włosów, które opadło jej na twarz.

**– Czy wiesz, co się teraz stanie? – zapytał.**

**– Oczywiście, że wiem – odpowiedziała odważnie. – W końcu wychowałam się na farmie, więc widziałam, jak to robią zwierzęta.**

**– O święci pańscy! Już sam nie wiem, co jest gorsze, ignorancja czy też taka wiedza wprost z obory i stajni. Posłuchaj mnie Katherine, i postaraj się zapomnieć o tym wszystkim, co wiesz. Nie ma większego znaczenia, co dotąd widziałaś, bo i tak między kobietą i mężczyzną odbywa się to zupełnie inaczej. Poczynając choćby od tego, że nie zamierzam zbliżyć się do ciebie od tyłu.**

**Obawiał się, że jego słowa mogą ją wprowadzić w zakłopotanie albo nawet rozgniewać, więc jej reakcja zupełnie go zaskoczyła. Katherine uśmiechnęła się lekko, oparła głowę na jego piersi i w końcu zaczęła się głośno śmiać.**

**– Naprawdę nie wiem, czy po tej zapowiedzi mam czuć ulgę, czy raczej rozczarowanie – powiedziała ze szczerym rozbawieniem.**

**Alex też zaczął się śmiać, przede wszystkim dlatego, że nie znał jej jeszcze od tej strony. Wiedział oczywiście, że Katherine ma poczucie humoru, ale naprawdę nie spodziewał się, że potrafi je okazać w takim momencie.**

**W rzeczywistości takie jej zachowanie było pewnym rodzajem samoobrony. Bo tak naprawdę czuła się niepewnie i bezbrannie.**

**– Powiedz mi, czy teraz będziemy się kochać? – zapytała po chwili.**

**– Tak.**

**– Nareszcie! – Westchnęła z nieukrywaną satysfakcją. Alex sprawnie uporał się z sukienką, potem rozwiązał wstążkę w koszuli i po chwili Katherine stała przed nim całkowicie naga**

Choć on wciąż był ubrany, nie wstydziła się go, nie próbowała uciekać i kryć się pod pościel. Ku własnemu zaskoczeniu—patrzyła na niego bardzo spokojnie i dopiero po chwili powiedziała cicho:

– Kocham cię, Alex.

– Wiem. I chyba zawsze o tym wiedziałem. Przyglądał się jej ze wzruszeniem, od którego nagle zaschło mu w ustach. Nawet w półmroku widać było, że jest smukła i zgrabna. Jej wąska dziewczęca talia mogłaby się zmieścić w jego dłoniach, ale biodra były już wystarczająco szerokie, by przyjąć w siebie mężczyznę, piersi miała krągłe, pełne i doskonale ukształtowane. Nogi były długie i strzeliste, a jednocześnie wystarczająco mocne, by opleść go i przytrzymać w miłosnym uścisku.

– Wiedziałem, że jesteś piękna...

Przyciągnął ją do siebie i całował, początkowo łagodnie i bez pośpiechu, zaczynając od ust, a potem bardzo umiejętnie wyszukując najbardziej uwrażliwione miejsca przy jej uszach, karku i szyi. Pocałunki stawały się coraz bardziej gorące. Katherine odpowiadała na nie namiętnie. W końcu Alex wypuścił ją z objęć i pośpiesznie zaczął rozpinąć guziki swej koszuli.

– Nie – powstrzymała go. – Ja to zrobię.

Poczuł rozkoszny dreszcz, a szczerłość żony jeszcze bardziej go wzruszyła.

Z koszulą uporała się w miarę szybko, buty już musiał zdjąć sam, a potem

Katherine zabrała się za rozpinanie spodni. Tu nie poszło już tak łatwo, lecz z pewną pomocą w końcu jej się udało i po chwili także i Alex był nagi. Zmierzyła go badawczym wzrokiem od stóp do głów.

– Och, Alex! – wykrzyknęła z przejęciem. – To ty jesteś piękny!



Wziął ją za rękę i delikatnie pociągnął za sobą na łóżko, odsuwając na bok koldrę. Potem objął Katherine, pocałował i bardzo powoli przyciągnął do siebie. Nie przestawał jej całować aż do chwili, kiedy wreszcie poczuł, że jej stężałe w chwilowym napięciu ciało z wolna mięknie i łagodnie się odpręża. Wtulila twarz w zagłębienie między jego ramieniem i szyją, a dłoń Alexa powoli zaczęła wędrować po jej gładkiej skórze od szyi przez piersi, brzuch i podbrzusze, zatrzymując się na jakiś czas wszędzie tam, gdzie należało się zatrzymać, aby pieszczota była jeszcze bardziej rozkoszna. Było tak, jak gdyby chciał pokazać żonie, że doskonale zna wszystkie najbardziej sekretne i intymne miejsca jej ciała. Że zna je może nawet lepiej niż ona.

Jego dłonie naprawdę były cudowne. Katherine nigdy nie przypuszczała, że aż tyle potrafią, że dziesięć palców może dostarczyć aż tyle rozkosznych

262

wrażeń. Nigdy dotąd nie doznawała niczego podobnego, takiego wręcz rozpaczliwego pragnienia, żeby czuć tyle wspaniałych rzeczy naraz, jednocześnie i żeby właśnie przez to zrozumieć wreszcie tajemnicę miłości w całej jej pełni. Zdawała sobie sprawę, że jest już tego bliska.

A tymczasem krew krążyła w niej coraz szybciej, przez ciało przebiegały dziwne dreszcze, najbardziej intymne miejsca nagle zaczynały pulsować narastającym żarem, chwilami aż trudnym do wytrzymania. Lekko ochrypłym głosem szepnęła prosto do ucha męża:

– Alex, proszę cię...

Znieruchomiał i zamarł w przyływie irracjonalnego lęku. Czyżby to delikatne tempo pieszczot było dla niej jeszcze za szybkie? Czyżby się tego

przestraszyła? O Boże drogi, nie pozwól, żeby właśnie ona miała okazać się jedną z tych nieszczęśliwych frygid, westchnął w duchu, z prawdziwym przerażeniem myśląc o ewentualności spędzenia reszty życia u boku wypranej z namiętności, lodowato zimnej żony.

– Co takiego, skarbie? – spytał. – Czego byś chciała? Powiedz mi.

– Dotykaj mnie, proszę. – Jej roznamiętniony szept nadal był lekko ochryply. – Dotykaj mnie wciąż i ani na chwilę nie przestawaj.

Uspokojony już Alex odetchnął z ulgą, a spełnienie jej prośby sprawiło mu prawdziwą rozkosz.

– W których miejscach, kochanie? – zapytał, całując jej piersi. – Tutaj? Czy niżej? I jeszcze niżej?

– Już ty dobrze wiesz gdzie. Wszędzie! I już nie pytaj mnie, tylko całuj i dotykaj, i całuj, i nie przestawaj...

Popatrzył na nią z uśmiechem, zachwycony i szczęśliwy.

– Moja piękna, cudowna, najdroższa żona – powiedział, pocałował ją w rozchylone usta, a potem delikatnie ugryzł ją w kark.

Katherine cicho jęknęła z rozkoszy, ale to wciąż był tył początku. Alex nie potrzebował już wskazówek, żeby odnaleźć te miejsca, które miała na myśli.

Pieścił ją umiejętnie i czule ustami i dłonią rozplamienając jej całe ciało, które jakby samo z siebie rozwierało się coraz bardziej, w pełni gotowe na przyjęcie

go, na oddanie mu się ostatecznie i bez reszty. Na wpół instynktownie

rozchyliła uda, a on, wsparty na łokciach, uniósł się lekko ponad nią, po czym

wszedł w nią jednym szybkim i pewnym ruchem, który odebrał jej oddech, ale tylko na bardzo krótką chwilę.

wyobrażałam sobie, że mogę być tak szczęśliwa.

Alex przez chwilę pozostawał całkowicie nieruchomy, do głębi wzruszony tym, co usłyszał, i tym, co mógł wyczytać w jej oczach. Ciche słowa żony podekscytowały go jeszcze bardziej – zanurzony w niej członek nabrzmiewał do granic wytrzymałości. W końcu Alex lekko uniósł biodra i zaczął się poruszać w górę i w dół, początkowo jeszcze wolno i ostrożnie, a później coraz mocniej. Ich ciała poruszały się teraz już we wspólnym rytmie, który z wolna przyspieszał, oddech obojga stawał się coraz krótszy, a przy tym coraz częściej przemieszany z nie dającymi się już opanować westchnieniami i jękami krańcowej rozkoszy. Katherine czuła tę rozkosz niczym kolejne, coraz mocniejsze fale, które z całego jej ciała zdawały się splywać właśnie tam, gdzie był on... gdzie miała go w sobie – cudownie, wciąż na nowo i z każdym kolejnym ruchem coraz mocniej i bliżej. I nagle wszelkie tamy pękły w niej już ostatecznie, nie chciała i nie była już w stanie się kontrolować ani w jakikolwiek sposób nad sobą panować. Objęła Alexa mocno, nie tylko rękami, ale i nogami, które zaplotła na jego pośladkach, i nieprzytomnie krzycząc z rozkoszy, wciskała go w siebie z niezwykle, zdumiewającą siłą, która rzeczywiście mogła sprawić, że ich ciała na moment miały być się jednym. Ostatnim gwałtownym ruchem Alex wszedł w nią bardzo głęboko i mocno, nie cofnął się już, pozostał w niej. Wytrysnął w nią falą rozkosznie ciepłego nasienia, potem następną i jeszcze następną. To było jak fale przyływu, którymi morze uderza w skaliste wybrzeże Zatoki Humboldta.

Katherine wreszcie wiedziała już wszystko. W nagłym momencie iluminacji poznała to, co dotąd było dla niej tajemnicą. To zbyt piękne... zbyt piękne... powtarzała w duchu, bezskutecznie usiłując zatrzymać tę chwilę, odpływającą chwilę, która przecież powinna trwać... trwać bez końca. Z tym większą czułością przyłgnęła do mężczyzny, z którym teraz była związana już na zawsze. Tulila się do niego całym ciałem, obejmowała udami jego nogi, a dłonią chciwie sięgnęła po członek – nieco obwisły po niedawnym wysiłku, ale przecież nadal zachwycający. Wiedziała, że jego moc i twardość już wkrótce powróci, a ta chwilowa bezradna miękkość głęboko ją wzruszyła. Tak bardzo, że zaczęła cichutko płakać.

– Kochanie, skarbie najdroższy, co się stało? – spytał zaniepokojony Alex.

– Czy coś było źle? Sprawilem ci ból?

– To zbyt piękne... zbyt piękne! – Katherine wciąż cichutko poplakiwała ze szczęścia. – Dlaczego chwili, która jest taka piękna, nie da się zatrzymać?

264

Dlaczego?

Alex nie odpowiedział. Delikatnie scalał drobne łezki, które jeszcze pobłyskiwały w kącikach oczu. Potem, przyciągnął ją do siebie i ułożył w ten sposób, że jej głowa opierała się miękko na jego klatce piersiowej, w wygodnym zagłębieniu między barkiem i ramieniem. Katherine westchnęła słodko, przytuliła się do niego i niemal natychmiast przymknęła powieki, rozkoszując się poczuciem ciepła, spokoju i bezpieczeństwa.

Po jakimś czasie otworzyła oczy, przeciągnęła się jak kot po smakowitej drzemce i spojrzała na leżącego obok niej Alexa. Jej –już wreszcie

**prawdziwego – męża. Jego obecność przy niej dowodnie świadczyła o tym, że odtąd już nic w jej życiu nie będzie takie jak dawniej.**

**– Witaj znów w świecie jawy. – Alex uśmiechał się szeroko.**

**– Ty też witaj – odpowiedziała. Pocałował ją w czoło.**

**– Powiesz mi, o czym myślisz?**

**Katherine udala, że w zawstydzeniu chowa twarz w wijących się jak sprężynki gęstych włosach na jego klatce piersiowej.**

**– Myślę, że na szczęście mam to już za sobą – odpowiedziała, przygryzając wargi, żeby się nie roześmiać.**

**Mąż odsunął się na tyle, żeby móc spojrzeć jej w oczy. Jego twarz stała się nagle poważna i zatroskana.**

**– Czy to było aż takie przykre? Tak bardzo bolało?**

**– Czy bolało? I owszem. I wiesz, co ci powiem? To było po prostu cudowne!**

**Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, ale widząc jej pełen nieskrywanej satysfakcji uśmiech, też zaczął się śmiać.**

**– Ty jednak jesteś nieprawdopodobna... po prostu niemożliwa. Wiesz o tym?**

**– Nie jestem niemożliwa, tylko szczera. I tyle.**

**– To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że jesteś niemożliwa. Ta twoja szczerość... jest wspaniała, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie przypuszczałem, że coś takiego może istnieć. Coś tak jasnego i czystego, jak łyk odświeżającego górskiego powietrza. To dzięki temu chce się żyć.**

**Katherine pocałowała go w policzek, raz, a potem jeszcze raz.**

**– Ale skoro wszystko mówisz szczerze, to może mi wyjaśnisz, co miałaś na**

myśli, kiedy powiedziałaś z wyraźną ulgą, że na szczęście masz to wszystko za sobą?

– To chyba oczywiste. Po prostu naprawdę się cieszę, że mam już wreszcie

265

za sobą utratę dziewictwa i że przy tej okazji mam też z głowy cały ten ogromny bagaż niedorzecznych uprzedzeń i naiwnych przemyśleń nieuchronnie z tym związanych. Porywam się tego wszystkiego z prawdziwą przyjemnością, tym większą, że na szczęście rzeczywistość okazała się zupełnie inna i naprawdę cudowna.

Kochali się tej nocy kilka razy, aż w końcu mocno już senna Katherine czule potarła nosem nos męża i prowokacyjnie uwodzicielskim szeptem spytała:

– Posłuchaj, Alex, jeżeli bym cię teraz chciała błagać o jeszcze, to czy moglibyśmy to zachować do realizacji na jutro rano?

Kiedy obudził się następnego ranka, Katherine jeszcze spała. Starając się zachowywać jak najciszej, Alex ubrał się, a przed wyjściem na chwilę stanął przy łóżku, aby z radością i wzruszeniem przypatrywać się śpiącej żonie.

Wczesne poranne słońce rzuciło złote promienie na jej śliczną twarz, tak słodką i tak spokojną, że mimo woli pomyślał, iż w jakiejś tam części jest to także i jego zasługa. Tej nocy razem z nią długo wędrował wśród gwiazd.

Należałoby się pewnie zastanowić, czy jeszcze kiedykolwiek może im być aż tak dobrze – jednak Alex tak naprawdę nie widział powodu, który mógłby im to uniemożliwić.

Odwrócił się i właśnie wtedy ciemna chmura za oknem przysłoniła słońce.

**Nagle zrobiło się szaro i ponuro.**

**Następne tygodnie były dla Katherine niekończącym się pasmem szczęścia. Trudno było sobie wyobrazić coś cudowniejszego od tej pewności, że każdej nocy będzie się kładła do łóżka przy tym wspaniałym mężczyźnie, którego kochała i w którego ramionach czuła się jednocześnie bezpieczna i usatysfakcjonowana. A jeszcze większym poczuciem szczęścia napawały ją te – skądinąd dość rzadkie – przypadki, kiedy rano budziła się wcześniej od niego i mogła do woli przyglądać mu się, gdy, wciąż jeszcze pogrążony w spokojnym, zdrowym śnie, zdawał się bezwiednie odsłaniać przed nią siebie – niejako oddając się jej w ten sposób, całkowicie i bez reszty.**

**Tak zasadnicza i szczęśliwa odmiana związku, który dotąd był małżeństwem raczej udawanym i tylko formalnym, niezwykle pozytywnie**

**266**

**wpływała na ogólną atmosferę i nastroje w całym obozie. W jakiś sposób wieść o pełnym zejściu się małżonków bardzo szybko rozeszła się w tej niewielkiej społeczności samotnych mężczyzn i nawet – ku pewnemu zaskoczeniu obojga najbardziej zainteresowanych – dodawała tym dość prymitywnym ludziom nowej chęci do życia i pracy. Alex już po paru dniach zauważył, na przykład, że częściej śpiewają, i to nawet przy najbardziej trudnych i niebezpiecznych robotach. On sam też zresztą nabrał nowej energii i każdego dnia z prawdziwym zapalem rzucał się w wir pracy.**

**Zazwyczaj budził się rano, jeszcze przed świtem, ubierał się no cichu, żeby nie obudzić wciąż śpiącej Katherine, potem lekko całował ją w policzek i schodził na dół. Tam wraz z czekającym już na niego Adrianem siadał do**

przygotowanego przez Wonga śniadania, podczas którego bracia omawiali plan ścinki i transportu na dany dzień, bieżące zamówienia i wszelkie pojawiające się problemy przedsiębiorstwa, które teraz znów świetnie prosperowało.

O bieżących sprawach i praktycznym funkcjonowaniu ich firmy Alex często rozmawiał również i z Katherine, która od samego początku starała się jak najlepiej poznać i zrozumieć dokonania swojego męża, podobnie jak i całą tę trudną i niebezpieczną pracę, wykonywaną przez zatrudnianych przez niego ludzi, od wysoko kwalifikowanych specjalistów aż po zwykłych pracowników fizycznych, operujących jedynie piłą i siekierą. Te starania przyniosły już widoczny efekt – Katherine nie tylko coraz więcej wiedziała o przedsiębiorstwie i pracujących w nim ludziach, ale nauczyła się też mówić odpowiednio fachowym Językiem i potrafiła swobodnie rozmawiać ze wszystkimi –Poczynając od bezpośrednich podwładnych męża, a na szeregowych drwalach kończąc.

Alex dostrzegał te widoczne postępy żony, nie mógł też nie zauważyć, że i on sam, jako współwłaściciel firmy, najwyraźniej śnieni! się na lepsze. Ale też nigdy dotąd nie był aż tak zadowolony z życia, nigdy nie czuł się tak dobrze, tak komfortowo jak właśnie teraz.

Choć jednocześnie chyba nigdy dotąd nie było w nim aż tak silnego poczucia winy. Tym dotkliwszego, że czuł je wobec osoby, która teraz stała się mu najbliższa.

Katherine miała w sobie wszystko, o czym mógłby marzyć, wybierając sobie żonę; potwierdzało się to z każdym dniem i z każdym dniem stawało się



coraz bardziej oczywiste, że decyzja poślubienia właśnie jej była ze wszech

267

miar rozumna i właściwa. Katherine wspaniale go uzupełniała, wydobywała z niego to, co było w nim dobre, i jednocześnie niemal niepostrzeżenie mitygowała drzemiącą w nim bestię. Nikt inny nie potrafiłby tego dokonać. To ona wniosła entuzjazm, piękno i prawdziwą radość życia w jego egzystencję, która dotąd w gruncie rzeczy była ciągłą ucieczką. Nawet jeśli nie była kobietą, o której marzył od początku, to ostatecznie okazała się tą najlepszą i jedyną, tą, z którą było mu naprawdę dobrze.

I właśnie z tego brało się poczucie winy. Nigdy nie odważyłby się powiedzieć Katherine, że tak naprawdę poślubił ją przez pomyłkę, że właściwie został do tego zmuszony przez Adriana, który unaoczniał mu przerażające skutki, jakie nieuchronnie musiałoby przynieść powiedzenie jej całej prawdy i wycofanie się w ostatniej chwili z propozycji zawarcia małżeństwa. Alex nie odważył się na to, więcej – kiedy w pewnym momencie, jeszcze na statku, Katherine go o to zapytała, a więc gdy miał jeszcze szansę powiedzenia jej wszystkiego, nie zdobył się na to, aby szczerze wszystko wyznać i w ten sposób oczyścić duszę. Katherine chciała usłyszeć prawdę, a on uciekł się do kłamstw. Nie jakichś rażąco wielkich, raczej drobnych i dość pokrętnych, ale jednak kłamstw, a w najlepszym razie półprawd. Czy – jak to próbował sam przed sobą tłumaczyć – zrobił tak, bo chciał ją ochronić? Czy też może chronił raczej siebie? Nielatwo było żyć w stałej obawie, że cała rzecz się kiedyś wyda, że prawda w końcu wyjdzie na jaw.

Przy tym wszystkim pamięć o Karin, a więc o drugiej osobie. której

przecież też dotyczyła ta jego nieszczęsna pomyłka podczas pisania po pijanemu, z jakiegoś powodu niepokoiła go już znacznie mniej – żeby nie powiedzieć otwarcie, że prawie wcale. Może dlatego, że Karin była teraz tak daleko, ale pewnie przede wszystkim i dlatego, że Katherine zdecydowanie wygrywała z nieobecną siostrą na wszystkich frontach i we wszystkich zestawieniach. Alex, chcąc nie chcąc, musiał przyznać przed sobą, że coraz trudniej przychodzi mu wyobrażenie sobie Karin w roli żony. Prawdę mówiąc, już w ogóle nie potrafił jej sobie wyobrazić tutaj, w tym leśnym obozie drwali nad dziką Zatoką Humboldta. To z pewnością nie było miejsce dla takiej kobiety jak ona.

Teraz wszystkie jego myśli koncentrowała na sobie Katherine –tak bardzo różna od siostry. Przypominała mu Teksas, ziemię, którą tak kochał. Bo była właśnie taka, jak ta ziemia – nieskończenie bogata w możliwości, odporna na najcięższe uderzenia losu, samowystarczalna i zawsze zdolna w dwójnasób

268

odpłacić za poświęcony jej czas i trud.

To właśnie te cechy Katherine sprawiały, że Alex starał się nie myśleć o przeszłości, usiłując w pełni cieszyć się nowym życiem z piękną żoną, która obdarowywała go nie tylko miłością, ale też i tak mu potrzebnym, ludzkim zrozumieniem, w dodatku połączonym z niezwykle w małżeństwie cennym poczuciem humoru. Chwilami czuł się z nią bezgranicznie szczęśliwy, ale też paradoksalnie właśnie w takich momentach najbardziej doskwierało mu wciąż rosnące poczucie winy i świadomość, że nie jest wobec niej do końca szczery, że coś jednak przed nią ukrywa i że w rezultacie daje jej nieporównanie mniej,

niż od niej otrzymuje. Skręcał się ze wstydu na samą myśl o tym, jak zimny i nieczuły potrafił być wobec niej jeszcze niedawno, kiedy czuła się nieustannie odtrącana i tak bardzo potrzebowała choćby jednego cieplejszego słowa. To poczucie winy budziło w nim gniew, który nie zawsze kierował pod właściwym adresem. Zdarzało się nie raz i nie dwa, że będąc zły na siebie, przenosił gniew na Katherine. Wtedy robił się ponury i skłonny do robienia jej wyrzutów z byle powodu, mając jej, na przykład, za złe, że trzęsie się nad nim jak kwoka. Oskarżał wówczas o to ją, że nadmiarem ciepła i opiekuńczości przygniata go do ziemi i odbiera mu resztki własnej woli. Wściekły na siebie, potrafił zachowywać się małostkowo i głupio, tylko po to, żeby zrobić żonie na złość jak choćby wtedy, gdy absolutnie rozmyślnie wszedł w zabłoconych butach do pokoju, w którym właśnie ułożyła świeżo wyprany dywanik.

Katherine tylko spojrzała na obrzydliwe czarne ślady i bez słowa zabrała się do ich wycierania i ponownego czyszczenia nieszczęsnego dywanika. Jej milczenie i cierpliwy spokój rozgniewały go jeszcze bardziej, bo sto razy wolalby już, żeby zrobiła mu awanturę czy nawet rzuciła w niego talerzem. Te jego zmienne humory odbijały się zresztą nawet na ich pożyciu małżeńskim; czasem po dniu ciężkiej pracy potrafił się z nią kochać zapamiętane niemalże do białego rana, a potem nagle bez słowa wyjeżdżał na kilka dni na tereny odległych wyrębów w nowo zakładanych obozach. Zdarzało się, że wracał jeszcze bardziej wściekły, siadał przed kominkiem, stawiając przed sobą butelkę alkoholu, i ponuro patrzył w ogień, pijąc znacznie więcej, niż powinien.

Potem w końcu wstawał i wolno szedł po schodach do małżeńskiej

**spialni, zdając sobie doskonale sprawę, że zachowując się w ten sposób, krzywdzi Katherine i że nie ma prawa jej winić za to wszystko, co mu się w życiu nie udało czy poszło szczególnie źle. Poczucie winy gryzło go jeszcze**

**269**

**bardziej, gdy szedł do żony, szukając u niej bezwarunkowego wybaczenia i dobrze wiedząc, że ona tam leży i czeka, wyrozumiała, czuła, ciepła i spragniona jego obecności. I w końcu zawsze, w taki czy inny sposób, przychodził do niej i znów był z nią, zastanawiając się tylko – i to coraz częściej – czym się to wszystko skończy. Czy odzyska wreszcie równowagę i wewnętrzny spokój, czy też zwycięży w nim szaleństwo.**

**20**

**To najgorsze zaczęło się od listu i od kotka imieniem Banjo. Katherine jedno i drugie otrzymała równocześnie. Rankiem któregoś dnia, kiedy Alex już wyszedł wraz z Adrianem, jeden z brygadzystów przyniósł jej list z Limestone, właśnie dostarczony do obozu przez nowo przybyły statek, razem z transportem zamówionych narzędzi. Oddając list, który – sądząc po charakterze pisma – musiała wysłać Karin, brygadzysta dość niepewnie zapytał Katherine, czy przypadkiem nie zechciałaby wziąć do domu małego kotka, którego przez dziwny przypadek znaleziono w jednej ze skrzyń z poprzedniego transportu. Zwierzak, który najpewniej przez dobrych kilka dni musiał głodować w zaniknięciu, był już odchuchany i odkarmiony, ale jego los i tak bardzo wzruszył Katherine, toteż natychmiast postanowiła się nim zająć. Wprawdzie obecny przy tym wszystkim Wong ostrzegł ją, że pan Alex nie lubi kotów i że może być niezadowolony, ale Katherine zupełnie się tym nie**

przejęła, odesłała mocno zaniepokojonego kucharza z powrotem do jego zajęć i zabrała się do pisania listu. Gdy tylko usiadła, kotek natychmiast znalazł sobie wygodne miejsce na jej podolku i z zadowoleniem mruczał, gdy zaczęła go głaskać.

List Karin w gruncie rzeczy dotyczył tylko jednej sprawy – sytuacji na farmie. Były z nią kłopoty, ponieważ wynajęty do pomocy pracownik musiał nagle odejść, a trudno było sobie wyobrazić, żeby Fanny sama mogła sobie dać radę ze wszystkimi obowiązkami.

„W naszej okolicy wciąż trudno o kogoś do takiej pracy – pisała Karin – i wygląda na to, że naprawdę nie będziemy mogli nikogo znaleźć. Fanny nie może tam zostać sama, a ja nie jestem pewna, jak właściwie powinnyśmy postąpić. Jeżeli więc nie odpiszesz mi w miarę szybko, żebym tego nie robiła, to chyba wystawię farmę na sprzedaż. Jeden z sąsiadów, pan Ledbetter, już

270

parę razy wspominał, że byłby tym zainteresowany...”

Czytając to, Katherine pokręciła głową. Wcale nie chciała sprzedawać rodzinnego domu i ziemi. Nie widziała też prawdziwej konieczności, ponieważ była pewna, że nawet przy niewielkich staraniach można będzie znaleźć Fanny kogoś do pomocy. Wystarczyłoby pojechać w tym celu do jakiegoś większego miasta, choćby do Dallas czy Fort Worth, albo nawet zamieścić ogłoszenie w gazecie. Trudno jednak było liczyć tu na Karin, toteż Katherine postanowiła napisać dwa listy – jeden do Fanny, żeby wysłała ogłoszenie do gazety, a drugi do siostry, żeby nie podejmowała żadnych kroków w sprawie sprzedaży.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi i na progu ponownie pojawił się Wong,

jeszcze bardziej zaniepokojony i zafrasowany.

– Wong bardzo przepraszać – powiedział, patrząc na ułożonego na jej kolanach zwierzaka – ale Wong wciąż myśleć, że kot Banjo być niedobrze bardzo. Szef nie lubić kotek i kazać szybko oddać. Missy posłuchać. Wong bardzo się martwić.

Katherine wzruszyła ramionami.

– Szef nie ma tu nic do gadania – oświadczyła. – I Missy zatrzymać kotka Banjo. A Wong znaleźć dla niego skrzynkę, którą ustawić w kuchni przy piecu, żeby miał ciepło. Czy Wong rozumieć?

– Wong rozumieć – odpowiedział kucharz, uśmiechając się jeszcze bardziej niepewnie. – I Wong posłuchać, ale Wong się bać, że szef być bardzo zły.

– Nie trzeba się bać – uspokoiła go Katherine, podnosząc się z krzesła i biorąc zwierzaka na ręce. – Znajdziemy skrzynkę i zrobimy mu miejsce do spania. Szef go nie wyrzuci, chyba że razem ze mną.

Wong jeszcze próbował oponować, ale ona nie zamierzała już tego słuchać.

Właśnie ułożyli w skrzynce odpowiednio miękkie legowisko, kiedy mąż wrócił do domu.

I nie był to ten rodzaj powrotu, który by dobrze wróżył. Alex stanął w drzwiach, zmęczony, zablocony i brudny, a z jego twarzy nietrudno było wyczytać, że jest w jak najgorszym humorze. Katherine spojrzała na ciągnące się za nim błotniste ślady.

– Powiedz mi, Alex, czy nie mógłbyś wycierać butów przed wejściem do domu, żeby nie zostawać śladów na czystej podłodze?

– Nie zaczynaj ze mną, Katherine!

– Niczego nie zaczynam. Zadałam ci zwykłe pytanie, na które można

271

zwyczajnie odpowiedzieć.

Nie odpowiedział, ponieważ zauważył stojącą przy piecu wyścielaną skrzynkę z kotem w środku.

– Co to jest, u diabła?!

Katherine pochyliła się, wzięła małego Banjo na ręce i pogłaskała go.

– To kotek. Jak ci się podoba?

– Tak, jak gdybyśmy mieli za mało kłopotów – burknął Alex. – Nie potrzebujemy go!

– Twojego zgryźliwego warczenia też nie potrzebujemy, a mamy go ostatnio w nadmiarze. – Kątem oka dostrzegła, że wystraszony Wong cofa się tak, jak gdyby chciał jakoś się za nią schować. – Czy ty przypadkiem nie wstałeś dziś z łóżka lewą nogą?

Alex zabrał żonie zwierzaka i ponad jej ramieniem niemalże rzucił biednego Banjo w stronę zdezorientowanego kucharza.

– Nie chcę tu tego widzieć. Wyrzuć mi to stąd, i to zaraz!

– Tak jest, szefie! – powiedział Wong, łapiąc kotka jeszcze w powietrzu.

– Wong! – powiedziała Katherine. – Oddaj go mnie. Chcę go mieć w mojej kuchni.

W wyraźnej rozterce kucharz w końcu wyciągnął rękę ze zwierzątkiem w kierunku Katherine.

– Powiedziałem: wyrzuć go natychmiast!

– A ja ci mówię, żebyś go włożył do skrzynki.

Biedny kucharz najwyraźniej nie wiedział, kogo ma posłucha

– Szef mówić Wong wyrzucić kotek. Missy mówić włoży do skrzynki. Jak

Wong posłuchać Missy, szef być zły, a ja. Wong wyrzucić Banjo, Missy być nieszczęśliwa. Wong nie może zrobić i to, i to. Wong się bać i dlatego Wong postawić Banjo pośrodku i szybko uciec.

Zrobił dokładnie to, co zapowiedział. Postawił zwierzę na podłodze i pośpiesznie wycofał się tylnymi drzwiami. Katherine pochylila się, wzięła kotka na ręce i zanosła go do skrzynki.

Gdy się odwróciła, Alexa już nie było.

Zobaczyła go dopiero przy kolacji, którą jedli wspólnie z Adrianem. Dość niespodziewanie mąż zachowywał się zupełnie inaczej; wydawał się pogodny i życzliwy i nawet parę razy się roześmiał, patrząc na zabawne zachowanie kotka. Po kolacji, kiedy obaj bracia przeszli do dużego pokoju, Katherine podała im dwie wielkie porcje czekoladowego ciasta i świeżo zaparzoną kawę

272

w ogromnych filiżankach. Alex nadal był miły i uprzejmy i wszystko wskazywało na to, że jego zły nastrój ostatecznie minął. Potem Katherine zabrała opróżnione już talerzyki i filiżanki, wyszła do kuchni, żeby je pozmywać, a bracia wciąż rozmawiali w najlepsze.

Wyglądało na to, że wszystko wraca do normy, ale – jak się okazało – nie do końca. Po uporaniu się z naczyniami Katherine poszła na górę, rozebrała się i położyła do łóżka, oczekując, że już wkrótce mąż także się pojawi.

Daremnie jednak nasłuchiwała jego kroków – Alex nie przyszedł. Po raz



**pierwszy od chwili, kiedy przeniosła się do jego sypialni, nie spędził z nią nocy, mimo iż był na miejscu. To nie było przypadkowe, ale jak najbardziej zamierzone.**

**Rankiem nadal go nie było. Rozgoryczona Katherine przez dłuższy czas chodziła po pokoju tam i z powrotem, usiłując coś zrozumieć z jego zachowania, domyślić się powodów tak oczywistego afrontu. W końcu postanowiła nawet pójść do Molly, aby porozmawiać o niezrozumiałym zachowaniu męża z doświadczoną kobietą.**

**Ale rozmowa z nią, choć długa i szczerą, dała jej w gruncie rzeczy niewiele. Tyle tylko, że mogła się do końca wygadać przed życzliwą duszą, wyrzucić z siebie wszystko, co uwierało i bolało. Opowiedziała Molly całą historię swego niedługiego małżeństwa, niemal dzień po dniu, niczego nie ukrywając i nie upiększając, a ta dostatecznie dobrze знаła już małżeńskie życie, by wiedzieć, że najważniejsze jest takie współczujące wysłuchanie, podczas którego pozwala się opowiadającemu dojść do jakichś własnych, nieraz oczywistych, wniosków.**

**Kiedy Katherine wyrzuciła już z siebie wszystko, Molly przez dłuższą chwilę milczała, a potem spytała:**

**– Kochasz go?**

**– Och tak! Całym sercem.**

**– Ale nie jesteś pewna jego uczuć?**

**– Nie jestem.**

**– Powiedziałaś mu, że go kochasz?**

**– Tak.**

– A czy on ci to też powiedział?

– Nie. Wciąż jeszcze nie.

– Więc rozmawiasz z niewłaściwą osobą, droga Katherine. To przede wszystkim z Alexem powinnaś porozmawiać. Macie do omówienia bardzo

273

poważne rzeczy. Oboje.

– Wiem, ale prawdę mówiąc, trochę się boję tego, co mogłabym usłyszeć.

On czasami zachowuje się tak, jak gdybym go w ogóle nie obchodziła, i wtedy zaczynam poważnie wątpić, czy w ogóle mnie kocha.

– Skarbie, oni wszyscy się tak zachowują! – Molly poklepała ją po ramieniu. – Moim zdaniem nie masz najmniejszego powodu, by wątpić w jego uczucia. Nieraz widziałam, jak na ciebie patrzy.

– Aleja wcale nie jestem pewna, czy patrzenie w taki sposób bierze się z serca. – Katherine westchnęła żałośnie. – Nie wiem czy rzeczywistego źródła nie należałoby szukać trochę niżej.

Molly roześmiała się.

– Porozmawiaj z nim – doradziła. – Zobaczysz, poczujesz się znacznie lepiej, kiedy to sobie wreszcie wyjaśnicie. Katherine podniosła się z krzesła.

– Dziękuję ci, Molly. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. –Przede wszystkim za to, że mnie wysłuchałaś. Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdyby cię tu nie było.

– Dasz sobie z tym radę – rzekła Molly. – Tak jak ja musiałam sobie dawać radę przez wszystkie te lata.

Katherine skinęła głową i wolnym krokiem ruszyła z powrotem do domu.

Idąc, wciąż myślała o tym, co usłyszała i nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się na miejscu.

Zamierzała jak najszybciej zabrać się do napisania listów do Fanny i Karin, ale przechodząc przez kuchnię zauważyła nagle, że Banja nie ma w skrzynce. Rozejrzała się, nawołując go głośno, ale bez rezultatu. Wszystko wskazywało na to, że kotek postanowił zwiedzić dom i najpewniej musiał być w którymś z pokoi na górze.

Przeszukała więc wszystkie pomieszczenia od parteru aż po strych, aż w końcu znalazła małego uciekiniera. Banjo spał sobie w najlepsze, zwinięty w kłębek na miękkim siedzeniu wyściełanego krzesła, stojącego za biurkiem w gabinecie Alexa. Na biurku stał kałamarz i podstawa z przyborami do pisania. co przypomniało Katherine o jej zamiarze napisania listów do Teksasu. Nie było przeszkód, żeby zrobić to właśnie przy tym biurku, należało jedynie poszukać papieru listowego i kopert – Alex powinien je mieć w którejś z szuflad. Niewiele myśląc wzięła zwierzaka z siedzenia krzesła i usiadła za biurkiem. Banjo musiał się zadowolić skrawkiem miejsca na jej kolanach.

274

W pierwszej szufladzie znalazła sporo różnych zapisanych papierów, ale nie było w niej ani czystych kopert, ani papieru listowego. Na szczęście były w drugiej. Katherine sięgnęła po kilka arkusików papieru oraz dwie koperty i już miała się zabrać do pisania, kiedy nagle zorientowała się, że jedna z wyjętych przez nią kopert ma już wypisany adres i jest wyraźnie grubsza, a więc zapewne zawierała list. Alex najprawdopodobniej musiał omyłkowo włożyć ją do przegródki z nieużywanymi kopertami i najpewniej dlatego jeszcze jej nie

wysłał. Już chciała odłożyć list na biurko, opierając go o bibularz w taki sposób, aby Alex natychmiast go zauważył, kiedy nagle zobaczyła wypisany wielkimi literami adres: MISS KARIN SIMON, LIMESTONE, TEKSAS.

Drżącymi rękami otworzyła list, który był niedokończony i który – jak wynikało z wypisanej u góry daty – Alex musiał napisać jeszcze w tym samym dniu, kiedy statek „Merman” dowiózł ich do leśnego obozu nad Zatoką Humboldta. Katherine zaczęła go czytać, a jej serce biło jak oszalałe.

*Droga Karin!*

*Wiem, że musiałaś się poczuć zszokowana i urażona, kiedy wystąłem do Was list, w którym poprosiłem Katherine, żeby przyjechała do Kalifornii...*

W tym momencie Katherine poczuła ogromną ulgę. Najtrafniej zaczął pisać ten list, czując się w obowiązku wytłumaczyć Karin, dlaczego postanowił poślubić nie ją, ale jej siostrę. Nie było w tym nic złego, jakieś wyjaśnienie w końcu się Karin należało. Katherine czytała więc dalej.

*Doprawdy nie mam pojęcia, jak wytłumaczyć tę wprost niewyobrażalną pomyłkę. Wypiliśmy za dużo, potem pokłóciłem się z Adrianem i nawet się z nim pobitem, a na koniec byłem już tak pijany, że kiedy pisałem list do Ciebie – do Ciebie, a nie do Katherine! – wpisałem w tym liście jej imię zamiast Twojego. Jeden Bóg raczy wiedzieć, dlaczego i w jaki sposób to było możliwe. Nie zdawałem sobie sprawy z tej pomyłki aż do chwili, kiedy Katherine przyjechała, a wtedy było już w późno. Musiałem się z nią ożenić, nie miałem innego wyjścia. Nie sądzę, żebym potrafił kiedykolwiek...*

W tym miejscu list się urywał, ale dla Katherine i tak to już nie miało żadnego znaczenia. Tego, co przeczytała, wystarczyło aż nadto, żeby zranić ją w

samo serce. W tych kilku liniach tekstu aż cztery oczywiste fakty wprost

275

rzucały się w oczy. Alex tak naprawdę chciał ożenić się z Karin, nawet jeśli po pijanemu pomylił imiona. Nie zdawał sobie sprawy ze swej pomyłki aż do chwili, gdy w San Francisco zjawiała się nie Karin, ale jej siostra. Potem już czuł się zmuszony do małżeństwa, choć nie wyjaśniał dlaczego.

*I na koniec to ostatnie urwane zdanie. Nie sądzę, żebym potrafił*

*kiedykolwiek... Nie sądził zatem, żeby kiedykolwiek potrafił... co? Wybaczyc*

*Katherine? Zapomnieć o miłości do Karin? Jakiegokolwiek miało być to*

*zakończenie zdania, dla niej było jak kolejne uderzenie ostrym nożem.*

*Przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, otępiałym wzrokiem*

*wpatrując się w list. Pisany na pewno przez Alexa, jego charakter pisma*

*rozpoznałaby wszędzie. A więc to była prawda. Wcale nie chciał się z nią*

*ożenić, i była to tylko pomyłka. Ale najgorsza była świadomość, że Alex ją*

*okłamał – że nie powiedział jej prawdy nawet wtedy, gdy otwarcie go zapytała.*

*Nie chciała w to uwierzyć, lecz okrutna rzeczywistość była nieublagana, a*

*dopiero co przeczytane słowa w żaden sposób nie dawały się wyrzucić z*

*pamięci.*

*Katherine zgmiotła list i rzuciła go na biurko, potem tak samo machinalnie*

*zdjęła z kolan kotka i postawiła go na podłodze. Podniosła się, z trudem*

*utrzymując się na chwiejnych nogach i gwałtownie zatkała sobie usta*

*wierzchem dłoni, żeby nie zacząć krzyczeć. Cały otaczający ją świat nagle się*

*zawalił w gruzach, wszystko, w co wierzyła, okazało się kłamstwa a prawdziwe*

*było tylko jej krańcowe upokorzenie.*

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy ciemnoczerwone krople zaczęły kapać na podłogę, zdała sobie sprawę, że próbując się powstrzymać od rozpaczliwego krzyku pogryzła grzbiet dłoni aż do krwi. Opuściła rękę, którą dotąd próbowała zatykać sobie usta, a przemieszany z niekończącym się jękiem krzyk bólu rozdzierał nie tylko jej ciało, ale i duszę. Nie miała już świadomości tego, co robiła, nie pamiętała momentu, w którym jednym zamaszystym ruchem ręki zwała na podłogę wszystko, co stało na biurku. Nie zdawała sobie też sprawy, że z całą siłą rzuciła lampą w okno. I że wciąż nie przestawała krzyczeć.

– Katherine, na miłość boską! – zawołał Adrian, wpadając do pokoju. – Co się stało?!

Okno było rozbite, a wokół biurka leżały porzrzucone papiery i przybory do pisania. Krzyk Katherine przeszedł w rozpaczliwy spazmatyczny szloch. Szwagier z przerażeniem patrzył na jej krwawiącą dłoń, na czerwone plamy na

276

sukni i na twarz dziewczyny, a zwłaszcza jej oczy, których wyraz był bliski szaleństwa. Widać było, że już absolutnie nie panuje nad sobą, toteż Adrian mógł zrobić tylko jedno – jak najmocniej objął ją, żeby unieruchomić jej ręce, a następnie siłą ułożył szwagierkę na kanapie i też zaczął krzyczeć, wzywając Wonga. Dopiero z jego pomocą udało mu się przytrzymać ją na tyle skutecznie, że przestała kopać i wierzgać. Po kilku minutach atak w końcu minął.

Adrian kazał kucharzowi prowizorycznie opatrzyć wciąż krwawiącą dłoń Katherine, a następnie wysłał go do obozu z poleceniem odnalezienia i sprowadzenia Alexa. Potem, po chwili wahania, wziął z szafki butelkę whisky i

niemal przemocą wlał w usta Katherine ćwierć kieliszka, na zasadzie lekarstwa – mając nadzieję, że kilka kropel alkoholu choć trochę złagodzi jej nerwowe napięcie. Usiadł przy niej i starając się uspokoić dziewczynę, bardzo ostrożnie i delikatnie gładził ją po włosach, od czasu do czasu powtarzając cicho:

– Będzie dobrze... będzie dobrze...

Gdy w końcu się uspokoiła i patrzyła już znacznie przytomniej, zapytał znowu:

– Co się stało?

– List – szepnęła Katherine. – Znalazłam tam jego list... – Jej wzrok skierowany był na porozrzucane papiery, leżące koło biurka.

Adrian bez trudu odgadł, że musi chodzić o ten jeden arkusik listowego papieru, który był najbardziej zgnieciony, jak gdyby zmięła go i rzuciła na podłogę czyjaś gniewna ręka. Podniósł list, rozprostował go i zaczął czytać. To było gorsze, niż mógł przypuszczać. Czuł nieprzyjemny skurcz w gardle i chwilami miał ochotę wymiotować. Nie bardzo wiedział, co ma w tej sytuacji mówić.

– Nie jest aż tak źle, jak mogłoby z tego wynikać – rzekł w końcu. – Alex cię kocha...

– Nie dodawaj mi jeszcze niepotrzebnych kłamstw do tego, co już musiałam znieść – przerwała mu Katherine. – I nie powiększaj moich upokorzeń, każąc mi tego słuchać.

– Ale, Katherine, daj Alexowi przynajmniej szansę, żeby mógł się wytłumaczyć...

– A jak to było z tobą, Adrianie? Jaki był twój udział w tym wszystkim? Czy to za twoją sprawą Alex, jak sam napisał, nie miał wyboru?

– Zrobiłem tylko to, co mogłem... i co uważałem za najlepsze.

277

Wymieniliśmy poglądy i uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeżeli Alex dotrzyma zobowiązania... i nie wycofa się z małżeństwa.

– Wymieniliśmy i uznaliśmy – powtórzyła Katherine z gorzką ironią, której ton był już bliski nienawiści. – Jak to miło, że tak we dwóch zajęliście się urządzaniem mi życia, korzystając z kłamstwa i oszustwa. Przypuszczam, że żadnemu z was nawet nie przyszło do głowy, żeby zapytać mnie, co o tym wszystkim sądzę? – Katherine podniosła się do pozycji siedzącej. Zrobi to z pewnym trudem, ale odepchnęła ręce szwagra, kiedy te próbował jej pomagać.

– Nie chcę twojej pomocy. Mam jej dosyć!

W oczach Adriana nietrudno było wyczytać ból, przemieszany z poczuciem winy, ale Katherine nie miała niego ani odrobiny współczucia. Wstała z kanapy i spojrzała w stronę drzwi.

– Katherine, zaczekaj chwilę! – zawołał zaniepokojony Adrian. – Nie jesteś w stanie nigdzie iść o własnych siłach. Zaczekaj przynajmniej, aż Alex wróci.

– Nie, nie mogę. Nie chcę go już widzieć... i ciebie zresztą też. Chcę być choć przez chwilę sama. – Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. – Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie wybaczyć jemu, a także i tobie... wam obu! Naprawdę nie wiem...

Schylił się, podniósł z podłogi kotka i trzymając go, zwrócił się do szwagierki:



**– Nie chcesz go? – zapytał.**

**– Nie – odpowiedziała zimno. – Alex nigdy go nie chciał. Wyrzucić go za drzwi. I mnie razem z nim.**

**– Katherine, posłuchaj mnie. Wiem, co możesz teraz myśleć o moim bracie, i pewnie też i o mnie. Wiem, co musisz czuć, po tym co się zdarzyło.**

**– Nie, nie wiesz... i nie możesz wiedzieć. To jest nieporównanie gorsze od wszystkiego, co możesz sobie wyobrazić.**

**– Ale przynajmniej...**

**Katherine trzasnęła drzwiami, zanim Adrian zdążył dokończyć rozpoczęte zdanie. Wybiegła z gołą głową, zupełnie nie dbając o to, że mimo świecącego jeszcze słońca zrobiło się już naprawdę zimno. Była w takim stanie, że nawet chciała zmarznąć – choćby tylko po to, żeby poczuć coś jeszcze poza bólem, poza tym przerażającym otępieniem, które ogarnęło zarówno jej duszę, jak i ciało. Ruszyła przed siebie, prosto w las, żeby być jak najdalej od tego domu i leśnego obozu... i od Alexa i Adriana. Miała poczucie; że będzie w stanie spokojniej o tym myśleć dopiero wtedy, gdy zostawi to wszystko za sobą, idąc**

**278**

**tak daleko, Jak tylko się da. Szła przed siebie, lekko pod górę, kierując się gdzieś w stronę dalekich szczytów, nie bardzo zdając sobie sprawę jak daleko już odeszła i jak wiele czasu upłynęło. Słońce było już bardzo nisko; drzewa rzucały coraz dłuższe cienie.**

**Gdy w końcu trochę ochłonęła, zdała sobie sprawę, że musi być daleko od domu i że już wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Odwróciła się i spojrzała w tę stronę, z której przyszła, ale nadal nie potrafiła się zdecydować na powrót.**

Otępienie po szoku wciąż ją paraliżowało, rozejrzała się bezradnie i w końcu z westchnieniem usiadła na pniu zwalonego drzewa. Nie była w stanie podjąć żadnej decyzji, wiedziała tylko, że nie może dłużej pozostawać ani w tym domu, ani w tym obozie, że nie może i nie chce już kontynuować tej fikcji, tej parodii małżeńskiego związku z mężczyzną, który od samego początku jej nie chciał. Coś trzeba było z tym zrobić, oczywiście, ale to też musiało poczekać do jutra.

Alex wbiegał na schody, gdy drzwi domu się otworzyły i stanął w nich Adrian. Pośpiesznie wyjaśnił bratu, co się stało i opowiedział o ucieczce zrozpaczonej i rozgniewanej Katherine, której mimo wysiłków nie potrafił nigdzie odnaleźć..

Twarz Alex stężała.

– Zostań tu, na wypadek gdyby wróciła – zwrócił się do brata. – Ja pójdę jej szukać.

Wziął ze sobą strzelbę i naboje i pędem ruszył pod górę, w głąb lasu.

Katherine nie mogła pójść w dół, do obozu, bo wtedy musieliby się spotkać.

Modląc się, żeby to rozumowanie okazało się słuszne, biegł przez las najszybciej, jak mógł.,

Boże drogi, powtarzał sobie w duchu, o tej porze jest tu tak niebezpiecznie!

Jeśli coś w ogóle musiało się zdarzyć, to dlaczego nie trochę później, kiedy niedźwiedzie zapadają w zimowy sen? Ach, Katherine, Katherine!

Katherine w końcu ruszyła w drogę powrotną, powoli i bez przekonania, ale już po kilku minutach zatrzymała się i zamarła, słysząc głośny trzask łamanych gałązek w zaroślach po lewej stronie. Początkowo sądziła, że pobiegł

za nią któryś z obozowych psów, lecz wkrótce zorientowała się, że to musi być jednak jakieś dużo większe zwierzę. Znow trzasnęły łamane gałęzie i nagle z rozległej kępy wybijały się jeżyny wyłonił się ogromny niedźwiedź.

Zobaczył ją i na moment się zatrzymał. Był zbyt blisko, żeby Katherine

279

mogła mieć jakiegokolwiek szansę ucieczki. Patrzyła na niego, znieruchomiała jak słup soli, i choć nie była całkiem pewna swej książkowej wiedzy zoologicznej, instynktownie wiedziała, że to samotny samiec grizzly.

Niedźwiedź był tak blisko niej, że wyraźnie czuła jego ostry piżmowy zapach. Patrzyła na niego w jakimś odrętwieniu, zaskoczona własną reakcją, która była co najmniej dziwna. Oto stała nieruchomo w środku lasu, niemal oko w oko z najgroźniejszym zwierzęciem Ameryki Północnej, a jedyne, co w tej sytuacji kołatało jej się w głowie, była łacińska nazwa tego niedźwiedzia *Ursus horribilis*. Czy aby na pewno?

Po chwili nie było już wątpliwości. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, a z jego gardła wydobył się chrapliwy agresywny pomruk. Katherine widziała przerażające pazury podniesionych łap i potężne kły w półotwartej paszczy. Ogarnął ją lodowaty strach.

Nagle usłyszała męski głos. Ktoś ją wołał i nakazywał, żeby się nie ruszała i została na miejscu. Ale kiedy niedźwiedź ruszył w jej kierunku, nie słuchała już głosu rozsądku. Instynkt kazał Jej biec, uciekać tam, skąd przyszła.

Pędziła tylko przez chwilę, z przerażającą świadomością, że grizzly jest zbyt blisko, że w żaden sposób nie uda się przed nim umknąć. Kolejny wściekły pomruk usłyszała niemal tuż za sobą, a potem poczuła straszliwy ból lewego

ramienia, w które wbiły się ostre niedźwiedzie pazury. Resztką świadomości zarejestrowała nagły huk wystrzału i przeraźliwy ryk trafionego zwierzęcia, które bezwładnie osunęło się na ziemię, niemalże pod jej stopy. Zaraz po tym straciła przytomność. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, był pelen rozpaczyny głos mężczyzny, wciąż na nowo powtarzającego Jej imię. Potem wszystko zapadło się w ciemność.

Targany wciąż rosnącym niepokojem Adrian siedział przed rozpalonym kominkiem, patrzył w ogień i od czasu do czasu pociągał łyk brandy, co zresztą wcale go nie uspokajało. Gdy od strony lasu dobiegł odgłos strzału, zerwał się i pobiegł po strzelbę. Po chwili był już znów na dole, a gdy wybiegł przed dom, usłyszał zbliżające się ciężkie kroki i głośnie szczekanie psów.

W zapadającym zmroku zobaczył wysoką postać brata, niosącego na rękach zakrwawioną, nieruchomą Katherine. Pośpiesznie zawrócił w stronę domu, żeby otworzyć mu drzwi. Nie miał odwagi zapytać, co się stało, obawiając się najgorszego.

– Grizzly – powiedział Alex. – Zaatakował ją. Biegnij natychmiast i

280

sprowadź tu Molly. Niech weźmie wszystko, co jest potrzebne do opatrywania ran.

Adrian pobiegł całym pędem, ryzykując połamanie nóg na bardzo słabo już widocznej ścieżce, prowadzącej w dół do obozu. Zaalarmowana jego krzykami Molly pośpiesznie zebrała wszystkie potrzebne rzeczy, po czym oboje równie szybko pobiegli z powrotem.

Alex tymczasem zdążył ułożyć Katherine twarzą w dół na długim

kuchennym stole i przyciskając kolejny ręcznik do jej poranionego ramienia, próbował zatamować upływ krwi. Gdy Adrian i Molly pojawili się w drzwiach, na stole było już pełno krwi.

Adrian spojrział na twarz brata i przeraził się jeszcze bardziej. Alex był śmiertelnie blady, a w jego oczach była rozpacz i wręcz nieludzki strach. Mimo jego starań ramię Katherine wciąż krwawiło obficie, ręcznik niewiele pomógł, a na podłodze obok stołu widoczna była wielka ciemnoczerwona plama, w którą spadały kolejne krople.

Przez blisko godzinę Molly, wspomagana przez obu braci, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby oczyścić rany i powstrzymać krwawienie. Nie była jednak zadowolona z osiągniętego rezultatu. Zdawała sobie sprawę z tego, że metody i środki, jakimi dysponowała, są zbyt ubogie i prymitywne, z całą pewnością niewystarczające, żeby uratować Katherine.

– Trzeba ją jak najszybciej przewieźć do San Francisco – powiedziała. –

Bez pomocy najlepszych lekarzy nie ma szans, żeby z tego wyszła. Nawet jeśli przetrzyma rany i upływ krwi, przyjdzie zakażenie i gorączka, która ją zabije.

– Popłyniemy jednym ze statków, które czekają na drewno – powiedział

Alex. – I wyruszymy natychmiast, bez ładunku. Przy pomyślnym wietrze może się nam uda zyskać dzień albo nawet dwa.

Mężczyźni sprokurowali naprędce prowizoryczne nosze z dwóch drewnianych drążków i kilku prześcieradeł, a Molly poszła na górę, żeby spakować najpotrzebniejsze osobiste rzeczy Katherine. Pół godziny później wszyscy byli już na statku.

Molly stała przy koi, na której ułożono wciąż nieprzytomną Katherine,

przypatrywała się jej papierowo bladej twarzy i od czasu do czasu delikatnie gładziła ją po włosach. Ta młoda i piękna dziewczyna była dla niej jak córka, której zawsze pragnęła, a której nigdy nie miała.

Odeszła od jej koi dopiero wtedy, gdy Alex i Adrian powiedzieli, że czas ruszać. Przed wyjściem z kajuty obróciła się ku niej jeszcze raz, sama nie

281

wiedząc dlaczego.

Być może przeczuwała, że już nigdy więcej jej nie zobaczy.

21

Niech to diabli! Tego się najbardziej obawiałem, ma temperaturę! –

powiedział Alex zgnębionym głosem.

Był krańcowo zmęczony, nieogolony i brudny. Od kilku dni na zmianę z

Adrianem czuwał nad koją wciąż nieprzytomnej Katherine. Dotknięcie jej czoła nie pozostawiało wątpliwości – skóra była rozpalona, a więc gorączka w końcu ją jednak dopadła.

Adrian po zakończeniu swego dyżuru był tak wyczerpany, że niewiele brakowało, by usnął z twarzą opartą na blacie stołu, przy którym zamierzał zjeść śniadanie. Słyszając słowa brata, oprzytomniał niemal natychmiast.

Podniósł się, podszedł do koi pochylił się nad dziewczyną. Jej blada dotąd twarz miała nienaturalnie intensywne wypieki, a oddech był wyraźnie krótszy i przyśpieszony.

– Nie ma dwóch zdań, ma wysoką gorączkę – ocenił. – Dzięki Bogu, że już za kilka godzin będziemy w San Francisco.

– Przy takiej temperaturze będzie się liczyć każda minuta. Trzeba kłaść jej

**zimne kompresy na czoło.**

**– I owijać ciało mokrym prześcieradłem. Będziemy je zmieniać co pół godziny albo nawet co kwadrans. To powinno choć trochę obniżyć temperaturę. Ach, Boże drogi, gdybyż ten sta mógł płynąć trochę szybciej.**

**– Trzeba się modlić, żebyśmy zdążyli.**

**Nie można było powiedzieć, żeby zimne okłady, które odtąd skrupulatnie zmieniali co kilkanaście minut, w jakiś zauważalny sposób przyczyniły się do obniżenia gorączki. Mokre prześcieradła zbyt szybko wysychały na rozpalonym ciele chorej. Katherine prawie nie reagowała na ich zmianę, nie otwierała oczu i jedynie chwilami coś półprzytomnie zaczynała mówić urywanym, ochryplym szeptem, z którego tylko z trudem dawało się wychwycić pojedyncze słowa:**

**– Boli... bardzo boli... o Boże...**

**Dla Alexa te trzy godziny, których statek potrzebował na dopłynięcie do San Francisco, trwały dłużej niż wieczność.**

282

**Katherine nie odzyskała przytomności nawet wówczas, gdy zabrano ją z pokładu i najszybciej, jak było można, zawieziono do jednego z najlepszych miejscowych lekarzy. Alex i Adrian, choć obaj ledwie trzymali się na nogach, pojechali oczywiście razem z nią.**

**Alex początkowo nie chciał odejść od żony nawet na chwilę, w końcu musiał jednak ulec naleganiom doktora, który zagroził, że nie będzie się zajmował chorą, jeżeli jej mąż i szwagier nie posłuchają jego kategorycznego lekarskiego zalecenia, sprowadzającego się głównie do tego, że obaj mają**

**natychmiast wyjść, nie przeszkadzać mu w pracy i nie wracać, dopóki nie zjedzą Jakiegoś przyzwoitego posiłku i nie prześpią się przynajmniej do następnego ranka.**

**Adrian od razu się z tym zgodził i był wdzięczny lekarzowi za to, że w pełni doceniając ich najlepsze chęci, zauważył ich krańcowe wyczerpanie. Dla doświadczonego medyka było oczywiste, że nawet najbliżsi pacjentowi ludzie w podobnych sytuacjach muszą najpierw sami odpocząć, jeżeli rzeczywiście chcą pomagać, a nie przeszkadzać.**

**Alexowi zrozumienie tego przyszło znacznie trudniej; próbował się jeszcze opierać, wysuwając coraz to nowe i coraz bardziej niedorzeczne argumenty, ostatecznie jednak musiał ustąpić.**

**Przed wyjściem jeszcze raz spojrzął na Katherine, której twarz wciąż pokrywały nienaturalnie intensywne wypieki.**

**– Posłuchamy pana, doktorze – rzekł w końcu. – Ale proszę nas powiadomić, gdyby jej stan się pogorszył. Lekarz skinął głową.**

**– Proszę zostawić mojej żonie adres, pod którym można będzie panów znaleźć. W razie potrzeby przyślę wiadomość. A na razie proszę zająć się sobą i postarać się rozumnie odpocząć, żeby odzyskać siły zarówno ciała, jak i ducha.**

**Chora może was potrzebować, kiedy się obudzi.**

**Jeżeli się obudzi, pomyślał Alex i zmartwiał na samą myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby... Nie, nie wolno nawet o tym myśleć.**

**Nie był jednak w stanie myśleć o niczym innym, choć półprzytomny ze zmęczenia ledwie trzymał się na nogach. Adrian popatrzył na niego, pokiwał głową i bez słowa wyprowadził go z gabinetu.**



Alex nie pamiętał, jak doszli do hotelu, nie pamiętał posiłku, do zjedzenia którego brat po prostu go zmusił. Rozebrał się z najwyższym trudem, padł na

283

łóżko i spał jak zabity. Ale wczesnym rankiem pierwszy otworzył oczy i natychmiast zaczął budzić Adriana.

– Wstawaj, musimy zaraz iść do tego doktora. Brat popatrzył na niego i pokiwał głową.

– Owszem, ale nie tak od razu, nie natychmiast. Spójrz tylko na siebie i na mnie. Musimy się najpierw ogolić, wykapać i przebrać w czyste rzeczy. Kiedy Katherine otworzy oczy, nie powinna oglądać dwóch brudnych i zarośniętych obdartusów. Taki wygląd na pewno nie wpłynąłby korzystnie na jej rekonwalescencję. Postarajmy się przynajmniej wyglądać jak ludzie w miarę cywilizowani.

Chcąc nie chcąc, Alex znów musiał się z nim zgodzić.

Katherine z wolna budziła się i stopniowo odzyskiwała świadomość.

Najpierw zaczęła słyszeć prowadzone gdzieś tuż przy niej rozmowy i nawet rozpoznawać brzmienie poszczególnych głosów, choć sens wypowiedzianych słów natychmiast ulatywał z jej zmęczonej głowy, niezdolnej do bardziej skoordynowanego myślenia. Kiedy próbowała otwierać oczy, nie widziała pomieszczenia, w którym była, nie widziała kształtów czy kolorów otaczających ją przedmiotów, tylko jakieś rozmyte, niewyraźne plamy o bardzo wolno zmieniających się barwach. Wciąż czuła się strasznie słaba, nawet te niepewne próby otwierania oczu męczyły ją niepomierne, toteż z prawdziwą ulgą przymykała powieki i ponownie zapadała w sen. Potem znów

się budziła i znów z wysiłkiem próbowała coś widzieć i słyszeć, coś kojarzyć i jakoś rozeznać się w rzeczywistości, do której powoli wracała. Zasnęła jeszcze parę razy, aż wreszcie po kolejnym obudzeniu się poczuła, że czyjeś dłonie dotykają jej czoła. Potem usłyszała męski głos, którego nie знаła.

– Temperatura wyraźnie spadła, sam pan mógł sprawdzić, że czoło już nie jest rozpalone. Gorączka minęła.

– Dzięki Bogu! – Ten głos Katherine natychmiast rozpoznała. To musiał być Alex. Próbowała otworzyć oczy, ale na razie Jej się nie udawało. Potem usłyszała głos Adriana.

– A czy ta wysoka temperatura, zdaniem pana doktora, może jeszcze powrócić?

Odpowiedź lekarza była bardzo zdecydowana.

– Nie. Najgorsze jest już za nami, gorączka minęła. Teraz stan chorej będzie się stale poprawiać.

284

Powieki wciąż były zbyt ciężkie, by Katherine mogła je podnieść. Nie mając dość siły, żeby się choćby uśmiechnąć, Westchnęła cichutko i znów usnęła.

Nie wiedziała więc, że mąż postanowił przy niej zostać, i nie Słyszała kolejnej wymiany zdań z lekarzem, która ostatecznie kończyła się tym, że Alex usiadł przy jej łóżku i stanowczo świadczył, że od tej chwili nikt go już stąd nie ruszy.

Spała. Po raz pierwszy od wielu dni oddychała równo i spokojnie.

Następnego ranka rozbudziło ją wschodzące słońce, którego promienie przebiły się przez nie do końca zaciągniętą zasłonę i padły wprost na jej twarz.

**Katherine zmarszczyła nos i powiedziała półprzytomnym głosem:**

**– Proszę stąd zabrać to światło...**

**Powieki nie były już tak nieznośnie ciężkie, więc bez większego trudu otworzyła oczy. Najpierw zobaczyła Alexa, który siedział tuż przy jej łóżku. Był blady, nieogolony i z niewyspania miał mocno podkrążone oczy. Obok niego stał Adrian i jakiś życzliwie uśmiechający się starszy pan, który musiał być lekarzem.**

**– Witamy panią z powrotem w gronie żywych – powiedział. – Aha, tak dla porządku, jestem doktor Glover i opiekuję się panią już od dobrych kilku dni. Jak się pani czuje? Podejrzewam, że trochę tak, jak może się czuć człowiek, który zderzył się z rozpędzoną lokomotywą...**

**– Czuję się jak niedojedzone danie niedźwiedzia, czyli chyba całkiem dobrze – odparła Katherine. Choć tonacja była raczej żartobliwa, jej głos brzmiał nadspodziewanie energicznie i prawie wojowniczo, a minę miała taką, jakby znów była gotowa stawić czoło całemu światu. – I nie mam już gorączki, więc proszę zabrać tę rękę. – Lekkim klappsem powstrzymała dłoń doktora, który próbował dotknąć jej czoła. – Chce mi się tylko pić, co jest chyba normalne. I może by mi wreszcie ktoś powiedział, dlaczego wszyscy patrzą na mnie tak, jak gdyby mnie widzieli pierwszy raz w życiu? Jak w ogóle tutaj trafilam? I gdzie to jest to „tutaj”?**

**Doktor Glover roześmiał się.**

**– Muszę powiedzieć, że dawno nie miałem aż tak wymownej, by nie powiedzieć pyskatej, pacjentki. Cieszę się, bo tyle energii po wyjściu z podobnej zapaści to naprawdę dobry znak.**

Alex dotąd nawet nie przypuszczał, że kiedykolwiek mógłby być bliski omdlenia z samego nadmiaru radosnych emocji. A jednak kręciło mu się w

285

głowie, nogi wyraźnie odmawiały posłuszeństwa i uginały się pod nim, ale też jeszcze nigdy nie miał poczucia tak bezgranicznego szczęścia i tak ogromnej ulgi, po tylu dniach spędzonych w nieludzkim wręcz napięciu przy łóżku nieprzytomnej Katherine. Reakcja nie mogła być inna i pewnie dlatego po jego policzkach spływały łzy, których nawet nie próbował ukrywać, choć ostatni raz płakał chyba jeszcze jako chłopiec, w dniu tragicznej śmierci rodziców.

Katherine patrzyła na niego z nieukrywanym zdumieniem. Czyżby on, który zawsze chciał być taki twardy, płakał z jej powodu? Dlatego że była tak bliska śmierci? To nie za bardzo godziło się z tym, co dotąd o nim myślała.

A jednak naprawdę płakał. Ze szczęścia.

Przymknęła znów oczy i usnęła.

O tej porze roku nawet w San Francisco dni były zazwyczaj chłodne i przeważnie deszczowe, więc przedłużające się leżenie w łóżku podczas wolno przebiegającej rekonwalescencji nie wydawało się Katherine aż tak wielkim wyrzeczeniem. Przez większą część tego czasu spała, a kiedy się budziła, Alex zawsze był przy niej, gotów do pomocy i niezwykle troskliwej opieki.

Początkowo, kiedy jeszcze była bardzo słaba, nawet ją karmił, a nie mogła nie zauważyć, że zamawiane dla niej jedzenie było zawsze najwyższej jakości, bardzo smaczne i doskonale przyrządzone. Aby ją trochę rozerwać, opowiadał jej najnowsze dowcipy, relacjonował interesujące wydarzenia albo czytał co ciekawsze artykuły z miejscowych, a także zamiejscowych gazet, które do San

Francisco docierały z niewielkim tylko opóźnieniem. Prawdę mówiąc, uskarżać mogłaby się jedynie na konieczność stałego leżenia w łóżku, poza tym miała właściwie Czystko: doskonałą opiekę, świetne wyżywienie i męża, który wciąż przy niej siedział i na wszelkie sposoby starał się ją bawić, próbując choć trochę umilić jej okres powolnego powrotu do zdrowia.

Jedna tylko rzecz nie pozwalała jej cieszyć się tym naprawdę –bolesna świadomość, że zarówno ta czuła opieka nad nią, jak i ta nieustanna chęć bawienia i utrzymywania jej w jak najlepszym humorze nie brała się z miłości, ale przede wszystkim z poczucia winy. Katherine nie rozmawiała z nim o znalezionym liście, ponieważ w tym momencie to już nie miało znaczenia. Alex wiedział i to wystarczało.

Starła się już w ogóle nie myśleć o tamtym nieszczęsnym dniu. Kiedy mąż czytał jej co ciekawsze artykuły z gazet, słuchała jednym uchem i bezustannie patrzyła w okno. Pogoda wciąż była nieprzyjemna, chmurna i deszczowa i

286

Katherine z wolna zaczynała tęsknić za słońcem. Najbardziej za tym prawdziwie gorącym słońcem Teksasu. Brakowało jej rodzinnego domu, choć wciąż jeszcze nie chciała się do tego przyznać.

Gdy w końcu doktor Glover uznał, że stan jej zdrowia pozwala już na wstawanie z łóżka i lekkie spacerowanie, Katherine opuściła małą separatkę przy jego lekarskim gabinecie i przeniosła się do znacznie obszerniejszego pomieszczenia w wynajętym przez Alexa hotelowym apartamencie. Było jej tam niewątpliwie znacznie wygodniej, pogoda też się poprawiła, dni były przeważnie słoneczne i, jak na późną jesień, całkiem ciepłe, można więc było

sobie pozwolić na codzienne przechadzki. Miała poczucie, że jej ciało powoli odzyskuje siły i wraca do zdrowia – i tylko ta nie mogąca się zagoić rana w sercu nadal krwawiła równie mocno, jak pierwszego dnia.

Katherine coraz częściej zaczynała myśleć o tym, żeby zostawić to wszystko – zostawić Kalifornię, Alexa i po prostu wyjechać. Wprawdzie próbowała sama sobie tłumaczyć, że wiele dobrych małżeństw zaczynało nawet gorzej niż ona i Alex, ale natychmiast pojawiał się kontrargument nie do zbicia: że żadne takie małżeństwo nie opierało się od samego początku na kłamstwie i jawnej pomyłce.

Przez kilka kolejnych dni zastanawiała się nad tym wciąż na nowo i w końcu postanowiła, że jeśli już ma stąd wyjechać, to powinna to zrobić odpowiednio efektownie i z hukiem. Przyjechała co prawda do Kalifornii w zawstydzającej niewiedzy, pokorna i nieśmiała, nie zdająca sobie sprawy z faktu, że wcale nie jest tu mile widziana, ale to przecież wcale nie znaczyło, że w ten sam sposób musi stąd wyjechać.

Ułożyła sobie cały plan postępowania. Na początek, wykorzystując hotelową służbę, miała powiadomić Alexa, że dzisiejszego wieczoru nie będzie mogła towarzyszyć mu podczas kolacji, a potem – zupełnie niespodziewanie – zaskoczyć i jego, i wszystkich hotelowych gości takim wejściem, przy którym wjazd Kleopatry do Rzymu mógłby się wydawać skromną uroczystością rodzinną.

Usiadła przy ozdobnym biureczku i skreśliła kilka słów do męża, informując go, że nie czuje się na tyle dobrze, żeby iść do hotelowej restauracji, i że prosi go bardzo uprzejmie, aby wieczorem poszedł tam bez

niej. Powiadomiła go też, że już zamówiła dla siebie lekką kolację, która zostanie dostarczona. do jej pokoju.

287

Tymczasem zamówiła tylko gorącą kąpiel. Wyszła z wanny odświeżona i pachnąca różanym olejkiem, a potem całą następną godzinę spędziła na układaniu trudnej, ale też i efektownej fryzury, idealnie dopasowanej do najwspanialszej wieczorowej sukni, którą zawczasu zakupiła i która teraz miała się okazać jej najsilniejszą kobiecą bronią. Obcisła suknia z zielonego aksamitu o szmaragdowym odcieniu idealnie komponowała się z kolorem jej kunsztownie ułożonych, mahoniowych włosów. Dopinając ostatnie guziczki sukni, Katherine uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że tyle czasu przed lustrem nie spędzał chyba nikt, nawet Karin.

Przed samym wyjściem jeszcze raz bardzo dokładnie przyjrzała się swemu odbiciu– Mogła być z siebie zadowolona. Och, mamó, droga mamó, pomyślała nagle, gdybyś mogła mnie teraz zobaczyć, pewnie byś się zdziwiła... i chyba bardzo ucieszyła.

Suknia była naprawdę olśniewająca. Katherine gotowa byłaby się założyć, że niczego podobnego nie ma nikt w całym San Francisco. Jednego mogła być pewna – w tej kreacji musiała zrobić wrażenie. Po prostu nie można było jej nie zauważyć.

Sprawdziła czas; było wpół do dziewiątej. Celowo odczekała jeszcze kwadrans, żeby mieć pewność, że mąż i szwagier będą już po kolacji. Znając Alexa, mogła nie bez racji przypuszczać, że jej nieobecność odbierze jako odtrącenie i że w takiej sytuacji będzie nad tym ponuro rozmyślał, najpewniej

**nad paroma szklaneczkami brandy. W każdym razie miała nadzieję, że tak właśnie będzie.**

**Wcale nie chciała, żeby się upił. Właściwie to w ogóle nic od niego nie chciała.**

**Gdy stanęła u szczytu marmurowych schodów, prowadzących do głównej sali restauracyjnej, zatrzymała się na chwilę, aby rozejrzeć się wśród gości, niewątpliwie stanowiących istotną część towarzyskiej elity San Francisco. Bez trudu odnalazła stolik, który mieli zajmować obaj bracia, ale ponieważ siedział przy nim tylko Adrian, od razu domyśliła się, że coś musi być nie w porządku. Jej obawy potwierdziły się szybko, bo gdy szwagier podniósł wzrok i zobaczył ją na szczycie schodów, na jego twarzy odmalowało się nie tylko zaskoczenie, ale i jawne przerażenie, a może nawet desperacja.**

**Choć Adrian, podobnie jak i wszyscy inni siedzący tam mężczyźni, z natężoną uwagą przypatrywał się schodzącej po schodach niezwykle**

**288**

**eleganckiej i olśniewająco pięknej kobiecie o figurze i urodzie greckiej bogini, to dostrzegał w niej coś zupełnie innego niż oni. Podczas gdy znakomita większość siedzących w restauracji mężczyzn szczerze zazdrościła szczęśliwcowi, z którym ta rudowłosa piękność w nieprawdopodobnie obcisłej zielonej sukni miała się spotkać, jeden Adrian gotów był mu szczerze współczuć, ponieważ tylko on domyślał się, dla kogo Katherine tak się wystroiła, a przede wszystkim – w jakim celu. Niemal natychmiast odgadł, co to wszystko znaczy, i właśnie dlatego patrzył na nią z takim przerażeniem, zupełnie nie wiedząc, co właściwie powinien w tej sytuacji zrobić. Wprawdzie**



**Katherine jeszcze nie zobaczyła Alexa – który siedział przy innym stoliku w drugim końcu sali, na szczęście był odwrócony plecami – Adrian był jednak pewny, że gdyby tylko spojrział w stronę brata, Katherine natychmiast zrobiłaby to samo, a to już groziło prawdziwą katastrofą.**

**Zrobił więc jedyną rzecz, którą mógł zrobić, żeby ratować Alexa – podniósł się i bardzo szybko ruszył w kierunku szwagierki w nadziei, że zdoła ją zatrzymać, zanim ona zdąży do końca zejść po schodach i zobaczy to, czego w żadnym wypadku nie powinna widzieć.**

**Zatrzymał ją dosłownie w ostatniej chwili. Widząc, z jakim pośpiechem Adrian ku niej biegnie, Katherine uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego dłoń w długiej po łokieć wieczorowej rękawiczce.**

**– Dziękuję ci, że zechciałeś nie tylko wstać, ale i natychmiast podejść do mnie. Bez tego pewnie nie potrafiłabym wypatrzeć was w takim tłumie gości. –**

**Jeszcze raz rozejrzała się po ogromnej sali. – A gdzie jest Alex?**

**Szwagier ujął ją pod ramię i usiłując odwrócić jej uwagę, pociągnął ją z powrotem w kierunku schodów.**

**– Chodź ze mną, Katherine – poprosił. – Wszystko ci wytłumaczę. Ale ona wcale nie miała zamiaru zawracać.**

**– Zaraz, o co ci właściwie chodzi? I co niby zamierzasz mi wytłumaczyć?**

**Dlaczego masz taką tajemniczą minę? I gdzie jest Alex?**

**Znów usiłowała rozejrzeć się po sali, ale Adrian dość skutecznie zasłaniał jej znaczną część pola widzenia.**

**– Mój brat ostatnio nie był sobą, Katherine. Chciałbym, żebyś o tym pamiętała. No i przede wszystkim o tym, że on cię kocha.**

– Dobrze, będę o tym pamiętać. A teraz czy byłbyś uprzejmy usunąć się, żebym mogła wreszcie przejść?

– Proszę cię. Katherine. Chodźmy na górę, tu nie ma nic ciekawego...

289

– Uspokój się, Adrianie, bo ludzie zaczynają na nas patrzeć. Niby po co mielibyśmy iść na górę? Gdzie jest Alex?

– Podczas kolacji był czymś zdenerwowany i wypił więcej, niż powinien.

To coś musiało go mocno zboleć, dlatego przesadził i potem już nie bardzo potrafił się kontrolować. I tylko dlatego dał się zwabić do tego stolika. Ale to oczywiście w ogóle nic nie znaczy...

– Opowiadasz jakieś głupoty – rzuciła Katherine. Powoli zaczynało do niej docierać znaczenie tego, co dość niezbornie usiłował powiedzieć Adrian. –

Zaraz, zaraz... o zwabieniu do jakiego stolika wspomniałeś?

– Do stolika pewnej damy, którą niedawno poznaliśmy. Nazywa się Victoria jakoś tam, jej nazwiska nie zapamiętałem. W każdym razie firma jej męża skupuje drewno budowlane i eksportuje je na europejskie rynki. Właśnie ta kobieta zaprosiła Alexa na drinka do swego stolika.

Serce Katherine ścisnął skurcz bezrozumnej zazdrości, ale opanowała się bardzo szybko. Sytuacja układała się nawet korzystniej, niż początkowo przypuszczała.

– A on to zaproszenie, oczywiście, przyjął – powiedziała z ledwie dostrzegalną ironią. – Zastanawiające jest jednak, dlaczego nie zaprosiła również ciebie, zważywszy na to, że połowa firmy jest twoją własnością.

Adrian próbował coś wyjaśniać, ale Katherine już go nie słuchała.

Rozglądała się po sali w poszukiwaniu męża i jego towarzyszki. Miała bardzo silną, choć tylko intuicyjną pewność, że musi to być piękna kobieta i że zaprosiła Alexa do swego stolika nie tylko z powodu interesów męża.

Tak czy inaczej Alex zachował się właśnie tak, jak można się było spodziewać. Jeszcze niedawno serdecznie niepokoił się stanem zdrowia żony, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji znalazł sobie atrakcyjne zastępstwo. Co dla Katherine było jeszcze jednym dowodem, że jej decyzja jak najszybszego wyjazdu była słuszna i w pełni uzasadniona.

Adrian jeszcze raz próbował ją zatrzymać.

– Chodźmy stąd, Katherine – prosił błagalnym tonem. – Proszę.

Nie zamierzała go słuchać. Spokojnie, ale stanowczo wyswobodziła nadgarstek z jego zaciśniętej dłoni i znów odwróciła się twarzą do sali, uważnie przypatrując się siedzącym tam gościom.

Alex, który dotąd nawet nie spojrział w stronę schodów i z pewnym roztargnieniem słuchał swej rozmówczynie – kontemplując przy okazji jej

290

obfity biust, szczodrze prezentowany w obszernym dekolcie – w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że coś niezwykłego musiało przyciągnąć uwagę niemal wszystkich obecnych. Atmosfera na sali wyczuwalnie się zmieniła, w senny dotąd oczach mężczyzn pojawiło się nieukrywane zainteresowanie, a spojrzenia wszystkich kierowały się właśnie w stronę schodów. Alex również popatrzył w tę stronę i zobaczył prawdziwe zjawisko – absolutnie olśniewającą kobietę we wspaniałej, niewiarygodnie obcisłej szmaragdowej sukni, z którą cudownie harmonizowała obramowująca owal jej twarzy efektowna fryzura,

**bardzo kunsztownie łącząca w jedną doskonałą całość bujne kaskady wspaniałych włosów o szczególnym, niezwykłym odcieniu mahoni. A obok tej nieprawdopodobnie pięknej kobiety stał nie kto inny, jak Adrian! Adrian w takim towarzystwie!?**

**Akurat w tym momencie owa fascynująca kobieta odsunęła się od mówiącego coś do niej Adriana, odwróciła się i Alex mógł już dokładnie przyjrzeć się jej rysom, które nagle wydały mu się zadziwiająco znajome. Boże drogi, przecież to Katherine.**

**Ale Katherine, jakiej nigdy jeszcze nie widział. I wciąż trudno mu było uwierzyć, że to naprawdę ona.**

**Nie mógł nie zauważyć, że nie tylko on jest wręcz porażony jej urodą i wdziękiem. Wszyscy obecni wpatrywali się w nią jak zaczarowani. Te włosy, te oczy, ta niesłychana suknia! W całym życiu Alex nie widział niczego równie pięknego. Kreacja leżała na niej niemal jak druga skóra, a jej przemyślny krój był taki, że patrzącym na nią mężczyznom zakręciło się w głowie. Suknia była pozornie prosta, wysoko zapięta pod szyją, bardzo wąska i obcisła, z długimi rękawami. Nie odsłaniała więc nawet centymetra mlecznobiałej skóry, a jednak była piekielnie uwodzicielska! Ale kobieta w tej sukni – też piekielnie uwodzicielska – była przecież jego żoną! I każdy z patrzących teraz na nią mężczyzn musiał mieć takie same myśli jak on! Do stu tysięcy diabłów!!!**

**Szklaneczka po brandy, zaciśnięta w dłoni Alexa, rozprysła się z trzaskiem, ale nawet tego nie zauważył. Przyglądał się, jak brat prowadzi Katherine do swego stolika, przez krótki moment patrzył nawet prosto w jej oczy, mając poczucie, że dostrzega w nich nie tylko uzasadnioną dumę pięknej**

kobiety, ale i wciąż przebijający w spojrzeniu gniew i ból, którego przyczynę znał równie dobrze, jak i ona. To on był temu wszystkiemu winien i nie mógłby mieć pretensji, nawet gdyby Katherine uderzyła go za to w twarz. Nie zrobiła tego jednak, a jej zachowanie, pełne kobiecego wdzięku i godności prawdziwej

291

damy, oddziaływało na niego nieporównanie silniej i skuteczniej niż najdziksza nawet kłótnia, której zresztą trudno się było spodziewać po kobiecie tej klasy. Zupełnie inaczej wyglądałoby to na przykład z Karin. Ta z pewnością zrobiłaby mu awanturę.

Dlaczego zawsze w takich przypadkach myślał o Karin. Dlaczego w ogóle o niej myślał, skoro doskonale wiedział, że w tym momencie nie budzi w nim już nawet pożądania, w odróżnieniu od Katherine, której pożądał bardziej niż kiedykolwiek? Nagle miał poczucie, że już prawie rozumie powody, dla których wielu mężczyzn szamoce się między dwiema kobietami usiłując z jednej uczynić żonę, a z drugiej kochankę. Tyle że on nie wiedział, czy chciałby widzieć Katherine raczej w roli żony, czy też kochanki. Wyglądało na to, że odpowiadałaby mu w obu tych rolach, podczas gdy Karin teraz już nie pasowała mu do żadnej. Jak do tego doszło?

Po prostu zakochałeś się we własnej żonie, odpowiedział sobie. Kochasz ją, ale jesteś takim osłem, że dopiero teraz to sobie uświadomiłeś. I módl się, żeby się nie okazało, że uświadomiłeś to sobie za późno.

Miał ochotę zerwać się na równe nogi i natychmiast pobiec do Katherine, żeby podzielić się z nią tym dopiero co dokonany odkryciem. Aby jednak nie wywoływać kolejnego skandalu, spróbował się pożegnać z coraz bardziej

**namiętną Victoria najgrzeczniej, jak potrafił.**

**– Proszę uprzejmie powiedzieć mężowi, żeby jeśli jest zainteresowany podpisaniem umowy na stałe dostawy drewna, zechciał się skontaktować ze mną lub z moim bratem i współnikiem, Adrianem. Właśnie uświadomiłem sobie, że powinienem już do niego wrócić.**

**Victoria lekko uniosła brwi.**

**– Chyba nie musi pan odchodzić tak od razu. Pański brat wydaje się wystarczająco dorosły, żeby bawić się dobrze i bez pana – powiedziała lekko ironicznie, wydymając wargi.**

**– Och, nie mam wątpliwości, że potrafi się doskonale bawić i beze mnie.**

**Wolałbym jednak, żeby nie próbował tego z moją żoną. Zechce więc mi pani wybaczyć.**

**Ruszył w kierunku Katherine z poczuciem naglej lekkości i niemalże uskrzydlenia, co nie zdarzyło mu się już od lat. Boże drogi, Kocham ją! – powtarzał sobie w duchu. Wyobrażacie to sobie? Kocham Katherine!**

**Idzie tu do nas – powiedział Adrian, który pierwszy zauważył, że brat**

**292**

**żegna się z Victorią.**

**Katherine spojrzała na męża i nagle poczuła, że coś ściska ją w gardle.**

**– Nie dam rady – jęknęła żałośnie. – Nie mam dość siły, żeby to zrobić.**

**Myślałam, że potrafię, ale okazuje się, że ciągle jeszcze nie.**

**Nie zdołała podnieść się na czas, a potem było już po prostu za późno, żeby odejść odpowiednio dumnie i efektownie. Alex przeciskał się między stolikami zaskakująco szybko, jak gdyby miał jej do powiedzenia coś niesłuchanie**

**ważnego i pilnego. Ludzie mimo woli oglądali się za nim, a on uśmiechał się przepraszająco na prawo i lewo, lecz patrzył tylko na Katherine.**

**Po chwili był już przy ich stoliku, przysunął sobie krzesło i usiadł.**

**Katherine, wciąż zawstydzona własną słabością i brakiem konsekwencji w postępowaniu, usiłowała wyglądać dumnie i niedostępnie, choć tak naprawdę nogi jej się trzęsły, a serce bilo jak oszalałe. Całe szczęście, że nie musiała podnosić się z krzesła.**

**Alex odezwał się pierwszy.**

**– Muszę ci powiedzieć, Katherine, że prześlicznie wyglądasz w tej sukni.**

**– Cieszę się, że ci się podoba, choć z drugiej strony, jak mogłoby być inaczej? W końcu to ty za nią zapłaciłaś...**

**Ku swemu zaskoczeniu, nagle poczuła się spokojna i pewna siebie. Ta sytuacja niespodziewanie zaczęła się jej podobać. Teraz mogła się na nim odegrać za wszystkie łzy, które przez niego wylała.**

**– Cieszę się, że zeszłaś na dół – powiedział. – Byłem przekonany, że nie przyjdiesz.**

**– Zauważyłam to – rzekła z nutką ironii, patrząc mu prosto w oczy.**

**Alex odwrócił wzrok.**

**– Zawołam kelnera, żebyś mogła coś zamówić. – Podniósł dłoń, dając znak kelnerowi.**

**– Nie trudź się. Nie zeszłam tu po to, żeby jeść. Chciałam tylko być przez jakiś czas wśród ludzi.**

**– Może jednak skusisz się na coś? Mają tu doskonałą faszerowaną rybę.**

**– Nie jestem głodna. – Ta odpowiedź zabrzmiała już dokładnie tak, jak**

powinna. Proporcje uprzejmego chłodu i wyniosła obojętności były tym razem wręcz idealne.

Alex wiedział już, jak uparta potrafi być Katherine, kiedy coś postanowi, uznał więc, że nie warto nalegać, i zaproponował coś zupełnie innego.

– A może masz ochotę na mały spacer? Moglibyśmy się przejść, na

293

przykład do Portsmouth Square.

– Nie sądzę, żebym miała na to dość siły – oświadczyła Katherine.

Zachowywała spokój, ale jednocześnie czuła, że gdzieś w głębi wzbiera w niej coraz większy gniew. Alex miał czelność afiszować się z inną kobietą, i to na dodatek w tym samym hotelu, w którym oboje mieszkali. Co więcej, był na tyle zadufany w sobie, że na widok własnej żony, jak gdyby nigdy nic, odszedł od stolika tamtej kobiety i przyszedł do niej, najwyraźniej przekonany, że ona przyjmie go tak, jak powinna przyjmować męża kochająca żona. Co za tupet, co za bezczelność!

Kątem oka zobaczyła, że Adrian podnosi się i odsuwa krzesło.

Najwyraźniej chciał wyjść, zostawiając ją sam na sam z mężem. Katherine uznała, że nie może na to pozwolić, choćby dlatego, że nie wierzyła Alexowi, a poza tym nie wierzyła nawet sobie, zwłaszcza w jego obecności.

– Wybaczcie mi – powiedziała, podnosząc się z krzesła.– Zdaje się, że przeceniłam trochę swoje siły. Teraz poczułam, jak bardzo jestem wyczerpana.

Ale proszę, nie wstawajcie. Sama potrafię dojść do pokoju.

– Pozostań jeszcze przez chwilę, bardzo cię proszę – powstrzymał ją mąż.

Jego głos był niezwykle ciepły i miękki. –Chcę z tobą porozmawiać, coś ci



**powiedzieć. To nie potrwa długo, obiecuję, że nie więcej niż parę minut.**

**Mówił to bardzo przekonująco, ale Katherine zauważyła, że**

**porozumiewawczo spojrział na brata i lekko skinął głową. Adrian natychmiast się podniósł.**

**– Przykro mi, że was teraz zostawię, ale muszę jeszcze podejść do stolika pani Victorii Talbot, żeby do końca sprecyzować naszą propozycję warunków kontraktu, którą ma jutro omówić ze swoim mężem. Przepraszam, Katherine, że muszę odejść akurat w tej chwili, ale perspektywa wejścia na rynki europejskie jest dla nas zbyt ważna, żebyśmy mogli zlekceważyć taką możliwość.**

**No oczywiście, przytaknęła mu w duchu szwagierka. Nie wypuścicie z rąk takiej okazji, nawet gdyby dla ubicia interesu mój mąż musiał się przespać z żoną pana Talbota.**

**Adrian skłonił się uprzejmie i zanim odszedł, przyjaźnie uśmiechnął się do Katherine. Ale ona wiedziała, co ma o tym myśleć. Czula się opuszczona i podstępnie wciągnięta w pułapkę.**

**– Nie gniewaj się na Adriana – powiedział Alex, który zauważył, jakim spojrzeniem żona obrzuciła jego oddalającego się brata. – On naprawdę chce**

294

**jak najlepiej...**

**– Nie gniewam się na Adriana – odparła bardzo spokojnie Katherine. – A co dziwniejsze, nie gniewam się nawet na ciebie. Po prostu już mnie to nie obchodzi, przestało mi na tym zależeć.**

**Mówiła to takim tonem, że poczuł skurcz w okolicach serca. Wiedział, co**

przeszła Katherine i zdawał sobie sprawę, że była to jego wina. Ale przecież to wszystko teraz było już poza nimi, już ostatecznie minęło. Miał żonie do powiedzenia coś nieporównanie ważniejszego, coś, na co tak długo czekała.

– Nie przestało ci zależeć. Ty nie jesteś tego rodzaju kobietą. Są takie, których w pewnym momencie rzeczywiście nic już nie obchodzi, ale ty na pewno do nich nie należysz. Niezależnie od tego, co się stało.

– A ty tak świetnie znasz się na kobietach, prawda? – Jej cyniczny śmiech wydawał się cokolwiek wymuszony. – Wiesz o kobietach wszystko. Tylko ja jakoś nie bardzo w to wierzę.

– Posłuchaj, kochanie, naprawdę wiem, co możesz teraz o mnie myśleć. Rozumiem cię lepiej, niż przypuszczasz.

– Nie możesz mnie rozumieć, bo gdybyś rozumiał mnie choć trochę, nie musiałabym przejść tego wszystkiego, co przeszłam.

– Teraz już zdaję sobie z tego sprawę. I bardzo nad tym ubolewam. Żałuję, że nie zachowywałem się inaczej. Ale przecież jeszcze nie jest za późno, żeby...

– Jest za późno! – oświadczyła stanowczo, chociaż głos jej lekko drżał. Tyle razy przyrzekała sobie, że tym razem nie rozklei się w jego obecności. Ze wszystkich sił starała się więc panować nad sobą, by się nie pokazać, jak głęboko została zraniona.

– Nie jest za późno – powtórzył Alex. – Tyle nas łączy, mamy tyle wspólnych...

– Nic nie mamy! – przerwała mu Katherine. – I tak naprawdę nic nigdy nie mieliśmy, wyjąwszy dawną przyjaźń, której też już nie ma.

– A miłość?

– Miłość?! – powtórzyła wzgardliwie. – Ty nigdy mnie nie kochałeś.

– Ale teraz cię kocham – powiedział cicho Alex.

– Kłamca! – wykrzyknęła ze szczerym oburzeniem, tak głośno, że wszyscy siedzący w tej wielkiej sali musieli ją usłyszeć. Ale Katherine nie dbała o to.

Alex przyjął wybuch żony ze spokojem. Popatrzył jej w oczy.

– Możesz w to wierzyć lub nie, ale to jest prawda.

– Prawda! – rzuciła drwiąco. – Prawdą u ciebie jest to, co mówisz, kiedy ci

295

tak jest wygodnie, i z czego się wycofujesz, gdy tylko przestanie ci to odpowiadać. – Podniosła się, zamierzając wyjść.

– Katherine, nie odchodź, proszę cię! Nie...

Odwróciła się do niego plecami, a on chwycił ją za ramię.

– Puść mnie w tej chwili! – syknęła gniewnie. Ponieważ jej nie posłuchał, chwyciła stojącą przed nim szklaneczkę brandy i chlusnęła mu jej zawartością prosto w twarz. Puścił ramię żony i poderwał się na równe nogi. W tym momencie wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę, cała sala zamarła, a szmer rozmów nagle ucichł. Miało się wrażenie, że wszyscy obecni w jednej chwili wstrzymali oddech. Zanim Alex zdążył wyjąć z kieszeni chusteczkę i przetrzeć nią mocno piekące oczy, Katherine zdołała się już oddalić.

Starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest wściekły, szybko ruszył za nią. Katherine zdążyła jednak dotrzeć do swego pokoju chwilę wcześniej i zatrzasnęła mu drzwi tuż przed nosem.

Zaczął walić w nie pięściami.

– Katherine, otwórz te drzwi, do cholery!

- Prędeż ci kaktus na dłoni wyrośnie!
- Słyszałaś, co powiedziałem? Otwórz te drzwi albo je wyważę!
- Proszę bardzo, nie krępuj się. W tym hotelu jest czterysta pokoi, zamówię sobie inny. Nie dasz rady wylamać aż tylu drzwi.
- Ale mogę spróbować. I niech mnie diabli wezmą, jeśli tego nie zrobię!
- Dobranoc!
- Niech to szlag! Katherine, ostrzegam cię!
- Jestem ci bardzo wdzięczna za ostrzeżenie.
- Dlaczego właściwie nie chcesz otworzyć?

Drzwi niespodziewanie się otworzyły. Wyleciał przez nie zgnieciony w kulkę kawałek listowego papieru, rzucony na tyle celnie, że trafił go prosto w twarz i dopiero potem spadł na podłogę. Drzwi zatrzasnęły się ponownie, Alex westchnął i nerwowym ruchem przejechał palcami po wciąż mokrych włosach. Pochylił się i podniósł zmięty kawałek papieru.

To był ten list, który po przyjeździe do leśnego obozu zaczął pisać do Karin. Zaczął i nigdy nie skończył.

Machinalnie włożył go do kieszeni, odwrócił się i wolno odszedł, zastanawiając się po drodze, jak wiele jeszcze miał do odrobienia – i do odbudowania tego, co tak łatwo utracił. Wszystko poszło źle, poczynając od tego, że choć zrealizował swój najważniejszy zamiar i powiedział żonie, że ją

296

kocha, ona po prostu mu nie uwierzyła.

Powinien więc powiedzieć jej to znów, jak najszybciej, i to tak, żeby tym razem musiała uwierzyć.

Jutro, postanowił w duchu. Jutro lub pojutrze, gdy tylko trochę ochłonie i przestanie się gniewać. Jeszcze raz spojrział na jej drzwi. Nie, nie będzie się do niej wdzierał siłą, da jej parę dni, żeby mogła się uspokoić. A potem powie jej wszystko i ona w końcu zrozumie, że to prawda. Przecież nie może się na niego wściekać wiecznie. Któregoś dnia jej to przejdzie; miał dość czasu. Ale tu akurat się mylił. Nie miał aż tak wiele czasu.

Tak naprawdę już w ogóle go nie miał.

Następnego dnia przed południem Katherine wyszła z hotelu, zapowiadając, że zamierza tego dnia wydać wszystkie otrzymane od męża pieniądze – w niebagatelnej sumie trzystu dolarów w złocie! – i że w związku z tym wybiera się na dłuższy spacer głównymi handlowymi ulicami San Francisco. Na początku drogi towarzyszył jej Adrian, który również miał do załatwienia parę spraw w tej handlowej dzielnicy.

– Tu cię pozostawię – oznajmił, zatrzymując się przed wejściem do przedstawicielstwa znanej firmy oferującej sprzęt do obróbki drewna. –

Wydam tu dzisiaj sporo pieniędzy, pewnie nawet więcej niż ty, ale nie będą to rzeczy tak ładne jak te, które ty kupisz w tych renomowanych domach mody.

Aż żałuję, że nie mogę tam z tobą pójść.

– Więc sądzisz, że będę tam kupowała piękne suknie, biżuterię i futra? –

Uśmiechnęła się.

– Moim zdaniem powinnaś.

– Chyba się mylisz, i to bardziej, niż mógłbyś przypuszczać. Do widzenia, Adrianie.

Skinęła mu głową, uśmiechnęła się i ruszyła przed siebie główną ulicą,

**prowadzącą do portu.**

**Kapitan Steptoe wiedział co prawda, że miejscowe gazety musiały odnotować zawinięcie statku „Merman” do portu w San Francisco, ale i tak był niepomernie zdziwiony, że Katherine zdołała go odnaleźć na tak ogromnym i zatłoczonym Obrzeżu. Przywitał ją z właściwą ludzom morza życzliwością i empatią.**

**– Niech mnie kule biją, jeżeli to nie jest moja najpiękniejsza pasażerka,**

**297**

**pani Mackinnon! Jak się pani żyje po zmianie stanu cywilnego?**

**– Lepiej nie mówić. – Katherine westchnęła. Kapitan Steptoe znany był z tego, że niewiele rzeczy na tym świecie potrafiło go zdziwić, ale tym razem przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.**

**– No nie! – powiedział szczerze zasmucony. Potem znów się uśmiechnął, ujął Katherine pod ramię i poprowadził ją w stronę nadbudówki. – Sytuacja chyba nie może być aż tak zła. Jeśli pozwoli się pani zaprosić na filiżankę herbaty do mojej kajuty, możemy o tym wszystkim porozmawiać.**

**– Możemy. Ale jedyną sprawą, o której chciałabym teraz porozmawiać, jest wykupienie na pańskim statku miejsca dla jednej osoby.**

**Kapitan spojrzał na nią uważniej.**

**– Dokąd chciałaby pani popłynąć?**

**– A do jakiego portu udaje się teraz „Merman”?**

**– Do Nowego Orleanu.**

**– Może być – powiedziała Katherine.**

Ostatni, najkrótszy już odcinek tej niewyobrażalnie długiej drogi z

Kalifornii do rodzinnego Limestone w Teksasie Katherine przebyła najszybciej i najłatwiej, a to dzięki szczęśliwej okazji i bezinteresownej ludzkiej życzliwości. Tak się bowiem złożyło, że stary Carter Mayberry, który akurat przyjechał do Waco dla załatwienia jakichś własnych spraw, przypadkiem dostrzegł ją, gdy wysiadała na końcowej stacji dylizansów, i sam zaproponował, że wracając do Limestone, chętnie podwiezie ją aż do samego domu.

Można by powiedzieć, że ten zbieg okoliczności był dla niej podwójnie szczęśliwy, ponieważ Carter nie tylko oszczędził jej kłopotów i kosztów związanych z wynajmowaniem wozu i woźnicy, ale i w ostatniej chwili uchronił ją przed towarzystwem pani Dudley i pani Tidwell – dwóch największych plotkarek w całym okręgu – które również zamierzały wracać do Limestone i wydawały się niesłychanie zainteresowane sytuacją Katherine, powracającej z Kalifornii z dwiema niewielkimi walizkami... i bez męża.

Dostrzegły ją już na stacji dylizansów i właśnie szykowały się, żeby zaatakować bezbronną ofiarę swoją najgroźniejszą bronią – ostentacyjnie

298

bezinteresownym współczuciem, podszytym źle maskowaną satysfakcją i nieukrywaną ciekawością wszelkich smakowitych szczegółów. Katherine właściwie już była w ich łapach, kiedy stary Carter wyrwał im ją – niemalże dosłownie! – z rozwartych zębów jadowych.

Tak czy inaczej złośliwy syk ich głosów słychać było jeszcze wtedy, gdy płócienna buda wozu Cartera dawno już znikła za tumanem kurzu, wzbijanym

kołami i końskimi kopytami.

– Jestem panu niewymownie wdzięczna – powiedziała z uśmiechem

Katherine, kiedy oddalili się od obu pań już na tyle, że czuła się w pełni

bezpieczna. – Nie wiem, co zrobiłabym, gdyby pan się nie pojawił w ostatniej

chwili.

– Ależ, panno Katherine. – Carter pokazał w uśmiechu trzy ostatnie,

pożółkle od tytoniu zęby. – To nie było nic takiego, skoro już tu byłem, nie? –

Zamyślił się i po chwili dodał: – Tak czy inaczej bardzo się cieszę, bo... – Urwał

już ostatecznie, nie kończąc zdania.

Rozmowność nigdy nie była cechą, której ktokolwiek spodziewałby się po

Carterze Mayberrym. Katherine знаła go już na tyle, by wiedzieć, że dobrze

będzie, jeżeli przez całą drogę odezwie się do niej jeszcze raz albo może dwa

razy. Jej to zresztą zupełnie nie przeszkadzało, w gruncie rzeczy była nawet

zadowolona, że będzie mogła bez reszty oddać się rozmyślaniom. A miała o

czym rozmyślać zważywszy na to, że oto wracała w rodzinne strony, do

najbliższych sercu miejsc, w których znała niemal każde drzewo i każdy dom, i

że za sobą zostawiła człowieka, którego przecież nigdy nie przestała kochać.

Wiedziała, że lada moment znów będzie u siebie, będzie mogła oglądać

zielone pola Limestone, liczyć pasące się na nich nowo narodzone cielęta,

przypatrywać się nowym tamom przy bobrowych żeremiach nad rzeczką.

Szczerze tęskniła za chwilą kiedy znów poklepie po karku wiernego Clovisa,

popatrzy w kurniku na wykluwające się pisklęta, posłucha kwiku prosiąt,

przepychających się do sutków matki. Nawet o pielaniu grządek, męczącym

wyrywaniu chwastów w ogrodzie i równie uciążliwym zbieraniu owoców z



wysokich drzew w przydomowym sadzi myślała z prawdziwą przyjemnością, ciesząc się, że do tego wraca. Miała nadzieję, że odtąd znów będzie się budzić każdego ranka z uśmiechem.

Czas mijał szybko, jazda wcale jej się nie dłużyła, zwłaszcza że byli już naprawdę blisko domu, blisko tych wszystkich miejsc, które znała na pamięć.

299

Wszystko wydawało się jej równie piękne, jak wtedy, kiedy stąd wyjeżdżała, albo może nawet jeszcze piękniejsze. Każdy liść wydawał się bardziej zielony, każdy powiew wiatru przynosił urzekające zapachy.

Wystarczyło zamknąć oczy, żeby poczuć, że jest się znów u siebie, że jest się w domu.

Gdy Katherine ponownie otworzyła oczy, zobaczyła w oddali wylaniający się zza wzgórza dach i komin rodzinnego domu, a także rosnące wokół drzewa, które wydały jej się trochę wyższe niż przed rokiem. Carter uparł się, że podwiezie ją pod samą bramę, więc mogła z wysokiego kozła jego wozu przyglądać się staremu domowi i z wolna, w miarę zbliżania się, wychwytywać te niewielkie zmiany, jakie zaszły w obejściu podczas jej kilkunastomiesięcznej nieobecności.

Główny budynek wciąż wyglądał niemal tak samo – poczerniały i mocno odrapany, wymagał napraw i odmalowania – ale może właśnie dlatego Katherine miała poczucie, że ten dom jest jej szczególnie drogi i że nie chciałaby go zamienić na żaden inny. Tak jak dawniej, rozciągały się wokół niego zielono-żółte pola łubinu, przez które biegła polna droga, skręcająca ku furtce przy mocno już rozrośniętej kępie pekanowych drzew, przesłaniających

nieco widok. Płot nadal wymagał naprawy, w ogrodzie chwasty rozrosły się bujniej niż kiedykolwiek, w głębi podwórza tarzała się w błocie stara maciora, otoczona stadkiem pokwikujących różowych prosiaków. A przy szopie stał Clovis, zupełnie taki jak dawniej – oganiał się ogonem od much i jak gdyby nigdy nic skubał ostatnie zielone liście z na wpół uschniętego żywopłotu. Nie wiadomo dlaczego, widok tego narowistego zwierzaka wydał się Katherine szczególnie wzruszający.

Podziękowała Carterowi Mayberry'emu najserdeczniej, jak mogła, i jeszcze raz zaproponowała mu zapłatę, od której stary człowiek wymówił się z wielką galanterią, oświadczając, że dla niego wystarczającą zapłatą jest sam fakt powrotu Katherine, za którą wszyscy się już stęsknili.

– Bardzo się cieszymy, że znów pani tu jest, panno Katherine – powiedział, a ona wiedziała, że to szczerą prawdą.

– I ja też się cieszę ogromnie. A panu jeszcze raz dziękuję. Weszła na podwórze, zauważając po drodze najróżniejsze ślady gospodarskiej aktywności Fanny Bright – wóz był pod wiatą, przez otwarte drzwi stodoły można było dostrzec ustawione w głębi liczne worki z ziarnem i śrutą dla zwierząt. W szopie ułożony był spory zapas drewna na opał i smolnych drzazg

300

na podpałkę. Katherine przyglądała się temu wszystkiemu z rosnącym zadowoleniem, wyglądało bowiem na to, że Fanny całkiem nieźle daje sobie radę sama – albo też z jakąś wynajętą w końcu męską pomocą.

W tym momencie wychodzące na podwórze tylne drzwi domu otworzyły się i pojawiła się w nich znajoma korpulentna postać. Zobaczywszy przybyłą,

Fanny z wrażenia złapała się za głowę, a następnie całym pędem ruszyła w stronę Katherine, uśmiechając się ze szczerą radością.

– Och, moje kochane dziecko, jak dobrze, że znów tu jesteś. Ale dlaczego nie dałaś znać, że przyjeżdżasz? I gdzie jest Alex?

– Zostawiłam go – powiedziała Katherine. Fanny na chwilę oniemiała.

– Tak na dobre? – spytała w końcu. Dziewczyna skinęła głową, ale jej starsza przyjaciółka nadal nie chciała w to uwierzyć.

– Nie żartujesz?

– Nie. Z nami już koniec.

– Zaraz, zaraz! – wykrzyknęła Fanny. – Jak może być koniec z czymś, co nawet nie miało dość czasu, żeby tak naprawdę się zacząć? – Popatrzyła podejrzliwie i pokręciła głową. – Coś mi się tu nie podoba, myślę, że nie powiedziałaś jeszcze wszystkiego.

Widząc, że w kącikach oczu Katherine zakręciły się łezki, objęła ją i powiedziała tonem pocieszenia: – No, no, już dobrze. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, zwłaszcza jeśli się wciąż nie wie, ile się go tak naprawdę wylało. Chodźmy do środka, usiądziemy sobie przy filiżance herbaty, a ty opowiesz swojej starej Fanny wszystko od samego początku. W życiu zdarzają się rzeczy dobre i złe, ale nie zawsze wiemy do końca, co tak naprawdę się wydarzyło.

Katherine weszła z nią do kuchni i usiadła przy stole, podczas gdy Fanny nalewała herbatę i kroїła dopiero co upieczony placek z wiśniami. Potem usiadła po drugiej stronie stołu i milcząc, przyglądała się jej uważnie. W końcu zaczęła mówić.

– Masz rację, Fanny, że nie zawsze wiemy do końca, co tak naprawdę się zdarzyło. Obawiam się jednak, że tym razem ja to wiem aż za dobrze...

I opowiedziała jej wszystko od początku aż do końca.

W ciągu kilku następnych tygodni Katherine musiała powtarzać swą opowieść jeszcze po wielokroć, chwilami mając wrażenie, że z zupełnie dla niej niezrozumiałych powodów stała się ośrodkiem najwyższego zainteresowania

301

co najmniej połowy dorosłej żeńskiej populacji okręgu Limestone. Za

kolejnymi ciekawskimi paniami drzwi się po prostu nie zamykały i Katherine chwilami miała ochotę wznieść oczy ku górze i błagać niebiosa o interwencję.

Czy te panie nie mogłyby się dowiadywać o wszystkim jedna od drugiej w drodze normalnej plotki – bez nieustannego nagabywania jej osoby, może najbardziej zainteresowanej, ale i najbardziej tym wszystkim zmęczonej?

Opowiadanie wciąż na nowo tego samego coraz bardziej ją bolało, nie mówiąc już o tym, że nie pozwalało o niczym zapomnieć.

W końcu jednak czas zrobił swoje i niespodziewany powrót młodszej z siostr Simon przestał być tą najważniejszą sprawą, na której koncentrowały się towarzyskie rozmowy w całej okolicy. Katherine odetchnęła i mogła już spokojniej realizować swój główny zamiar – zająć się sprawami domu i farmy na tyle intensywnie, żeby wreszcie przestać myśleć o tym, co pozostawiła za sobą w dalekiej Kalifornii.

A na farmie wciąż było wiele do zrobienia, choć – jak się okazało – stara

Fanny dawała sobie radę nawet lepiej, niż można było przypuszczać.

Wprawdzie ciągle jeszcze nie zdołała znaleźć najemnego pracownika, który

podjąłby się pracy na stałe, ale dorywczo dopomagał jej zamieszkały w pobliżu stary Festus Maxwell. Ten, z racji mocno podeszłego już wieku, pracował może wolniej niż inni, lecz za to kontentował się wynagrodzeniem w naturze, podobnie jak i jego stary muł – obaj pracowali od rana do wieczora za trzy posiłki dziennie.

– Taka pomoc nam nie wystarczy – stwierdziła Katherine zaraz pierwszego dnia po powrocie. – Muszę dać ogłoszenie do paru gazet, a jeżeli to nie poskutkuje, pojedę sama do Dallas albo do Fort Worth, żeby tam poszukać kogoś odpowiedniego. A czy Karin nie próbowała szukać kogoś w Waco, bo to w końcu znacznie bliżej?

– Karin była zbyt zajęta Willem Burnettem i nie miała czasu na zawracanie sobie głowy farmą, czemu ja się zresztą nie dziwię – odpowiedziała Fanny. – Powiedziała mi, żebym robiła to, co sama uznam za stosowne, ale wyjeżdżając, zostawiła mi sporo pieniędzy. Razem z tym, co ty przysłałaś z Kalifornu, i z tym, co mi zostało z sumy wypłaconej przez bank, złożyło się to na całkiem okrągłą sumę. Można by więc powiedzieć, że teraz całkiem nieźle prosperujemy... gdyby znalazł się ktoś taki, przed kim chciałybyśmy się pochwalić.

302

Wczesną wiosną roboty na farmie było coraz więcej i coraz trudniej było dać sobie z tym wszystkim radę, nawet pracując od rana do nocy. Katherine była do tego przyzwyczajona; od dzieciństwa uczyła się polegać tylko na sobie, wiedziała, że w gospodarstwie to, co ma być zrobione, musi być zrobione, a człowiek, choćby miał paść, musi dać z siebie wszystko. Ciężka praca miała

jeszcze i tę zaletę, że nie zostawiała czasu na jałowe rozmyślenia, toteż

Katherine harowała zaciekle od świtu do zmierzchu także i po to, żeby nie myśleć o Aleksie. Brała się nawet za najcięższe roboty, które w zasadzie powinni wykonywać mężczyźni – orała, bronowała, siała, aż w końcu Fanny musiała ją mitygować.

– Zawsze przecież możemy wynająć kogoś od sąsiadów do tych najcięższych prac. Nie ma sensu tak się zabijać, moje dziecko.

Z pewnością miała rację, ale przynajmniej początkowo Katherine była tak rozgoryczona i rozżalona, tak skłonna do litowania się nad sobą, że tę pracę ponad siły traktowała jako rodzaj kary –jak coś w rodzaju średniowiecznej włosiennicy, którą nosiło się z własnej woli. Dopiero w miarę upływu czasu ból nie był już tak dotkliwy, a rozżalenie z wolna ustępowało miejsca poczuciu rezygnacji i pogodzenia się z nieuchronnością przegranej.

W końcu udało się znaleźć odpowiedniego człowieka do pomocy na farmie. Katherine przestała się zaharowywać i jej życie stało się znacznie bardziej normalne.

Tymczasem do Karin wieść o powrocie siostry dotarła – z różnych powodów – ze znacznym, przeszło miesięcznym, opóźnieniem. Spóźnione informacje były przy tym na tyle sprzeczne, że natychmiast postanowiła sprawdzić je osobiście i przyjechała z Waco najszybciej, jak mogła. Tylko na miejscu mogła się dowiedzieć, czy rzeczywiście odbyło się to tak, jak głosiła plotka – i co tak naprawdę skłoniło siostrę do powrotu z Kalifornii.

Przyjazd Karin sprawił, że jaki taki spokój osiągnięty przez Katherine mógł zostać znowu naruszony. Tak to w każdym razie oglądało, kiedy Karin

wysiadła z bryczki i energicznym krokiem ruszyła ku stojącej w drzwiach

**Katherine, wołając już z daleka i bardzo głośno:**

**– A więc moja siostra okazała się niemądra i szalona, i to bardziej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić!**

**Nie było to najszcześniejsze rozpoczęcie rozmowy, Katherine jednak znalazła na to sposób – po prostu uśmiechnęła się tak, jak gdyby usłyszała**

**303**

**najmilszy komplement.**

**– Dziękuję ci za dobre słowo, siostrzyczko – powiedziała nie mrugnawszy nawet okiem. – Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę.**

**Dyskretna ironia okazała się nad wyraz skuteczna. Karin podbiegła i chwyciła siostrę w ramiona.**

**– Och, Katherine – odezwała się przepaszająco. – Wcale nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Przecież wiesz, że zawsze jestem po twojej stronie, w końcu jesteś moją siostrą, no nie?**

**– Z tego, co wiem, ostatnio jeszcze byłam... Karin roześmiała się.**

**– Widzę, że nie straciłaś poczucia humoru, więc sprawy nie mogą wyglądać tak zupełnie źle. Ale teraz mówmy już serio. Wiesz chyba, że życzę ci jak najlepiej i twoje dobro zawsze leży mi na sercu. Jednak, mówiąc zupełnie szczerze, po prostu nie rozumiem tego, co zrobiłaś. Nie mogę pojąć, dlaczego wróciłaś... – zamilkła na chwilę, patrząc uważnie na siostrę – ...to znaczy, dlaczego wróciłaś bez niego?**

**– Wejdzmy do środka – zaproponowała Katherine. – Będzie nam wygodniej rozmawiać.**

W salonie Karin już znów była w pełni sobą. Od razu stanęła przed lustrem – zupełnie tak samo jak dawniej – i zaczęła się sobie przyglądać, machinalnie zwilżając wargi, musnięciami palców wygładzając linię brwi i poprawiając ułożenie fałd kosztownej modnej sukienki. Przez chwilę wydawało się, że przyglądając się swemu odbiciu, zapomniała o bożym świecie, jak to się jej nieraz zdarzało.

W końcu jednak przypomniała sobie, że przyjechała nie po to, żeby przyglądać się sobie, ale żeby dowiedzieć się, co naprawdę kryło się za zupełnie dla niej niezrozumiałym postępowaniem siostry. To, że nagle zostawiła mężczyznę, którego kochała, i wróciła do Teksasu tylko po to, żeby znów ciężko pracować na podupadającej farmie, wydawało się czymś niedorzecznym i po prostu niewytłumaczalnym. Chyba że...

Wciąż patrząc w lustro, zobaczyła w nim odbicie Katherine, która podeszła i stanęła tuż za jej plecami. Ich odbite przez zwierciadło spojrzenia się spotkały.

– Powiedz mi, sostro... – Karin nie musiała patrzeć jej prosto w oczy, wystarczyło to odbicie w tafli szkła. – Chyba nie wróciłaś tu dlatego że... że będziesz miała dziecko? Bo ludzie mówią...

– Nie wiem, co ludzie mówią, i prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi

304

– oświadczyła Katherine. – A ty też chyba nie powinnaś zwracać na to uwagi. Zęby cię do końca uspokoić, powiem od razu, że nie jestem w ciąży. Ale nawet gdybym była, to przecież powrót do domu nawet w takim przypadku nie byłby hańbą. Nie zapominaj, moja droga, że wzięłam z Alexem ślub.



– Oczywiście, oczywiście – bąknęła nieco zawstydzona Karin. – Ale wiesz, jacy są ludzie. Nikt niczego nie wie na pewno, ale wszyscy gadają, co im ślina na język przyniesie. No bo gdyby nie zmyślali, to pewnie nie mieliby o czym gadać. Kiedy się dowiedzą, że nie jesteś w ciąży, postarają się wymyślić coś nowego. – Spojrzała na siostrę i zachichotała, nagle rozbawiona. – Czy to nie dziwne, jak się to wszystko ostatecznie układa? Komu by przyszło do głowy, że to ty poślubisz Alexa, a ja przyjadę tu po to, żeby cię wspierać mądrą radą w trudnych chwilach. Pomyśleć tylko, ja miałabym wspierać ciebie! Przecież zawsze uważałam, że jesteś nie tylko bardziej inteligentna, ale i życiowo mądrzejsza ode mnie. A tu się okazuje...

– A tu się okazuje, że to prawda – ucięła nagle Fanny, która przed chwilą pojawiła się w salonie z miotłką z kogucich piór w dłoni. Odkurzenie mebli nie było może akurat w tym momencie najpilniejszą sprawą, ale był to pretekst, pozwalający przynajmniej w części usłyszeć tę pasjonującą rozmowę siostr. Tak więc w pewnym momencie Fanny oczywiście nie wytrzymała i po prostu nie mogła się nie wtrącić, stając, rzecz jasna, po stronie Katherine. Za jej siostrą stara Fanny tak naprawdę nigdy nie przepadała. Okazała to i teraz, wzbijając miotłką taką chmurę kurzu, że Karin zakrztusiła się i pośpiesznie wybiegła na ganek, żeby jakoś opanować gwałtowny atak kaszlu. Fanny tylko uśmiechnęła się pod nosem.

Późnym wieczorem – zupełnie tak jak dawniej – Karin przyszła do pokoju siostry, żeby porozmawiać szczerze i od serca. Katherine odłożyła tamborek z niedokończoną robótką, nad którą usiadła tylko po to, żeby czymś się zająć w oczekiwaniu na spodziewaną wizytę siostry. Ucieszyła się, widząc ją w

drzwiach, już wcześniej bowiem postanowiła opowiedzieć jej wszystko, niczego nie ukrywając – od owej nieszczęsnej pomyłki w liście Alexa począwszy.

– To wcale nie było tak, jak można było sądzić – zaczęła odważnie. –

Przede wszystkim powinnaś wiedzieć, że ten list...

Gdy skończyła, Karin patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz powiedzieć, że Alex...

305

– Pisząc ten list, myślał o tobie, nie o mnie. Moje imię znalazło się tam przez pomyłkę. On chciał się ożenić z tobą, a nie ze mną.

Przez moment wydawało się, że Karin słucha tego z przyjemnością, ale niemal natychmiast zmarszczyła czoło i zaczęła kręcić głową.

– No nie, moja droga! – powiedziała, zrywając się z krzesła. – To wcale nie musiało być tak, jak myślisz. Sądzę, że Alex sam wtedy dobrze nie wiedział, czego chce. Jeżeli nawet myślał o małżeństwie ze mną, to raczej z przyzwyczajenia. Między nami wszystko już było skończone znacznie wcześniej. A poza tym ja nigdy aż tak poważnie nie brałam go pod uwagę... no może poza tym pierwszym okresem, kiedy byłam młoda i głupia i sama nie bardzo wiedziałam, o co mi naprawdę chodzi. Wmawiałam sobie, że się w nim kocham, bo był po prostu najciekawszy z tych młodych ludzi, którzy wówczas pojawiali się na horyzoncie. Ale od tego czasu zdążyłam wydorosnąć. Alex bardzo mi w tym pomógł, to dzięki niemu pojęłam wiele rzeczy. A Alex, no cóż... to było tylko zwykłe zadurzenie bardzo jeszcze młodej dziewczyny. Nic ponadto, naprawdę.

Katherine nie od razu do końca uwierzyła w jej słowa, miała bowiem wrażenie, że Karin mimo wszystko mocno przejęła się tym, co usłyszała o pomyłce Alexa. Siostra jednak rozwiała jej wątpliwości. Zauważyła minę Katherine i kładąc rękę na piersi, wyznała szczerze, co w tym momencie rzeczywiście leży jej na sercu.

– Och nie, to zupełnie nie tak. Jeśli mam niewyraźną minę, kiedy mówimy o Aleksie, to na pewno nie dlatego, że wciąż coś do niego czuję. Jest wręcz przeciwnie, nie tylko jest mi już całkowicie obojętny, ale nawet i w tej chwili tylko z najwyższym trudem zmuszam się, żeby w ogóle o nim myśleć. Jego już nie ma w moim życiu, całkiem po prostu. A nie ma go przede wszystkim dlatego... – twarz Karin niespodziewanie rozjaśnił niezwykle ciepły uśmiech – ...przede wszystkim dlatego, że kocham Willa. Kocham go naprawdę całym sercem. To wspaniały człowiek, który rozumie mnie w sposób doprawdy zdumiewający. Najpewniej dlatego, że jest ode mnie starszy. Jest taki dobry... i wyrozumiały. Zupełnie się nie przejmuję tym, że wydaję tyle pieniędzy, przeciwnie, sam stale powtarza, że urodziłam się po to, żeby otaczały mnie piękne rzeczy.

Siostry rozmawiały ze sobą do późna w nocy, chyba dłużej niż kiedykolwiek dotąd. Dla Katherine było oczywiste, że nowy ukochany Karin musi być niezwykle majątny. Gdy w pewnym momencie zapytała siostrę, czym

306

konkretnie Will Burnett się zajmuje, ta potrafiła odpowiedzieć tylko dość ogólnikowo.

– Wiem, że jest bardzo zajęty. Jest właścicielem wielu różnych

**przedsiębiorstw, a poza tym inwestuje w ziemię. W głównych amerykańskich portach ma ileś tam statków, a w Nowym Jorku należy do niego jeden z największych budynków w całym Mieście. Wyobrażasz to sobie? Zawsze był niezwykle inteligentny i bardzo pomysłowy jako biznesmen, dlatego jest powszechnie szanowany. W Waco znają go wszyscy, należy do ścisłej elity tego miasta. Jest zaprzyjaźniony nawet z samym gubernatorem.**

**– A byłaś kiedyś w tych jego przedsiębiorstwach? Spotkałaś się z ludźmi, którzy dla niego pracują?**

**– Och, nie! – wykrzyknęła Karin. – Niechże mnie pan Bóg broni! Takie rzeczy mnie w ogóle nie obchodzą.**

**– A rozmawiasz z nim czasem o jego interesach?**

**– Niby po co?**

**– Nie chciałabyś wiedzieć, na czym dokładnie polega jego praca, jego przedsiębiorcza aktywność, dzięki której odnosi takie sukcesy?**

**– W zupełności wystarcza mi to, że chce się ze mną dzielić tym, co ma. Co mnie mogą obchodzić takie nudne sprawy, jak inwestowanie, transakcje bankowe, jakieś tam stopy zysku i tak dalej? Will kupuje mi wszystko, co zechcę, nawet najdroższe, najbardziej luksusowe rzeczy, i stale powtarza, że moim jedynym obowiązkiem jest pięknie wyglądać. I mówiąc zupełnie szczerze, Katherine, jest mi z tym bardzo dobrze. Więc dlaczego miałabym szukać czegoś jeszcze?**

**W tej argumentacji była jakaś racja, choć Katherine – wiedziała, że ona w żaden sposób nie potrafiłaby się zadowolić takim życiem, nawet przez chwilę.**

**– Powiedz mi, Karin – odezwała się niewinnie. – Czy ty naprawdę nigdy**

**nie czujesz potrzeby posługiwania się rozumem?**

**– Ależ posługuję się rozumem! – wykrzyknęła lekko oburzona Karin. – Nie jestem przecież kapuścianym głąbem. Tyle tylko, że wykorzystuję rozum przede wszystkim w celach towarzyskich.**

**Katherine skinęła głową, zdając sobie sprawę, że to zamknęło temat.**

**Następnego ranka pojawił się Will Burnett, który przyjechał tylko po to, żeby osobiście zabrać Karin z powrotem do Waco. Katherine już go kiedyś spotkała, ale wówczas nie zwróciła na niego większej uwagi. Teraz jednak**

**307**

**sytuacja była zupełnie inna.**

**Przed dom zajechał wspaniały powóz z woźnicą w liberii. zaprzężony w starannie dobraną czwórkę przepięknych koni, a gdy Katherine zobaczyła wysiadającego z jego luksusowego wnętrza bardzo dystyngowanego starszego pana, jej pierwsza odruchowa reakcja była tym razem bardzo pozytywna. Will Burnett wydał się jej najbardziej odpowiednim, a może nawet wręcz idealnym życiowym partnerem dla takiej kobiety jak Karin.**

**Wolno szedł w stronę domu, obie siostry oczekiwały go, stojąc na ganku, a rozpromieniona twarz Karin świadczyła o tym, że Katherine nie pomyliła się w swojej ocenie. Tak więc jej starsza siostra w końcu dopięła swego – dokładnie tak, jak to wcześniej zapowiadała. Miała wreszcie wymarzonego, bardzo bogatego mężczyznę. To, czy się pobiorą, było już zupełnie inną sprawą i miało się wyjaśnić w niedalekiej przyszłości.**

**Fanny stanęła z tyłu za siostrami i przypatrywała się Willowi bardzo uważnie.**

– Popatrzcie tylko na ten powóz i konie – powiedziała. – On musi być bardzo bogaty, ale czy nie jest dla ciebie za stary? Karin nawet się nie obruszyła.

– Ależ, Fanny, co to właściwie znaczy „o wiele za stary”? Ja go kocham, a on traktuje mnie tak, jakbym była królową. Wolę to od jakiejś tam żałośnie biednej młodości, bo co mi po niej?

Katherine patrzyła na siostrę z pewnym zdumieniem. To, co mówiła Karin, teraz brzmiało nawet zupełnie rozsądnie. Kto by pomyślał? W dodatku wystarczyło spojrzeć na Willa, żeby zdać sobie sprawę, że on rzeczywiście jest właśnie taki, jaki według niej miał być – czuły, opiekuńczy i zawsze gotowy przychylić nieba swojej słodkiej Karin. Katherine myślała o tym z prawdziwą radością, ciesząc się, że najważniejsze sprawy siostry ułożyły się tak pomyślnie.

Cieszyła się także i z tego, że po tych kilkunastu miesiącach wreszcie mogły spędzić ze sobą parę dni i rozmawiać tak szczerze i serdecznie jak chyba nigdy dotąd. Znów miały do siebie pełne zaufanie, mogły sobie powiedzieć wszystko. Katherine nagle uświadomiła sobie, że powód tych zadziwiających zmian jest jeden – Karin była naprawdę szczęśliwa.

Na pożegnanie Katherine uściskała siostrę szczególnie serdecznie, a potem jeszcze długo stała zamyślona i patrzyła w ślad za odjeżdżającym powozem. To zadziwiające, jakimi drogami chadza ludzkie szczęście,

308

pomyślała, wracając od bramy w kierunku ganku.

Przez kilka następnych miesięcy nie wydarzyło się nic szczególnie godnego

uwagi, każdy kolejny dzień był bardzo podobny do poprzedniego. Życie stało się monotonne.

Katherine nie mogłaby szczerze powiedzieć, że jest szczęśliwa, bo byłaby to nieprawda, ale była zadowolona, a największą satysfakcję dawała jej świadomość, że sprawy na jej ukochanej farmie układały się coraz lepiej.

Znalazł się wreszcie – i to w dość bliskim sąsiedztwie – odpowiedni człowiek, który zgodził się pracować na stałe i doskonale wywiązywał się z obowiązków.

Nawet nieskora do pochwał Fanny wypowiedziała się bardzo pochlebnie o jego pracowitości i rzetelności. Dość wilgotna pogoda tej wiosny okazała się wyjątkowo sprzyjająca uprawom kukurydzy, która wyrosła nad podziw i miejscami sięgała krokwi pierwszego piętra. Z kolei początek lata był suchy i gorący, co korzystnie wpływało na dojrzewanie zbóż.

Przez cały ten czas Katherine usilnie starała się nie myśleć o Aleksie. Nie było to jednak łatwe, ponieważ zbyt wiele wspomnień wiązało się właśnie z nim, niemal w każdym miejscu farmy pozostał po nim jakiś niewidzialny ślad.

Do tego drzewa zawsze przywiązywał konia, na korze tamtego wrył nożem swoje inicjały. Drzwi od starej szopy zostały naprawione właśnie przez niego. Tą polną dróżką chodzili wspólnie nad rzeczkę, gdzie Alex uczył ją trudnej sztuki zakładania przynęty odpowiedniej dla każdego gatunku ryb.

Ach, byłoby mi z pewnością łatwiej, gdybym jednak za niego nie wyszła, mówiła sobie czasem, daremnie usiłując nie pamiętać o tych wszystkich drobnych wydarzeniach, które właśnie tu, w jej rodzinnym domu, wiązały się akurat z nim. Byłoby jej znacznie łatwiej, gdybym nadal nie wiedziała, co to znaczy leżeć w ramionach ukochanego mężczyzny, czuć jego bliskość...

Nie przestała go kochać i nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej.

Tęskniła za Alexem, chciała znów być z nim i czuć to, co czuła, gdy brał ją w ramiona, kiedy kładli się do łóżka i kochali tak namiętnie.

Broniąc się przed takimi rozbuchanymi pragnieniami Katherine mówiła sobie, że teraz po prostu nie wolno jej tak myśleć, że zachowując się w ten sposób, zatracą resztki wstydu i staje się podobna do tych nieszczęsnych rozpustnych kobiet, które w pełni zasługują na pogardliwe traktowanie i poniżające wyzwiska, którymi są obrzucane. Ale takie strofowanie siebie też nie zdało się na nic, skutek był praktycznie żaden. Nawet sporadyczne

309

odwiedziny Karin, która czasami wpadała na dzień lub dwa razem z Willem, niewiele pomagały. Katherine cieszyła się z tych odwiedzin, ze szczerą radością przypatrywała się szczęściu tych dwojga, ale po ich wyjeździe popadała w tym głębsze przygnębienie.

Potem jednak smutek mijał i Katherine znów próbowała narzucić sobie jakąś dyscyplinę – starała się nie myśleć o tym, co straciła, i skoncentrować raczej na tym, co jej zostało. Ale to udawało się jej co najwyżej połowicznie. Nie mogła wyrzucić z pamięci tego wszystkiego, co ją dręczyło. A najbardziej dręczył ją fakt, że wciąż nie potrafiła sobie odpowiedzieć na bardzo zasadnicze pytanie: czy porzucając Alexa i wyjeżdżając z Kalifornii, na pewno postąpiła właściwie?

Kiedyś, przy wspólnym szorowaniu garnków, zwierzyła się z tego Fanny.

Ta nie miała wątpliwości.

– Moim zdaniem odpowiedź jest prosta – powiedziała. – Spytaj sama



siebie, czy teraz jesteś szczęśliwsza, niż byłaś tam. Jeżeli tak, to postąpiłaś słusznie. A jeżeli nie, no to cóż... sama musisz postanowić, co dalej.

Ale tak naprawdę także i ta odpowiedź wcale nie była aż tak prosta, jak sądziła Fanny. Być może w ogóle nie było tu prostych odpowiedzi.

– Uważasz, że przed wyjazdem powinnam była wybaczyć Alexowi? – spytała.

Fanny zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Z wybaczeniem sprawa nie jest taka łatwa – odparła w końcu. – Musisz zdecydować, co możesz zaakceptować, a co nie, ale to nie jest tak jak na targu warzywnym, że wkładasz do koszyka tylko to, co ci się naprawdę podoba, a resztę po prostu odkładasz. Przy wybaczeniu masz wóz i przewóz, albo wybaczasz wszystko, albo nic. Jeżeli wierzysz w to, co Alex ci mówił, dlaczego nie miałabyś mu wybaczyć? Jest twoim mężem, jest mężczyzną, którego, jak sama powiedziałaś, nadal kochasz. A mimo to jakoś nie potrafisz mu wybaczyć. Dlaczego? Przecież widziałam nieraz, że wybaczałaś ludziom, którzy byli wobec ciebie nie w porządku. Choćby Karin. Darowywałaś jej winy już tyle razy, że pewnie sama nie potrafiłabyś tego zliczyć. Dlaczego znacznie łatwiej wybacza się rodzinie, przyjaciołom, a nawet obcym niż człowiekowi, którego się kocha?

– Nie wiem.

– Przed laty miałam takiego starego wujka, który był kaznodzieją.

Powiedział mi coś, co pamiętam do dziś, że wybaczenie zawsze jest darem i

inne. Staje się prawdziwe, pełne i całkowicie nowe. Myślę, że to był mądry stary człowiek.

Któregoś dnia na farmie Simonów całkiem niespodziewanie pojawiła się Ciarabella Dudley, jedna z tych miejscowych plotkarek, przed którymi swego czasu uratował Katherine stary Carter Mayberry, w ostatniej chwili zabierając ją do swego wozu. Tym razem jednak Cartera nie było w pobliżu, a Katherine nie mogła ratować się ucieczką, ponieważ właśnie siedziała bardzo wysoko na brzoskwiniowym drzewie, z którego zbierała owoce. Postanowiła więc nie przerywać pracy i przyjąć nieoczekiwanego gościa ze stoickim spokojem. Patrzyła na Ciarabellę z góry i widziała ją bardzo dokładnie już od pierwszej chwili, kiedy bryczka zatrzymała się przed bramą. Ta natomiast nie od razu dostrzegła Katherine. Bardzo skądinąd elegancka pani i aktywna członkini paru szacownych kółek parafialnych pozwoliła sobie bowiem ukradkiem zerwać i wrzucić do koszyka kilka największych i najdojrzalszych brzoskwiń z co niższych gałęzi. Dopiero później rozejrzała się za Katherine i zlokalizowała ją dzięki ustawionej pod drzewem drabinie.

Rozmowa przebiegła dokładnie tak, jak można się było spodziewać.

– Podziwiam pani pracowitość, chwalebna u tak młodej osoby – zaczęła słodziutko Ciarabella. – Ale muszę też powiedzieć, że w mieście opowiada się o pani bardzo dziwne rzeczy, doprawdy wręcz zastanawiające.

Katherine nadal zrywała owoce i wrzucała je do szerokiej kieszeni fartucha.

– Jakie rzeczy? – spytała.

– Oczywiście nie przypuszczam, żeby pani nie miała istotnych powodów,

które najpewniej skłoniły panią do powrotu do Limestone. Ale przyzna pani, że to jednak niesłychane...

– Co?

– Żeby zamężna kobieta nagle przyjeżdżała tu sama i musiała prowadzić gospodarstwo bez pomocy męża.

Katherine na chwilę przerwała zrywanie i popatrzyła na wciąż słodko uśmiechniętą pani Dudley.

– Nie wiem, co w tym takiego niesłychanego – powiedziała, wzruszając ramionami. – I dlaczego miałoby to dziwić którąkolwiek z pań? Musiałam pracować na farmie bez męskiej pomocy przez blisko połowę mojego życia,

311

więc nie jest to dla mnie nic takiego nadzwyczajnego.

– No cóż, młodość miała pani rzeczywiście nie najszcześniejszą. Ale teraz jest pani zamężna, więc sytuacja jest już zupełnie inna. Trudno się dziwić, gdy ludzie przyjmują, że teraz będzie pani mieszkała razem z mężem.

– Mój mąż jest bardzo zajęty prowadzeniem swego przedsiębiorstwa, a leśny obóz drwali nie jest odpowiednim miejscem dla kobiety.

– Szkoda, że nie wiedziała pani o tym wcześniej, zanim wyruszyła pani w tak daleką drogę, aż do Kalifornii, a zaraz po tym musiała przejechać drugie tyle, żeby tu nagle wrócić.

– Ja się cieszę, że tam pojechałam. I cieszę się, że wróciłam. – Mimo wszystko w głosie Katherine przebijała pewna irytacja.

Pani Dudley to zauważyła i starała się wypowiadać jeszcze bardziej pompatycznie i z jeszcze większą troską.

– Wzięła pani na siebie ogromną odpowiedzialność. Tylu gruntów pod uprawą nie widziałam tu nawet wtedy, kiedy żył pani ojciec. Ludzie w mieście mówią, że z takim arealem nie poradziłaby sobie nawet pełna, liczna rodzina, wy tymczasem jesteście tylko dwie, a do pomocy macie jednego najemnego pracownika. Oczywiście w żaden sposób nie chciałabym pani zniechęcać...

– To dobrze, że pani nie chce, bo też nie mam zamiaru dać się zniechęcić – odrzekła sucho Katherine. – Po prostu byłam ciekawa, co da się uzyskać z tej starej farmy, i rzeczywiście staram się zrobić jak najwięcej. Nie wiem, czy to panią ucieszy, ale ten rok był naprawdę dobry tak dla upraw, jak i hodowli, więc ja Fanny jesteśmy pełne nadziei. Ta ziemia odplaca nam za ciężką pracę.

Katherine zeszła z drabiny i zaczęła przekładać zerwane brzoskwinie do ustawionej pod drzewem drewnianej skrzynki. Kiedy skończyła, podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Ciarabelli.

– Co właściwie przywiodło panią tutaj w tak upalny dzień? –zapytała. – Czyżby to parafialne kółko haftu i szydełkowania zleciło pani zebranie informacji, które mogłyby się stać atrakcyjnym tematem do dyskusji na następnym spotkaniu?

Ciarabella Dudley niezbyt przekonująco próbowała się roześmiać.

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu wpadłam po drodze z przyjacielską wizytą. Jechałam odwiedzić ciotkę mojego zmarłego męża, która mieszka na starej farmie Marbry.

– To rzeczywiście interesujące – powiedziała Katherine. –Bo w jakiś dziwny sposób minęła pani rozjazd, prowadzący prosto do Marbry, i nadłożyła

w ten sposób dobrych kilka mil, w dodatku w przeciwnym kierunku.

Ciarabella Dudley robiła wszystko, żeby wyglądać na zaskoczoną.

– Coś takiego! – wykrzyknęła. – Jeśli rzeczywiście tak jest, to chyba będę musiała zawrócić. Obróciła się i ruszyła w kierunku bryczki. Szła z taką miną, że Katherine nie potrafiła się powstrzymać.

– Mam nadzieję, że moje brzoskwinie będą pani smakować! –zawołała w ślad za odchodzącą, ale wyniosła pani Dudley oczywiście udając, że tego nie słyszy.

Katherine przestawiła drabinę pod następne drzewo i znów zaczęła zrywać brzoskwinie, wspinając się po stopniach coraz wyżej. Była już w połowie wysokości, gdy gdzieś za plecami znów usłyszała kroki. Czyżby Ciarabella Dudley wróciła? To zaczynało już wyglądać na natręctwo – bo przecież chyba nie wróciła po brzoskwinie...

Katherine postanowiła nawet się nie odwracać.

– Witam ponownie! – rzuciła przez ramię, a ton jej głosu był jawnie ironiczny. – Czy może coś zginęło?

– Tak – odpowiedział głęboki męski głos. – Dokładniej mówiąc, zginęła mi żona.

23

Tylko jeden jedyny człowiek na świecie miał taki głos. Ale to przecież było niemożliwe, to nie mógł być on! A jednak...

To było jak uderzenie obuchem.

Katherine jeszcze wyciągnęła rękę, machinalnie sięgając po kolejny owoc, gdy nagle z nadmiaru emocji zakręciło jej się w głowie i wszystko zaczęło

tańczyć przed jej oczami – dojrzewające brzoskwinie, soczyste zielone liście i rozwidlone gałęzie drzewa, na których dotąd stała, ledwie utrzymując równowagę. Teraz, gdy niebo nad głową zaczęło gwałtownie wirować, a gałęzie zdawały się uciekać spod stóp, usiłowała jeszcze chwycić się pnia, ale wyciągnięta na oślep dłoń obślizgnęła się po korze, nie znajdując punktu zaczepienia. Katherine wiedziała już, że spada.

Jej gwałtowny strach trwał jednak tylko przez moment, ponieważ stojący pod drzewem Alex wyciągnął ręce i z niezwykłą łatwością pochwycił spadającą Katherine.

313

– Starzy żołnierze uważają podobno, że przeciwnik zaskoczony jest już w połowie zwyciężony – powiedziała, wciąż pozostając w jego ramionach. – Ty pewnie uważasz, że ta sentencja odnosi się także do kobiet?

– Mam nadzieję, że tak. Bo chyba rzeczywiście udało mi się ciebie zaskoczyć, prawda?

Alex. Kochany Alex. Czowała mocny uścisk obejmujących ją ramion, patrzyła prosto w jego oczy... i z nadmiaru emocji zupełnie już nie wiedziała, co właściwie w tym momencie czuje. Miała ochotę śmiać się, ale także się rozplakać. Chciała ucałować go za to, że wreszcie się zjawił, ale i dotkliwie pobić go za to, że tak długo z tym zwlekał.

Bardzo chciała wtulić twarz w miękkie zagłębienie między jego barkiem i szyją, wyznać mu wszystko... wszystko. Odsłonić to, co nagromadziło się w jej sercu – przyznać się do żalu, do tęsknoty, opowiedzieć nawet o tym, że po wielokroć przyrzekała sobie, iż wszystko mu przebaczy. Ale jednocześnie wcale

**nie chciała, żeby to się odbyło właśnie tak.**

**Gdybyż można było przekreślić całą przeszłość, zetrzeć popełnione błędy, wymazać oszustwa jednej i niemądrą dumę drugiej strony. Ale to było po prostu niemożliwe. Co prawda Alex znów tu był, zjawił się tak**

**niespodziewanie, jak to sobie czasami wyobrażała w półsennych marzeniach, ale w niej tkwiło za dużo poczucia krzywdy i wcale nie była taka skłonna do przebaczenia.**

**Alex przyglądał się jej z nie nazbyt pewnym uśmiechem.**

**– To dość szczególna sytuacja. – Starał się, żeby to zabrzmiało żartobliwie.**

**– Tam mi żona przepadła, a tu nagle taka sama po prostu spadła mi z drzewa prosto w ramiona. Gdybym wiedział, że tu żony rosną i dojrzewają na drzewach, przyjechałbym wcześniej.**

**Ale Katherine wcale nie wyglądała na rozbawioną.**

**– Nie powinieneś był przyjeżdżać. Zechcesz mnie wreszcie uwolnić ze swoich objęć i postawić z powrotem na ziemi?**

**– Tylko jeśli mi obiecasz, że już ponownie nie uciekniesz. Dlaczego... –**

**jego głos nagle zabrzmiał niezwykle ciepło –...dlaczego mnie zostawiłaś?**

**Katherine poczuła w sercu niespodziewanie miły dreszcz, co jednak wcale nie oznaczało, że zmieniła nastawienie.**

**– Wyjechałam, ponieważ uznałam, że tak będzie najlepiej –odparła chłodno i rzeczowo. – Nigdy nie miałam ochoty pozostawać tam, gdzie mnie nie chciano.**

**– Zawsze chciałem, żebyś była przy mnie. Tylko ty po prostu o tym nie**

wiedziałaś.

– I ty najwyraźniej też nie. A właśnie! – Złożyła ręce na piersiach i przypatrywała mu się z marsową miną. – Po co przyjechałeś?

– Żeby ci pokazać, jak to może być między nami. Żeby cię nauczyć, że przebaczenie jest łatwiejsze, niż się wydaje, nawet kiedy wydaje się niemożliwe.

Katherine zachnęła się odruchowo i odsunęła się na parę kroków. Potem znów obróciła się ku niemu, ale patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby widziała w nim całkowicie obcego człowieka.

Przez tak długi czas czuła się samotna i wyobcowana, że chwilami miała wrażenie, jak gdyby to cały świat cofnął się nagle, odsunął od niej i pozwałal się obserwować tylko z dystansu. W jakiś sposób nawet się do tego przyzwyczaiła.

Alex patrzył na nią, przypominając sobie ten feralny poranek sprzed kilkunastu miesięcy, kiedy to wchodząc do jej pokoju, zastał puste łóżko i rzuconą na stół kartkę z suchą jednozdaniową notką. Jego pierwszą odruchową reakcją było upicie się w trupa i pozostawanie w tym stanie możliwie jak najdłużej. Pewnie mógłby się nawet zapić na śmierć, gdyby nie Adrian, który po prostu siłą zaciągnął go do pokoju i zamknął go w nim aż do wytrzeźwienia. Gdy minął najgorszy kac, Alex zdał sobie sprawę, że myśli ostrzej i jaśniej niż kiedykolwiek w całym dotychczasowym życiu. W szczególności bardzo wyraźnie widział, że przed przyjazdem Katherine do Kalifornii nigdy nie był naprawdę szczęśliwy. A nie był – teraz stało się to dla niego oczywiste – ponieważ tak naprawdę wcale nie chciał być przedsiębiorcą



wycinającym lasy. Zawsze marzył o tym, żeby wrócić w rodzinne strony, mieć naprawdę wielką – godną Teksasu! – farmę, zasiewać zbożem i kukurydzą ogromne przestrzenie od horyzontu po horyzont i hodować tyle bydła, ile się tylko zmieści na tych bezkresnych zielonych równinach. I właśnie to marzenie było zasadniczym powodem, dla którego ostatecznie zdecydował się wyruszyć w daleki świat na poszukiwanie złota i lepszego losu.

To jeszcze nie był koniec niespodzianek. Kiedy przyznał się bratu, że coraz bardziej marzy o powrocie do Teksasu, Adrian popatrzył na niego uważnie i powiedział:

– Myślę, że to najrozsądniejsze słowa, jakie kiedykolwiek od ciebie

315

usłyszałem.

– Naprawdę tak uważasz? Dlaczego?

– Może dlatego, że mam już dość patrzenia na twoją smętną minę. I

pewnie mam też już dość tych naszych kłótni i bójek. – Adrian pokazał zęby w szerokim uśmiechu. – A poza tym wcale niewykluczone, że miałbym ochotę na doobicie interesu z panią Victorią Talbot, a ty mi to wciąż utrudniasz.

Alex popatrzył na brata z pewnym zaciekawieniem.

– Więc co zamierzasz zrobić w związku z tą Victorią? Wykupić moje udziały?

– Może. – Adrian roześmiał się. – A poza tym, do cholery, jesteś w końcu moim bratem, więc dlaczego nie przyjmiesz, że chodzi mi o to, żebyś był wreszcie szczęśliwy?

– Jeśli takie były zawsze twoje intencje, to muszę przyznać, że dość długo

udawało ci się bardzo głęboko je ukrywać – rzekł nieco ironicznie Alex. Jednak brat, który wydawał się w świetnym humorze, nie przejął się specjalnie jego kwaśną miną, poklepał go po plecach i zaproponował drinka dla ostatecznego dobitcia interesu.

Bez większych problemów dogadali się co do ceny i Adrian odkupił udziały Alexa, stając się jedynym właścicielem prosperującego przedsiębiorstwa.

Znacznie dłużej trwało załatwianie formalności prawnych i finansowych, ale gdy w końcu wszystkie pieniądze znalazły się na koncie największego banku w San Francisco, Alex był już wolny od wszelkich obowiązków, w pełni gotów, by wyruszyć w drogę powrotną do domu... i przede wszystkim do Katherine.

Zamierzał do niej dotrzeć, nawet na kolanach, jeśli by okazało się to konieczne. Żegnając się z bratem i z wspólnym przedsiębiorstwem, pomyślał, że być może to wszystko ostatecznie obróciło się na dobre. Gdyby Katherine nie znalazła listu, pewnie by nie wyjechała, a wtedy on – być może – już przez całą resztę życia zajmowałby się wycinaniem drzew, a nie nieporównanie bardziej mu odpowiadającą uprawą żyznej teksaskiej roli.

A teraz wreszcie stał naprzeciwko Katherine i próbował znaleźć właściwe słowa. Takie najbardziej przekonujące, które nie tyle pozwoliłyby na naprawienie poczynionych dotąd szkód – bo to, co się stało, było już nie do odwrócenia – ile raczej dałyby początek nowym, trwalszym i bardziej serdecznym więziom, których nawiązanie wciąż wydawało się możliwe.

Najważniejsze, powtarzał sobie Alex, to nie dać się wciągnąć w niepotrzebne

**i teraz.**

**– Katherine... – powiedział, uśmiechając się ciepło i jednocześnie trochę przepraszająco. Niepewnie zrobił krok w jej kierunku.**

**Ona jednak nie odpowiedziała mu uśmiechem i prawie się odwróciła.**

**Prawie, bo jednak tego nie zrobiła, choć sama nie wiedziała dlaczego. Nie umiała się zmusić do wypowiedzenia tych słów, które chciałby usłyszeć, słów przebaczenia leczących wszelkie rany, ale nie potrafiła też odepchnąć go i kazać odejść. W końcu przyjechał tu do niej, a to znaczyło bardzo wiele. Ale myśl o tym, że może mu jednak naprawdę na niej zależy, wciąż jeszcze była dla niej zbyt nowa, zbyt nieoczekiwana. Nie zdążyła się jeszcze z nią oswoić, więc popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.**

**– Może lepiej przerwijmy na razie tę rozmowę. – Nadal patrzyła na niego bez uśmiechu. – Powiedzieliśmy sobie nawzajem zbyt wiele rzeczy, mówiliśmy słowa, które kaleczyły i pozostawiały blizny. Nie powracajmy już do tego. Na razie wiem tyle, że tu przyjechałeś... że wróciłeś. Teraz muszę się jakoś oswoić z tą myślą, jakoś się do niej ustosunkować, a to nie może nastąpić tak od razu.**

**Alex milczał tak długo, że Katherine mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy tak intensywnie przeżywane emocje nie odebrały mu nagle głosu.**

**– Myślę, że masz rację – przyznał w końcu i znów spróbował się uśmiechnąć. – Mówiąc zupełnie szczerze, sam nie jestem pewien, czy teraz znalazłbym w sobie dość sił, żeby kontynuować tak zasadniczą rozmowę.**

**Jestem chyba słabszy, niż przypuszczałem.**

**Odwrócił się i przez chwilę w zamyśleniu patrzył gdzieś w przestrzeń.**

**Potem znów spojrzął na żonę.**

Powinna była natychmiast odwrócić się i odejść, a tymczasem stała jak wmurowana, podczas gdy on z wielką ostrożnością podniósł dłoń i bardzo delikatnie dotknął jej policzka.

– To jest to miejsce, prawda?

Przez moment w ogóle nie wiedziała, o czym on mówi. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to wspomnienie z bardzo wczesnego dzieciństwa. To jej matka, głaszcząc pieszczotliwie twarz ukochanej córeczki, dotykała tych miejsc, w których wydatne kości policzkowe nadawały jej dziewczęcej twarzy wyraz stanowczości, i uśmiechając się, mówiła: „To jest to miejsce, w którym najwyraźniej przebija charakterek. Będiesz go miała, kochanie”.

Mimo woli uśmiechnęła się na to wspomnienie, a Alex widząc to, również

317

się uśmiechnął.

– Charakterek, prawda? – powiedziała Katherine. – To jest to miejsce, w którym przebija?

– No właśnie. Zastanawiające, że właśnie teraz to mi się przypomniało.

– To rzeczywiście dziwne, że pamiętałeś coś, co moja matka mówiła tak dawno temu. Ja sama o tym zapomniałam. Alex niespodziewanie spoważniał.

– Może po to właśnie jest małżeństwo... to znaczy, dobre małżeństwo. –

Jego głos był tak pełen żalu i smutku, że Katherine nagle poczuła, jak ściska się jej serce. – Po to, by jedno brało na siebie trud, któremu drugie już nie może podolać, by odporniejsze pomagało mniej odpornemu. By jedno pamiętało to, o czym drugie zapomniało. – Odwrócił się i szybko odszedł.

Ale zatrzymał się, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Potem wypowiedział tylko

**jedno słowo, które ledwie usłyszała:**

**– Wróć.**

**Gdy zniknął za rozłożystymi drzewami sadu, Katherine wciąż patrzyła w ślad za nim. Nadal walczyły w niej sprzeczne uczucia, w głowie miała zamęt, ale dominujące było poczucie głębokiego smutku.**

**Obawiała się, że Alex wrócił za wcześnie, że pojawił się w złym momencie, kiedy ona wciąż jeszcze nie zdołała się uporać z bolesną przeszłością. Być może cierpienie daje mądrość i czyni człowieka bardziej dorosłym, ale w jej przypadku to mogło oznaczać, że wciąż jeszcze nie wycierpiała tyle, ile powinna.**

**Alex, jak można się było spodziewać, zamieszkał w starym domu Mackinnonów, po drugiej stronie rzeczki. Zabijał czas doprowadzaniem mocno zapuszczonych wnętrz do stanu jakiejś takiej używalności i tylko z rzadka zaglądał na farmę Simonów, właściwie głównie po to, żeby przejeżdżając obok domu, powiedzieć „dzień dobry”. Ani Katherine, ani Fanny nie zapraszały go do środka, a on odjeżdżał bez słowa, nie chcąc się narzucać, co w jakiś niepojęty sposób dosyć irytowało Katherine. Trochę narzucania się z całą pewnością wcale by jej nie zaszkodziło. Ale skoro nie chciał, tym lepiej.**

**Postanowiła mu odplacać pięknym za nadobne.**

**Okazja nadarzyła się któregoś popołudnia na początku sierpnia.**

**Przejeżdżając koło domu Simonów, niczego nie przeczuwający Alex tym razem nie ograniczył się do pozdrowienia, ale niebacznie zatrzymał się przy ogrodzeniu i przyglądał się, jak Katherine zaciekle walczy z nadmiernie**

rozrastającymi się pędami pnącej róży, oplatającymi ogrodową altankę. Pędy były częściowo uschnięte i potrafiły ukłuć równie boleśnie, jak Katherine, o czym Alex bardzo szybko miał się przekonać.

– Tylko mi nie mów, że znów przyjechałeś do mnie – powiedziała, a jej głos był z pewnością nawet bardziej cierpki niż niedojrzałe owoce tej dzikiej róży.

Alex postanowił jednak przyjąć to z humorem.

– W porządku! Możemy się umówić, że nie przyjechałem.

– To dobrze. Wobec tego mogę się zająć wyłącznie pracą i nie muszę specjalnie udawać, że cię nie widzę.

– Czy nie oznacza to przypadkiem, że zamierzasz mnie po prostu ignorować?

Katherine spojrzała na niego kątem oka.

– Owszem! – odparła, a potem ucięła kolejny zeschnięty kwiat z taką zawziętością, że włożonej w to siły wystarczyłoby nawet na ucięcie głowy pewnemu mężczyźnie, który niewątpliwie na to zasłużył.

Alex jednak nie wyglądał na przerażonego.

– Ale ja nie mógłbym ci odplacić tym samym – rzekł z uprzejmym uśmiechem. – Nie mogę cię ignorować, bo okazałbym się po prostu niegrzeczny.

– A ja wcale nie marzę o tym, żebyś był grzeczny! – odpaliła Katherine. –

Raczej o tym, żebyś sobie poszedł. Bo nie wiem, czy to zauważyłeś, ale ja tu pracuję.

Odsiecz przyszła z najmniej oczekiwanej strony. Tę rozmowę, bardzo przypominającą szermierczą wymianę sztychów, przerwał nagle głos Karin,

która, nie wiadomo skąd, pojawiła się na ganku i zaczęła mitygować siostrę.

– Ależ, Katherine! – wykrzyknęła. – Jak można tak traktować gościa.

Gdzież są twoje maniery?!

Katherine wcale się nie spieszyła.

– A ty skąd się tu wzięłaś w samym środku tygodnia? – spytała. – Cieszę się, że jesteś, ale to jednak dość nieoczekiwane.

– Właśnie przyjechałam, bo po prostu nie mogłam już z tym czekać. Mam ci do zakomunikowania naprawdę cudowną nowinę. – Karin podeszła do nich i zatrzymała się przed Alexem, przez chwilę przypatrując mu się tak, jak gdyby usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał wcześniej. – Witaj, Alex – odezwała się w końcu. – Zmieniłeś się. – Nie wyglądała na szczególnie przejętą.

Alex zresztą też nie.

319

– Witaj, Karin – odpowiedział bardzo swobodnie. – Ty też się wyraźnie zmieniłaś.

Spojrzał na żonę, a potem na szwagierkę. Patrzył na siostry tak, jakby znów je porównywał, i nie potrafi wyjść z zadziwienia. Okazało się bowiem, że Karin jest mu teraz całkowicie obojętna.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym z prawdziwym zdumieniem. Oto stała przed nim ta sama Karin Simon – ta olśniewająca piękność, w której kochał się od tak dawna. Nie straciła przecież urody, nadal była niezwykle piękną i elegancką kobietą, ale to też przestało mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Skądinąd wiedział przecież, że któregoś dnia zetknie się z nią oko w oko, i

nawet miał nadzieję, iż w ten sposób wreszcie będzie mógł udowodnić sobie, że wyleczył się skutecznie z fascynacji starszą z sióstr Simon. Nie przypuszczał jednak, że ta odmiana w nim będzie aż tak radykalna. Prawda bowiem była taka, że na tę jasnowłosą piękność mógł teraz patrzeć równie obojętnie, jak na kolek w płocie.

Na myśl o tym Alex uśmiechnął się z mimowolną satysfakcją. Tak, przy całej urodzie i elegancji Karin w żaden sposób nie wytrzymywała porównania z Katherine. Jego żona, w zwykłej bawełnianej sukieneczynie, umorusana kurzem, z rękami podrapanymi ostrymi kolcami dzikiej róży i z rozwianymi włosami. byle jak przewiązany zieloną wstążką, wciąż była stokroć piękniejsza od nienagannie zadbanej siostry. Alex był tego absolutnie pewny, a jeśli nawet jego ocena nie była teraz w pełni obiektywna, nie miało to już dla niego żadnego znaczenia. Teraz już wiedział na pewno, że kocha Katherine. Jeszcze raz spojrzął na twarz żony. Nie był pewien, czy to nadmiernie długie przypatrywanie się Karin nie sprawiło jej przykrości.

Katherine rzeczywiście nie czuła się szczególnie zadowolona, obserwując tę scenę. Nie zareagowała jednak w żaden zauważalny sposób, odwróciła się do siostry i zapytała:

– Jaką to cudowną nowinę masz dla mnie?

– Chodź ze mną do salonu – powiedziała Karin. Chciała wziąć siostrę za rękę, ale gdy zobaczyła, jak jest ubrudzona, cofnęła dłoń w białej rękawiczce, uśmiechając się przepraszająco. – Niespodzianka jest tam w środku, sama zobaczysz.

Alex postanowił pójść z nimi, nie bez pewnej racji tłumacząc sobie, że choć



nikt go nie zapraszał, to nikt mu również nie zabraniał wchodzić do domu.

320

– Czemu mi nie napisałaś, że Alex wrócił? – spytała Karin, gdy obie stały już na ganku.

– Nie miałam okazji powiedzieć ci o tym, a o pisaniu jakoś nie pomyślałam. A poza tym sądziłam, że to nie jest dla ciebie szczególnie ważne. – Katherine popatrzyła na siostrę i na moment się zawahała. – A może jednak jest?

Karin spojrzała na nią zaskoczona.

– Ależ nie, no skąd?! Co ci w ogóle przyszło do głowy, żeby mnie o to pytać, zwłaszcza teraz? Przecież wiesz, co naprawdę jest dla mnie ważne. I chodźmy już do środka, bo naprawdę nie mogę się doczekać.

Przeszły do salonu gdzie, jak się tego można było spodziewać, czekał Will Burnett. Stał przy oknie, w zamyśleniu patrząc na drzewa w ogrodzie, jak zawsze wytworny i dystyngowany, może nawet bardziej niż zwykle. Nie było w tym jednak nic niespodziewanego, ponieważ – zdaniem Katherine – Will po prostu nie mógł być inny.

– No więc gdzie jest ta niespodzianka? – spytała.

– No właśnie? – wsparła ją Fanny, stając w drzwiach.

– Zaraz zobaczysz. – Karin podeszła do Willa i ujęła go pod rękę. – Od godziny dziesiątej dzisiejszego dnia jestem już panią Burnett – oznajmiła uroczystym głosem, a potem podniosła dłoń, żeby wszyscy mogli obejrzeć obrączkę.

– To akurat nie jest niespodzianka – sprostowała Fanny, udając, że blask

**złotej obrączki po prostu ją oślepił. – Nie niespodzianka, ale raczej cud boski...**

**Wszyscy zaczęli się śmiać, a Katherine podbiegła do siostry, żeby ją uścisnąć.**

**– Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę – powiedziała. – Choć trudno mi sobie wyobrazić, że wyszłaś za mąż i nawet mnie o tym nie uprzedziłaś.**

**Karin roześmiała się.**

**– Sama nic nie wiedziałam aż do ostatniego momentu, do dzisiejszego ranka. Will obudził mnie, dobijając się do drzwi, o ósmej rano, możesz to sobie wyobrazić! – Ustawił mi przed drzwiami cały stos pakunków z różnych sklepów, kazał mi się w to ubrać tak szybko, jak potrafię, i oznajmił, że za godzinę bierzemy ślub, a mnie wolno tylko powiedzieć „tak”. Nie masz pojęcia, co on mi kupił.**

**– Suknię ślubną – domyśliła się Katherine i też się roześmiała. Will uśmiechnął się do niej, a potem zwrócił się do Alexa:**

321

**– Nie mieliśmy okazji dotąd się spotkać – powiedział. –I właściwie dopiero Fanny poinformowała mnie, kto jest kim w tym domu. Nawet nie przypuszczałem, że w tak szczególnym dla mnie dniu będę mógł spotkać męża rodzonej siostry mojej małżonki. Jesteśmy zatem szwagrami.**

**– Cieszę się niezmiernie z tego spotkania i mam nadzieję, że przy jakiejś mniej uroczystej okazji będziemy mogli dłużej porozmawiać, a żeby być z rodziną na bieżąco, jeszcze dziś wywiem się wszystkiego od Katherine. Teraz jednak powinniśmy zacząć spełniać obowiązki gospodarzy wobec gości. – Alex odwrócił się do żony i nie mrugnawszy nawet okiem, zapytał: –Kochanie, czy**

**mamy w domu jakieś alkohole? Taka okazja jak ślub siostry wymaga**

**wzniesienia toastu!**

**To, że się powazył – i to publicznie! – zwrócić się do niej per „kochanie”,**

**tak oszłomiło Katherine, że na moment odebrało jej mowę. Na szczęście**

**Fauny była na miejscu i uratowała sytuację.**

**– Mamy domowe wino z owoców ostrężyny – oznajmiła. – Myślę, że**

**powinno się nadać.**

**– A ja w przytroczonym do powozu kuferku mam butelkę porządnej**

**whisky z Kentucky – dodał Will. Alex zaczął patrzeć na niego z jeszcze**

**większym uznaniem. Katherine próbowała namówić nowożeńców, żeby zostali**

**na kolację, okazało się jednak, że mają już zamówione miejsca w dyliżansie do**

**Dallas i muszą się spieszyć, żeby nie stracić dalszych połączeń.**

**– Jedziemy do Nowego Jorku – pochwaliła się Karin. – Wyobrażasz to**

**sobie? A potem popłyniemy statkiem do Europy.**

**Katherine jeszcze nigdy nie widziała siostry tak uszczęśliwionej, a i sama**

**też jeszcze nigdy nie czuła się tak podniesiona na duchu. Szczęście Karin było**

**także i jej szczęściem. Rezultat jednak był taki, że popłakała się ze wzruszenia.**

**Wino z ostrężyny i stara whisky z Kentucky okazały się nadzwyczaj udaną**

**mieszanką, która nie tylko ukoila Katherine, ale i wszystkich innych wprowadziła**

**w doskonały humor.**

**Jakiś czas później Alex, Katherine i Fanny stali przy bramie, obserwując**

**wsiadającą do powozu parę nowożeńców, gdy Karin nagle przypomniała sobie**

**o pozostawionej w salonie parasolce.**

**– Zaraz ci ją przyniosę. – Katherine i pobiegła w stronę domu. Zobaczyła**

ją na kanapie i już miała po nią sięgnąć, gdy w drzwiach pojawił się Will, który wszedł do salonu zaraz za nią.

– Cieszę się, droga Katherine, że mam teraz szansę zamienić z tobą parę

322

słów na osobności – powiedział. Miał dość dziwną minę, po raz pierwszy sprawiał wrażenie nieco onieśmiałego. Dopiero po chwili znów zaczął mówić. – Wiem... a w każdym razie domyślam się, że musiało ci nieraz przyjść do głowy, iż jestem dla Karin za stary i, mówiąc zupełnie szczerze, nie mogę wykluczyć, że jest w tym jakaś racja. W końcu mam córkę w jej wieku i syna, który jest jeszcze o dwa lata starszy. To wszystko prawda, mimo to wciąż uważam, jestem najbardziej odpowiednim dla niej mężczyzną. Bo ja ją naprawdę kocham i, co być może jeszcze ważniejsze, rozumiem ją. Wiem, że niektórzy mogą ją uważać za płochą i kapryśną, prawie obsesyjnie skoncentrowaną na pieniądzach i rzeczach, które można za nie kupić. I może coś tu jest na rzeczy. Przedwczesna utrata rodziców i życie w niedostatku od dzieciństwa wpływają na niektórych ludzi w taki sposób. Ale dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Jestem bogaty i mogę dać jej wszystko, czego zapagnie. Przy mnie wreszcie poczuła się bezpieczna, po raz pierwszy w życiu. I ja jestem niezmiernie dumny i szczęśliwy, że mogłem jej to dać.

Gdy kończył mówić, Katherine znów się rozplakała ze wzruszenia.

– No już... już – uspokajał ją Will. Potem pochylił się, żeby wziąć z kanapy parasolkę. – Naprawdę nie chciałem cię tak zmartwić, ani, tym bardziej, doprowadzać do łez.

Katherine objęła go i uścisnęła bardzo mocno, a potem pocałowała w

idealnie wygolony, pachnący wodą kolońską policzek.

– Nie zmartwiłeś mnie nawet w najmniejszym stopniu, przeciwnie, dałeś mi niesłychanie wiele radości, a te łzy biorą się po prostu z nadmiaru emocji. Bo musisz wiedzieć, że uszczęśliwiając Karin, uszczęśliwiłeś także i mnie. Dziękuję ci. Will! Dziękuję w imieniu nas wszystkich!

Gdy po chwili szwagier wyszedł, Katherine doszła do wniosku, że ciągle jeszcze jest zbyt rozemocjonowana, żeby pokazywać się innym z twarzą, na której wciąż były ślady łez. Stała więc przy oknie i przyglądała się odjeżdżającym. Niezwykle głęboko poruszyło ją to, co dostrzegła w oczach siostry, wciąż wpatrzonych w męża. Jeszcze nigdy nie widziała takiej Kalin – tak swobodnej i odprężonej, tak promieniejącej szczęściem. Tylko prawdziwa miłość mogła ją tak odmienić.

Ale świadomość szczęścia siostry tym dobitniej unaoczniała Katherine rozpaczliwą pustkę jej życia. Odwróciła się od okna i poszła do siebie na górę, zanim Fanny i Alex zdążyli powrócić.

323

W kolejnym tygodniu sierpnia znów powróciły upały i temperatura chwilami dochodziła nawet do czterdziestu stopni Celsjusza. Alex nie ruszał się z domu, zabijając przeraźliwie wolno płynący czas drobnymi remontami rozsypujących się gospodarczych budynków całego obojścia. Dzień po dniu smażył się w palącym słońcu pod przeraźliwie błękitnym niebem, aż w końcu zdecydował, że może dość już tego dobrego, i ponownie pojechał do Katherine. Celowo nie pojawiał się tam przez kilka dni, mając nadzieję, że taka przerwa korzystnie wpłynie na ich stosunki, które wciąż pozostawały dość napięte.

Spodziewał się też, że bardzo udany związek siostry może mieć pozytywny wpływ na Katherine, na jej nastawienie zarówno do instytucji małżeństwa, jak i do niego.

Gdy jednak znalazł się już na miejscu, nie zastał tam ani Katherine, ani Fanny. Nie było też wozu ani Clovisa, co skłaniało do przypuszczenia, że obie panie pojechały do miasteczka po zakupy.

Wrócił więc do domu i postanowił zabrać się za naprawę spróchniałego dachu starej szopy na narzędzia. Jednak w tym piekielnym skwarze robota szła mu nie najlepiej, z jakiegoś powodu był bardziej roztargniony niż zwykle i gdy w końcu po raz trzeci uderzył się młotkiem w ten sam palec, uznał, że ma już tego dość. Zostawił niedokończoną robotę i zdecydował, że w tej sytuacji najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie nad rzeczkę, gdzie będzie mógł nie tylko się wykapać i ochłodzić, ale i na spokojnie przemyśleć różne istotne sprawy.

Wiedział bowiem, że chwila zasadniczej konfrontacji z Katherine nieuchronnie się zbliża, a on wciąż nie był pewny, jak ma do tego podejść.

Szedł wąską ścieżką wijącą się między drzewami porastającymi brzegi rzeczki i przypominał sobie dawne czasy, kiedy jako dorastający chłopiec skradł się tu z bijącym sercem w naiwnej nadziei, że kiedyś uda mu się podejrzeć kąpiące się siostry Simon. Nadzieja zawsze okazywała się złudna, wyjąwszy ten jeden jedyny przypadek z Karin.

Boże drogi, jakże to było dawno! A jednak wciąż pamiętał to wszystko tak wyraźnie, jak gdyby to było wczoraj. Karin wychodząca z wody, całkowicie naga, stojąca w słońcu. Jej oszalamiająco biała skóra, spadające na plecy jasne włosy, sterczące piersi, zakończone ciemnymi sutkami. Jej chłodna uroda

podbiła go wówczas bez reszty i wtedy chyba naprawdę ją kochał. Choć pewnie tylko wtedy.

Przypomniał też sobie tę Karin sprzed paru dni, tę odjeżdżającą wraz z Willem w podróż poślubną do Europy – jak zawsze doskonale ubraną,

324

nieskazitelnie elegancką, zadbaną w każdym szczególe. Chcąc nie chcąc, zaczął się w pewnym momencie zastanawiać, czy i teraz naga Karin wydałaby mu się równie piękna, jak wtedy. Chyba jednak to nie byłoby to samo.

Pochylił głowę, żeby przejść pod dość nisko opadającą gałęzią drzewa, rosnącego już niemal przy samym brzegu, a gdy się wyprostował i spojrział na płynącą w cieniu wodę, nagle zamarł.

Ki diabeł?!

Tam była Karin. Zupełnie taka sama jak wtedy, stała naga w płytkiej wodzie przy brzegu rzeczki. Alex raz i drugi przymknął powieki i znów je otworzył, ale ona nadal tam była. Nie zniknęła, choć przecież mogła być tylko wyobrażeniem, tylko złudą, bo nie kobietą z krwi i kości.

A potem nagle się obróciła i zrobiła kilka kroków, wychodząc z cienia i stając w pełnym słońcu. Wtedy okazało się, że nie ma jasnych włosów, tylko kasztanowe. Zupełnie takie jak moja żona, pomyślał oszołomiony. Ta kobieta naprawdę wygląda tak jak moja żona. Boże drogi, przecież to ona!

Stał jak skamieniały, przez chwilę w ogóle nie potrafiłby się ruszyć.

Patrzył, jak jego naga i olśniewająco piękna żona bardzo powoli i z niesłychaną gracją idzie przez płytką wodę złocącej się w słońcu rzeczki, jak zatrzymuje się, unosi ręce i związuje w gruby węzeł burzę swych złotokasztanowych włosów.

Patrzył jak zaczarowany, bał się ruszyć, bał się odkaszlnąć, gardło ścisnęło mu nie tylko wzruszenie i zachwyt, ale też i absolutna pewność, że to jest właśnie ta jedyna kobieta, którą kocha, którą zawsze będzie kochał i którą w głębi serca kochał już od dawna, choć niewyobrażalnie długo nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wciąż obrócona do niego plecami Katherine skierowała się stronę głębszej wody, w której można było swobodnie popływać.

Popływam razem z nią!

Ten pomysł olśnił Alexa. Nie zastanawiając się już ani chwili, ściągnął koszulę i spodnie, i z hałasem rozbryzgując wodę, pobiegł ku niej całym pędem.

Słyszając ten głośny plusk, Katherine odwróciła się, spojrzała w jego stronę i ze zdumienia otworzyła szeroko nie tylko oczy, ale i usta. Jej mąż, nagi tak, jak go matka na świat wydała, biegł ku niej po płytkiej wodzie wśród świetlistych rozbryzgów, które jak fontanny strzelały w górę spod jego bosych stóp. Szeptał coś bezgłośnie, w oczach miał gorejący płomień miłości i bezgranicznej determinacji. Katherine nie wytrzymała, prychnęła i zaczęła się głośno śmiać.

325

Na szczęście w miejscu, gdzie stała, woda sięgała już prawie do piersi, więc gdy po chwili Alex znalazł się tuż przy niej, nie wyglądał już tak nieprawdopodobnie komicznie. Właściwie już w ogóle nie był komiczny. Był wzruszający.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, poważnie i z głębokim zastanowieniem, jak gdyby wciąż szukał właściwych słów.



**– Wybaczysz mi? – zapytał w końcu.**

**– Wybaczę – odpowiedziała Katherine.**

326